

Dennis
Lehane
CIEMNOŚCI,
WEŹ MNIE ZA RĘKĘ

Z angielskiego przełożył
Andrzej Leszczyński



Świat Książki



Tytuł oryginału: DARKNESS, TAKE MY HAND

Projekt graficzny serii: *Anna Kłos*

Zdjęcie na okładce: *Anna Kłos*

Redaktor prowadzący: *Ewa Niepokólczycka*

Redaktor: *Joanna Bracka*

Redaktor techniczny: *Lidia Lamparska*

Korekta: *Jadwiga Piller, Olimpia Sieradzka*

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych czy zmarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © 1996 by Dennis Lehane

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Leszczyński, 2005

Świat Książki

Warszawa 2005

Bertelsmann Media Sp. z o.o.

ul. Rosoła 10

02-786 Warszawa

Skład i łamanie

Andrzej Sobkowski, MAGRAF S.C., Bydgoszcz

Druk i oprawa

Pabianickie Zakłady Graficzne S.A.

ISBN 83-7391-658-X

Nr 4909

*Powieść tę dedykuję Malowi Ellenburgowi i Sterling Watson
za wiele wspaniałych dyskusji na temat istoty sztuki oraz istoty rzeczy.*

Spis treści

Od autora	7
Prolog.....	9
1.....	13
2.....	23
3.....	28
4.....	37
5.....	49
6.....	57
7.....	67
8	75
9.....	82
10.....	90
11	100
12	105
13.....	114
14.....	122
15	129
16.....	139
17	145
18.....	149
19.....	155
20	164

21.....	173
22.....	181
23.....	191
24.....	199
25.....	212
26.....	226
27.....	233
28	243
29.....	254
30	264
31.....	274
32.....	285
33.....	298
34.....	312
35.....	322
36.....	339
37.....	352
38	360
39.....	368
Epilog.....	384

Podziękowania

Za udzielenie odpowiedzi na liczne i jak sądzę, głupie pytania dotyczące tajników zawodowych z zakresu medycyny oraz więziennictwa dziękuję doktorowi Joliemu Yuknekowi z wydziału pediatrii Szpitala Miejskiego w Bostonie i sierżantowi Thomasowi Lehane'owi ze Służby Więziennej stanu Massachusetts.

Za wnikliwe sczytanie i poprawienie rękopisu (jak również odpowiedzi na kolejne głupie pytania) dziękuję Ann Rittenberg, Claire Wachtel, Chrisowi, Gerry'emu, Susan i Sheili.

Od autora

Powinniśmy być wdzięczni, że nie postrzegamy grozy i upodlenia, jakie otaczają nas w dzieciństwie, kryją się w szufladach i na półkach z książkami, dosłownie wszędzie.

Graham Greene

Moc i chwała

Kiedy byłem mały, ojciec zabrał mnie na dach budynku, który się spalił.

Pokazywał mi remizę, gdy nadeszło wezwanie, musiał więc wziąć mnie ze sobą do szoferki wozu. Jechałem podniecony i przejęty piskiem opon na zakrętach, wyciem syreny, widokiem zbliżającej się gęstej chmury niebieskawego i czarnego dymu.

Godzinę po ugaszeniu pożaru, gdy wciąż siedziałem na krawężniku, skąd przyglądałem się akcji, nakarmiony hot dogami aż do przesyty, a każdy przechodzący strażak musiał koniecznie strzepać mi popiół z włosów, przyszedł ojciec, wziął mnie za rękę i poprowadził do tylnych schodów.

Smużki smolistego dymu wciąż wiły się w powietrzu i snuły wzdłuż poczerniałych ceglanych murów, kiedy szliśmy na górę. Przez wybite okna widać było osmalone, strawione ogniem pomieszczenia. Z dziur w suficie kapala do środka brudna woda.

Byłem tak przerażony tym widokiem, że ojciec aż musiał mnie podnieść z najwyższego podestu i postawić na skraju dachu.

- Nie bój się, Patricku - szepnął, gdy ruszyliśmy dalej po zmarszczonej od żaru papie. - Nic ci tu nie grozi. Rozejrzyj się.

Podniosłem głowę i popatrzyłem na tonące w szarawej mgielce zabudowania miasta dookoła. Ale świadomość ogromu zniszczeń, jakich żar dokonał pod moimi stopami, nie dawała mi spokoju.

- Tylko spójrz - powtórzył ojciec. - Tu jest całkiem bezpiecznie.

Powstrzymaliśmy ogień na dolnych piętrach. Nie dosięgnie nas tutaj. Kiedy stłumi się płomień w zarodku, nie rozprzestrzenia się wyżej.

Potargał mi włosy i cmoknął w policzek.

A mnie przeszył dreszcz grozy.

Prolog

Wigilia Bożego Narodzenia

Godzina 18:15.

Przed trzema dniami, pierwszego wieczoru kalendarzowej zimy, mój kumpel z dzieciństwa, Eddie Brewer, wraz z trzema innymi osobami zginął zastrzelony w sklepie osiedlowym. Nie był to napad rabunkowy. Sprawca, James Fahey, niedawno dostał kosza od swojej dziewczyny, Laury Stiles, która pracowała w kasie na popołudniowej zmianie, od szesnastej do północy. Kwadrans po jedenastej, gdy Eddie Brewer przy automacie nalewał sobie sprite'a do styropianowego kubeczka z kostkami lodu, Fahey wszedł do sklepu i trzykrotnie strzelił do Laury, najpierw w głowę, potem dwa razy w serce.

Następnie strzelił w głowę Eddiemu, po czym ruszył wzdłuż lodówek z mrożonkami, aż w części nabiałowej natknął się na skulone pod ścianą starsze małżeństwo Wietnamczyków. Wpakował każdemu po dwie kulki, nim wreszcie uznał, że dokończył dzieła.

Wyszedł na parking, wsiadł do samochodu i powiesił na wstecznym lusterku kopię zakazu zbliżania się do Laury Stiles, jaki dziewczyna z pomocą swoich rodziców zdołała wywalczyć w sądzie. Potem owiazał sobie wokół głowy jej stanik, pociągnął z butelki tęgi łyk jacka danielsa i strzelił sobie w usta.

James Fahey i Laura Stiles zginęli na miejscu. Starszy Wietnamczyk zmarł w drodze do szpitala Carneya, jego żona przeżyła go zaledwie o parę godzin. Eddie Brewer do dziś leży w śpiączce, lekarze twierdzą jednak, że rokowania są bardzo złe i zgodnie przyznają, że to, iż wciąż żyje, należy uznać za cud.

Prasa natychmiast zaczęła się rozpisywać na temat tego zdarzenia, gdyż Eddie, któremu w dzieciństwie było bardzo daleko do świętych, jest księdzem. Tamtego wieczoru wybrał się na jogging, w spodniach od dresu i podkoszulku, toteż Fahey nie

miał pojęcia, kim był, chociaż wątpię, by to dla niego cokolwiek znaczyło. Ale dziennikarze, zarówno pod wpływem religijnej nostalgii wobec zbliżających się świąt, jak i z chęci odświeżenia starego i zgranego motywu, do maksimum wykorzystali kwestię kapłaństwa Brewera.

Komentatorzy telewizyjni i felietoniści uznali wypadek Eddiego za znak apokalipsy, nic więc dziwnego, że w jego parafii w Lower Mills oraz w szpitalnej kaplicy trwały przez całą dobę modlitwy o jego powrót do zdrowia. Tak więc Brewer, pospolity klecha i skromny, szary człowiek znalazł się na najlepszej drodze do męczeństwa, bez względu na to, czy miał przeżyć, czy nie.

Nie miało to jednak nic wspólnego z koszmarem, jaki dwa miesiące wcześniej wypełnił moje życie, jak również życie paru innych obywateli tego miasta - koszmarem, po którym pozostały mi liczne urazy, bo choć lekarze twierdzą, że rany goją się prawidłowo, to jednak wciąż nie odzyskałem w pełni czucia w prawej ręce, a blizny na twarzy czasami pieką niemiłosiernie mimo gęstej brody, jaką zapuściłem. Postrzelenie znajomego księdza nie było powiązane z działaniami seryjnego zabójcy, z którym się zetknąłem, podobnie jak nie miały z nim nic wspólnego ostatnie „czystki etniczne” prowadzone w dawnej republice radzieckiej czy też zamach bombowy na klinikę aborcyjną znajdującą się kilka przecznic od mojego domu albo jeszcze inna seria zabójstw w Utah, w której zginęło dziesięć osób, a sprawca do tej pory nie został schwytany.

Niekiedy jednak odnoszę wrażenie, że takie przypadkowe, z pozoru niemające ze sobą związku ciągi tragicznych, brutalnych wydarzeń pochodzą z jednego wspólnego wątku i gdyby tylko udało się znaleźć jego początek, można by przeciąć nić, zapobiec wypadkom i przywrócić życiu sens.

W Święto Dziękczynienia po raz pierwszy w życiu zacząłem zapuszczać brodę i choć regularnie ją przystrzygam, widok mego odbicia w lustrze każdego ranka jest dla mnie takim zaskoczeniem, jakbym co noc śnił o gładkiej skórze twarzy, nieszeszpeconej bliznami - cerze tak idealnej, jak u niemowlęcia, pieszczonej jedynie powiewami ciepłego powietrza i czułymi pocałunkami matki.

Biuro „Spółki Dochodzeniowej Kenzie/Gennaro” wciąż jest zamknięte i pokrywa się kurzem, może nawet zarasta pierwszymi pajęczynami gdzieś w kątach za biurkami moim i Angie, która wyjechała pod koniec listopada i od tamtej pory staram się o niej nie myśleć. Ani o Grace Cole. Jak też o córce Grace, Mae. W ogóle staram się nie myśleć.

Po drugiej stronie ulicy właśnie skończyła się msza i w ten wyjątkowo ciepły wieczór jak na obecną porę roku - bo temperatura jest wciąż dodatnia, chociaż słońce zaszło już półtorej godziny temu - większość parafian zbiera się w grupki przed kościołem, a ich głosy niosą się daleko w rześkim powietrzu, padają życzenia wszystkiego najlepszego i wesołych świąt. Rozmowy dotyczą przede wszystkim nietypowej pogody, jako że po zimnym lecie nadeszła nadzwyczaj ciepła i sucha jesień, by po pierwszej fali mrozów znów się ocieplić, toteż wszyscy powtarzają, że wcale ich nie zdziwi, gdy świąteczny poranek wstanie prawdziwie wiosenny, podobnie jak w latach siedemdziesiątych, gdy temperatura podskoczyła do dwudziestu stopni.

Wreszcie pada nazwisko Eddiego Brewera i przez chwilę ten temat zajmuje wszystkich, lecz tylko na krótko, jakby nikt nie chciał mącić radosnego świątecznego nastroju. Jeszcze ktoś dorzuca, że coraz dziwniejsze i straszniejsze rzeczy dzieją się na tym zwariowanym świecie. Och, tak, całkiem zwariowanym.

Większość czasu spędzam teraz, siedząc przed swoim domem aż do późna, gdyż z werandy mogę obserwować ludzi na ulicy, a ich głosy krzyżujące się w powietrzu trzymają mnie przy życiu, nawet gdy ręka sztywnieje z zimna i zaczynam dzwonić zębami.

Już z rana wychodzę z kubkiem kawy na werandę i patrzę, jak na szkolnym boisku po drugiej stronie alei biegają w kółko mali chłopcy w granatowych spodenkach i takich samych krawatach oraz dziewczynki w plisowanych spódnickach z błyszczącymi spinkami we włosach. W zależności od mego nastroju ich szybkie ruchy i donośne głosy, wręcz niewyczerpane zasoby energii, działają na mnie ożywiająco bądź przygnębiająco. Przy kiepskiej pogodzie mam wrażenie, że te piskliwe krzyki spływają mi po plecach niczym garść szklanych okruchów. Ale w słońcu budzą we mnie wspomnienia podobne do tych, kiedy nie czułem się jeszcze porozbijany na kawałki i każdy oddech nie wywoływał silnych ukłuć bólu.

Napisał, że istotą rzeczy jest cierpienie, zakres tego, co zdołam wytrzymać i czym podzielę się z otoczeniem.

Pojawił się w okresie najcieplejszej, najbardziej niezwykłej wiosny od wielu lat, kiedy pogoda niemal całkiem oderwała się od przynależnych jej pór roku, a wszystko zdawało się stawać na głowie, jakby człowiek zaglądał w studnię i widział na jej dnie gwiazdy na firmamencie, choć nad sobą miał glebę i drzewa rosnące gałęziami do dołu. Można było odnieść wrażenie, że objął całą kulę ziemską i przekręcił ją gwałtownie, a przynajmniej tę jej część, z którą związane było moje życie.

Czasami wpada do mnie Bubba albo Richie, Devin lub Oscar. Posiedzą przez jakiś czas, pogadają o meczach NFL, rozgrywkach pucharowych ligi uczelnianej albo najnowszych filmach wyświetlanych w mieście. Nie rozmawiamy jednak na temat wydarzeń z jesieni ani o Grace czy Mae. Nie rozmawiamy też o Angie. I nawet jednym słowem nie wspominamy o nim. Wyrządził tyle zła, że po prostu nie ma o czym mówić.

Istotą rzeczy jest cierpienie.

Prześladują mnie te słowa, które napisał na dużej kartce papieru maszynowego. Odbieram je tak, jakby były wykute w kamieniu.

1

Siedzieliśmy z Angie w naszym biurze w starej dzwonnicy i próbowaliśmy naprawić klimatyzator, kiedy zadzwonił Eric Gault. Tu, w Nowej Anglii, w połowie października bardziej od zepsutego klimatyzatora powinien martwić niedziałający piecyk elektryczny. Ale nie był to normalny październik. O drugiej po południu temperatura przekraczała dwadzieścia pięć stopni, a przez szeroko otwarte okno do środka wpadało suche powietrze przesycone zapachem letniego skwaru.

- Może powinniśmy wezwać fachowca? - podsunęła Angie.

Lekko walnąłem kantem dłoni wiszące pod oknem urządzenie i pstryknąłem włącznikiem. Nadal nie działało.

- Mogę się założyć, że pękł pasek klinowy - powiedziałem.

- Zawsze mówisz to samo, gdy zepsuje ci się samochód.

- Owszem.

Przez dobre dwadzieścia sekund mierzyłem klimatyzator ostrym spojrzeniem, ale nie ruszył.

- Spróbuj na niego pokląć - rzuciła Angie. - Może to coś da.

Obejrzałem się na nią, ale spotkała mnie podobna reakcja, jak ze strony klimatyzatora. Przyszło mi do głowy, że powinienem popracować nad swoim spojrzeniem.

Kiedy zadzwonił telefon, chwyciłem słuchawkę w nadziei, że rozmówca będzie miał jakieś pojęcie o urządzeniach mechanicznych, ale okazało się, że to Eric Gault.

Wykładał kryminologię na Uniwersytecie Bryce'a. Poznaliśmy się, gdy pracował jeszcze na uczelni stanowej, gdzie chodziłem na jego wykłady.

- Znasz się na naprawie klimatyzatorów?
 - Próbowałeś go wyłączyć i włączyć z powrotem?
 - Jasne.
 - I nic?
 - Nic.
 - To może grzmotnij go pięścią.
 - Już to zrobiłem.
 - W takim razie zadzwoń po fachowca.
 - Dzięki. Bardzo mi pomogłeś.
 - Nadal masz biuro w tej starej dzwonnicy, Patricku?
 - Tak. Dlaczego pytasz?
 - Bo mam dla ciebie potencjalną klientkę.
 - I co?
 - Chciałbym, żeby skorzystała z twoich usług.
 - Świetnie. Przyrowadź ją.
 - Do dzwonnicy?
 - Pewnie.
 - Przecież powiedziałem, że chciałbym, aby skorzystała z twoich usług.
- Rozejrzałem się po ciasnym gabinecie.
- To miała być aluzja?
 - Mógłbyś wpaść do Lewis Wharf, powiedzmy, jutro o dziewiątej rano?
 - Chyba tak. Jak się nazywa twoja znajoma?
 - Diandra Warren.
 - A o co chodzi?
 - Wolałbym, żeby sama ci powiedziała.
 - W porządku.
 - W takim razie do jutra.
 - Do zobaczenia.
- Chciałem już odłożyć słuchawkę, gdy rzucił głośno:
- Patrick?
 - Słucham.
 - Masz młodszą siostrę o imieniu Moira?

- Nie. Mam starszą siostrę o imieniu Erin.
- Aha.
- Czemu pytasz?
- Nieważne. Pogadamy jutro.
- Na razie.

Odłożyłem słuchawkę, popatrzyłem na klimatyzator, potem na Angie i znów na klimatyzator, po czym znowu podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem po technika.

Diandra Warren mieszkała w pięciopiętrowym bloku na osiedlu Lewis Wharf. Z jej okna rozciągał się panoramiczny widok na port, było to bowiem olbrzymie okno, ciągnące się przez cały wschodni szczyt budynku, toteż mieszkanie tonęło w ciepłym blasku poranka, a kobieta wyglądała w nim na osobę, której przez całe życie absolutnie niczego nie brakowało.

Włosy koloru brzoskwiowego, przystrzyżone na pazia, nad czołem układały się w gruby kosmyk łukiem opadający w bok. Ciemna jedwabna bluzka i jasne dżinsy wyglądały tak, jakby pierwszy raz miała je na sobie. Delikatnie uwypuklone kości policzkowe okrywała skóra idealnie gładka, o tak nieskazitelnej złotawej cerze, że przypominała wodę w kryształowym kielichu.

Kiedy otworzyła drzwi, odezwała się miękko i bardzo cicho, niemal szeptem, znamionującym wielką pewność siebie i nakłaniającym słuchacza do pochylenia się w jej stronę:

- Panie Kenzie, panno Gennaro, bardzo mi miło. Proszę wejść.

Mieszkanie było urządzone bardzo gustownie. Obite kremową skórą kanapa i fotele w saloniku doskonale harmonizowały z jasnym skandynawskim drewnem mebli kuchennych oraz stonowanymi czerwieniami i brązami perskich i indiańskich dywanów rozmieszczonych strategicznie na podłodze z desek. Dobór kolorystyki nadawał mieszkaniu nadzwyczaj przytulny charakter, lecz niemal spartańskie urządzenie nasuwało wniosek, że jego właścicielka nie należy do ludzi, których stać na zbędny gest czy choćby odrobinę sentymentalizmu związaną z najdrobniejszym nieporządkiem.

Pod długim oknem przy surowej ścianie z cegieł stało żelazne łóżko z mosiężnymi wykończeniami, orzechowa komódka, trójsegmentowy brzozy regał i duże biurko w stylu Gubernatora Winthrop. Nigdzie nie dostrzegłem szafy ani rozwieszonych luzem ubrań, co nasunęło mi myśl, że gospodyni każdego ranka świeże ubrania bierze

po prostu z powietrza, gdzie już czekają, wyprane i wyprasowane, na jej wyjście spod prysznic.

Wprowadziła nas do saloniku i gdy rozsieliliśmy się w głębokich fotelach, zajęła miejsce na kanapie. Rozdzielał nas mały stolik z blatem z przydymionego szkła, na którym obok wielkiej kryształowej popielniczki i wiekowej zapalniczki leżała duża szara koperta.

Diandra uśmiechnęła się do nas. Równocześnie odpowiedzieliśmy w taki sam sposób. W tym biznesie trzeba się nauczyć szybko improwizować.

Mimo przyjaznego uśmiechu oczy miała wyraźnie rozszerzone jakby ze zdumienia. Być może czekała, aż pokażemy swoje listy uwierzytelniające, wyłożymy broń na stół albo zacniemy opowiadać, ilu to łajdaków przyskrzyniliśmy od wschodu słońca.

Angie szybko spoważniała, ja jednak uśmiechałem się jeszcze przez parę sekund, chcąc zrobić wrażenie świetnie prosperującego prywatnego detektywa, który potrafi zaspokoić wymagania każdego klienta. Patrick „Raptus” Kenzie. Do usług.

- Sama nie wiem, od czego zacząć - odezwała się w końcu Diandra.

Angie zareagowała błyskawicznie:

- Eric powiedział, że możemy pani pomóc w kłopotach, w jakich się pani znalazła.

Kobieta skinęła głową i na chwilę źrenice orzechowych oczu rozszerzyły się wyraźnie, jakby próbowała dostrzec coś, co jej umknęło. Lekko wyduła wargi i w zakłopotaniu popatrzyła na swoje smukłe dłonie. Zaczęła już podnosić głowę, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Eric. Długie szpakowate włosy miał zebrane z tyłu w kucyk i mimo znacznej łysiny wyglądał na młodszego o dekadę, wiedziałem jednak dobrze, że ma czterdzieści sześć albo czterdzieści siedem lat. Był ubrany w jasne spodnie, dzinsową koszulę i popielatą wiatrówkę zapiętą tylko na najniższy guzik. Wyglądał w niej trochę dziwnie, jakby krawiec, u którego szył ją na miarę, nie wziął pod uwagę, że będzie pod nią nosił rewolwer w kaburze przy pasie.

- Cześć, Ericu.

Wstałem i wyciągnąłem rękę na powitanie. Uścisnął mi dłoń.

- Witaj, Patricku. Cieszę się, że przyjechaliście.

- Cześć. - Angie także wyciągnęła do niego rękę.

Kiedy pochylił się lekko w jej stronę, kurtka podsunęła się do góry, odsłaniając broń. Na chwilę zamknął oczy i zaczerwienił się wyraźnie.

- Byłoby chyba o wiele lepiej, gdybyś położył rewolwer na stoliku do czasu

zakończenia naszej rozmowy - powiedziała Angie.

- Czuję się jak idiota - mruknął, siląc się na uśmiech.

- Proszę, połóż broń na stole - dodała Diandra.

Z ociąganiem sięgnął do pasa, jakby się bał, że go ugryzie. Odpiął go i położył kaburę z rugerem kalibru 9,65 milimetra na szarej kopercie.

Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem, jako że rewolwer pasował do niego jak kawior do hot doga.

Usiadł obok gospodyni.

- Ostatnio żyjemy w trochę nerwowej atmosferze - powiedział.

- Dlaczego?

Diandra westchnęła.

- Jestem psychiatrą, panie Kenzie, panno Gennaro. Dwa razy w tygodniu mam zajęcia na Uniwersytecie Bryce'a, poza tym prowadzę sesje psychoanalityczne dla pracowników i studentów w uzupełnieniu prywatnej praktyki na mieście. A w tym zawodzie można się spodziewać wielu rzeczy, groźnych klientów, pacjentów z różnymi zaburzeniami psychotycznymi, z którymi przebywa się sam na sam w małym gabinecie, paranoików i schizofreników znających mój domowy adres. Trzeba się nauczyć żyć w ciągłym strachu, ze świadomością, że któregoś dnia najgorsze obawy mogą się spełnić. Ale to... - popatrzyła z lękiem na szarą kopertę leżącą pośrodku stolika - ...coś takiego...

- Proszę nam opowiedzieć, jak to się zaczęło - wtrąciłem.

Odchyliła się na oparcie kanapy i na krótko zamknęła oczy. Eric delikatnie położył jej rękę na ramieniu, ale pokręciła głową, wciąż nie otwierając oczu, cofnął więc dłoń i położył ją na swoim kolanie, po czym spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby nie mógł się nadziwić, skąd się tam wzięła.

- Któregoś ranka na uniwersytecie przysłała do mnie studentka. W każdym razie przedstawiła się jako studentka.

- Ma pani jakieś podstawy, aby sądzić, że nią nie była? - zapytała Angie.

- Wtedy jeszcze nie miałam. Pokazała legitymację studencką. - Diandra otworzyła w końcu oczy. - Ale gdy później sprawdziłam w dziekanacie, okazało się, że nie ma jej na liście słuchaczy.

- Jak się przedstawiła? - wtrąciłem.

- Jako Moira Kenzie.

Spojrzałem na Angie, która w zdumieniu zmarszczyła brwi.

- Chyba sam pan rozumie, panie Kenzie, że gdy tylko usłyszałam od Erica pańskie nazwisko, chętnie zgodziłam się na spotkanie w nadziei, że jest pan jakoś spokrewniony z tą dziewczyną.

Zamyśliłem się. Ostatecznie Kenzie to niezbyt rozpowszechnione nazwisko. Nawet w ojczystej Irlandii jest tylko parę rodzin mieszkających w okolicy Dublina i kilka dalszych rozproszonych gdzieś na pograniczu Ulsteru. Wziąwszy pod uwagę okrucieństwo i przemoc, jakie zawładnęły umysłami mojego ojca i jego braci, moim zdaniem wcale nie było tak źle, że nasz ród wyraźnie zmierzał ku wygaśnięciu.

- Powiedziała pani, że ta Moira Kenzie wyglądała na studentkę?

- Owszem.

- Ile mogła mieć lat?

- Dziewiętnaście, może dwadzieścia.

Pokręciłem głową.

- W takim razie na pewno jej nie znam, doktor Warren. Jedyna Moira Kenzie w mojej rodzinie to dalsza kuzynka mego zmarłego ojca. Jest po sześćdziesiątce i od dwudziestu lat nie rusza się na krok z Vancouveru.

Diandra ze smutkiem pokiwała głową, a jej oczy jak gdyby zasły mgłą.

- Cóż, w takim razie...

- Co się stało podczas tego spotkania na uniwersytecie? - przerwałem jej.

Lekko wyduła wargi, zerknęła na Erica, po czym uniosła wzrok na wielki i ciężki wentylator zamocowany pod sufitem. Wzięła głębszy oddech, widocznie próbując podjąć decyzję, czy może nam zaufać.

- Powiedziała, że jest dziewczyną niejakiego Hurlihy'ego.

- Kevina Hurlihy'ego? - zapytała Angie.

Gospodyni pobladła nagle jak skorupka jajka we wrzątku. Wolno skinęła głową.

Angie spojrzała na mnie i znowu zmarszczyła brwi.

- Znać go? - zainteresował się Eric.

- Niestety, mieliśmy okazję go poznać - odparłem.

Kevin wychowywał się razem z nami. Wygląda dość dziwnie, jest wysoki, chudy i tykowaty, z biodrami odstającymi niczym gałki poręczy schodów i zmierzwionymi rzadkimi włosami, które nasuwają myśl, że modeluje sobie fryzurę, wkładając głowę do sedesu i spuszczać wodę. Kiedy miał dwanaście lat, przeszedł operację usunięcia nowotworu z krtani i choć przebiegła ona pomyślnie, został mu po niej piskliwy i łamiący się głos przypominający histeryczne okrzyki rozwścieczonej

nastolatki. Nosi okulary ze szklami grubości denka od butelki, przez które jego oczy sprawiają wrażenie żabiego wytrzeszczu, a do tego ubiera się w stylu akordeonisty z folklorystycznego zespołu ludowego. Jest prawą ręką Jacka Rouse'a, ten zaś kieruje w naszym mieście irlandzką mafią. Dlatego jeśli nawet Kevin wygląda zabawnie i próbuje taki być, w gruncie rzeczy zabawny nigdy nie bywa.

- I co się stało? - zapytała Angie.

Diandra jeszcze wyżej zadarła głowę, aż napięta skóra na jej szyi zadrgała.

- Moira powiedziała, że Kevin ją przeraża. Twierdziła, że ostatnio ciągle za nią łązi, zmusza ją, by się przyglądała, jak uprawia seks z innymi kobietami i chodziła do łóżka z jego znajomymi, wdaje się w bójkę z każdym, kto choćby spojrzy na nią podejrzliwie, no i... - Urwała i przełknęła ślinę, a Eric lekko zacisnął palce na jej dłoni.

- Powiedziała też, że wdawa się w romans z innym mężczyzną, a gdy Kevin się o tym dowiedział... zabił go i zakopał gdzieś w Somerville. Błagała, żebym jej pomogła...

- Kto się z panią skontaktował? - wtrąciłem.

Nerwowo potarła palcami policzek pod lewym okiem, wyjęła z paczki długiego papierosa z białym ustnikiem i przypaliła go masywną staroświecką zapalniczką. Była wyraźnie przestraszona, choć zdradzało to jedynie lekkie drżenie jej dłoni.

- Kevin - odparła, cedząc przez zęby to imię, jakby paliło ją w język. - Zadzwoił o czwartej nad ranem. Chyba rozumie pan, jak się czułam, gdy dzwonek telefonu zerwał mnie z łóżka o takiej porze?

Zdezorientowana, zaskoczona, samotna i przerażona. W końcu dokładnie o to chodzi ludziom pokroju Kevina Hurlihy'ego.

- Wygadywał straszne rzeczy. Między innymi powiedział, cytuję: „Jak się czujesz, rozpoczynając swój ostatni tydzień na tym świecie, ty bezużyteczna zdiro?”.

To też było w stylu Kevina. Zawsze trzymał klasę.

Diandra z sykiem wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Kiedy odebrała pani ten telefon?

- Trzy tygodnie temu.

- Trzy tygodnie? - zdziwiła się Angie.

- Zgadza się. Próbowałam go zignorować, zadzwoniłam nawet na policję, ale dowiedziałam się, że nie są w stanie nic zrobić, dopóki nie zyskam dowodu, że to właśnie Hurlihy dzwonił do mnie po nocy. - Przeciągnęła dłonią po włosach, przygarbiła się nieco i spojrzała na nas ze strachem w oczach.

- Czy w trakcie rozmowy z policją wspomniała pani o tym zabitym mężczyźnie

zakopany w Somerville? - zapytałem.

- Nie.

- To dobrze - wtrąciła Angie.

- Z jakiego powodu czekała pani tak długo, zamiast od razu szukać czyjejs pomocy?

Pochyliła się, zsunęła rewolwer Erica z szarej koperty i podała ją Angie, która zajrzała do środka i wyjęła czarno-białą fotografię. Popatrzyła na nią i po chwili wyciągnęła ją w moim kierunku.

Chłopak na zdjęciu miał koło dwudziestki - przystojny, z długimi ciemnoblon włosami i dwudniowym zarostem na twarzy. Ubrany w dżinsy ponadpruwane na kolanach, T-shirt, rozpiętą flanelową koszulę i czarną skórzaną kurtkę, a więc nieoficjalny uniform braci studenckiej. Pod pachą trzymał duży notatnik i szedł chodnikiem wzdłuż ceglanego muru. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest fotografowany.

- To mój syn, Jason - wyjaśniła Diandra. - Jest studentem drugiego roku na Uniwersytecie Bryce'a. Widoczny na zdjęciu mur to ściana biblioteki uniwersyteckiej. To zdjęcie przyszło wczoraj pocztą.

- Nic więcej nie było w kopercie?

Pokręciła głową.

- Nazwisko i adres na kopercie zostały napisane na maszynie - dodał Eric.

- Przedwczoraj, kiedy Jason przyjechał do domu na weekend - ciągnęła gospodyni - słyszałam, jak w rozmowie telefonicznej z przyjacielem mówił, że nie może się uwolnić od wrażenia, iż ktoś go prześladowuje. Prześladowuje. Użył dokładnie tego słowa. - Kiedy trzymanym w dłoni papierosem machnęła w kierunku zdjęcia, zauważyłem, że ręce trzęsą jej się coraz bardziej. - A następnego dnia wyjęłam ze skrzynki ten list.

Jeszcze raz spojrzałem na fotografię. Było to typowe mafijne ostrzeżenie - „Jeśli ci się zdaje, że znasz nasze sekrety, to miej świadomość, że my wiemy o tobie dużo więcej”.

- Od tamtego spotkania na uczelni nie widziałam więcej Moiry Kenzie. Nie figuruje w spisie studentów, a pod numerem telefonu, który mi podała, odpowiada jakaś chińska restauracja. Nie znalazłam jej również w książce telefonicznej. Ale przecież rozmawiałam z nią. A teraz jeszcze to... Nie mam pojęcia, z jakiego powodu... Na miłość boską...

Klepnęła się obiema dłońmi po udach i znowu zamknęła oczy. Kiedy je po chwili

otworzyła, na dobre zniknęły z nich resztki pewności siebie, o którą przez ostatnie trzy tygodnie i tak zapewne było jej bardzo trudno. Sprawiała wrażenie śmiertelnie przerażonej, jakby nagle zdała sobie sprawę z kruchości murów, jakimi na co dzień próbujemy odgradzać się od wszelkich zagrożeń.

Spojrzałem na Erica, który znów zaciskał lekko palce na dłoni Diandry. Miałem nadzieję, że zrozumie, co ich naprawdę łączy. Nigdy nie słyszałem, by umawiał się z kobietami, toteż podświadomie zakładałem, że jest gejem. Ponadto znaliśmy się od dziesięciu lat i ani razu nie wspomniał ani słowem, że ma syna.

- Kim jest ojciec Jasona? - zapytałem.

- Słucham? Co to ma do rzeczy?

- W wypadkach, gdy dzieciom zagraża niebezpieczeństwo - wyjaśniła Angie - musimy również brać pod uwagę kwestie sporów co do rodzicielskich praw opieki nad nim.

Oboje równocześnie pokręcili głowami.

- Diandra rozwiodła się prawie dwadzieścia lat temu - odparł Eric. - Jej stosunki z byłym mężem są poprawne, on jednak nie utrzymuje kontaktu z Jasonem.

- I tak chciałbym znać jego nazwisko.

- Stanley Timpson - rzuciła gospodyni.

- Ten Stan Timpson? Prokurator okręgowy hrabstwa Suffolk?

Przytaknęła ruchem głowy.

- Doktor Warren - zaczęła ostrożnie Angie. - Skoro pani były mąż jest najbardziej prominentnym reprezentantem wymiaru sprawiedliwości w tej części stanu, musimy założyć, że...

- To niemożliwe - przerwała jej Diandra, kręcąc głową. - Mało kto w ogóle wie, że kiedyś byliśmy małżeństwem. Ożenił się po raz drugi, ma trójkę dzieci i utrzymuje naprawdę minimalne kontakty ze mną i Jasonem. Proszę mi wierzyć, ta sprawa nie może mieć nic wspólnego ze Stanem.

Spojrzałem na Erica.

- Mogę to tylko potwierdzić - odezwał się. - Jason pozostał przy nazwisku panińskim matki. Kontakty ojca z nim ograniczają się do telefonicznych życzeń w dniu urodzin i świątecznej kartki na Boże Narodzenie.

- Zgodzą się państwo mi pomóc? - zapytała doktor Warren.

Angie i ja wymieniliśmy szybkie spojrzenia. Oboje byliśmy zdania, że nawet posiadanie tego samego kodu pocztowego co Kevin Hurlihy i jego szef, Jack Rouse,

wpływa niekorzystnie na zdrowie. Teraz zaś proszono nas, byśmy odważyli się usiąść z tamtymi dwoma przy jednym stoliku w restauracji i zażądali od nich, aby przestali nękać naszą klientkę. Bomba. Gdybyśmy wzięli sprawę Diandry Warren, ani chybi okazałoby się to dla nas najbardziej samobójczą decyzją ze wszystkich podjętych wspólnie do tej pory.

Angie, najwyraźniej czytając w moich myślach, zapytała cicho:

- I co z tego? Czyżbyś miał nadzieję żyć wiecznie?

2

Kiedy wyszliśmy z Lewis Wharf i ruszyliśmy Commercial Avenue w stronę centrum, schizofreniczna jesień Nowej Anglii znów dała o sobie znać, gdyż paskudny poranek zmienił się we wspaniałe popołudnie. Gdy obudziłem się rano, wiał tak silny mroźny wiatr, że miałem wrażenie, jakby ktoś specjalnie dmuchał nim przez wszystkie szczeliny wokół moich okien. Jednostajna ołowiana powłoka nieba przypominała wyprawioną skórę na osłonach baseballistów, ludzie chodzili nisko pochyleni, ubrani w grube kurtki i wełniane swetry, a przy każdym oddechu z ich ust wydobywały się gęste obłoczki pary.

Zanim wyszedłem z mieszkania, temperatura zdążyła wzrosnąć prawie do dziesięciu stopni, a w zbitych chmurach pojawiły się spękania, zza których wyglądało słońce podobne do pomarańczy uwięzionej tuż pod powierzchnią skutego lodem stawu.

Idąc do mieszkania Diandry Warren w Lewis Wharf, musiałem zdjąć marynarkę, bo słońce ostatecznie zdołało rozpędzić chmury, teraz zaś, gdy wsiadaliśmy do samochodu zaparkowanego na skraju osiedla, temperatura dochodziła do dwudziestu stopni.

Kiedy minęliśmy szczyt wzgórza Copp's Hill, owionął nas ciepły wiatr wiejący od strony portu, na tyle silny, że miotał gałęziami drzew porastających zbocze i strącał z nich ostatnie czerwone liście, unosił je ponad brukowanymi alejkami parku i osadzał w trawie. Po prawej otworzył się przed nami wspaniały widok na doki i nabrzeża

skąpane w promieniach słońca, natomiast po lewej na zabudowania North End, bloki z białej cegły o wyłożonych kafelkami korytarzach biegnących arkadami, zawsze wypełnionych smakowitymi zapachami duszonego mięsa, czosnku i świeżego chleba.

- W takie piękne dni po prostu nie da się nienawidzić tego miasta - powiedziała Angie.

- To rzeczywiście niemożliwe.

Pospiesznie zgarnęła dłonią włosy do tyłu, zebrała je w prowizoryczny gruby kucyk i przekręciła głowę, wystawiając twarz do słońca wpadającego przez otwarte okno. W takich chwilach, gdy zamykała oczy, a na jej wargach błąkał się lekki uśmiezek, niemal gotów byłem uwierzyć, że jest całkiem zdrową atrakcyjną młodą kobietą.

Dobrze jednak znałem prawdę. Po odejściu od męża - po tym, jak zostawiła Phila leżącego na werandzie i rzygającego krwią, odpłaciwszy mu z nawiązką za lata brutalnego katowania - przeżyła całą zimę w mgłę odrętwienia, w ogóle niezdolna do skupienia na niczym uwagi, w niezwykłym rytuale błyskawicznego zaliczania kolejnych facetów, rzucając jednego po drugim bez słowa wyjaśnienia, gdy tylko znalazła sobie następnego.

Nigdy nie byłem wzorem cnót moralnych, toteż bałem się choćby zwrócić jej uwagę, by nie wzięta mnie za hipokrytę, ale wczesną wiosną wreszcie oprzytomniała. Przestała kolekcjonować męskie okazy i zaczęła się znów w pełni angażować w naszą pracę, nawet posprzątała trochę swoje mieszkanie, co w jej wypadku oznaczało zmycie brudnych naczyń i zakup szczotki do zamiatania. Ale mimo wszystko nie była już taka, jak kiedyś, jakby coś w niej pękło.

Stała się bardziej milcząca, mniej zadziorna. Nabrała zwyczaju dzwonienia czy też wpadania do mnie o najróżniejszych porach dnia i nocy, by podzielić się najświeższymi uwagami na temat prowadzonej przez nas sprawy. Powtarzała często, że od wielu miesięcy nie widziała się z Philem, ale z jakichś całkiem niewyjaśnionych dla mnie powodów nie potrafiłem w to uwierzyć.

Na to wszystko nakładał się fakt, że dopiero po raz drugi od początku naszej wieloletniej znajomości nie mogłem jej poświęcić tyle czasu, ile by sobie życzyła. Od lipca, czyli od chwili, gdy poznałem Grace Cole, ilekroć tylko mogliśmy być razem, spędzałem z nią dni i noce, a niekiedy całe weekendy. Zdarzało się też, że brałem na siebie obowiązki niańki do dziecka Grace, Mae, dlatego często bywałem poza zasięgiem współpracownicy, pomijając absolutnie wyjątkowe przypadki. Do takiej sytuacji

żadne z nas nie było przygotowane, Angie wcześniej mawiała nawet, że prędzej zobaczy się czarnego aktora w filmie Woody'ego Allena niż mnie zaangażowanego w jakiś poważny związek.

Dostrzegła, że przyglądam się jej w blasku słońca, gdyż nagle otworzyła oczy, popatrzyła na mnie, uśmiechnęła się nieco szerzej i zapytała:

- Czyżbyś znów się o mnie martwił, Kenzie?

Jakby umiała czytać w moich myślach.

- Tylko sprawdzam, czy wszystko w porządku, Gennaro. Z czysto seksistowskiego zainteresowania. Nic więcej.

- Za dobrze cię znam. - Odchyliła się trochę w stronę okna. - Lubisz grać rolę starszego brata.

- I co z tego?

- A to - mruknęła, przeciągając palcami po moim policzku - że chyba najwyższa pora, abyś przestał.

Odsunąłem jej kosmyk włosów z czoła, nim na skrzyżowaniu zapaliło się zielone światło.

- Nie licz na to - odparłem.

Krótko zabawiliśmy w jej domu, tylko tyle, by zdążyła się przebrać w stare džinsy z obciętymi nogawkami, ja zaś wyjąć dwie butelki rolling rock z jej lodówki. Potem zasiedliśmy na werandzie na tyłach, by wśród szelestu i łopotania poruszanych wiatrem, silnie nakrochmalonych koszul rozwieszonych w ogródku sąsiada nacieszyć się wspaniałą pogodą.

Osunęła się nieco na foteliku, daleko wyciągając przed siebie nogi, i zauważyła:

- Tak więc niespodziewanie mamy poważną sprawę.

- Zgadza się - odrzekłem, nie mogąc oderwać wzroku od jej zgrabnych oliwkowych nóg wyłaniających się z postrzępionych nogawek wytartych szortów. Może faktycznie mało jest naprawdę dobrych rzeczy na tym świecie, ale pokażcie mi faceta, który powie choć jedno złe słowo na temat obcinania nogawek starych džinsów, a nazwę go wariatem.

- Masz pomysł, jak się do niej zabrać? - spytała, po czym dorzuciła szybko: - Przestań się gapić na moje uda, zboczeńcu. Na dobrą sprawę jesteś prawie żonaty.

Wzruszyłem ramionami, rozsiadłem się wygodniej i wbiłem wzrok w błękit nieba.

- Nie bardzo. Wiesz, co mnie wkurza?

- Pomijając elektroniczne pozytywki, reklamy w telewizji i ludzi mówiących z akcentem New Jersey?

- Chodzi mi o tę sprawę.

- Zamieniam się w słuch.

- Czemu ta dziewczyna przedstawiła się jako Moira Kenzie? Śmiało możemy zakładać, że to fikcyjne nazwisko. Tylko dlaczego moje?

- Istnieje coś takiego jak zbieg okoliczności. Może o nim słyszałeś. Zachodzi wtedy, gdy...

- W porządku. Ale to nie wszystko.

- Co jeszcze?

- Jesteś skłonna zaliczyć Kevina Hurlihy'ego do facetów, którzy mają dziewczynę?

- Prawdę mówiąc, nie. Ale w końcu minęło sporo lat od czasu, kiedy oboje go dobrze znaliśmy.

- A jednak...

- Kto wie? Spotkałam już wiele stukniętych wrednych typków z pięknymi kobietami u boku i vice versa.

- Kevin nie jest tylko stuknięty i wredny. To sadysta.

- Podobnie jak większość zawodowych bokserów. A przecież zawsze widuje się ich w towarzystwie kobiet.

Znowu wzruszyłem ramionami.

- Może i tak. Dobra. Więc jak się zabierzemy do Kevina?

- I Jacka Rouse'a - dodała.

- Niebezpieczna para.

- Nawet bardzo.

- Kto się na co dzień otacza takimi groźnymi typkami?

- Na pewno nie my.

- Racja. Jesteśmy tylko pierdzistołkami.

- W dodatku dumnymi z tego powodu - odrzekła. - A to oznacza... - Obejrzała się nagle i zmierzyła mnie surowym wzrokiem, mrużąc oczy od słońca. - Chyba nie chcesz...

- Owszem, chcę.

- Och, nie...

- Musimy odwiedzić Bubbę.

- Naprawdę musimy? Razem?

Westchnąłem ciężko, także niezbyt uszczęśliwiony tą perspektywą.

- Naprawdę.

- Szlag by to trafił - mruknęła Angie.

3

- W lewo! - rzucił Bubba. A po chwili: - Teraz jakieś dwadzieścia centymetrów w prawo. Dobrze. To już prawie koniec.

Posuwał się tyłem kilka kroków przed nami, trzymając wyciągnięte ręce na wysokości piersi i dając nimi znaki, jakby pomagał manewrować kierowcy ciężarówki.

- W porządku. Teraz przesun lewą stopę około osiemnastu centymetrów w lewo. O, właśnie tak.

Odwiedziny w starym magazynie, w którym mieszka Bubba, są jak zabawa w ciuciubabkę na krawędzi wysokiego urwiska. Dobre dziesięć metrów podłogi od wejścia na pierwszym piętrze jest zabezpieczone tyłoma ładunkami wybuchowymi, że można by nimi zrównać z ziemią całe wschodnie wybrzeże, toteż chcąc wejść głębiej, trzeba ściśle wykonywać jego instrukcje, jeśli nie chce się do końca życia oddychać za pomocą respiratora. Oboje z Angie już wielokrotnie przechodziliśmy ten proces, a mimo to nie ufałem swojej pamięci na tyle, by pokonać ten krótki dystans bez wydatnej pomocy gospodarza. W tym wypadku wolałem być przesadnie ostrożny.

- Patricku! - odezwał się groźniej, mierząc surowym spojrzeniem moją stopę zawieszoną dwa centymetry nad podłogą. - Powiedziałem piętnaście centymetrów w prawo, a nie dziesięć.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza i posłusznie przesunąłem nogę jeszcze dalej.

Uśmiechnął się i pokiwał głową.

Postawiłem ją na deskach. Nie doszło do eksplozji. Odetchnąłem z ulgą.

Za moimi plecami Angie zapytała podejrzliwie:

- Bubba, dlaczego nie założysz sobie normalnego systemu alarmowego?

Zmarszczył brwi.

- Przecież to jest mój system alarmowy.

- To nie system, tylko pole minowe.

- Nazwij to jak chcesz - mruknął. - Teraz dziesięć centymetrów w lewo, Patricku.

Angie z sykiem wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby.

- I już jesteś bezpieczny - rzekł Bubba, gdy stanąłem pewnie na podłodze jakieś trzy metry przed nim. Spod przymrużonych powiek zerknął ponad moim ramieniem i burknął: - Czemu jesteś taka wkurzona, Ange?

Stała właśnie na jednej nodze, drugą trzymając jak bocian, uniesioną i zgiętą pod kątem prostym. Musiałem w duchu przyznać, że chyba nie widziałem jeszcze tak wdzięcznie odgrywanego bociana.

- Ostrzegam, Rogowski, że jak tylko podejdziesz do ciebie, zastrzelę cię jak psa.

- Oho - mruknął Bubba. - Jak moja mama była wściekła, też zwracała się do mnie po nazwisku.

- Przecież nawet nie znałeś własnej matki - przypomniałem mu.

- Ale miałem z nią kontakt psychiczny - odparł, stukając się triumfalnie palcem w wydatne czoło. - Psychiczny.

Pomijając kwestię ładunków wybuchowych pod podłogą, niektóre inne jego zachowania też każą mi się poważnie o niego martwić.

Angie stanęła wreszcie na tej desce, którą chwilę wcześniej opuściłem z ulgą.

- No, teraz jesteś bezpieczna - rzekł Bubba.

Lekko trąciła go pięścią w ramię.

- Na pewno nie musimy się obawiać niczego więcej? - zapytałem. - Z sufitu nie posypią się na nas włócznie albo z oparcia krzesła nie wyskoczą ostrza noży?

- Nie, dopóki sam ich nie uaktywnię.

Podszedł do wielkiej starej lodówki zajmującej honorowe miejsce między dwiema wytartymi brązowymi kanapami, przepaścistym pomarańczowym fotelem biurowym i ogromną wieżą stereo, tak archaiczną, że wyposażoną w gramofon i ośmiościeżkowy magnetofon szpulowy. Na wprost fotela stała duża drewniana skrzynia, a kilka jej kuzynek ustawiono pod ścianą, za grubym materacem leżącym na podłodze z tyłu za kanapą. Dwie były otwarte i spomiędzy pozółkłej słomy wylaniały się czarne, błyszczące od oliwy kolby broni. Dla Bubby to był chleb powszedni.

Otworzył lodówkę i wyjął z zamrażalnika butelkę wódki. Trzy kieliszki wyciągnął z kieszeni płaszcza, którego chyba nigdy nie zdejmował, przynajmniej od końca lata do rozkwitu wiosny. Nawet nie umiałem sobie wyobrazić, jak by wyglądał bez płaszcza. Przypominał w nim Harpo Marxa, tyle że zdrowo wkurzonego, owładniętego żądzą mordy. Napełnił kieliszki wódką i rozdzielił je między nas.

- To podobno świetnie koi nerwy - rzekł i wychylił swój jednym haustem.

Poszedłem w jego ślady. Sądząc po tym, jak Angie z lubością zamknęła oczy po przełknięciu wódki, alkohol rzeczywiście natychmiast ukoił jej nerwy. Bubba nawet się nie skrzywił, on jednak chyba w ogóle nie posiadał układu nerwowego, podobnie jak, gwoli ścisłości, paru innych układów, które normalnym ludziom są niezbędne do życia.

Z wdziękiem ulokował swoje sto dziesięć kilogramów żywej wagi na kanapie i zapytał:

- Możecie wyjaśnić, dlaczego chcecie się spotkać z Jackiem Rouse'em?

Wyjaśniliśmy.

- To do niego niepodobne. Takie zagrywki z wysyłaniem pocztą zdjęcia, nawet jeśli przynoszą pożądany skutek, to jak na Jacka są zdecydowanie zbyt subtelne.

- A co powiesz o Kevinie Hurlihym? - odparła Angie.

- Jeśli takie numery są zbyt subtelne jak na Jacka, to Kevinowi tym bardziej nie mogłyby przyjść do głowy. - Pociągnął łyk wódki prosto z butelki. - Skoro już o tym mowa, wiele zwykłych rzeczy nie mieści się Kevinowi we łbie. Mam na myśli alfabet, dodawanie i odejmowanie, temu podobne głupstwa. Chyba sami powinniście to wiedzieć z czasów młodości.

- Mieliśmy nadzieję, że się zmienił.

Bubba zarechotał donośnie.

- Jeśli nawet, to raczej na gorsze.

- Więc nadal jest niebezpieczny? - zapytałem.

- Jak cholera. Bardziej niż pies właściciela złomowiska. Umie tylko gwałcić kobiety, rozkwaszać ludziom gęby i napędzać śmiertelnego strachu, nic więcej. Ale w tym jest naprawdę dobry.

Podał mi butelkę, więc napełniłem swój kieliszek.

- Zatem prywatni detektywi, którzy podjęli się sprawy przeciwko niemu i jego szefowi...

- ...muszą być niespełna rozumu - dokończył, zabierając mi butelkę.

Spojrzałem na Angie, lecz tylko pokazała mi język.

- Chcecie, żebym go zabił? - spytał Bubba, rozsiadając się wygodniej na kanapie.

Zamrugalem szybko.

- No cóż...

- Dla mnie to żaden problem - dodał i ziewnął szeroko.

Angie położyła mu dłoń na kolanie.

- Jeszcze nie teraz.

- To naprawdę nic wielkiego - mruknął, prostując się błyskawicznie. - Skonstruowałem pewien ciekawy przyrząd. Wystarczy założyć człowiekowi obręcz na głowę, o, tutaj... - Przeciągnął palcem po czole.

- Damy ci znać, jak będzie to konieczne - wtrąciłem szybko.

- Super. - Odchylił się z powrotem na oparcie, po czym spojrzał uważnie na mnie, potem na Angie. - Nie sądzę też, żeby taki świrus, jak Kevin, mógł mieć swoją dziewczynę. Moim zdaniem należy do facetów, którzy miewają dziewczyny tylko za forszę albo biorą je siłą.

- Mnie to również zaniepokoiło - wtrąciłem.

- W każdym razie na pewno nie chcielibyście spotkać się z Jackiem Rouse'em i Kevinem na osobności.

- A to dlaczego?

Energicznie pokręcił głową.

- Gdybyście poszli do nich i powiedzieli: „Odczepcie się od naszej klientki”, pewnie by was na miejscu zastrzelili. Musieliby tak zrobić. Dla nich byłoby to jedyne wyjście z sytuacji. Nie zdołaliby się opanować.

Pięknie. Człowiek, który zamiast systemu alarmowego miał pod podłogą rozmieszczone ładunki wybuchowe, tłumaczył nam, że Jack i Kevin nie potrafią się opanować, żeby nie sięgnąć po broń. W pewnym sensie była to cenna informacja, bo wiedząc, z jak groźnymi typkami będziemy mieli do czynienia, mogłem na serio wziąć pod rozwagę pomysł, by zerwać się z miejsca i pobiec z powrotem na pole minowe Bubby, żeby szybko i skutecznie uporać się z naszą nową sprawą.

- Poprosimy o pośrednictwo Grubego Freddy'ego - dodał.

- Mówisz poważnie? - zdziwiła się Angie.

Freddy Constantine był ojcem chrzestnym bostońskiej mafii, przejął władzę od znieawidzonej grupy z Providence i zajmował się wyłącznie jej umacnianiem. Jack Rouse, Kevin Hurlihy i każdy, kto próbował w tym mieście skrócić na lewo choćby

parę groszy, opowiadał się właśnie przed nim.

- To jedyny sposób - wyjaśnił Bubba. - Jeśli poprosicie o wstawiennictwo Grubego Freddy'ego i okażecie mu należny szacunek, potraktują was jak przyjaciół, których nie wolno tknąć palcem.

- Świetnie - odparłem.

- Na kiedy mam was umówić?

- Jak najszybciej - odezwała się Angie.

Skinął głową i podniósł z podłogi aparat bezprzewodowy. Wybrał numer, pociągnął jeszcze łyk wódki z butelki, po czym rzucił krótko do słuchawki:

- Lou? Powiedz staremu, że dzwoniłem. Natychmiast przerwał połączenie.

- Staremu? - zdziwiłem się. Uniósł w górę obie ręce.

- Oni wszyscy zachwycają się filmami Scorsese'a i programami o gliniarzach, sądzą więc, że właśnie tak należy mówić. Trzeba być na bieżąco. - Pochylił się i napełnił kieliszek Angie. - Jesteś już oficjalnie rozwiedziona, Gennaro?

Uśmiechnęła się i jednym haustem przełknęła wódkę.

- Jeszcze nie.

- To kiedy? - spytał, marszcząc brwi.

Angie osunęła się w fotelu i oparła stopy na skrzyni z pistoletami maszynowymi AK-47.

- Koła wymiaru sprawiedliwości, Bubbo, obracają się bardzo powoli, a rozwód to rzecz skomplikowana.

Gospodarz skrzywił się z niesmakiem.

- Skomplikowane jest szmugłowanie z Libii sowieckich pocisków samonaprowadzających ziemia-powietrze, ale nie rozwód.

Obiema dłońmi zgarnęła włosy do tyłu, zadarła głowę i zapatrzyła się na oblażące z farby rury, które biegły pod sufitem dawnej hali magazynowej.

- Jeśli się dobrze orientuję, najdłuższy związek, w jakim pozostawałeś, trwał mniej więcej tyle, ile potrzebujesz na rozprawienie się z sześciopakiem piwa, więc co ty możesz wiedzieć o rozwodach?

Bubba westchnął ciężko.

- Wiem tyle, że ludzie wkraczający na nową drogę życia zamiast spalić za sobą mosty mają brzydkie zwyczaj komplikowania najprostszych spraw. - Energicznie spuścił nogi z kanapy, łomocząc obcasami wojskowych butów o podłogę. Spojrzał na mnie i zapytał: - A co ty powiesz na ten temat, pieszczoszku?

- Ja?

- Si. Przecież też masz jakieś doświadczenia z rozwodem.

- Kaszka z mlekiem. Jakbyś zamawiał chińszczyznę na wynos. Wystarczy jeden telefon i po kłopotcie.

Bubba popatrzył z powrotem na Angie.

- Widzisz?

Lekceważąco machnęła ręką w moim kierunku.

- Nie boisz się wierzyć mu na słowo? Temu psychoanalitykowi z bożej łaski?

- Zgłaszam protest.

- Możesz sobie zgłaszać, co ci się żywnie podoba - warknęła.

Bubba uniósł wzrok do nieba.

- Nie moglibyście choć raz zdzielić się nawzajem po gębie i skończyć z tym na zawsze?

Na chwilę zapadło kłopotliwe milczenie, jak zawsze, ilekroć w rozmowie ktoś sugeruje, że łączy nas coś więcej niż tylko zażyła przyjaźń. Gospodarz uśmiechnął się szeroko, z wyraźną satysfakcją, że trafił w sedno, ale w tym momencie z opresji wybawił nas szczęśliwie dzwonek telefonu.

- Tak - rzucił do słuchawki, dając nam znać ruchem głowy. - Jak się pan miewa, panie Constantine? - Znowu uniósł wzrok do nieba, słuchając wyczerpującej odpowiedzi. - Miło mi to słyszeć. Mam do pana prośbę, panie C. Jest u mnie para przyjaciół, którzy chcieliby się z panem zobaczyć i zamienić parę słów.

Zmarszczyłem brwi i bezgłośnie powtórzyłem: „Panie C.?”, ale błyskawicznie odpowiedział wulgarnym gestem.

- Tak, proszę pana. To moi dobrzy znajomi. Co prawda cywile, lecz zetknęli się ze sprawą, która może pana zainteresować. Dotyczy Jacka i Kevina. - Gruby Freddy zaczął coś rozwlekle tłumaczyć, co Bubba na nasz użytek skwitował gestem oznaczającym masturbację. - Tak, proszę pana - rzekł w końcu. - Patrick Kenzie i Angela Gennaro. - Znowu słuchał przez chwilę, po czym uniósł brwi, spojrzał na Angie, zasłonił dłonią mikrofon i zapytał półgłosem: - Jesteś spokrewniona z rodziną Patriso?

Wyjęła z ust papierosa, którego przypalała i burknęła:

- Niestety, tak.

- Tak, proszę pana - rzekł do słuchawki. - Właśnie ta Angela Gennaro. - Puścił do niej oko i dodał: - O dziesiątej? Bardzo dziękuję, panie Constantine. - Zamilkł na

krótko i spojrzał znacząco na skrzynię, o którą Angie opierała nogi. - Słucham? Ach, tak, oczywiście. Lou już wie o wszystkim. Sześć skrzyń. Jutro w nocy... To jasne. Jak w zegarku, panie Constantine. Oczywiście. Życzę zdrowia. - Przerwał połączenie i westchnął ciężko, szybkim ruchem składając teleskopową antenę aparatu. - Zastrany makaroniarz - mruknął. - Tylko „tak, proszę pana” albo „nie, proszę pana”, „jak się miewa pańska żona?”. Już wolę załatwiać interesy z Irlandczykami, których gównem obchodzi, jak się miewają ich żony.

W ustach Bubby zabrzmiało to jak najwyższa pochwała nacji, z której się wywodzę.

- Gdzie mamy się z nim spotkać? - zapytałem.

Przez chwilę spoglądał na Angie z dziwną miną, będącą chyba wyrazem niemego podziwu.

- W jego kawiarni przy Prince Street. O dziesiątej wieczorem. Jak to możliwe, że dopiero teraz dowiaduję się o twoich koneksjach rodzinnych?

Angie niedbałym ruchem strząsnęła popiół na podłogę. Wcale nie był to przejaw braku szacunku, bo u Bubby podłoga między innymi pełniła rolę popielniczki.

- Nie mam żadnych koneksji.

- Jeśli wierzyć Freddy'emu, masz i to jakie.

- Lepiej załóż, że się pomylił. To tylko przypadkowa zbieżność paru genów, nic więcej.

Spojrzał na mnie.

- Wiedziałaś, że ona jest powiązana z syndykatem Patriso?

- Owszem.

- I co?

- Nigdy nie przywiązywała do tego żadnej wagi, więc i mnie to nie obchodziło.

- Zrozum, Bubba, że wcale nie jestem dumna ze swego pochodzenia.

Cicho gwizdnął przez zęby.

- Tyle razy oboje pakowaliście się w różne tarapaty i nigdy nie przyszło wam do głowy, żeby poprosić rodzinę o pomoc?

Angie ze złością popatrzyła na niego przez kosmyki włosów, które opadły jej na oczy.

- Wyobraź sobie, że nigdy. Ani razu.

- Dlaczego? - zapytał w osłupieniu.

- Bo wystarczy nam taki kontakt z mafią, jaki mamy za twoim pośrednictwem,

przystojniaczku.

Zaczerwienił się, co tylko Angie była w stanie sprawić, zawsze uzyskując efekt godzien każdego wysiłku. Jego obwisłe policzki jak gdyby wydymały się i nabierały koloru przejrzałych winogron, dzięki czemu przez chwilę robił wrażenie prawie całkiem niegroźnego. Prawie.

- Daj spokój - bąknął. - Zawstydzasz mnie.

Po powrocie do biura nastawiłem ekspres do kawy, żeby uwolnić się od wódczanego szumu w głowie, natomiast Angie zaczęła przesłuchiwać wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce.

Pierwsza była od ostatniego klienta, Bobo Gedmensona, właściciela sieci dyskotek „Yo-Yo” dla młodzieży oraz kilku nocnych klubów ze striptizem w Saugus i Peabody na obrzeżach Bostonu, odznaczających się nazwami w rodzaju „Ociekająca Wanilia” albo „Polewa Miodowa”. Dopiero teraz, gdy udało nam się zlokalizować byłego wspólnika i odzyskać skradzioną forszę, Bobo zaczął nagle kwestionować wysokość naszego honorarium i zgłaszać wszelkie możliwe zastrzeżenia.

- Co za ludzie - mruknąłem, kręcąc głową.

- Palant - przyznała Angie, gdy nagrana wiadomość dobiegła końca.

Zanotowałem sobie w pamięci, by od tej pory do egzekwowania należności także angażować Bubbę. W tej samej chwili rozległo się kolejne nagranie:

- Cześć. Przyszło mi do głowy, że trzeba wam życzyć szczęścia w waszej nowej sprawie, gdy będziecie się grzebać w brudach. Bo sprawa jest wręcz wymarzona, prawda? Będziemy w kontakcie. Serwus.

Spojrzałem na Angie.

- Kto to był, do cholery?

- Myślałam, że wiesz. Ja nie znam nikogo mówiącego z brytyjskim akcentem.

- Ja też nie. - Wzruszyłem ramionami. - Czyżby pomyłka?

- To skąd te życzenia szczęścia w naszej nowej sprawie? Wygląda na to, że dobrze wiedział, o czym mówi.

- Myślisz, że tylko udawał obcy akcent?

Pokiwała głową.

- Moim zdaniem to jakiś miłośnik filmów z Monthy Pythonem.

- Na pewno nie znamy nikogo, kto umie mówić z różnymi akcentami?

- Nie przypominam sobie.

Z automatycznej sekretarki popłynął głos Grace Cole. W tle słychać było jakieś wzburzone okrzyki i zwykły harmider szpitalnej izby przyjęć, w której pracowała.

- Mam właśnie dziesięciominutową przerwę na kawę, więc pomyślałam, że do ciebie zadzwonię. Muszę tu zostać co najmniej do końca nocnej zmiany, dlatego zadzwoń do mnie do domu jutro wieczorem. Tęsknię.

Rozległ się sygnał przerwane połączenia.

- Kiedy ślub? - zapytała Angie.

- Jutro. Nie wiedziałaś?

Uśmiechnęła się.

- Wpadłeś po uszy, Patricku. Chyba sam o tym wiesz, prawda?

- Niby kto tak twierdzi?

- Ja i wszyscy twoi przyjaciele. - Posmutniała nieco. - Jeszcze nigdy nie widziałam, byś na jakąś kobietę patrzył tak, jak na Grace.

- Jeśli nawet, to co z tego?

Odwróciła się i popatrzyła przez okno na ulicę.

- Nic. Po prostu ci zazdroszczę. - Kiedy odwróciła się z powrotem do mnie, próbowała się jeszcze uśmiechać, ale wypadło to bardzo kiepsko. - Obojgu wam życzę wszystkiego najlepszego.

4

Jeszcze tego samego wieczoru o dziesiątej znaleźliśmy się przy jednym stoliku z Grubym Freddym Constantine'em i dowiedzieliśmy się od niego na temat kłopotów z prostatą znacznie więcej, niż chcielibyśmy wiedzieć.

Należąca do niego kawiarenka była niewielka i znajdowała się przy bocznej uliczce, bo Prince Street, która biegnie przez North End od Commercial Avenue do Moon Street, jak większość uliczek w tym rejonie jest tak wąska, że bez trudu można nią przejechać tylko rowerem. Zanim zjawiliśmy się na miejscu, temperatura spadła do piętnastu stopni, lecz na całej długości Prince Street starsi faceci w samych bawełnianych koszulkach, co najwyżej w lekkich kamizelkach narzuconych na koszule z krótkimi rękawami, siedzieli przed sklepami i barami na krzeselkach i plastikowych fotelikach, palili cygara, grali w karty albo zaśmiewali się na cały głos z jakichś dowcipów, w sposób typowy dla ludzi, którzy niczym się nie krępują, bo nawet na ulicy czują się jak u siebie.

Bez trudu odnaleźliśmy kawiarenkę Freddiego, tonącą w półmroku norę z dwoma stolikami przed wejściem i czterema w środku, rozstawionymi ciasno na szachownicy posadzki z małych białych i czarnych kafelków. Pod sufitem obracał się leniwie olbrzymi wentylator, podmuchami powietrza unosząc kartki leżącej na kontuarze gazety, a zza ciężkiej czarnej kotary wiszącej w drzwiach prowadzących na zaplecze sączyła się stara piosenka Deana Martina z nastawionego cicho radia.

W drzwiach drogę zastąpiło nam dwóch krótko ostrzyżonych młodych osiłków o

barach niczym z rozkładówek magazynów dla kulturystów, ubranych w identyczne różowe koszulki, wycięte w serek, żeby odsłaniały ciężkie, również identyczne złote łańcuchy na szyi.

- Czyżbyście, chłopcy, zaopatrywali się hurtowo z jednego katalogu wysyłkowego?
- zażartowałem.

Temu, który mnie obszukiwał, najwyraźniej żart przypadł do gustu, bo z takim zapalem wbił mi po bokach kanty dłoni pod najniższe żebra, jakby miał nadzieję, że zdoła klasnąć. Zostawiliśmy broń w samochodzie, musieli się więc zadowolić naszymi portfelami. Niezbyt nam się to podobało, byli jednak głusi na wszelkie protesty. Chwilę później poprowadzili nas w głąb sali, do stolika, przy którym siedział Don Frederico Constantine we własnej osobie.

Wyglądał jak mors pozbawiony wąsów. Był niewiarygodnie wielki, do tego otoczony kłębamii niebieskawego dymu i ubrany w kilka warstw szczelnie pozapinanych ciemnych ubrań, toteż jego masywna, wręcz kanciasta głowa z wydatnym czołem, zwieńczająca ciemny ogrom ciała, wyglądała jak coś, co pod ciśnieniem wypłynęło spod ciasnego kołnierzyka i rozděło się na boki, w kierunku ramion. Niemniej jego błyszczące, wąskie, lekko skośne oczy sprawiały sympatyczne, ojcowskie wrażenie i nawet pasowały do szerokiego uśmiechu. A uśmiechał się niemal bez przerwy - do przechodniów na ulicy, fotoreporterów czyhających na schodach przed sądem, jak też zapewne do swoich ofiar, zanim jego ludzie poprzestrzelali im kolana.

- Siadajcie, proszę - rzekł.

Poza nami i Freddyem w kawiarni był tylko jeszcze jeden mężczyzna. Siedział jakieś sześć metrów dalej, w drugim kącie, przy stoliku do połowy ukrytym za wystającą ze ściany belką nośną. Trzymał tylko jedną rękę na blacie, a podkurczone nogi skrzyżował w kostkach. Był ubrany w jasne bawełniane spodnie, białą koszulę, szarą apaszkę i sztruksową marynarkę ze skórkowymi wyłogami. W ogóle nie patrzył w tym kierunku, ale nie dałbym sobie głowy obciąć, że nie obserwował nas ukradkiem. Nazywał się Pine. Chyba w ogóle nie używał imienia, przynajmniej ja nigdy go nie słyszałem i był żywą legendą półświatka, człowiekiem, który przeżył czterech różnych bossów oraz trzy wojny mafijnych rodzin i którego wrogowie mieli zwyczaj znikać bez śladu, do tego tak skutecznie, że wszyscy bardzo szybko zapominali o ich istnieniu. Tu, przy kawiarnianym stoliku, sprawiał wrażenie całkiem niegroźnego, przeciętnego faceta, dość przystojnego, choć o pospolitych,

niezostających w pamięci rysach, o jakichś stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu, ciemnoblonde włosach, zielonych oczach, średniej budowy ciała.

Ale tylko z tego powodu, że znaleźliśmy się razem z nim w jednym pomieszczeniu, ciarki przeszły mi po plecach.

Ledwie usiedliśmy przy stoliku, Gruby Freddy zaczął:

- Prostata.

- Słucham? - zdziwiła się Angie.

- Prostata - powtórzył Freddy, nalewając sobie do filiżanki kawy z dzbanka, który następnie przekazał Gennaro. - W waszym wieku nie macie się czym martwić, nie to, co w naszym. - Skinął mi głową, stawiając przede mną filiżankę, po czym podsunął Angie cukiernicę i słoiczek ze śmietanką. - Możecie mi wierzyć. Dotarłem na same szczyty w swojej profesji, córka została właśnie przyjęta do Harvardu i finansowo niczego mi nie brakuje. - Poprawił się na krześle, krzywiąc się przy tym boleśnie, co wyglądało, jakby dwie grube fałdy tłuszczu zsunęły się pod skórą z policzków ku brodzie, na chwilę niemal całkowicie zasłaniając usta. - Ale przysięgam, że jeszcze dziś oddałbym to wszystko za zdrową prostatę. - Westchnął ciężko. - A ty?

- Co? - spytałem zdziwiony.

- Nie narzekasz na prostatę?

- Kiedy ostatni raz sprawdzałem, wszystko było w porządku, panie Constantine.

Pochylił się w moją stronę.

- Nawet nie wiesz, jaki jesteś szczęśliwy, młody przyjacielu. Korzystaj z tego szczęścia, dopóki możesz. Bo mężczyzna z choro^u prostatą jest jak... - rozłożył ręce nad stołem - ...mężczyzna bez tajemnic, pozbawiony godności. Tymczasem lekarze... Jezu, potrafią tylko przerzucać człowieka to na plecy, to na brzuch, wpychać w niego swoje małe diabelskie narzędzia, uciskać, szturchać, macać...

- To straszne - przerwała mu Angie.

Dzięki Bogu trochę się opanował. Skinął głową i ciągnął:

- Straszne to za mało powiedziane. - Zamrugał szybko i popatrzył na nią takim wzrokiem, jakby dopiero teraz ją dostrzegł. - Ale ty, moja droga, jesteś nazbyt subtelną osóbką, żeby wysłuchiwać takiego zrzędzenia. - Chwycił jej rękę i ucałował dłoń. Ledwie się powstrzymałem, żeby nie unieść wzroku do nieba. - Miałem okazję poznać twojego dziadka, Angelo. Znamy się nawet dość dobrze.

Angie uśmiechnęła się przymilnie.

- Jest bardzo dumny z tej znajomości, panie Constantine.

- Nie omieszkałam mu nadmienić, jaką przyjemnością było dla mnie spotkanie z jego wnuczką. - Zerknął na mnie i błyski w jego oczach jakby nagle przygasły. - A ty, Kenzie, masz pilne baczenie na tę kobietę, jak mniemam i troszczysz się bezustannie, by nic złego jej nie spotkało?

- W tym zakresie „ta kobieta” potrafi doskonale zadbać sama o siebie, panie Constantine - odpowiedziała za mnie Angie.

Ale Gruby Freddy utkwiał we mnie surowe spojrzenie oczu mętniejących z sekundy na sekundę, jakby niezbyt mu było w smak to, co widzi. Wreszcie zakomunikował:

- Nasi przyjaciele dołączą do nas za minutę.

Kiedy tylko Freddy odchylił się na oparcie i sięgnął po dzbanek, żeby dolać sobie kawy, któryś z ochroniarzy przy wejściu odezwał się głośno:

- Proszę wejść, panie Rouse.

Oczy Angie wyraźnie się rozszerzyły, gdy Jack Rouse i Kevin Hurlihy wkroczyli na salę.

Rouse kontrolował Southie, Charlestown oraz teren od Savin Hill do rzeki Neponset w Dorchester. Był drobny i żyłasty, a jego oczy miały ten sam odcień, co matowoczarne krótkie włosy. Nie robił specjalnie groźnego wrażenia, lecz nie było to konieczne. Od tego miał Kevina.

Hurlihy'ego znałem od początku podstawówki, toteż doskonale wiedziałem, że wszystko, co kołacze mu się pod czaszką i krąży w żyłach, nie ma nic wspólnego z ludzkimi odruchami. Podszedł z dumnie zadartą brodą, nawet nie spojrzawszy na Pine'a, choć uważał go za swój ideał. Dla niego był to jednak niedościgniony wzór, okaz spokoju i pragmatyzmu, podczas gdy Kevin przypominał jeden obnażony kłęb nerwów z oczyma płonącymi dzikim blaskiem jak zasilane z baterii lampki, gotowym zastrzelić każdego na miejscu tylko z tego powodu, że naszedł go taki kaprys. Pine był przerażający, bo zabijanie uważał za swoją profesję, niczym się nieróżniącą od każdej innej. Natomiast Kevin budził strach dlatego, że zabijanie stało się jego hobby i gotów był mordować za darmo.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po uściśnięciu dłoni Freddy'ego i zajęciu miejsca obok mnie, było zgaszenie papierosa w mojej filizance z kawą. Potem przyglądał dłońmi gęste zmierzwiłone włosy i spojrzał na mnie wyzywającym wzrokiem.

- Jack, Kevin - zaczął Freddy - na pewno znacie pana Kenzie i pannę Gennaro, prawda?

- Jasne, to nasi starzy przyjaciele - odparł Rouse, usadawiając się obok Angie. -

Kumple z jednej ulicy, jak Kevin. - Pochylił się i strząsnął z siebie drogą granatową marynarkę, którą powiesił na oparciu krzesła. - To święta prawda, no nie, Kev?

Ale Hurlihy był zbyt zajęty świdrowaniem mnie oczkami, żeby odpowiedzieć.

- Lubię, jak od razu wyklada się karty na stół - zauważył Gruby Freddy. - Rogowski mówi, że jesteście w porządku, i chyba macie problem, w którym mógłbym wam pomóc, więc niech tak będzie. Ale skoro pochodzicie z tych samych stron co Jack, muszę go zapytać, czy chce być obecny przy tej rozmowie. Pewnie mnie rozumiecie, prawda?

Oboje przytaknęliśmy ruchem głowy.

Kevin przypalił następnego papierosa i dmuchnął mi dymem we włosy.

Freddy ułożył dłonie płasko na stole i ciągnął:

- Zatem wszyscy jesteśmy zgodni. Proszę mi więc powiedzieć, panie Kenzie, czego wam potrzeba.

- Zostaliśmy zaangażowani przez klientkę, której...

- Jak kawa, Jack? - zapytał Freddy. - Nie chcesz więcej śmietanki?

- Bardzo dobra, panie Constantine. Doskonała.

- ...której - ciągnąłem - wydaje się, że zadarła z jednym z ludzi Jacka.

- Ludzi Jacka? - powtórzył Freddy, marszcząc brwi. Zerknął na Rouse'a i popatrzył z powrotem na mnie. - Jesteśmy tylko drobnymi biznesmenami, panie Kenzie. Owszem, zatrudniamy pracowników, ale ich lojalność wobec nas kończy się na podpisywaniu listy płac. - Jeszcze raz zerknął na Jacka. - Więc o jakich ludziach mowa?

Obaj zachichotali.

Angie uniosła rękę.

Kevin ponownie dmuchnął mi dymem we włosy.

Czułem coraz silniejsze zmęczenie, poza tym trochę szumiało mi jeszcze w głowie po wódce Bubby, dlatego nie byłem w nastroju do prowadzenia słownych utarczek z gromadą zwyrodniałych psychopatów, którzy panowali nad sobą tylko z tego powodu, że znali na pamięć *Ojca Chrzestnego*. Toteż musiałem sobie przypominać, że przynajmniej Freddy jest na tyle wpływowym psychopata, by kazać podać sobie na jutrzejszy obiad moją smażoną wątrobę, jeśli tylko przyjdzie mu na to ochota.

- Panie Constantine, jeden z... bliskich współpracowników pana Rouse'a widocznie rozgniewał się na naszą klientkę, gdyż posunął się do pewnych pogróżek...

- Pogróżek? - zapytał Freddy.

- Pogrożek? - powtórzył jak echo Jack, uśmiechając się do bossa.

- Owszem, pogrożek - odezwała się Angie. - Wygląda na to, że nasza klientka miała nieszczęście rozmawiać z jedną z dziewcząt pańskiego współpracownika, podobno znającą szczegóły przestępczej działalności swojego chłopaka, obejmującej między innymi... Jak mam to nazwać? - spytała, śmiało patrząc Freddy'emu w oczy. - Gospodarką odpadami po uprzednio żywych ludzkich tkankach? Minęła dobra minuta, nim dotarł do niego sens tego określenia. Jego drobne oczka zwęziły się jeszcze bardziej, zanim odchylił masywną głowę do tyłu i ryknął gromkim śmiechem, który bez wątpienia musiał się ponieść daleko po całej Prince Street. Jack miał osłupiałą minę. Kevin wyglądał na rozwścieczonego, ale po nim trudno się było spodziewać czego innego.

- Pine! - zawołał Freddy. - Słyszałeś to?

Tamten nie zareagował, jakby nie do niego mówiono. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie oddychał. Siedział sztywno, niczym posąg, zarazem patrząc i nie patrząc w naszym kierunku.

- „Gospodarka odpadami po uprzednio żywych ludzkich tkankach” - powtórzył Freddy, z trudem łapiąc powietrze. Spojrzał na Jacka i natychmiast uświadomił sobie, że ten nie rozumiał dowcipu. - Kurwa, Jack! Ocknij się wreszcie i rusz głową, dobra?

Rouse zamrugał szybko, a Kevin pochylił się nad stolikiem. Pine ledwie zauważalnie poruszył głową, kierując wzrok na niego. Freddy zachowywał się tak, jakby niczego nie zauważył. Otarł kąciki ust lnianą serwetką i z wolna pokręcił głową, spoglądając na Angie.

- Powinnaś zobaczyć reakcję chłopców z klubu, gdy im to powtórzę. Przysięgam, że się poleją. Szkoda, że przyjechałaś nazwisko ojca, Angelo, bo z charakteru jesteś Patriso. Bez dwóch zdań.

- Patriso? - zdziwił się Jack.

- Pewnie - odparł Freddy. - Przecież to wnuczka pana Patriso. Nie wiedziałaś? Oczywiście, że nie wiedział. Ale uśmiechnął się, jakby ta wiadomość go rozbawiła.

- Daj mi papierosa, Kev.

Hurlihy pochylił się jeszcze bardziej, żeby usłużnie przypalić mu papierosa i jego ramię znalazło się zaledwie o centymetr od mojego oka.

- Panie Constantine - ciągnęła Angie. - Nasza klientka nie zamierza sporządzać listy tego, co pański współpracownik byłby gotów zaliczyć do tychże odpadów.

Freddy podniósł w górę pulchną łapę.

- A dokładnie, o kim mowa?

- Nasza klientka jest przekonana, że wywołała gniew pana Hurlihy'ego.

- Że co? - mruknął Jack.

- Proszę to wyjaśnić - syknął Freddy. - I to już. Zrobiliśmy to, przemilczając imię i nazwisko Diandry.

- Jeśli dobrze rozumiem - podsumował - jakaś cipa, którą Kevin posuwa, nagadała tej psychoanalityczce bzdur na temat jakiegoś trupa, więc on się trochę wkurzył, zadzwonił do niej i trochę poszumiał. - Pokręcił głową. - Kevin, chcesz coś powiedzieć w tej sprawie?

Hurlihy popatrzył na Jacka.

- Kevin! - powtórzył ostrzej Freddy. Ten szybko odwrócił głowę.

- Masz dziewczynę?

- Nie, panie Constantine - odparł w końcu głosem przypominającym zgrzyt samochodowego silnika, do którego ktoś wsypał garść piachu.

Freddy spojrział na Jacka i obaj krótko zachichotali. Hurlihy zrobił taką minę, jakby musiał się tłumaczyć przed księdzem, przyłapany na zakupie pism pornograficznych. Freddy popatrzył na nas.

- Mam to potraktować jak żart? - Jeszcze raz zachichotał. - Mimo całego szacunku, trudno uznać Kevina za kobieciarza, co chyba dobrze rozumiecie.

- Proszę się postawić w naszej sytuacji, panie Constantine - odparła Angie. - Przecież sami sobie tego nie wymyśliliśmy.

Pochylił się i poklepał ją po ręku.

- Nic takiego nie powiedziałem, Angela. Po prostu zostaliście wprowadzeni w błąd. Jakaś krowa twierdzi, że Kevin zasypuje ją pogroźkami z powodu swojej dziewczyny! Dajcie spokój!

- I tylko dlatego musiałem zrezygnować z partii pokera? - mruknął Rouse. - Żeby wysłuchiwać takich bredni? - Prychnął pogardliwie i zaczął się podnosić z miejsca.

- Siadaj, Jack - ofuknął go Freddy.

Ten znieruchomiał, zgięty w pół, z tyłkiem dziesięć centymetrów nad krzesłem. Freddy popatrzył na Kevina.

- Powiedziałem, siadaj, Jack.

Rouse usiadł.

Freddy uśmiechnął się do nas.

- Czy wyjaśniliśmy już wasz problem?

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki po zdjęcie Jasona Warrena. Kevin błyskawicznie sięgnął do pasa, Rouse odchylił się na oparcie, a Pine rozstawił nogi i wyprostował się czujnie. Freddy wlepił uważne spojrzenie w moją rękę. Bardzo powoli wyciągnąłem fotografię i położyłem ją przed nim na stoliku.

- Przedwczoraj nasza klientka dostała to pocztą.

Lewa krzaczasta brew Freddy'ego powędrowała ku górze.

- I co?

- Doszliśmy do wniosku, że to rodzaj ostrzeżenia, Kevin chciał dać znać naszej klientce, że zna jej słaby punkt. Teraz musimy zakładać, że się pomyliliśmy, niemniej to zdjęcie nas niepokoi.

Jack skinął głową w stronę Kevina i ten wyjął rękę spod poły marynarki.

Jeśli Freddy nawet to zauważył, nie dał po sobie niczego poznać. Wpatrując się w zdjęcie Jasona, sięgnął po filiżankę i pociągnął łyk kawy.

- Ten chłopak to syn waszej klientki?

- Przecież nie mój - burknąłem.

Boss powoli uniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Jesteś aż tak znaną osobą, dupku? - Jego do niedawna ciepłe i przyjazne oczy teraz kłuły jak szpikulce do lodu. - Nie waż się nigdy więcej odzywać do mnie tym tonem! Zrozumiano?!

W ustach mi nagle zaschło, jakbym połknął gruby wełniany sweter.

Kevin zachichotał bezgłośnie.

Nie spuszczać ze mnie wzroku, Freddy sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął oprawny w skórę notes. Otworzył go, przyrzucił parę kartek i zaczął czytać na głos:

- Patrick Kenzie. Wiek, trzydzieści trzy lata. Oboje rodzice nie żyją. Jedyny bliski krewny, Erin Margolis, lat trzydzieści sześć, mieszka w Seattle, w stanie Washington. W ubiegłym roku zarobiłeś brutto czterdzieści osiem tysięcy dolarów w ramach wynagrodzeń z prywatnej spółki prowadzonej z obecną tu panną Gennaro. Od siedmiu lat rozwiedziony. Obecne miejsce zamieszkania byłej żony nieznane. - Uśmiechnął się do mnie. - Ale pracujemy nad tym, możesz być tego pewien. - Przerzucił kartkę i wydał grube wargi. - W ubiegłym roku pod estakadą wiaduktu z zimną krwią zastrześliłeś pewnego alfonsa. - Puścił oko i poklepał mnie po rękę. - Widzisz, Kenzie? Wiemy o tobie wszystko. Przyjmij ode mnie radę: Jak jeszcze raz będziesz chciał kogoś zabić, nie zostawiaj świadków. - Zajrzał z powrotem do notesu. -

Na czym skończyłem? Aha. Ulubiony kolor: niebieski. Ulubione piwo: „Saint Pauli Girl”. Ulubione żarcie: meksykańskie. - Przerzucił następną kartkę i podniósł na nas wzrok. - Jak mi idzie?

- O rety - syknęła Angie. - Jesteśmy pod wrażeniem.

Spojrzał na nią.

- Angela Gennaro. Obecnie w separacji z mężem, Phillipem Dimassi. Ojciec nie żyje. Matka, Antonia, mieszka z drugim mężem we Flagstaff, w Arizonie. Także zamieszana w ubiegłoroczne zabójstwo alfonsa. Tymczasowo mieszka przy Howes Street, w lokalu na pierwszym piętrze, z poluzowaną zasuwką w drzwiach kuchennych. - Zamknął notatnik i popatrzył na nas z protekcyjną miną. - Skoro ja i moi przyjaciele możemy bez trudu zdobyć tego rodzaju informacje, to po jaką cholere miałibyśmy komuś wysłać pocztą zdjęcie?

Kurczowo przyciskałem prawą rękę do biodra, wbijając sobie palce w udo w nadziei, że to pomoże mi zachować spokój. Odchrząknąłem i powiedziałem:

- To rzeczywiście wydaje się mało prawdopodobne.

- Kurewska racja - mruknął Jack Rouse.

- My nie wysyłamy fotografii, panie Kenzie - dodał Freddy. - Przekazujemy wiadomości dużo bardziej bezpośrednimi sposobami.

Jack i Freddy spoglądali na nas wzrokiem zadowolonych drapieżników, natomiast Hurlihy z satysfakcją uśmiechał się od ucha do ucha.

- Naprawdę mam poluzowaną zasuwkę w drzwiach kuchennych? - zapytała Angie. Constantine wzruszył ramionami.

- Tak słyszałem.

Jack Rouse sięgnął do daszka tweedowej czapeczki, uchylił ją i lekko skłonił głowę w jej kierunku.

Uśmiechnęła się, zerknęła na mnie i popatrzyła na Freddy'ego. Trzeba było ją dobrze znać, by zrozumieć, jak bardzo jest poirytowana. Angie należy do ludzi, u których przejawem złości jest ledwie zauważalne spowolnienie ruchów. Sądząc po sztywnej postawie siedzącego posągu, mogłem ocenić, że przekroczyła granicę najwyższego wkurzenia co najmniej pięć minut temu.

- Freddy - zaczęła miękkiem tonem, od którego boss tylko zatrzepotał powiekami. - Odpowiadasz przed rodziną Imbruglia z Nowego Jorku. Zgadza się?

Constantine wytrzeszczył na nią oczy.

Pine znowu wyprostował się na swoim krześle.

- A rodzina Imbruglia - ciągnęła Angie, lekko pochyliwszy się nad stolikiem - odpowiada przed rodziną Moliach, która z kolei wciąż jest uważana za najwierniejszego sprzymierzeńca rodu Patriso. Mam rację?

Freddy stale wpatrywał się w nią z uwagą. Lewa dłoń Jacka zawisała w powietrzu, w pół drogi między blatem stolika, a filiżanką kawy. Nad swoim ramieniem słyszałem coraz głośniejsze fukanie Kevina przez nos.

- Tymczasem ty, jeśli dobrze zrozumiałam, ośmielasz się wysłać swoich ludzi, żeby poszukali słabych punktów w mieszkaniu jedynej wnuczki pana Patriso? Freddy - mruknęła z ironicznym pobłażaniem i musnęła palcami jego dłoń. - Jak sądzisz, czy pan Patriso byłby skłonny uznać te działania za przejaw szacunku, czy raczej jego braku?

- Angela... - zaczął lękliwie Freddy.

Ale Angie tylko poklepała go po rękę i wstała.

- Dziękuję, że poświęciłeś nam czas.

Ja również się podniosłem.

- Miło się z wami gawędziło, chłopcy.

Obok mnie krzesło głośno zgrzytnęło o posadzkę. Kevin zastąpił mi drogę i zaczął mnie świdrować piorunującym spojrzeniem.

- Siadaj, do kurwy - syknął Freddy.

- Słyszałeś, Kev? - zapytałem. - Siadaj, do kurwy. Hurlihy uśmiechnął się blado i przeciągnął palcami po wargach.

Złowiłem kątem oka, że Pine z powrotem odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował nogi pod stołem.

- Kevin! - rzucił gniewnie Jack Rouse.

Z miny Hurlihy'ego, oprócz bezgranicznej wściekłości, łatwo było odczytać ewidentne symptomy psychozy. Miałem wrażenie, że stoi przede mną krnąbrny gówniarz, którego mózg zatrzymał się w rozwoju najwyżej w drugiej klasie podstawówki i od tamtej pory tylko podlegał redukcji. Jego oczy płonęły żądzą mordu.

- Angela, panie Kenzie - rzekł Freddy. - Proszę, usiądźcie jeszcze.

- Kevin! - powtórzył Rouse.

Hurlihy tę samą dłoń, którą starł sobie uśmiech z ust, położył mi na ramieniu. To coś, co zawisło między nami na parę sekund, nie było ani przyjemne, ani kojące czy nawet normalne. Wreszcie skinął krótko głową, jakby w odpowiedzi na pytanie, którego nie zadałem, i odsunął mi się z drogi.

- Angela - zaczął znowu Constantine. - Czy moglibyśmy...?

- Miłego dnia, Freddy.

Angie wyminęła mnie łukiem i energicznym krokiem ruszyła do wyjścia. Poszedłem za nią.

Kiedy dotarliśmy do samochodu zaparkowanego w alei Commercial, zaledwie przecznicę od budynku, w którym mieszkała Diandra Warren, Angie powiedziała:

- Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, więc lepiej złapię taksówkę.

- Na pewno?

Spojrzała na mnie z miną kobiety, która ledwie zdołała ująć cało z pokoju pełnego groźnych bandytów, toteż nie była w nastroju do żadnych dyskusji.

- A ty co zamierzasz?

- Chyba porozmawiam z Diandrą. Może dowiem się czegoś więcej o tej Moirze Kenzie.

- Będę ci potrzebna?

- Nie.

Obejrzała się w kierunku Prince Street.

- Ja im wierzę.

- Kevinowi też?

Skinęła głową.

- Więc i ja muszę uwierzyć - odparłem. - Zresztą, nie widzę żadnego powodu, dla którego miałby kłamać.

Spojrzała w przeciwnym kierunku, na osiedle Lewis Wharf, a raczej na widoczny nawet stąd żółty prostokąt rozświetlonego okna mieszkania naszej klientki.

- Cóż więc nam pozostaje? Jeśli nie Kevin wysłał jej zdjęcie pocztą, to kto?

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Jak na prywatnego detektywa przystało - mruknęła.

- Dowiemy się tego. W końcu to nasza specjalność.

Popatrzyłem w stronę wylotu Prince Street, skąd zbliżało się do nas dwóch mężczyzn. Jeden był niski, chudy i żyłasty, w tweedowej czapeczce. Drugi, wysoki i tykowany, zapewne tak samo chichotał bezgłośnie, zabijając ludzi. Zatrzymali się przy złotym mitsubishi diamante zaparkowanym dokładnie naprzeciwko nas po drugiej stronie alei. Kevin otworzył Jackowi tylne drzwi, podniósł głowę i popatrzył na nas.

- Ten facet nie za bardzo was lubi - odezwał się ktoś za naszymi plecami.

Obejrzałem się. Pine stał oparty łokciem o dach mojego samochodu. Lekkim ruchem nadgarstka cisnął mi w pierś moim portfelem.

- Owszem - przyznałem.

Kevin obszedł maskę auta, nie spuszczać z nas wzroku. Otworzył przednie drzwi, wskoczył za kierownicę, szybko wyjechał z zatoczki i włączył się do ruchu. Odprowadziłem spojrzeniem złotą limuzynę, która okrążyła rondo przed bramą parku Waterfront i skręciła w Atlantic Avenue.

- Panno Gennaro - rzekł Pine, wyciągając w jej stronę drugi portfelik. - To było bardzo ładne przedstawienie. Brawo - dodał, gdy wzięła od niego swoje dokumenty.

- Dziękuję - odparła.

- Ale na pani miejscu nie próbowałbym tego po raz drugi.

- Dlaczego?

- Bo to już byłaby głupota. Pokiwała głową.

- Zgadzam się.

- Ten facet - rzekł, ruchem głowy wskazując kierunek, w którym oddalił się diament - jeszcze przysporzy wam kłopotów.

Spojrzał na mnie.

- Nic na to nie poradzimy - mruknąłem.

Wyprostował się powolnym płynnym ruchem, jakby w ogóle nie był zdolny do energiczniejszego działania albo obawiał się naszej reakcji na taki ruch.

- Gdyby to na mnie patrzył takim wzrokiem, nie wróciłby żywy do samochodu. - Wzruszył ramionami. - Takie jest moje zdanie.

- Przyzwyczailiśmy się do takich zachowań Kevina - powiedziała Angie. - Znamy się od przedszkola.

Pine pokiwał głową.

- Pewnie już wtedy powinniście byli go zabić. - Kiedy przeszedł pomiędzy nami, odniosłem wrażenie, jakby w mojej piersi nagle stopniała wielka bryła lodu. - Dobrej nocy - rzucił przez ramię, przebiegł przez jezdnię i zawrócił w stronę wylotu Prince Street.

Owionął nas nagły poryw zimnego wiatru. Angie wzdrygnęła się i przycisnęła rękoma poły płaszcz.

- Bardzo mi się ta sprawa nie podoba, Patricku.

- Mnie też - odparłem. - Ani trochę.

5

Poza jedną małą lampką pod wyciągiem w kuchni, gdzie siedzieliśmy, wszystkie światła w mieszkaniu Diandry były pogaszone, z głębokiego mroku zalegającego pod ścianami wylaniały się tylko niewyraźne zarysy mebli. Przez odsłonięte okna wpadał do środka mętny blask latarni i sąsiednich bloków, lecz nie przenikał w głąb pomieszczeń. Po drugiej stronie portu na czarnym niebie odbijała się żółtawa kratownica ulicznego oświetlenia Charlestown.

Noc była dość ciepła, lecz z powodu panującej tu atmosfery wydawała się lodowato mroźna.

Diandra postawiła na desce do krojenia przede mną drugą butelkę brooklyńskiego lagera, usiadła z powrotem i w zamyśleniu zaczęła obracać w palcach swój kieliszek z winem.

- Mówisz, że wierzysz tym bandziorem? - zapytał Eric.

Skinąłem głową. Przez ostatni kwadrans szczegółowo relacjonowałem im przebieg spotkania w kawiarni Grubego Freddy'ego, przemilczając jedynie powiązania Angie z Vincentem Patriso.

- Nie wiem, po co mieliby kłamać - odrzekłem.

- Przecież to kryminaliści. - Eric popatrzył na mnie rozszerzonymi oczami. - Kłamstwa to ich druga natura.

Pociągnąłem łyk piwa.

- To prawda, ale nawet kryminaliści kłamią tylko ze strachu albo w celu zyskania

nad kimś przewagi.

- Niech ci będzie...

- A chyba nie podejrzewasz, że ci faceci mieliby powód, żeby się mnie bać. Jestem dla nich nikim. Gdyby rzeczywiście to oni pani grozili, doktor Warren, odpowiedzieliby śmiało: „Zgadza się, to nasza robota, ale trzymaj się od tego z daleka, jeśli ci życie miłe. Koniec dyskusji”.

- Rozumiem, że tak nie powiedzieli - odezwała się Diandra, kiwając głową.

- Nie. Poza tym Kevin nie należy do mężczyzn, którzy mają jedną dziewczynę na stałe, więc tym bardziej jest to niepodobne do niego.

- Ale... - zaczął Eric.

Powstrzymałem go ruchem ręki i spojrzałem na gospodynię.

- Powinienem był o to spytać przy naszym pierwszym spotkaniu, lecz nie przyszło mi do głowy, że to może mieć znaczenie. Czy ten facet, który zadzwonił i podał się za Hurlihy'ego, mówił w jakiś szczególny sposób? Było coś dziwnego w jego głosie?

- Dziwnego? Niby co? Pokręciłem głową.

- Proszę sobie przypomnieć.

- Miał głęboki, basowy głos, jeśli się nie mylę.

- To wszystko?

Upiła nieco wina i przytaknęła ruchem głowy.

- Tak.

- W takim razie to nie mógł być Kevin.

- Dlaczego?

- On ma całkiem zniszczony głos, doktor Warren. Już od dzieciństwa. Brzmi łamliwie, jak u nastolatka przechodzącego mutację.

- Niczego takiego nie słyszałam przez telefon.

- Otóż to.

Eric potarł palcami policzek.

- Więc jeśli to nie Kevin wtedy dzwonił, to kto?

- I po co? - wtrąciła Diandra.

Popatrzyłem na nich i uniosłem obie dłonie.

- Jeśli mam być szczerzy, nie mam pojęcia. Na pewno nie macie żadnych wrogów?

Gospodyni energicznie pokręciła głową.

- Co rozumiesz pod pojęciem wrogów? - zapytał Eric.

- Ludzi, którzy byliby zdolni zadzwonić o czwartej nad ranem z pogrózkami i

przysłać pocztą zdjęcie waszego syna bez słowa wyjaśnienia, czyli ogólnie rzecz biorąc, życzących wam śmierci. Po prostu wrogów.

Zamyślił się na chwilę, wreszcie i on pokręcił głową.

- Jesteś pewien?

Skrzywił się.

- Na pewno część kolegów rywalizuje ze mną na gruncie zawodowym. Poza tym są różni krytycy, którzy się ze mną nie zgadzają...

- W jakim sensie?

Uśmiechnął się wstydliwie.

- Chodziłeś na moje wykłady, Patricku, więc pewnie pamiętasz, że nie wszystkie moje teorie są zgodne z opinią uznanych fachowców w mojej dziedzinie. Nic więc dziwnego, że spotykają się z krytyką. Wątpię jednak, by ludzie tego pokroju chcieli mi wyrządzić krzywdę. Poza tym, moi wrogowie prześladowaliby mnie, a nie Diandrę i jej syna, prawda?

Doktor Warren zamrugała szybko, spuściła głowę i znów pociągnęła łyceczek wina. Wzruszyłem ramionami.

- Pewnie tak, ale nigdy nic nie wiadomo. - Spojrzałem na gospodynię. - Mówiła pani, że kiedyś bała się niektórych pacjentów. Czy ostatnio nie wyszedł z więzienia lub zakładu zamkniętego ktoś, kto mógłby żywić do pani urazę?

- Zostałabym o tym powiadomiona.

Kiedy uniosła na mnie spojrzenie, dostrzegłem w jej oczach niepokój i strach, a nawet więcej: przerażenie.

- A teraz nie ma pani żadnego pacjenta, który mógłby mieć motyw i sposobność do takich działań?

Namyślała się przez dobrą minutę, w końcu jednak pokręciła głową.

- Nie.

- Będę musiał porozmawiać z pani byłym mężem.

- Ze Stanem? Po co? Nie widzę takiej potrzeby.

- Trzeba wykluczyć wszelkie potencjalne powiązania sprawcy z jego osobą. Przykro mi, że postawię panią w kłopotliwej sytuacji, ale byłbym głupcem, gdybym tego nie zrobił.

- W pełni to rozumiem, panie Kenzie, ale może mi pan wierzyć na słowo, że ze Stanem nic mnie już nie łączy prawie od dwudziestu lat.

- Powinienem jednak zebrać jak najwięcej informacji o wszystkich pani

najbliższych, doktor Warren, a zwłaszcza o tych, z którymi łączące panią stosunki trudno nazwać idealnymi.

- Daj spokój, Patricku - wtrącił Eric. - Nie masz prawa naruszać jej prywatności.

Westchnąłem ciężko.

- Mam to gdzieś.

- Słucham?

- Nie przesłyszałeś się. Mam gdzieś prywatność, zarówno doktor Warren, jak i twoją. Przykro mi. Sam mnie w to wciągnąłeś, Ericu, a doskonale znasz moje metody pracy. - W milczeniu spoglądał na mnie ze zdziwioną miną. - Nie podobają mi się moje przecucia związane z tą sprawą. - Obejrzałem się na salonik pograżony w ciemnościach i okno o szybach posrebrzonych ulicznym blaskiem, jak gdyby pokrytych lodem. - Cała sprawa mi się nie podoba, dlatego usiłuję za wszelką cenę ustalić jakieś konkrety, żeby wywiązać się ze zlecenia i uchronić doktor Warren oraz jej syna przed niebezpieczeństwem. Żeby to osiągnąć, muszę wiedzieć wszystko o waszym życiu. Jeśli będziecie próbowali cokolwiek przede mną zataić... - popatrzyłem na Diandrę - ...natychmiast się wycofam.

Przyglądała mi się z uwagą.

- Mógłbyś zostawić kobietę w potrzebie? - zagadnął Eric. - Bez zdania racji?

- Owszem, bez zdania racji - odparłem, nie spuszczać wzroku z Diandry.

- Zawsze jest pan tak obcesowy? - zapytała.

Z mej pamięci wypłynął widok kobiety podziurawionej kulami i walącej się bezwładnie na betonową posadzkę, gdy ja tylko się temu przyglądałem, zabryzgany jej krwią. Jenna Angeline była martwa, jeszcze zanim się przewróciła tamtego wspaniałego letniego poranka, zaledwie parę centymetrów ode mnie.

- Kiedyś pewna osoba zginęła tylko dlatego, że działałem trochę za wolno. Nie dopuszczę, by to się kiedykolwiek powtórzyło.

Zauważyłem, jak jej grdyka zadrgała pod napiętą skórą na szyi. Uniosła rękę i nerwowo potarła ją palcami.

- Zatem uważa pan, że znalazłam się w poważnym niebezpieczeństwie?

Pokręciłem głową.

- Jeszcze nie wiem. Ale nie wolno mi lekceważyć pogrózek. Poza tym, dostała pani zdjęcie. Ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby zepsuć pani spokojne życie. Muszę się więc dowiedzieć, kto to zrobił, jeśli mam go powstrzymać. Przecież po to mnie pani wynajęła. Czy zechce pani zadzwonić w moim imieniu do Timpsona i umówić mnie na

jutro na spotkanie?

Wzruszyła ramionami.

- To się chyba da załatwić.

- Świetnie. Będzie mi też potrzebny dokładny rysopis Moiry Kenzie, zawierający wszelkie szczegóły, jakie zdoła sobie pani przypomnieć, nawet te z pozoru mało istotne.

Kiedy gospodyni na minutę zamknęła oczy, przywołując z pamięci widok fałszywej studentki, otworzyłem notes i pstryknąłem długopis, gotów do zapisywania.

- Miała na sobie džinsy i czarną bawełnianą bluzkę pod czerwoną flanelową koszulą. - Otworzyła oczy. - Była dość ładna, z długimi, lekko kręconymi blond włosami. Palila jednego papierosa za drugim. Sprawiała wrażenie śmiertelnie przestraszonej.

- Wzrost?

- Mniej więcej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów.

- Waga?

- Jakieś pięćdziesiąt kilogramów.

- Jakie papierosy paliła?

Diandra znowu zamknęła oczy.

- Długie z białym filtrem. Pudełko było złote. Miały w nazwie „Deluxe” czy coś w tym rodzaju.

- Benson and Hedges Deluxe Ultralight?

Spojrzała na mnie.

- Tak. Zgadza się. Wzruszyłem ramionami.

- Moja współpracowniczka zawsze je wybiera, ilekroć próbuje rzucić palenie i nie wytrzymuje.

Kolor oczu?

- Zielone.

- Jakież uwagi na temat pochodzenia etnicznego?

Gospodyni pociągnęła łyk wina.

- Jej przodkowie pochodzili raczej z Europy północnej, mogli być Irlandczykami, Anglikami, nawet Słowianami. Odznaczała się bardzo jasną karnacją.

- Coś jeszcze? Nie wspomniała, skąd się wywodzi?

- Z Belmont - odparła Diandra z wyraźnym ociąganiem.

- Czy to z jakiegoś powodu wydaje się pani mało wiarygodne?

- No cóż... Jeśli ktoś wychowywał się w Belmont, zazwyczaj kończył renomowane liceum...

- To prawda.

- I nawet jeśli mówił kiedyś z bostońskim akcentem, powinien go raczej stracić przed maturą. Mogły pozostać najwyżej ledwie uchwytny ślady...

- Ale na pewno nie twarda wymowa z gardłowym r.

- Otóż to.

- Moira jednak mówiła z akcentem?

Diandra przytaknęła ruchem głowy.

- Wtedy jakoś nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz... Tak, to zdecydowanie dziwne. Sądząc po jej akcencie, nie wychowywała się w Belmont, a raczej w Revere albo wschodnim Bostonie czy też... - Urwała i popatrzyła na mnie.

- Dorchester - podsunąłem.

- Zgadza się.

- Czyżby wywodziła się z tych samych okolic co ja? - mruknąłem, zamykając notes.

- To bardzo prawdopodobne. Co pan teraz zamierza, panie Kenzie?

- Podjąć obserwację Jasona. Pogrożki dotyczą właśnie jego. To jego zdjęcie dostała pani pocztą i jak sama pani mówiła, to on czuje się „prześladowany”.

- To prawda.

- Powinna pani ograniczyć swój rozkład zajęć.

- To niemożliwe.

- Praktykę prywatną może pani prowadzić jak do tej pory, ale proszę wziąć urlop na uniwersytecie, do czasu, aż ta sprawa się wyjaśni.

Przytaknęła ruchem głowy.

- Eric? - Spojrzał na mnie. - Mam nadzieję, że wiesz, jak używać broni, którą nosisz.

- Co tydzień ćwiczę na strzelnicy. Idzie mi całkiem nieźle.

- Ale to nie to samo, co strzelanie do żywych ludzi.

- Tak. Wiem.

- Chciałbym, abyś przez kilka dni trzymał się jak najbliższej doktor Warren. Dasz radę to załatwić?

- Oczywiście.

- Gdyby cokolwiek się wydarzyło, lepiej nie próbuj celować w głowę napastnika

albo mierzyć mu w serce.

- Więc gdzie?

- Zwyczajnie opróżnij w niego cały bębenek. Sześć kul powinno zważyć z nóg każde stworzenie mniejsze od nosorożca.

Posmutniał, jakby uświadomił sobie nagle, że dotąd marnował tylko czas na nieskuteczne ćwiczenia w klubie strzeleckim, co zresztą było prawdą. Jeśli nawet faktycznie był niezłym strzelcem, to przecież nie mógł zakładać, że człowiek, który zaatakuje Diandrę, będzie nosił przyklejoną na czole tarczę z koncentrycznymi kręgami.

- Zechciałbyś mnie jeszcze odprowadzić? - zapytałem.

Skinął głową. Obaj wstaliśmy od stołu, wyszliśmy z mieszkania i ruszyliśmy powoli korytarzem do windy.

- Nasza przyjaźń nie może kolidować z moimi metodami wykonywania zleceń. Mam nadzieję, że to rozumiesz, prawda?

Przez chwilę wpatrywał się w czubki swoich butów, wreszcie przytaknął.

- Co cię z nią łączy?

Zmierzył mnie ostrym spojrzeniem.

- Dlaczego pytasz?

- W tej sytuacji nie mogę myśleć o prywatności. Pamiętaj o tym. Dlatego muszę wiedzieć, co naprawdę jest grane.

Wzruszył ramionami.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Takimi, którzy śpiąją ze sobą?

Pokręcił głową i uśmiechnął się gorzko.

- Czasami odnoszę wrażenie, że przydałoby ci się trochę oglady, Patricku.

- Nie biorę pieniędzy za nienagane zachowanie przy stole.

- Poznałem Diandrę jeszcze na uniwersytecie Browna, kiedy pracowałem nad doktoratem, a ona przystępowała do pracy magisterskiej.

Odchrząknąłem.

- Zapytam jeszcze raz. Czy łączy was intymna znajomość?

- Nie. Jesteśmy wyłącznie dobrymi przyjaciółmi. Podobnie jak ty i Angie.

- Chyba rozumiesz, dlaczego musiałem to wiedzieć? Pokiwał głową.

- Czy ona ma kogoś?

- Nie. Jest... - Urwał, popatrzył w sufit i znowu utkwiał wzrok w swoich butach.

- Czym?

- Nie jest seksualnie aktywna, Patricku. Ze świadomego wyboru. Żyje w celibacie co najmniej od dziesięciu lat.

- Dlaczego?

Na chwilę przygryzł wargi.

- Jak powiedziałem, z wyboru. Niektórzy ludzie nie dają się wodzić za nos hormonom. Zdaję sobie sprawę, że niełatwo to zrozumieć...

- W porządku - odparłem łagodnym tonem. - Czy jest jeszcze coś, o czym mi nie powiedziałaś?

- Na przykład?

- Nie trzymasz w szafie żadnych szkieletów? Nie ma żadnego powodu, by zastraszając Diandrę i Jasona, ktoś próbował się dobrać do ciebie?

- Co to za insynuacja?

- Niczego nie insynuuję, zadałem tylko proste pytanie. I chciałbym usłyszeć w odpowiedzi „tak” albo „nie”.

- Nie - syknął lodowatym tonem.

- Wybacz, że musiałem cię nakłonić do chwili szczerości.

- Na pewno musiałeś?

Nie czekając na odpowiedź, zawrócił na pięcie i ruszył z powrotem korytarzem.

6

Dochodziła już północ, gdy pożegnałem się z Diandrą, toteż ulice były puste, kiedy wracałem wzdłuż wybrzeża. Temperatura nadal utrzymywała się na poziomie około piętnastu stopni, więc otworzyłem oba okna, żeby uwolnić się od balastu świeżych brudów i pozwolić ciepłej bryzie zdmuchnąć resztki pozostałego po nich kurzu.

Obecny orzechowy ford crown victoria, rocznik osiemdziesiąty szósty, wpadł mi w oko na policyjnej aukcji, o której dostałem cynk od Devina, zaprzyjaźnionego gliniarza, po tym, jak mój poprzedni służbowy wóz dostał zapaści na pustej, zapomnianej przez Boga uliczce w Roxbury. Jego silnik był istnym dziełem sztuki. Podejrzywałem, że gdyby zjechać tym wozem z dachu trzydziestopiętrowego wieżowca, silnik wciąż by pracował, nawet gdy reszta samochodu rozsypałaby się na drobne kawałki. Nie żałowałem pieniędzy na wymianę części znajdujących się pod maską, zafundowałem sobie nawet najlepsze opony, ale w środku zostawiłem wszystko tak, jak było. Podsufitka i obicia foteli były więc poźółkłe od tandetnych cygar, które palił poprzedni właściciel, spod wytartej krawędzi na tylnym siedzeniu wyłaziła piankowa gąbka, i nie działało radio. Tylne drzwi po obu stronach były powgniatane, jakby wóz w ostatniej chwili wyciągnięto spod prasy na złomowisku, a na środku pokrywy bagażnika w nieregularnym owalu łuszczyła się farba, odsłaniając czerwone pokrycie antykorozyjne.

To wszystko kłuło w oczy, ale miałem uzasadnione powody, by sądzić, iż żaden szanujący się złodziej nie zaryzykuje przyłapania za kierownicą tego auta.

Na światłach przy bramie wjazdowej do portu, gdy siedziałem zasłuchany w radosne pomrukiwanie silnika spalającego parę litrów benzyny na minutę, przed maską przeszły dwie atrakcyjne młode dziewczyny. Wyglądały na pracownice biurowe. Obie miały na sobie obcisłe szare spódniczki i białe bluzki pod rozpiętymi i wymiętymi płaszczami. Ich nogi w połyskliwych ciemnych rajstopach ginęły w cholewkach identycznych białych tenisówek. Szły ostrożnie i trochę niepewnie, jakby asfalt zapadał im się pod stopami, a jedna z nich, ufarbowana na rudo, śmiała się zdecydowanie za głośno.

Kiedy brunetka spojrzała w moim kierunku, uśmiechnąłem się do niej przyjaźnie, chcąc dać do zrozumienia, że jestem ich bratnią duszą napotkaną przypadkiem tej cieplej spokojnej nocy w zazwyczaj tętniącym życiu mieście.

Odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem, na co jej przyjaciółka zaśmiała się piskliwie jeszcze głośniejsze, po czym chwyciły się pod ręce i jeszcze przed dotarciem do krawężnika po drugiej stronie ulicy obie aż zginały się wpół od niepohamowanej radości.

Ruszyłem i skręciłem w przelotówkę prowadzącą pod brudnozieloną estakadą biegnącej górą autostrady. Rozmyślałem nad tym, że niezły ze mnie dziwak, skoro wstydlivy uśmiezek podpitej dziewczyny na ulicy potrafi aż tak bardzo podnieść mnie na duchu i poprawić mi nastrój.

Żyłem jednak w dziwnym świecie, gdzie zdecydowanie za dużo było typków w rodzaju Kevina Hurlihy'ego, Grubego Freddy'ego Constantine'a czy kobiety, o której czytałem dziś rano w gazecie - zostawiła trójkę małych dzieci własnemu losowi w brudnym zaszczurzonej mieszkaniu i wybrała się na czterodniową libację ze swoim byłym chłopakiem. Kiedy do lokalu włamała się zaalarmowana płaczem dzieci inspekcja z opieki społecznej, wrzeszczącego malucha trzeba było odcinać od materaca, gdyż unieruchomiły go zaschnięte odchody. Wydawało by się więc, że w tym świecie - zwłaszcza takiej nocy, gdy ogarniają mnie coraz silniejsze obawy o klientkę, której z niewiadomych powodów grozi ktoś o nieznanym, prawdopodobnie niezbyt uzasadnionych motywach działania - uśmiech przypadkowo spotkanej kobiety nie powinien wywołać żadnej reakcji. A jednak.

Dobroczynny wpływ tego uśmiechu na moje samopoczucie i tak był niczym w porównaniu ze skutkami poczynań Grace, kiedy w końcu zajechałem przed swój trzypiętrowy segment i ujrzałem ją siedzącą na schodach. Miała na sobie ciemnozielony nieprzemakalny płaszcz co najmniej cztery numery za duży, a pod

spodem bawełnianą koszulkę i białe drelichowe szpitalne spodnie. Kasztanowe włosy, które zwykle uroczym owalem ocieniały jej twarz, teraz były zsunięte do tyłu, jakby nazbyt często odgarniała je w ciągu trzydziestogodzinnego dyżuru, a podkrążone oczy, zaczerwienione od rażącego blasku jarzeńówek, wyraźnie zdradzały przemęczenie tłumione zbyt dużą ilością wypitej kawy.

Mimo to wydawała mi się jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu spotkałem.

Kiedy się zbliżyłem, wstała ze schodów i powitała mnie bladym uśmiechem błakającym się na wargach i figlarnymi błyskami w oczach. Gdy dzieliły nas tylko trzy stopnie, rozłożyła szeroko ręce i rzuciła mi się w ramiona niczym skoczek z krawędzi wieży przy basenie.

- Łap mnie - mruknęła, zamykając oczy.

Ciężar jej ciała wydal mi się wręcz boleśnie cudowny. Pocałowała mnie żarliwie, otaczając nogami moje biodra i krzyżując stopy poniżej pośladków. Otoczył mnie urzekający zapach jej ciała, poczułem bijące od niej ciepło i ogarnął mnie gwałtowny przypływ pożądania w żyłach, jak gdyby wszystkie nasze organy wewnętrzne tkwiły dotąd w stanie uśpienia, dopóki nie poczuły nawzajem swojej bliskiej obecności, rozdzielone tylko skórą.

Grace przerwała pocałunek, wtuliła mi twarz w szyję i szepnęła do ucha:

- Tęskniłam za tobą.

- Zauważyłem - odparłem i pocałowałem ją w kark. - Jak ci się udało uciec?

Jęknęła cicho.

- Nareszcie ruch trochę zelżał.

- Długo tu czekasz?

Pokręciła głową, trącając mnie brodą w obojczyk. Rozplątała nogi, zeskoczyła, stanęła tuż przede mną i przytknęła swoje czoło do mojego.

- Gdzie jest Mae? - zapytałem.

- W domu z Annabeth. Śpi jak kamień. Annabeth to jej młodsza siostra, która często pełni rolę opiekunki do dziecka.

- Widziałaś się z nią wieczorem?

- Bardzo krótko. Zdążyłam jej tylko przeczytać kawałek bajki i pocałować na dobranoc. Chwilę później zasnęła kamiennym snem.

- A ty? - Przeciagnałem dłonią po jej plecach. - Zdrzemnęłaś się choć trochę?

Jeszcze raz jęknęła i chcąc przytaknąć, huknęła mnie głową w czoło.

- Auu...

Zachichotała krótko.

- Przepraszam.

- Jesteś wykończona.

Odchyliła się i spojrzała mi w oczy.

- To oczywiste. Ale bardziej od snu potrzebuję ciebie. - Pocałowała mnie. - Pragnę cię mieć głęboko, bardzo głęboko w sobie. Zdoła pan zaspokoić to pragnienie, detektywie?

- W zaspokajaniu pragnień jestem prawdziwym mistrzem, pani doktor.

- Tak słyszałam. Więc jak? Zabierzesz mnie na górę, czy zrobimy to tutaj ku uciesze wszystkich sąsiadów?

- Skoro tak...

Jej dłoń wylądowała na moim podbrzuszu.

- Nic cię tu nie boli?

- Tu nie. Trochę niżej.

Jak tylko zatrzasnąłem za sobą drzwi, Grace przygwoździła mnie do ściany i wsunęła język do ust. Lewą dłonią delikatnie przyciągała mi głowę, ale prawa wędrowała po moim ciele niczym wygłodniałe, czujące bliski żer zwierzątko. Zwykle nie narzekam na wydajność moich hormonów, lecz gdybym kilka lat temu nie rzucił palenia, żarliwość Grace pewnie by mnie zaprowadziła na jej izbę przyjęć.

- Dzisiaj rządzą kobiety, więc pozwalam ci przejąć dowodzenie - mruknąłem.

- Tyle że twoja kobieta jest tak napalona, iż może zająć konieczność wprowadzenia jej pod zimny prysznic - odparła, wbijając mi palce w łopatkę.

- I w tym wypadku jestem gotów zaspokoić pragnienie.

Odsunęła się, spojrzała mi w oczy, po czym zdjęła kurtkę i rzuciła ją na podłogę tonącego w ciemności saloniku. Nie była miłośniczką porządku. Jeszcze raz pocałowała mnie krótko, odwróciła się na pięcie i ruszyła w głąb korytarza.

- Dokąd? - zapytałem lekko chrapliwym głosem.

- Pod prysznic.

Jeszcze przed drzwiami łazienki płynnym ruchem ściągnęła bawełnianą koszulkę. Wąska smuga mętnego blasku ulicznych latarni wpadającego przez otwartą sypialnię przesunęła się po jej plecach. Grace powiesiła koszulkę na klamce drzwi, obejrzała się na mnie i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Czemu jeszcze tam sterczysz? - rzuciła.

- Chcę nacieszyć wzrok twoim widokiem.

Rozłożyła ręce, uniosła je i odgarnęła włosy do tyłu, prostując się przy tym, aż pod napiętą skórą wyraźnie zarysowały się zebra. Jeszcze raz spojrzała mi w oczy, po czym zrzuciła tenisówki i ściągnęła skarpetki. Przeciągnęła dłońmi po biodrach i rozwiązała tasiemkę ściągającą spodnie w pasie. Kiedy zsunęły się na podłogę, wyszła z nich.

- I co? Nie otrząsnąłeś się jeszcze z zaskoczenia? - spytała.

- Ależ tak. To żadne zaskoczenie.

Oparta łokciem o klamkę drzwi, wsunęła kciuki za gumkę czarnych majtek. Uniosła brwi, gdy nareszcie ruszyłem w jej kierunku i uśmiechnęła się chytrze.

- Pomoże mi pan w uwolnieniu się od tego, detektywie?

Oczywiście, że pomogłem. Z ochotą. Ostatecznie, w takim pomaganiu też jestem mistrzem.

Kiedy kochaliśmy się pod prysznicem, uzmysłowiłem sobie, że ilekroć myślę o Grace, kojarzy mi się ona właśnie z wodą. Poznaliśmy się w trakcie najbardziej deszczowego tygodnia tego zimnego i mokrego lata, gdy jej chłodne zielone oczy przywodziły mi na myśl zimowe opady, a po raz pierwszy kochaliśmy się w morskich falach, gdy po zmroku zaskoczył nas na plaży rześisty deszcz.

Po wyjściu spod prysznica położyliśmy się do łóżka, wciąż jeszcze wilgotni. Jej mokre kasztanowe włosy rozsypane na mojej piersi zdawały się podrygiwać w rytm nadal przyspieszonego bicia serca.

Grace miała na łopatkę głęboką bliznę wielkości łebka pinezki, pamiątkę z dzieciństwa, kiedy to bawiła się na sianie w stodole wujka, nie bacząc na wielkie gwoździe wystające z belek. Wykręciłem głowę i pocałowałem to miejsce.

Mruknęła z rozkoszą.

- Zrób to jeszcze raz.

Przeciągnąłem po bliznie czubkiem języka.

Zarzuciła nogę na moje biodra i zaczęła wodzić stopą po łydce.

- Myślisz, że takie stare rany mogą być erogenne?

- Wydaje mi się, że każda część ciała może być erogenna.

Jej ciepła dłoń spoczęła na moim brzuchu, a palce szybko odnalazły stwardniałą bliznę wielkości i kształtu meduzy.

- Ta też?

- Nie. Ta nie jest ani trochę erogenna, Grace.

- Dlaczego nie chcesz powiedzieć, skąd ją masz? Przecież wiem, że to po oparzeniu.

- Stałaś się nagle lekarzem?

Zachichotała.

- Z zamięłowania. - Wsunęła mi dłoń między uda. - Proszę powiedzieć, gdzie pana boli, detektywie.

Uśmiechnąłem się, ale tym razem nie było to już tak zabawne. Grace po chwili uniosła się na łokciu i przez dłuższy czas zaglądała mi w oczy.

- Nie musisz mi już nic mówić - szepnęła.

Wierzchem lewej dłoni zsunąłem jej włosy z czoła i powiodłem czubkami palców po linii szczęki przez miękką i delikatną skórę na szyi aż po czubek harmonijnej krzywizny drobnej prawej piersi. Lekko ścisnąłem sutek, obracając dłoń, którą przesunąłem z powrotem do karku i przytuliłem jej głowę do piersi. Przywarła do mnie całym ciałem, aż stłumiony rytm naszych serc zaczął się wzajemnie wzmacniać, przypominając miękkie odgłos bryłek gradu lądującego w wiadrze wody.

- To sprawka mojego ojca, który oparzył mnie gorącym żelazkiem, chcąc mi dać nauczkę.

- Jaką nauczkę? - zapytała.

- Żeby nigdy więcej nie bawił się ogniem.

- Co takiego?

Wzruszyłem ramionami.

- Po prostu skorzystał z przysługującego mu prawa. Był przecież moim ojcem, a ja jego synem. Mógł mnie całego poparzyć, gdyby tylko zechciał.

Uniosła głowę i spojrzała przez łzy rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Zanurzyła mi palce we włosach i przywarła ustami do moich warg, łapczywie, wręcz żarłocznie, jakby miała nadzieję wyssać z nich cały mój ból.

Kiedy ponownie uniosła głowę, policzki miała wilgotne od łez.

- On nie żyje, prawda?

- Mój ojciec? Przytaknęła.

- Owszem. Już nie żyje.

- To dobrze - mruknęła.

Kiedy kilka minut później znów się kochaliśmy, było to jedno z najbardziej

przejmujących i żenujących zarazem doświadczeń w moim życiu. Najpierw przywieraliśmy do siebie tylko dłońmi, potem rękoma, wreszcie całymi ciałami, a gdy rozłożyła nogi i ścisnęła mnie udami w biodrach, po czym wyprężyła je, splatając stopy na wysokości moich kolan i jednocześnie objęła silnie ramionami, nagle poczułem się unieruchomiony i całkowicie przez nią otoczony, jak gdyby nasze skóry przeniknęły się nawzajem, a krew zaczęła krążyć uwspólnionym krwiobiegiem. Kiedy głośno jęknęła, odniosłem wrażenie, jakby ten jęk zrodził się w mojej krtani.

- Grace - wyszeptalem, zatapiając się w niej do reszty.

Zasypiałem już, gdy musnęła wargami moje ucho i szepnęła:

- Dobrej nocy.

- Dobranoc.

Niespodziewanie wetknęła mi język do ucha, aż przeszył mnie dreszcz, gwałtownie odpędzając senność.

- Kocham cię - wymamrotała.

Obróciłem głowę, żeby spojrzeć jej w oczy, ale spała już kamiennym snem.

O szóstej rano obudził mnie szum wody pod prysznicem. Pościel była przesiąknięta zapachem jej ciała, dezodorantu i szamponu z lekkim śladem woni szpitalnych środków odkażających, jak też mojego potu i naszych miłosnych uniesień, jak gdyby utrwalonych w materiale przez setki nocy.

Omam nie wpadliśmy na siebie w przejściu do łazienki. Pochyliła się, żeby mnie pocałować, nie przestając szcztokować włosów. Włożyłem dłoń pod ręcznik, którym była owinięta i przesunąłem po jej pośladkach, wciąż jeszcze wilgotnych po kąpieli.

- Nawet o tym nie myśl - syknęła, cmoknąwszy mnie w policzek. - Powinnam się jeszcze zobaczyć z córką, zanim będę musiała wracać do szpitala, a po tej burzliwej nocy ledwie mogę chodzić. Wskakuj pod prysznic.

Popatrzyłem jeszcze, jak wyjmuję czystą bieliznę z szuflady, którą za obopólną zgodą przeznaczaliśmy na ten cel, rozmyślając o perspektywie kąpieli w samotności. Oczekiwałem znajomego poczucia zakłopotania, którego doświadczałem zawsze, ilekroć jakaś kobieta pozostawała dłużej niż, powiedzmy, godzinę w moim łóżku. Ale tym razem się nie pojawiło.

Nie potrafiłem zapomnieć, jak szepnęła niewyraźnie „kocham cię”, zapadając w sen.

Życie jednak potrafi człowieka zaskoczyć.

Kiedy wróciłem do sypialni, ściągała właśnie pościel z łóżka. Miała na sobie czarne dzinsy i granatową jedwabną bluzkę z kołnierzykiem.

Stałem za nią, gdy nisko pochylona zdejmowała poszewkę z poduszki.

- Tylko mnie dotknij, Patricku, a już jesteś martwy.

Opuściłem ręce.

Odwróciła się do mnie z uśmiechem i ruchem głowy wskazując trzymaną poszewkę, rzekła:

- Do prania. Masz w ogóle pojęcie, co to znaczy?

- Mniej więcej.

Rzuciła ją na stos bielizny w rogu pokoju.

- Zatem mogę liczyć na to, że założysz świeżą pościel, czy też będziemy spali na gołym materacu, gdy zjawię się tu następnym razem?

- Zrobię wszystko, co pani sobie życzy, madame.

Zarzuciła mi ręce na szyję, pocałowała mnie krótko i uściskała serdecznie.

Chciałem odpowiedzieć równie czule, lecz odsunęła się szybko i powiedziała:

- Ktoś dzwonił, gdy byłeś pod prysznicem.

- Kto? Przecież nawet nie ma jeszcze siódmej.

- Mnie też to się wydało dziwne. Niestety, nie przedstawił się.

- Co powiedział?

- Znał moje imię.

- Co takiego? - Moje dłonie same zsunęły się z jej bioder.

- Mówił z irlandzkim akcentem, dlatego pomyślałam, że to twój wujek albo jakiś inny krewny.

Pokręciłem głową.

- Nie utrzymuję żadnych kontaktów z wujami.

- Dlaczego?

- Bo to bracia mojego ojca i nie są ani trochę lepsi od niego.

- Aha.

- Grace... - Wziąłem ją za ręce i posadziłem obok siebie na brzegu łóżka. - Przypomnij sobie dokładnie, co ten facet z irlandzkim akcentem powiedział.

- Zaczął: „Musisz być tą cudowną Grace. Bardzo się cieszę, że na ciebie trafiłem”. -

Odwróciła głowę i popatrzyła na brudną pościel leżącą na podłodze. - Kiedy mu powiedziałam, że jesteś pod prysznicem, odparł: „Nie szkodzi. Przekaż mu tylko, że dzwoniłem i wpadnę do niego któregoś dnia”. Rozłączył się, nim zdążyłam go zapytać

o imię.

- Tylko tyle?

Przytaknęła.

- Czemu się tak dopytujesz?

Wzruszyłem ramionami.

- Sam nie wiem. Rzadko kto dzwoni do mnie przed siódmą, a jeśli nawet, to na pewno się przedstawia.

- Patricku, ilu twoich przyjaciół wie, że się spotykamy?

- Angie, Devin, Richie i Sherilynn, Oscar i Bubba.

- Bubba?

- Już go poznałaś. To ten olbrzym, co zawsze chodzi w płaszczu.

- Ach, ten odstraszący typ - mruknęła. - Wygląda, jakby był gotów pewnego dnia wtargnąć do klubu młodzieżowego z karabinem maszynowym i wystrzelać wszystkich tylko dlatego, że popsuł się jego ulubiony automat do gry.

- Tak, to właśnie on. Poznałaś go...

- Na przyjęciu w ubiegłym miesiącu. Pamiętam. - Wzdrygnęła się wyraźnie.

- W rzeczywistości jest niegroźny.

- Może dla ciebie. Jezu...

Wziąłem ją pod brodę i obróciłem twarzą do siebie.

- Nie tylko dla mnie, Grace. Dla wszystkich, na których mi zależy. Lojalność Bubby jest wręcz bezprzykładna.

Odgarnęła mi mokre włosy z czoła.

- To nie zmienia faktu, że jest psychopatą. Tacy ludzie jak Bubba zapełniają szpitalne izby przyjęć swoimi ofiarami.

- Masz rację.

- Dlatego nie chcę, żeby zbliżał się do mojej córki. Rozumiesz?

Chyba u każdego rodzica przejawiającego niepokój o własne dziecko zapalają się nagle w oczach dzikie zwierzęce błyski, od których na kilometr bije grozą. W takich sytuacjach nie należy nawet podejmować dyskusji, bo choć owe błyski wynikają z najgłębszych uczuć, ich intensywność sugeruje brak litości.

Właśnie takie błyski dostrzegłem teraz w oczach Grace.

- Jasne - odparłem.

Pocałowała mnie w czoło.

- To nadal nie wyjaśnia zagadki faceta mówiącego z irlandzkim akcentem.

- Nie. Powiedział coś jeszcze?

- Rzucił: „Niedługo” - odparła, wstając z łóżka. - Nie pamiętasz, gdzie zostawiłam kurtkę?

- W saloniku. Co miało oznaczać to „niedługo”?

Zatrzymała się w drzwiach i spojrzała na mnie przez ramię.

- Najpierw powiedział, że wpadnie do ciebie któregoś dnia, a po chwili dodał, że niedługo.

Wyszła z sypialni. Doleciało mnie jeszcze ciche skrzypienie desek podłogowych saloniku, do którego tylko zajrzała na krótko.

Niedługo.

Z

Krótko po wyjściu Grace zadzwoniła Diandra. Stan Timpson zgodził się porozmawiać ze mną pięć minut przez telefon o jedenastej.

- Całe pięć minut? - odparłem.

- Jak na niego to i tak bardzo dużo. Podałam mu pański numer. Zadzwonił punktualnie o jedenastej. Stan jest wzorem punktualności.

Podyktowała mi jeszcze tygodniowy rozkład zajęć Jasona i numer jego pokoju w akademiku. Zapisałem wszystko dokładnie, zwracając uwagę, że jej głos ze strachu staje się coraz bardziej spięty i piskliwy. Przed końcem rozmowy rzuciła krótko:

- Jestem coraz bardziej zdenerwowana. Nie cierpię tego.

- Proszę się nie martwić, doktor Warren. Wszystko będzie dobrze.

- Czyżby?

Zadzwoniłem do Angie. Ktoś odebrał po drugim sygnale, lecz zanim rozległ się jej głos, usłyszałem charakterystyczny szelest towarzyszący przekazywaniu słuchawki drugiej osobie i stłumione syknięcie: „Zostaw to mnie, dobrze?”.

Odezwała się głosem lekko zachrypniętym i niewyraźnym, jakbym wyrwał ją ze snu.

- Słucham.

- Dzień dobry.

- Ach, to ty - mruknęła. Znów doleciał mnie szelest, tym razem oznaczający

wyplątywanie się z pościeli, któremu towarzyszyło poskrzypywanie sprężyn łóżka. -
Co się stało, Patricku?

Pokrótkce streściłem jej swoją nocną rozmowę z Diandrą i Erikiem.

- A więc to z pewnością nie Kevin dzwonił do niej z pogroźkami - skwitowała wciąż zaspanym głosem. - W takim razie już nic nie rozumiem.

- Ja też. Masz pod ręką długopis?

- Poczekaj. Zaraz poszukam.

Kolejny szelest kazał mi się domyślić, że rzuciła słuchawkę na łóżko, przystępując do poszukiwania długopisu. Tylko kuchnia w jej mieszkaniu błyszczy od czystości, a to dlatego, że Angie w ogóle z niej nie korzysta. Czysto jest także w łazience, ponieważ brzydzi się brudną wanną i sedesem. Za to jej sypialnia zawsze wygląda tak, jakby ledwie zdążyła się rozpakować po powrocie z dłuższej wyprawy w środku gwałtownej burzy. Skarpetki i bielizna wysypują się z otwartej szuflady, dzinsy, bluzki i rajstopy walają się po podłodze, wiszą na gałkach mebli i poręczach łóżka. Od kiedy ją znam, nigdy nie włożyła tego, co jej pierwsze wpadło w ręce z samego rana. Na dodatek między ciuchami walają się pomięte pisma ilustrowane i książki z postrzępionymi, podartymi grzbietami.

Kiedyś w bałaganie panującym w sypialni zginął jej rower górski, teraz zaś szukała tylko długopisu.

Po serii stuków towarzyszących wyciąganiu i zasuwaniu szuflad oraz donośnym grzechocie oznaczającym przerzucanie sterty bilonu, zapalniczek i kolczyków zalegającej blat nocnego stolika, doleciało mnie stłumione pytanie:

- Czego szukasz?

- Długopisu.

- Proszę. Tu jest.

Chwilkę później rzuciła do słuchawki:

- Już mam.

- A kartkę? - zapytałem.

- Cholera!

Szukanie kartki zabrało następną minutę.

- Możesz mówić - odezwała się w końcu.

Podyktowałem jej rozkład zajęć Jasona Warrena i numer jego pokoju. Powinna zacząć jego obserwację, skoro ja czekałem na telefon od Stana Timpsona.

- W porządku - powiedziała. - Do diabła, muszę się już zbierać.

Spojrzałem na zegarek.

- Rozpoczyna zajęcia dopiero o wpół do jedenastej. Zostało ci sporo czasu.

- Nieprawda. Mam jeszcze spotkanie o dziewiątej trzydzieści.

- Z kim?

Doleciało mnie jej głośne posapywanie, doszedłem więc do wniosku, że zaczęła się wbijać w spodnie.

- Z moim adwokatem. Zobaczymy się pod uniwersytetem.

Odłożyła słuchawkę. Wyjrzałem przez okno na ulicę, która w nadzwyczaj klarownym powietrzu przypominała wstęgę czarnej zamrożonej rzeki na dnie kanionu między szeregiem trzypiętrowych segmentów po jednej i murem z czerwonej cegły po drugiej stronie. Szyby aut były całkiem białe od szronu, słońce odbijało się w nich mlecznymi rozmytymi plamami.

Spotkanie z adwokatem? W idącym do głowy upojeniu, jakie charakteryzowało naszą trzymiesięczną znajomość z Grace, niekiedy przypominałem sobie z wyraźnym zaskoczeniem, że moja współpracowniczka także ma prywatne życie i to całkiem niezależne od mojego - wypełnione rozmowami z adwokatem, coraz to nowymi kłopotami, czasem nawet minidramatami, a do tego mężczyznami podającymi jej w sypialni długopis o wpół do dziewiątej rano.

Kim był jej adwokat? I kim ten facet służący pomocą w sypialni? Zresztą, dlaczego miałoby mnie to w ogóle obchodzić?

I co, do cholery, miało znaczyć owo „niedługo”?

Jakąś godzinę później przystąpiłem do swoich zwykłych porannych ćwiczeń. Kiedy je skończyłem, nadal zostało mi więcej niż godzina do umówionej rozmowy telefonicznej. Zacząłem więc przekopywać lodówkę w poszukiwaniu czegoś innego niż piwo i woda gazowana, ale niczego nie znalazłem, poszedłem więc do sklepu przy skrzyżowaniu na kawę.

Wracając uliczką, oparłem się na parę minut o słup latarni, żeby nacieszyć się piękną pogodą. Sącząc kawę, spoglądałem na przejeżdżające samochody i przechodniów spieszących do stacji metra pod skrzyżowaniem z Crescent Street.

Owionął mnie kwaśny zapach stęchłego piwa i taniej whisky ze znajdującej się za mną tawerny „Black Emerald”. Bar otwierano o ósmej z uwagi na robotników schodzących z nocnej zmiany na pobliskim złomowisku, toteż teraz, około dziesiątej, panował w nim już taki gwar, jak w piątkowy wieczór. Nad stłumione głosy ludzi od

czasu do czasu wybijał się donośny stuk bil zderzających się na stole bilardowym.

- Witaj, nieznamy.

Odwróciłem się i spojrzałem w twarz drobnej kobiety o niewyraźnym, tajemniczym uśmiechu. Osłaniała oczy dłonią przed jaskrawym słońcem, dlatego jej rozpoznanie zajęło mi dobrą minutę. Była ubrana zupełnie inaczej, miałem wrażenie, że nawet głos jej się nieco zmienił od czasu, gdy widzieliśmy się po raz ostatni. Nadal jednak mówiła z charakterystycznym przydechem, jakby musiała zużywać bardzo dużo powietrza, żeby pobudzić struny głosowe do działania.

- Cześć, Kara. Kiedy wróciłaś?

Wzruszyła ramionami.

- Jakiś czas temu. Co u ciebie, Patricku?

- W porządku.

Zakołysała się nagle na piętach, zatrzepotała powiekami, uciekając spojrzeniem w bok, a uśmiech jak gdyby zdryfował w stronę lewego kącika ust. A więc była jednak tą samą, dobrze mi znaną dziewczyną.

Odznaczała się niewyczerpaną pogodą ducha i zamiłowaniem do samotności. Na szkolnym boisku siadała w kącie pod ścianą i rysowała coś w zeszycie, podczas gdy reszta klasy grała w piłkę. Później, kiedy jej paczka zajęła miejsce opuszczone przez moją dziesięć lat wcześniej, znalazła swoje miejsce na rogu z widokiem na Blake Yard, gdzie często przesiadywała oparta plecami o parkan albo latarnię, popijała tanie wino i spoglądała na ulice takim wzrokiem, jakby widziała je po raz pierwszy. Nigdy nie była szykanowana przez rówieśników czy uważana za stukniętą wyłącznie ze względu na swą urodę, gdyż pod tym względem była na głowę wszystkie rywalki, a naturalne piękno czystej wody w tej dzielnicy było cenione jak mało co i uważane za rzadkość równą mannie z nieba.

Od czasu, gdy tylko nauczyła się chodzić, wszyscy dobrze wiedzieli, że nie zostanie tu na zawsze. Najładniejsze dziewczęta nigdy nie zostawały w tej okolicy, poza tym chęć ucieczki była odcisnięta na jej obliczu niczym jaśniejsze cętki w źrenicach oczu. Podczas rozmowy któraś część jej ciała - głowa, ręce, czy zgrabne nogi - wiecznie musiały być w ruchu, jakby podświadomie Kara przekraczała już granice tej dzielnicy i była w drodze do wymarzonej krainy szczęścia.

Dziewczyna jej pokroju pojawiała się tu mniej więcej raz na pięć lat, nieodmiennie wprawiając w zdumienie krąg najbliższych znajomych. Za moich czasów była to Angie i jeśli mnie pamięć nie myli, okazała się jedyną zdolną stawić czoło dziwnie posępnej

atmosferze panującej w tej okolicy i zamieszkać tu na stałe.

Poprzedniczka Angie, Eileen Mack, wskoczyła do pociągu zaraz po uzyskaniu matury i kilka lat później pojawiła się na drugim planie serialu *Starsky i Hutch*. W ciągu dwudziestosześciminutowego odcinka poznała Starsky'ego, poszła z nim do łóżka, zdobyła przychyłność Hutch'a (choć przez pewien czas traktował ją wrogo) i przyjęła obcesowe zaręczyny. Ale już po następnej przerwie na reklamy była trupem, żeby Starsky miał okazję wpaść w szal, odnaleźć jej zabójcę i sprzątnąć go ze zwykłą dla siebie miną, pełną przekonania o własnej wyższości, a odcinek skończył się ujęciem jego stojącego w deszczu nad grobem, mającym zasugerować widzom, że nigdy nie zapomni o swej niedoszałej małżonce.

W następnym odcinku Starsky miał już inną dziewczynę, o Eileen nie wspomniano nawet słowem. I nigdy więcej nie pokazała się ani na planie serialu, ani w rodzinnej okolicy.

Po pierwszym roku studiów na uniwersytecie stanowym Kara wyjechała do Nowego Jorku i wszelki słuch o niej zaginął. Razem z Angie widzieliśmy nawet tamtego popołudnia, jak wsiadała do autobusu. W samym środku lata zauważyliśmy ją na przystanku po drugiej stronie ulicy. Miała rozpuszczone długie słomkowoblond włosy, które wiatr zwiewał jej na oczy i jasną letnią sukienkę na ramiączkach. Nawet pomachała nam ręką, na co zdążyliśmy odpowiedzieć w ten sam sposób, zanim nadjechał autobus, a potem podniosła walizkę i zniknęła w jego wnętrzu.

Teraz włosy miała krótkie, nastroszone i kruczoczarne, a cerę białą jak kreda. Była ubrana w czarny golf bez rękawów i wzorzyste popielate džinsy. Ale jak zwykle każde zdanie kończyła charakterystycznym przydechem, niemalże krótkim chichotem.

- Piękny dzień, prawda?

- Nadzwyczaj. W ubiegłym roku o tej porze padał już śnieg.

- W Nowym Jorku też. - Zaśmiała się, pokiwała głową i utkwiała wzrok w czubkach swoich butów. - No, tak...

Pociągnąłem łyk kawy.

- Co u ciebie słychać, Karo?

Znów przesłoniła oczy dłonią i popatrzyła na drugą stronę ulicy, gdzie jaskrawe słońce odbite w szybach zaparkowanych samochodów dosłownie oślepiało. Wzbudzało także refleksy w jej nowej połyskliwej fryzurze.

- Wszystko gra, Patricku. W porządku. A co u ciebie?

- Nie narzekam.

Również popatrzyłem na drugą stronę ulicy, a gdy spojrzałem znowu na nią, przyglądała mi się z uwagą, choć nie umiałem ocenić, czy moja twarz wydaje jej się atrakcyjna, czy odpychająca.

Zakołysała się lekko na boki, przestępując z nogi na nogę. Z tawerny „Black Emerald” doleciały podniesione męskie głosy mówiące coś o pięciu dolarach i meczu baseballowym.

- Wciąż jesteś prywatnym detektywem? - zapytała Kara.

- Aha.

- Da się z tego wyżyć?

- Czasami.

- Moja mama wspomniała o tobie w liście rok temu. Podobno rozpisywały się o tobie wszystkie gazety. Dokonałeś czegoś wielkiego.

Zaskoczyło mnie, że jej matka zdołała podnieść głowę znad szklanki whisky na tak długo, żeby przeczytać gazetę, nie wspominając już, że napisała o tym w liście do córki.

- To był sezon ogórkowy.

Obejrzała się na wejście do baru i odruchowo przeciągnęła palcami za uchem, jakby chciała zgarnąć długie włosy, których już nie nosiła.

- Czym się zajmujesz?

- To zależy od rodzaju zlecenia. Potrzebny ci detektyw?

Na krótko lekko wydeła i zacisnęła wargi, robiąc przy tym zdumioną minę, jakby całowała się z zamkniętymi oczami, a po ich otwarciu spostrzegła, że chłopak zniknął.

- Nie. - Zachichotała. - Niedługo wyjeżdżam do Los Angeles. Dostałam rolę w serialu *Dzień po dniu*.

- Naprawdę? Gratuluje...

- To nic wielkiego, drobna rólka - przerwała mi, kręcąc głową. - Będę grała pielęgniarke, która przekłada papierki za plecami pielęgniarce dyżurnej w rejestracji.

- Na początek to i tak nieźle.

Z baru wyrzwał jakiś mężczyzna, rozejrzał się po ulicy i utkwiał w nas mętne spojrzenie. Rozpoznałem go. To był Micky Doog pracujący dorywczo na budowie, w pełnym wymiarze handlujący koką, były amant, za którym szalały wszystkie dziewczęta z paczki Kary, teraz bezskutecznie usiłujący maskować szybko powiększającą się łysinę i wiotczące mięśnie. Zamrugał szybko na mój widok i natychmiast zniknął z przejścia.

Kara spięła się nagle, jakby poczuła na plecach jego wzrok, po czym nachyliła się w moją stronę. Mimo wczesnej pory wyraźnie zaleciało od niej rumem, gdy mruknęła zagadkowo, z dziwnymi błyskami w oczach:

- Dziwny jest ten świat, no nie?

- Tak, to prawda... Na pewno nie potrzebujesz pomocy?

Zaśmiała się krótko, niemal bezgłośnie.

- Nie, skądże. Chciałam się tylko z tobą przywitać, Patricku. Byłeś dla naszej paczki jednym z wielkich starszych braci. - Ruchem głowy wskazała otwarte drzwi baru, chcąc dać mi do zrozumienia, gdzie ta paczka wylądowała z samego rana. - Chciałam się tylko przywitać.

Pokiwałem głową, zwróciwszy uwagę na delikatne drżenie jej rąk. Wciąż wpatrywała się we mnie z uwagą, jakby chciała odkryć w mojej twarzy coś niezwykłego, po czym odwróciła głowę, nie znalazłszy tego widocznie, zaraz jednak znowu spojrzała mi w oczy. Sprawiała wrażenie biednego dzieciaka bez grosza przy duszy patrzącego z żalem na resztę swojej grupy stojącej w kolejce do budki z lodami, miała taki wyraz twarzy, jakby musiała tylko odprowadzać wzrokiem podawane z rąk do rąk wafłowe kubeczki ociekające czekoladową polewą i próbowała sobie w duchu wytłumaczyć, że nie ma żadnych szans na loda, podsycając zarazem złudną nadzieję, że sprzedawca w końcu i jej go poda, czy to przez pomyłkę, czy też z żalu. Jakby serce jej się kroilo za czymś, czego bardzo pragnie, a mieć nie może.

Wyciągnąłem z kieszeni portfel i podałem jej moją wizytówkę.

Popatrzyła na nią, marszcząc brwi, po czym uśmiechnęła się na poły ironicznie, na poły ze smutkiem.

- Naprawdę nie potrzebuję tego, Patricku.

- Czyżby? To z jakiego powodu jesteś już lekko wstawiona o dziesiątej rano?

Wzruszyła ramionami.

- Gdzie indziej jest już południe.

- Ale nie tutaj.

Micky Doog po raz drugi wyjrzał na ulicę. Kiedy popatrzył w naszym kierunku, zauważyłem, że teraz oczy ma jeszcze bardziej mętne od jakiegoś świństwa, którym obecnie handlował.

- Hej, Kara! Idziesz, czy nie?!

Zerknęła przez ramię, zaciskając palce na mojej wizytówce.

- Jeszcze chwilę, Mick.

Otworzył usta, chcąc jeszcze coś powiedzieć, lecz tylko skinął głową, uderzył otwartą dłońią we framugę drzwi i zniknął w środku.

Kara popatrzyła wzdłuż ulicy, przez dłuższy czas wodząc wzrokiem za przejeżdżającymi z rzadka samochodami.

- Kiedy się wyjechało do wielkiej metropolii, to po powrocie do rodzinnego miasta, człowiek sądzi, że będzie wyglądało na małe i prowincjonalne. - Pokręciła głową i westchnęła.

- A tak nie jest?

- Nie, do cholery. Wygląda dokładnie tak samo, jak kiedyś. - Cofnęła się o dwa kroki, postukała o biodro trzymaną w ręku wizytówką, jeszcze raz spojrzała na mnie lekko rozszerzonymi oczyma i rzuciła: - Uważaj na siebie, Patricku.

- Ty też na siebie uważaj.

Uniosła moją wizytówkę.

- Teraz, jak mam to, chyba nic mi już nie grozi, prawda?

Wetknęła ją do tylnej kieszeni spodni i zawróciła do wejścia „Black Emerald”. W drzwiach przystanęła jeszcze, obejrzała się i uśmiechnęła do mnie - niby szeroko i serdecznie, ale ten uśmiech nie pasował do niepewnej miny i wyraźnie dygoczących kącików ust.

- Naprawdę uważaj, Patricku. Jasne?

- Na co mam uważać?

- Na wszystko. Absolutnie wszystko.

Kiedy obrzuciłem ją podejrzliwym wzrokiem, z bardzo poważną miną skinęła głową, jakby chciała mi przypomnieć o naszej wspólnej ważnej tajemnicy, po czym zniknęła w barze.

8

Zanim mój ojciec wkroczył na arenę walk, próbował swoich sił w miejscowej polityce, chodził od drzwi do drzwi i zbierał podpisy pod różnymi petycjami, a tylne zderzaki różnych chevroletów, którymi jeździł w moim dzieciństwie i za czasów młodości, wiecznie zdobily nalepki z napisami mającymi świadczyć o jego dziwnie pojmowanej, partyzanckiej lojalności. Dla niego jednak polityka była całkiem oderwana od sytuacji społecznej, toteż nie przykładał żadnej wagi do tego, co politycy obiecują wyborcom w publicznych wystąpieniach. Kusily go wyłącznie osobiste powiązania w polityce. Traktował ją jak wspaniały, budzący powszechną zawiść dziecięcy domek na drzewie, do którego można zaprosić najlepszych kumpli, a następnie wciągnąć sznurową drabinką i śmiać się głośno, patrząc z góry na resztę głupców.

Popierał Stana Timpsona, kiedy ten zaraz po zrobieniu prawniczego dyplomu i objęciu posady w prokuraturze okręgowej wystartował w wyborach do rady miejskiej. Traktował go jak swojaka, niemalże kumpla z podwórka, do którego, jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, można będzie zadzwonić, gdy w ulicznym asfalcie przed domem zrobią się dziury, sąsiedzi będą za bardzo hałasować albo kuzyn straci pracę i wyląduje na zasiłku dla bezrobotnych.

Słabo pamiętałem Timpsona z dzieciństwa, ale jego twarz w telewizyjnych migawkach wydawała mi się całkiem inna od tej, jaką mętnie kojarzyłem z dawnych lat. Toteż gdy usłyszałem jego głos w słuchawce, wydał mi się zupełnie oderwany od

tych wspomnień, jakby został wcześniej zarejestrowany na magnetofonie.

- Pat Kenzie? - spytał z zapalem.

- Patrick, panie Timpson.

- Jak ci się wiedzie, Patricku?

- Dziękuję, dobrze, proszę pana. A co u pana?

- Po prostu wspaniale. Chyba nie mogłoby być lepiej. - Zaśmiał się gardłowo, jakby był to dowcip, którego puenta mi umknęła. - Diandra mówiła, że chciałbyś mnie o coś spytać.

- Owszem, zgadza się.

- No to wal śmiało, synu.

Był zaledwie dziesięć czy dwanaście lat starszy ode mnie. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego miałby mnie traktować jak syna.

- Czy Diandra mówiła panu o zdjęciu Jasona, które dostała pocztą?

- Tak, oczywiście. I muszę szczerze przyznać, że wydaje mi się to dziwne.

- To prawda...

- Osobiście uważam, że ktoś po prostu zrobił jej głupi kawał.

- Włożył w to wiele wysiłku.

- Mówiła też, że według ciebie nie wygląda to na pogrózkę mafii.

- Na razie nic na to nie wskazuje.

- W takim razie nie wiem, co chciałbyś ode mnie usłyszeć, Pat.

- Czy w pańskim biurze jest prowadzone jakieś dochodzenie, które mogłoby się stać przyczyną pogrózek skierowanych przeciwko pańskiej byłej żonie i synowi?

- Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach, Pat.

- Patrick.

- Może gdzieś w Bogocie bandyci mają odwagę szantażować prokuratorów, szukając osobistej zemsty, ale nie w Bostonie. Daj spokój, synu. Nic lepszego nie przychodzi ci do głowy? - Znowu zarechotał, szczerze rozbawiony.

- Życie pańskiego syna może być w niebezpieczeństwie, dlatego...

- Więc ochraniaj go, Pat.

- Właśnie próbuję to robić, proszę pana, ale nic z tego nie wyjdzie, jeśli...

- Wiesz, co myślę o całej tej sprawie? Powiem szczerze. Moim zdaniem to tylko kolejne dziwactwo Diandry. Pewnie zapomniała wziąć swoje leki i stała się nerwowa. Lepiej przyjrzyj się liście jej pacjentów, synu. W każdym razie ja bym tak zrobił.

- Gdyby zechciał pan...

- Posłuchaj mnie, Pat. Rozwiodłem się z Diandrą prawie dwadzieścia lat temu. Kiedy zadzwoniła wczoraj wieczorem, usłyszałem jej głos po raz pierwszy od sześciu lat. Nikt nie wie, że byliśmy kiedyś małżeństwem. Nikt nie wie, że jestem ojcem Jasona. W trakcie ostatniej kampanii wyborczej podejrzewaliśmy nawet, że ktoś się do tego dokopie i narobi szumu, jak to porzuciłem pierwszą żonę z małym dzieckiem i od tamtej pory prawie nie utrzymuję z nimi kontaktu. Ale wiesz co, Pat? Do niczego takiego nie doszło. Mimo nieczystej kampanii w tym mieście pełnym brudów nikt się nie dogrzebał prawdy. Zatem na pewno nikt nie wie o moich powiązaniach z Jasonem i Diandrą.

- A co...

- Miło mi się z tobą rozmawiało, Pat. Przekaż swojemu ojcu pozdrowienia od Stana Timpsona. Jakoś dawno go nie widziałem. Gdzie on się ostatnio podziewa?

- Na cmentarzu Cedar Grove.

- Zatrudnił się jako grabarz? No nic, muszę kończyć. Trzymaj się, Pat.

- Ten chłopak jest jeszcze większym dziwkarzem od ciebie, Patricku - oznajmiła Angie.

- Nie przesadzasz?

Czwartego dnia obserwacji Jasona Warrena zaczęliśmy się czuć tak, jakbyśmy śledzili młodego Valentino. Diandra wymusiła na nas przyrzeczenie, że jej syn o niczym się nie dowie, że nie naruszymy jego „rozbudowanego do przesady” poczucia prywatności, gdyż chłopak nawet nie dopuszcza do siebie myśli, że ktoś mógłby kontrolować czy próbować odmienić jego los.

Pomyślałem, że i ja miałbym rozbudowane do przesady poczucie prywatności, gdybym umawiał się na randki z trzema kobietami jednego dnia.

- To tylko hat-trick - dodałem.

- Co? - zdziwiła się Angie.

- Do tego hat-trick w środę, a nie w sobotę, co chyba pozwala wciągnąć go na listę najlepszych strzelców sezonu.

- Wszyscy faceci to świnię.

- Zgadza się.

- Nie rozumiem, dlaczego się tak chytrze uśmiechasz.

Jeżeli Jason rzeczywiście był „prześladowany”, przede wszystkim należało podejrzewać jedną z porzuconych kochanek, jakąś rozczarowaną dziewczynę, której

nie przypadła do gustu rola trofeum, numeru drugiego albo trzeciego w spisie codziennych zdobyczy. Prowadziliśmy jednak obserwację od ponad osiemdziesięciu godzin i dotąd nie zauważyliśmy, by ktoś oprócz nas go śledził. Zresztą był stosunkowo łatwym celem. Całe dni spędzał na zajęciach, umawiając się ze swoim współlokatorem (lekkoduchem z Oregonu, któremu najwyraźniej odpowiadał taki układ, ponieważ mógł o siódmej wieczorem, pod nieobecność Jasona, urządzać w akademiku huczne popijawy), potem zwykle do zachodu słońca czytał coś w parku, zjadał spóźniony obiad w uniwersyteckim barze, najczęściej w towarzystwie samych dziewcząt, po czym około północy wyruszał na łowy.

Kobiety, z którymi sypiał - przynajmniej te trzy, jakie dotąd widzieliśmy - zdawały się bez zazdrości przyjmować fakt, że nie są jedynymi w jego życiu. Zresztą, wszystkie były do siebie przynajmniej trochę podobne. Ubierały się na czasie, zwykle na czarno, w rzeczy pełne modnych rozcięć i dziur. Do tego nosiły tandetną krzykliwą biżuterię, wybieraną raczej świadomie, wzięwszy pod uwagę skórzane obicia samochodów, którymi jeździły, bądź drogie importowane kurtki, buty oraz torebki z prawdziwej skóry. Należały więc do zwolenniczek postmodernizmu i według jego kanonów próbowały się wtopić w otoczenie, kosztownymi drobiazgami manifestując niechęć do kultury materialnej, bez której nie mogły się obyć. Przynajmniej tak to postrzegałem. Żadna z nich nie miała chłopaka na stałe.

Wszystkie bez wyjątku były studentkami Akademii Sztuk Pięknych i Nauk Ścisłych. Gabrielle studiowała literaturę angielską, a Lauren historię sztuki, choć większość wolnego czasu spędzała, grając w żeńskiej kapeli ska/punk/speed-metalowej i ewidentnie zbyt poważnie brała do serca historie w rodzaju Courtney Love czy Kim Deal. Natomiast Jade, drobna i szczupła, klnąca jak szewc, była malarką.

Żadna z nich nie była wielką miłośniczką higieny osobistej. Mnie by to przeszkadzało, ale Jason najwyraźniej nie przywiązywał wielkiej wagi do czystości. Sam też niezbyt często się kąpał. Jeśli nawet nie byłem przesadnie konserwatywny w stosunku do kobiet, to jednak nigdy bym nie zrezygnował z zasad dotyczących higieny, jak też umieszczania metalowych ozdób na intymnych częściach ciała, przez co wyszedłbym zapewne na starego pryka i nudziarza.

Jednakże Jasonowi to chyba wisiało. O ile zdążyliśmy się przekonać, należał do przodujących babiarzy w akademiku. W środę ledwie się wygrzebał z łóżka Jade, zaciągnął ją do baru o nazwie „Harper's Ferry”, tam zaś spotkali Gabrielle. Jade

została przy stoliku, podczas gdy Jason i Gabrielle wcisnęli się na tylne siedzenie należącego do niej bmw, gdzie doszło do kontaktu oralno-genitalnego, którego miałem nieszczęście być naocznym świadkiem. Kiedy wrócili, Gabrielle i Jade poszły do damskiej toalety i tam, jeśli wierzyć Angie, podzieliły się intymnymi szczegółami wzajemnych wyczynów.

- Podobno ma grubego jak pyton - podsumowała moja współpracownica.

- Zdaje się, że to nie rozmiar...

- Powtarzaj to sobie częściej, Patrick, a któregoś dnia uznasz za prawdę objawioną.

Cała trójka przeniosła się następnie do klubu „Bear's Place” przy Central Square, gdzie Lauren ze swoim zespołem robiła tyle hałasu, co banda głuchych jak pień jaskiniowców. Po zakończeniu występu Jason odwiózł ją do domu. W jej sypialni zapalili orientalne kadzidełka i rznęli się jak niezaspokojone krowy morskie niemal do białego świtu, słuchając starych nagrań Patty Smith.

Nazajutrz wieczorem w jeszcze innym barze w North Harvard wpadłem na niego, wychodząc z toalety. Wpatrywałem się w tłum, próbując namierzyć Angie i nie zauważyłem Jasona, dopóki nie huknął mnie ramieniem w pierś.

- Szukasz kogoś? - zapytał.

- Słucham? - zapytałem zdziwiony.

Łobuzersko łypnął na mnie okiem, ale nie było w tym nawet cienia zaczepki. Jego oczy połyskiwały zielono, odbijając światła reflektorów migających nad sceną.

- Zapytałem, czy kogoś szukasz - powtórzył, przypalając papierosa, po czym wyjął go z ust tą samą ręką, w której trzymał szklaneczkę szkockiej whisky.

- Owszem, mojej dziewczyny - odparłem. - Wybacz, że się zagapiłem.

- Nie ma sprawy - rzucił, przekrzykując zawrodo gitarę solowej. - Wyglądasz, jakbyś całkiem się zgubił. Powodzenia.

- Co mówisz?

- Powodzenia! - wrzasnął mi prosto do ucha. - W poszukiwaniu dziewczyny i w ogóle!

- Dzięki.

Odwrócił się z powrotem do Jade i szepnął jej coś na ucho. Wybuchnęła gromkim śmiechem. Zacząłem się dalej przeciskać przez tłum.

- Na początku to było nawet zabawne - zauważyła Angie czwartego dnia.

- Co?

- Nasze podglądactwo.

- Nie lekceważ tego. To bardzo ważny element życia amerykańskiego społeczeństwa.

- Nie lekceważę, tylko zaczyna mnie nudzić obserwowanie, jak ten chłopak posuwa wszystko, co nie jest przybite gwoździami do ściany. Rozumiesz? - Pokiwałem głową. - Chyba doskwiera im samotność.

- Komu?

- Im wszystkim. Jasonowi, Gabrielle, Jade, Lauren.

- Samotność? Może i tak. W każdym razie świetnie im wychodzi ukrywanie tego przed całym światem.

- Ty też się tak ukrywałeś, Patricku. Dokładnie tak samo.

- O rety - mruknąłem.

Pod koniec czwartego dnia podzieliliśmy się obowiązkami. Jak na chłopaka, który jednego dnia potrafił zaliczyć tyle kobiet, barów i klubów, Jason sprawiał wrażenie nad podziw zorganizowanego. Można było przewidzieć niemal co do minuty, gdzie go szukać w danej chwili. Toteż tego wieczoru pojechałem do domu, zostawiając Angie obserwację jego pokoju w akademiku.

Gdy szykowałem obiad, zadzwoniła, by powiedzieć, że Jason prawdopodobnie urządził się na całą noc z Gabrielle w swoim pokoju. Zamierzała się więc zdrzemnąć, by podjąć obserwację przed południem, kiedy będzie się wybierał na uczelnię.

Po obiedzie usiadłem na werandzie, by popatrzeć, jak ulica pustoszeje w zapadającym chłodzie nocy. Okazało się jednak, że po zachodzie słońca temperatura zaczęła gwałtownie spadać. Księżyc błyszczał na niebie niczym okruch suchego lodu, a w powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach przypominający zaduch męskiej szatni po zakończonym meczu futbolowym. Wzdłuż ulicy wiał lekki acz nieprzyjemny wiatr, który szemrał w koronach drzew, jak gdyby naigrawając się z ostatnich pozostałych na gałęziach żółtych liści.

Ledwie zdążyłem wrócić do pokoju, gdy zadzwonił Devin.

- Co się stało? - zapytałem.

- Jak to?

- Nigdy nie dzwonisz, żeby pogawędzić. To nie w twoim stylu.

- Może ostatnio się zmieniłem?
- Nie wierzę. Mruknął gardłowo.
- W porządku. Musimy porozmawiać.
- *Porque?*

- Bo ktoś właśnie przypalił dziewczynę na Meeting House Hill. Nie znaleźliśmy przy niej żadnych dokumentów, a chciałbym wiedzieć, kto to jest.

- Co to może mieć wspólnego ze mną?
- Może i nic, ale umarła, ściskając w ręku twoją wizytówkę.
- Moją?

- Tak, twoją - odparł. - Meeting House Hill. Spotkamy się tam za dziesięć minut.

Rozłączył się, ale ja siedziałem jeszcze przez jakiś czas ze słuchawką przy uchu, słuchając przerywanego sygnału - siedziałem sztywno wyprostowany, jakbym podświadomie oczekiwał, że dowiem się od linii telefonicznej, iż zabita dziewczyna znaleziona na Meeting House Hill to nie jest Kara Rider. Niczego jednak nie usłyszałem. Linia była całkiem niema.

9

Nim dojechałem na Meeting House Hill, temperatura spadła niemal do zera. Zrobiło się nieprzyjemnie zimno i choć prawie nie było wiatru, dotkliwy chłód przenikał do kości, jak gdyby zagęszczając krew w żyłach drobinami lodu.

Wzgórze Meeting House należy do linii granicznej oddzielającej naszą dzielnicę od Field's Corner. Jego podstawa leży poniżej poziomu zabudowań, a prowadzące na szczyt wąskie uliczki są tak strome, że po ubitym śniegu trudno nań wjechać nawet na trzecim biegu. W miejscu, gdzie wszystkie się zbiegają, znajduje się rozległy plac przypominający wielką szachownicę z betonu i asfaltu, rozdzielający zarośnięty szczyt wzgórza od grupy skromnych zabudowań, tak rozrzuconych, że można by bezpiecznie odpalać między nimi rakiety, dopóki by się nie trafiło w ośrodek opieki społecznej albo tutejszy bar.

Gdy Devin przywitał mnie na parkingu i poprowadził w kierunku szczytu wzgórza, dzwon na wieży kościoła Świętego Piotra zabił tylko raz. Jego dźwięk rozniósł się w przejrzystym mroźnym powietrzu niczym głos dawno zapomnianego bóstwa. Mróz zaczynał powoli ścinać ziemię, długie źdźbła pożółklej trawy już trzeszczały pod stopami.

W pierwszej chwili zauważyłem tylko sporą grupkę stojącą w kręgu światła pod samotną latarnią na szczycie. Obejrzałem się na Devina i zapytałem:

- Ściągnąłeś tu całą ekipę dyżurną komendy?

Zerknął na mnie z ukosa, tuląc głowę w ramionach.

- A co? Wolałbyś, żeby o zwłokach najpierw roztrąbiła telewizja? Żeby zwaliły się tu ekipy reporterskie i tłumy gapiów, zdeptując miejsce zbrodni? - Spojrzał w kierunku gromadki domków jednorodzinnych po drugiej stronie placu. - Zabójstwo w takim miejscu ma również swoje dobre strony, bo choć trudno o świadków, to nikogo nic nie obchodzi i nikt nie włązi nam w paradę.

- Skoro nikogo nic nie obchodzi, to od nikogo niczego się nie dowiesz na ten temat, Devin.

- Oprócz zalet muszą też być jakieś wady.

W gromadzie gliniarzy najpierw rozpoznałem tylko jego partnera, Oscara Lee. To chyba najwyższy facet, jakiego w życiu spotkałem, przy nim Michael Jordan wydawałby się najwyżej średniego wzrostu i nawet Bubba musiałby wyglądać niepozornie. Skórzana czapka z daszkiem na czubku jego czarnej głowy przypominała połówkę cyrkowego namiotu. Palił cygaro, które cuchnęło jak portowe nabrzeże po katastrofie tankowca.

Odwrócił się w naszym kierunku i burknął:

- Po cholere ściągnąłeś tu Kenziego, Devin?

Po nim zawsze można się było spodziewać ciepłego i serdecznego powitania.

- Z powodu wizytówki. Już zapomniałeś?

- Myślisz, że on zidentyfikuje dziewczynę?

- Spróbuję, jeśli pozwolisz mi rzucić na nią okiem, Oscar.

Wzruszył ramionami.

- Za życia pewnie wyglądała trochę lepiej.

Odsunął się nieco, odsłaniając mi zwłoki leżące w kręgu światła latarni.

Dziewczyna była prawie naga, miała na sobie tylko błękitne satynowe majtki. Jej ciało zdążyło wyraźnie spuchnąć czy to od mrozu, czy od stężenia pośmiertnego. Włosy odgarnięte z czoła do tyłu odsłaniały szeroko rozwarte oczy i usta o mocno posiniałych wargach. Sprawiała takie wrażenie, jakby wpatrywała się w jakiś punkt na niebie ponad moim ramieniem. Szczupłe ręce i nogi były szeroko rozstawione, czarne kałuże stężącej krwi ciemniały wokół jej szyi, obróconych ku górze dłoni i kostek zwróconych na boki stóp. Zarówno pośrodku dłoni, jak i pod kostkami można było dostrzec na zakrwawionym ciele drobne koliste metalowe łebki.

To była Kara Rider.

Została ukrzyżowana.

- Trzycalowe gwoździe - oznajmił później Devin, kiedy zakotwiczyliśmy w tawernie „Black Emerald”. - Najbardziej rozpowszechnione. Można je znaleźć chyba w każdym domu w tym mieście. Używają ich wszyscy stolarze.

- Stolarze? - powtórzył Oscar.

- Zgadza się. Można założyć, że sprawca jest stolarzem przejętym historią ukrzyżowania Chrystusa, który postanowił ją odtworzyć, żeby zyskać miano bohatera swojej chwalebnej profesji.

- Nie zapisujesz tego? - zwrócił się do mnie Oscar.

Przyjechaliśmy do baru w poszukiwaniu Micky'ego Dooga, z którym po raz ostatni widziałem Karę żywą, okazało się jednak, że po wyjściu z tawerny wczesnym popołudniem nie pokazał się tu już wieczorem. Devin dostał jego domowy adres od Gerry'ego Glynnna, właściciela baru i od razu wysłał tam patrol, ale matka Micky'ego nie widziała go od wczoraj.

- Dzisiaj rano byli tu całą grupą - zeznał Gerry. - Oprócz Kary i Micky'ego widziałem Johna Buccierriego i Michelle Rourke. Przed kilku laty wszyscy należeli do jednej paczki.

- I wyszli razem?

Przytaknął ruchem głowy.

- Właśnie przyszedłem, kiedy zbierali się do wyjścia. Byli już nieźle wstawieni, chociaż ledwo minęła dwunasta. Szkoda Kary, była bardzo miłą dziewczyną.

- Była - powtórzył Oscar. - Bo już nie jest.

Teraz dochodziła druga w nocy i my również mieliśmy już nieźle w czubie.

Pies Gerry'ego, Patton, wielki owczarek niemiecki, czarny w beżowe łaty, leżał na kontuarze jakieś trzy metry dalej i groźnie łypał na nas okiem, jakby się zastanawiał, czy już powinien nam pozabierać kluczyki od samochodów. W końcu ziewnął szeroko, wywalając długi ozór przypominający plaster świeżego soczystego bekonu i odwrócił łeb, ostentacyjnie udając brak zainteresowania.

Kiedy na wzgórzu pojawił się wreszcie dyżurny patolog, musiałem stać jeszcze dobre dwie godziny, przytupując z zimna, czekając, aż zwłoki zostaną zapakowane do karetki i odwiezione do kostnicy, technicy pozbierają wszystkie dowody rzeczowe, a Devin z Oscarem skończą obchód domków jednorodzinnych, próbując ustalić, czy ktoś nie zauważył czegoś podejrzanego. Oczywiście nikt niczego nie słyszał, bo kobiece krzyki po nocach były w tej okolicy czymś tak powszechnym, że ludzie przestali zwracać na nie uwagę, podobnie jak na wycie alarmów na ciasno zastawionej

samochodami ulicy.

Po włóknach tkaniny, które Oscar zauważył na zębach zabitej, oraz gęstej konsystencji krwi w miejscach, gdzie gwoździe przebiły jej ciało na wylot i unieruchomiły zwłoki na zmarzniętej ziemi, wspólnie z Devinem ustalili następujący przebieg zabójstwa: Doszło do niego gdzie indziej, przy czym sprawca najpierw zakneblował ofiarę chusteczką do nosa albo innym skrawkiem luźno tkanego materiału, a następnie ostrym narzędziem, czubkiem wąskiego noża bądź szpikulcem do lodu, przebił jej krtań, by odebrać dziewczynie głos i w spokoju obserwować, jak kona, czy to pod wpływem szoku, czy na atak serca albo od uduszenia własną krwią. Dopiero później z niewiadomych powodów przetransportował jej ciało na Meeting House Hill i ukrzyżował, przybijając gwoździami do ziemi.

- Musi być z niego niezły przyjemniaczek - podsumował Devin.

- Pewnie wystarczyłoby go przytulić i pogłaskać po główce, żeby natychmiast odzyskał wrodzony optymizm - wycedził Oscar.

- Przecież nie ma ludzi z założenia złych - zaprotestował jego kolega.

- No to jesteś cholernie naiwny.

Prawie się nie odzywałem od czasu, gdy ujrzałem zwłoki Kary. W przeciwieństwie do policjantów nadal doznaję silnego wstrząsu na widok trupa. To fakt, że widziałem już niejedno, ale w żadnym wypadku nie mogłem się równać z profesjonalistami w tym zakresie.

- Dłużej tego nie wytrzymam - mruknąłem.

- Wytrzymasz, wytrzymasz - syknął Devin.

- Napij się jeszcze - zaproponował Oscar i skinął głową Gerry'emu.

Glynn wykupił „Black Emerald” zaraz po odejściu z policji, toteż choć zwykle zamykał o pierwszej, nigdy nie wypraszał kolegów po służbie. Błyskawicznie postawił przed nami jeszcze jedną kolejkę drinków i wycofał się na swoje miejsce w drugim końcu baru. W roli barmana stanowił prawdziwy wzór do naśladowania.

- Ukrzyżowana - powtórzyłem chyba po raz dwudziesty tego wieczoru, zanim Devin przysunął mi szklankę z piwem.

- Co do tego jesteśmy całkowicie zgodni, Patricku.

- Devin - mruknąłem, spoglądając na niego przez coraz gęściejszą mgłę przesłaniającą mi wzrok, wkurzony, że nawet przez chwilę nie da mi spokojnie pomyśleć. - Przecież Kara miała dopiero dwadzieścia dwa lata. Pamiętam jeszcze, jak jeździła w wózekku.

Wpatrywał się we mnie bez słowa równie mętym wzrokiem, więc popatrzyłem na Oscara. Obracał w ustach wygasłe, do połowy wypalone cygaro i spoglądał na mnie jak na mebel, którego nie ma gdzie postawić.

- Kurwa mać - syknąłem.

- Daj spokój, Patricku - odezwał się Devin. - Słuchasz mnie? Obróciłem się w jego stronę i na chwilę przestał kręcić głową.

- Czego chcesz?

- To prawda, że miała dopiero dwadzieścia dwa lata. Była jeszcze dzieckiem. Ale jej śmierć odebrałbyś tak samo, gdyby miała lat czterdzieści albo pięćdziesiąt. Śmierć zawsze pozostanie śmiercią, a morderstwo morderstwem. Więc nie pogrążaj się w rozpacz, wspominając jej młody wiek. To fakt, że została zamordowana. W sposób okrutny. Ale... - Urwał, pochylił się nisko nad kontuarem, przymknął jedno oko i zapytał: - Partnerze? Pamiętasz, jakie „ale” zawsze powtarzam przy takich okazjach?

- Nieważne - podjął Oscar - czy ofiara jest mężczyzną, czy kobietą, bogata czy biedna, młoda czy stara...

- Biała czy czarna - wtrącił Devin.

- Biała czy czarna - powtórzył Oscar, zerkając na niego z ukosa. - Wystarczy, że została zamordowana, Kenzie. W sposób okrutny.

Popatrzyłem na niego.

- Miałeś już do czynienia z tak odrażającą zbrodnią?

Oscar zachichotał.

- Widziałem dużo bardziej odrażające, Kenzie.

Obejrzałem się na Devina.

- A ty?

- Też. Jasne. - Pociągnął duży łyk piwa. - Świat jest okrutny, Patricku. Ludzie uwielbiają zabijać. Bo to...

- Daje im namiastkę władzy - dokończył Oscar.

- O, właśnie. Gdzieś w głębi duszy morderca czuje się Bogiem, jakby rzeczywiście posiadał nieograniczoną władzę. - Devin wzruszył ramionami. - Tylko po co ci o tym mówię? Sam powinieneś dobrze znać to uczucie.

- Słucham?

Oscar położył mi na ramieniu dłoń wielkości rękawicy bokserskiej.

- Przecież wszyscy wiedzą, Kenzie, że to ty w ubiegłym roku załatwiłeś Mariona Socję. Podejrzewamy, że masz też na sumieniu kilku punktów z ośrodka Melnea Cass.

- Co takiego? Więc czemu mnie nie aresztowaliście?

- Daj spokój, Patricku - bąknął Devin, któremu język zaczynał się trochę plątać. - Gdyby to od nas zależało, za Socie dostałbyś medal. Zasłużył sobie na śmierć. Jeśli o mnie chodzi, tylko się ucieszyłem. Ale... - Znowu przymknął jedno oko. - Nie powiesz mi, że gdzieś w najgłębszych zakamarkach duszy nie czułeś się jak Bóg, patrząc, jak w jego oczach gaśnie blask, gdy dostał kulkę w łeb.

- Zostawię to bez komentarza.

- Dobrze wiesz, że on ma rację, Kenzie - dodał Oscar. - Jest wstawiony, ale jeszcze dobrze gada. Kiedy się natknąłeś na tę kupę gówna i spojrzaleś mu w oczy, bez wahania położyłeś go trupem. - Wyciągnął rękę, jakby trzymał w niej rewolwer i wymierzył dwa palce w moje czoło. - Bach! Bach! - Cofnął rękę. - I już nie ma Mariona Socii. W takiej chwili, choćby na krótko, każdy musi się poczuć jak Bóg, no nie?

To, co naprawdę czułem, strzelivszy do Mariona Socii pod estakadą autostrady, gdy huk wystrzałów skutecznie zagłuszył donośny łoskot przejeżdżających nad nami ciężarówek, stanowiło chyba najbardziej złożony zestaw sprzecznych emocji, jakiego w życiu doświadczyłem. Pod żadnym pozorem nie zamierzałem jednak rozwozić się na ten temat w barze, w obecności dwóch śledczych z wydziału zabójstw, zwłaszcza że miałem nieźle w czubie. Niewykluczone, że to przejaw paranoi.

Devin uśmiechnął się szeroko.

- Nie oszukujmy się, Patricku. Zabójstwo fantastycznie wpływa na ludzką psychikę.

Zbliżył się do nas Glynn.

- Nalać wam jeszcze po jednym, chłopcy?

Devin ochoczo przytaknął ruchem głowy.

- A ty, Ger? - Glynn zatrzymał się w pół kroku. - Zabiłeś kiedyś kogoś na służbie?

Gerry spuścił głowę, jakby już nieraz musiał odpowiadać na podobne pytanie.

- Nigdy nie wyciągnąłem nawet broni z kabury.

- Nie? - zdziwił się Oscar.

Glynn wzruszył ramionami, najwyraźniej pograżając się we wspomnieniach z dwudziestoletniej służby w policji. W zamyśleniu podrapał Pattona po brzuchu i odparł:

- To były zupełnie inne czasy. Powinniście jeszcze je pamiętać.

Devin pokiwał głową.

- Masz rację, zupełnie inne.

Gerry sięgnął po moją szklanę, żeby dolać piwa.

- I żyło się całkiem inaczej.

- To prawda, żyło się inaczej - przyznał Devin.

Postawiwszy przed nami pełne szklanki, Glynn oparł się łokciami o kontuar i rzekł:

- Szkoda, że nie mogę wam więcej w niczym pomóc, chłopcy.

Popatrzyłem na Devina.

- Czy ktoś już zawiadomił matkę Kary?

- Podobno zemdląca w kuchni, kiedy się dowiedziała. - Smętnie pokiwał głową. - Ocucili ją i powiedzieli całą prawdę. Ktoś na pewno siedzi teraz przy niej.

- Musimy dorwać tego Micky'ego Dooga, Kenzie - odezwał się Oscar. - Pewnie to nie on zamordował dziewczynę, może nawet uczestniczyła w tym cała banda, ale i tak dopadniemy sprawcę. Za kilka godzin, jak ludzie wstaną z łóżek, wrócimy na wzgórze i zaczniemy rozpytywać od początku. Ktoś musiał coś zauważyć. A gdy już zgarniemy tego skurwysyna, damy mu nieźle do wiwatu. Tak się z nim zabawimy, że wszystko wyśpiewa. Wiem, że to nie wróci Karze życia, ale może choć trochę wyrówna nasz dług wobec niej.

- Tak, ale... - zacząłem cicho.

Devin pochylił się w moją stronę.

- Ten kutas, który to zrobił, już jest martwy, Patricku. Możesz mi wierzyć.

Bardzo chciałem w to wierzyć. Naprawdę.

Przed wyjściem z baru, gdy Devin i Oscar poszli do toalety, otrząsnąłem się trochę z pijackiego zamroczenia, podniosłem głowę i napotkałem zaciekawione spojrzenia Gerry i Pattona. Przez cztery lata, to znaczy od chwili, gdy Glynn kupił sobie psa, wydawało mi się, że Patton potrafi tylko ujadać. Teraz jednak wystarczyło mi jedno spojrzenie w głąb jego błyszczących mądrych oczu, by zyskać przeświadczenie, że lepiej mu nie wchodzić w drogę. Te psie ślepia umiały zapewne patrzeć na Gerry'ego na czterdzieści różnych sposobów, od miłości do współczucia, ale dla wszystkich obcych miały tylko jeden przekaz: rzetelne ostrzeżenie.

Glynn podrapał owczarka między uszami i zapytał:

- Więc ją ukrzyżowali?

Przytaknąłem ruchem głowy.

- Jak sądzisz, Patricku, ile razy podobne zbrodnie wydarzyły się w tym mieście? -

zapytał.

Wzruszyłem ramionami, nie ufając już w zdolności artykułowanej mowy własnego języka.

- Pewnie nie za często - mruknął Glynn, spoglądając, jak Patton liże go po rękę.

Chwilę później Devin wrócił na salę.

Tej nocy śniła mi się Kara Rider.

Szedłem przez pole kapusty, na którym pasły się wielkie czarne krowy, a między główkami kapusty z ziemi wyłaniały się głowy ludzi, ale ich twarze nie mogłem rozpoznać. W oddali paliło się miasto, na tle płomieni widziałem ojca stojącego na szczycie drabiny wozu strażackiego i kierującego na pożar strumień benzyny z węża.

Pożar błyskawicznie się rozszerzał i wkrótce dotarł na skraj kapuścianego pola. Wszędzie dokoła ludzkie głowy wystające z ziemi nagle zaczęły coś mówić, początkowy nierozpoznawalny bełkot stopniowo przekształcił się w artykułowane słowa, zacząłem wyławiać zdania:

- Wyraźnie czuję dym - odezwała się któraś głowa.

- Zawsze to powtarzasz - odpowiedziała jedna z krów. Splunęła przerzutą trawą na odchylony zewnętrzny liść kapusty, a w tej samej chwili spod ogona wypadło jej świeżo narodzone cielę i zaczęło się nieporadnie gramolić przy jej tylnych nogach.

Później doleciały mnie krzyki przerażonej Kary. Rozglądałem się, lecz w powietrzu było coraz więcej smolistego dymu, który szczypał w oczy. Dziewczyna zaczęła mnie wołać po imieniu, podczas gdy ja nie byłem już w stanie odróżnić ludzkich głów od kapusty. Do tego krowy ryczały donośnie, wzmagał się wiatr przynoszący smugi dymu i gdy w końcu krzyki Kary umilkły, dostrzegłem z ulgą, że płomienie są już u moich stóp. Usiadłem więc na środku pola, tyłem do wiatru i przyglądałem się w spokoju, jak wszystko wokół ogarnia pożoga, a ryczące krowy dalej żują trawę, przestępując tylko z nogi na nogę, jakby niezdolne nawet do tego, by ruszyć się z miejsca.

Obudziłem się zlany potem i zadyszany, z trudem łapiąc powietrze, jak mi się zdawało, wciąż cuchnące palonym ludzkim ciałem. Uniosłem się na łokciu, popatrzyłem na zmiętą pościel i pełen obaw, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi, obiecałem sobie w duchu, że już nigdy nie będę pił z Oscarem i Devinem.

10

Padłem do łóżka około czwartej nad ranem, surrealistyczny sen jakby rodem z obrazów Salvadora Dali obudził mnie koło siódmej i nie mogłem zasnąć mniej więcej do ósmej.

Nie miało to jednak żadnego znaczenia dla Lyle'a Dimmicka i jego ukochanego Waylona Jenningsa. Punktualnie o dziewiątej rozległ się jego charakterystyczny głos w piosence o kobiecie, która go zdradziła, a skrzekliwe dźwięki tanich skrzypek wstrząsnęły okienną ramą w mej sypialni i zaczęły mi tłuc porcelanę pod czaszką.

Lyle Dimmick był spalonym przez słońce na brąz malarzem pochodzącym z Odessy w Teksasie, który przyjechał tu za swoją kobietą. Odnalazł ją i odzyskał, potem znów stracił, jeszcze raz odzyskał, by w końcu stracić ostatecznie po tym, jak poznała w miejscowym pubie irlandzkiego hydraulika i swymi opowieściami zdołała przekonać go, że w głębi serca wolałby jednak zostać farmerem w Odessie.

Prawie wszystkie szeregowy domy na tym osiedlu, nie licząc mojego, należały do Eda Donnagana, który raz na dziesięć lat przystępował do ich malowania i za każdym razem najmował do tej roboty tylko jednego malarza, zawsze pracującego samotnie, odnawiającego je wytrwale w słońcu, w deszczu, czy na mrozie.

Lyle paradował wiecznie w kapeluszu z gigantycznym rondem, z czerwoną apaszką zawiązaną pod szyją i w ciemnych „smoczycach” okularach, które zasłaniały niemal pół jego małej, pokrytej pryszczami twarzy. Sądził widocznie, że takie okulary są nieodzownym atrybutem każdego mieszczucha, lecz było to jego jedyne ustępstwo

wobec wymogów bezbożnego jankeskiego życia, gdzie nikt nie cenił trzech największych boskich darów dla ludzkości, to znaczy Jacka Danielsa, Koni oraz, rzecz jasna, piosenek Waylona Jenningsa.

Wsunąłem głowę pod żaluzje i wyjrzałem przez okno. Stał plecami do mnie i malował drzwi sąsiedniego domu. Muzyka grała tak głośno, że nie było nawet sensu krzyknąć, toteż wycofałem się i zamknąłem oba okna, przez co udało mi się zredukować Waylona do stłumionego głosu rozbrzmiewającego głównie w mojej głowie. Wśliznąłem się z powrotem do łóżka, zamknąłem oczy i zacząłem się w duchu modlić o ciszę.

Ale moja modlitwa nie dotarła do Angie, która obudziła mnie parę minut po dziesiątej, hałaśliwie krzątając się po mieszkaniu. Najpierw nastawiła ekspres do kawy, potem zaczęła myszkować w lodówce, wreszcie pootwierała okna, żeby wpuścić świeże rześkie powietrze, a wraz z nim kolejną piosenkę Waylona czy też Merle'ego albo Hanka Juniora.

Kiedy i to nie poderwało mnie z łóżka, otworzyła szeroko drzwi sypialni i rozkazała głośno:

- Wstawaj.
- Daj mi spokój - mruknąłem, naciągając kołdrę na głowę.
- Wstawaj, skarbie. I to już. Nudzę się bez ciebie.

Rzuciłem w nią poduszką, ale zdążyła się uchylić. Z jadalni doleciał brzęk tłuczonych naczyń.

- Mam nadzieję, że nie były to talerze z twojego ulubionego kompletu - powiedziała.

Wstałem, owijając się od pasa w dół kołdrą, żeby ukryć przed nią moje bokserki ze świecą w ciemności podobizną Marvina Marsjanina i podreptałem do kuchni.

Angie stała na środku, trzymając oburącz kubek parującej kawy. Przestrzeń między stołem a zlewem była usiana resztkami kilku talerzy.

- Chcesz kawy? - zapytała.

Znalazłem miotłę i zacząłem sprzątać odłamki z podłogi. Angie odstawiła kubek na stół i kucnęła, podstawiając mi śmietniczkę.

- Czyżby nadal było ci obce pojęcie solidnego nocnego wypoczynku?
- Zanadto go cenisz. - Ostrożnie podniosła większy odłamek szkła i wrzuciła do kosza.

- Czyżby? Skąd to wiesz, jeśli sama nigdy tego nie próbowałaś.

Dwoma palcami podniosła następny kawałek stłuczonej szklanki.

- Patricku, to nie moja wina, że przez całą noc aż do świtu piłeś z kumplami.

Kumplami?

- Skąd w ogóle wiesz, że z kimś piłem?

Wyrzuciła ostatni większy odłamek szklanki i wstała.

- Bo masz worki pod oczami w takim odcieniu zieleni, jakiego jeszcze nigdy u ciebie nie widziałam, a z samego rana odsłuchałam na automatycznej sekretarce wiadomość nagraną tak bełkotliwym pijackim głosem, że ledwie mogłam coś zrozumieć.

- Aha. - Z niemałym trudem przypomniałem sobie krótki postój przy budce telefonicznej w drodze powrotnej do domu. - I co było w tej wiadomości?

Wzięła ze stołu kubek z kawą, oparła się o pralkę i odrzekła:

- Coś w rodzaju: „Gdzie jesteś? Już trzecia nad ranem, sprawy się popieprzyły i musimy pogadać”. Było coś dalej, ale nie zrozumiałam ani słowa, bo zacząłeś mówić w zupełnie obcym dla mnie języku suahili.

Odstawiłem miotłę i śmietniczkę, schowałem wiadro ze śmieciami do szafki i nalałem sobie kawy.

- Nawiasem mówiąc, gdzie byłeś o trzeciej nad ranem?

- Znowu chcesz mi zastępować ojca? - Zmarszczyła brwi i lekko uszczypnęła mnie w bok tuż nad brzegiem kołdry, którą byłem owinięty. - Zaczyna ci przyrastać mięsień piwny.

- To nie jest żaden mięsień - mruknąłem, sięgając po słoik ze śmietanką w proszku.

- A wiesz dlaczego? Bo nadal pijesz piwo w takich ilościach, jakbyś ciągle mieszkał w akademiku.

Zerknąłem na nią z ukosa, odmierzając sobie łyżeczkę śmietanki do kawy.

- Zamierzasz odpowiedzieć na moje pytanie, czy nie?

- Naprawdę chcesz wiedzieć, gdzie spędziłam noc?

- Owszem.

Pociągnęła łyk kawy, spoglądając na mnie znad krawędzi kubka.

- Nie powiem. Wiedz tylko, że obudziłam się rano w cudownym nastroju, z lekkim szumem w głowie i szerokim uśmiechem. Bardzo szerokim.

- Takim jak teraz?

- Szerszym.

- Aha.

Dźwignęła się i przysiadła na brzegu pralki.

- Skoro zadzwoniłeś do mnie o trzeciej nad ranem mimo stanu, w jakim się znajdowałeś, zapewne nie chodziło ci tylko o kontrolę mojego życia seksualnego. - Przypaliła papierosa. - Więc co się stało?

- Pamiętasz Karę Rider?

- Pewnie.

- Tej nocy została zamordowana.

- Niemożliwe! - Oczy jej się rozszerzyły.

- A jednak. - Z powodu zwiększonej porcji śmietanki moja kawa smakuje jak mleczna odżywka dla niemowląt. - Ktoś ją ukrzyżował na Meeting House Hill.

Angie zamknęła oczy, lecz zaraz je otworzyła i zapatrzyła się w rozżarzony czubek papierosa, jakby usiłowała coś z niego wyczytać.

- Masz pojęcie, kto mógł to zrobić? - zapytała w końcu.

- Jeśli mam być szczerzy, nie widziałem nikogo, kto by się kręcił w pobliżu z zakrwawionym młotkiem, podśpiewując: „O rety, o rety, uwielbiam krzyżować kobiety!”.

Bez namysłu wylałem zawartość kubka do zlewu.

- Czy z tego powodu chcesz dzisiaj zrezygnować z pracy? - spytała cicho.

Nalałem sobie do kubka świeżej kawy.

- Jeszcze nie wiem. Jest dość wcześnie.

Kiedy się odwróciłem, pospiesznie zsunęła się z pralki i stanęła na wprost mnie.

Przed oczyma stanął mi widok zwłok drobnej i szczupłej Kary leżących na zmarzniętej ziemi, niemal całkiem nagich, opuchniętych, ze szklistymi oczyma wpatrzonymi w dal.

- Wczoraj rano spotkałem ją przed barem „Emerald” - powiedziałem. - Tknęło mnie dziwne przeczucie... sam nie wiem... że popadła w jakieś kłopoty albo coś w tym rodzaju... W każdym razie je zlekceważyłem. Spieprzyłem sprawę.

- I co? - zdziwiła się Angie. - Dręczą cię przez to wyrzuty sumienia?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wolno ci tak myśleć, Patricku. - Przytknęła ciepłą dłoń do mego policzka, tym samym zmuszając mnie, bym spojrzał jej w oczy. - Rozumiesz?

Przemknęło mi przez głowę, że nikt nie powinien umierać tak jak Kara.

- Rozumiesz? - powtórzyła Angie.

- Tak - burknąłem. - Chyba tak.

- Żadnego „chyba”. - Cofnęła rękę, wyjęła z torebki dużą białą kopertę i podała mi ją. - To było przyklejone taśmą do drzwi na dole. - Wskazała niewielkie kartonowe pudełko na stole kuchennym. - A to stało na progu, oparte o drzwi.

Mieszkam na drugim piętrze, mam dodatkowe grube skoble zamykające drzwi, zarówno frontowe jak i kuchenne, do tego co najmniej dwa rewolwery ukryte w ich pobliżu, ale najlepszym zabezpieczeniem przed włamywaczami są same podwójne drzwi wejściowe mojego segmentu, rozdzielone maleńkim przedsionkiem, zrobione z masywnego ciemnego niemieckiego dębu i dodatkowo wzmocnione stalowymi ramami. Okienko w drzwiach zewnętrznych jest oklejone siateczką drucianego czujnika połączonego z systemem alarmowym, a dozorca zainstalował w obu drzwiach łącznie sześć zamków, do których otwarcia potrzebne są trzy różne klucze. Nie rozstaję się z ich kompletem. Angie ma drugi. Trzeci znajduje się pod pieczętą żony dozorca, która zajmuje lokal na pierwszym piętrze, podobno nie mogąc znieść ciągłego towarzystwa męża. Dwa zapasowe komplety ma dozorca, Stanis, żyjący w wiecznym strachu, że któregoś dnia dopadnie go specjalny oddział bolszewików, żeby zabrać go z powrotem do ojczyzny.

Podsumowując, mój segment jest tak zabezpieczony, że można się tylko dziwić, iż ktoś zdołał przykleić taśmą kopertę do drzwi i postawić na progu kartonowe pudełko, nie uruchamiając przy tym co najmniej dziesięciu alarmów i nie zrywając z łóżek mieszkańców całej dzielnicy.

Gładka biała koperta listowa bez żadnego nadruku była pośrodku zaadresowana pismem maszynowym: „patrick kenzie”. Poza tym nie było nic, ani ulicy z numerem domu, ani znaczka, nie mówiąc już o adresie zwrotnym. Otworzyłem list, wyjąłem ze środka kartkę papieru maszynowego i rozłożyłem. Na niej także nie było ani nagłówka, ani daty, ani żadnej formułki grzecznościowej bądź podpisu. Tylko dokładnie na środku kartki widniało wystukane na maszynie jedno słowo:

CZEŚĆ!

Nic poza tym.

Podąłem kartkę Angie. Spojrzała na nią, zerknęła na odwrotną stronę i obróciła z powrotem, po czym odczytała na głos:

- Cześć!

- Cześć - odparłem.
- Źle. Spróbuj odpowiedzieć z zalotnym dziewczęcym chichotem: „Cześć!”.

Spróbowałem.

- Całkiem nieźle.
- Cześć!
- Możliwe, żeby przysłała to Grace? - spytała, dolewając sobie kawy.

Pokręciłem głową.

- Możesz mi wierzyć, że słowo „Cześć!” w jej ustach brzmi zupełnie inaczej.
- Więc czyja to sprawka?

Nie miałem pojęcia. Z pozoru wyglądało to na całkiem niegroźny żart, ale było też podejrzane.

- Prawdziwego mistrza zwięzłości.
- Albo człowieka o skrajnie ograniczonym zasobie słownictwa.

Rzuciłem list na stół, przysunąłem pudełko, oderwałem taśmę, którą było zaklejone, i zajrzałem do środka. Angie zerknęła nad moim ramieniem.

- Co to ma być, do cholery? - bąknęła.

Pudełko było pełne samochodowych naklejek na zderzaki. Zaczerpnąłem ich pełną garść, ale w środku pozostało co najmniej dwa razy tyle. Angie także wyjęła kilka, obrzuciła je podejrzliwym wzrokiem i mruknęła:

- Dziwne. - Zmarszczyła brwi, uśmiechnęła się ironicznie i dodała: - To zresztą za mało powiedziane.

Przeszliśmy z paczką do saloniku i zaczęliśmy z nalepek układać na podłodze mozaikę nieregularnych, czarnych, żółtych, czerwonych, niebieskich i połyskujących metalicznie plam. W sumie było dziewięćdziesiąt sześć nalepek. Spoglądając z góry na ten niezwykle kolaż, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że mam przed sobą dowód na dziwaczne poczucie humoru, czy sentymentalizm i dążność do znalezienia uniwersalnej ponadczasowej sentencji u ludzi kupujących takie rzeczy.

HAGI NIE DRAGI; JESTEM ZA, DLATEGO GŁOSUJĘ; KOCHAJ SWOJĄ MATKĘ; DZIECKO NIE JEST KWESTIĄ WYBORU; PIEPRZYĆ ULICZNE KORKI; JEŚLI CI SIĘ NIE PODOBA, JAK PROWADZĘ, TO POCAŁUJ MNIE W DUPE; RĘCE SĄ DO UŚCISKÓW; JAK DLA CIEBIE JESTEM MARUDEREM, TO PRZYJRZYJ SIĘ SWOJEJ ŻONIE; GŁOSUJ NA TEDA KENNEDY'EGO, POZWOLI CI ZANURZYĆ BLONDASA; ZDOBĘDZIESZ MÓJ REWOLWER, GDY GO WYJMIESZ Z MOICH ZESZTYWNIĄŁYCH PALCÓW; WYBACZĘ JANE FONDZIE, GDY ŻYDZI WYBACZĄ

HITLEROWI; JAK JESTEŚ PRZECIWNY ABORCJI, TO JEJ NIE RÓB; POKÓJ TO POJĘCIE, NA KTÓRE PRZYSZŁA NAJWYŻSZA PORA; GIŃ JANKESKI ŚMIECIU; MOJA KARMA POKONA TWOJĄ DOGMĘ; MÓJ SZEFE JEST ŻYDOWSKIM CIEŚLĄ; POLITYCY BEZ BRONI JAK ICH WYBORCY; ZAPOMNIEĆ O WIETNAMIE? - NIGDY!; MYŚL GLOBALNIE, DZIAŁAJ LOKALNIE; ZATRĄB, JEŚLI JESTEŚ BOGATY I PRZYSTOJNY; NIENAWIŚĆ NIE JEST WARTOŚCIĄ RODZINNĄ; WYDAJĘ SPADEK MOJEGO DZIECKA; JESTEŚMY POZA, BO JESTEŚMY WSZĘDZIE; SYF NIE WYBIERA; TYLKO SPRÓBUJ ODMÓWIĆ; MOJA ŻONA ODESZŁA Z MOIM NAJLEPSZYM PRZYJACIELEM, KTÓREGO BĘDZIE MI BARDZO BRAKOWAŁO; NAJGŁĘBIEJ SCHODZĄ NURKOWIE; WOLAŁBYM JECHAĆ NA RYBY; NIE LUBISZ POLICJI? JAK ZNÓW BĘDZIESZ MIAŁ KŁOPOTY, ZAWIADOM LIBERAŁÓW; PIEPRZĘ CIĘ TAK SAMO, JAK TY MNIE; MOJE DZIECKO DOSTAŁO WYRÓŻNIENIE W SZKOLE PODSTAWOWEJ IMIENIA ŚWIĘTEJ KATARZYNY; MOJE DZIECKO ROZKWASI NOS TWOJEMU PUPILKOWI; MIŁEGO DNIA, PALANCIE; NIEPODLEGŁOŚĆ DLA TYBETU; UWOLNIĆ MANDELE; WOLNOŚĆ DLA HAITI; ŻYWNOSĆ DLA SOMALII; CHRZEŚCIJANIE NIE SĄ DOSKONALI, TYLKO WYROZUMIALI.

I pięćdziesiąt siedem innych.

Kiedy tak stałem, patrzyłem z góry na rozłożone nalepki i próbowałem ogarnąć myślą różnorodność wydrukowanych haseł, rozboleła mnie głowa. Poczulem się jak lekarz usiłujący przeniknąć zakres schizofrenii pacjenta na podstawie tomograficznego zdjęcia jego mózgu w porównaniu ze zdjęciami setek normalnych przeciętnych ludzi.

- To jakieś szaleństwo - mruknęła Angie.
- Święta racja.
- Dostrzegasz w nich choć jeden wspólny element?
- Poza tym, że wszystkie są samochodowymi nalepkami na zderzaki?
- To chyba nie podlega żadnej dyskusji, Patricku.

Pokręciłem głową.

- Nie. Muszę przyznać, że nic z tego nie rozumiem.
- To tak samo jak ja.
- Lepiej zastanowię się nad tym pod prysznicem.
- Dobry pomysł, bo zalatuje od ciebie jak od mokrej ścierki barmana.

Zaledwie jednak zamknąłem oczy pod prysznicem, znowu ujrzałem Karę stojącą

na ulicy przed barem, w smudze woni skwaśniałego piwa dolatującej zza otwartych drzwi i spoglądającej mętnym wzrokiem na samochody przejeżdżające Dorchester Avenue, chociaż z pozoru wszystkie wyglądały mniej więcej tak samo.

- Uważaj na siebie - rzuciła na pożegnanie.

Kiedy zaś wyszedłem spod prysznic i zacząłem się wycierać, znowu przed oczami stanął mi widok jej pobladłego ciała z rozrzuconymi nogami i rękami, które ktoś przybił gwoździami do zmarzniętej ziemi na szczycie wzgórza.

Angie miała rację. W niczym nie zawiniłem. Nie da się nikogo uratować na siłę. Zwłaszcza gdy ta osoba wcale nie chce, żeby ją ratowano. Jesteśmy jak bile na stole bilardowym, które zderzają się i toczą dalej w różnych kierunkach, najczęściej już całkiem niezależnie od siebie. Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Kary.

Ale wewnętrzny głos wciąż mi podpowiadał, że nikt nie powinien umierać w ten sposób.

Po powrocie do kuchni zadzwoniłem do Richiego Colgana, starego przyjaciela i felietonisty pisma „The Trib”. Jak zwykle był bardzo zajęty, odpowiadał pojedynczymi słowami, jakby w ogóle mnie nie słuchał.

- Cieszę się, że cię słyszę, Pat. Co nowego?

- Masz chwilę?

- Nie bardzo.

- Mógłbyś dla mnie coś sprawdzić?

- Co?

- Ukrzyżowanie jako forma zabójstwa. Ile takich wypadków zdarzyło się w naszym mieście?

- W?

- Jak to: W?

- W jakim okresie?

- Powiedzmy, w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat.

- Biblioteka.

- Słucham.

- Nigdy nie słyszałeś o bibliotekach publicznych?

- Pewnie, że słyszałem.

- Przypominam którąś z nich?

- Nie bardzo, bo zazwyczaj gdy chcę uzyskać jakąś wiadomość z biblioteki, nie muszę potem stawiać bibliotekarzowi całej skrzynki pilznera.

- Heinekena.
- Przepraszam. Pomyliłem się.
- Dobra. Załatwione. Wkrótce się odezwę.

Odłożył słuchawkę.

Kiedy zajrzałem do saloniku, kartka z wydrukowanym „CZEŚĆ!” leżała na stoliku do kawy obok nalepek ułożonych w dwóch równiutkich stosikach, a Angie oglądała telewizję. Ubrałem się w dzinsy i flanelową koszulę, po czym wszedłem do pokoju, wycierając włosy ręcznikiem.

- Co oglądasz?
- CNN - odparła, patrząc na gazetę rozłożoną na kolanach.
- I co? Wydarzyło się dzisiaj coś ekscytującego?

Wzruszyła ramionami.

- W trzęsieniu ziemi w Indiach zginęło ponad dziewięć tysięcy ludzi, a jakiś szaleniec w Kalifornii wtargnął z pistoletem maszynowym do biura, w którym pracował. Zabił siedem osób.

- Nie była to przypadkiem poczta?
- Nie. Firma rozrachunkowa.
- No i mamy dowód na skuteczność przepisów dotyczących handlu bronią automatyczną.
- Aż nadto przekonujący.
- Jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?
- Dodali wiadomość z ostatniej chwili. Liz Taylor znowu się rozwodzi.
- O rety - mruknąłem.
- Więc jaki masz plan na dzisiaj?
- Siadamy na ognie Jasona. Może koło południa wpadnę do biura Erica Gaulta, żeby sprawdzić, czy nie ma nic więcej do powiedzenia.
- Zatem ciągniemy robotę, zakładając, że przysłane pocztą zdjęcie nie było sprawką Jacka Rouse'a ani Kevina?
- Zgadza się.
- No to kto nam zostaje w kręgu podejrzanych? - zapytała, wstając.
- Ilu ludzi mieszka w tym mieście?
- Nie mam pojęcia. W granicach administracyjnych jakieś sześćset tysięcy, w aglomeracji ograniczonej zasięgiem metra chyba ze cztery miliony.
- No to mamy od sześciuset tysięcy do czterech milionów podejrzanych -

odparłem. - Oczywiście, minus nas dwoje.

- Dzięki, że przynajmniej to uwzględniłeś. Zawsze coś.

11

Pierwsze i drugie piętro gmachu McIrwina Hall zajmują uniwersyteckie wydziały socjologii, psychologii i kryminalistyki, gdzie ma również swój gabinet Eric Gault. Na parterze mieszczą się sale wykładowe. W jednej z nich siedział obecnie Jason Warren i zgodnie z obszernym katalogiem kierunków słuchał wykładu zatytułowanego „Piekło jako konstrukcja socjologiczna”, wyjaśniającego „socjalne i polityczne przyczyny męskiego tworu Krainy Pokuty począwszy od kultury sumeryjskiej i akadyjskiej, z uwzględnieniem Chrześcijańskiego Prawa Ameryki”. Dokładnie sprawdziliśmy wszystkich wykładowców Jasona, co doprowadziło do odkrycia, że Ingrid Uver-Kett niedawno została wydalona z Krajowej Organizacji Kobiet za głoszenie poglądów, przy których tezy Andrei Dworkin należałoby uznać za normę. Prowadziła zajęcia dwa razy w tygodniu po trzy i pół godziny bez przerwy. W poniedziałki i czwartki dojeżdżała tu z Portlandu, resztę czasu, jak można by sądzić, poświęcając wyłącznie na pisanie zjadliwych listów do Rusha Limbaugh.

Wspólnie z Angie doszliśmy szybko do wniosku, że panna Uver-Kett jest zbyt zaprzątnięta stwarzaniem zagrożenia dla samej siebie, żeby chociaż myśleć o zagrożeniu dla Jasona i od razu wyeliminowaliśmy ją z listy podejrzanych.

McIrwina Hall to wielkie białe gmazysko w stylu króla Jerzego otoczone kępami brzoź i złowieszczą krwistych klonów, do którego prowadzi szeroka brukowana alejka. Obserwowaliśmy, jak Jason znika w tłumie studentów wlewającym się do środka przez podwójne drzwi. Kiedy otaczający nas tumult i zgiełk nagle przycichł, cisza

wydała się wręcz ogłuszająca.

Poszliśmy na śniadanie i dopiero po nim wróciliśmy na spotkanie z Erikiem. O tej porze już tylko samotny porzucony długopis na schodach był jedynym śladem, że jakakolwiek żywa dusza wchodziła tymi drzwiami do środka dzisiejszego ranka.

W głównym holu śmierdziało amoniakiem, sosnowym płynem do mycia i osadem z dwustu lat intelektualnego wysiłku - wiedzą pożądaną i zdobytą, wielkimi ideami kształtowanymi w białych od wzbitego kurzu smugach słońca przesączającego się przez zaśniedziałe ze starości szyby.

Po prawej znajdowała się recepcja, ale za kontuarem nikogo nie było. Najwyraźniej recepcjonistka wychodziła z założenia, że jeśli ktoś już się znalazł na terenie Uniwersytetu Bryce'a, z pewnością wie, dokąd powinien dalej skierować kroki.

Angie zdjęła flanelową koszulę i obciągnęła koniec wypuszczonej ze spodni bawełnianej bluzki.

- Już sama tutejsza atmosfera wzbudza w człowieku chęć zdobycia tytułu naukowego - powiedziała.

- Na pewno oblałabyś geometrię na egzaminie wstępnym.

Wchodziliśmy po biegnących łukiem szerokich mahoniowych schodach, wzdłuż których na ścianie wisiały olejne portrety dawnych rektorów uniwersytetu. Wszyscy bez wyjątku spoglądali z nich surowo, z zaciśniętymi wargami i czołami pomarszczonymi od nadmiaru geniuszu. Gabinet Erica znajdował się na końcu korytarza. Zapukałem tylko raz i zza drzwi z wpuszczoną marszczoną szybą doleciało stłumione:

- Proszę.

Eric był ubrany w granatowo-kasztanowy sweter, długi kucyk szpakowatych włosów zwieszał mu się przez prawe ramię. Pod swetrem miał nakrochmaloną białą koszulę z drogim granatowym krawatem, ręcznie malowanym, z którego smętnie spoglądała na nas mała biała foczka.

Usiadłem przy biurku, zerkając ciekawie na ten krawat.

- Nie podoba ci się ten ostatni krzyk męskiej mody? - zagadnął, odchylając się na oparcie fotela. Machnął ręką w kierunku okna i dodał: - Piękna pogoda, prawda?

- Owszem, wspaniała - przyznałem.

Westchnął ciężko i potarł palcami oczy.

- I jak się sprawuje Jason?

- Wiedzie nadzwyczaj aktywny tryb życia - odparła Angie. - Może to zabrzmi

niewiarygodnie, ale w młodości był bardzo zamknięty w sobie. Grzeczny i uprzejmy, nigdy nie sprawiał Diandrze większych kłopotów, ale był skrajnym przykładem introwertyka.

- Skutecznie mu to przeszło - odrzekłem.

Eric pokiwał głową.

- Od pierwszych dni pobytu w akademiku w pełni korzysta z uzyskanej swobody. To całkiem normalne u młodych ludzi, którzy w elitarnej szkole średniej nie mieli szans, by wpasować się w jakąś odizolowaną grupę młodzieży. Dlatego po zmianie środowiska na studiach zwykle podejmują wzmożone starania w celu włączenia się w rytm intensywnego życia towarzyskiego.

- Muszę przyznać, że Jason stara się ponad miarę.

- Sprawia wrażenie osamotnionego - dodała Angie.

Eric znów przytaknął ruchem głowy.

- Też zwróciłem na to uwagę. Został bez ojca, kiedy był jeszcze bardzo młody. To wiele tłumaczy. A poza tym zawsze miał tendencję do... trzymania się na dystans. Sam nie do końca to rozumiem. Kiedy się go zobaczy w otoczeniu... - uśmiechnął się skąpo - ...jego haremu, zwłaszcza gdy nie wie, że jest obserwowany, po prostu nie sposób uwierzyć, że to ten sam chłopak, który jeszcze niedawno był nieśmiały i wstydliwy.

- Co o tym wszystkim myśli jego matka? - zapytałem.

- Nie przejmuję się tym. Jason jest do niej bardzo przywiązany, więc jeśli chce z kimś szczerze pogadać, rozmawia tylko z nią. Ale nigdy nie przyprawia dziewczyn do domu, w ogóle milczy na temat swojego stylu życia w akademiku. Diandra doskonale wie, że pewne sprawy trzyma przed nią w tajemnicy, ale tłumaczy sobie, że skoro dotąd nie popełnił żadnego głupstwa, można zaufać jego rozsądkowi. Po prostu respektuje jego samodzielność.

- Ty jednak jesteś innego zdania - podsunęła Angie.

Wzruszył ramionami i na krótko popatrzył za okno.

- Ja w jego wieku, gdy mieszkałem w tym samym akademiku, również byłem do pewnego stopnia introwertykiem i podobnie jak teraz Jason, wylazłem ze swojej skorupy. W końcu życie studenckie ma swoje prawa. Normą są pijatyki, palenie trawki, seks z przypadkowymi partnerkami, popołudniowe drzemki. Kiedy osiemnastoletni człowiek ląduje w akademiku, bardzo szybko wciąga się w powszechny tu rytm życia.

- Ty też uprawiałeś seks z przypadkowymi partnerkami? - zapytałem. - Zdziwiasz

mnie.

- Ale teraz tego żałuję. Szczerze. Jednak mówiąc poważnie, choć daleko mi było do świętości, uważam tę radykalną przemianę Jasona i jego wręcz orgiastyczne skłonności, jakby żywcem wyjęte z powieści markiza de Sade, za przesadną skrajność.

- „Żywcem wyjęte z powieści markiza de Sade”? - powtórzyłem. - Niech mnie... Wy, intelektualiści, naprawdę potraficie wstawiać gadkę.

- Tylko skąd ta przemiana? - odezwała się Angie. - Co chce przez to udowodnić?

- Tego nie potrafię wyjaśnić. - Eric lekko przekrzywił głowę i wysunął ją do przodu, nie po raz pierwszy nasuwając mi skojarzenie z szykującą się do ataku kobrą.

- W sumie Jason to dobry dzieciak. Osobiście nie potrafię sobie wyobrazić, aby był zdolny wplątać się w coś, co mogłoby stanowić poważne zagrożenie dla niego i Diandry, ale choć znam go od małego, w życiu bym nie przypuszczał, że może się w nim wykształcić kompleks Don Juana. Definitywnie wykluczylście jakiegokolwiek powiązania z miejscową mafią?

- Prawie - odparłem.

Wydął wargi i z sykiem wypuścił powietrze.

- W takim razie już nic nie rozumiem. Lepiej nie traktujcie kategorycznie tego, co powiedziałem o Jasonie. Bardzo bym chciał wyjaśnić wam dokładniej, do czego jest zdolny, a do czego nie, ale bogate doświadczenie podpowiada mi, że nigdy i o nikim nie można niczego powiedzieć z całą stanowczością. - Szerokim gestem wskazał regał zapchany książkami z dziedziny kryminalistyki i psychologii. - Jeśli lata pracy uniwersyteckiej czegośkolwiek mnie nauczyły, to właśnie tego, że żadnego człowieka nie sposób poznać do końca.

- Głęboka myśl - podsumowałem.

Poluzował nieco krawat pod szyją.

- Pytaliście, co myślę o postępowaniu Jasona, więc odpowiedziałem szczerze, lecz ciąży na tej opinii moje przekonanie, że każdy człowiek ma jakieś głęboko ukryte cechy charakteru i swoje tajemnice.

- Jakie są twoje tajemnice?

Uśmiechnął się krzywo.

- Naprawdę chciałbyś je poznać?

Kiedy wyszliśmy na zalany słońcem plac przed budynkiem, Angie wzięła mnie pod rękę i pociągnęła w bok. Usiedliśmy na ławce pod rozłożystym drzewem, na wprost

drzwi, w których za parę minut miał się pojawić Jason. To nasza stara sztuczka, prowadząc obserwację często udajemy parę zakochanych. Jest regułą, że ludzie, którzy zwróciliby na nas uwagę, gdybyśmy działali w pojedynkę, przechodzą obok nas obojętnie, kiedy jesteśmy razem. Z jakichś powodów zakochane pary często mogą przekroczyć granicę z pozoru nieprzekraczalną dla ludzi samotnych. Angie zadarła głowę i popatrzyła w gęste listowie korony drzewa nad nami. Delikatny orzeźwiający wiatr ledwie poruszał zeschniętymi żółtymi liśćmi na trawniku. Po chwili oparła głowę na moim ramieniu i w takiej pozycji zastygła na dłuższy czas.

- Wszystko w porządku? - zapytałem.

Lekko ścisnęła palcami moją rękę.

- Ange?

- Wczoraj podpisałam dokumenty.

- Jakie dokumenty?

- Rozwodowe - wyjaśniła półgłosem. - Leżały na stoliku w moim mieszkaniu ponad dwa miesiące. Wczoraj je podpisałam i podrzuciłam do biura mojego adwokata. Tak po prostu. - Nieco przesunęła głowę, wtulając ją pod moją brodę. - Składając podpis, miałam niewyraźne wrażenie, że z tą chwilą moje życie stanie się jakby trochę bardziej czyste i klarowne. - Poznałem po brzmieniu jej głosu, że mówi przez ściśnięte gardło. - Odczuwałeś to samo?

Próbowałem sobie przypomnieć, co czułem, siedząc w eleganckim klimatyzowanym gabinecie adwokata i składając podpis w wyznaczonym miejscu, zanim starannie złożyłem papiery i wsunąłem je do koperty, poza świadomością, że pakuję i odstawiam do lamusa całe moje krótkie, bezowocne i nieudane małżeństwo. Pomyślałem, że bez względu na właściwości terapeutyczne jest coś bezlitosnego w tym akcie oddzielania grubą kreską i przewiązywania wstążką własnej przeszłości.

Moje małżeństwo z Renee nie przetrwało nawet dwóch lat, a faktycznie pod wieloma względami dobiegło końca już po dwóch miesiącach. Angie żyła z Philem ponad dwanaście lat. Nie miałem najmniejszego pojęcia, jak to jest, kiedy trzeba zapomnieć o tak długim okresie życia, nawet jeśli znaczna jego część upłynęła w nie najlepszej atmosferze.

- Rzeczywiście wszystko w twoim życiu stało się czyściejsze i klarowniejsze? - zapytała.

- Nie - odparłem, obejmując ją za ramiona. - Ani trochę.

12

Przez następny tydzień na zmianę z Angie śledziliśmy Jasona na terenie uniwersyteckiego kampusu i w mieście, w drodze z akademika na wydział i z powrotem. Późną nocą układaliśmy go do snu i rano budziliśmy się razem z nim. Było to nudne i monotonne zajęcie. Co prawda, chłopak prowadził bardzo intensywny tryb życia, lecz gdy poznało się już jego rytm - pobudka, śniadanie, wykłady, seks, nauka, obiad, pijatyka, seks, spanie - było to po prostu nużące. Zyskałem pewność, że gdybym dostał zlecenie obserwacji samego markiza de Sade w kwiecie wieku, tak samo bym się znudził już przy trzecim lub czwartym akcie picia wina z czaszki zabitego dziecka bądź kolejnej orgii w pięcioosobowym gronie.

Angie miała rację, poczynania Jasona i jego partnerek nosiły piętno samotności i przygnębienia. Wszyscy ledwie dryfowali po powierzchni życia jak plastikowe kaczki w wannie z ciepłą wodą, ale tylko tak długo, dopóki ktoś ich nie obrócił z powrotem, żeby dalej kołysać się na falach. Nie było między nimi ani poważniejszych kłótni, ani też prawdziwej namiętności. Cała gromadka traktowała się nawzajem niezbyt poważnie, z wyczuwalnym dystansem, jakby w oderwaniu od właściwego trybu życia, niczym odklejona siatkówka oka, którą tymczasowo trzeba tolerować.

Oprócz nas nikt go nie śledził. Co do tego zyskaliśmy niezbitą pewność. Przez dziesięć dni nie namierzyliśmy nikogo takiego, a rozglądaliśmy się bardzo uważnie.

I nagle jedenastego dnia Jason zmienił ustalony rytm.

Nie zdobyłem żadnych informacji w sprawie zabójstwa Kary Rider, ponieważ Devin i Oscar uparcie nie odpowiadali na moje telefony. Z artykułów w prasie mogłem się tylko domyślić, że śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Obserwacja Jasona pozwoliła mi na jakiś czas zapomnieć o zbrodni, lecz teraz, gdy się nią całkiem znudziłem, mimo woli wróciłem myślami do zabójstwa dziewczyny, tyle że wszelkie moje rozmyślania także prowadziły donikąd. Kara została zamordowana. Nie mogłem temu zapobiec. Jej zabójca, wciąż nieznany, pozostawał na wolności. Richie Colgan jeszcze się nie odezwał, tylko przekazał mi wiadomość na automatycznej sekretarce, że wciąż nad tym pracuje. Gdybym miał czas, sam przeszkukałbym statystyki w bibliotece, musiałem jednak obserwować, jak Jason i jego grupka wystudiowanie beztroskich koleżanek trwonią wspaniałe babie lato, spędzając większość czasu w zatłoczonych i zadymionych pomieszczeniach, raz ubrani w grube czarne ciuchy, kiedy indziej całkiem nago.

- Idzie dalej - ostrzegła Angie.

Ruszyliśmy i wkrótce dotarliśmy do końca uliczki, którą Jason przemierzył całe Brookline Village. Zajrzał do księgarni, potem w sąsiednim sklepie komputerowym kupił pudełko dyskietek, wreszcie wszedł do kina „The Coolidge Corner Theater”.

- To coś nowego - mruknęła Angie.

Przez dziesięć dni chłopak dosyć kurczowo trzymał się swego rytmu życia, aż tu nagle postanowił pójść do kina. I to sam.

Zadarłem głowę i spojrzałem na afisz, mając nadzieję, że jeśli już będę musiał wejść za nim na salę, nie trafię na film Bergmana. Albo jeszcze gorzej: Fassbindera.

„Coolidge Corner” słynie z projekcji ezoterycznych filmów artystycznych i organizacji przeglądów, co stanowi miłą odmianę w epoce dominacji garmazeryjnej rąbarki hollywoodzkiej. Jednakże ceną takiej polityki są długie tygodnie, kiedy nie można tu obejrzeć niczego poza kuchennymi dramataми z Finlandii, Chorwacji bądź innego nieprzyjaznego, obciążonego bagażem historii kraju, gdzie śmiertelnie bladzi i wycieńczeni mieszkańcy zdają się nie robić niczego poza dyskusjami na temat przesłania Kierkegaarda bądź Nietzschego, czy też roztrząsaniem swego żalosego losu, zamiast się skupić na przeprowadzce do jakiegoś innego miejsca, gdzie jest więcej słońca, a ludzie są nastawieni bardziej optymistycznie.

Tego dnia na szczęście grano odrestaurowaną i przedłużoną wersję *Czasu Apokalipsy* Coppoli. Uwielbiam ten film, za to Angie go nie znosi. Twierdzi, że oglądając go, czuje się tak, jakby siedziała po szyję w bagnie po wypiciu kilku butelek

mocnego piwa.

Została więc na zewnątrz, a ja wszedłem do kina. Jedną z zalet prowadzenia obserwacji we dwójkę są właśnie takie chwile, kiedy trzeba wejść za obiektem na salę kinową, zwłaszcza tylko w niewielkiej części zapelnioną, co jest nadzwyczaj ryzykowne. Gdyby śledzona osoba zdecydowała się wyjść w trakcie seansu, trudno byłoby iść bezpośrednio za nią, nie wzbudzając podejrzeń. W takiej sytuacji współnik może bez trudu podjąć obserwację na ulicy.

Rzeczywiście, sala była prawie całkiem pusta. Jason zajął miejsce pośrodku jednego z pierwszych rzędów, podczas gdy ja usadowiłem się dziesięć rzędów za nim po lewej stronie. Przede mną trochę na prawo siedziała zakochana para, inna samotna osoba - kobieta o lekko skośnych oczach z czerwoną przepaską na włosach - robiła na bieżąco notatki. Bez wątplenia była studentką wydziału filmowego.

Mniej więcej wtedy, gdy Robert Duvall szykował na plaży barbecue, do sali wszedł jeszcze jeden mężczyzna, który usiadł w rzędzie bezpośrednio za Jasonem, jakieś pięć foteli w lewo od niego. Gdy z głośników popłynęła muzyka Wagnera, a kule z karabinów maszynowych i eksplozje granatów zaczęły siekać nierozbudzoną jeszcze do końca wioskę, blask bijący od ekranu rozświetlił jego twarz, toteż przyjrzałem się dobrze jego profilowi: miał starannie przystrzyżoną drobną bródkę, krótko obcięte ciemne włosy i połyskliwy kolczyk w uchu.

Podczas sekwencji przy moście Do-Long, gdy Martin Sheen i Sam Bottoms pod ogniem nieprzyjaciela czołgali się dnem okopu w poszukiwaniu dowódcy batalionu, mężczyzna przesiadł się o cztery fotele w prawo.

- „Hej, żołnierzu!” - wrzasnął Sheen, gdy rozbłyśki wybuchów pocisków moździerzowych wyłowiły z ciemności twarz przerażonego czarnego Amerykanina. - „Kto tu dowodzi?”

- „Nie pan?” - zawołał chłopak.

W tej samej chwili facet z bródką pochylił się do przodu, natomiast Jason odchylił głowę do tyłu.

Po krótkiej wymianie zdań, jeszcze zanim Martin Sheen wyskoczył z okopu i wrócił na łódź, nowo przybyły wstał, precyzyjnie przycisnął się bokiem do przejścia i tuż obok mnie ruszył do drzwi. Był dokładnie mojego wzrostu i takiej samej budowy ciała, koło trzydziestki, dość przystojny. Miał na sobie ciemną wiatrówkę, pod spodem luźną zieloną koszulkę w serek, do tego powycierane dżinsy i kowbojskie buty. Kiedy pochwycił moje spojrzenie, zamrugnął szybko, wbił wzrok w podłogę i wyraźnie

przyspieszył kroku.

Na ekranie Albert Hall zapytał Sheena:

- „Znalazłeś dowódcę?”

- „Nikt nie dowodzi tym burdelem” - odparł Sheen, przeskakując na pokład łodzi.

Równocześnie Jason wstał i ruszył do wyjścia.

Odczekałem całe trzy minuty i gdy kuter patrolowy popłynął dalej w stronę terenów pod władzą Kurtza i nawiedzonych improwizacji Marlona Brando, zajrzałem do toalety, żeby się upewnić, że nikogo tam nie ma, po czym wyszedłem z kina.

Na Harvard Avenue, oślepiony jaskrawym słońcem, rozejrzałem się szybko, wypatrując Angie, Jasona oraz faceta z bródką. Bezskutecznie. Podszedłem do skrzyżowania z ulicą Beacon, ale i tam nie zauważyłem nikogo z tej trójki. Dużo wcześniej ustaliliśmy z Angie, że to z nas, które traci kontakt z obserwowanym obiektem, natychmiast wraca do biura na własną rękę. Toteż nucąc pod nosem *O sole mio*, zatrzymałem taksówkę i kazałem się zawieść do naszej dzielnicy.

Jason i gość z bródką spotkali się na lunchu w „Sunset Grill” przy Brighton Avenue. Angie zrobiła im parę zdjęć z drugiej strony ulicy i na jednym z nich obaj trzymali ręce pod blatem stolika. Według moich wstępnych założeń doszło do zakupu narkotyków.

Po wyjściu na ulicę uścisnęli sobie dłonie i pożegnali się ze wstydliwymi uśmiechami na ustach. Przemknęło mi przez głowę, że przez ostatnich dziesięć dni jeszcze nie widziałem takiej miny u Jasona. Zazwyczaj uśmiechał się chytrze albo ironicznie, ze źle maskowaną pewnością siebie. Tylko tym razem zrobił to jakoś nienaturalnie, z dziwnym rozmarzeniem, jakby nie panował nad wyrazem twarzy, a uśmiech sam z siebie rozlał mu się na wargach.

Ten dwuznaczny uśmiech towarzyszący uściskowi dłoni Angie także zdołała utrwalić na zdjęciu. Ja zaś natychmiast zmieniłem wstępne założenia.

Facet z bródką oddalił się Brighton Avenue w kierunku Union Square, natomiast Jason ruszył z powrotem w stronę kampusu uniwersyteckiego.

Tego wieczoru, spoglądając na wszystkie zdjęcia rozłożone na kuchennym stole w mieszkaniu Angie, próbowaliśmy ustalić, co mamy powiedzieć Diandrze Warren.

Znaleźliśmy się w sytuacji, kiedy moja odpowiedzialność wobec klienta stawała się niezbyt jasno sprecyzowana. Nie miałem podstaw, aby sądzić, że jawny biseksualizm Jasona może mieć cokolwiek wspólnego z pogrozkami odebranymi przez jego matkę. Z drugiej strony nie miałem też podstaw, by zatajać przed nią fakt

spotkania, którego byliśmy świadkami. Nie mając jednak pojęcia, czy jego orientacja seksualna pozostaje dla niej tajemnicą, nie chciałem też bezpodstawnie go oczernić, patrząc zwłaszcza na to jedno zdjęcie, na którym po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia naszej obserwacji sprawiał wrażenie naprawdę zadowolonego i uszczęśliwionego.

- W porządku - odezwała się w końcu Angie. - Chyba znalazłam rozwiązanie. - Postukała palcem w fotografię przedstawiającą Jasona i faceta z bródką przy jednym stoliku w barze, niepatrzących nawet na siebie, tylko pochłoniętych jedzeniem. - Spotkali się, zjedli razem lunch i to wszystko. Pokażemy to zdjęcie razem z wcześniejszymi, ukazującymi chłopaka w towarzystwie jego dziewczyn, po czym zapytamy Diandrę, czy zna tego mężczyznę, ale dopóki sama się nie wygada, nie wspomnimy nawet o możliwości związku łączącego tych dwóch.

- Brzmi zachęcająco.

- Nie - oznajmiła Diandra. - Nigdy nie widziałam tego człowieka, kto to jest?

Pokręciłem głową.

- Jeszcze nie wiemy. A ty, Ericu?

Gault długo przyglądał się fotografii, wreszcie i on pokręcił głową.

- Nie - odparł, podając mi zdjęcie. - Nie znam go.

- Doktor Warren - odezwała się Angie - śledzimy pani syna od dziesięciu dni i to jedyny podejrzany kontakt, jaki zaobserwowaliśmy. Jason obraca się w dość wąskim kręgu osób i to wyłącznie kobiet, nie licząc tego jednego wypadku.

Diandra pokiwała głową, postukała palcem w głowę faceta z bródką ze zdjęcia i zapytała:

- Myślicie, że są kochankami?

Popatrzyłem na Angie, a ona na mnie.

- Śmiało, panie Kenzie. Sądzi pan, że nic nie wiem o orientacji seksualnej Jasona?

Przecież to mój syn.

- Naprawdę niczego przed panią nie ukrywa?

- Prawie niczego. Nigdy nie rozmawialiśmy otwarcie na ten temat, ale od lat mam pod tym względem uzasadnione podejrzenia. Poza tym nigdy przed nim nie tałam, że nie mam nic przeciwko homoseksualistom ani biseksualistom, oczywiście nie kierując takich uwag bezpośrednio pod jego adresem. Niemniej wydaje mi się, że on sam jest zakłopotany i przeżywa poważne rozterki z powodu własnych preferencji. - Jeszcze

raz postukała palcem w fotografię. - Czy ze strony tego mężczyzny może mu coś zagrażać?

- Nie mamy żadnych powodów, aby tak sądzić.

Zapaliła papierosa, odchyliła się na oparcie kanapy i spojrzała mi prosto w oczy.

- Zatem jakie wnioski należy stąd wyciągać?

- Nie odebrała pani dalszych pogroźek czy następnych zdjęć?

- Nie.

- W takim razie uważam, że nasze dalsze działania będą jedynie marnotrawieniem pani pieniędzy, doktor Warren.

Diandra zerknęła na Erica, który wzruszył ramionami. Znów spojrzała na nas i powiedziała:

- Wybieram się z Jasonem na weekend do domku letniskowego w New Hampshire. Chciałabym, żeby państwo po naszym powrocie podjęli jego obserwację, choćby tylko na parę dni, by stłumić matczyzny niepokój.

- Jak pani sobie życzy.

W piątek rano Angie zadzwoniła z wiadomością, że Diandra zabrała syna z akademika i razem wyruszyli do New Hampshire. Obserwowałem chłopaka przez całe popołudnie w czwartek i nie wydarzyło się nic szczególnego. Nie nadeszły nowe pogroźki, żadne podejrzanе typki nie kręciły się w pobliżu jego pokoju, nie doszło też do ponownego spotkania z facetem z bródką.

Zrobiliśmy niemalże wszystko, żeby zidentyfikować tajemniczego znajomego Jasona, ale można było odnieść wrażenie, że wyłonił się z wiecznego mroku i pogrążył się w nim na nowo. Nie był studentem ani pracownikiem uniwersytetu. Nie pracował w żadnej firmie mającej siedzibę w promieniu dwóch kilometrów od kampusu. Angie poprosiła nawet swego znajomego z policji, żeby sprawdził rysy jego twarzy w komputerowej bazie danych, ale nic to nie dało. Ponieważ Jason spotkał się z nim na mieście, a spotkanie przebiegło raczej w przyjacielskiej atmosferze, nie dawało to żadnych podstaw, by uznać go za potencjalne źródło zagrożenia. Dlatego postanowiliśmy w końcu mieć tylko oczy szeroko otwarte i czekać na okazję, aż znowu się pojawi. Możliwe, że pochodził z innego stanu. A może faktycznie był tylko zjawą.

- No to mamy weekend dla siebie - obwieściła Angie. - Jak zamierzasz go wykorzystać?

- Spędzić tyle czasu z Grace, ile tylko będzie możliwe.

- Naprawdę cię wzięło.
- Nie przeczę. A ty jakie masz plany?
- Nigdy się nie dowiesz.
- Nie uchylisz nawet rąbka tajemnicy?
- Nie - ucięła stanowczo.
- Tylko uważaj na siebie.
- O to się nie martw.

Zacząłem od sprzątnięcia mieszkania, chociaż nie miałem dużo roboty, bo ostatnio rzadko w nim przebywałem, więc nie zdążyłem nabałaganić. Kiedy doszedłem do kartki z wypisanym na maszynie „CZEŚĆ!” i ułożonych w dwóch stosikach nalepek na zderzaki, ciarki przeszły mi po grzbiecie, ale szybko się od nich uwolniłem i schowałem całość zagadkowej przesyłki do szuflady w regale.

Zadzwoniłem jeszcze raz do Richiego Colgana, a gdy włączyła się automatyczna sekretarka, zostawiłem wiadomość. Nie zostało więc nic innego, jak wziąć prysznic, ogolić się i jechać do Grace. Nastrój poprawiał mi się z minuty na minutę.

Kiedy zbiegłem na dół, z głębi korytarza doleciały mnie przyspieszone chrapliwe oddechy dwojga ludzi. Minąwszy zakręt, ujrzałem Stanisła i Livę szykujących się do milionowej rundy swych odwiecznych zmaganiań.

On zamiast kapelusza miał na głowie solidną porcję owsianki, jej szlafrok był z przodu uwalany keczupem i resztkami jajeczniczy, tak świeżej, że jeszcze parującej. Stali naprzeciwko siebie i mierzyli się nienawistnymi spojrzeniami, jemu z boku szyi pulsowała nabrzmiąta żyła, jej lewa powieka dygotała nerwowo w rytm kurczowych uścisków prawej dłoni, w której trzymała pomarańczę.

Dobrze wiedziałem, co się święci. Nie musiałem o nic pytać.

Przemknąłem na palcach obok nich, uchyliłem wewnętrzne drzwi, prześliznąłem się do przedsionka i zamykając je za sobą, nadepnąłem białą kopertę leżącą na podłodze. Gruba czarna uszczelka pod drzwiami zewnętrznymi tak ściśle przylegała do progu, że łatwiej byłoby przeciągnąć słonia przez rurę klarnetu niż przecisnąć pod nimi choćby pojedynczą kartkę papieru.

Obejrzałem kopertę. Była zupełnie gładka, bez załamań i zgniotek.

Pośrodku widniało wystukane na maszynie: „patrick kenzie”.

Otworzyłem znowu drzwi na korytarz, gdzie Stanisła i Liva wciąż stali dokładnie w takich samych pozach, jak wtedy, gdy ich mijałem. Pokrywające ich jedzenie wciąż tak samo parowało, palce kobiety nadal ścisnęły kurczowo pomarańczę.

- Stanis - zagadnąłem. - Otwierałeś komuś drzwi dziś rano? Nikt nie dzwonił przez ostatnie pół godziny?

Tak energicznie pokręcił głową, aż część owsianki spadła na podłogę, lecz ani na chwilę nie spuścił wzroku z żony.

- Niby komu miałbym otwierać? Obcym? A co to ja, głupi jestem? - Wskazał palcem żonę. - To jej odbiło.

- Zaraz ci pokażę, komu odbiło! - syknęła i cisnęła pomarańczą w jego głowę.

- Auuu! - wrzasnął.

Wycofałem się niepostrzeżenie i zamknąłem drzwi.

Stojąc w przedsionku z kopertą w rękach, poczułem dziwne klucie w dołku stopniowo rozprzestrzeniające się na boki, chociaż nie potrafiłem dla niego znaleźć żadnego uzasadnienia.

Dlaczego? - powtarzał natrętnie jakiś głos w mojej głowie.

Kolejny list. A wcześniej kartka z jednym słowem: „CZEŚĆ!”. No i sterta naklejek na zderzaki.

Przecież to nie jest jeszcze realne zagrożenie - tłumaczyło moje drugie ja. W każdym razie niezbyt konkretne. Tylko słowa i kartki papieru.

Otworzyłem zewnętrzne drzwi i wyszedłem przed dom. Na szkolnym boisku po drugiej stronie ulicy trwała normalna biegania, jak w czasie każdej przerwy. Zakonnice grały z maluchami w berka wokół wymalowanej na asfalcie figury do gry w klasy. Jakiś chłopak ciągnął za włosy dziewczynkę podobną do Mae, głównie z powodu charakterystycznego przekrzywienia głowy na bok, jakby wciąż nasłuchiwała sekretów niesionych przez wiatr. Kiedy pociągnął ją po raz kolejny, głośno krzyknęła i zaczęła na oślep wymachiwać rękoma wokół głowy, jak gdyby się opędzała przed stadem nietoperzy, a gdy chłopak uciekł i skrył się w gromadce rówieśników, obejrzała się i popatrzyła w tamtym kierunku rozszerzonymi oczyma, zaskoczona i samotna. Aż naszła mnie ochota, by wbiec na boisko, odszukać tego gnojka i tak samo pociągnąć go za włosy, żeby i on poczuł się zaskoczony i samotny. Dopiero po chwili skojarzyłem, że będąc w jego wieku, pewnie setki razy sam zachowywałem się podobnie.

Przyszło mi na myśl, że ten mój nagły impuls jest związany z narastającym ciągle bagażem doświadczeń, z pobudzoną wspomnieniami świadomością, że bardzo mało objawów przemocy wobec dzieci ma niewinny charakter, a każde najdrobniejsze zadrapanie i siniak pozostawia na stałe uraz w tej najbardziej kruchej ze wszystkich,

dziecięcej psychice.

A może po prostu nagle przysł mój dobry nastrój.

Spojrzałem jeszcze raz na list, próbując odegnać od siebie przecucie, że nie będę zadowolony z tego, co znajdę w środku. Mimo to otworzyłem kopertę. Kiedy przeczytałem wystukane na maszynie zdanie, obejrzałem się odruchowo w kierunku swego mieszkania. Od wejścia do niego dzieliły mnie masywne ciężkie drzwi wewnętrzne z grubą szybą oklejoną siatką drucianego czujnika systemu alarmowego i trzema solidnymi zamkami, których mosiężne główki połyskiwały mętnie w promieniach porannego słońca, jakby drwiąc jawnie z moich obaw.

Spojrzałem jeszcze raz na kartkę:

patrick,
niezapomnij zamknąć drzwi na klucz.

13

- Uważaj, Mae - ostrzegła Grace.

Przechodziliśmy właśnie przez most Massachusetts Avenue od strony Cambridge. Pod nami w zapadającym zmierzchu wody rzeki Charles miały odcień karmelu, po którym osada Harvardu przemykała z pozoru bez trudu, chociaż wiosłarze sapali głośniejsz od plusku wiosł rozcinających gładką toń niczym ostry nóż masło.

Mae wdrapała się na piętnastocentymetrowej wysokości krawężnik oddzielający jezdnię od chodnika, prawą rączką lekko trzymając się mnie dla zachowania równowagi.

- Smooty? - zapytała po raz kolejny, ze smakowitym mlaśnięciem obracając w buzi nowe słowo, jakby to była czekoladka. - Co to są Smooty, Patricku?

- Jednostki, którymi mierzono długość tego mostu - wyjaśniłem. - Budowniczowie położyli na nim Olivera Smokta i obracali go raz za razem przez głowę, od jednego końca mostu do drugiego.

- Nie lubili go? - spytała zaciekawiona, ze zmarszczonym czołem spoglądając w kierunku następnego żółtego znacznika.

- Ależ skąd, lubili go. Po prostu tak się bawili.

- Bawili? - Zadarła główkę, popatrzyła na mnie z uśmiechem.

Pokiwałem głową.

- I stąd wzięły się jednostki długości nazwane smootami.

- Smooty - powtórzyła i zachichotała. - Smooty. Smooty.

Przed nami z loskotem przejechała ciężarówka, aż cały most się zakolysał.

- No, pora wracać, skarbie - odezwała się Grace.

- Ale...

- Żadnego „ale”.

Mae zeskoczyła z krawężnika.

- Smooty - rzuciła jeszcze raz, wyszczerzając do mnie zębki w uśmiechu, jakby stanowiło to teraz nasz wspólny mały sekret.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku grupa absolwentów MIT rzeczywiście przetoczyła Olivera Smoota przez całą długość mostu Massachusetts Avenue i obwieściła, że ma on długość trzystu sześćdziesięciu czterech smootów z dokładnością do jednego ucha. Dziwnym sposobem ów żart stał się prawdziwą perłą, przedmiotem dumy zarówno Bostonu, jak i Cambridge i od tamtej pory przy każdym odnawianiu mostu starannie odmalowywano na żółto oznaczenia niecodziennej jednostki długości.

Zeszliśmy z mostu i ruszyliśmy na wschód nadrzeczną promenadą. W zachodzącym słońcu powietrze miało kolor szkockiej whisky, w którym liście drzew zdawały się połyskiwać, a ich odcienie od ciemnowiśniowego poprzez zielonkawocytrynowy do jaskrawożółtego silnie kontrastowały z ciemnożółtą barwą nieba.

- Rozpatrzmy tę sprawę jeszcze raz - powiedziała Grace, biorąc mnie pod rękę. - Do twojej klientki zgłosiła się na rozmowę dziewczyna, która twierdziła, że jest kochanką członka mafii.

- Ale skłamała, bo z tego, co zdołaliśmy dotąd ustalić, nie miała nic wspólnego z późniejszymi pogroźkami. Przepadła jak kamień w wodę i nie jesteśmy w stanie odnaleźć śladu, że w ogóle istniała. Syn klientki, Jason, chyba też nie ma nic na sumieniu, może poza swoim biseksualizmem, którym jego matka najwyraźniej wcale się nie przejmuje. Obserwowaliśmy chłopaka przez półtora tygodnia i nie natknęliśmy się na nic podejrzanego, jeśli nie liczyć tajemniczego faceta z bródką, który może być tylko jego kochankiem. Ale i on przepadł bez śladu.

- A ta twoja znajoma? Ta, która została zamordowana?

Wzruszyłem ramionami.

- Nic w tej sprawie nie wiadomo. Wszyscy jej znajomi zostali dokładnie sprawdzeni, nawet najgorsze męty, z którymi ostatnio ją widywano. Devin wciąż nie odpowiada na moje telefony. Zrobił się pieprzo...

- Patricku! - ofuknęła mnie Grace. Zerknąłem na Mae.

- Przepraszam. Zrobił się galimatias.

- No, tak już lepiej.

- Scottie - zawołała Mae, wskazując palcem. - Scottie. Przed nami, przy ścieżce do joggingu, siedziała na trawniku para w średnim wieku. Czarny szkocki terier leżał przy nodze mężczyzny, który w zamyśleniu głaskał go po karku.

- Ja też mogę pogłaskać pieska? - zwróciła się Mae do matki.

- Ale musisz zapytać tego pana.

Mała zeszła z chodnika na trawę i z wyraźną rezerwą zbliżyła się do ludzi, jakby podchodziła do jakiejś niewidzialnej granicy. Kiedy mężczyzna i kobieta uśmiechnęli się do niej zachęcająco, obejrzała się na nas, lecz oboje pomachaliśmy jej ręką.

- Czy ten pies jest łagodny? Mężczyzna pokiwał głową.

- Aż za bardzo.

Mae wyciągnęła rączkę jakieś pół metra od głowy teriera, który nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

- Nie gryzie?

- Jeszcze nigdy nikogo nie ugryzł - odparła kobieta. - Jak masz na imię?

- Mae.

Pies podniósł łeb i mała błyskawicznie cofnęła rękę, ale on tylko popatrzył na nią z zaciekawieniem i po chwili uniósł się na przednich łapach.

- Ma na imię Indy - powiedziała kobieta.

Indy z daleka zaczął obwąchiwać nogi Mae, która znów obejrzała się na nas, niepewna, jak ma się zachować.

- Na pewno chce, żebyś go pogłaskała - rzuciłem zachęcająco.

Schyliła się powoli i ostrożnie musnęła palcami łepkę teriera, a gdy ten wyciągnął się w jej kierunku, podeszła kroczyk bliżej i pochyliła się. Z każdą chwilą miałem coraz większą ochotę zapytać właścicieli, czy pies naprawdę nie gryzie, ponieważ znowu opadły mnie dziwne przecucia. Na mojej skali zagrożeń szkockie teriery plasują się gdzieś między gupikami i słonecznikami, ale ta świadomość wcale nie dawała mi spokoju, gdy patrzyłem, jak mała coraz ufniej zbliża się do stworzenia z ostrymi kłami.

Kiedy Indy poderwał się z ziemi i skoczył na Mae, omal nie rzuciłem się w ich kierunku, lecz powstrzymała mnie Grace, zaciskając palce na moim ramieniu. Mała pisnęła raz i drugi z zachwyty, odbiegła kawałek, przewróciła się na trawę i po chwili zaczęła się w niej tarzać razem z psem, jakby spotkała najlepszego kumpla.

Grace westchnęła ciężko.

- Szkoda, że ubrałam ją w czystą sukienkę.

Usiedliśmy na ławce i patrzyliśmy, jak Mae ściga się z Indym, wpada na niego, przewraca się na trawę, wstaje i biega dalej.

- Ma pani bardzo uroczą córeczkę - odezwała się po chwili kobieta.

- Dziękuję.

Mae obiegła naszą ławkę, wysoko unosząc rączki nad głowę i popiskując z zachwytu, gdy Indy podskakiwał i kręcił się wokół jej nóg. Oddalili się o jakieś dwadzieścia metrów, kiedy znów się potknęła o niego i wylądowała w stercie suchych liści, wzbijając w górę obłok kurzu.

- Od jak dawna jesteście małżeństwem? - zapytała kobieta.

Ledwie zdążyłem otworzyć usta, Grace wbiła mi paznokcie w udo.

- Od pięciu lat - powiedziała.

- A wyglądacie jak nowożeńcy.

- Państwo również.

Mężczyzna zaśmiał się gardłowo. Kobieta trąciła go łokciem w bok.

- W każdym razie czujemy się jak nowożeńcy - dodała Grace. - Prawda, kochanie?

Położyliśmy Mae do łóżka koło ósmej i zasnęła prawie natychmiast, jakby długi spacer nad rzeką i zabawa z Indym do reszty wyczerpały jej zapasy energii. Po powrocie do salonu Grace zaczęła od razu zbierać rzeczy z podłogi - książeczki do malowania, zabawki, czasopisma ilustrowane i kieszonkowe wydania horrorów. Te ostatnie zresztą wcale nie należały do niej, tylko do Annabeth. Ojciec Grace zmarł, kiedy była w college'u, zostawiając obu córkom całkiem niezły majątek. Swoją część spadku Grace wydała dość szybko, przeznaczwszy ją na wszelkie opłaty, których nie była w stanie pokryć ze stypendium, jakie otrzymywała przez ostatnie dwa lata studiów na Yale i później na urządzenie siebie i swego ówczesnego męża, Bryana. Kiedy przyszła na świat Mae i mąż od niej odszedł, resztki pieniędzy wydała na utrzymanie siebie i córki, zanim dostała stałą posadę w Tufts Medical.

Annabeth, cztery lata młodsza od Grace, uczyła się przez rok w college'u społecznym, po czym rzuciła naukę i za pieniądze odziedziczone po ojcu urządziła sobie roczną wycieczkę po Europie. Zdjęcia z tamtej wyprawy do tej pory zdobiły matę nad łóżkiem w jej pokoju, jednak wszystkie zostały zrobione w barach i tworzyły swoisty cykl zatytułowany: „Jak przepić czterdzieści kawałków, zwiedzając przy tym

całą Europę".

Niemniej wspaniale opiekowała się siostrzenicą - kładła ją do łóżka o odpowiedniej porze, szykowała stosowne posiłki, zawsze trzymała ją za rączkę, gdy przechodziły przez ulicę. Prowadzała na szkolne przedstawienia, do Dziecięcego Muzeum i na plac zabaw, krótko mówiąc, robiła wszystko to, na co Grace nie miała czasu, pracując po dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo.

Kiedy skończyliśmy sprzątać pokój po Mae i Annabeth, usiedliśmy przytuleni na kanapie i podjęliśmy bezowocną próbę znalezienia w telewizji czegoś godnego uwagi. Springsteen miał rację: pięćdziesiąt siedem kanałów i nic wartego obejrzenia.

Wyłączyliśmy więc telewizor i usiedliśmy po turecku naprzeciw siebie. Grace opowiedziała mi o wydarzeniach ze swoich trzech ostatnich dni w szpitalnej izbie przyjęć - nieustającym korowodzie pacjentów, zwłokach pakowanych w czarne worki i wywożonych na wózkach jak na taśmociągu, ciągłym hałasie, którego poziom czasem przekraczał natężenie wycia gitar na koncercie zespołu heavy-metalowego, o staruszcze, której złodziej wyrwał torebkę i pchnął ją przy tym tak silnie, że padając, uderzyła głową w krawężnik i nie była w stanie się ruszyć, a gdy przyjechali po nią karetką, tylko ścisnęła dłoń Grace i niezdolna choćby otworzyć ust, ze łzami ściekającymi po policzkach, konała jeszcze przez kilka minut; o czternastoletnich członkach gangu z dziecięcymi rysami twarzy, przywiezionych po jakiejś wojnie ulicznej, którym lekarze bezskutecznie próbowali zatamować krwotok z licznych ran na piersiach błyszczących czerwono od świeżej krwi, jakby pomalowanych farbą olejną i o noworodku, którego rodzice przynieśli z lewą rączką niemal całkiem wyrwaną ze stawu barkowego i złamaną w trzech miejscach, tłumacząc, że wypadł z łóżeczka; o narkomance, która wydzieriała się przez kilka godzin i walczyła na pięści z sanitariuszami, żądając swojej codziennej działki i nie dopuszczając do siebie lekarzy pragnących usunąć jej nóż wbity w oko.

- I nadal sądzisz, że moja praca wiąże się z brutalną przemocą? - zapytałem.

Pochyliła głowę i przytknęła czoło do mojego.

- Jeszcze rok i dostanę przydział na kardiologię. Jeszcze tylko rok. - Odsunęła się, wzięła mnie za rękę i ułożyła je na swoich kolanach. - Ta dziewczyna, która została zamordowana w parku, na pewno nie ma żadnego związku z prowadzoną przez ciebie sprawą?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Sama nie wiem. Tak się tylko zastanawiam.

- Nie. To zwykły zbieg okoliczności, że wzięliśmy zlecenie Diandry Warren mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Kara zginęła. Co ci każe łączyć te dwie sprawy?

Przeciągnęła palcami po moich rękach aż do łokci.

- Bo jesteś ostatnio bardzo spięty, Patricku. O wiele bardziej niż kiedykolwiek do tej pory.

- Dlaczego tak uważasz?

- Zachowujesz się zupełnie normalnie, ale doskonale wyczuwam to napięcie w twoim ciele, dostrzegam je w sposobie, w jaki się poruszasz, jakbyś cały czas miał obawy, że lada chwila zderzysz się z ciężarówką. - Pocałowała mnie w policzek. - Stąd się domyślam, że coś cię gnębi.

Pospiesznie dokonałem w myślach przeglądu minionych jedenastu dni. Najpierw musiałem zasiąść przy jednym stole z trzema psychopatami, nawet czterema, jeśli uwzględnić Pine'a. Potem widziałem dziewczynę ukrzyżowaną na szczycie wzgórza. Następnie ktoś przysłał mi całe pudełko nalepek na zderzaki z lakonicznym listem: „CZEŚĆ!”. Wreszcie znalazłem kopertę z notatką: „niezapomnij zamknąć drzwi klucz”. Ludzie urządzali strzelaniny w klinikach aborcyjnych, demolowali wagoniki metra i wysadzali w powietrze ambasady. W Kalifornii całe domostwa po deszczu osuwały się ze skarpy w strugach błota, a w Indiach rozsypywały w gruzy podczas trzęsienia ziemi. Czy naprawdę mogło mnie gnębić coś realnego?

Objąłem Grace w pasie, przyciągnąłem do siebie, opadłem na wznak na kanapę i ułożyłem ją na sobie, po czym wsunąłem dłonie pod jej sweter i sięgnąłem palcami do stwardniałych sutków. Przygryzła dolną wargę, a oczy lekko jej się rozszerzyły.

- Wczoraj rano powiedziałaś mi coś dziwnego - rzekłem.

- Wczoraj rano mówiłam pewnie wiele różnych rzeczy - odparła. - Jeśli dobrze pamiętam, kilka razy jęknęłam nawet: „O Boże”.

- Nie o to mi chodzi.

- A, już wiem. - Lekko klasnęła obiema dłońmi o moją pierś. - Masz na myśli wyznanie, że cię kocham. Zgadłam, detektywie?

- Tak, proszę pani.

Powoli rozpięła mi koszulę i zaczęła wodzić dłońmi po mojej piersi.

- I co cię tak dziwi? Mogę powtórzyć: Kocham cię.

- Za co?

- Za co? - powtórzyła zdumiona.

Skinąłem głową.

- To najgłupsze pytanie, jakie od ciebie usłyszałam, Patricku. Nie czujesz się godny miłości?

- Może nie - mruknąłem, gdy dotarła palcami do rany oparzeniowej na moim podbrzuszu.

Kiedy popatrzyła mi w oczy, ilość ciepła i oddania, jakie dostrzegłem w jej spojrzeniu, potraktowałem jak błogosławieństwo. Odchyliła się do tyłu, a kiedy wyciągnąłem ręce spod jej swetra, przesunęła się w dół, aż jej głowa znalazła się na wysokości mojego brzucha. Rozpięła mi koszulę do końca i przytuliła twarz do rany. Musnęła ją delikatnie językiem, pocałowała i rzekła:

- Uwielbiam tę bliznę. - Oparła na niej brodę i znowu popatrzyła mi w oczy. - Pewnie dlatego, że uważam ją za diabelskie piętno. Bo twój ojciec musiał być wcielonym diabłem, Patricku. Prawdziwym diabłem. I próbował przelać swą naturę na ciebie. Ale mu się nie udało. Ty jesteś miły i łagodny, poza tym wspaniale traktujesz Mae, dlatego i ona tak bardzo cię kocha. - Delikatnie zabębniła koniuszkami palców po mojej bliznie. - Tak więc twój ojciec poniósł klęskę, bo wyrosłeś na porządnego człowieka, i jeśli wcale cię nie kochał, to jego zakichany problem, a nie twój. Był skończonym kretynem, natomiast ty jak najbardziej jesteś godzien miłości. - Podniosła się i stanęła nade mną na czworakach. - Zarówno mojej, jak i Mae.

Na chwilę odebrało mi mowę, bo gdy spojrzałem na Grace, nagle dostrzegłem liczne zmarszczki na jej twarzy, ujrzałem ją taką, jaka będzie za piętnaście czy dwadzieścia lat, gdy większość mężczyzn nie zwróci już uwagi ani na jej urodę, ani na powabne kształty, co jednak mnie ani trochę nie przeszkadzało. Ponieważ dla mnie na dłuższą metę takie rzeczy w ogóle się nie liczyły. Powtarzałem „kocham cię” mojej byłej żonie, Renee i słyszałem to samo z jej ust, lecz oboje wiedzieliśmy, że to zwykłe kłamstwa, tylko wyraz zwykłego pożądania, niemający wiele wspólnego ze stanem faktycznym naszych uczuć. Chyba tak samo „kochałem” wszystkie moje partnerki, jak też moją siostrę i matkę, choć w gruncie rzeczy nawet nie zdążyłem jej bliżej poznać.

Czegoś takiego chyba jednak nie czułem jeszcze nigdy dotąd.

Kiedy otworzyłem usta, z mego gardła wydobył się chrapliwy i roztrzęsiony głos, a słowa, jakie padły, wydały mi się całkiem obce. Łzy napłynęły mi do oczu, a serce zaczęło walić jak młotem.

We wczesnej młodości naprawdę kochałem swego ojca, chociaż systematycznie

zadawał mi cierpienia. Po prostu nie mógł się od tego powstrzymać, niezależnie od tego, jak bardzo płakałem i błagałem go o litość, jak bardzo chciałem odgadnąć, czego naprawdę ode mnie chce, co mógłbym zrobić, żeby zaskarbić sobie jego miłość i nie być tylko ofiarą jego wściekłości.

Gdybym mu powiedział, że go kocham, na pewno by mnie wyśmiał. Rechotałby na cały głos. A potem stłukłby mnie jeszcze mocniej.

Kiedyś nawet mu to powiedziałem, gdy huknął moją głową o futrynę drzwi. Ale tylko obejrzał się przez ramię, spojrzał na mnie z nienawiścią i splunął mi w twarz.

Kiedy indziej z całkowitym spokojem powiedziałem mu, że go nienawidzę. Niedługo potem zmarł. Wtedy jednak również zarechotał i rzucił: „Jeden zero dla starego!”.

- Kocham cię - odezwałem się teraz do Grace.

Ona też przyjęła to ze śmiechem, ale był to cudowny śmiech, wyraz zaskoczenia, radości i ulgi jednocześnie, po którym stoczyły się po jej policzkach dwie grube łzy i spadły mi na twarz, mieszając się z moimi łzami.

- Mój Boże... - szepnęła, przytulając się do mnie całym ciałem. Pocałowała mnie żarliwie i odparta: - Ja też cię kocham, Patricku.

14

Mimo wszystko nie osiągnęliśmy jeszcze z Grace tego etapu, żeby przebywać ze sobą na tyle długo, by Mae mogła nas zastać razem w łóżku. Jeszcze trochę nas od tego dzieliło, jakby ani mnie, ani jej nie było łatwo przekroczyć pewnej granicy. Dla malej byłem więc wciąż „wyjątkowym przyjacielem” jej mamusi, bo przecież nie musiała jeszcze wiedzieć, co robią „wyjątkowi przyjaciele”, póki nie było całkiem pewne, że ta „wyjątkowa przyjaźń” ma szansę przetrwania. Miałem zbyt wielu przyjaciół, którzy nie mieli ojców, tylko zdumiewające zastępy wujków przewijające się przez sypialnię ich matek, żeby nie rozumieć, jak to wpływało na ich psychikę.

Dlatego wyszedłem od Grace krótko po północy. Kiedy otwierałem drzwi w przedsiionku swego domu, doleciał mnie dzwonek telefonu. Zanim dostałem się do mieszkania, Richie Colgan już nagrywał wiadomość na automatycznej sekretarce:

- ...niejaki Jamal Cooper we wrześniu siedemdziesiątego trzeciego...
- Już jestem, Rich.
- A więc jednak żyjesz, Patricku. A twoja sekretarka znów działa jak kiedyś.
- Nigdy nie była zepsuta.
- W takim razie nie lubi chyba wiadomości od czarnych.
- Miałeś kłopoty z połączeniem?
- Przez cały ubiegły tydzień dzwoniłem chyba z dziesięć razy, ale nikt nie odbierał.
- To dlaczego nie zadzwoniłeś do biura?
- Tam też nikt nie odbierał.

Podniosłem automatyczną sekretarką i zajrzałem pod spód. Nie szukałem niczego konkretnego, po prostu zrobiłem to odruchowo. Potem sprawdziłem wtyczki siedzące w gniazdkach z tyłu, ale wszystko wydawało się w porządku. Zresztą, odbierałem przecież wiadomości nagrane przez kogoś innego.

- Nie mam pojęcia, jak to wytłumaczyć. Wygląda na to, że moja automatyczna sekretarka jest w porządku. Może po prostu wybierałeś zły numer?

- Mniejsza o to. Mam te informacje, o które prosiłeś. Nawiasem mówiąc, co słyhać u Grace?

Richie i jego żona, Sherilynn, minionego lata zabawili się w swatów. To dzięki nim poznałem Grace. Według Sherilynn jedyne, czego mi było trzeba przez ostatnie dziesięć lat, to silna kobieta, która będzie mnie systematycznie kopała w tyłek i nie przejmowała się moimi humorkami. Dziewięć razy źle wybrała, ale za dziesiątym, przynajmniej jak dotąd, chyba jej się udało.

- Możesz przekazać Sheri, że jestem zakochany.

Zaśmiał się w głos.

- Na pewno bardzo się ucieszy. Zakochany... też mi coś! Wiedziałem, że wpadłeś po uszy, jak tylko po raz pierwszy spojrzales na Grace. Nie jesteś zakochany, tylko uduszony, uwędzony, zamarynowany i pokrojony w plasterki.

- Brzmi smakowicie.

- To dobrze. - Aż sam głośno mlasnął. - Więc jak? Zależy ci jeszcze na tych informacjach, o które prosiłeś?

- Mam już długopis i notatnik.

- Naszykuj też zawczasu obiecaną skrzynkę heinekena. Najlepiej w tych małych, wysmukłych butelkach.

- Masz to jak w banku.

- W ciągu dwudziestu pięciu lat tylko raz odnotowano w tym mieście wypadek ukrzyżowania. Ofiarą padł niejaki Jamal Cooper, czarny dwudziestojednolatek, którego zwłoki znaleziono przybite gwoździami do podłogi w piwnicy taniego hoteliku przy placu Scollay Square we wrześniu siedemdziesiątego trzeciego.

- Wiesz coś więcej o tym Cooperze?

- Był ćpunem, ładował w siebie heroinę. Papierami z jego policyjnej kartoteki można by pokryć piłkarskie boisko. Miał na sumieniu głównie drobne przestępstwa, włamania, wymuszenia, ale też kilka poważniejszych napadów rabunkowych. Przesiedział dwa lata w dawnym więzieniu Dedham House. Mimo wszystko był

jedynie żalowaną szumowiną. Gdyby nie został ukrzyżowany, nikt pewnie nawet by nie zauważył jego zniknięcia. A i tak gliniarze niezbyt się przykładali do śledztwa w sprawie jego śmierci.

- Kto prowadził dochodzenie?

- Dwóch gliniarzy, inspektor Brett Hardiman i... niech no sprawdzę... sierżant detektyw Gerald Glynn.

To dało mi do myślenia.

- Aresztowali kogoś?

- Tutaj sprawa staje się bardzo interesująca. Musiałbym pogrzebać trochę głębiej, ale w brukowej prasie zrobiło się trochę szumu, gdy wezwano na przesłuchanie niejakiego Aleca Hardimana.

- Zaraz. Przecież...

- Zgadza się, chodziło o syna oficera prowadzącego dochodzenia, Bretta Hardimana.

- I co z tego wynikło?

- Hardiman junior został oczyszczony z podejrzeń.

- Miał pewne alibi?

- Nic na to nie wskazuje. W gruncie rzeczy nie było żadnych mocnych dowodów przeciwko niemu. Po prostu znalazł Jamala Coopera i nic poza tym. Ale...

- Co?

Na drugim końcu linii rozległ się dzwonek telefonu i Richie rzucił pośpiesznie:

- Zaczekaj.

- Nie odkładaj słuchawki, Rich! Muszę...

Ale on już mnie nie słyszał. Oczekiwanie bardzo się dłużyło.

Kiedy znów usłyszałem jego głos, brzmiał zupełnie inaczej.

- Patrick? Muszę na razie kończyć.

- Nie żartuj.

- Nie żartuję. W każdym razie w siedemdziesiątym piątym Alec Hardiman został skazany za inne morderstwo. Odsiada karę dożywocia w Walpole. To wszystko, co udało mi się znaleźć. Trzymaj się.

Odłożył słuchawkę, a ja zapatrzyłem się na cztery nazwiska zapisane w notesie: Jamal Cooper, Brett Hardiman, Alec Hardiman, Gerald Glynn.

Miałem ochotę zadzwonić do Angie, ale było już bardzo późno, poza tym wiedziałem, jak dał jej w kość ten tydzień próżnego śledzenia Jasona.

Przez chwilę gapiłem się tępo na telefon, po czym włożyłem marynarkę i wyszedłem z mieszkania.

Jak się okazało, marynarka wcale nie była mi potrzebna. Nawet o pierwszej w nocy powietrze było ciepłe i do tego stopnia przesycone wilgocią, że błyskawicznie zaklejało wszystkie pory skóry i obklejało koszulą kark i plecy.

Aż musiałem sobie przypomnieć, że to październik.

Gerry Glynn mył szkło za barem, kiedy wkroczyłem do „Black Emerald”. W barze nie było żywej duszy, wszystkie trzy telewizory działały, lecz zostały wyciszone, z szafy grającej płynęła cichutko wersja *Dirty old town* w wykonaniu zespołu The Pogues. Krzesła stały odwrócone na stolikach, podłoga była wyszorowana, czyste popielniczki błyszczały niczym kryształ.

Gerry nawet nie spojrzał w stronę wejścia, pochylony nad zlewem, tylko rzucił przez ramię:

- Przepraszam, już zamknięte.

Patton wyciągnięty na stole bilardowym za łukiem kontuaru podniósł łeb i obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. Przez kłęby dymu tytoniowego wciąż wiszącego w powietrzu nie dostrzegłem wyrazu jego pyska, domyśliłem się jednak, że gdyby tylko umiał mówić, warknąłby: „Nie słyszałeś?! Zamknięte!”.

- Cześć, Gerry.

- Patrick? - mruknął zdumiony, bez szczególnego entuzjazmu. - Co cię tu sprowadza?

Wytarł ręce w ścierkę i wyciągnął dłoń na powitanie.

Kiedy ją uścisnąłem, potrząsnął energicznie moją ręką, spoglądając mi prosto w oczy - w geście typowym dla starszego pokolenia, zawsze kojarzącego mi się z ojcem.

- Chcę cię o coś spytać, Ger, jeśli masz chwilę czasu.

Przekrzywił głowę na ramię, a w jego oczach pojawiły się dziwne wrogie błyski. Szybko jednak przygasły i Glynn usadowił się na wysokim stolku za barem, rozłożył szeroko ręce i rzekł:

- Jasne. Chcesz piwa czy czegoś mocniejszego?

- Nie chcę cię narażać na straty - odparłem, siadając przy kontuarze naprzeciwko niego.

Otworzył lodówkę i sięgnął na oślep do środka. Zagrzechotały kostki lodu w pojemniku.

- Żadna strata. Nie wiem tylko, na co trafię.

- Obojętne, byle nie był to busch - rzekłem z uśmiechem.

Zachichotał.

- Bez obaw. To jest... - Wyciągnął rękę połyskującą od wilgoci, wyraźnie zbielała aż do łokcia. - ...Lite.

Z uśmiechem przyjąłem podaną butelkę.

- Jak seks na żaglówce - mruknąłem. Zaśmiał się głośniej, prychnął i podsumował:

- Rypanie nad wodą to jest to.

Sięgnął przez ramię, wymacał butelkę stolicznej, nalał sobie kieliszek i uniósł go jak do toastu.

- Zdrowie.

- Zdrowie. - Pociągnąłem łyk piwa, które smakowało jak woda, chociaż i tak było lepsze od buscha. Pewnie nawet nieoczyszczona ropa smakowałaby lepiej niż busch.

- Więc o co chciałeś zapytać? - rzekł Gerry, głaszcząc się dłonią po brzuchu. - Ciekaw jesteś, jak zachowuję taką sylwetkę?

Uśmiechnąłem się.

- To też. - Upiłem jeszcze łyk piwa. - Co możesz powiedzieć na temat Aleca Hardimana?

Znów uniósł kieliszek, spojrział przez klarowny płyn na świetlówkę, po czym wychylił go jednym haustem. Popatrzył na pusty kieliszek i obrócił go w palcach.

- Skąd wygrzebałeś to nazwisko, Patricku? - zapytał, nie podnosząc na mnie wzroku.

- Ktoś je wspomniał w rozmowie.

- Na pewno szukałeś starych spraw podobnych do zabójstwa Kary Rider.

Odstawił kieliszek i dopiero teraz spojrział na mnie. Nie wydawał się ani rozszoszczony, ani poirytowany. Mówił spokojnie, wyważonym tonem, ale w jego postawie dopatrzyłem się napięcia, którego nie widziałem jeszcze chwile wcześniej.

- Trafne przypuszczenie, Ger.

W stojącej za mną szafie grającej umilkli The Pogues, ustępując miejsca przebojowi *Don't Bang the Drum* zespołu The Waterboys. Trzy telewizory umieszczone nad głową Glynna były ustawione na trzy różne kanały, w jednym transmitowano jakiś mecz futbolu australijskiego, w drugim leciał stary odcinek *Kojaka*, a w trzecim widniał łopoczący na wietrze gwiazdzisty sztandar oznaczający koniec programu.

Gerry nawet się nie poruszył, nawet nie mrugnął okiem od czasu odstawienia pustego kieliszka na kontuar. Z tej odległości mogłem wyłowić szmer jego oddechu, przyspieszonego i płytkiego, z lekkim fukaniem towarzyszącym wypuszczaniu powietrza przez nos. Chyba nawet nie patrzył na mnie, tylko jakby przeze mnie, jakby przyglądał się obrazom wyświetlanym w powietrzu za moją głową.

Wreszcie znowu sięgnął przez ramię po butelkę stolicznej i nalał sobie drugi kieliszek.

- Czyżby Alec znów miał nas zacząć prześladować? - Zachichotał. - No tak, można się było tego domyślić.

Patton zeskoczył ze stołu bilardowego i poczłapał za bar, obrzuciwszy mnie takim wzrokiem, jakbym zajął jego miejsce. Wskoczył po stołku na kontuar, wyciągnął się tuż przed moim nosem i ułożył pysk na przednich łapach.

- Chce, żebyś go podrapał za uszami - wyjaśnił Gerry.

- Wykluczone.

Popatrzyłem, jak masywna klatka piersiowa psa unosi się i opada w rytm miarowego oddechu.

- On cię naprawdę lubi, Patricku. Nie bój się.

Przez chwilę poczułem się jak Mae nad rzeką, gdy ostrożnie wyciągnąłem rękę i zanurzyłem palce w gęstej sierści w bursztynowe i czarne łaty. Poczulem pod skórą psa prężące się mięśnie, twarde jak kij baseballowy ukryty pod połą płaszcza. Patton niespodziewanie uniósł łeb, zaskomlał, chlasnął mnie jęzorem po dłoni i wetknął w nią zimny wilgotny nos.

- Jak wielki żywy pluszak.

- Tylko nie wygadaj się przed kimkolwiek, że dał ci się pogłaskać, dobra? - poprosił Gerry. - Niech to zostanie między nami.

- Posłuchaj... - zacząłem, nieco śmielej zanurzając palce w sierści Pattona. - Czy ten Alec Hardiman mógł zabić...

- Karę Rider? - Glynn pokręcił głową. - Niemożliwe. Taki wyczyn nie pasowałby nawet do niego. Zresztą Alec siedzi za kratkami od siedemdziesiątego piątego i nie wyjdzie na wolność za naszego życia. Pewnie skończy w więzieniu.

Dopiłem resztkę piwa z butelki, a Gerry, jak przystało na barana, sięgnął do lodówki jeszcze zanim odstawiłem ją na kontuar. Tym razem wyciągnął harpoon IPA, obrócił butelkę w mięsistej dłoni, po czym wprawnym ruchem ściągnął kapsel, korzystając z otwieracza zamontowanego na ścianie lodówki. Kiedy wziąłem od niego

butelkę, piana spłynęła po szyjce i moich palcach. Patton natychmiast zliżał ją z baru.

Gerry odchylił się na stołku, opierając głowę o krawędź półki za plecami.

- Słyszałeś o niejakim Cala Morrisonie?

- Coś mi się kojarzy jak przez mgłę - odparłem, próbując opanować dreszcz grozy, jaki do dzisiaj budziło we mnie to nazwisko. - Był kilka lat starszy ode mnie.

Glynn przytaknął ruchem głowy.

- Ale chyba pamiętasz, co się z nim stało?

- Został zadźgany na śmierć w Blake Yard.

Gerry przyglądał mi się przez chwilę, po czym głośno westchnął.

- Ile miałeś wtedy lat?

- Dziewięć czy dziesięć.

Wyciągnął spod kontuaru drugi kieliszek, lecz nalał do niego tylko trochę stolicznej. Postawił wódkę przede mną i rzekł:

- Wypij.

Przypomniałem sobie czystą wódkę serwowaną przez Bubbę i ciarki przeszły mi po plecach. W odróżnieniu od ojca i jego braci musiało mi brakować jakiegoś genu rodu Kenziech, bo nigdy nie nauczyłem się pić mocnego alkoholu bez obrzydzenia.

Uśmiechnąłem się krzywo do Gerry'ego.

- *Do swidania.*

Uniósł swój kieliszek w górę. Obaj wychyliliśmy je równocześnie.

- Cal Morrison wcale nie został zadźgany na śmierć, Patricku - rzekł, po czym westchnął jeszcze głośniej, jakby ze smutkiem czy wręcz rozrzewnieniem. - Ktoś go ukrzyżował.

15

- Nie wierzę. Wcale nie został ukrzyżowany.

- Naprawdę? Czyżbyś był na miejscu i widział zwłoki?

- No nie.

Wysączył ostatnie krople wódki.

- A ja byłem i widziałem. Wszystko ze szczegółami. Byliśmy tam razem z Brettem Hardimanem.

- Ojcem Aleca.

Pokiwał głową.

- Moim partnerem. - Pochylił się nad barem i dolał mi odrobinę wódki do kieliszka. - Brett zmarł w roku osiemdziesiątym.

Zapatrzyłem się w kieliszek stojący dość daleko ode mnie, podczas gdy Gerry nalewał sobie kolejną porcję. Widocznie pochwycił moje niechętne spojrzenie, bo uśmiechnął się szeroko.

- Jesteś zupełnie inny niż twój ojciec, Patricku.

- Dzięki za komplement.

Zachichotał krótko.

- Chociaż fizycznie podobieństwo jest olbrzymie. Chyba wiesz o tym?

Wzruszyłem ramionami.

Obrócił dłonie wewnętrzną stroną do góry i popatrzył na swoje palce.

- Geny potrafią plątać różne figle.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wnikają do łona matki i kształtują nowe życie. Jedno dziecko jest prawie identyczne z ojcem, który je spłodził, drugie wygląda tak odmiennie, iż ojciec natychmiast nabiera podejrzeń, że listonosz dostarczał jego żonie nie tylko pocztę. Ale każdy nosi w sobie geny swojego ojca. I ty i ja. Tak samo Alec Hardiman też nosił geny ojca.

- A jego ojciec był...

- Porządnym człowiekiem. - Pokiwał głową do swoich wspomnień, pociągając drobny łyk stolicznej. - Szczerze mówiąc, bardzo porządnym. Prawym i uczciwym. Do tego nadzwyczaj inteligentnym. Gdybyś nie wiedział, nigdy byś się nie domyślił, że jest gliniarzem. Ludzie brali go za polityka albo bankiera. Zawsze nienagannie ubrany, nienagannie wysławiający się... W ogóle wszystko w nim było nienaganne. Mieszkał w małym białym domku kolonialnym w Melrose z cudowną, przeuroczą żoną i ślicznym chłopczykiem o blond włosach. Fotele w jego samochodzie były zawsze tak czyściutkie, że można by z nich jeść.

Upiłem łyk piwa, zwracając uwagę, że łopoczący gwieździsty sztandar na drugim telewizorze ustąpił miejsca pustej niebieskiej planszy, a z szafy grającej popłynęło *Coast of Malabar* zespołu The Chieftains.

- Krótko mówiąc, był wspaniałym facetem wiodącym wspaniałe życie, ze wspaniałą żoną, wspaniałym samochodem, wspaniałym domkiem i wspaniałym synem. - Oderwał wzrok od swoich paznokci i spojrzał mi w oczy. Odniosłem wrażenie, że przesłania je lekka mgielka, jakby za długo patrzył w jaskrawe słońce i musiał teraz odczekać chwilę, zanim odzyska ostrość widzenia w półmroku. - Aż tu nagle Alec... Sam nie wiem, coś się w nim odmieniło. Tak po prostu, samo z siebie. Żaden psychiatra nie potrafił tego wyjaśnić. Jednego dnia był zupełnie normalnym, sympatycznym chłopakiem, a następnego... - uniół obie ręce w górę - ...jakby stał się zupełnie kimś innym.

- I to on zabił Cala Morrisona?

- Tego do dzisiaj nie wiadomo - odparł gardłowym głosem.

Odwrócił głowę, jakby nie mógł na mnie patrzeć. Zasepił się, a żyły na jego skroni zarysowały się pod skórą niczym grube kable. Wbił wzrok w podłogę i w zamyśleniu trącił czubkiem buta kant lodówki.

- Nie wiadomo - powtórzył.

- Jeśli dobrze pamiętam, według oficjalnej wersji Morrison został zadźgany w

Blakey przez jakiegoś włóczęgę.

- A, tak, czarnego - rzekł, uśmiechając się lekko. - Po całym mieście krążyły wtedy takie plotki. Zgadza się?

Przytaknąłem.

- Jak nie da się znaleźć winnego, najłatwiej obwinić czarnucha, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

- Tylko powtarzam oficjalną wersję.

- A ja powtarzam, że Morrison wcale nie został zadźgany. Tak brzmiała tylko bajeczka wymyślona na użytek mediów. Został ukrzyżowany. I wcale nie zrobił tego żaden czarny włóczęga. Na jego ubraniu znaleźliśmy pojedyncze włosy rude, blond i ciemnoblonde, lecz ani jednego czarnego. W dodatku Aleca Hardimana razem z jego kumplem, Charlesem Rugglestone'em, widziano wcześniej w tamtej okolicy, a ci dwaj byli już podejrzani w sprawie innego morderstwa, więc dopóki nie mieliśmy niezbitych dowodów, po prostu nie zaprzeczaliśmy plotkom, że sprawcą jest czarny włóczęga. - Machnął lekceważąco ręką. - W tamtym okresie niewielu czarnych kręciło się po tej dzielnicy, uznaliśmy więc, że do czasu będzie to całkiem bezpieczna bajeczka.

- Jakie inne morderstwo masz na myśli, Gerry?

W tym momencie drzwi baru otworzyły się z takim impetem, że aż huknęły o ścianę. Obaj równocześnie popatrzyliśmy na młodzieńca z nastroszonymi żółtymi włosami i połyskliwym kółkiem w nosie, ubranego w podarty T-shirt luźno wypuszczony nad pasek modnie wypatroszonych dżinsów.

- Już zamknięte - obwieścił Glynn.

- Chciałem wychylić tylko jednego, żeby się trochę rozgrzać od chłodu nocy - odparł chłopak, nieudolnie naśladowując miejscowy żargon.

Gerry zsunął się ze stołka i wyszedł zza kontuaru.

- Wiesz przynajmniej, gdzie jesteś, synu?

Pod moją ręką mięśnie Pattona wyraźnie się naprężyły. Psisko uniosło łeb i obrzuciło przybysza uważnym spojrzeniem. Chłopak niepewnie zbliżył się o krok.

- Chciałem tylko lufę whisky. - Zachichotał głupekowato i zakrył usta dłonią, po czym zamrugnął, jakby oślepiiony światłem. Twarz miał wyraźnie zapuchniętą od wypitego alkoholu i Bóg jeden wie czego jeszcze.

- W tamtym kierunku jest Kenmore Square - odparł Gerry, kciukiem wskazując przejście na zaplecze.

- Ale ja nie chcę na Kenmore Square - rzucił desperacko młodzieniec, zakołysał się lekko na nogach i wsunął palce do kieszeni obcisłych spodni jakby w poszukiwaniu papierosów.

- Dobrze ci radzę, synu, żebyś wracał prosto do domu.

Glynn położył rękę na jego ramieniu, a chłopak spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby miał ochotę strząsnąć ją z siebie. Ale szybko popatrzył na mnie i leżącego na kontuarze Pattona, wreszcie znów na Gerry'ego. Zachowanie barmana, niższego o dobre dziesięć centymetrów, nie dawało żadnych podstaw do obaw, ale przybysz, choć najwyraźniej nieźle wstawiony, musiał świetnie wyczuwać, że zostanie potraktowany znacznie ostrzej, jeśli zacznie się stawiać.

- Chciałem tylko jednego drinka - wymamrotał.

- Rozumiem, ale u mnie go nie dostaniesz. Masz na taksówkę? Gdzie mieszkasz?

- Chciałem tylko jednego drinka - powtórzył tamten, jeszcze raz zerknął na mnie i nagle łzy popłynęły mu po policzkach, a dawno zgasły papieros wyraźnie zadygotał w pobladych wargach. - Chciałem tylko...

- Gdzie mieszkasz? - zapytał ponownie Gerry.

- Co? W Lower Mills - wyrzucił z siebie jednym tchem.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że możesz się kręcić po Lower Mills w takim stroju i nie dostać po pysku? - Glynn uśmiechnął się do niego przyjaźnie. - Chyba że wszystko się tam zmieniło w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

- Naprawdę jestem z Lower Mills - powtórzył chłopak łamiącym się głosem.

- Spokojnie, synu. Nic ci tu nie grozi. Wszystko w porządku. Wystarczy, że wyjdiesz z powrotem przez te drzwi i skręcisz w prawo. Postój taksówek jest nie dalej niż sto metrów stąd. Na pewno dyżuruje tam Achal, który zwykle czeka na pasażerów aż do trzeciej nad ranem. Zawiezie cię do Lower Mills.

- Kiedy nie mam forsy...

Gerry poklepał go po biodrze, a gdy cofnął rękę, trzymał w niej zwinięty banknot dziesięciodolarowy, jakoby wyciągnięty zza paska spodni chłopaka.

- Wygląda na to, że schowałeś coś na czarną godzinę, tylko o tym zapomniałeś.

Młodzieniec z niedowierzaniem spojrzał na pasek swoich spodni.

- To moje?

- Przecież nie moje. A teraz zmiataj do taksówki, dobra?

- Jasne.

Głośno pociągnął nosem, gdy Gerry wziął go pod rękę i poprowadził do wyjścia.

Tuż przed drzwiami odwrócił się na pięcie i serdecznie uściskał swego dobroczyńcę.

- Już dobrze, dobrze - mruknął ze śmiechem Glynn.

- Kocham cię, człowieku - wychlipiał chłopak. - Naprawdę cię Kocham.

Kiedy wezwana taksówka zatrzymała się przy krawężniku, Gerry skinieniem głowy pozdrowił znajomego kierowcę, uwolnił się z uścisków młodzieńca i lekko pchnął go do wyjścia.

- No, idź już. Idź.

Patton znowu opuścił łeb, zwinął się w kłębek i zamknął oczy. Kiedy podrapałem go lekko po nosie, leniwie i sennie trącił moją dłoń.

- Kocham cię! - rzucił donośnie chłopak, otwierając drzwi taksówki.

- Jestem wzruszony - mruknął Gerry, zamykając drzwi, zza których doleciał pisk opon auta zawracającego na ulicy i ruszającego z kursem do Lower Mills. - Do głębi.

Obejrzał się na mnie, znacząco unosząc brwi, po czym przeciągnął dłonią po mocno przerzedzonych włosach na czubku głowy.

- Służba dla społeczeństwa na zawsze pozostaje we krwi - mruknąłem.

Wzruszył ramionami i zmarszczył czoło.

- Czyżbym wygłaszał odczyty także w twojej szkole?

Pokiwałem głową.

- Owszem, w Saint Bart, kiedy byłem w drugiej klasie.

Wziął z kontuaru butelkę i kieliszek, po czym usiadł przy stoliku obok szafy grającej. Dołączyłem do niego, chociaż swój kieliszek zostawiłem na barze, dobre dwa metry za sobą, uważając, że tam jest jego miejsce. Patton nawet nie spojrzał w naszym kierunku, chyba śnił już o wielkich tłustych kotach.

Gerry odchylił się na oparcie krzesła, uniósł ręce nad głowę, przeciągnął się i ziewnął szeroko.

- Masz rację. Teraz sobie przypominam.

- Daj spokój - odparłem. - Przecież minęło ponad dwadzieścia lat...

- Aha. - Wyprostował się i nalał sobie wódki. Według mojej rachuby był to już szósty kieliszek stolicznej, a po nim nawet nie było widać, że coś pił. - Trudno zapomnieć taką klasę - dodał, podnosząc kieliszek i ruchem głowy zachęcając mnie, bym dotrzymał mu towarzystwa. - Oprócz ciebie, Angeli i tego kutasa, za którego później wyszła... Jak on się nazywa?

- Phil Dimassi.

- O, właśnie, Phil. - Pokręcił głową. - Oprócz was był jeszcze mózgowiec Kevin

Hurlihy i ten drugi świr, Rogowski.

- Bubba.

- Wiem, że do dziś się przyjaźnicie, ale nawet o nim nie wspominaj. Był wśród podejrzanych w co najmniej siedmiu niewyjaśnionych sprawach zabójstw.

- Podejrzewam, że chodziło o szczególnie miłych i sympatycznych ludzi. Mówię o ofiarach.

Glynn wzruszył ramionami.

- Zabójstwo to zabójstwo. Jak odbierasz komuś życie bez ważnego powodu, powinieneś ponieść srogą karę. Nic dodać, nic ująć.

Pociągnąłem łyk piwa, zerkając na szafę grającą.

- Czyżbyś był innego zadania? - zapytał.

Odchyliłem się na oparcie krzesła i wyciągnąłem daleko ręce na stoliku.

- Nie, nauczyłem się takiego podejścia, chociaż czasami nadal mam wrażenie, że... Na pewno sam to dobrze znasz, Gerry. Nie zaprzeczysz, że życie Kary Rider było z pewnością o wiele więcej warte niż życie jej zabójcy.

- No, pięknie - mruknął, uśmiechając się krzywo. - Logika utylitarna w najczystszej postaci, jak dla mnie, mająca zbyt wiele wspólnego z większością ideologii faszystowskich, jeśli wybaczysz mi to porównanie. - Jednym haustem wypił wódkę i obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. - Jeśli wychodzisz z założenia, że życie ofiary jest więcej warte niż życie mordercy, co pozwalałoby ci zabić go z czystym sumieniem, to czy w ten sposób nie sprawiasz, że twoje życie staje się jeszcze mniej warte niż jego?

- Czyżbyś stał się nagle jezuitą? Chcesz mnie omotać syllogizmami?

- Nie wykręcaj kota ogonem, Patricku, tylko odpowiedz na moje pytanie.

Już za mojej młodości Gerry roztaczał wokół siebie dziwnie eteryczną aurę, jakby egzystował na innej płaszczyźnie niż cała reszta. Można było wyczuć, że jakaś część jego umysłu dryfuje w wiecznym mroku, który według księży naprawdę istnieje poza zakresem naszej powszechnej świadomości, w regionach przynależnych snom, sztuce abstrakcyjnej, wierze czy duchowej inspiracji.

Kiedy ruszyłem za bar po następne piwo, odprowadził mnie uważnym, choć ciepłym i miłym spojrzeniem. Zajrzałem do lodówki, wyjąłem drugiego harpoona i wróciłem z nim do stolika.

- Moglibyśmy prowadzić tę teoretyczną dyskusję całą noc - odparłem. - Być może w idealnym świecie moja teza byłaby nie do przyjęcia, ale w tym, dalekim od ideału,

życie niektórych ludzi wydaje mi się znacznie cenniejsze od innych. - Wzruszyłem ramionami, ujrawszy jego uniesione brwi. - Jeśli chcesz, nazwij nie faszystą, ale, moim zdaniem, życie Matki Teresy było nieporównanie wartościowsze od życia Michaela Millkena, a życie Martina Luthera Kinga od Hitlera.

- Ciekawe - mruknął cicho, niemal szeptem. - Jeśli masz odwagę oceniać wartość życia innych ludzi, wynika stąd, że sam czujesz się wart więcej od nich.

- Niekoniecznie.

- Uważasz się za lepszego od Hitlera?

- Oczywiście.

- I Stalina?

- Pewnie.

- Pol Pota?

- Owszem.

- Ode mnie?

- Ciebie?

Skinął głową.

- Ty nie jesteś mordercą, Gerry. Wzruszył ramionami.

- Na tej podstawie opierasz swoje wyceny? Uważasz się za lepszego od tych, którzy zabijają lub wydają innym rozkazy zabijania?

- Jeśli ofiarami padają ludzie, którzy nie stwarzają żadnego realnego zagrożenia dla zabójców bądź ludzi wydających takie rozkazy, to tak, czuję się od nich lepszy.

- Zatem wywyższasz się nad Aleksandra Wielkiego, Cezara, kilku naszych prezydentów i kilku papieży.

Zaśmiałem się. Dałem się złapać w prostą pułapkę, której istnienia domyślałem się od początku, nie wiedziałem tylko, kiedy to nastąpi.

- Jak już powiedziałem, Gerry, jest w tobie coś z natury jezuickiej.

Uśmiechnął się i przeciągnął palcami po błyszczącej od potu łysinie.

- Muszę przyznać, że dobrze mnie wyszkolili. - Zmrużył oczy i pochylił się nad stolikiem. - Po prostu brzydzę się ideą, że niektórzy ludzie mogliby mieć większe prawo do odbierania życia niż inni. To koncepcja chora z natury. Według mnie każdy zabójca powinien zostać ukarany.

- Jak Alec Hardiman?

Zamrugnął szybko.

- Potrafisz zaleźć człowiekowi za skórę.

- Między innymi za to mi płacą moi klienci. - Sięgnąłem po butelkę i nalałem mu jeszcze jeden kieliszek stolicznej. - Lepiej opowiedz mi o Alecu Hardimanie, Calu Morrisonie i Jamalu Cooperze.

- Niewykluczone, że Alec zabił zarówno Morrisona, jak i Coopera, ale to nie pewnego. Jedno nie ulega wątpliwości: morderca tych dwóch ludzi chciał nam zostawić jakieś przesłanie. Morrisonowi, zanim go ukrzyżowano pod pomnikiem Edwarda Everetta, szpikulcem do lodu przekłuto krtań, żeby nie mógł krzyczeć, a potem wycięto pewne części ciała, których nigdy nie odnaleziono.

- Jakie części?

Gerry zabębnił palcami po stole i wyduł wargi, jakby się zastanawiał, czy może mi zdradzić policyjną tajemnicę.

- Jądra, rzepki kolanowe i duże palce u stóp. W podobnym stanie znaleziono wcześniej inne ofiary.

- Inne poza Cooperem?

- Krótko przed śmiercią Cala Morrisona zginęło kilku pijaczków i włóczęgów kręcących się po śródmieściu aż do zajezdni autobusowej w Springfield. W sumie było ich sześciu, wliczając w to Jamala Coopera. Różne były narzędzia zbrodni, różne okoliczności i metody przeprowadzonych egzekucji, ale zdaniem moim i Bretta mieliśmy do czynienia z działalnością tych samych dwóch zabójców?

- Dwóch? - zdziwiłem się.

Pokiwał głową.

- Pracowali w duecie. Teoretycznie sprawca działający w pojedynkę musiałby być nadzwyczaj silny, oburęczny i szybki jak błyskawica.

- Jeśli różne były narzędzia, okoliczności i metody zbrodni, na jakiej podstawie łączyliście te wszystkie sprawy?

- We wszystkich wypadkach obserwowaliśmy ślady takiego okrucieństwa, z jakim nigdy wcześniej się nie spotkałem. A i później też nie. Zabójcy nie tylko czerpali ogromną satysfakcję z cierpienia ofiar, ale jeszcze brali pod uwagę reakcję ludzi, którzy odnajdą zwłoki. Na przykład jednego pijaka poszlachtowali na sto sześćdziesiąt cztery kawałki. Pomyśl tylko: sto sześćdziesiąt cztery kawałki ludzkiego ciała, niektóre nie większe od czubka palca, porozkładane na półkach regału, wzdłuż poręczy łóżka i na podłodze, porozwieszane na klamerkach od zasłony prysznicowej w małym obskurnym pokoiku hotelowym. Mimo że hotel już od dawna nie istnieje, ilekroć tamtędy przejeżdżam, wciąż staje mi przed oczyma widok, jaki zastaliśmy w środku.

Szesnastolatce z Worcester, która uciekła z domu, skręcili kark i obrócili głowę o sto osiemdziesiąt stopni, po czym umocowali ją taśmą samoprzylepną, żeby została w takiej pozycji do czasu odnalezienia zwłok. Wtedy po prostu nie mieściło mi się w głowie, że można coś takiego zrobić. Dlatego nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że wszystkich sześć ofiar, których sprawy do dziś nie zostały oficjalnie wyjaśnione, zginęło z ręki tych samych oprawców.

- A Cal Morrison?

Glynn smętnie pokiwał głową.

- On był siódmy. Charles Rugglestone prawdopodobnie ósmy.

- Zaraz. Ten sam Rugglestone, który przyjaźnił się z Alekiem Hardimaniem?

- Nie kto inny. - Uniósł kieliszek, ale zaraz odstawił go z powrotem i zapatrzył się na niego. - Rugglestone został zamordowany w starym magazynie niedaleko stąd. Zadano mu trzydzieści dwa ciosy szpikulcem do lodu, a następnie zgruchotano czaszkę młotkiem, do tego stopnia, że niektóre dziury były rozmiarów wylotu mysich nor, jakby naprawdę w jego głowie zagnieździły się gryzonie, które nagle postanowiły wygrześć się na wolność. Na dodatek został przypieczony, kawałek po kawałku, poczynając od kostek nóg aż po szyję i to jeszcze wtedy, gdy oddychał. Wtedy właśnie znaleźliśmy nieprzytomnego Aleca Hardimana w kantorku przy magazynie, od stóp do głowy zachlapanego krwią Rugglestone'a, a metr od niego na podłodze leżał zakrwawiony szpikulec do lodu. Wszędzie pełno było jego odcisków palców.

- A więc to on zamordował.

Gerry wzruszył ramionami.

- Odwiedzam go co roku w Walpole, jak przed śmiercią prosił jego ojciec. Zresztą chyba nawet wciąż go lubię. Sam nie wiem. W każdym razie nadal widzę w nim tego uroczego, sympatycznego chłopczyka. Zresztą, mniejsza o to. Niezależnie od wszystkiego Alec stanowi dla mnie jedną wielką zagadkę. Czy byłby zdolny popełnić morderstwo? Tak. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Jednak z drugiej strony nie daje mi spokoju świadomość, że chyba nikt, nawet najsilniejsze chłopisko, a przecież Alec wcale nie jest siłaczem, nie byłby zdolny dokonać tego wszystkiego, co uczyniono z Rugglestone'em. - Wydał wargi i szybkim ruchem opróżnił kieliszek. - Ale już po aresztowaniu Hardimana brutalne zabójstwa nagle ustały. Oczywiście jego ojciec niedługo potem przeszedł na emeryturę. Jeszcze przez długi czas roztrząsałem później sprawy zabójstwa Morrisona oraz sześciu pozostałych ludzi i jestem prawie pewien, że Alec nie mógł mieć nic wspólnego co najmniej z dwiema z nich.

- Został jednak skazany.

- Ale tylko za zabójstwo Rugglestone'a. Nikt nie chciał oficjalnie przyznać, że w mieście grasował seryjny morderca, a wiadomość o tym była skrzętnie ukrywana przed opinią publiczną. Nikt nie chciał się narażać, zwłaszcza po tym, jak o dokonanie brutalnego mordu oskarżono syna szanowanego i wielokrotnie odznaczanego policjanta. Dlatego sądzono Aleca wyłącznie za zabójstwo Rugglestone'a, za które i tak został skazany na dożywocie i do końca swych dni będzie gnił w Walpole. Tymczasem jego ojciec, który przeniósł się na Florydę, zmarł pewnie od ciągłego zastanawiania się, gdzie popełnił błąd wychowawczy. To wszystko nie miałoby teraz większego znaczenia, gdyby ktoś na wzgórzu nie ukrzyżował Kary Rider, a ktoś inny nie podał ci mojego nazwiska w związku z tamtymi dochodzeniami i nie wspomniął o Alecu Hardimanie.

- Jeśli rzeczywiście morderca nie działał wtedy sam, jeśli Hardiman miał współnika...

- To jest on nadal na wolności - dokończył za mnie Glynn, spoglądając spod nastroszonych brwi podkrążonymi oczami, które nagle jak gdyby pociemniały. - I jeśli przez tych dwadzieścia lat siedział cicho jak mysz pod miotłą, żeby teraz wznowić swój proceder, to bez dwóch zdań musi być cholernie spragniony ludzkiej krwi.

16

Tego pięknego letniego dnia, gdy Kara Rider zatrzymała mnie na ulicy, żeby zapytać o postępy w sprawie Jasona Warrena, zaczął padać śnieg.

Przefarbowała sobie włosy z powrotem na blond, siedziała na plastikowym foteliku ogrodowym przed wejściem do baru „The Black Emerald”, miała na sobie tylko majteczki od różowego bikini, a śnieg sypał coraz gęściej wszędzie dookoła, zbierał się na poręczach fotelika, lecz na jej odkryte ciało tylko świeciło słońce. Na drobnych, lekko zadartych piersiach zbierały się kropelki potu, aż musiałem sobie przypomnieć w myślach, że przecież znam tę dziewczynę od najmłodszych lat, więc nie powinienem na nią patrzeć jak na przedmiot męskiego pożądania.

Grace zatrzymała się na chodniku kilkadziesiąt metrów od nas, żeby wpiąć malej we włosy czarną różę. Zebrana po drugiej stronie ulicy gromada białych psów, niezbyt dużych, ale zajadłych, przyglądała się im wrogo, głośno powarkując, aż z pysków buchały im kłęby pary.

- Muszę już iść - odezwałem się do Kary, lecz gdy popatrzyłem wzdłuż ulicy, Grace i Mae już tam nie było.

- Usiądź - poprosiła dziewczyna. - Tylko na chwilę.

Usiadłem więc przy niej. Śnieg od razu zaczął mi sypać za kołnierz, natychmiast zrobiło się zimno, poczułem ciarki na plecach. Ledwie mogłem opanować szczykanie zębami.

- Myślałem, że nie żyjesz - powiedziałem.

- Żyję, tylko wyjechałam na krótko.
- Gdzie byłaś. - W Brookline. Syf.
- Słucham?
- Nic się tam nie zmieniło, do cholery. Grace wyjrzała z baru „The Black Emerald”.
- Jesteś gotów, Patricku?
- Naprawdę muszę już iść - mruknąłem, poklepując Karę po ramieniu.

Złapała mnie za rękę i położyła ją sobie na nagiej piersi.

Obejrzałem się szybko na Grace, ale nie zrobiło to na niej większego wrażenia.

Obok niej w drzwiach pojawiła się Angie, obie uśmiechały się do mnie szeroko.

Kara przeciągnęła moimi palcami po swoim nabrzmiałym sutku.

- Nie zapomnij o mnie.

Śnieg zasypywał ją coraz szybciej.

- Nie zapomnę. Na razie.

- Żegnaj.

Nogi plastikowego fotelika złamały się pod ciężarem zasy i gdy spojrzałem przez ramię po odejściu kilku metrów, nie mogłem już nawet rozpoznać ludzkiej sylwetki pod śniegiem.

Z baru wybiegła Mae. Wzięła mnie za rękę, pociągnęła w stronę gromady psów i pierwszemu z nich podsunęła moją dłoń, którą natychmiast odgryzł.

Popatrzyłem, jak moja spieniona krew skapuje mu z pyska. W ogóle nie odczuwałem bólu, na swój sposób było to nawet przyjemne.

- Widzisz? - zaćwierkała Mae. - On cię lubi, Patricku.

W ostatnim tygodniu października za milczącym przyzwoleniem Diandry i Erica przerwaliśmy obserwację Jasona Warrena. Wielu moich kolegów ciągnęłoby ją dalej, żeby czerpać korzyści z obaw matki, ale ja nie stosuję takich metod. Nawet nie z powodu wyrzutów sumienia, ale ze względów marketingowych, bo co najmniej połowa nowych spraw bierze się stąd, że moje usługi polecają znajomym zadowoleni klienci. Zdołaliśmy do tej pory zebrać materiały na temat wszystkich nauczycieli Jasona ze szkoły średniej (jedenastu) oraz jego najbliższych znajomych z akademika (to znaczy Jade, Gabrielle, Lauren oraz współlokatora). Nie wiedzieliśmy tylko niczego o facecie z bródką, ale i tak wnioskowaliśmy, iż żadna ze sprawdzonych osób nie stanowi dla niego zagrożenia. Do tego mieliśmy stertę notatek z codziennych obserwacji, nie licząc sprawozdań z rozmowy z Grubym Freddyem, Jackiem Rouse'em

i Kevinem Hurlihym oraz mojej krótkiej telefonicznej pogawędki ze Stanem Timpsonem.

Diandra nie odebrała żadnych dalszych pogroźek, ani telefonicznych, ani listownych. Podczas rozmowy z Jasonem w trakcie pobytu w New Hampshire wspomniała, że jej znajomy w ciągu tygodnia widział go w „Sunset Grill” w towarzystwie obcego mężczyzny, ale chłopak odparł wymijająco, że „to tylko przyjaciel”, po czym zmienił temat.

Obserwowaliśmy go jeszcze przez tydzień, ale prowadził taki sam tryb życia - wybuchy niezwyklej aktywności seksualnej przeplatane okresami nauki w samotności.

Diandra w końcu przyznała nam rację, że do niczego to nie prowadzi i nic więcej nie kryje się poza sugestią zagrożenia, jaką była dla niej przysłana pocztą fotografia syna. Sami zaś doszliśmy do wniosku, że nasze wstępne podejrzenie, jakoby doktor Warren nieświadomie nadepnęła na odcisk Kevinowi Hurlihy'emu, było słuszne. W każdym razie po spotkaniu w kawiarni Grubego Freddy'ego trudno było wyczuć jakiegokolwiek zagrożenie. Może Freddy, Kevin, Jack i cała reszta ich bandy postanowili się wycofać, nie chcieli tylko stracić twarzy w rozmowie z parą podrzędnych prywatnych detektywów.

Diandra podziękowała nam za zaangażowanie i zapłaciła za poświęcony czas, a my zostawiliśmy jej swoje wizytówki z domowymi numerami telefonów na wypadek, gdyby sprawa odżyła, bo przecież końcówka roku to w naszym interesie martwy sezon.

Kilka dni później na prośbę Devina spotkaliśmy się z nim w „The Black Emerald” o drugiej po południu. Na drzwiach baru wisiała kartka z napisem ZAMKNIĘTE, lecz gdy zapukaliśmy, inspektor wpuścił nas do środka i zamknął drzwi na zasuwkę.

Gerry Glynn jak zwykle siedział na stołku za kontuarem i miał kwaśną minę, Oscar pochylał się nad talerzem z jedzeniem. Devin bez słowa wrócił na swoje miejsce obok niego i wbił zęby w tak krwistego cheeseburgera, że bułka zabarwiła się od soku na ciemnoczerwono.

Usiadłem przy Devinie, natomiast Angie zajęła stół obok Oscara i podkrađła mu z talerza frytkę.

Jeszcze raz spojrzałem na podejrzanego cheeseburgera.

- Ten krowi zadek przygrzał się choć trochę na kaloryferze? - zapytałem.

Devin warknął coś nieartykułowanego, zając z apetytem.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak surowe mięso wpływa na pracę twego serca, nie

mówiąc już o żołądku?

Otarł usta serwetką i zerknął na mnie z ukosa.

- Czyżbyś skorzystał z mojej nieuwagi, Kenzie i związał się z jakąś holistyczną maniaczką zdrowego stylu życia?

- Nie, ale widziałem taką maniaczkę pikietującą przed twoim domem.

Sięgnął do kabury przy pasie.

- No to masz, weź mój rewolwer i zastrzel sukę na miejscu. Ale najpierw spróbuj to odegrać na migi, a ja się postaram, żeby w gazetach zamieścili rzetelne recenzje.

Ktoś za moimi plecami głośno odchrząknął. Spojrzałem szybko w lustro za barem. W cieniu za przepierzeniem w prawym kącie sali siedział jakiś mężczyzna ubrany w ciemny garnitur i taki sam krawat, sztywno nakrochmaloną białą koszulę i równie białą apaszkę. Jego ciemne włosy miały odcień grubo lakierowanego mahoni. Tkwił przy stoliku wyprostowany jak struna, jakby zamiast kręgosłupa miał żelazną rurkę.

- Patrick Kenzie, Angela Gennaro - przedstawił nas Devin, wskazując kciukiem przez ramię - a to agent specjalny FBI, Barton Bolton.

Obróciłem się na stoiku. Angie zrobiła to samo i oboje powiedzieliśmy równocześnie:

- Cześć.

Agent Bolton nie odezwał się ani słowem. Obrzucił nas spojrzeniem komendanta obozu koncentracyjnego decydującego, czy wysłać nas do pracy przymusowej, czy od razu zlikwidować, po czym zapatrzył się na ścianę gdzieś ponad ramieniem Oscara, który się odezwał:

- Mamy problem.

- Tylko jeszcze nie wiemy, jak bardzo poważny - dodał Devin.

- Cóż to za problem? - zapytała Angie.

- Usiądźmy wszyscy razem - zaproponował Oscar, odsuwając talerz.

Devin poszedł w jego ślady i wcisnęliśmy się za przepierzenie obok agenta Boltona.

- A co z Gerrym? - spytałem, zerkając, jak zaczyna czyścić szkło za barem.

- Pan Glynn już został przesłuchany - odezwał się Bolton.

- Aha.

- Patricku, w dłoni zamordowanej Kary Rider znaleźliśmy twoją wizytówkę - zaczął Devin.

- Już ci mówiłem, skąd się u niej wzięła.

- Owszem, ale gdy badaliśmy poszlakę, że zabił ją Micky Doog albo któryś z jego szurniętych kumpli, choćby za to, że nie chciała z nimi pójść do łóżka, jeszcze nie widzieliśmy obecnego problemu.

- Mamy rozumieć, że sprawdzacie teraz inną poszlakę? - zagadnęła Angie.

- Niestety, tak. - Devin zapalił papierosa.

- Słyszałem, że rzucasz palenie - mruknąłem.

- Bez rezultatu. - Wzruszył ramionami.

Agent Bolton wyjął z teczki zdjęcie, które mi podał. Przedstawiało mężczyznę po trzydziestce o budowie herosa ze starożytnych greckich posągów. Był w samych szortach i uśmiechał się szeroko do obiektywu, jego tors przypominał jeden wielki kłęb posplatanych mięśni, a mięśnie miał rozmiarów piłki do rugby.

- Znacie tego człowieka?

- Nie - odparłem, podając zdjęcie Angie. Przyglądała mu się przez chwilę.

- Nie - powiedziała.

- Na pewno?

- Chyba nie wątpi pan, że zapamiętałabym takie ciało?

- Kto to jest?

- Peter Stimovich - wyjaśnił Oscar. - A ściślej rzecz biorąc, to był Peter Stimovich, bo został zabity ubiegłej nocy.

- I co? Przy nim też znaleźliście moją wizytówkę?

- Przynajmniej jak dotąd nic mi o tym nie wiadomo.

- Więc dlaczego mnie przesłuchujecie? Devin obejrzał się przez ramię na Glynna.

- O czym rozmawialiście z Gerrym, gdy przyszedłeś tu po zamknięciu baru kilka dni temu?

- Czemu jego o to nie zapytasz?

- Już to zrobiliśmy.

- Chwileczkę. Skąd w ogóle wiecie, że byłem tu przed kilkoma dniami.

- Znajdował się pan pod obserwacją - odparł Bolton.

- Co takiego?

Devin wzruszył ramionami.

- To sprawa dużo poważniejsza, niż ci się wydaje, Patricku. O wiele poważniejsza.

- Od jak dawna? - wymamrotałem.

- Co od jak dawna?

- Byłem śledzony? - spojrzałem na Boltona.

- Od chwili, gdy Alec Hardiman nie zgodził się na składanie zeznań - rzekł Devin.
- I co z tego?
- Bo jednocześnie zaznaczył, że będzie rozmawiał tylko z tobą - dodał Oscar.
- Ze mną?
- Zgadza się, Patricku. Z nikim innym nie chce gadać.

17

- Niby dlaczego Alec Hardiman chciałby ze mną rozmawiać?

- Świetne pytanie - rzekł Bolton, ruchem ręki odpędzając sprzed twarzy dym z papierosa Devina. - Wszystko, co od tej chwili zostanie tu powiedziane, jest objęte najściślejszą tajemnicą. Rozumiemy się, panie Kenzie?

Równocześnie z Angie pokiwaliśmy głowami.

- Zatem gwoli ścisłości, jeśli wygadacie się przed kimś, o czym rozmawialiśmy, zostaniecie oskarżeni o utrudnianie śledztwa federalnego, za co grozi kara do dziesięciu lat pozbawienia wolności.

- Mam wrażenie, że sprawia wam to olbrzymią satysfakcję - powiedziała Angie.

- Co?

- Straszanie oskarżeniami o... utrudnianie śledztwa federalnego - dokończyła nienaturalnie grubym głosem.

Bolton tylko westchnął.

- Panie Kenzie, zamordowana Kara Rider trzymała w ręku pańską wizytówkę. Jej ukrzyżowanie, jak zapewne już pan wie, nosi wiele cech podobieństwa do zabójstwa pewnego chłopca, do którego doszło w tej okolicy w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym. I chyba wie pan też, że sierżant Amronklin był wtedy funkcjonariuszem pracującym nad tą sprawą prowadzoną przez byłego sierżanta detektywa Glynnę oraz inspektora Hardimana.

Spojrzałem na Devina.

- Czy już tamtej nocy, kiedy wezwałeś mnie na wzgórze po odkryciu zwłok Kary, dostrzegłeś powiązania między jej zabójstwem a śmiercią Cala sprzed lat?

- W każdym razie miałem na uwadze taką możliwość.

- To dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś?

Zdusił papierosa w popielniczce.

- Bo nie jesteś policjantem, Patricku. Nie do mnie należy wprowadzanie osób postronnych w policyjne dochodzenia. Poza tym wtedy taka możliwość tylko mi się kołatała po głowie. Nie traktowałem jej jeszcze poważnie.

Zadzwoił stojący na barze telefon. Gerry spojrzął na nas i podniósł słuchawkę.

- „Black Emerald”. - Pokiwał głową, jakby padło pytanie, którego się spodziewał. - Przykro mi, ale nie. Bar będzie dzisiaj zamknięty. Wymieniamy rury w kuchni. - Zamknął na chwilę oczy, po czym energicznie przytaknął ruchem głowy. - Skoro jest pan aż tak bardzo spragniony, to proszę iść do innego lokalu. Wybór jest duży. - Sięgnął do widełek, najwyraźniej chcąc przerwać połączenie. - Nie słyszał pan, co powiedziałem? Zamknięte... Mnie też przykro. - Odłożył słuchawkę i wzruszył ramionami.

- I jest następna ofiara? - zapytałem. - Stimovich.

- Aha. Też został ukrzyżowany?

- Nie - odparł Bolton.

- Więc jak zginął?

Agent FBI popatrzył na Devina, ten na swego partnera, a Oscar mruknął:

- Jakie to ma znaczenie? Można im powiedzieć. Będziemy potrzebowali wszelkiej możliwej pomocy, nim trupy zaczną się słać gęsto.

- Stimovicha przywiązano do uchwytów w murze, pasami zdarto z niego skórę, a następnie wypruto mu flaki, kiedy jeszcze żył - wyjaśnił Bolton.

- Matko boska... - syknęła Angie i przeżegnała się błyskawicznie, jakby nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Znowu zadzwonił telefon. Bolton zmarszczył brwi.

- Czy nie mógłby go pan na jakiś czas odłączyć, panie Glynn?

Gerry spojrzął na niego z kwaśną miną.

- Przy całym szacunku dla zabitych, agencie Bolton, gotów jestem zamykać bar tak długo, jak tylko będzie to panu potrzebne, to jednak mój interes i nic nie sprawi, że przestanę się troszczyć o swoich klientów.

Bolton lekceważąco machnął ręką i Glynn podniósł słuchawkę. Przez kilka sekund

w milczeniu kiwał głową, wreszcie rzucił:

- Posłuchaj, Bob, mamy awarię. Przykro mi, ale w kuchni na podłodze stoi pięć centymetrów wody... - Urwał, po czym dodał ze złością: - Cóż ci mogę na to poradzić? Idź do Leary'ego albo „The Fermanagh”. Jakoś to przeżyjesz.

Przerwał połączenie i znów skwitował je wzruszeniem ramion.

- Skąd wiecie, że Kary nie zamordował ktoś z jej znajomych? Na przykład Micky Doog? A może padła ofiarą jakiejś gangsterskiej inicjacji?

Oscar pokręcił głową.

- Nic na to nie wskazuje. Wszyscy jej znajomi mają alibi, włączając w to Micky'ego Dooga. Poza tym nie wiemy nawet, co robiła po powrocie do miasta.

- Rzadko pokazywała się w tej okolicy - dodał Devin. - Jej matka także nie wie, dokąd chodziła. Zdołaliśmy ustalić jedynie, że wróciła trzy tygodnie temu i raczej nie nawiązała żadnych bliższych znajomości w Brookline.

- W Brookline? - powtórzyłem zdumiony, przypomniawszy sobie mój sen.

- Owszem. Wiemy, że wyjeżdżała tam kilka razy. Potwierdzają to rachunki opłat robionych kartą kredytową w markecie „Cityside” i paru restauracjach w bezpośrednim sąsiedztwie Uniwersytetu Bryce'a.

- Jezu... - mruknąłem.

- Co się stało?

- Nic. Co każe wam łączyć te sprawy, jeśli ofiary zginęły w zupełnie różny sposób?

- Fotografie - rzekł Bolton.

Coś gwałtownie ścisnęło mnie w dołku.

- Jakie fotografie? - zapytała Angie.

- U matki Kary znaleźliśmy stertę korespondencji, której kobieta nawet nie otwierała przez kilka dni poprzedzających śmierć córki - rzekł Devin. - Była tam między innymi zwykła biała koperta bez znaczka i adresu zwrotnego, zawierająca jedynie zdjęcie Kary. Zupełnie niewinne zdjęcie, nic poza tym...

- Gerry, czy mogę skorzystać z telefonu? - zapytała pospiesznie Angie.

- O co chodzi? - zainteresował się Bolton. Ale Angie już wybierała numer przy barze.

- A ten ostatni gość, Stimovich? - spytałem.

- Nikt nie odpowiada w jego pokoju w akademiku - oznajmiła Angie, szybko wybierając inny numer.

- Co się dzieje, Patricku? - odezwał się Devin.

- Opowiedzcie mi coś więcej o tym Stimovichu - zwróciłem się do niego, próbując opanować drżenie głosu. - Pospiesz się, Devin.

- Jego dziewczyna, Alice Boorstin...

- W biurze Diandry też nikt nie odbiera - przerwała mu Angie, cisnęła słuchawkę na widełki, ale zaraz ją podniosła i zaczęła wybierać kolejny numer.

- ...jakieś dwa tygodnie temu dostała pocztą podobną przesyłkę. Tak samo koperta była bez znaczka i adresu zwrotnego, a w środku tylko zdjęcie.

- Diandra? - rzuciła Angie do słuchawki. - Gdzie jest Jason?

- Może jednak zdradzisz, Patricku, co się dzieje? - rzekł Oscar.

- Przecież dostaliśmy rozkład jego zajęć - odparła zdenerwowana Angie. - Miał dzisiaj tylko jeden wykład, który się skończył ponad pięć godzin temu.

- Nasza klientka dwa tygodnie temu dostała identyczną przesyłkę - powiedziałem.

- Ze zdjęciem syna.

- Będziemy w kontakcie. Proszę czekać na telefon. Na razie nie ma się jeszcze czym martwić. - Angie przerwała połączenie, odwróciła się i syknęła: - Kurwa mać!

- Idziemy. - Wstałem od stolika.

- Nigdzie nie pójdziecie - zaprotestował Bolton.

- A co? Aresztujesz nas? - warknąłem, ruszając za Angie do wyjścia.

18

Znaleźliśmy Jade, Gabrielle i Lauren jedzących razem obiad w uniwersyteckiej stołówce, ale nie było z nimi Jasona. Wszystkie trzy obrzucały nas podejrzliwymi spojrzeniami, lecz bez sprzeciwu odpowiadały na pytania. Okazało się, że żadna nie widziała go od rana.

Wpadliśmy do jego pokoju w akademiku, ale nie pokazywał się tu od wczoraj. Jego współlokator otoczony kłębamii dymu z marihuany, przekrzykując zawołanie Henry'ego Rollinsa dobiegające z olbrzymich kolumn głośnikowych, rzekł:

- Nie, człowieku, nie mam zielonego pojęcia, gdzie on jest. Chyba polazł gdzieś z tym frajerem, no, wiecie...

- Nie, nie wiemy.

- Z takim jednym. Spotyka się z nim od czasu do czasu.

- Takim szczupłym z bródką? - zapytała Angie. Chłopak pokiwał głową.

- I zupełnie tępym wyrazem oczu, jakby ożył i dopiero co wstał z grobu. Ale ma całkiem zgrabną dupcię, tyle że ja w takich nie gustuję. Dziwne, co nie?

- Ten frajer jakoś się nazywa?

- Nigdy nie słyszałem nawet jego imienia.

Kiedy wracaliśmy do samochodu, z mej pamięci wypłynęło pytanie, jakie Grace zadała mi kilka dni temu: „Czy te sprawy są w jakiś sposób ze sobą powiązane?”.

Ależ tak, były. Tylko co to mogło dla nas oznaczać?

Diandra Warren dostała pocztą zdjęcie syna, po czym intuicyjnie powiązała je z

zagrożeniem ze strony mafiosa, któremu nieświadomie mogła wejść w drogę. Ale wyciągnęła błędne wnioski. Bo rozmawiała z oszustką. Do tego spotkały się w Brookline. Oszustka mówiła z silnym bostońskim akcentem i miała lekko kręcone blond włosy. Kiedy po dłuższej przerwie spotkałem Karę Rider, miała włosy świeżo ufarbowane. Wcześniej na pewno była blondynką, a do tego rachunki za opłaty kartą kredytową potwierdzały jej pobyt w Brookline mniej więcej w tym samym czasie, gdy rzekoma Moira Kenzie skontaktowała się z Diandrą.

Doktor Warren nie miała w domu telewizora. Jeśli w ogóle czytała gazety, to prędzej „The Trib” niż „The News”. W tej drugiej opublikowano całostronicowe zdjęcie zamordowanej Kary. „The Trib”, stroniący od taniej sensacji, zamieścił tylko krótką wzmiankę o zabójstwie, bez zdjęcia ofiary.

Mieliśmy już wsiadać do samochodu, gdy przy krawężniku zatrzymało się beżowe audi Gaulta. Wysiadając, Eric popatrzył na nas z wyraźnym zaskoczeniem.

- Co was tu sprowadza? - zapytał.

- Szukamy Jasona.

Otworzył bagażnik i zaczął wyjmować książki porozrzucane na starych gazetach.

- Wydawało mi się, że zrezygnowaliście z prowadzenia sprawy.

- Wynikło właśnie coś nowego - odparłem, uśmiechając się do niego przyjaźnie, choć ani trochę nie było mi do śmiechu. Popatrzyłem na stertę gazet w bagażniku auta. - Znosisz je spod śmietnika?

Pokręcił głową.

- Nie, wrzucam do bagażnika, żeby wywieźć je do skupu makulatury, kiedy już nic więcej nie mogę w nim zmieścić.

- Właśnie szukam gazety mniej więcej sprzed dziesięciu dni. Mogę zajrzeć?

- Proszę bardzo. - Odsunął się od auta.

Sięgnąłem do sterty egzemplarzy „The News” i w czwartym od góry ujrzałem zdjęcie Kary.

- Mogę? - zapytałem.

- Proszę bardzo - rzekł, zamykając bagażnik. - Jeśli szukacie Jasona, zajrzyjcie do „Coolidge Corner” i barów przy Brighton Avenue: „The Kells”, „Harper's Ferry”... Studenci z Bryce'a często tam przesiadują.

- Dzięki.

Angie wskazała książki, które trzymał pod pachą, i zapytała:

- Zwracasz je do biblioteki?

Pokręcił głową i popatrzył na niezbyt odległy biały gmach uniwersytecki otoczony akademikami z czerwonej cegły.

- Wziąłem zastępstwo. W czasach obecnej recesji nawet my, specjaliści, musimy dorabiać, biorąc ponadplanowe zajęcia.

Pożegnaliśmy się z nim i zajęliśmy miejsca w samochodzie.

Eric pomachał nam ręką, zawrócił i ruszył w stronę kampusu, pogwizdując coś pod nosem w zapadającym z wolna chłodzie.

Sprawdziliśmy wszystkie bary przy Brighton Avenue, w North Harvard, a nawet kilka przy Union Square. Jasona nigdzie nie znaleźliśmy.

W drodze do domu Diandry Angie zapytała:

- Po co wzięłeś od niego tę gazetę? Powiedziałem jej o swoich domysłach.
- Chryste... - jęknęła. - To prawdziwy koszmar.
- Owszem.

Kiedy wjeżdżaliśmy przeszkloną windą, w nabrzeże uderzyła potężna fala, która następnie cofnęła się w postaci wału o odcieniu czarnego tuszu. Dziwne klucie w dołku, które dokuczało mi od pewnego czasu, nagle przybrało na sile do tego stopnia, że aż zebrało mi się na wymioty.

Zaledwie Diandra wpuściła nas do środka, zapytałem pośpiesznie:

- Czy rzekoma Moira Kenzie w trakcie rozmowy z panią odznaczała się nerwowym ruchem zsuwania włosów za ucho, jeśli nawet miała krótkie włosy, które nie spadały jej na oczy?

Kobieta popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- No więc tak czy nie?

- Tak, tylko skąd...

- Proszę sobie przypomnieć, czy miała też zwyczaj wyrzucać z siebie zdania jednym tchem, które kończyła głośnym przydechem, jak gdyby urywanym chichotem.

Zamknęła na chwilę oczy.

- Tak. Rzeczywiście tak robiła. Podsunąłem jej pod nos wydanie „The News”.

- Czy to była ta dziewczyna?

- Tak.

- Szlag by to trafił - syknąłem ze złością.

To Kara Rider rozmawiała z nią jako Moira Kenzie.

Z mieszkania Diandry zadzwoniłem pod numer pagera Devina.

- Ciemne włosy. Koło dwudziestki. Wysoki. Dobrze zbudowany. Z charakterystycznym dołkiem w brodzie. Zwykle chodzi w dżinsach i flanelowej koszuli. - Zwróciłem się do gospodyni. - Ma pani tutaj telefaks?

- Tak.

- Devin, mogę ci przesłać zdjęcie faksem. Pod jaki numer?

Podyktował.

- Będziemy mieli co najmniej setkę podejrzanych o zbliżonym wyglądzie, Patricku - rzekł.

- Zgarnijcie nawet dwustu, dla mojego spokoju sumienia.

Telefaks stał na biurku pod oknem. Położyłem na tacy zdjęcie Jasona, które Diandra otrzymała pocztą, a gdy nadszedł sygnał potwierdzenia transmisji, wróciłem do saloniku, gdzie Angie siedziała z gospodynią.

Powiedziałem Diandrze, że jesteśmy zaniepokojeni, ponieważ uzyskaliśmy pośredni dowód, że ani Jack Rouse, ani Kevin Hurlihy nie mają nic wspólnego z odebranymi przez nią pogroźkami. Dodałem też, że skoro Kara Rider została zamordowana krótko po tym, jak wcieliła się w Moirę Kenzie, chcę natychmiast otworzyć zawieszoną sprawę. Nie wspomniałem tylko, że wszyscy, których zdjęcia wysłano najbliższym, wkrótce ginęli straszliwą śmiercią.

- Ale Jasonowi nic się nie stało? - spytała zaniepokojona, siadając na kanapie z podwiniętymi pod siebie nogami.

- Jak dotąd nic nam o tym nie wiadomo - odparła Angie.

Doktor Warren pokręciła głową.

- Jesteście wyraźnie zaniepokojeni. To widać na pierwszy rzut oka. Poza tym coś przede mną ukrywacie. Proszę, powiedzcie mi prawdę. Muszę ją znać.

- To nic wielkiego - odparłem. - Po prostu bardzo mi się nie podoba, że dziewczyna, która w rozmowie z panią podała się za Moirę Kenzie i ewidentnie rozkręciła całą tę sprawę, została zamordowana.

Najwyraźniej mi nie uwierzyła, gdyż pochyliła się, opierając łokcie na kolanach.

- Jason dzwoni do mnie codziennie między dziewiątą a wpół do dziesiątej wieczorem, niezależnie od tego, gdzie przebywa.

Spojrzałem na zegarek, było pięć po dziewiątej.

- Czy dzisiaj też zadzwoni, panie Kenzie?

Obejrzałem się na Angie, która wpatrywała się z uwagą w panią psycholog.

Diandra zamknęła na chwilę oczy, a kiedy je otworzyła, zapytała:

- Czy któreś z was ma dzieci?

Angie pokręciła głową. Mnie przed oczyma stanęła buzia Mae.

- Nie - powiedziałem.

- Tak myślałam.

Wstała i podeszła do okna, splatając dłonie z tyłu. Gasnące światła w oknach sąsiedniego budynku sprawiły, że stopniowo pogrążyła się w mroku.

- Rodzice nigdy nie przestaną się martwić o swoje dzieci - powiedziała. - Nigdy. Pamięta się, kiedy dziecko po raz pierwszy wspięło się na drabinkę zabezpieczającą łóżeczko i wypadło na podłogę i swoje pierwsze chwile przerażenia, że nie żyje. Pamięta się doskonale stan ducha, jaki ta myśl ze sobą niesie. A potem, kiedy dorasta, zaczyna jeździć na rowerze i łązić po drzewach, samemu chodzić do szkoły i przebiegać przez jezdnię tuż przed samochodami, nie czekając na zielone światło, człowiek zaczyna udawać, że wszystko jest w porządku. Powtarza sobie, że to tylko dziecko, że wszyscy postępują tak samo w tym wieku. Ale coś zawsze ścisza za serce, co każdy stara się lekceważyć. I tylko się modli, żeby dziecka nie spotkało nic złego. - Odwróciła się od okna i spojrzała w naszą stronę. - Nigdy nie można uwolnić się od matczynej troski, od ciągłego lęku, nawet na chwilę. To nieodłączna cena wydania dziecka na świat.

Przypomniałem sobie, jak Mae ostrożnie wyciągała rączkę do psa, którego chciała pogłaskać i jak byłem wtedy gotów rzucić się w ich stronę i urwać łeb temu szkockiemu terierowi, gdyby zaszła taka konieczność.

Zadzwoił telefon. Spojrzałem na zegarek: kwadrans po dziewiątej. Wszyscy troje poderwali się na nogi. Diandra w kilku susach dopadła aparatu stojącego w drugim końcu pokoju. Angie spojrzała na mnie i z wyrazem ulgi wzniosła oczy ku niebu.

Gospodyni podniosła słuchawkę i rzuciła z zapalem:

- Jason? To ty?

Ale to nie był jej syn. Stało się to dla nas oczywiste, gdy tylko nerwowym ruchem przyglądała włosy i zamarła z ręką przy głowie.

- Słucham?! - rzuciła z niedowierzaniem. - Chwileczkę. - Wyciągnęła słuchawkę w moim kierunku. - Ktoś do pana. Jakiś Oscar.

Wziąłem od niej słuchawkę i stanąłem tyłem do pokoju, wbijając wzrok w jasne deski podłogowe, na których rozlewał się coraz głębszy mrok w miarę gaśnięcia

światel w sąsiednich budynkach. Z mocno bijącym sercem odebrałem wiadomość Oscara, że znaleziono zwłoki Jasona Warrena.

W kawałkach.

19

Na pustym rozległym placu postojowym w południowym Bostonie nieznany sprawca najpierw postrzelił Jasona w brzuch, potem zadał mu kilka ciosów szpikulcem do lodu, w końcu młotkiem zgruchotał czaszkę. Następnie odciął mu nogi i ręce, które porozwieszał w oknach pobliskiej hali magazynowej, a tors zostawił na betonowej posadzce frontem do wejścia, przywiązawszy głowę do grubego kabla zwieszającego się spod taśmociągu.

Ekipa z dochodzeniówki, która spędziła na miejscu zbrodni całą noc i większą część przedpołudnia, nigdzie nie znalazła wyciętych rzepek kolanowych.

Jako pierwsi zjawili się tam dwaj młodzi gliniarze z patrolu miejskiego. Pierwszy odszedł ze służby tydzień później, a drugi, jak opowiadał Devin, wziął urlop okolicznościowy i zgłosił się do poradni zdrowia psychicznego. Devin powiedział też, że gdy razem z Oscarem przybyli na plac postojowy, pomyśleli w pierwszej chwili, że Jason padł ofiarą rozwścieczonego lwa, który uciekł z zoo.

Kiedy tylko odłożyłem słuchawkę, wysłuchawszy wstępnej relacji Oscara i odwróciłem się do Diandry i Angie, gospodyni od razu domyśliła się prawdy.

- Mój syn nie żyje, prawda?

Skinąłem głową.

Zamknęła oczy i zakryła dłońmi uszy, jakby nieistniejący hałas w pokoju przeszkadzał jej coś usłyszeć. Zachwiała się lekko na boki, niczym pod uderzeniem wiatru, aż Angie wstała i stanęła przy niej.

- Proszę mnie nie dotykać - powiedziała, nie otwierając oczu.

Kiedy przyjechał Eric, Diandra siedziała już na krześle przy oknie i spoglądała niewidzącym wzrokiem na port. Nawet nie tknęła zimnej już kawy, którą zaparzyła Angie. Przez godzinę nie odezwała się do nas ani słowem.

Gdy Eric wszedł do mieszkania, popatrzyła, jak w przedpokoju zdejmuje płaszcz i kapelusz, po czym spojrzała na nas.

Wyszliśmy z jadalni. Przekazałem Gaultowi wiadomość od Oscara.

- Matko Boska... - jęknął i zbladł jak ściana, jakby miał za chwilę zemdleć. Kurczowo złapał się drążka kontuaru, aż pobieleły mu knykcie. - Zamordowany? Jak to się stało?

Pokręciłem głową.

- Na razie nic więcej nie możemy powiedzieć.

Zaparł się oburącz o brzeg kontuaru i nisko zwiesił głowę.

- Jak Diandra zareagowała na tę wiadomość?

- Milczy.

Przytaknął ospale.

- To u niej normalne. Zawiadomiliście już Stana Timpsona? Pokręciłem głową.

- Zakładam, że zrobiła to policja.

Łzy napłynęły mu do oczu.

- Biedny chłopak...

- Teraz możesz mi już powiedzieć - odezwałem się. Spojrzał ponad moim ramieniem na lodówkę.

- O czym?

- Wszystko, co wiesz o Jasonie. To, co do tej pory przed nami ukrywałeś.

- Ukrywałem? - zapytał wyraźnie piskliwym głosem.

- Ukrywałeś. Od samego początku coś cię gryzło.

- Na jakiej podstawie...

- Po prostu mam przecucie, Ericu. Co robiłeś dziś wieczorem na uniwersytecie?

- Już ci mówiłem. Miałem zajęcia w zastępstwie.

- Nie chrzań. Zdążyłem się przyjrzeć książkom, które wyciągałeś z bagażnika. Był wśród nich atlas samochodowy Chiltona.

- Posłuchaj, muszę się na razie zaopiekować Diandrą. Wiem, jak zareaguje, gdy minie pierwszy szok. Dlatego wolałbym, żebyście sobie poszli. Na pewno wolałaby, żeby nie było was przy tym, jak się załamie.

Skinąłem głową.

- Dobrze. Będziemy w kontakcie.

Poprawił okulary na nosie i mijając mnie, rzekł:

- Zadbam o to, byście dostali resztę należnego honorarium.

- Już dostaliśmy je w całości, Ericu.

Kiedy podszedł do Diandry, spojrzałem na Angie i ruchem głowy wskazałem jej drzwi. Podniosła z podłogi swoją torebkę, wzięła żakiet wiszący na oparciu krzesła i zerknęła jeszcze, jak Gault kładzie rękę na ramieniu Diandry.

- Ericu... - szepnęła. - Dlaczego? Dlaczego?!

Gdy poderwała się z krzesła i padła mu w ramiona, Angie ruszyła za mną do wyjścia. Gdy otwierałem drzwi, z głębi saloniku doleciał głuchy jęk Diandry Warren. To był jeden z najgorszych dźwięków, jakie w życiu słyszałem - odgłos wściekłości i rozpacz, który mimowolnie wyrwał się z piersi ogarniętej żalobą matki i jeszcze długo po naszym wyjściu rozbrzmiewał donośnym echem w całym mieszkaniu.

W windzie odezwałem się do Angie:

- Eric nie jest w porządku.

- Pod jakim względem?

- W ogóle. Ma coś na sumieniu. Coś przed nami ukrywa.

- Co?

- Skąd miałbym wiedzieć? Niby jest naszym dobrym znajomym, Ange, ale bardzo mi się nie podoba moje przeczucie co do jego roli w tej sprawie.

- Będę miała to na uwadze - odparła.

Pokiwałem głową. Wciąż miałem w uszach dzikie zawrodozenie Diandry, przez które nachodziła mnie chęć zaszycia się na jakimś pustkowiu i odizolowania od całego świata.

Angie odwróciła się do przeszklonej ścianki windy i przygarbiona, zapatrzona na nabrzeże, objęła się ramionami jakby z zimna. Nie odzywaliśmy się więcej do siebie.

Jedną z podstawowych rzeczy, których można się nauczyć przy dziecku, jest to, że niezależnie od rodzaju i skali tragedii trzeba dalej wypełniać swoje obowiązki. Po prostu nie ma wyjścia. Jeszcze na długo przed śmiercią Jasona, zanim nawet dowiedziałem się czegokolwiek o nim i jego matce, zgodziłem się zaopiekować Mae przez dzień lub dwa, gdyż Grace chciała pojechać z Annabeth do Maine na spotkanie z

jakimś starym znajomym z college'u.

Teraz, gdy dowiedziała się o zabójstwie, ucięła krótko:

- Znajdę kogoś innego do opieki. Albo zabiorę małą ze sobą.
- Daj spokój. Przecież nic się nie zmieniło. Naprawdę mogę się nią zająć.

I tak też się stało. Później doszedłem do wniosku, że była to jedna z najlepszych decyzji w moim życiu. Wiem, że w powszechnym mniemaniu trzeba wyrzucić z siebie nagromadzony żal, wygadać się przed najbliższymi, jeśli nie przyjaciółmi, to przynajmniej osobami wykwalifikowanymi w tym kierunku. Może i tak. Jednak mnie się wydaje, że wszyscy za dużo gadamy na forum publicznym, uznajemy zwierzenia za panaceum, którym z pewnością nie są i przymykamy oczy na niezdrowe zapatrzenie w siebie, będące oczywistym produktem ubocznym takiego stanu rzeczy.

Wiem, że mam skłonności do roztrząsania swoich uczuć, na co poświęcam zdecydowanie za dużo czasu, a to tylko dodatkowo pogarsza sprawę. Może faktycznie dobrze by mi zrobiło, gdybym porozmawiał z kimś o śmierci Jasona i moim poczuciu winy. Ale nie miałem z kim.

Dlatego z zapalem poświęciłem swój czas Mae, a sam ten fakt, że musiałem się o nią troszczyć, zabawiać i karmić, układać do popołudniowego snu na kanapie w saloniku, tłumaczyć zawilości starych gagów braci Marx z *Małpiego interesu* i *Kaczej zupy*, które oglądaliśmy razem, w sypialni czytać na dobranoc doktora Seussa - to, że czułem się odpowiedzialny za drugą, słabszą i bezbronną istotę ludzką - podziało na mnie lepiej niż tysiąc sesji u psychoterapeuty, aż zacząłem się zastanawiać, czy ludzie w przeszłości nie mieli racji, uważając dzieci za najlepsze lekarstwo na wszelkie troski.

Gdzieś w połowie bajki o lisku chytrusku na dobre zamknęła oczy. Odłożyłem więc książkę i podciągnąłem jej kołdrę pod brodę.

- Kochasz mamusię? - zapytała sennym głosem.
- Tak, kocham mamusię. Śpij już.
- Mamusia ciebie też kocha - wymamrotała Mae.
- Wiem. Śpij.
- A mnie kochasz?

Pocałowałem ją w policzek i jeszcze dokładniej przykryłem kołdrą.

- Uwielbiam cię, Mae.

Ale tego już nie słyszała przez sen.

Grace zadzwoniła koło jedenastej.

- Jak ci jest z moim małym horrorkiem?
 - Doskonale. Właśnie zasnął.
 - Tego w niej nie cierpię. Po całych tygodniach marudzi wieczorami, zamiast grzecznie zasnąć, a tu nagle przy tobie zmienia się w aniołka.
 - No cóż, widocznie jest jej ze mną lepiej niż z tobą. Zachichotała.
 - Naprawdę była tak idealna?
 - Bez zastrzeżeń.
 - Czujesz się trochę lepiej w sprawie Jasona?
 - Czułem się lepiej, dopóki mi o niej nie przypomniałaś.
 - Przepraszam. A więc nic się nie zmieniło co do planów na jutrzejszą noc?
 - Naszych wspólnych planów?
 - Owszem.
 - A coś się powinno zmienić?
- Westchnęła głośno.
- Nie bądź taki zasadniczy.
 - Hej!
 - Co?
 - Kocham cię.
 - Ja też cię kocham.
 - Miło to usłyszeć, prawda?
 - Chyba nie ma nic miłszego na świecie - odparła.

Następnego ranka, kiedy Mae jeszcze spała, wyszedłem na werandę i zobaczyłem Kevina Hurlihy'ego stojącego na ulicy. Opierał się niedbale ramieniem o złotego mitsubishi diamante należącego do Jacka Rouse'a.

Od czasu, gdy dostałem wiadomość, żebym nie zapominał zamykać drzwi na klucz, nie ruszałem się na krok bez broni, nawet gdy schodziłem tylko na dół, żeby wyjąć listy ze skrzynki.

Kiedy zatem wyszedłem na werandę i zobaczyłem tego psychola gapiącego się w moje okna, upewniłem się szybko, że mam broń w zasięgu ręki. Na szczęście była to beretta kalibru 6,5 milimetra, mieszcząca w magazynku aż piętnaście naboji, bo nie miałem złudzeń, że w pojedynku z Kevinem potrzebowałbym ich wszystkich.

Przeglądał mi się przez dłuższy czas. W końcu usiadłem na schodach, przejrzałem trzy rachunki, które przyszły pocztą, i zacząłem przerzucać najnowszy numer „The

Spin". Moją uwagę zwrócił artykuł o grupie „Machinery Hall”.

- Słyszałeś o „Machinery Hall”, Kevin? - zapytałem.

Nadal gapił się na mnie w milczeniu, tylko nozdrza mu nieco zadrgały.

- To dobry zespół - dodałem. - Powinieneś sobie kupić ich płytę.

Nie wyglądało na to, by moja uwaga rozbudziła w nim chęć odwiedzenia sklepu płytowego.

- Co prawda, są trochę wtórni, ale teraz przecież trudno wymyślić coś zupełnie nowego.

Sprawił wrażenie, jakby nawet nie rozumiał, co znaczy słowo „wtórni”.

Przez dobre dziesięć minut stał na chodniku, nie odzywając się ani słowem i nie spuszczać ze mnie wzroku, a oczy miał jak dwa ciemne bajorka mętnej wody na bagniskach. Przyszło mi na myśl, że to typowy dla niego wyraz twarzy o tak wczesnej porze, bo nocą jego oczy musiały miotać błyskawice i płonąć nieskrywaną żądzą mordy. Z rana Kevin wyglądał na pogrążonego w katatonii.

- Może się mylę, ale nie wyglądasz na wielkiego miłośnika współczesnej muzyki rozrywkowej.

Znów nie odpowiedział, tylko zapalił papierosa.

- Ja też nie byłem, ale moja współniczka przekonała mnie, że muzyka wcale się nie skończyła na Rolling Stones i Springsteen. W większości to zwykła komercyjna rąbanka, a duża część jest po prostu przereklamowana. Nie zrozum mnie źle, ale na przykład nie mogę słuchać takiego Morriseya. Za to Kurt Cobain czy Trent Reznor... Każdy, kto ich usłyszy, mówi: „ci chłopcy są naprawdę nieźli”. I w człowieku od razu odżywa nadzieja. Nie wiem, czy podzielasz moje zdanie, Kev. Nawiasem mówiąc, co myślisz o śmierci Kurta? Sądzisz, że bezpowrotnie straciliśmy najlepszy głos naszego pokolenia, czy może stało się to dużo wcześniej, gdy rozpadli się „Frankie Goes to Hollywood”?

Na dość mocnym wietrze, który smagał ulicę, jego skrzekliwy głos rozbrzmiał pusto i głucho jak nigdy dotąd.

- Wiesz co, Kenzie? Kilka lat temu pewien gość chciał skroić Jackiego na czterdzieści kawałków.

- Nieźle - mruknąłem.

- Dopiero na dwie godziny przed odlotem do Paragwaju czy jakiegoś innego zadupia namierzyłem go w mieszkaniu jego dziewczyny. - Pstryknął niedopałek w krzaki przed budynkiem. - Powaliłem go twarzą do podłogi i skakałem po nim tak

długo, dopóki nie złamałem mu kręgosłupa na pół. Pewnie nawet nie wiesz, Kenzie, że to taki sam trzask, jakbyś zamknął drzwi kopniakiem. Dokładnie taki sam. Najpierw głośny trzask, a potem cichsze odgłosy, jakby powtarzało go echo.

Mocniejszy poryw wiatru przemknął ulicą, z donośnym szelestem podrywając w górę suche liście.

- W każdym razie facet darł się jak zarzynany, dziewczyna też i oboje zerkali na drzwi, wcale nie dlatego, że widzieli szansę ucieczki z tej zaszrannej nory, ale dlatego, że dobrze wiedzieli, iż znaleźli się w pułapce, zamknięci w środku razem ze mną. Bo to ja byłem górą. Ja mogłem decydować, jakie widoki zabiorą ze sobą do piekła.

Zapalił następnego papierosa, a ja odniosłem wrażenie, jakby wiatr przenikał mnie na wskroś.

- Potem przekreśliłem tego barana i posadziłem go pod ścianą, unieruchomionego ze złamanym kręgosłupem, i gwałciłem jego dziewczynę... no, sam nie wiem, dobre parę godzin. Kilka razy musiałem mu chlustać whisky w twarz, kiedy mdlał. W końcu wpakowałem jej osiem, może dziewięć kul, nalałem sobie drinka i przez jakiś czas spoglądałem temu pacanowi w oczy. Było po wszystkim. Odebrałem mu nadzieję, dumę i miłość. Miałem go w garści. A on doskonale o tym wiedział. Jeszcze raz go odwróciłem i przytknąłem mu lufę do karku. I wiesz, co wtedy zrobiłem?

Nie odzywałem się.

- Oczekałem spokojnie parę minut. A wiesz, jak facet na to zareagował, Kenzie? Nigdy byś nie zgadł.

Skrzyżowałem ręce na piersi.

- Zaczął mnie błagać o litość. Był całkiem sparaliżowany. Dopiero co się przyglądał, jak gwałciłem jego dziewczynę i nie mógł nawet kiwnąć palcem. Nie miał już po co żyć. Nie miał nic. A on zaczął mnie błagać, bym darował mu życie. Ten świat jest całkiem porąbany, no nie?

Drugim papierosem pstryknął w podstawę schodów i popatrzył, jak wiatr roznosi iskry wysoko w górę.

- Strzeliłem mu w łeb, kiedy tylko zaczął skamleć.

Do tej pory, ilekroć widywałem Kevina, w ogóle nie zwracałem na niego uwagi, jakbym miał przed sobą wielką dziurę w powietrzu. Teraz jednak zdałem sobie sprawę, jak groźna może być ta dziura. Ucieleśniała całą zgniliznę tego świata, była połączeniem swastyki, wietnamskich pól śmierci, obozów koncentracyjnych, wszystkich plag i ogni zsyłanych z nieba na ziemię. Ta gigantyczna pustka Kevina była

w zasadzie czarną dziurą o nieskończonej pojemności na wszelkie tego typu rzeczy.

- Trzymaj się z dala od sprawy Jasona Warrena - rzucił ostrzegawczo. - Chłopcy, którzy zdarli pasy z Jackiego, jego kochanka, są moimi przyjaciółmi. A ty... - zawiesił na chwilę głos. - Ciebie nigdy nawet nie lubiłem.

Milczał dobrą minutę, wlepiając we mnie swoje ślepka, aż poczułem, jak jego brud i deprawacja zaczynają krążyć mi w żyłach, zarażając zgnilizną każdą komórkę mego ciała.

Wreszcie zawrócił, obszedł samochód, stanął przy drzwiach kierowcy i oparł ręce na dachu.

- Słyszałem, że znalazłeś sobie rodzinę zastępczą, Kenzie. Jakąś pindeę ze szpitala i jej córeczkę. Ile ta mała ma? Cztery latka?

Moje myśli powędrowały w kierunku Mae śpiącej w pokoju na górze.

- Jak wytrzymała jest kręgosłup czteroletniej smarkuli, Kenzie?

- Kevin! - odezwałem się lekko zachrypniętym głosem przez zaciśnięte gardło. - Jeśli chociaż...

Uniósł rękę, zakreślił palcem młynka w powietrzu, po czym sięgnął do klamki i otworzył drzwi auta.

- Hej, popaprańcu! - zawołałem, nie przejmując się tym, że mój chrapliwy głos niesie się daleko na pustej ulicy. - Mówię do ciebie!

Podniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Jeśli chociaż zbliżysz się do tej kobiety albo jej córki, wpakuję ci cały magazynek w ten pusty łeb, aż będzie wyglądał jak durszlak.

- Gadaj sobie do woli, Kenzie - rzucił z uśmiechem, otwierając szerzej drzwi. - Na razie.

Bez namysłu wyciągnąłem pistolet zza paska spodni na plecach i strzeliłem w okno samochodu.

Kevin odskoczył jak oparzony. Spojrzał na odłamki szkła, które posypały się na fotel, wreszcie uniósł wzrok na mnie.

- Zapamiętaj, co ci powiedziałem. Masz to jak w banku.

Przez chwilę myślałem, że zaraz wyjdzie z siebie, wpadnie w szal i od razu zyskam okazję spełnienia swej groźby. Ale oznajmił tylko z poważną miną:

- Właśnie kupiłeś sobie miejsce na Cedar Grove, Kenzie.

Skinąłem głową.

Jeszcze raz zerknął na zasypany szkłem fotel kierowcy i z twarzą wykrzywioną

grymasem wściekłości sięgnął za połę marynarki, obchodząc szybkim krokiem samochód.

Wymierzyłem mu między oczy.

Zatrzymał się w pół kroku i nie wyjmując ręki spod marynarki, powoli, bardzo powoli się uśmiechnął. Zawrócił do drzwi, otworzył je i po raz kolejny spojrzał na mnie, oparłszy się łokciami o dach.

- Powiem ci, jak to się skończy. Na razie możesz się jeszcze nacieszyć swoją cipką, zerznąć ją ze dwa razy tej nocy, jak starczy ci sił i być nadzwyczaj dobrym wujaszkiem dla jej smarkuli. Bo już niedługo, może nawet dziś wieczorem, a może dopiero w przyszłym tygodniu, znowu się zobaczymy. Najpierw zabiję ciebie. Potem trochę odczekam, zjem coś dobrego, posłucham muzyki, wypiję kilka piw. Coś w tym rodzaju. A później odwiedzę twoją panienkę, zabiję ją i tę małą, po czym spokojnie wrócę do domu, Kenzie. I będę zrywał boki ze śmiechu.

Wsiadł do samochodu i odjechał, a ja stałem jeszcze przez jakiś czas na werandzie, czekając, aż puls mi wróci do normy, a krew przestanie kipieć w żyłach.

20

Po powrocie na górę najpierw zajrzałem do Mae. Leżała na boku, skulona w kłębek, z buzią wciśniętą w poduszkę i włoskami zsuniętymi na oczy. Policzki miała lekko zaróżowione od snu.

Spojrzałem na zegarek, było wpół do dziewiątej. Mogło się zdawać, że mała wykorzystuje wszelkie rezerwy pozostawione jej przez matkę, która ciągle nie dosypia z powodu nawału pracy.

Zamknąłem drzwi i w kuchni odebrałem trzy telefony od rozwścieczonych sąsiadów, domagających się wyjaśnień, dlaczego strzelałem o ósmej rano. Nie wiedziałem, czy bardziej rozwścieczył ich sam fakt użycia broni, czy też wczesna pora, wołałem jednak o to nie pytać. Kiedy serdecznie przeprosiłem, dwóch pierwszych rozmówców rzuciło słuchawkę na widełki, a trzeci podsunął myśl, bym poszukał pomocy specjalisty.

Ledwie zdążył się rozłączyć, zadzwoniłem do Bubby.

- Co się dzieje?

- Mógłbyś wziąć na oko parę osób przez kilka dni?

- Kogo?

- Kevina Hurlihy'ego i Grace.

- Jasne. Nie sądziłem jednak, że obracają się w tych samych kręgach.

- I masz rację. Obawiam się, że Kevin będzie chciał ją skrzywdzić, żeby dobrać się do mnie, dlatego wołałbym stale wiedzieć, gdzie są w danej chwili. Oczywiście to

robota dla dwóch osób.

Ziewnął głośno.

- Wezmę Nelsona.

Nelson Ferrare, który także pochodził z naszej dzielnicy, współpracował z Bubbą przy nielegalnych dostawach broni, ilekroć ten potrzebował kierowcy albo obstawy. Był chudy i niski, mógł mieć najwyżej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, zawsze mówił bardzo cicho, niemal szeptem, a do tego nie więcej niż pięć słów dziennie. Odznaczał się ślepym przywiązaniem do Bubby, czego powodem był jawny kompleks Napoleona i wzorem swojego idola potrafił panować nad własnymi dzikimi odruchami tak długo, dopóki miał coś do roboty.

- W porządku. I jeszcze jedno. Gdyby coś mi się stało w ciągu najbliższego tygodnia, gdyby przydarzył mi się jakiś wypadek, zechciałbyś coś dla mnie zrobić?

- Wystarczy, jak powiesz.

- Znajdź jakieś bezpieczne schronienie dla Mae i Grace...

- Załatwione.

- ...a potem skasuj bilet Hurlihy'ego.

- Drobnostka. To wszystko?

- Tak.

- Jasna sprawa. Do zobaczenia.

- Miejmy nadzieję.

Odłożyłem słuchawkę i dopiero wtedy spostrzegłem, że silne drżenie rąk, które dawało mi się we znaki od chwili roztrzaskania kulą szyby w samochodzie Kevina, wreszcie minęło.

Zadzwoiłem więc do Devina.

- Agent Bolton znów chce z tobą rozmawiać.

- Mogłem się domyślić.

- Bardzo mu się nie podoba, że jesteś zamieszany w dwie spośród czterech nowych spraw brutalnych zabójstw.

- Czterech?

- Wszystko wskazuje na to, że minionej nocy dopadł kolejną ofiarę. Nie znam jeszcze szczegółów sprawy. Więc jak? Zgłosisz się sam do Boltona, czy wolisz, żeby on po ciebie przyjechał?

- Zajrzę do niego.

- Kiedy?

- Niedługo. Nawiasem mówiąc, właśnie odwiedził mnie Kevin Hurlihy i dał wyraźnie do zrozumienia, żebym się nie angażował w dochodzenie.

- Obserwowaliśmy go przez kilka dni. To nie on morduje.

- Wcale go o to nie podejrzewałem. Jemu brak wyobraźni, którą wykazuje się zabójca. Ale jest z nim w jakiś sposób powiązany.

- Muszę przyznać, że to bardzo ciekawe. Posłuchaj, lepiej się pospiesz i zajrzyj do stanowej centrali FBI. Bolton jest gotów ściągnąć do miasta oddział sił specjalnych, żeby dorwać równocześnie ciebie, Gerry'ego Glynn'a, Jacka Rouse'a, Grubego Freddy'ego i wszystkich mających cokolwiek wspólnego z ofiarami mordów.

- Dzięki za ostrzeżenie.

Rozłączyłem się i niemal w tej samej chwili zza uchylonego okna w kuchni doleciał ogłuszający jazgot muzyki country. Kiedy się słyszy piosenkę Waylona, wiadomo, że minęła dziewiąta.

Spojrzałem na zegarek. Co do sekundy.

Wyszedłem na tylny ganek. Lyle szykował się do malowania sąsiedniego segmentu, lecz na mój widok pospiesznie ściszył radio.

- Witaj, Patricku! Jak leci, synu?!

- Lyle, moja dziewczyna zostawiła mi pod opieką swoją córeczkę, która jeszcze śpi. Nie mógłbyś, ze względu na nią, słuchać muzyki trochę ciszej?

- Ależ oczywiście, synu. Jasne.

- Dzięki. Niedługo wyjeżdżamy, potem będziesz mógł znów nastawić radio na cały regulator.

Wzruszył ramionami.

- Dzisiaj pracuję tylko cztery godziny. Bolący ząb nie dał mi spać przez całą noc.

- Idziesz do dentysty? - zapytałem, krzywiąc się na zapas.

- Aha - mruknął smutno. - Nie cierpię płacić tym wydrwigroszom, ale gdy w nocy sam próbowałem wyrwać ten ząb kombinerkami, tylko go obruszałem i nic więcej. Nie mogłem go dobrze chwycić, bo kombinerki mi się ślizgały od krwi...

- W takim razie powodzenia u dentysty.

- Dzięki. Ten łobuz i tak nie zechce marnować na mnie nowokainy, bo wie, że stary Lyle prawie mdleje na widok strzykawki z igłą. Co jak co, ale na fotelu oblatuje mnie tchórz.

Jasne, pomyślałem, może i jesteś niczym spasiony strachliwy kocur, ale jak wyciągniesz sobie jeszcze parę zepsutych zębów kombinerkami, to przynajmniej nikt

cię nie nazwie starym pierdołą.

Jeszcze raz zajrzałem do sypialni, ale Mae już nie było w łóżku.

Skopana kołdra piętrzyła się w nogach, a na niej leżała Panna Lilly, ulubiona lalka małej, wlepiając we mnie swoje martwe plastikowe oczka.

Usłyszałem spuszczaną wodę w toalecie i wycofałem się na korytarz w samą porę, by ujrzeć Mae wychodzącą z łazienki i piąstkami przecierającą oczy.

Serce nagle podeszło mi do gardła, a nogi się pode mną ugięły jakby pod ciężarem niezmiernego poczucia ulgi, które ogarnęło mnie bez reszty.

- Jestem głodna, Patricku - powiedziała Mae, przeciskając się obok mnie do kuchni w swojej pizamce z wzorkiem Myszki Mickey i głośno człapiąc bosymi stópkami po podłodze.

- Wolisz apple jacks czy sugar pops? - wydusiłem z siebie.

- Sugar pops.

- Już szykujemy.

Kiedy Mae wróciła do łazienki, żeby się przebrać i wymyć zęby, zadzwoniłem do Angie.

- Cześć - rzuciła na powitanie.

- Co u ciebie?

- Mniej więcej wszystko w porządku. Wciąż usiłuję sobie wytłumaczyć, że nie mogliśmy nic zrobić, by uratować Jasona.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Dowiedziałaś się czegoś o Ericu? - zapytałem.

- Niewiele. Pięć lat temu, kiedy wciąż jeszcze prowadził wykłady na uniwersytecie stanowym, niejaki Paul Hobson, występujący w imieniu społeczności Jamaica Plain, złożył w sądzie pozew przeciwko niemu i całej uczelni.

- O co chodziło?

- Jeszcze nie wiem. Szczegóły tej sprawy są objęte tajemnicą. Wygląda na to, że doszło do ugody, której jednym z warunków było zachowanie ścisłej tajemnicy. Ale niedługo potem Eric odszedł z uczelni.

- Coś jeszcze?

- Na razie nic, ale będę kopać dalej.

Opowiedziałem jej o spotkaniu z Kevinem.

- Strzeliłeś mu w szybę samochodu?! Jezus, Maria!

- Byłem odrobinę wkurzony.

- Rozumiem, ale żeby od razu strzelać w szybę?

- Groził, że zabije Mae i Grace. Boję się, że jeśli przy najbliższej okazji znów mnie rozdrażni, zapomnę o samochodzie i strzelę do niego.

- Narazisz się tylko na represje.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Westchnąłem głośno, czują znowu strach ściskający mnie za serce. - Bolton kazał mi się stawić w gmachu Kennedy'ego.

- Mam jechać z tobą?

- Nic o tobie nie mówił.

- To dobrze.

- Ale najpierw muszę komuś podrzucić Mae.

- Ja się nią zajmę.

- Naprawdę?

- Z ochotą. Przywieź ją tutaj. Pójdziemy razem na plac zabaw po drugiej stronie ulicy.

Zadzwoiłem do Grace, żeby ją o tym uprzedzić, a ona uznała że zostawienie małej pod opieką Angie to świetny pomysł, skoro moja współpracownica sama to zaproponowała.

- Możesz mi wierzyć, że słyszałem w jej głosie prawdziwy zapach.

- Bardzo się cieszę. Poza tym wszystko w porządku?

- Tak. Czemu pytasz?

- Sama nie wiem. Jakoś dziwnie drży ci głos.

Tacy jak Kevin sprawiają to mimowolnie, pomyślałem. - Nic mi nie jest. Wkrótce się zobaczymy. Mae weszła do kuchni, kiedy tylko odłożyłem słuchawkę. - Witaj, koleżanko. Chcesz iść dzisiaj na plac zabaw? Natychmiast uśmiechnęła się szeroko przeuroczym uśmiechem swojej matki.

- Na plac zabaw? I będzie tam huśtawka?

- Oczywiście. Cóż to byłoby za plac zabaw bez huśtawki?

- A drabinki?

- Jakież chyba są.

- I górską kolejka?

- Kolejki jeszcze nie ma, ale złożę wniosek o jej budowę w radzie dzielnicy.

Wdrapała się na krzeselko naprzeciwko mnie i położyła mi nóżki na kolanie, żebym zawiązał jej buciki.

- No to idziemy.

- Ale ja muszę pojechać na spotkanie ze znajomym - powiedziałem, starannie zawiązując sznurówki - i nie mogę cię zabrać ze sobą.

Wyraz zaskoczenia i smutku, jaki pojawił się na jej buzi, sprawił, że ścisnęło mi się serce.

- Pamiętasz moją przyjaciółkę Angie? - zapytałem pospiesznie. - Chce się dzisiaj z tobą bawić.

- Jak to?

- Bo bardzo cię lubi. I lubi spędzać czas na placu zabaw.

- Ma śliczne włosy.

- Tak, to prawda.

- Czarne i kręcone, takie najbardziej mi się podobają.

- Powtórzę jej to, Mae.

- Dlaczego stanęliśmy, Patricku? - zapytała.

Dotarliśmy do rogu Dorchester Avenue i Howes Street. Na wprost po drugiej stronie alei znajdował się rozległy plac zabaw dla dzieci imienia Ryana.

Za rogiem, przy Howes Street, stał dom, w którym mieszkała Angie.

Ujrzałem ją właśnie wychodzącą na ulicę.

I całującą w policzek byłego męża, Phila.

Znowu coś ścisnęło mnie w dołku na ten widok, jakby złapał mnie kurcz. Z wysiłkiem nabrałem głęboko w płuca chłodnego powietrza, od którego aż zapiekło mnie w środku, jakbym został trafiony szpadą.

- Angie! - zawołała Mae.

Angie obejrzała się, Phil także, a ja poczułem się jak podglądacz. Do tego rozwścieczony, pałający zazdrością.

Razem przeszli przez ulicę i zbliżyli się do nas. Angie jak zwykle wyglądała oszalamiająco w obcisłych dżinsach, purpurowym T-shircie i czarnej skórzanej kurtce narzuconej na ramiona. Włosy miała jeszcze mokre, bo pojedynczy kosmyk wysunął jej się zza ucha i przylepił do policzka. Pospiesznie zgarnęła go z powrotem i energicznie pomachała nam ręką.

Phil, jak na złość, również wyglądał wspaniale. Angie mówiła wcześniej, że przestał pić i efekty były od razu widoczne. Zrzucił co najmniej dziesięć kilo od czasu, gdy go ostatni raz widziałem, nie miał już obwisłych i silnie zaczerwienionych

policzków, a oczy płonęły mu żywym blaskiem, którego nie sposób było dostrzec w ciągu minionych pięciu lat. Miał na sobie białą koszulę i zaprasowane w kant popielate spodnie, idealnie dobrane odcieniem do koloru włosów nad wysokim czołem. Wyglądał jakies piętnaście lat młodziej, a figlarne błyski w jego spojrzeniu przypominały mi tego chłopaka, którego pamiętałem z dzieciństwa.

- Witaj, Patricku - rzekł.

- Cześć, Phil.

Zatrzymał się na krawężniku i przyłożył dłoń do serca.

- To ona? - spytał. - To właśnie ona? Ta wspaniała, niezapomniana, słynna na całym świecie Mae?

Kucnął przed nią, a mała uśmiechnęła się szeroko.

- Tak, jestem Mae - odparła trochę nieśmiało.

- Milo mi cię poznać. - Ucisnął jej rączkę. - Mogę się założyć, że w wolnych chwilach przemieniasz ropuchy w księżniczki. Na sam twój widok każdy musi się odmienić.

Mae zerknęła na mnie, zdziwiona i najwyraźniej zmieszana, łatwo było jednak rozpoznać po rumieńcu na jej policzkach i rozszerzonych źrenicach, że urok Phila już na nią podziałał.

- Jestem Mae - powtórzyła w zakłopotaniu.

- Ja mam na imię Phillip. Ten facet, który się tobą opiekuje, jest w porządku?

- To mój przyjaciel. Nazywa się Patrick.

- No to masz wspaniałego przyjaciela.

Nawet nie trzeba było znać Phila z czasów szkolnych, by od razu spostrzec, jakie wrażenie potrafi robić na ludziach bez względu na wiek. Nawet wtedy, gdy ostro pił i wyżywał się na żonie, nie utracił nic ze swych zdolności. Chyba już od kołyski miał ten niezwykły dar. Nie musiał stosować tanich sztuczek, błaznować, wznosić się na szczyty erudycji czy w jakikolwiek inny sposób manipulować rozmówcami. Jego dar sprawiał, że każdy, kto się z nim zetknął, odnosił wrażenie, że w danym momencie jest jedyną osobą na świecie godną najwyższej uwagi, jakby uszy Phila były tylko po to, by wyławiać słowa rozmówcy, a oczy, żeby go widzieć - jak gdyby jedynym celem jego istnienia było właśnie to spotkanie.

Zapomniałem o tym niezwykłym darze, dopóki nie zobaczyłem reakcji Mae. Może po prostu łatwiej było mi pamiętać wiecznie pijanego dupka, którym jakimś cudem zdołał namówić Angie, żeby za niego wyszła.

A jednak ich małżeństwo przetrwało dwanaście lat. Mimo przemocy i upokorzeń. Niemal wbrew zdrowemu rozsądkowi. Bo chyba niezależnie od tego, jak nieznośnym stał się potworem, gdzieś w głębi duszy zawsze musiał być tym samym Philem, potrafiącym sprawić, że każdy się cieszył ze spotkania z nim.

Kiedy tylko Phil się wyprostował, Angie kucnęła i zwróciła się do Mae:

- Jak się dziś czujesz, skarbie?

- Wspaniale. - Mała ostrożnie musnęła palcami jej włosy.

- Mówiła, że bardzo jej się podobają twoje włosy.

- Nawet takie nieuczesane? - Angie aż przykłęknęła na chodniku i pochyliła głowę, żeby Mae mogła zanurzyć w nich palce.

- Są bardzo splątane.

- To samo powtarza mój fryzjer.

- Co u ciebie słyhać, Patricku? - zagadnął Phil, wyciągając rękę na powitanie.

Zamyśliłem się na krótko. Tego pięknego, słonecznego październikowego poranka, z powietrzem tak rześkim, że już parę oddechów działało na człowieka ożywiająco, z odblaskami słońca tańczącymi wśród pomarańczowych liści, byłoby czystą głupotą nie cieszyć się radosnym nastrojem.

Pozwalając, by moje ociąganie mówiło samo za siebie, uściśnięm jego dłoń i odparłem:

- Całkiem nieźle, Phil. A co u ciebie?

- Wszystko w porządku. Na razie żyję tylko z dnia na dzień. Wiesz, jak to jest. W życiu każdego człowieka zdarzają się okresy zastoju.

- To prawda - mruknąłem, próbując ogarnąć myślami własny życiowy zastój.

- No więc... - Zawahał się i spojrzał przez ramię na byłą żonę, która z kolei muskała palcami włosy Mae. - Ona jest naprawdę cudowna.

- Która?

Uśmiechnął się w zamyśleniu.

- Masz rację, obie są cudowne. Miałem jednak na myśli tę małą.

Pokiwałem głową.

- Powiedziałbym, że nie tylko cudowna.

Angie podeszła do nas, trzymając Mae za rączkę.

- O której musisz być w pracy?

- O dwunastej - odparł, spoglądając na mnie. - Facet, dla którego teraz pracuję, znany artysta z Back Bay, zlecił mi generalny remont swojego domu, łącznie ze

zrywaniem dziewiętnastowiecznych parkietów, bo na ich miejsce chce ułożyć posadzkę z czarnego marmuru. Dasz wiarę? - Westchnął głośno i przeciągnął rękoma po rzednących włosach.

- Myślałam, czy nie zechciałbyś pójść razem ze mną i Mae na huśtawki.

- Och, sam nie wiem - odparł, zerkając na małą. - Ręce mnie trochę bolą.

- Przestań się mazgaić - skarciła go Mae.

- Naprawdę myślisz, że to tylko mazgajstwo? - zapytał, po czym zgarnął ją jedną ręką i posadził sobie na biodrze.

Odprowadziłem ich wzrokiem, jak we trójkę przeszli przez aleję, machając mi rękoma na pożegnanie, po czym skierowali się w stronę schodów podwyższenia, na którym znajdowały się huśtawki.

21

- Będziesz się musiał zobaczyć z Alekiem Hardimanem - oznajmił Bolton, nawet nie podnosząc głowy, jak tylko weszliśmy we trzech do sali konferencyjnej.

- Czyżby?

- Wizyta już jest umówiona na dzisiaj, na pierwszą po południu.

Obejrzałem się na Devina i Oscara.

- To naprawdę konieczne?

- Nasze biuro będzie monitorowało przebieg waszej rozmowy.

Usiadłem naprzeciwko Devina przy wiśniowym stole wielkości całego mojego mieszkania. Oscar zajął miejsce na lewo od niego. Drugi koniec stołu okupowało kilku agentów federalnych w niemal identycznych ciemnych garniturach i krawatach. Większość z nich rozmawiała przez telefony. Chyba tylko Devin i Oscar nie mieli przy sobie komórek. Przed Boltonem siedzącym u szczytu stołu znajdowały się aż dwa aparaty. Domyślałem się, że co najmniej jeden z nich jest wyposażony w przystawkę szyfrującą.

Agent wstał, podszedł do mnie i zapytał:

- O czym rozmawialiście dziś rano z Kevinem Hurlihym?

- O polityce - odparłem - aktualnym kursie jena i tym podobnych sprawach.

Bolton położył dłoń na oparciu mojego krzesła i pochylił się tak nisko, że poczułem z jego ust charakterystyczny zapach miętówek.

- Lepiej proszę mi powiedzieć szczerze, o czym rozmawialiście, panie Kenzie.

- A jak się panu zdaje, agencie Bolton? Kazał mi się nie angażować w dochodzenie w sprawie zabójstwa Warrena.

- I dlatego strzelił pan z pistoletu w jego samochód?

- W tamtym momencie wydawało mi się to najstosowniejszą odpowiedzią.

- Dlaczego pańskie nazwisko wciąż się przewija w tej sprawie?

- Nie mam pojęcia.

- Dlaczego Alec Hardiman chce rozmawiać właśnie z panem?

- To dla mnie również zagadka.

Wyprostował się, trzepnął dłonią oparcie krzesła, obszedł koniec stołu i stanął za plecami Devina i Oscara, wkładając obie ręce do kieszeni. Sprawiał wrażenie, jakby nie zmrużył oka od tygodnia.

- Muszę znać odpowiedzi na te pytanie, panie Kenzie.

- Sam chciałbym je znać. Przesłałem Devinowi faksem wszystkie dokumenty, jakie zdołaliśmy zebrać w sprawie Warrena. Przesłałem również zdjęcie tajemniczego mężczyzny z bródką. Opowiedziałem wszystko, co zdołałem sobie przypomnieć ze spotkania z Karą Rider. Poza tym wiem dokładnie tyle samo, co wy, chłopcy.

Wyciągnął jedną rękę z kieszeni i podrapał się z tyłu głowy.

- Co łączy pana, Jacka Rouse'a, Kevina Hurlihy'ego, Jasona Warrena, Karę Rider, Petera Stimovicha, Freddy'ego Constantine'a, prokuratora okręgowego Timpson i Aleca Hardimana?

- To ma być zagadka?

- Proszę odpowiedzieć.

- Nie wiem, do jasnej cholery! - rzuciłem, bezradnie rozkładając ręce. - Czy to w końcu do pana dotrze?

- Musi pan nam pomóc w tym śledztwie, Kenzie.

- Przecież próbuję, Bolton, tyle że pańska metoda zadawania pytań jest równie wyrafinowana jak kosiarka do trawy. Działanie mi na nerwy to zła metoda, bo na pewno w niczym wam nie pomogę, jeśli mnie pan rozwścieczy.

W zamyśleniu przeszedł w najdalszy koniec sali, przemierzając całą jej szerokość wynoszącą około dziesięciu metrów. Wysoka była co najmniej na cztery metry. Pociągnął zawieszoną tam białą tkaninę i gdy ta opadła, naszym oczom ukazała się gigantyczna korkowa tablica zajmująca prawie całą ścianę.

Były na niej poprzypinane pinezkami zdjęcia i rysunki z miejsc zbrodni, wyniki analiz spektralnych i długie listy dowodów rzeczowych. Wstałem od stołu i powoli

ruszyłem w tamtym kierunku, próbując jednym spojrzeniem ogarnąć wszystkie materiały naraz.

Za moimi plecami odezwał się Devin:

- Przesłuchaliśmy każdego, kto mógłby mieć związek z tymi zabójstwami, Patricku. Poza tym każdego, kto bliżej znał Stimovicha i najświeższą ofiarę zabójcy, Pamelę Stokes. I nic. Zupełnie nic.

Najpierw popatrzyłem na zdjęcia czterech ofiar, po dwa zrobione jeszcze za życia oraz cały szereg wykonanych po śmierci. Pamela Stokes mogła mieć około trzydziestki. Na fotografii silnie mrużyła oczy od jaskrawego słońca, osłaniając je dłonią. Odznaczała się bardzo bladą cerą, której nie był w stanie nawet rozświetlić szeroki uśmiech.

- Co o niej wiadomo?

- Sprzedawała kosmetyki salonu Anne Klein - wyjaśnił Oscar. - Po raz ostatni widziano ją przed dwoma dniami, jak wychodziła z baru „Mercury” przy Boylston Street.

- Sama?

Devin pokręcił głową.

- Nie, z facetem w czapeczce baseballowej i ciemnych okularach. Z krótką bródką.

- Siedział w barze w ciemnych okularach i nikt nie zwrócił na niego uwagi?

- Byłeś kiedyś w „Mercurym”? - zapytał Oscar. - To ulubione miejsce spotkań bezrobotnych przybyszów z Europy. Tam wszyscy noszą ciemne okulary.

- Zatem macie swojego mordercę. - Postukałem palcem w nasze zdjęcie ukazujące Jasona w towarzystwie mężczyzny z bródką.

- Przynajmniej jednego z nich - wtrącił Oscar.

- Macie pewność, że jest ich dwóch?

- To jeszcze nie zostało do końca ustalone. W każdym razie Jasona Warrena na pewno zabiło dwóch sprawców.

- Skąd to wiecie?

- Podrapał ich, kiedy się bronili - odparł Devin. - Drobinę tkanek za jego paznokciami należały do ludzi o dwóch różnych grupach krwi.

- Czy wszystkie rodziny zabitych dostały wcześniej pocztą ich zdjęcia?

- Tak - rzekł Oscar. - To jeden z głównych elementów pozwalających łączyć wszystkie sprawy. Trzy z czterech ofiar zginęły gdzie indziej, a gdzie indziej odnaleziono ciała. Zwłoki Kary Rider zostały porzucone w Dorchester, Stimovicha w

Squantum, a resztki Pameli Stokes odkryto w Lincoln.

Na dole tablicy, pod zdjęciami obecnych ofiar, był przypięty szereg innych fotografii, opatrzony tytułem: „Ofiary 1974”. Z jednej z nich spoglądała na mnie uśmiechnięta chłopięca twarz Cala Morrisona i choć ani razu go nie wspominałem przed rozmową z Gerrym w jego barze, natychmiast przypomniał mi się intensywny, wręcz odurzający zapach taniego sosnowego szamponu, którym Cal z uporem mył włosy, mimo że wszyscy na niego za to psioczyli.

- Szukaliście innych elementów wspólnych łączących ofiary?

- Tak - odezwał się Bolton.

- I co?

- Dwie z nich, Kara Rider i Jason Warren, pochodziły z Dorchester.

- Nic poza tym?

- Kara Rider i Pam Stokes używały takich samych perfum.

- Jakiej marki?

- Halston, jeśli wierzyć wynikom badań laboratoryjnych.

- Laboratoryjnych... - powtórzyłem w zamyśleniu, spoglądając na kolejną grupę zdjęć.

Ukazywała Jacka Rouse'a, Stana Timpsona, Freddy'ego Constantine'a, Diandrę Warren, Diedre Rider. W każdym wypadku były dwie fotografie, jedna współczesna, a druga mniej więcej sprzed dwudziestu lat.

- Nie macie żadnych wskazówek co do motywów zbrodni? - zapytałem, oglądając się na Oscara.

Odwrócił szybko głowę i popatrzył na swego partnera, a Devin pospiesznie przekazał to spojrzenie Boltonowi.

- Agencje Bolton? - zwróciłem się do niego. - Naprawdę nie wpadliście na żaden trop?

Zawahał się wyraźnie, po czym rzekł z ociąganiem:

- Matka Jasona Warrena.

- Jak to?

- Od czasu do czasu pełniła rolę biegłego psychiatry w sprawach kryminalnych.

- I co z tego?

- To ona sporządziła profil psychologiczny Hardimana, który skutecznie pomógł obalić tezę jego obrońcy o niepoczytalności. To właśnie dzięki Diandrze Warren Alec Hardiman trafił za kratki, panie Kenzie.

Ruchomy punkt dowodzenia Boltona mieścił się w dużej czarnej furgonetce z przyciemnionymi szybami, która już czekała z włączonym silnikiem, gdy wyszliśmy na New Sudbury Street.

W środku, przy szaro-czarnej konsoli komputerowej zajmującej całą prawą ściankę skrzyni, siedziało dwóch agentów, Erdham i Fields. Na blacie założonym grubymi pękami kabli stały dwa komputery, dwa telefaksy i dwie drukarki laserowe. Pod dachem ciągnął się bank sześciu monitorów, na wprost których sześć innych było słoczonych po lewej stronie. W tylnej części pod blatem zauważyłem zestaw cyfrowych radioodbiorników i magnetofonów, dwukieszeniowy magnetowid oraz masę kaset audio i wideo, dyskietek i płyt kompaktowych.

Z lewej strony znajdował się mały stolik i trzy ciasne krzeselka przytwierdzone do ściany. Jak tylko kierowca włączył się do ruchu, zająłem miejsce na ostatnim z nich, mając pod łokciem turystyczną lodówkę.

- Jeździecie tym na biwaki? - zapytałem.

Ale Bolton zbył mnie milczeniem.

- Agencie Erdham, macie to pismo?

Erdham podał mu kartkę papieru, a Bolton pospiesznie wsunął ją do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym usiadł przy mnie.

- Na spotkanie pójdzie pan z naczelnikiem Liefem i głównym psychologiem więzienia, doktorem Dolquistem. Powiedzą panu parę słów o Hardimanie, więc nie będę teraz marnował czasu na wprowadzenia. Powiem tylko, że nie należy go lekceważyć, nawet jeśli sprawia wrażenie łagodnego i spokojnego. Jest podejrzewany o dokonanie trzech morderstw za kratkami, ale żaden ze współwięźniów nie chce zeznawać przeciwko niemu, a mimo rozbudowanego systemu inwigilacyjnego więzienia o zaostrowym rygorze nie udało się znaleźć żadnych dowodów jego winy. Siedzą tam wielokrotni mordercy, truciele i seryjni gwałciciele, wszyscy jednak boją się Hardimana. Rozumiemy się?

Pokiwałem głową.

- Cela, w której dojdzie do waszego spotkania, jest na podsłuchu, będziemy rejestrować zarówno obraz, jak i przebieg rozmowy, zdalnie sterując aparaturą z tego samochodu, a także obserwować każdy pański krok w drodze do celi. Hardiman będzie miał przykute do krzeselka obie nogi i co najmniej jedną rękę. Lecz mimo to proszę go nie lekceważyć.

- Hardiman udzielił wam zgody na rejestrację rozmowy?

- Na zapis obrazu nie musimy mieć zgody skazanego. Mógłby się tylko sprzeciwić rejestracji magnetofonowej.

- Ale się nie sprzeciwił? Bolton ociężale pokręcił głową.

- Owszem, sprzeciwił się.

- Lecz wy i tak będziecie na podsłuchu?

- Oczywiście. Nie będziemy tylko mogli wykorzystać tego nagrania w sądzie. Liczę jednak na to, że zeznania Hardimana pomogą nam w prowadzonym obecnie śledztwie. Ma pan coś przeciwko nagrywaniu rozmowy?

- Jakoś żadne argumenty nie przychodzą mi do głowy.

Furgonetka skręciła ostro. Kiedy minęliśmy targowisko i wjechaliśmy na autostradę numer 93, rozsiadłem się wygodniej i spoglądając przez okno, zacząłem się zastanawiać, jakim cudem dałem się w to wciągnąć.

Doktor Dolquist był niskim, lecz barczystym mężczyzną, który tylko przelotnie spojrział na mnie i szybko odwrócił wzrok.

Naczelnik Lief był dużo wyższy od niego, a czarną skórę na głowie miał wygoloną tak gładko, że aż połyskiwała.

Na kilka minut zostawił nas z Dolquistem sam na sam w swoim gabinecie, by na osobności z Boltonem omówić jeszcze ostatnie szczegóły związane z monitorowaniem spotkania. Doktor zapatrzył się na oprawioną w ramkę fotografię Lief'a z dwoma kolegami prezentującymi do obiektywu wielkiego marlina przed stiukową chatką rybacką w palącym słońcu Florydy. Panujące dłuższy czas milczenie stwarzało nerwową sytuację.

- Jest pan żonaty, Kenzie? - zapytał w końcu, wciąż patrząc na zdjęcie.

- Rozwiodłem się wiele lat temu.

- Ma pan dzieci?

- Nie. A pan?

Skinął głową.

- Dwójkę. To w życiu bardzo pomaga.

- W czym?

Machnął ręką w kierunku ściany.

- Przede wszystkim umożliwia pracę tutaj. Kiedy ma się dzieci, człowiek ma do czego wracać, może po godzinach odetchnąć zupełnie inną, domową atmosferą. - Spojrział na mnie i znów szybko odwrócił głowę.

- W to nie wątpię - odparłem.

- W swojej pracy pan również musi się często stykać z tym wszystkim, co najgorsze w ludzkiej naturze.

- To zależy od rodzaju sprawy, jaką się zajmuję.

- Od jak dawna jest pan prywatnym detektywem?

- Prawie dziesięć lat.

- To znaczy, że zaczął pan w młodym wieku.

- Owszem.

- I znalazł pan w tej robocie swoje powołanie? - Kolejne krótkie spojrzenie prześliznęło się po mojej twarzy.

- Jeszcze nie jestem pewien. A pan dobrze się tu czuje, doktorze?

- Raczej tak - odparł z wyraźnym ociąganiem. - Przynajmniej tak mi się zdaje - dodał ze smutkiem w głosie.

- Proszę mi opowiedzieć o Hardimanie.

- Alec jest nieodgadniony. Otrzymał staranne wychowanie, nic nie wskazuje, żeby w młodości był zaniedbywany bądź molestowany i wcześniej nie wykazywał też żadnych przejawów zaburzeń umysłowych. Z tego, co wiemy, nie pastwił się nad zwierzętami, nie miał żadnej chorobliwej obsesji, nie przejawiał żadnych zachowań odbiegających od normy. W szkole był bardzo dobrym uczniem, miał wielu kolegów. I nagle jednego dnia...

- Co?

- Nikt nie potrafi tego wyjaśnić. Kłopoty zaczęły się mniej więcej wtedy, gdy skończył szesnaście lat. Posypały się skargi koleżanek, że się przed nimi obnaża. Z sąsiedztwa zaczęły ginąć koty, które później odnajdywano wiszące na drutach telefonicznych. Mnożyły się bójkę w klasie. Potem znów się uspokoił. Jako siedemnastolatek z pozoru odzyskał równowagę psychiczną. I gdyby nie zwrócił się przeciwko Rugglestone'owi, kto wie, do ilu niewyjaśnionych morderstw jeszcze by doszło.

- Więc jednak coś w nim musi być.

Doktor ospale pokręcił głową.

- Spotykam się z nim prawie od dwudziestu lat, panie Kenzie i niczego takiego nie stwierdziłem. Nawet dziś na podstawie wszelkich zewnętrznych przesłanek gotów byłbym obstawać, że Alec Hardiman jest rozsądnym, dobrze wychowanym i całkiem niegroźnym człowiekiem.

- Ale tak nie jest.

Zaśmiał się gardłowo, nieprzyjemnie.

- To bodaj najgroźniejszy więzień, z jakim się kiedykolwiek zetknąłem. - Podniósł z biurka etui na długopis, obrzucił je niewidzącym spojrzeniem i odłożył z powrotem.

- Od trzech lat wiemy, że jest nosicielem wirusa HIV. - Znów zerknął na mnie, ale tym razem popatrzył mi prosto w oczy. - Ostatnio stan jego zdrowia wyraźnie się pogorszył, doszło do gwałtownego rozwoju AIDS. On umiera, panie Kenzie.

- Sądzi pan, że właśnie z tego powodu chce ze mną rozmawiać? Postanowił się przyznać, jakby nagle zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia?

Dolquist pokręcił głową.

- Nic podobnego. Alec chyba w ogóle nie ma sumienia. Od czasu zdiagnozowania choroby jest izolowany od reszty więźniów. Mam jednak wrażenie, że wiedział o swoim nosicielstwie dużo wcześniej. Dwa miesiące przed uzyskaniem pozytywnego wyniku testów zgwałcił co najmniej dziesięciu mężczyzn. Co najmniej. A według mojej oceny celem jego działań było bardziej zaspokojenie morderczych instynktów niż popędu seksualnego.

Do pokoju zajrzał Lief.

- Już czas.

Podał mi grube drelichowe rękawice, po czym sam z Dolquistem włożyli takie same.

- Proszę trzymać ręce jak najdalej od jego ust - ostrzegł jeszcze doktor, wbijając wzrok w podłogę.

Po wyjściu z gabinetu ruszyliśmy w milczeniu długim korytarzem przez pogrążony w dziwnej ciszy blok więzienny do celi, w której już czekał Alec Hardiman.

22

Przed rokiem skończył czterdziestkę, ale wyglądał na młodszego o jakieś piętnaście lat. Jasnoblond włosy miał równiutko przystrzyżone na pазia niczym pierwszoklasista. Nosił małe prostokątne okulary w archaicznej babcinej oprawce i mówił bardzo cicho.

- Witaj, Patricku - rzucił, gdy tylko wszedłem do środka. - Cieszę się, że znalazłeś dla mnie czas.

Siedział przy małym żelaznym stoliku przyśrubowanym do podłogi. Szczupłe ręce miał skute kajdankami, od których łańcuchy przechodziły przez dwie okrągłe dziury w blacie i łączyły się z okowami wokół jego nóg. Kiedy uniósł głowę i spojrzał na mnie, blask jarzeniówek rozlał się na szklach okularów, zmieniając je w nieprzeniknione białe prostokąty.

Usiadłem naprzeciwko niego.

- Słyszałem, że możesz mi pomóc, skazany Hardiman.

- Naprawdę? - Osunął się nieco na krześle, żeby sprawiać wrażenie człowieka czującego się całkiem swobodnie w tym otoczeniu. Twarz i szyję pokrywały mu liczne, silnie zaczerwienione krosty, połyskujące zapewne od pokrywającej je maści. Ale jego źrenice zdawały się promieniować żywym blaskiem mimo silnie podkrążonych oczu.

- Tak. Powiedziano mi, że chcesz ze mną mówić.

- To prawda - rzekł, zerknąwszy na Dolquista, który usiadł obok mnie. Lief zajął posterunek pod ścianą i z dłonią opartą na rękojeści pałki zapatrzył się w dal. - Już od

dawna chciałem z tobą porozmawiać, Patricku.

- Dlaczego właśnie ze mną?
- Bo mnie zaciekawiasz. - Wzruszył ramionami.
- Siedzisz w więzieniu większą część mojego życia, skazany Hardiman...
- Proszę, mów mi po imieniu.
- Jak sobie życzysz, Alec. Nie rozumiem powodu twojego zaciekawienia.

Odchylił nieco głowę, żeby okulary, które zsunęły się na czubek nosa, podjechały nieco wyżej.

- Wody?
- Słucham?

Wskazał brodą plastikową butlę i cztery jednorazowe kubeczki na stoliku pod lewą ścianą.

- Chciałbyś się napić wody? - zapytał.
- Nie, dziękuję.
- To może cukierka? - Uśmiechnął się blado.
- Co proszę?
- Lubisz swoją pracę?

Zerknąłem na Dolquista. Najwyraźniej zamiłowanie do wykonywanego zawodu stanowiło prawdziwą obsesję za tymi murami.

- Pozwala mi opłacać na bieżąco rachunki - odparłem.
- Ale przecież nie tylko o to w życiu chodzi, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

- Możesz sobie wyobrazić, jak będziesz nadal wykonywał zlecenia w wieku pięćdziesięciu pięciu lat?

- Nie jestem pewien, czy dożyję trzydziestu pięciu, skazany Hardiman.
- Alec.
- Dobrze, Alec - burknąłem.

Wyrozumiałe pokiwał głową niczym ksiądz w konfesjonale.

- Masz jakieś inne zajęcie na uwadze?

Westchnąłem głośno.

- Chyba nie ściągnąłeś mnie tutaj, żeby porozmawiać o mojej przyszłości?

- Ale to przecież nie oznacza, że nie możemy o niej porozmawiać, prawda, Patricku? - Uniósł brwi i rysy jego pociągłej twarzy w jednej chwili złagodniały. - Naprawdę się tobą interesuję. Dlatego proszę, byś zaspokoił moją ciekawość.

Spojrzałem na Liefa, lecz ten tylko obojętnie wzruszył szerokimi ramionami.

- Może zacznę uczyć? - rzuciłem.

- Naprawdę? - Pochylił się nad stolikiem.

- Czemu nie?

- A nie myślałeś o posadzie w prywatnej agencji? Słyszałem, że całkiem nieźle płacą.

- Niektóre.

- Poza tym oferują dodatki socjalne, ubezpieczenie zdrowotne i temu podobne.

- Owszem.

- Nie zastanawiałeś się nad taką możliwością, Patricku?

Coraz mniej mi się podobał sposób, w jaki wymawiał moje imię, tylko nie umiałem jeszcze określić dlaczego.

- Zastanawiałem się.

- Ale wybrałeś niezależność?

- Coś w tym rodzaju. - Wstałem i nalałem sobie wody do kubeczka, zwracając uwagę, że Hardiman zapatrzył się na moje wargi, gdy piłem. - Alec, co możesz powiedzieć...

- Chyba znasz przypowieść o trzech talentach?

Przytaknąłem.

- Ci, co żyją gromadnie lub boją się przyjąć zesłany im dar, ani nie ziębią, ani nie grzeją, powinni być wydaleny z grona dzieci Bożych.

- Tak, znam tę przypowieść, Alec.

- A więc? - Odchylił się na oparcie i rozłożył ręce na tyle, na ile pozwalały mu łańcuchy. - Człowiek, który odwraca się tyłem do swego powołania, ani nie ziębi, ani nie grzeje.

- A jeśli ktoś nie jest pewien, czy rzeczywiście znalazł swoje powołanie?

Wzruszył ramionami.

- Alec, gdybyśmy mogli porozmawiać...

- Wydaje mi się, że zostałeś obdarzony talentem szalu, Patricku. Naprawdę. Dostrzegłem go w tobie.

- Kiedy?

- Czy kiedykolwiek byłeś zakochany? - Znowu pochylił się w moją stronę.

- A co to ma wspólnego...

- Byłeś?

- Tak.

- I nadal jesteś? - zapytał, przypatrując mi się uważnie.

- Jakie to ma znaczenie, Alec?

Odchylił się z powrotem i popatrzył w sufit.

- Ja nigdy nikogo nie kochałem. Nigdy nie byłem zakochany, nie trzymałem kobiety za rękę, nie szedłem z nią plażą, rozmawiając na temat... no, choćby spraw domowych, tego, kto ugotuje obiad, kto pościeli wieczorem łóżko i czy należy wezwać technika do naprawy pralki. Nigdy nie doświadczałem takich rzeczy i czasem w samotności, późną nocą, płacząc z tego powodu. - Na krótko przygryzł dolną wargę. - Podejrzewam jednak, że wszyscy marzymy o innym życiu. Wszyscy chcielibyśmy przeżyć tysiąc żyć podczas naszego pobytu na ziemi. Tyle że to niemożliwe, prawda?

- Nie. Niemożliwe.

- Pytałem o twoje ambicje zawodowe, Patricku, ponieważ uważam cię za człowieka przebojowego. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Nie.

Uśmiechnął się smutno.

- Życie większości mężczyzn i kobiet na tym świecie upływa bez wyróżników. Wypełnia je tylko cicha desperacja, nic poza tym. Wszyscy się rodzą, egzystują przez jakiś czas ze swoimi konkretnymi zainteresowaniami, zamiłowaniem, marzeniami i udrękami, a potem umierają. Mało kto ich zauważa. Mam na myśli miliardy ludzkich istnień, Patricku, a nawet dziesiątki miliardów, które w historii ludzkości przeżyły, nie wywierając na nią żadnego wpływu, jakby w ogóle nie przyszły na ten świat.

- Ludzie, o których mówisz, na pewno by się z tym nie zgodzili.

- Co do tego nie mam wątpliwości. - Uśmiechnął się szerzej i jeszcze bardziej pochylił nad stolikiem, jakby zamierzał mi zdradzić jakąś tajemnicę. - Tylko kto chciałby ich słuchać?

- Alec, chciałbym się jednak dowiedzieć, dlaczego...

- Ty zaś jesteś potencjalnie wpływowym człowiekiem, Patricku. Możesz się na długo zapisać w ludzkiej pamięci. Pomyśl, cóż to byłoby za osiągnięcie, zwłaszcza w naszej cywilizacji jednorazowego użytku. Tylko się nad tym zastanów.

- A jeśli nie odczuwam najmniejszej potrzeby stania się wpływowym człowiekiem?

Jego oczy znowu zniknęły za mlecznobiałymi odblaskami lamp fluorescencyjnych.

- A może wybór wcale nie należy do ciebie? Może staniesz się wpływowym człowiekiem niezależnie, czy tego chcesz, czy nie?

Wzruszył ramionami.

- Przez kogo?

Uśmiechnął się.

- Dzięki komu.

- No więc, dzięki komu?

- Ojcu, i Synowi i Duchowi Świętemu.

- Oczywiście - odparłem.

- A ty jesteś człowiekiem wpływowym, Alec? - zagadnął Dolquist.

Obaj popatrzyliśmy na niego.

- Jesteś? - powtórzył.

Hardiman bardzo powoli odwrócił głowę i znów spojrzał na mnie, okulary zsunęły mu się prawie na sam czubek nosa. Źrenice skryte dotąd za szklami miały odcień mlecznego błękitu przybrzeżnych karaibskich płycizn.

- Wybacz doktorowi, że przerwał naszą dyskusję. Ostatnio jest trochę podenerwowany z powodu swojej żony.

- Moja żona... - zaczął doktor.

- Otóż żona doktora Dolquista, Judith - przerwał mu Hardiman - kiedyś odeszła od niego z innym mężczyzną. Wiedziałaś o tym, Patricku?

Dolquist zaczął nerwowo skubać spodnie na kolanie, wbijając wzrok w czubki swoich butów.

- A kiedy do niego wróciła, przyjął ją z otwartymi ramionami. Na pewno były serdeczne przeprosiny, łzy, gorące prośby o wybaczenie i co najwyżej drobne złościwości ze strony doktora. Ale tego nikt nie wie na pewno. Od tamtego czasu minęły trzy lata. Zgadza się, doktorze?

Dolquist spojrzał Hardimanowi w oczy i choć nie dawał niczego po sobie poznać, oddychał nieco szybciej i płycej, a prawą ręką nadal skubał nerwowo nogawkę spodni.

- Słyszałem z dobrze poinformowanych źródeł - ciągnął Alec - że w każdą drugą i czwartą środę miesiąca królowa doktora Dolquista, Judith, zezwala na penetrację wszystkich otworów swojego ciała dwóm byłym więźniom tejże instytucji, co odbywa się w zajeździe „Red Roof Inn” przy szosie krajowej numer jeden w Saugus. Ciekaw jestem, co doktor myśli na ten temat.

- Wystarczy, skazany! - warknął Lief.

Dolquist, który wpatrywał się w punkt na ścianie ponad ramieniem Hardimana, odezwał się spokojnym głosem, lecz jego kark miał odcień ciemnej czerwieni.

- Alec, zachowaj swoje urojenia na inną okazję. Dzisiaj...

- To przecież nie są urojenia.

- Pan Kenzie przyjechał tu na twoją prośbę i...

- W każdą drugą i czwartą środę miesiąca - powtórzył Hardiman - między czternastą a szesnastą w „Red Roof Inn”, pokój numer siedemnaście.

Dolquistowi na chwilę odebrało głos, co próbował zamaskować nerwowym zaczerpnięciem oddechu, ale wypadło to niezbyt naturalnie. Nie tylko ja zwróciłem na to uwagę, lecz również Hardiman, który uśmiechnął się do mnie lekko.

- Celem tego spotkania... - zaczął na nowo doktor.

Jednakże Hardiman lekceważąco machnął ręką w jego kierunku, koncentrując się tylko na mnie. Zapatrzyłem się na swoje odbicie w górnej części szkielec jego okularów, zamienionych przez światła jarzeniówek w białe matowe lusterka, znad których zielonkawe oczy więźnia przypatrywały mi się z napięciem. Kiedy znów pochylił się nad stolikiem, ledwie opanowałem chęć cofnięcia się, gdyż nagle wydało mi się, że owionął mnie dolatujący od niego trupi odór gnijącego ciała.

- Alec, co możesz nam powiedzieć o zabójstwach Kary Rider, Petera Stimovicha, Jasona Warrena oraz Pameli Stokes?

Westchnął głośno.

- Kiedy byłem mały, zaatakował mnie rój os. Spacerowałem sam nad jeziorem i nagle, nie wiadomo skąd, jak zjawa z zaświatów, pojawił się ten rój, który otoczył mnie wielkim czarno-żółtym obłokiem. Ledwie dostrzegłem zza tej zasłony, jak moi rodzice i sąsiedzi ruszają biegiem w tym kierunku, spiesząc z pomocą. Chciałem do nich zawołać, że nic mi nie jest, że wszystko w porządku. Ale właśnie w tym momencie osy zaatakowały. Setki żądeł wbiły się w ciało, jakby spragnione mojej krwi. Ból był tak przeszywający, że wręcz orgazmiczny. - Tak nieruchomo trzymał głowę, wpatrując się we mnie, że kropelka potu, która spadła mu z czubka nosa, zawisła na brodzie. - Miałem wtedy jedenaście lat i przeżyłem pierwszy w życiu orgazm, zabrudziłem kąpielówki, kiedy setki żądeł czarno-żółtych os wbiły się w moje ciało.

Lief zmarszczył brwi i przestąpił z nogi na nogę.

- Poprzednio mówiłeś, że to były szerszenie - wtrącił Dolquist.

- Nie. Osy.

- Mówiłeś o szerszeniach, Alec.

- Mówiłem, że zaatakowały mnie osy - powtórzył spokojnie Hardiman, spoglądając na mnie. - Byłeś kiedykolwiek uządlony?

Wzruszyłem ramionami.

- Raz, może dwa razy, kiedy byłem mały. Nie pamiętam dobrze.

Zapadło milczenie, które przeciągnęło się na parę minut. Alec Hardiman spoglądał na mnie takim wzrokiem, jakby się zastanawiał, jak będę wyglądał poszlachtowany na kawałki i ułożony na zastawie ze śnieżnobiałej chińskiej porcelany, ze srebrnymi sztucami przy talerzach i różnymi dodatkami na stole.

Odwróciłem głowę, mając już niemal pewność, że nie odpowie na żadne pytania, które cisnęły mi się na język.

Kiedy w końcu się odezwał, odniosłem wrażenie, że w ogóle nie poruszył ustami, jakby był brzuchomówcą.

- Czy mógłbyś mi poprawić okulary, Patricku?

Zerknąłem na naczelnika, lecz tylko wzruszył ramionami. Pochyliłem się nad stołem i wsunąłem Hardimanowi głębiej okulary, on tymczasem pochylił głowę w stronę kawałka mego odsłoniętego ciała nad górnym brzegiem rękawicy i głośno wciągnął powietrze przez nos.

Błyskawicznie cofnąłem rękę.

- Uprawiałeś seks dzisiaj rano, Patricku? Nie odpowiedziałem.

- Poczulem na twoim ręku zapach seksu - dodał.

Lief oderwał się od ściany i pochylił nieco w naszym kierunku, w jego oczach zapaliły się ostrzegawcze błyski.

- Chciałbym, żebyś coś zrozumiał - ciągnął Hardiman. - Zawsze istnieje jakiś wybór. Można dokonać właściwego albo niewłaściwego, ale wybór zawsze istnieje. Nie wszyscy, których kochasz, będą mogli przeżyć.

Z trudem przełknąłem ślinę, próbując zapanować nad gorzką pigułą narastającą mi w gardle i usztywniającą język.

- Syn Diandry Warren zginął dlatego, że przez jego matkę zostałeś skazany. To potrafię zrozumieć. Ale dlaczego zginęły inne ofiary?

Zaczął nucić pod nosem, początkowo bardzo cicho, aż trudno było wychwycić melodię. Zaraz jednak pochylił głowę i zaśpiewał wyraźniej:

- „Przyślijcie klaunów”.

- Pytałem o inne ofiary. Dlaczego i one musiały zginąć, Alec?

- „Czy to zamieć?”

- Przecież nie bez powodu poprosiłeś o tę rozmowę.

- „Czy się nie godzisz...?”

- Dlaczego ci ludzie zginęli, Alec? - naciskałem.

- „Ten, który wszystko niszczy dookoła... - śpiewał nadal łagodnym, nieco piskliwym głosem. - Który nie może uciec...”

- Skazany Hardiman...

- „Dlatego przyślijcie klaunów...”

Spojrzałem na Dolquista, ten zaś na Liefę.

Hardiman pogroził mi palcem.

- „O nic się nie martw, na pewno się zjawią...”

Zaśmiał się nagle, wybuchnął donośnym rechotem, otwarłszy szeroko usta i zadarłszy głowę. W kącikach warg pojawiły się białe krople spienionej śliny. Jednakże przez cały czas spoglądał na mnie rozszerzonymi oczyma. Coraz trudniej było mi oddychać, jakby w jednej chwili wyssał całe powietrze z celi, wypełniając nim swoje żłaknione tlenu ciało, a nam już nie pozostało nic.

Niespodziewanie zamknął usta, spowaźniał i wbił we mnie lekko błyszczące oczy z niewinną miną emerytowanego bibliotekarza.

- Po co mnie tu ściągnąłeś, Alec?

- Widzę, że udało ci się pozbyć wicherka, Patricku.

- Słucham? Obejrzał się i zwrócił do naczelnika:

- Patrick miał kiedyś z tyłu głowy paskudny wicherek, kosmyk włosów zawsze sterczący jak złamany palec.

Ledwie się powstrzymałem przed odruchowym sięgnięciem na tył głowy i przyglądaniem odstającego kosmyka, którego już od dawna nie miałem. Ścisnęło mnie w dołku, jakbym połknął wielką bryłę lodu.

- Po co mnie tu ściągnąłeś? Przecież mogłeś rozmawiać z setkami strażników, policjantów czy agentów federalnych, a jednak...

- Gdybym twierdził uparcie, że przedstawiciele władz wstrzyknęli mi truciznę do żył, że zostałem porażony promieniami alfa z innej galaktyki albo że moja matka systematycznie wykorzystywała mnie seksualnie, o czym by to świadczyło?

- Nie wiem.

- To oczywiste. Nie znasz się na takich rzeczach. Nawiasem mówiąc, to oczywiście nieprawda, lecz nawet gdyby było inaczej, nie miałyby to żadnego znaczenia. A gdybym ci powiedział, że jestem Bogiem?

- Którym?

- Tym jednym jedynym.

- Zacząłbym się zastanawiać, jakim sposobem Bóg dał się zamknąć w takim przybytku i dlaczego nie uczyni żadnego cudu, żeby odzyskać wolność.

Uśmiechnął się.

- Doskonale. Jesteś wygadany, ale w końcu to leży w twoim charakterze.

- A co leży w twoim?

- W moim?

Skinął głową.

Obejrzał się na Liefę.

- Czy w tym tygodniu będzie jeszcze na obiad pieczony kurczak?

- Tak, w piątek - odparł naczelnik.

Hardiman z uznaniem pokiwał głową.

- To dobrze. Bardzo lubię pieczonego kurczaka. Miło mi się z tobą rozmawiało, Patricku. Wpadnij jeszcze kiedyś.

Lief spojrzał na mnie i wzruszył ramionami.

- Koniec widzenia - oznajmił.

- Chwileczkę - zaproponowałem.

Hardiman zaśmiał się krótko.

- Koniec widzenia, Patricku.

Dolquist wstał od stołu. Chwilę później zrobiłem to samo.

- Doktorze - odezwał się Hardiman - proszę pozdrowić ode mnie Królową Judith.

Dolquist ruszył do wyjścia.

Poszedłem za nim, spoglądając na wszechobecne kraty i nagle poczułem się uwięziony za nimi, osaczony, na zawsze odizolowany od świata na zewnątrz, skazany na wieczne towarzystwo Hardimana.

Lief odwrócił się do drzwi, odpinając od pasa klucze. Przez chwilę wszyscy trzej znaleźliśmy się plecami do Aleca, który niespodziewanie szepnął:

- Twój ojciec był osą.

Obejrzałem się, ale spojrzał na mnie z obojętnym wyrazem twarzy.

- Jak mam to rozumieć?

Pokiwał głową i zamknął oczy, po czym zabębnił palcami po blacie stolika. Kiedy znów się odezwał, odniosłem wrażenie, że jego głos dobiega ze wszystkich stron naraz, także z masywnych krat, ale nie z jego ust:

- Powiedziałem: Zetrzyj ich z powierzchni ziemi, Patricku. Zabij wszystkich.

Wydał wargi. Czekaliśmy na dalszy ciąg, ale już się nie odezwał. Dobra minuta

upłynęła w całkowitej ciszy. Spoglądał na nas przez ramię z obojętnym wyrazem twarzy, a jedyną oznaką życia było ledwie zauważalne drżenie przebiegające po jego chorobliwie pobladłej twarzy.

Kiedy drzwi się otworzyły i wyszliśmy na korytarz bloku C, mijając dwóch strażników czuwających przed wejściem do celi, Alec Hardiman zanucił głośniejszy w rytm tej samej co poprzednio melodii:

- Zetrzyj ich z powierzchni ziemi, Patricku. Zabij wszystkich.

Padło to łagodnym i miękkim głosem, lecz rozeszło się między murami z mocą donośnej arii operowej.

- Zetrzyj ich z powierzchni ziemi, Patricku.

Te słowa zdawały się ścigać nas niczym pieśń słowicza, gdy oddalaliśmy się korytarzem.

- Zabij wszystkich!

23

Wśród odgłosów więziennej codzienności tłumionych przez grube mury Lief przeprowadził nas przez labirynt krat przegradzających korytarze wypełnione odorem środków odkażających i przemysłowych środków myjących, wyłożone poźółkłymi ze starości kafelkami, jak w większości instytucji państwowych.

- Powinien pan wiedzieć, że on ma tu dość liczny fan klub - odezwał się naczelnik.

- Kto?

- Hardiman. Często odwiedzają go studenci kryminologii albo prawa, samotne kobiety w średnim wieku, pracownicy organizacji społecznych, aktywiści grup wyznaniowych, jak również znajomi przekonani o jego niewinności.

- Poważnie?

Lief uśmiechnął się i przytaknął ruchem głowy.

- Jak najbardziej. Alec stosuje wobec nich ulubioną zagrywkę, zaprasza ich na widzenia, obiecując możliwość ujrzenia na własne oczy jego eminencji czy coś w tym rodzaju. A znaczna część z tych ludzi to biedacy, muszą długo oszczędzać, żeby pozwolić sobie na podróż. I wie pan, co on robi, gdy już tu przyjadą?

- Wyśmiewa się z nich.

- W ogóle nie wychodzi na odwiedziny - odparł Dolquist. - Za każdym razem jest to samo.

- Zgadza się - mruknął Lief, wstukując kod na klawiaturze zamka elektronicznego przy drzwiach wejściowych, które po chwili otworzyły się z cichym stukiem zapadki. -

Przygląda się tylko z okna swojej celi, jak wracają ze spuszczoneymi głowami do swoich samochodów, przygnębieni i upokorzeni, a potem idzie do łazienki, żeby się onanizować.

- Cały Alec - mruknął Dolquist, kiedy wyszliśmy na zalany słońcem placyk przed główną bramą więzienia.

- Co miała znaczyć ta uwaga dotycząca pańskiego ojca? - zainteresował się naczelnik, prowadząc nas w kierunku czarnej furgonetki FBI stojącej w połowie długości wysypanego żwirem podjazdu.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Jeśli się dobrze orientuję, nawet nie miał okazji poznać mojego ojca.

- W takim razie chyba tylko chciał panu dać do zrozumienia, że go znalazł - wtrącił Dolquist.

- I jeszcze ta gadka na temat wicherka we włosach - burknął Lief. - Nie wiem, czy naprawdę tak dobrze znaliście się w młodości, panie Kenzie, czy tylko usłyszał o tym od kogoś.

Zachrząścił żwir pod naszymi stopami.

- Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

- No cóż - odparł naczelnik. - Alec jest prawdziwym mistrzem mącenia ludziom w głowach. Na wiadomość o pańskiej wizycie wygrzebałem z archiwum tę notatkę. - Podał mi złożoną kartkę papieru. - Przechwyciliśmy ten gryps, który Alec przekazał jednemu ze swoich kurierów, dziewiętnastoletniemu chłopakowi zgwałconemu przez niego, jak tylko się dowiedział o pozytywnym wyniku testu na obecność wirusa HIV.

Rozłożyłem kartkę i przeczytałem:

Śmierć w mojej krwi

Przekazuję tobie.

Po drugiej stronie grobu

Będę na ciebie czekał.

Oddałem mu notatkę tak szybko, jakby stała w ogniu.

- Zależało mu na tym, żeby chłopak się go bał nawet po jego śmierci. To też typowe dla niego - rzekł naczelnik. - Jeśli nawet nigdy wcześniej się nie spotkaliście, mógł specjalnie zbierać o panu wiadomości. Proszę mieć to na uwadze.

Skinąłem głową.

- Będę wam jeszcze potrzebny? - zapytał z ociąganiem Dolquist.

Lief zaprzeczył energicznie.

- Proszę przygotować raport, chciałbym go dostać jutro z samego rana. Myślę, że możemy ci na razie podziękować, Ron.

Dolquist przystanął parę kroków przed furgonetką, odwrócił się i uściśnął mi dłoń na pożegnanie.

- Miło mi było pana poznać, Kenzie. Mam nadzieję, że wszystko wkrótce się wyjaśni.

- Też mam taką nadzieję.

Skinął głową, unikając mojego wzroku. Skłonił się sztywno naczelnikowi i zawrócił w stronę bramy więzienia.

Lief nieco teatralnym gestem poklepał go po plecach na odchodne, zrobiwszy taką minę, jakby podobne gesty były mu całkiem obce.

- Trzymaj się, Ron - rzucił.

Przez chwilę obaj spoglądaliśmy, jak oddala się, przygarbiony. W pewnej chwili zatrzymał się w pół kroku, uniósł głowę i jak gdyby zaskoczony ruszył w lewo przez trawnik w kierunku parkingu.

- Może sprawia wrażenie dziwaka - mruknął naczelnik - ale to porządny gość.

Wysoki mur okalający więzienie rzucał głęboki cień na trawnik i Dolquist szedł wzdłuż jego granicy, niemal bojąc się na niego nadepnąć, uporczywie trzymał się oświetlonej słońcem strefy, jakby miał obawy, że ów cień pograży go w wiecznym mroku.

- Jak pan sądzi, dokąd idzie?

- Sprawdzić, co porabia żona - odparł Lief i splunął na podjazd.

- Myśli pan, że Hardiman mówił prawdę?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Podał jednak dość dokładne informacje. Gdyby w takiej sytuacji chodziło o pańską żonę, która już kiedyś pana zdradziła, nie chciałby pan od razu sprawdzić, co teraz robi?

Dolquist dotarł na skraj trawnika, śmiało przeciął smugę cienia rzucanego przez wieżyczkę strażniczą, wkroczył na parking i po chwili zniknął nam z oczu.

- Biedak - mruknąłem.

Lief po raz drugi splunął w żwir.

- Lepiej niech się pan modli, żeby przez Hardimana nikt nie powiedział kiedyś

czegoś podobnego o pańskiej żonie.

Nagły poryw wiatru zakolysał wysoką trawą pod murem, aż przeszył mnie dreszcz grozy. Wstrząsnąłem się, zawróciłem na pięcie i otworzyłem drzwi furgonetki.

- Niezła metoda prowadzenia przesłuchania - warknął Bolton. - Gdzie pan się jej uczył?

- Robiłem wszystko, co w mojej mocy.

- Właśnie słyszałem. Nie dowiedział się pan ani słowa na temat ostatnich morderstw.

- No cóż...

Rozejrzałem się po wnętrzu auta. Erdham i Fields siedzieli przy czarnym stoliku. Nad ich głowami pięć z sześciu zamontowanych pod dachem monitorów ukazywało różne fazy mojej rozmowy z Hardimanem, natomiast ostatni przekazywał aktualny obraz z celi. Alec siedział dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawiliśmy - z zamkniętymi oczami, głową odchyloną do tyłu i lekko wydętymi wargami.

Stojący obok mnie Lief zapatrzył się na szereg monitorów po drugiej stronie, na których w rytmicznych około dwudziestosekundowych odstępach pojawiały się twarze więźniów wykrzywione z wściekłości. Zerknąłem na Erdhama uderzającego w klawisze komputera i uświadomiłem sobie, że przeszukuje więzienną bazę danych.

- Jak zyskaliście dostęp do tych akt? - zapytał naczelnik.

Bolton spojrzał na niego ze znudzoną miną.

- Dostaliśmy zgodę z magistratu dzisiaj o piątej rano - odparł, podając Liefowi pismo. - Może pan sprawdzić.

Popatrzyłem znów na monitory nad jego głową, na których wyświetliły się właśnie fotografie kolejnych skazanych. Kiedy naczelnik pochylił się nad pismem i zaczął je uważnie studiować, przesuując palcem po kolejnych wierszach drobnego druku, widok na monitorach zmienił się po raz kolejny. Szybko obrzuciłem wzrokiem podobizny następnych skazanych, dwóch czarnych, dwóch białych, jednego z twarzą tak gęsto pokrytą tatuażami, że mógłby być nawet rasy zielonej i wreszcie ostatniego, który mógłby uchodzić za młodego Latynosa, gdyby nie miał całkiem białych włosów.

- Zatrzymaj - rzuciłem.

Erdham obejrzał się na mnie przez ramię.

- O co chodzi?

- Możesz trochę na dłużej zostawić te zdjęcia na ekranach? Uniósł ręce nad klawiatury.

- Nie ma sprawy. - Spojrzał na Boltona. - I tak żaden z nich nie odpowiada rysopisowi.

- Jakiemu rysopisowi? - zapytałem.

- Sprawdzamy dane osobowe wszystkich tutejszych skazanych - wyjaśnił Bolton - i poszukujemy wpisów w aktach, choćby najdrobniejszych, pozwalających wiązać każdego z nich z Alekiem Hardimanem. Na razie kończymy przeglądanie akt więźniów o nazwiskach zaczynających się na A.

- Pierwsi dwaj są całkowicie czysti - dodał Erdham. - Nie odnotowano żadnego zatargu ani bliższych kontaktów z Hardimanem.

Lief uniósł głowę i popatrzył na monitory.

- Sprawdźcie tego szóstego - odpowiedział. Wyprostowałem się.

- Kto to jest?

- Widział go pan kiedyś?

- Nie jestem pewien. Jego twarz wydaje mi się znajoma.

- Na pewno zapamiętałby pan jego włosy.

- Tak, to prawda.

- Evandro Arujo - odczytał Erdham. - Nie przebywał w tym samym bloku, nie pracował razem z Alekiem, nie stykał się z nim w wolnym czasie...

- Taka komputerowa weryfikacja na niewiele się zda - przerwał mu naczelnik.

- Zaraz sprawdzę jeszcze, czy nie miał jakichś zatargów.

Przyjrzałem się dokładniej fotografii. Mężczyzna miał bardzo gładką, niemal dziewczęcą cerę, a i urodę przypominał kobietę. Bardzo jasne, wręcz albinoskie włosy silnie kontrastowały z piwnymi oczyma i bursztynowym odcieniem skóry. Do kobiety upodobniały go również grube pełne wargi, jakby lekko wydęte i długie czarne rzęsy.

- Mam pierwszy poważniejszy incydent. Szóstego sierpnia osiemdziesiątego siódmego roku skazany Arujo zgłosił, że został zgwałcony pod prysznicem. Nie umiał albo nie chciał wskazać sprawcy, domagając się tylko zamknięcia w odosobnieniu, ale jego prośba została odrzucona.

Spojrzałem na Lief'a.

- Wtedy jeszcze tu nie pracowałem - odparł.

- Za co został skazany?

- Za spowodowanie poważnego wypadku drogowego. To jego pierwsza kara.

- I od razu znalazł się tutaj?

Bolton stanął obok mnie, znowu doleciał mnie od niego silny zapach miętówek.

- Za spowodowanie poważnego wypadku mógł trafić jeszcze gorzej.
- Proszę to powiedzieć sędziemu - mruknął naczelnik. - I temu gliniarzowi, któremu Evandro doszczętnie skasował samochód, bo to kumpel do wypitki wspomnianego sędziego.

- Drugi incydent, podejrzenie o celowe okaleczenie. Notatka z marca osiemdziesiątego ósmego roku. Brak szczegółów.

- To znaczy, że sam kogoś zgwałcił - wyjaśnił Lief.

- Trzeci incydent, aresztowany i sądzony pod zarzutem morderstwa. Ponownie skazany w czerwcu osiemdziesiątego dziewiątego.

- Witajcie w świecie Evandra - mruknął naczelnik.

- Wydrukuj to - polecił Bolton.

Zaszumiała drukarka laserowa. Jako pierwsze wysunęło się z jej szczeliny zdjęcie dużego formatu, na które wszyscy się zapatrzyliśmy.

Bolton zerknął na Liefa i zapytał:

- Czy ten skazany miał kontakt z Hardimaniem?

Naczelnik skinął głową.

- Tak, chociaż raczej nie znajdziecie tego w dokumentacji.

- Dlaczego?

- Bo co innego wiedzieć o czymś i móc to udowodnić, a co innego tylko wiedzieć.

Evandro był kochankiem Hardimana. Przyjechał tu jako całkiem niewinny chłopak z wyrokiem dziewięciu miesięcy więzienia za spowodowanie wypadku, a wyszedł prawie po dziesięciu latach jako niebezpieczny szaleniec.

- To jego naturalny kolor włosów? - zapytałem.

- Nie, został mu po szoku. Po zajściu pod prysznicami znaleziono go nieprzytomnego na podłodze, krwawiącego ze wszystkich otworów ciała i całkiem siwiuteńkiego. Po powrocie z oddziału szpitalnego wrócił do celi zbiorczej, bo poprzedni naczelnik brzydził się donosicielami. Kiedy ja objąłem to stanowisko, Arujo był już sprzedajna dziwką, setki razy przechodził z rąk do rąk, aż wreszcie skończył w łóżku Hardimana.

- Kiedy został zwolniony? - zapytał Bolton.

- Pół roku temu.

- Ściągnijcie wszystkie jego zdjęcia i wydrukujcie je - polecił.

Erdham zaczął pospiesznie wpisywać polecenia na klawiaturze i wkrótce na monitorach ukazało się pięć różnych fotografii Arujo.

Pierwsze pochodziło z bazy danych komendy policji w Brockton i zostało zrobione zaraz po aresztowaniu. Evandro miał podkrążone oczy, silnie napuchnięty i rozcięty prawy policzek, a w jego wzroku czaił się ból i przerażenie.

- W trakcie wypadku silnie uderzył głową w kierownicę - rzekł Lief.

Na następnym, z akt przyjęcia do więzienia w Walpole, oczy miał tak samo rozszerzone i pełne strachu, ale opuchlizna i zadrapania zniknęły. Gęste czarne włosy, bardzo miękkie, przypominające loczki małych dzieci, podkreślały jeszcze łagodne dziewczęce rysy.

Kolejnym zdjęciem było to, które widzieliśmy na początku. Na nim włosy miał już białe, a wyraz dużych oczu trochę się odmienił, jakby ktoś zdrapał z nich cienką zewnętrzną powłokę najgłębszych uczuć, jak się zdejmuje z ugotowanego jajka błonkę znajdującą się tuż pod skorupką.

- To zostało zrobione po zamordowaniu przez niego Normana Sussexa - powiedział naczelnik.

Na czwartym zdjęciu wyglądał szczuplej, przez co jego dziewczęce rysy nabrały nieco groteskowego charakteru, jakby młodemu chłopakowi przyprawiono gębę złośliwej wiedźmy. Duże oczy promieniowały żywym blaskiem, a na wargach błąkał się ironiczny uśmiezek.

- Tego dnia został powtórnie skazany.

Ostatnia fotografia pochodziła z dnia jego zwolnienia. Ufarbowane włosy, masywna sylwetka, teraz już wyraźnie wydymał wargi do obiektywu.

- Jakim cudem wyszedł w takim stanie na wolność? - zdumiał się Bolton. - Przecież na pierwszy rzut oka widać, że ma nie po kolei w głowie.

Moją uwagę przykuło jednak drugie zdjęcie ukazujące młodego ciemnowłosego chłopaka, już bez posiniaczonej i podrapanej twarzy, z oczyma pełnymi łęku.

- Został skazany za nieumyślne spowodowanie śmierci człowieka, a nie za morderstwo - rzekł Lief. - Wiedziałem, że bez wyraźnego powodu zaatakował Sussexa, ale nie potrafiłem tego udowodnić. A na podstawie obrażeń zarówno na ciele Sussexa, jak i Arujo, sąd przyjął wersję, że doszło między nimi do zażartej bójki na noże. - Wskazał czoło chłopaka na ostatniej fotografii, które przecinała długa biała blizna. - Widzicie? To ślad po ostrzu zrobionym z kawałka pręta. Sussex nie mógł już wyjaśnić, jak do tego doszło, więc Arujo mógł się tłumaczyć, że działał w obronie własnej, bo przeciwnik pierwszy wyciągnął nóż. Dostał osiem lat, ponieważ sędzia mu nie wierzył, ale nie mógł obalić jego wersji zdarzenia. Gdybyście jeszcze tego nie wiedzieli, w

naszym więziennictwie zarysowuje się coraz poważniejszy problem przeludnienia, a ponieważ skazany Arujo pod każdym innym względem - zachowywał się bez zarzutu, nie było też podstaw, by odmówić mu prawa do przedterminowego zwolnienia.

Ogarnąłem jednym spojrzeniem wszystkie wcielenia Evandra Arujo. Ranny. Młody i przerażony. Zgnojony i załamany. Wychudzony i wyzbyty nadziei. Nadąsany i niebezpieczny. I ponad wszelką wątpliwość zyskałem przekonanie, że gdzieś go już widziałem. Tylko gdzie?

Zacząłem roztrząsać w myślach różne możliwości.

Na ulicy. W barze. W autobusie. W metrze. Za kierownicą taksówki. Na sali gimnastycznej. W tłumie przechodniów. Na meczu. W kinie. Na koncercie. W...

- Czy ktoś ma długopis?

- Słucham?

- Długopis - powtórzyłem. - A jeszcze lepiej czarny marker.

Fields podał mi flamaster. Wyjąłem z podajnika drukarki zdjęcie i zacząłem je w pośpiechu uzupełniać.

Lief spojrzał mi przez ramię i zapytał zdziwiony:

- Po co domalowuje mu pan taką idiotyczną bródkę, Kenzie?

Przyjrzałem się dobrze. Tak, to była twarz tego samego mężczyzny, którego widziałem w kinie, a później na kilku zdjęciach zrobionych przez Angie.

- Teraz już się nie ukryje - powiedziałem.

24

Devin przesłał nam faksem zdjęcie Arujo zrobione przez Angie przed barem, które mu przekazałem i Erdham wprowadził je do komputera.

Kiedy wyjechaliśmy już na północną nitkę autostrady i dołączyliśmy do sznuru sunących wolno samochodów, Bolton rzekł przez telefon do Devina:

- Trzeba natychmiast wysłać za nim list gończy. - Spojrzał przez ramię na Erdhama i warknął: - Znajdź nazwisko jego kuratora.

Erdham zerknął na Fieldsa, ten wcisnął parę klawiszy i odczytał z ekranu:

- Sheila Lawn. Ma własne biuro w gmachu Saltonstał.

Bolton rzucił do słuchawki:

- Metr osiemdziesiąt wzrostu, siedemdziesiąt cztery kilo wagi, trzydzieści lat, jedyny znak szczególny to cienka blizna na czole długości trzech centymetrów, w górnej części, tuż pod linią włosów. To rana od noża... - Zakrył dłonią mikrofon i zwrócił się do mnie: - Kenzie, zadzwoń do niej.

Fields podał mi szybko kartkę z numerem telefonu i aparat bezprzewodowy. Wybrałem numer i popatrzyłem, jak na ekranie komputera Erdhama pojawia się obrobione elektronicznie zdjęcie Evandra. Agent zaczął programować poprawę kontrastu i kolorów.

- Biuro Sheili Lawn.

- Poproszę z panią Lawn.

- Przy telefonie.

- Nazywam się Patrick Kenzie, jestem prywatnym detektywem i potrzebuję szczegółowych informacji o jednym z pani podopiecznych.

- Tak po prostu?

- Słucham?

Kierowca przejechał gwałtownie na sąsiedni pas, po którym samochody poruszały się odrobinę szybciej i natychmiast rozległo się kilka klaksonów.

- Chyba nie sądzi pan, że ujawnię jakiegokolwiek informacje o moim kliencie człowiekowi, który dzwoni i przedstawia się jako prywatny detektyw?

- No cóż...

Bolton przyglądał mi się uważnie, słuchając Devina. Sięgnął szybko, wyrwał mi z ręki telefon i nie odsuwając pierwszego aparatu od ucha, syknął samym kącikiem ust:

- Pani Lawn, tu agent specjalny Barton Bolton z FBI. Pracuję w bostońskiej centrali biura, mój numer służbowy to sześć zero cztery jeden dziewięć dwa. Proszę zadzwonić i sprawdzić, czy mówię prawdę, a potem udzielić panu Kenziem wszystkim żądanych informacji. Chodzi o dochodzenie federalne, w ramach którego oczekujemy pani pełnej współpracy. - Przekazał mi z powrotem telefon i odezwał się do Devina: - Mów dalej, słucham.

- Cześć - rzuciłem z głupia frant do słuchawki.

- Cześć - odparła kobieta. - Chyba powinnam się czuć upokorzona, zwłaszcza że zrobił to ktoś o imieniu Barton. Proszę zaczekać.

Popatrzyłem przez okno. Kierowca po raz kolejny zmienił pas i moim oczom ukazała się przyczyna korka. Duże volvo staranowało od tyłu starego datsuna i sanitariusze pod ręce prowadzili jego kierowcę do karetki stojącej na pasie awaryjnym. Twarz miał zakrwawioną i pokrytą cętkami skaleczeń od rozbitej szyby, a do tego trzymał ręce dziwnie zwieszane przed sobą, jakby nie mógł uwierzyć, że wciąż są tam, gdzie być powinny.

Wypadek zatarasował tylko jeden pas ruchu, lecz wszyscy kierowcy na pozostałych zwalniali, żeby się przyjrzeć. Trzy auta przed nami facet z tylnego siedzenia utrwał całe zdarzenie przez szybę kamerą wideo. Nagrywał domowy film ku uciesze żony i dzieci. „Tylko popatrz, synu, ile miał ran na twarzy!”.

- Panie Kenzie?

- Tak, słucham.

- Zostałam upokorzona powtórnie, tym razem przez szefa agenta Boltona, za to, że marnuję cenny czas pracowników FBI pod tak trywialnym pozorem jak ochrona

praw moich klientów. Więc o którego z moich podopiecznych chodzi i jakie informacje są potrzebne?

- Evandro Arujo.

- Powód?

- Musimy wiedzieć o nim wszystko. Na razie nie mogę nic więcej zdradzić.

- W porządku. Proszę pytać.

- Kiedy widziała się pani z nim po raz ostatni?

- Dwa tygodnie temu, w poniedziałek. Evandro jest bardzo punktualny. Do diabła, chciałabym mieć tylko takich klientów.

- Jak mam to rozumieć?

- Nigdy nie opuścił żadnej wizyty, nawet się nie spóźnił. Znalazł sobie pracę w ciągu dwóch tygodni od wyjścia z więzienia...

- Gdzie?

- W firmie Hartów Kennel ze Swampscott.

- Proszę mi podać adres i numer telefonu do tej firmy.

Podyktowała, a ja ledwie zapisawszy te dane, wyrwałem kartkę z notesu i podsunąłem ją Boltonowi, który właśnie skończył rozmowę.

- Jego szef, Hank Rivers - ciągnęła Lawn - ocenia go bardzo dobrze, mówi, że byłby gotów zatrudniać samych byłych więźniów, gdyby wszyscy byli tacy jak Evandro.

- Gdzie on mieszka?

- Jego adres to... Już mam: Custer Street dwieście pięć.

- Gdzie to jest?

- W Brighton.

A więc w pobliżu kampusu uniwersyteckiego. Zapisałem adres Arujo i podałem Boltonowi drugą wyrwaną kartkę.

- Popadł w jakieś kłopoty? - zapytała kuratorka.

- Owszem. Jeśli go pani zobaczy, lepiej proszę się do niego nie zbliżać, tylko natychmiast zawiadomić biuro agenta Boltona w centrali FBI.

- A jeśli tu przyjdzie? Ma wyznaczoną następną wizytę za niecałe dwa tygodnie.

- Na pewno nie przyjdzie. Gdyby jednak się zjawił, proszę go nie wpuszczać do środka, tylko zadzwonić po pomoc.

- Myślicie, że to on ukrzyżował tę dziewczynę kilka tygodni temu?

Furgonetka jechała teraz bardzo szybko, ale wewnątrz można było odnieść

wrażenie, jakby nadal ledwie sunęła.

- Na jakiej podstawie wyciąga pani taki wniosek? - zapytałem.

- Kiedyś powiedział mi coś dziwnego.

- Co?

- Powinien pan zrozumieć, że, jak już mówiłam, to jeden z moich najspokojniejszych podopiecznych, zawsze miły i grzeczny... do diabła, nawet przysłał mi kwiaty do szpitala, gdy leczyłam złamanie. Zwykle nie rozczulam się nad losem skazanych, panie Kenzie, lecz Evandro naprawdę robi na mnie wrażenie człowieka, któremu po prostu powinęła się noga, więc teraz będzie bardzo uważał, by to się nie powtórzyło.

- Mówił coś pani na temat ukrzyżowania ludzi?

Bolton i Fields obejrżeli się na mnie, nawet Erdham przyjmujący wszystko ze stoickim spokojem zerknął na moje odbicie w ekranie monitora ciekłokrystalicznego.

- Tamtego dnia kończyliśmy już rozmowę, kiedy zaczął się gapić na mój biust. Na początku myślałam, że jak każdy mężczyzna ocenia w wyobraźni moje piersi, dopiero po chwili spostrzegłam, że on przygląda się krzyżykowi, który noszę na łańcuszku pod szyją. Zwykle chowam go pod bluzką, ale tamtego dnia musiał się jakoś wysunąć, nawet tego nie zauważyłam, dopóki Evandro nie zaczął się na niego gapić. I nie było to z jego strony normalne zaciekawienie, ale coś o podłożu obsesyjnym, jeśli domyśla się pan, o co mi chodzi. Kiedy go zapytałam, czemu się tak przygląda, odparł: „Co pani myśli o ukrzyżowaniu, Sheilo Lawn?”. Po raz pierwszy nie zwrócił się do mnie per pani czy pani kurator, ale pełnym imieniem i nazwiskiem: Sheilo Lawn.

- I co pani odpowiedziała?

- Zapytałam: „W jakim sensie?”, czy coś w tym rodzaju.

- A on na to?

- Rzekł: „Oczywiście pod kątem seksualnym”. Najbardziej uderzyło mnie wtedy słowo „oczywiście”, bo pozwalało wnioskować, że dla niego ukrzyżowanie jest w naturalny sposób powiązane z seksem.

- Zameldowała pani o tej rozmowie?

- Komu? Pan chyba żartuje? Każdego dnia przyjmuję dziesięciu mężczyzn, którzy wygadują znacznie gorsze rzeczy, ale nie łamią przy tym prawa i nie robią niczego, co mogłabym uznać za molestowanie seksualne. Poza tym, świetnie wiem, że moi koledzy muszą wysłuchiwać dokładnie takich samych rzeczy.

- Pani Lawn, jeśli nawet miała pani konkretny powód, żeby domyślić się naszych

podejrzeń wobec Evandra co do ukrzyżowania, to przecież nie wspomniałem nawet słowem, że poszukujemy go pod zarzutem morderstwa...

- A nie wystarczy, że współpracuje pan z FBI i kazał mi go unikać, gdybym się na niego natknęła?

- Lecz skoro był takim wzorowym klientem, co kazało pani wyciągać tak drastyczne wnioski? Mówiła pani, że zawsze był miły i uprzejmy, więc dlaczego...

- Skojarzyłam go z ukrzyżowaniem tej dziewczyny?

- Otóż to.

- Ponieważ... w tej pracy trzeba każdego dnia puszczać pewne rzeczy w niepamięć, panie Kenzie. Tylko dzięki temu da się wytrzymać. I tak właśnie zupełnie zapomniałam o tej rozmowie z Evandrem na temat ukrzyżowania, dopóki nie zobaczyłam w gazecie artykułu o zamordowanej dziewczynie. Nagle wszystko odżyło mi w pamięci, przypomniałam sobie, co wtedy czułam, gdy tak się na mnie gapił i później, gdy odparł śmiało: „Oczywiście pod kątem seksualnym”. Bo czułam się wtedy zbrukana, obnażona i znieważona, a co gorsza, na chwilę ogarnęło mnie także przerażenie, kiedy przemknęło mi przez myśl, że on może brać pod uwagę... - Urwała nagle na parę sekund, jakby zabrakło jej słów.

- Ukrzyżowanie pani? - podsunąłem. Głośno wypuściła powietrze.

- No właśnie.

- Nie tylko ufarbował włosy i zapuścił bródkę - oznajmił Erdham, spoglądając na wyostrzone zdjęcie Arujo widniejące na ekranie monitora ciekłokrystalicznego - ale w dodatku zmienił sobie układ włosów nad czołem.

- Jak?

Sięgnął po ostatnią wydrukowaną fotografię zrobioną tuż przed wyjściem Evandro z więzienia.

- Widzicie tę bliznę od noża w górnej części czoła?

- Cholera - syknął Bolton.

- Teraz jej nie ma - rzekł Erdham, stukając palcem w ekran.

Przyjrzałem się zdjęciu, które Angie zrobiła przed barem „Sunset Grill”. Mężczyzna miał linię włosów przesuniętą o dobre dwa centymetry w dół w porównaniu z chwilą, gdy wychodził na wolność.

- Nie sądzę jednak, żeby to w znaczący sposób odmieniało jego wygląd - dodał Erdham. - Zmiana jest niewielka. Większość ludzi zapewne nie zwróciłaby na to

uwagi.

- Jest próżny - wtrąciłem.
- Otóż to.
- Coś jeszcze? - zapytał Bolton.
- Niech pan sam zobaczy.

Jeszcze raz przyjrzałem się bliżej tym dwóm zdjęciom. W pierwszej chwili uderzające wrażenie robiła tylko zmiana koloru włosów z całkiem siwych na ciemne, prawie czarne, stopniowo jednak...

- Popatrzcie na jego oczy - rzekł Bolton.

Erdham pokiwał głową.

- Miał piwne, ale na zdjęciu zrobionym przez współpracowniczkę pana Kenziego są zielonkawe.

Fields odłożył słuchawkę telefonu.

- Agencie Bolton?

- Tak?

- I jeszcze zarys jego policzków - dodałem, przekrzywiając głowę, by moje własne odbicie nie przesłaniało mi zdjęcia na ekranie.

- Celna uwaga - przyznał Erdham.

- Nie znaleźli go ani pod adresem domowym, ani w miejscu pracy - zameldował Fields. - Właściciel domu twierdzi, że nie widział go od dwóch tygodni, a jego szef powiedział, iż dwa dni temu Arujo zostawił wiadomość, że jest chory, i od tamtej pory się nie pokazał.

- Potrzebuję na stałe agentów w obu miejscach i to od wczoraj.

- Są już w drodze.

- I co z tym zarysem policzków? - zapytał Bolton.

- Musiał sobie wszczepić implanty - rzekł Erdham. - Tak mi się przynajmniej zdaje. Proszę spojrzeć. - Sięgnął do klawiatury i zrobił przybliżenie, cały ekran wypełniły nagle tylko lodowate zielonkawe oczy, górna część nosa i zarys lekko odstającej kości policzkowej. Agent wskazał ją długopisem i wyjaśnił: - Tkanka w tym miejscu sprawia wrażenie delikatniejszej niż na tamtym zdjęciu, jakby cienka skóra opinała bezpośrednio kość. Tu zaś... Widzi pan, że wygląda na popękana i jest odrobinę zaczerwieniona? To dlatego, że wcześniej nie była aż tak naciągnięta. Podobny efekt występuje na skórze wokół silnie nabrzmiałego ropnego wyprysku.

- Jesteś geniuszem - odparł Bolton.

- Ma się rozumieć. - Jego oczy za szklami okularów rozbłysły źle maskowaną radością, jak oczy małego dziecka na widok zapalonych świeczek na torcie urodzinowym. - Ale to oznacza, że Arujo jest diabelnie sprytny. Wolał uniknąć jednorazowych większych zmian w wyglądzie, żeby nie zwrócić na siebie uwagi kuratorki czy właściciela domu, w którym mieszka. Nie mówię o ufarbowaniu włosów, bo to wszystkim powinno się wydać naturalne. Zamiast tego wybrał metodę stopniowych zmian kosmetycznych. Można by to zdjęcie przepuścić przez komputerowy program porównawczy i zapewne nie znalazłby żadnych elementów wspólnych ze zdjęciem osoby poszukiwanej. Podobieństwa można dostrzec tylko własnymi oczami i to jedynie wtedy, kiedy się wie, na co zwrócić uwagę.

Furgonetką lekko zarzuciło, gdy w Braintree kierowca ostro skręcił na szosę numer 93. Bolton i ja aż musieliśmy się na chwilę przytrzymać uchwytów.

- Skoro zawczasu przedsięwziął takie środki ostrożności, to musiał się domyślać, że wcześniej czy później zaczniemy szukać przynajmniej kogoś o zbliżonym wyglądzie - powiedziałem, wskazując monitor z aktualnym zdjęciem Arujo.

- To oczywiste - przyznał Erdham.

- Zatem boi się, że może zostać złapany - wtrącił Bolton.

- Najwyraźniej - odparł Erdham. - Zresztą, z jakiego innego powodu miałyby naśladować jedno z wcześniejszych zabójstw Hardimana?

- Jeśli nawet podejrzewa, że zostanie zatrzymany, to chyba wcale się tym nie przejmuje - dodałem.

- Może być jeszcze gorzej - mruknął Erdham. - Może nawet chce zostać schwytany, co by znaczyło, że wszystkie morderstwa traktuje jak rodzaj przesłania, bo w takim wypadku będzie dalej zabijał, dopóki nie odkryjemy, o co mu naprawdę chodzi.

- Sierżant Amronklin powiedział mi bardzo ciekawą rzecz, kiedy rozmawiał pan z kuratorką.

Zjeżdżaliśmy właśnie z autostrady przy targowisku i obaj z Boltonem znowu musieliśmy się złapać uchwytów, by utrzymać równowagę.

- Jaką?

- Złapał kontakt z dziewczyną, która w Nowym Jorku mieszkała w jednym pokoju z Karą Rider. Otóż panna Rider przed trzema miesiącami poznała pewnego studenta szkoły filmowej, który utrzymywał, że pochodzi z Long Island i tylko raz w tygodniu

przyjeżdża na zajęcia na Manhattan. - Spojrzał na mnie badawczo. - Domyśla się pan, jak wyglądał?

- Miał charakterystyczną bródkę.

Pokiwał głową.

- W dodatku przedstawiał się jako Evan Hardiman. Coś to panu mówi? Koleżanka panny Rider powiedziała też, cytuję: „Sprawiał wrażenie najbardziej wrażliwego faceta, jakiego w życiu spotkałam”.

- Wrażliwego - powtórzyłem.

Skrzywił się z niesmakiem.

- Oczywiście wyznała to dramatycznym szeptem.

- Coś jeszcze?

- Powiedziała, że według Kary był najlepszym kochankiem, z jakim dotąd poszła do łóżka. Określiła to dokładnie słowami: „kwintesencja życia”.

- I dla Kary rzeczywiście stał się kwintesencją krótkiego życia.

- Potrzebny mi jak najszybciej jego profil psychologiczny - rzekł Bolton, gdy jechaliśmy windą na górę. - Chcę wiedzieć o wszystkim, co robił Arujo od chwili, gdy przecięto mu pępowinę.

- Jasne - odparł Fields.

Jego szef rękawem otarł pot z czoła.

- Przeprowadźcie takie samo przeszukiwanie baz danych, jakie robiliście w odniesieniu do Hardimana. Wyszukajcie każdego, kto w więzieniu miał kiedykolwiek kontakt z Arujo, i najdalej jutro rano do wszystkich wyślijcie agentów na rozmowę.

- Tak jest. - Fields zapisał polecenia w notesie.

- Inni agenci niech zapukają do drzwi jego rodziców, jeśli jeszcze żyją - ciągnął zadyszany Bolton, ściągając płaszcz. - Cholera, warto sprawdzić ich miejsce zamieszkania, nawet jeśli już zmarli. Poza tym trzeba przepytać jego dziewczyny i przyjaciół, nawet z czasów dzieciństwa, zwracając szczególną uwagę na koleżanki, które odtrąciły jego zaloty.

- To będzie wymagało zaangażowania bardzo wielu ludzi.

Bolton wzruszył ramionami.

- Koszty i tak będą zdecydowanie mniejsze w porównaniu z tym, co rząd musi wydać na aferę Waco, zwłaszcza że koncern ma realne szanse wygrać rozprawę przed sądem. Poza tym sprawdźcie jeszcze raz opisy wszystkich miejsc zbrodni i wczytajcie

się w raporty gliniarzy, którzy byli tam przed naszym przybyciem. Trzeba też ponownie przesłuchać wszystkich z listy Kenziego, a więc... - zaczął wyliczać, zaginając palce: - Hurlihy'ego, Rouse'a, Constantine'a, Pine'a, Timpsona, Diandrę Warren, Glynna, Gaulta. Mają to być przesłuchania wyczerpujące, ale nie wycieńczające. Musimy wiedzieć, czy drogi kogoś z nich skrzyżowały się z drogą Arujo. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po swój inhalator, gdy winda się zatrzymała. - Zapisaliście wszystko? No to do roboty.

Drzwi się otworzyły i wymaszerował na korytarz, z głośnym świstem wciągając powietrze przez inhalator.

Za moimi plecami Field spytał półgłosem Erdhama:

- Słowo „wycieńczające” pisze się z dwoma kutasami czy z jednym?

- Z dwoma. Ale oba są malutkie.

Bolton energicznie poluzował krawat, ściągając węzeł aż na wysokość mostka, i ociężale klapnął na krzesło za swoim biurkiem.

- Proszę zamknąć drzwi - rzucił.

Uczynił to. Twarz miał poczerwieniałą i z trudem, małymi haustami łapał powietrze.

- Wszystko w porządku?

- Jak najlepszym. Niech mi pan opowie o swoim ojcu. Usiadłem przed biurkiem.

- Nie ma o czym opowiadać. Moim zdaniem Hardiman tylko strzelał na oślep, próbując mnie rozzłościć.

- Nie sądzę - burknął i zrobił jeszcze parę oddechów przez inhalator. - Wszyscy trzej staliście do niego tyłem, kiedy to powiedział, ale ja widziałem jego twarz na ekranie. Sprawiał wrażenie, jakby zrzucił z barków ogromny ciężar, gdy nazwał pańskiego ojca osą. Najwyraźniej czekał na stosowną chwilę, żeby jego słowa wywarły jak największy efekt. - Przeciągnął dłonią po włosach. - I w młodości rzeczywiście miał pan wicherek z tyłu głowy, prawda?

- Jak większość dzieciaków w moim wieku.

- Ale większość dzieciaków w późniejszym życiu nie dochodzi do etapu, na którym ich istnienie zwraca uwagę seryjnego zabójcy.

Pokiwałem głową, unosząc obie dłonie.

- Tak, miałem wicherek, agencie Bolton. Ale włosy sterczały mi w bok tylko wtedy, gdy się mocno spociłem.

- Nie rozumiem.

- Ja też byłem kiedyś próżny. Stosowałem dziesiątki różnych środków, byle tylko ten kosmyk nie odstawał.

Przytaknął ruchem głowy.

- A więc jednak dużo o panu wiedział.

- Sam nie wiem, jak to wyjaśnić. Naprawdę nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

- I tak proszę mi opowiedzieć o swoim ojcu. Pewnie pan się domyśla, że moi ludzie już zbierają informacje na jego temat.

- To było do przewidzenia.

- Jaki był?

- Był najgorszym dupkiem, który uwielbiał zadawać innym ból. Dlatego nie mam ochoty o nim rozmawiać.

- Przykro mi, ale w tej sytuacji pańskie skrupuły ani trochę się dla mnie nie liczą. Muszę za wszelką cenę schwytać Arujo i zapobiec dalszemu rozlewowi krwi...

- A zarazem zszargać moją świetną reputację.

Uniósł na chwilę brwi i szybko przytaknął.

- Oczywiście. Ma to pan jak w banku. Nie znałem bliżej ofiar mordercy, panie Kenzie, lecz ogólnie rzecz biorąc, jestem gorącym przeciwnikiem zabijania ludzi. Niezależnie od okoliczności.

Ale w tym konkretnym wypadku nie czuję nic w stosunku do ofiar. I nikt mi nie płaci za ich ochronę. Biorę pensję za to, że zamykam za kratkami takich jak Arujo i tylko to mam na uwadze. A jeśli jednocześnie zyska na tym moja kariera zawodowa, to przecież będziemy mieli idealny układ, prawda? - Jego małe oczka nieco się rozszerzyły. - Dlatego proszę mi opowiedzieć o swoim ojcu.

- Prawie całe życie był porucznikiem bostońskiej straży pożarnej. Później zainteresował się polityką lokalną, został wybrany do rady miejskiej. Niedługo potem zapadł na raka płuc i zmarł.

- Nie układało się między wami?

- Nie. Był tyranem. Budził lęk w każdym, kto choć trochę go znał, a większość ludzi czuła do niego nienawiść. Nie miał żadnych przyjaciół.

- Wydaje się pan jego całkowitym przeciwieństwem.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Bo pan jest lubiany. Sierżanci Amronklin i Lee bardzo dobrze się o panu wyrażają, Liefowi od razu przypadł pan do serca. Na podstawie tego, czego się do tej

pory o panu dowiedziałem, wnioskuje, że odznacza się pan zdolnością tworzenia silnych więzi między ludźmi, którzy są skrajnymi przeciwieństwami, jak na przykład liberalni dziennikarze i psychotyczni handlarze nielegalną bronią. Pański ojciec nie miał przyjaciół, natomiast pan nie może narzekać na ich brak. Pański ojciec był porywczym brutalem, pan zaś chyba w ogóle nie ma skłonności do niekontrolowanych wybuchów.

Trzeba było to powiedzieć Marionowi Socii, pomyślałem.

- Przez cały czas próbuję ustalić, panie Kenzie, czy Alec Hardiman rzeczywiście się mści, czy, tak jak Jason Warren musiał zapłacić życiem za grzechy swojej matki, również pan nie będzie musiał płacić za grzechy ojca.

- To logiczna konkluzja, agencie Bolton. Ale Diandra miała bezpośredni udział w skazaniu Hardimana, natomiast jak dotąd nie udało mi się odkryć żadnego podobnego związku między Hardimaniem a moim ojcem.

- Pomijając ten, do którego dotarliśmy. - Odchylił się na oparcie krzesła. - Proszę spojrzeć na całą sprawę z mojego punktu widzenia. Wszystko zaczęło się z chwilą, kiedy Kara Rider, podrzędna aktorka, skontaktowała się z Diandrą Warren, podając się za Moirę Kenzie. To nie był przypadek, tylko zakamuflowane przesłanie. Moim zdaniem, możemy zakładać, że nakłonił ją do tego Arujo. Niejako wskazała palcem Kevina Hurlihy'ego, a tym samym Jacka Rouse'a. Pan zaś skontaktował się z Gerrym Glynnem, który był kiedyś partnerem ojca Hardimana. I to on nakierował pana na Aleca. Przed laty w waszej dzielnicy Hardiman zamordował Charlesa Rugglestone'a. Prawdopodobnie zabił również Cala Morrisona. Także w waszej dzielnicy. Pan i Kevin Hurlihy byliście jeszcze dziećmi, ale Jack Rouse prowadził już sklep spożywczy, Stan Timpson i Diandra Warren mieszkali zaledwie kilka ulic dalej, matka Kevina Hurlihy'ego, Emma, była gospodynią domową, Gerry Glynn gliniarzem, a pański ojciec strażakiem.

Podał mi schematyczną mapkę okolic placu Edwarda Everetta, Savin Hill oraz Columbia Point, na której ktoś narysował ołówkiem okrąg obejmujący z grubsza teren parafii Świętego Barta - a więc sam plac Everetta, Blake Yard, stację kolejową Kennedyego i odcinek Dorchester Avenue, począwszy od granicy południowego Bostonu aż do kościoła Świętego Williama w Savin Hill. Wewnątrz tego okręgu było zaznaczonych pięć niewielkich czarnych kwadracików i dwa duże niebieskie kółka.

- Co oznaczają te kwadraty? - zapytałem, spoglądając na niego.

- Przybliżone miejsca zamieszkania Jacka Rouse'a, Stana i Diandry Timpsonów,

Emmy Hurlihy, Gerry'ego Glynnna oraz Edgara Kenziego w roku siedemdziesiątym czwartym. A niebieskie kółka to miejsca, gdzie zamordowano Cala Morrisona i Charlesa Rugglestona'a. Wszystkie znaki są rozrzucone w promieniu najwyżej pięciuset metrów od siebie.

Popatrzyłem jeszcze raz na mapkę. To była moja dzielnica. Niezbyt duże skupisko jedno- i dwupiętrowych segmentów jednorodzinnych i brudnych, rozsypujących się kamienic, zatęchłych barów w piwnicach i obskurnych sklepików przy skrzyżowaniach. Do tej pory większe zainteresowanie budziły tu jedynie wybuchające od czasu do czasu bójki w barach. I oto nagle FBI brało cały ten skrawek miasta pod lupę.

- To, na co pan patrzy - mruknął Bolton - można by nazwać strefą śmierci.

Z pustej sali konferencyjnej zadzwoniłem do Angie. Odezwała się zadyszana dopiero po czwartym sygnale.

- Hej! Ledwie zdążyłam otworzyć drzwi.

- Co porabiacie?

- Rozmawiam z tobą, tępaku, przeglądając jednocześnie moją pocztę. Rachunki, reklamówki, znów rachunki...

- Jak się sprawowała Mae?

- Wspaniale. Dopiero co podrzuciłam ją Grace. A jak tobie minął dzień?

- Tajemniczy facet z bródką nazywa się Evandro Arujo. W więzieniu był kochankiem Aleca Hardimana.

- Nie chrzań.

- Mówię całkiem poważnie. To nasz człowiek.

- Ale on cię przecież nie zna.

- To prawda.

- Więc dlaczego zostawił twoją wizytówkę w ręku Kary?

- Zbieg okoliczności?

- Załóżmy. Ale przecież Jason także został zabity.

- Zgadza się. Kolejny zbieg okoliczności?

Westchnęła ciężko. Doleciał mnie odgłos rozrywanej koperty.

- To wszystko nie trzyma się kupy.

- Masz rację.

- Opowiedz mi o Hardimanie.

Przedstawiłem jej pokrótce wydarzenia dnia, słysząc, jak rozrywa kolejne koperty. Powtarzała tylko w zamyśleniu:

- Tak... Aha...

Pewnie by mnie to wkurzyło, gdybym nie wiedział, że potrafi równocześnie rozmawiać przez telefon, słuchać radia, oglądać telewizję i gotować spaghetti, a mimo to pamiętać każde słowo z rozmowy toczonej w drugim pokoju.

Ale gdzieś w połowie mojej relacji jej zdawkowe pomruki umilkły, urwały się też odgłosy otwieranych listów. Zapadła całkowita cisza, wręcz naładowana wyczuwalnym napięciem.

- Ange?

Cisza.

- Angie?! - powtórzyłem głośniejszym głosem.

- Patricku - mruknęła tak cicho, nieswoim głosem, że od razu obleciał mnie strach.

- O co chodzi? Co się stało?

- Właśnie dostałam pocztą fotografię.

Błyskawicznie poderwałem się z miejsca. Światła miasta za oknem aż zawirowały mi przed oczami.

- Czyją?

- Moją. - A po chwili dodała: - Razem z Philem.

25

- Powiniennem zacząć się bać tego faceta? - zapytał Phil, patrząc na zrobione przez Angie zdjęcie Evandra.

- Tak - odparł Bolton.

Phil klasnął fotografią o otwartą dłoń.

- No to się nie boję!

- Możesz mi wierzyć, Phil, że jest się czego bać.

Powiódł spojrzeniem po nas wszystkich - Boltonie, Devinie, Oscarze, Angie i mnie, stłoczonych w niewielkiej kuchni mieszkania Angie - i wolno pokręcił głową. Sięgnął pod marynarkę i wyciągnął pistolet. Skierował go lufą do podłogi, odciągnął zamek i sprawdził, czy nabój tkwi w komorze.

- Jezus, Phil - jęknęła Angie. - Odlóż to.

- Ma pan pozwolenie na broń? - zaciekawil się Devin.

Phil stał ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę, na czoło występowały mu grube krople potu.

- Panie Dimassi - odezwał się miękko Bolton. - Broń nie będzie panu potrzebna. Zapewnimy panu ochronę.

- Tak, jasne - burknął.

Zerknął jeszcze raz na zdjęcie leżące na kuchennym blacie i znów zapatrzył się na pistolet. Dało się wyczuć, że jest bardziej przestraszony. Spojrzał krótko na byłą żonę i znowu spuścił wzrok. Najwyraźniej próbował się oswoić z niespodziewaną

wiadomością. Ledwie zdążył wrócić z pracy, gdy sprzed wejścia do domu zgarnęli go agenci FBI i przywieźli tutaj, gdzie został poinformowany, że całkiem obcy mu mężczyzna zamierza wyprawić go na tamten świat zapewne w ciągu najbliższego tygodnia. Kiedy wreszcie podniósł głowę, jego twarz, dotąd o oliwkowej cerze, była koloru odtłuszczonego mleka. Pochwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się krzywo, wreszcie pokręcił głową, jakbym to ja go wciągnął w tę sytuację.

- W porządku. Może faktycznie napędziliście mi trochę strachu.

Napięta atmosfera, odczuwalna aż nadto wyraźnie w ciasnym pomieszczeniu, nagle się rozluźniła. Phil położył pistolet na kuchence mikrofalowej, oparł się o blat i zerknął z ukosa na Boltona.

- Powiedźcie mi coś więcej o tym człowieku.

Drzwi się uchylły i do kuchni zajrzał jeden z agentów federalnych.

- Agencie Bolton? Nie ma żadnych śladów świadczących o tym, by ktoś próbował otwierać wytrychem zamki w drzwiach tego mieszkania czy dostać się do środka przez okno. Przeskanowaliśmy wszystkie pokoje, nie ma podsłuchu. Tylne podwórze jest zarośnięte chwastami i nic nie wskazuje na to, by ktoś po nim chodził w ciągu ostatniego miesiąca.

Bolton skinął głową i tamten wycofał się na korytarz.

- Agencie Bolton - zaczął Phil.

Ten odwrócił się w jego stronę.

- Czy mógłby mi pan jednak powiedzieć coś więcej o tym człowieku, który jakoby planował zabić mnie i moją żonę?

- Byłą żonę, Phil - poprawiła go Angie. - Byłą.

- Przepraszam. Więc jak? Dowiem się w końcu czegoś więcej?

Bolton oparł się ramieniem o lodówkę, Devin i Oscar usiedli przy stole, a ja przycupnąłem na brzegu blatu po drugiej stronie kuchenki mikrofalowej.

- Nazywa się Evandro Arujo - zaczął Bolton. - Jest podejrzewany o cztery zabójstwa, do których doszło w ciągu ostatniego miesiąca. W każdym z tych wypadków wcześniej przesyłał najbliższymi pocztą zdjęcia przyszytych ofiar.

- Takie, jak to? - Phil postukał palcem fotografię leżącą na środku stołu, obsypaną szarym pyłem do zdejmowania odcisków palców.

- Tak.

Musiało zostać zrobione niedawno. Na pierwszym planie widać było sterty różnobarwnych opadłych liści. Phil stał z pochyloną i lekko przekrzywioną głową,

najwyraźniej słuchając, co mówi do niego Angie, trzymająca go pod rękę, z twarzą zwróconą ku niemu, kiedy szli razem chodnikiem biegnącym przez środkowy pas zieleni na Commonwealth Avenue.

- Ale przecież to zdjęcie samo w sobie nie jest żadną pogroźką.

Bolton pokiwał głową.

- Groźny jest sam fakt, że zostało zrobione i przysłane pocztą pod adresem panny Gennaro. Słyszał pan kiedykolwiek o Evandrze Arujo?

- Nie.

- A o Alecu Hardimanie?

- Też nie.

- Albo Peterze Stimovichu bądź Pameli Stokes? Phil zamyślił się na chwilę.

- Oba te nazwiska wydają mi się skądś znajome.

Bolton otworzył kartonową teczkę i podał mu fotografie obu ostatnich ofiar mordercy. Phil zmarszczył brwi.

- Czy to nie ten facet, który został zadźgany na śmierć w ubiegłym tygodniu?

- Został nie tylko zadźgany - skorygował agent.

- W gazetach pisano, że zginął od ciosów nożem. Pamiętam, że wśród podejrzanych wymieniano byłego chłopaka jego narzeczonej.

Bolton pokręcił głową.

- Sami przygotowaliśmy tę bajeczkę dla prasy. Z tego, co nam wiadomo, narzeczonej Stimovicha nie miała przed nim żadnego chłopaka.

Phil przyjrzał się fotografii Pameli Stokes.

- Ona także zginęła?

- Tak.

Potarł palcami czoło.

- Kurwa mać! - wyrzucił nagle z siebie, co zapewne miało być odpowiednikiem nerwowego chichotu.

- Czy kiedykolwiek spotkał się pan z którąś z ofiar?

Pokręcił głową.

- A z Jasonem Warrenem?

Spojrzał na Angie.

- Tym chłopakiem, którego mieliście ochraniać? To on również zginął?

Przytaknęła smutno. Prawie wcale się nie odzywała od chwili naszego przyjazdu, tylko paliła jednego papierosa za drugim i wyglądała przez okno wychodzące na tylnie

podwórze.

- A z Karą Rider? - ciągnął Bolton.

- Ją też zamordował ten dupek? Agent skinął głową.

- Jezu... - jęknął gardłowo Phil i ostrożnie zsunął się z blatu, jakby niepewny, czy podłoga nadal utrzyma jego ciężar. Podeszedł sztywno do Angie, wyjął papierosa z jej paczki, przypalił go i zmierzył wzrokiem byłą żonę.

Popatrzyła na niego jak na człowieka, który przed chwilą się dowiedział, że ma raka - jakby niepewna, czy się cofnąć, by mógł w samotności zwalczyć swój ból, czy też objąć go i przytulić na pocieszenie.

W zamyśleniu musnął palcami jej policzek, a ona szybko przytuliła się do jego dłoni. W tej chwili intymności jak gdyby bez słowa zapewnili się wzajemnie o tym, co nadal ich łączy.

- Panie Dimassi, czy znał pan Karę Rider?

Phil natychmiast cofnął rękę i wrócił na swoje miejsce przy blacie.

- Znałem ją, gdy była mała. W dzieciństwie wszyscy ją znaliśmy.

- Widział ją pan ostatnio?

Pokręcił głową.

- Nie widziałem jej od trzech albo czterech lat. - Zapatrzył się na czubek papierosa, po czym strząsnął popiół do zlewu. - Dlaczego wybrał właśnie nas, panie Bolton?

- Tego nie wiemy. - W głosie agenta zabrzmiała ledwie wyczuwalna nuta desperacji. - Już trwają poszukiwania Arujo, w jutrzejszej prasie w całej Nowej Anglii zostanie opublikowane jego zdjęcie. Nie zdoła się długo ukrywać. Nadal nie wiemy, według jakich przesłanek dobiera kolejne ofiary. Jedynie w sprawie Warrena istnieje dość wyraźny prawdopodobny motyw. Tym razem jednak wiemy, kogo sobie upatrzył, będziemy więc mogli ochraniać zarówno pana, jak i pannę Gennaro.

Do kuchni wszedł Erdham.

- Najbliższe otoczenie obu domów, tego i pana Dimassi, zostało zabezpieczone.

Bolton skinął głową i podrapał się po brodzie.

- W porządku, panie Dimassi - rzekł. - Cała sprawa wygląda następująco. Dwadzieścia lat temu niejaki Alec Hardiman zamordował swojego przyjaciela, Charlesa Rugglestone'a, w starym magazynie jakieś sześć przecnic stąd. Podejrzewamy, że obaj byli odpowiedzialni za szereg zabójstw z tamtego okresu, z których najgłośniejszym było morderstwo Cala Morrisona.

- Pamiętam Cala - wtrącił Phil.

- Dobrze go pan znał?

- Nie. Był kilka lat od nas starszy. Ale pierwszy raz słyszę, że został ukrzyżowany. Jeśli dobrze pamiętam, zginął od ciosów nożem.

Bolton pokręcił głową.

- To też bajeczka przygotowana przed laty na użytek mediów, mająca na celu uwolnienie się od maniaków twierdzących, że zabili jednocześnie Hoffę i obu braci Kennedych jeszcze przed śniadaniem. Morrisona ukrzyżowano. Sześć dni później Hardiman wpadł w szal i w podobnie nieludzki sposób rozprawił się ze swoim współnikiem, Rugglestone'em. Nikt nie wie, co było powodem konfliktu między nimi. Badania wykazały, że obaj mieli we krwi wysokie stężenia fenylocyklidyny oraz alkoholu. Hardiman został skazany na dożywocie i zamknięty w Walpole, a dwanaście lat później wziął sobie za kochanka Arujo i zrobił z niego psychopatę. Arujo był całkiem niegroźny, gdy trafił do więzienia, ale teraz to szaleniec.

- Jak tylko go zobaczysz, Phil, natychmiast uciekaj - dodał Devin.

Phil przełknął ślinę i niepewnie skinął głową.

- Jest na wolności od pół roku - ciągnął Bolton. - Wygląda na to, że Hardiman ma łącznika poza murami, drugiego zabójcę, który albo podsycza w Arujo mordercze instynkty, albo sam jest przez niego dopingowany. W tym względzie nie mamy jeszcze pewności, choć wiele na to wskazuje. Z nieodgadnionego powodu Hardiman, Arujo i ten trzeci nieznany mężczyzna kierują naszą uwagę tylko w jednym kierunku, na tę właśnie dzielnicę. Co więcej, nakierowują nas na ściśle określone grono osób, obejmujące pana Kenziego, Diandrę Warren, Stana Timpsona, Kevina Hurlihy'ego i Jacka Rouse'a. Nie wiemy jednak dlaczego.

- A te dwie ostatnie ofiary, Stimovich i Stokes, co miały wspólnego z naszą dzielnicą?

- Prawdopodobnie zostały wybrane przypadkowo i zamordowane wyłącznie dla przyjemności, bez żadnych konkretnych motywów.

- Więc czemu teraz wybrali nas, mnie i Angie?

Bolton wzruszył ramionami.

- Nie wiemy. To może być zwykła podpucha, próba zastraszenia panny Gennaro, która zaangażowała się w tropienie zabójców. W każdym razie wygląda na to, że Arujo i jego nieznany współnik postanowili od samego początku wciągnąć w całą sprawę pana Kenzie i pannę Gennaro. Karze Rider przypadła specjalnie wyznaczona rola na

drodze do osiągnięcia tego celu. Ostatnio zarysowała się też druga ewentualność. - Bolton spojrział na mnie. - Możliwe, że zabójcy chcą zmusić pana Kenzie do dokonania tego wyboru, o którym mówił Hardiman.

Wszyscy zwrócili się w moją stronę.

- Hardiman powiedział, że będę musiał dokonać jakiegoś wyboru. Dodał przy tym, że nie wszyscy, których kocham, zdołają przeżyć. Może więc chodzi o wybór między ratowaniem Phila i Angie.

Phil pokręcił głową.

- Przecież każdy, kto nas zna, powinien wiedzieć, że co najmniej od dziesięciu lat nie przyjaźnimy się już tak blisko.

Pokiwałem głową.

- Ale kiedyś byliście przyjaciółmi? - zapytał Bolton.

- Jak bracia - przyznał Phil.

Próbowałem odnaleźć w jego głosie gorycz i wyrzuty sumienia, ale odnalazłem tylko smutek towarzyszący suchemu stwierdzeniu faktu.

- Przez jaki czas?

- Od przedszkola aż do... Kiedy? Końca podstawówki? - Spojrział na mnie.

Wzruszyłem ramionami.

- Mniej więcej.

Popatrzyłem na Angie, lecz stała ze spuszczoną głową.

- Hardiman powiedział też, że kiedyś się spotkaliście, panie Kenzie - ciągnął Bolton.

- Nieprawda. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

- A może po prostu pan nie pamięta?

- Na pewno zapamiętałbym jego gębę - burknąłem.

- Teraz zapewne tak, ale w dzieciństwie?

Podał Philowi dwa zdjęcia Hardimana, jedno z roku siedemdziesiątego czwartego, a drugie współczesne.

Phil zapatrzył się na nie. Widziałem, jak bardzo się stara rozpoznać ukazanego na nich człowieka, żeby wyłowić sens tej zagadki, odkryć powód, dla którego Hardiman skazywał go teraz na śmierć. W końcu zamknął oczy, z głośnym sykiem wypuścił powietrze i pokręcił głową.

- Ja też nigdy wcześniej go nie widziałem.

- Na pewno?

- Absolutnie. - Oddał zdjęcia agentowi.

- No cóż, to niedobrze - mruknął Bolton - ponieważ jest pan teraz częścią jego życia.

O ósmej jeden z agentów odwiózł Phila do domu, a Angie, Devin, Oscar i ja poszliśmy do mnie, żebym mógł spakować najpotrzebniejsze rzeczy.

Bolton chciał wystawić Angie na przynętę jako pozornie łatwy cel, zdołaliśmy go jednak przekonać, że jeśli Evandro czy jego wspólnik nas obserwują, powinniśmy się zachowywać jak najbardziej normalnie. Co najmniej raz w miesiącu widywano mnie w towarzystwie Devina i Oscara, tyle że najczęściej w trochę innym stanie.

Dlatego uparłem się na swoją przeprowadzkę do Angie, nie dbając, czy Bolton to zaakceptuje, czy nie.

Ku memu zdumieniu chyba nawet spodobał mu się ten pomysł.

- Od czasu, kiedy was poznałem, byłem przekonany, że sypiacie ze sobą, możemy więc zakładać, że Evandro podejrzewa to samo.

- Jest pan zwykłą świnią - mruknęła Angie, ale przyjął to obojętnym wzruszeniem ramion.

Posadziłem gości przy kuchennym stole, a sam zacząłem wyciągać ciuchy z suszarki i upychać je do torby podróżnej. Wyjrawszy przez okno, zauważyłem, że Lyle Dimmick skończył na dziś robotę, powkładał pędzle do puszki z rozpuszczalnikiem i zmywa farbę z rąk.

- Jak układają się wasze stosunki z federalnymi? - zapytałem Devina.

- Pogarszają się z dnia na dzień. A jak sądzisz, czemu nie pozwolili nam po południu przysłuchiwać się twojej rozmowie z Alekiem Hardimanem?

- Zatem niańczenie nas przypadło wam w udziale za karę? - odezwała się Angie.

- Szczerze mówiąc, sami poprosiliśmy o przydział tego zadania - odrzekł Oscar. - Nie mogliśmy się doczekać na okazję podpatrzenia was w sytuacji sam na sam.

Spojrzał na partnera i obaj zaśmiali się krótko. Devin podniósł z kuchennego blatu gumową żabę, którą zostawiła Mae, popatrzył na nią i zapytał:

- To twoje?

- Nie. Mae.

- Aha. - Obrócił ją w swoją stronę na wyciągniętej ręce, wykrzywił do niej twarz, po czym dodał skrzekliwym głosem: - Wy dwoje powinniście się trzymać tego faceta,

choćby tylko po to, żeby zapewnić sobie jakąś przeciwwagę.

- Nie po raz pierwszy zamieszkamy razem - mruknęła Angie, krzywiąc się z niesmakiem.

- To prawda, ale poprzednio trwało to tylko dwa tygodnie. A ty właśnie odeszłaś od męża, Angie - odparł Devin. - Poza tym, wtedy rzadko kiedy przebywaliście w domu razem, jeśli mnie pamięć nie myli. Patrick w zasadzie wyprowadził się do parku Fenway, ty zaś znikłaś na całe noce i urządzałaś polowania w klubach przy Kenmore Square. Za to teraz będziecie musieli mieszkać razem aż do zakończenia śledztwa. To może potrwać wiele miesięcy, nawet kilka lat. - Znów odezwał się skrzekliwym głosem żaby: - Więc co o tym myślicie?

Kiedy Oscar zachichotał, a Angie prychnęła pogardliwie, odwróciłem się do okna. Lyle składał właśnie drabinę. Chwyciwszy drugą ręką swoje radio i lodówkę turystyczną, ruszył w kierunku parkingu. Z jego tylnej kieszeni wystawała butelka po piwie.

Spoglądałem za nim i coś mnie nagle tknęło. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby pracował po siedemnastej, a teraz dochodziło przecież wpół do dziewiątej. Poza tym mówił mi rano, że boli go ząb i wybiera się do dentysty...

- Macie tu jakieś chipsy? - zapytał Oscar.

Angie wstała i otworzyła szafkę nad kuchenką.

- Do Patricka lepiej przychodzić z własnymi zapasami jedzenia - odparła, z donośnym stukiem przestawiając puszki w szafce.

Tego ranka jadłem śniadanie razem z Mae, lecz przecież z Lyle'em rozmawiałem wcześniej. Zaraz po rozmowie z Kevinem. Wróciłem do kuchni, zadzwoniłem do Bubby...

- A nie mówiłam? - odezwała się Angie, przechodząc do drugiej szafki. - Nie ma co marzyć nawet o chipsach.

- Ale wy dwoje jakoś sobie poradzicie, no nie? - zagadnął Devin.

Po rozmowie z Bubbą poprosiłem Lyle'a, żeby trochę ściszył radio, bo Mae jeszcze śpi. I wtedy właśnie powiedział...

- Ostatnia szansa. - Angie przeszła do ostatniej szafki.

...że tego dnia będzie pracował tylko do południa, bo zapisał się na wizytę u dentysty.

Wstałem, żeby spojrzeć w głąb podwórza, kiedy nagle przeraźliwy wrzask Angie sprawił, że podskoczyłem na miejscu.

Ale na podwórzu nikogo już nie było. „Lyle” gdzieś zniknął.

Obejrzałem się i zobaczyłem w pustej szafce wlepione we mnie niebieskie oczy. Bez wątplenia były to ludzkie oczy, wylupane z czaszki i leżące na półce.

Oscar chwycił krótkofalówkę.

- Połączcie mnie z Boltonem! Natychmiast!

Angie na miękkich nogach odsunęła się aż pod ścianę przy stole.

- Jasna cholera...

- Devin, ten malarz... - zacząłem.

- Lyle Dimmick? Już go sprawdzaliśmy.

- Tyle że to nie był Lyle.

Słyszając to, Oscar zmarszczył brwi. W tej samej chwili zgłosił się agent FBI.

- Bolton, przyślij tu swoich ludzi - rzucił Oscar. - Arujo jest gdzieś w pobliżu przebrany za malarza w kowbojskim kapeluszu z szerokim rondem. Przed chwilą się oddalił.

- W którym kierunku?

- Nie wiem. Dawaj tu swoich ludzi.

- Już jedziemy.

Angie i ja, przeskakując naraz po trzy stopnie, zbiegliśmy po schodach i wypadliśmy na werandę z bronią gotową do strzału. Mógł się oddalić w trzech kierunkach. Jeśli poszedł na zachód przez tylne podwórka, wciąż musiał gdzieś tam być, ponieważ najbliższa przecznica znajdowała się dopiero na skraju osiedla, dobre cztery kwartały dalej. Gdyby poszedł na północ, w stronę szkoły, na pewno natknąłby się na agentów FBI. Najpewniej wybrał więc kierunek południowy i stojący tam drugi szereg segmentów albo ruszył na wschód, w kierunku Dorchester Avenue.

Ja pognałem na południe, a Angie na wschód.

I żadne z nas go nie odnalazło.

Nie poszczyliło się też Devinowi i Oscarowi.

Podobnie jak agentom FBI.

Koło dziewiątej nad osiedlem pojawił się helikopter. Sprowadzono policjantów z psami tropiącymi, a agenci zaczęli chodzić od jednego domu do drugiego. Moi sąsiedzi już rok temu mieli do mnie ogromne pretensje, kiedy omal nie ściągnąłem im na głowy wojny gangów. Mogłem się teraz tylko domyślać, jakie to piętrowe celtyckie przekleństwa sypią się w okolicy pod moim adresem.

Arujo wymknął się z obławy przebrany za Lyle'a Dimmicka. Jeśli nawet któryś z

sąsiadów dostrzegł przez okno drabinę stojącą pod ścianą mojego domu, na pewno pomyślał, że mój segment także stał się własnością Eda Donnegana, który kazał Lyle'owi go pomalować.

Ten kutas buszował jednak po moim mieszkaniu.

Dość szybko ustalono, że oczy w mojej kuchennej szafce należały prawdopodobnie do Petera Stimovicha, którego zwłoki znaleziono właśnie z wylupionymi oczami, o czym Bolton nie raczył nas wcześniej poinformować.

- Dzięki za całkowitą szczerłość - mruknąłem ironicznie.

- Panie Kenzie - rzekł, wzdychając ciężko. - Nie biorę pieniędzy za to, by wprowadzać pana we wszystkie szczegóły dochodzenia, lecz za to, by wtajemniczyć pana tylko w takim stopniu, jaki uznam za słuszny.

Pod oczami, które technicy z dochodzeniówki ostrożnie umieścili w plastikowych torebkach na dowody rzeczowe, znalazła się kolejna wiadomość, biała koperta z plikiem ulotek i kartką z napisem: „miłociężnowuzobaczyć”, wystukany na tej samej maszynie do pisania.

Bolton wyrwał mi kopertę, nim zdążyłem ją otworzyć, po czym porównał znajdującą się wewnątrz kartkę z innymi wiadomościami, które dostałem w ciągu ubiegłego miesiąca.

- Jak to się stało, że nie poinformował nas pan o tym?

- Nie miałem pojęcia, że to od niego.

Przekazał list technikom z dochodzeniówki.

- Odciski palców pana Kenzie i panny Gennaro są już w bazie danych. Proszę poszukać innych, także na ulotkach.

- Dlaczego przysyła ci te ulotki? - zaciekawiał się Devin.

W sumie zebrało się ich już ponad tysiąc, ściśniętych gumkami w dwóch równych stosikach. Niektóre były pożółkłe ze starości, inne pomięte, ale większość wyglądała tak, jakby wydrukowano je najwyżej przed tygodniem. Bez wyjątku były to ulotki dotyczące zaginionych dzieci, z ich zdjęciami umieszczonymi w lewym dolnym rogu i danymi osobowymi po prawej stronie, z identycznym hasłem w nagłówku: „Nie widziałeś mnie?”.

Nie, nie widziałem. Przez lata otrzymywałem pocztą setki takich ulotek, którym zawsze przyglądałem się uważnie przed wyrzuceniem do kosza. Ani razu nie rozpoznałem na nich znajomej twarzy. Łatwo było o nich zapomnieć, jeśli przychodziły średnio raz w tygodniu, ale teraz, kiedy przeglądałem je kolejno w

gumowych rękawiczkach - tak ściśle przylegających mi do palców, że miałem wrażenie, iż zatkały mi wszystkie pory skóry - działały na mnie przytłaczająco.

Wszystkie dotyczyły zaginionych dzieci. Stanowiły obraz głębokiej prowincji pozostawionej samej sobie i skrajnego rozczarowania brakiem powodzenia w życiu. Należało zakładać, że wiele z tych dzieci nie żyje. Inne, które po jakimś czasie odnajdywano, zazwyczaj stawały się gorsze, niż były przed próbą ucieczki z domu. Większość wyruszała z prądem niczym objazdowe wesołe miasteczko, przeciskała się przez szczeliny do serc naszych miast, sypiała na kamiennych schodach, drewnianych skrzynkach i zapleśniałych materacach, z dnia na dzień coraz bardziej wychudzona, zaniedbana, z obłędem w oczach i wszami we włosach.

- To dokładnie taki sam przekaz, jak z nalepkami na zderzaki - uznał Bolton.

- To znaczy jaki? - zapytał Oscar.

- Nadawca chce, by pan Kenzie pokonał w sobie postmodernistyczną apatię. Daje do zrozumienia, że wrota tego świata wypadły z zawiasów i nie dadzą się już naprawić; że ludzie tysiącami głosów próbują przekonywać się nawzajem o słuszności własnych opinii, w ogóle nie słuchając swoich oponentów; że ciągle znajdujemy się na rozdrożu, z którego nie potrafi nas wyprowadzić nawet gromadzona wspólnie wiedza; że dzieci giną każdego dnia, my zaś kwitujemy to przy stole: „Cóż za tragedia! Możesz mi podać sól?” - Spojrzał na mnie i zapytał: - Zgadza się pan ze mną?

- Trudno to wykluczyć.

Angie pokręciła głową.

- Stek bzdur.

- Słucham?

- Stek bzdur - powtórzyła. - Może takie nastawienie leży u podstaw, ale główny przekaz jest zupełnie inny. Agencie Bolton, zdaje się, że przyjął pan założenie, iż mamy do czynienia z dwoma mordercami, że Evandro Arujo nie działa sam. Mam rację?

Skinął głową.

- To by oznaczało, że ten drugi czekał na właściwy moment, a raczej dojrzewał przez dwadzieścia lat. Taką przyjęliście hipotezę, prawda?

- Zgadza się.

Zapaliła papierosa i wydmuchnęła dym, wysoko zadzierając brodę.

- Już kilka razy próbowałam rzucić palenie. Chyba zdaje pan sobie sprawę, jakiego samozaparcia wymaga to od człowieka?

- Na pewno usłyszałaby pani ode mnie słowa najwyższego uznania, gdyby się pani jednak udało - odparł, dając nura pod gęstym obłokiem dymu dryfującym przez kuchnię.

- Niestety - mruknęła, wzruszając ramionami. - Zmierzałam jednak do tego, że wszyscy z wolnej woli ulegamy jakimś nawykom, takim, które najbardziej przypadają nam do serca. Bo przecież właśnie one świadczą o nas samych. Pan nie ma niczego takiego, bez czego nie mógłby żyć?

- Ja? - zapytał zdumiony.

- Tak, pan.

Uśmiechnął się skąpo i odwrócił głowę, najwyraźniej zawstydzony.

- Mam. Książki.

- Książki? - Oscar prychnął pogardliwie.

Bolton odwrócił się do niego.

- A co w tym złego?

- Nic. Proszę mówić dalej, agencie Bolton. To pańskie przedstawienie.

- Jakie książki? - zapytała Angie.

- Największe dzieła literatury. Tolstoj, Dostojewski, Joyce, Szekspir, Flaubert.

- A jeśli byłyby one zakazane?

- Złamałbym dla nich prawo - odparł Bolton.

- No, no - mruknął Devin. - Jest pan nieobliczalny.

- Bez przesady. - Agent zmierzył go ostrym spojrzeniem.

- A ty, Oscarze?

- Żarcie. - Porucznik ochoczo poklepał się po brzuchu. - I wcale nie interesują mnie wyszukane dietetyczne potrawy, tylko pyszne, tłuste i niezdrowe: steki, żeberka, jajka, pieczone kurczęta.

- Też mi coś - syknął Devin.

- Do diabła i ty przestałbyś wybrzydzać, gdybyś choć raz porządnie wygłodniał.

- A ty, Devin?

- Papierosy - odparł detektyw. - I pewnie gorzalka.

- Patrick?

- Seks.

- Kenzie! Ty rozpustniku! - mruknął Oscar.

- Jak widzicie, każdy ma pewne rzeczy, które pozwalają mu przetrwać, czynią życie znośniejszym - powiedziała Angie. - Papierosy, książki, żarcie, znów papierosy,

alkohol, seks. To one świadczą o nas. - Postukała palcem stosik ulotek. - A on? Bez czego nie może żyć?

- Bez zabijania - odparłem szybko.

- I mnie się tak wydaje - przyznała Angie.

- Więc jeśli był zmuszony, by na dwadzieścia lat z tego zrezygnować... - zaczął Oscar.

- Na pewno nie dałby rady - przerwał mu Devin. - Za żadne skarby.

- A jeśli nie starał się zwracać niczyjej uwagi na swoje zabójstwa? - spytał Bolton.

Angie uniosła plik ulotek.

- Aż do tej pory.

- Myślicie, że mordował dzieci? - zapytałem.

- Przez dwadzieścia lat - mruknęła Angie.

Erdham wpadł o dziesiątej i zameldował, że mężczyzna w kowbojskim kapeluszu prowadzący skradzionego czerwonego dżipa cherokee przejechał na czerwonym świetle skrzyżowanie na Wollaston Beach. Patrol z Quincy ruszył za nim w pościg, ale go zgubił na krętym podejździe szosy 3A w Weymouth, który pirat drogowy ekwilibrystycznie pokonał na pełnej prędkości, co policjantom się nie udało.

- Nie dogonili dżipa na serpentynie? - zdziwił się Devin.

- Wypadli z drogi na zakręcie, który taki słoń jak cherokee pokonał bez trudu?

- Na to wygląda. Po raz ostatni widzieli go, jak kierował się na południe mostem przy starej stoczni marynarki wojennej.

- Kiedy to było? - zapytał Bolton.

Erdham zajrzał do notatek.

- O dziewiątej trzydzieści pięć ruszyli w pościg na Wollaston Beach, o dziewiątej czterdzieści cztery stracili go z oczu.

- Coś jeszcze?

- Tak. - Erdham zająknął się i spojrzał na mnie.

- O co chodzi?

- Mallon?

Do kuchni wszedł Fields z całym naręczem małych reporterskich magnetofonów i grubym zwojem kabla koncentrycznego.

- Co to jest? - zdziwił się Bolton.

- Założył podsłuch w całym segmencie - wyjaśnił Fields, unikając mojego wzroku.

- Magnetofony były poprzyklejane taśmą izolacyjną pod deskami werandy na parterze. Taśm nie znaleźliśmy. Kable wychodziły pod zbiorczą osłoną aż na dach, gdzie mieszały się z przewodami elektrycznymi, telefonicznymi i telewizji kablowej. Z dachu zbiegały razem z tamtymi, do tego tak sprytnie ułożone, że trudno by je było dostrzec, gdyby nie szukało się ich specjalnie.

- To jakiś żart? - zapytałem osłupiały.

Fields smutno pokręcił głową.

- Niestety nie. Sądząc po ilości kurzu i śladach pleśni na tych kablach, oceniłbym, że przysłuchiwał się wszystkiemu, co działo się w tym mieszkaniu, co najmniej od tygodnia. - Wzruszył ramionami. - Pewnie nawet dłużej.

26

- Dlaczego nawet nie zdjął kowbojskiego kapelusza? - zapytałem, gdy jechaliśmy z powrotem do mieszkania Angie.

Ze swojego wyniosłem się z poczuciem ulgi. Kręcili się po nim technicy FBI i gliniarze, zrywali klepkę, wszystko pokrywali pyłem do zbierania odcisków palców. Jeden mikrofon został ukryty za boazerią w salonie, drugi był przyklejony pod szufladą bielizniarki w sypialni, trzeci wszyty pod lamówkę zasłony w kuchennym oknie.

Próbowałem zwalczyć w sobie głęboką urazę, której przyczyną było poczucie całkowitej utraty prywatności, kiedy nagle skojarzyłem tę sprawę z kowbojskim kapeluszem.

- Co? - odezwał się Devin.

- Dlaczego wciąż miał na głowie kowbojski kapelusz, kiedy przejeżdżał Wollaston na czerwonym świetle?

- Może po prostu zapomniał go zdjąć? - podsunął Oscar.

- Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy byli w Teksasie czy Wyoming. Ale on wychował się w Brockton. Powinien pamiętać o nietypowym w tych stronach nakryciu głowy, zwłaszcza u kierowcy. Poza tym wiedział już, że tropią go służby federalne. Musiał zdawać sobie sprawę, że gdy odnajdziemy oczy w szafce, od razu się domyślimy, że był przebrany za Lyle'a.

- A mimo to nie zdjął kapelusza za kierownicą - dodała Angie.

- Drwi z nas w żywe oczy - podsumował Devin. - Chce nam wykazać, że jesteśmy za słabi, żeby go schwytać.

- Niezły z niego numer - mruknął Oscar. - Pieprzony świrus.

Bolton porozmieszczał swoich agentów u obu najbliższych sąsiadów Phila, u państwa Livoskich mieszkających na wprost domu Angie i u McKayów, których posesja sąsiadowała z jej tylnym podwórkiem. Obu rodzinom hojnie wynagrodził niedogodności, umieszczając je tymczasowo w śródmiejskim hotelu „Marriott”, lecz mimo to Angie zadzwoniła do nich, żeby osobiście przeprosić za powstałą sytuację.

Później poszła pod prysznic, ja zaś usiadłem przy pokrytym kurzem stole w jej saloniku. Światło było zgaszane, zasłony szczelnie zaciągnięte. Oscar i Devin objęli posterunek w samochodzie na ulicy, zostawiając nam dwie krótkofalówki. Leżały teraz przede mną na stole niczym dręczące wyrzuty sumienia i w półmroku wydawały się równie obce jak urządzenia służące do utrzymywania łączności z inną galaktyką.

Kiedy Angie wyszła z łazienki, miała na sobie szary T-shirt z napisem „Monsignor Ryan Memoriał High School” i czerwone flanelowe szorty silnie powypychane na pośladkach. Z mokrymi włosami sprawiała wrażenie jeszcze drobniejszej i bardziej bezbronnej niż zazwyczaj. Postawiła na stole popielniczkę, a mnie podała puszkę coca-coli.

Kiedy przypalała papierosa, wątył blask płomyka wyłowił z mroku jej zmęczoną twarz, na której malował się strach.

- Wszystko będzie w porządku - powiedziałem.

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie tak.

- Złapią go, zanim zdąży się zbliżyć do twojego domu.

Zareagowała dokładnie tak samo.

- Nie dopadnie cię, Ange.

- Na razie jego średnia skuteczność jest dość wysoka.

- Przecież wiemy, jak należy ochraniać ludzi. Moim zdaniem, w ten sam sposób zdołamy ochronić się nawzajem.

Wydmuchnęła kłęb dymu w kierunku czubka mojej głowy.

- Powiedz to Jasonowi Warrenowi.

Położyłem dłoń na jej ręku.

- Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia, dlatego zawiesiliśmy

zlecenie. Ale teraz już wiemy.

- Jakoś wyjątkowo łatwo dostał się do twojego mieszkania, Patricku.

Nie byłem jeszcze przygotowany, żeby o tym choć pomyśleć. Poczucie upokorzenia, w jakim trwałem od chwili, gdy Fields przyniósł do kuchni reporterskie magnetofony, było wręcz paralizujące.

- Mojego domu nie strzegło pięćdziesięciu agentów...

Obróciła błyskawicznie rękę, chwyciła mnie za nadgarstek i kurczowo zacisnęła palce.

- On jest niepojęty - szepnęła. - Mówię o Evandrze. Nie da się go porównać z niczym, czego do tej pory zaznaliśmy. To nawet nie człowiek, ale jakaś bezosobowa siła. Jestem przekonana, że jeśli bardzo będzie chciał mnie dopaść, na pewno tak się stanie.

Zaciągnęła się głęboko papierosem, w czerwonej poświacie żaru dostrzegłem głębokie zaczerwienione półkola pod jej oczami.

- Nie da rady...

- Cicho. - Pospiesznie wyszarpnęła rękę. Zdusiła papierosa w popielniczce i odchrząknęła. - Nie chcę, żebyś mnie potraktował jak płacziwą sikszkę albo nadętą słodką idiotkę, ale strasznie chciałabym się teraz do kogoś przytulić i...

Poderwałem się z miejsca, obszedłem brzeg stołu i uklęknąłem między jej nogami, a ona objęła mnie mocno, wtuliła twarz w moje ramię i wbiła palce w kark. Po chwili szepnęła mi do ucha:

- Gdyby udało mu się mnie zabić, Patricku...

- Nie dopuszczę...

- Gdyby mu się udało, musisz mi coś obiecać.

Nie odzywałem się, czując, jak przerażenie bierze górę nad spokojnym rytmem jej serca i zaczyna się przesączać przez wszystkie pory skóry.

- Obiecaj mi, że zostaniesz przy życiu tak długo, żeby go zabić. Najlepiej powoli. Przez wiele dni, gdyby ci się tylko udało to zorganizować.

- A jeśli dopadnie mnie pierwszego? - zapytałem.

- Nie zabije nas przecież równocześnie. Aż taki dobry nikt nie jest. Ale gdyby cię załatwił przede mną... - Wyprostowała się, jakby mimo ciemności chciała mi spojrzeć w oczy. - Wysmaruję jego krwią cały ten dom. Centymetr po centymetrze.

Kilka minut później położyła się do łóżka, a ja zapaliłem lampkę na stole w kuchni i

zaczęłam przeglądać zostawione przez Boltona akta Aleca Hardimana, Charlesa Rugglestone'a, Cala Morrisona i pozostałych ofiar morderstw z siedemdziesiątego czwartego roku.

Hardiman i Rugglestone wyglądali na zdjęciach zdumiewająco normalnie. Aleca wyróżniało jedynie to, że podobnie jak Evandro był niezwykle przystojny i odznaczał się niemal dziewczęcymi rysami twarzy. Ale w końcu na świecie jest wielu przystojnych mężczyzn, a niektórzy z nich nawet nie dążą do zdobycia władzy nad kimkolwiek.

Rugglestone z pociągłą twarzą i niskim czołem poniżej układającej się w szpic linii włosów najbardziej przypominał mi górnik z zachodniej Wirginii. Nie wyglądał zanadto sympatycznie, ale nie sprawiał też wrażenia człowieka zdolnego do krzyżowania dzieci i ćwiartowania pijaczków.

Ich twarze nic mi nie mówiły.

Moja matka utrzymywała, że ludzi nie da się do końca zrozumieć, można tylko na bieżąco reagować na ich zachowanie. Żyła z moim ojcem przez dwadzieścia pięć lat i w tym okresie z pewnością musiała bardzo często tak reagować.

I teraz przyznałem jej rację. Spotkałem się z Hardimaniem, wiedziałem już, że jednego dnia zmienił się niespodziewanie z grzecznego i miłego chłopca w prawdziwego potwora i nikt nie umiał wytłumaczyć, jak do tego doszło.

Dużo mniej było wiadomo o jego współniku. Walczył w Wietnamie, ukończył służbę z wyróżnieniem, pochodził ze wsi we wschodniej części Teksasu, ale nie kontaktował się z rodziną przez ostatnich sześć lat życia. Jak cytowano w papierach, nawet po jego śmierci matka nazywała go „dobrym chłopcem”.

Kiedy odwróciłem kartkę jego akt, moim oczom ukazał się szkic zrujnowanego magazynu, w którym Hardiman tak okrutnie się z nim obszedł. Później rudera została zburzona, na jej miejscu wybudowano pawilon mieszczący supermarket i pralnię chemiczną.

Na rysunku zaznaczono miejsce odnalezienia zwłok Rugglestone'a, przywiązanych do krzesła, poobijanych, pokłutych nożem i nadpalonych. Zaznaczono też, gdzie detektyw Gerry Glynn, wysłany na miejsce na podstawie anonimowego zgłoszenia, odnalazł Hardimana leżącego nago na posadzce wydzielonego kantorka, zwiniętego w kłębek, zbrozonego krwią Rugglestone'a i leżący metr od niego szpikulec do lodu.

Jak Gerry się wtedy czuł, gdy po odebraniu cynku wkroczył do magazynu i zobaczył najpierw okaleczone zwłoki Rugglestone'a, a potem syna jego partnera i

leżące nieopodal narzędzie zbrodni?

I kto mógł anonimowo donieść o zabójstwie?

Odwróciłem kartkę. Jako następne było wpięte do teczki poźółkłe zdjęcie białej furgonetki zarejestrowanej na Rugglestone'a. Wyglądała na starą i zaniedbaną, przednia szyba była wybita. Jej wnętrze, jeśli wierzyć dokumentom, wymyto silnym strumieniem wody z węża najdalej dwadzieścia cztery godziny przed śmiercią właściciela. Maskę rozdzielczą została dokładnie wyszorowana, ale przednią szybę wytłuczono już po tym, bo odłamki szkła wały się na obu fotelach i na podłodze szoferki. A na skrzyni leżały dwie nadtluczone cegły.

Ktoś, prawdopodobnie dzieciaki, wybił tymi cegłami przednią szybę auta stojącego przed zrujnowanym magazynem. Akt wandalizmu zbiegł się w czasie z aktem okrutnego zabójstwa, odbywającym się zaledwie parę metrów dalej.

Może to właśnie ci wandale usłyszeli dobiegające z rudery zatrważające odgłosy i zawiadomili policję?

Spojrzałem jeszcze raz na zdjęcie i przeszył mnie dreszcz grozy.

Nigdy nie lubiłem furgonetek. Z jakichś powodów, które panowie Dodge czy Ford z pewnością woleliby wykorzeńić, zawsze podświadomie łączyłem je z najgorszym brudem - z kierowcami molestującymi dzieci, gwałcicielami czyhającymi na parkingach supermarketów, z krążącymi po szkołach plotkami o mordercach przebranych za klaunów - krótko mówiąc, ze złem.

Przerzuciłem kartkę i spojrzałem na wyniki badań toksykologicznych zwłok Rugglestone'a. W jego krwi wykryto znaczne ilości zarówno fenylocyklidyny jak i metyloamfetaminy, wystarczające, żeby utrzymać go na nogach przez tydzień. Pewnie próbował je zrównoważyć alkoholem, którego poziom określono na 1,2 promila, lecz nawet tak duża ilość na pewno nie była w stanie osłabić efektów sztucznie wywołanej potężnej dawki adrenaliny. Musiał się czuć jak naelektryzowany.

Więc jakim cudem Hardiman, lżejszy od niego o trzynaście kilogramów, zdołał go przywiązać do krzesła?

Jako następny w teczce znajdował się opis zewnętrznych obrażeń zabitego. Chociaż słyszałem zarówno relację Gerry'ego Glyna, jak i podsumowanie Boltana, liczba i charakter ran zadanych Rugglestone'owi wprawiły mnie w osłupienie.

Sześćdziesiąt siedem ciosów młotkiem, który znaleziono pod krzesłem w kantorku, gdzie leżał nieprzytomny Alec Hardiman. Według opinii ekspertów jedne ciosy zostały zadane z odległości dwóch metrów, inne tylko z dwudziestu

centymetrów; z przodu i z tyłu, od lewej i od prawej.

Otworzyłem akta Hardimana, układając je obok. W czasie rozprawy obrońca tłumaczył, że oskarżony w dzieciństwie doznał poważnego złamania lewej ręki, w jego wyniku miał uszkodzone nerwy, że nie jest oburęczny i w żadnym wypadku nie mógłby zadawać aż tak silnych ciosów, biorąc lewą ręką dwumetrowy zamach młotkiem.

Oskarżenie natomiast wykazało, że tak duża dawka fenylocyklidyny, jaką wykryto we krwi Hardimana, umożliwiłaby człowiekowi znajdującemu się w stanie skrajnego podniecenia wysiłek dziesięciokrotnie większy niż normalnie, a sędzia wraz z ławą przysięgłych zgodził się z przedstawioną argumentacją.

Nikt też nie uwierzył tłumaczeniu obrony, że dawka fenylocyklidyny w organizmie Hardimana była nieistotna w porównaniu ze stężeniem tego narkotyku we krwi Rugglestone'a i że oskarżony wcale nie zażywał go w konkretnym morderczym celu, tylko nieświadomie doprowadził do jego powstania, stosując połączenie morfiny z seconolem. Po okraszeniu tej mieszanki alkoholem mógł się uznać za szczęściarza, że w ogóle był jeszcze w stanie utrzymać się na nogach tamtego popołudnia, a co dopiero mówić o skrajnym wysiłku fizycznym.

Podczas wyrafinowanych tortur partiami przypalał Rugglestone'a przez cztery godziny. Zaczął od stóp, lecz zanim ogień zdążył strawić tkanki łydek, zduślił go, wrócił do pracy z młotkiem, szpikulcem do lodu i brzytwą, którą ponacinał ciało współnika w ponad stu dziesięciu miejscach, także poczynając od kostek nóg. Później przypiekl zabitemu kolana i dolną część ud, znowu stłumił ogień i tak dalej.

Analiza chemiczna tkanek z ran zamordowanego wykazała w nich obecność soku z cytryny, wody utlenionej i soli kuchennej. Dodatkowo w ranach twarzy wykryto dwa inne środki, krem natłuszczający oraz jasny puder kosmetyczny.

Czyżby Rugglestone miał na twarzy makijaż?

Zajrzałem do akt Hardimana. W chwili aresztowania na skórze oskarżonego także znaleziono resztki jasnego pudru, obecne zwłaszcza na czole pod linią włosów, jakby morderca zdążył zmyć z twarzy makijaż, ale nie miał czasu umyć włosów.

Sięgnąłem do akt Cala Morrisona, który wyszedł z domu o trzeciej chmurnego popołudnia, wybierając się na mecz amatorskich drużyn piłkarskich w parku Columbia. Miał do pokonania około półtora kilometra, lecz gdy policjanci sprawdzali każdą możliwą marszrutę, okazało się, że nikt go nie widział na żadnej z nich, jakby zapadł się pod ziemię po tym, gdy pomachał ręką na pożegnanie sąsiadowi z Sumner

Street.

Siedem godzin później został ukrzyżowany.

Technicy z dochodzeniówki znaleźli dowody na to, że Cal przez kilka godzin leżał na wznak na dywanie - tanim, z syntetycznej przędzy, do tego przyciętym po amatorsku, bo we włosach zabitego znaleziono zbite klaczki nie tylko przędzy, ale i nitek osnowy. Na dodatek dywan musiał być poplamiony olejem silnikowym i płynem hamulcowym.

Pod paznokciami jego lewej ręki odkryto fragmenty skóry człowieka o grupie krwi A oraz składniki wchodzące w skład jasnego pudru kosmetycznego.

Do śledztwa natychmiast włączono poszlakę, że zabójcą mogła być kobieta.

Ale szczegółowe badania znalezionych pojedynczych włosów oraz ślady stóp w pobliżu miejsca porzucenia zwłok kazały odrzucić tę teorię.

Chodziło więc o makijaż. Tylko dlaczego Rugglestone i Hardiman mieliby go stosować?

27

Kolo jedenastej połączyłem się przez radio z Devinem i powiedziałem mu o makijażu.

- Swego czasu mnie to też zaniepokoiło - odparł.

- I co?

- Ostatecznie zaliczyłem to do dziwnych, przypadkowych zbiegów okoliczności.

Nie zapominaj, Patricku, że Hardiman i Rugglestone byli kochankami.

- Byli homoseksualistami, Devin, a to przecież nie oznacza, że się przebierali w damskie fatalaszki czy wręcz byli transwestytami. W aktach nie znalazłem ani słowa o tym, by kiedykolwiek któregoś z nich widziano z makijażem na twarzy.

- Sam nie wiem, co na to powiedzieć. Ta sprawa nigdy nie była specjalnie akcentowana. Hardiman z Rugglestone'em zabili Morrisona, a potem Hardiman zamordował Rugglestone'a, więc gdyby nawet nosili na głowach ananasy i czerwone spódniczki z rafii, w niczym by to nie zmieniło wymowy podstawowych faktów.

- Coś mi jednak nie pasuje w tych aktach. Czuję to przez skórę.

Westchnął głośno.

- Gdzie jest Angie?

- Poszła spać.

- Sama? - Zachichotał.

- Słucham?

- Nie, nic takiego.

Doleciały mnie stłumione gardłowe pomruki Oscara.

- Wyduś wreszcie.

Devin fuknął przez nos, najwyraźniej rozbawiony.

- Zrobiliśmy właśnie z Oscarem drobny zakład.

- O co?

- Dotyczący ciebie i twojej współpracownicy. Ciekawi nas, jak długo zdołacie wytrzymać razem, dopóki nie wydarzy się parę rzeczy.

- Jakich znowu parę rzeczy?

- Ja bym się skłaniał ku temu, że się pozabijacie, ale Oscar twierdzi, że jeszcze przed końcem tygodnia wylądujecie w łóżku.

- No, ładnie - mruknąłem. - Czyżbyście się spóźnili na ostatnie szkolenie z dziedziny politycznej poprawności?

- W komendzie miejskiej nazywają je „Dialogami Ludzkiej Wrażliwości” - wyjaśnił. - Ja i sierżant Lee doszliśmy do wniosku, że jesteśmy już wystarczająco wrażliwi.

- Oczywiście.

- Czyżbyś nie wierzył? - zapytał na cały głos Oscar.

- Ależ skąd, moglibyście obaj pretendować do miana Nowego Męskiego Ideału Wrażliwości.

- Poważnie? - zaciekawiał się Devin. - Myślisz, że to by nam pomogło w podrywaniu pańienek?

Rozłączyłem się i zadzwoniłem do Grace.

Bardzo często wracałem do domu późno w nocy. Grace, było nie było dorosła kobieta, przyjmowała to ze zrozumieniem, teraz jednak nie miałem pojęcia, jak jej wytłumaczyć, że musiałem się przeprowadzić do Angie. Nie zaliczam się do nazbyt zazdrosnych, trudno jednak powiedzieć, jak bym zareagował, gdyby nagle Grace powiadomiła mnie telefonicznie, że zatrzyma się na parę dni u przyjaciela.

Na szczęście ta sprawa nie wynikła już na początku rozmowy.

- Cześć - zacząłem.

Cisza.

- Grace?

- Zastanawiam się, czy mam ochotę z tobą rozmawiać, Patricku.

- Dlaczego?

- Doskonale wiesz dlaczego.

- Nie, nie wiem.
- Jeśli zamierzasz coś przede mną kręcić, to zaraz się rozłączę.
- Grace, nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

Odłożyła słuchawkę.

Przez dobrą minutę gapiłem się na telefon, raz za razem rozważając, czy jest sens grzmotnąć nim o ścianę. W końcu jednak wziąłem kilka głębszych oddechów i zadzwoniłem po raz drugi.

- O co chodzi? - burknęła.
- Nie rozłączaj się, dobrze?
- To zależy, czy nadal będziesz próbował mi mydlić oczy.
- Grace, przecież nie mogę niczego wyjaśnić, skoro nawet nie wiem, w czym ci się naraziłem.

- Czy moje życie jest w niebezpieczeństwie? - zapytała.
- O czym ty mówisz?
- Odpowiedz na pytanie. Coś mi zagraża?
- Jak dotąd o niczym takim mi nie wiadomo.
- Więc dlaczego kazałeś mnie śledzić?

W moim brzuchu jakby nagle powstał gigantyczny krater, a wzdłuż kręgosłupa zaczęły ściekać krople topniejącego lodu.

- Wcale nie kazałem cię śledzić.
- Evandro? Kevin Hurlihy? Tajemniczy zabójca? Kto?
- Nie kłam. Przecież ten psychopata w prochowcu nie wpadł sam na ten pomysł...
- Bubba? - zdziwiłem się.
- Doskonale wiesz, że mówię o twoim cholernym Bubbie.
- Uspokój się, Grace. Opowiedz mi dokładnie, co się stało.

Usłyszałem, jak wzięła kilka głębszych oddechów.

- Byłam w restauracji „Saint Botolph” z Annabeth i moją córką... moją córką, Patricku!... kiedy zauważyłam, że jakiś facet przy barze uważnie nas obserwuje. Wcale się z tym nie krył, choć, prawdę mówiąc, nie wyglądał też specjalnie groźnie. A potem...

- Jak on wyglądał?

- Co? Mniej więcej jak Larry Bird, zanim Madison Avenue wciągnęła go bez reszty. Wysoki, bardzo blady, ze skołtunionymi włosami, szpiczastą brodą i odstającą grdyką.

Kevin. Pieprzony Kevin. Siedział zaledwie parę metrów od Grace, Mae i Annabeth. I na pewno rozważał różne sposoby połamania im wszystkim kręgosłupów.

- Zabiję go - syknąłem.

- Słucham?

- Mów dalej, Grace. Proszę.

- No więc w końcu zdobył się na odwagę, odkleił się od baru i podszedł do naszego stolika, najwyraźniej chcąc nas zaczepić, gdy nagle jak spod ziemi wyrósł ten twój niewątpliwie zmutowany przyjaciel, złapał go za włosy i wywlókł na ulicę. Na oczach co najmniej trzydziestu ludzi kilka razy walnął głową tego biedaka o hydrant...

- Niech to - jęknąłem.

- Niech to? - powtórzyła. - Tylko tyle masz do powiedzenia? No więc dodam jeszcze, że siedziałyśmy przy stoliku pod oknem, a ten hydrant znajdował się dokładnie na wprost, tuż za szybą. Mae dokładnie wszystko widziała. Na jej oczach rozkwasił gębę temu chudzielcowi! Potem przez cały dzień płakała. A ten biedak...

- Nie żyje?!

- Skąd mam wiedzieć?! Jacyś znajomi zaraz wciągnęli go do samochodu, a ten twój... pieprzony szaleniec i jakiś żalosny kurdupel, który zaraz do niego dołączył, spokojnie stali na ulicy i przyglądali się, jak ich ofiara odjeżdża.

- Ten biedak, Grace, to najemny zabójca irlandzkiej mafii. Nazywa się Kevin Hurlihy i zagroził mi dzisiaj rano, że cię skrzywdzi, żeby schrzanić mi życie.

- Żartujesz.

- Bardzo bym chciał, żeby to był tylko żart. Na dłużej w słuchawce zapadła cisza.

- I tylko dlatego pojawił się w moim życiu? - zapytała w końcu Grace. - I w życiu mojej córki, Patricku? Mojej córki?!

- Posłuchaj, Grace...

- No, co? - syknęła. - Słucham. Co? Mam uznać tego świra w prochowcu za swojego anioła stróża? Myślałeś, że dzięki niemu poczuję się znów bezpieczna?

- Mniej więcej...

- To ty ich na mnie nasłałeś! Zaraziłeś moje życie całą tą przemocą! To ty... Matko Boska!

- Posłuchaj, Grace...

- Zadzwoń do ciebie później - rzuciła nagle dziwnie słabym głosem.

- Jestem u Angie.

- Co?

- Zostanę u niej na noc.
- U Angie? - powtórzyła z niedowierzaniem.
- Wszystko wskazuje na to, że ma być następną ofiarą mordercy, który zabił Jasona Warrena i Karę Rider.
- U Angie? - powtórzyła jeszcze raz. - W takim razie nie jestem pewna, czy później do ciebie zadzwonię.
Odłożyła słuchawkę.
Bez pożegnania. Bez jednego dobrego słowa. Tylko z tym: „Nie jestem pewna”.

Podjęcie decyzji zajęło jej dwadzieścia dwie minuty. Siedziałam przy stole, gapiąc się na zdjęcia Hardimana, Rugglestone i Cala Morrisona, aż zaczęły mi się rozmywać przed oczami i zlewać w jedno, wciąż powtarzając w myślach te same dręczące pytania. Miałam wrażenie, że odpowiedzi leżą przede mną jak na dłoni, tylko uparczywie trzymają się poza moim pojmowaniem.

- Cześć - powiedziała.
- Cześć.
- Jak się czuje Angie?
- Jest przerażona.
- Wcale się nie dziwię. - Westchnęła głośno. - A jak ty to znosisz?
- Chyba nie najgorzej.
- Posłuchaj, nie będę przepraszała, że wcześniej byłam tak wkurzona.
- Wcale nie oczekuję przeprosin.
- Bardzo mi na tobie zależy...
- Cieszę się.
- Tylko nie jestem pewna, czy chcę mieć udział w twoim życiu.
- Nie rozumiem.

Zasłuchany w szum linii telefonicznej popatrzyłam na papierosy Angie, czując coraz większą ochotę, by zapalić.

- Bo twoje życie... - odezwała się w końcu Grace. - Cała ta przemoc... Jakbyś sam jej szukał.
- Nieprawda.
- Ależ tak. Któregoś dnia zajrzałam do biblioteki i przejrzałam artykuły prasowe z ubiegłego roku, w których pojawiał się twoje nazwisko, związane z zabójstwem tamtej kobiety.

- I co?

- I sporo się o tobie dowiedziałam. Zobaczyłam też zdjęcie, na którym klęczałeś przy zwłokach zamordowanej kobiety i zabitego przez ciebie człowieka. Byłeś cały zakrwawiony.

- To była jej krew.

- Słucham.

- Byłem zbryzgany krwią Jenny - powtórzyłem - tej zamordowanej kobiety. Tylko w niewielkim stopniu mogła to być krew Curtisa Moore'a, którego ranilem, a nie zabiłem. W każdym razie to nie była moja krew.

- Tak, wiem - odparła. - Ale gdy patrzyłam na to zdjęcie i czytałam o tobie, poczułam... W głowie zrodziło mi się pytanie: „Kim naprawdę jest ten człowiek?”. Miałam wrażenie, że to ktoś obcy, że nie znam nikogo, kto byłby zdolny zabijać ludzi. I nadal tak mi się wydaje. Nie sądzisz, że to dziwne?

- Nie wiem, co powiedzieć, Grace.

- Czy kiedykolwiek kogoś zabiłeś? - spytała ostrzejszym tonem.

Nie odpowiedziałem od razu. Dopiero po dłuższej chwili mruknąłem:

- Nie.

Z nadzwyczajną łatwością przyszedł mi ten pierwszy raz, kiedy ją okłamałem.

- Ale byłbyś zdolny zabijać, prawda?

- Każdy to potrafi.

- Może i tak. Niewykluczone. Ale większość ludzi unika sytuacji, które by ich do tego zmuszały. Ty nie.

- Przecież nie dokonałem świadomego wyboru, że będę zabójcą. Tak samo, jak nie wybierałem sobie Kevina Hurlihy'ego za znajomego.

- Ależ tak, wybrałeś. Całe twoje życie to efekt świadomego wyboru przeciwstawiania się przemocy, Patricku. Nie zdołasz go pokonać.

- Kogo?

- Swojego ojca.

Wyciągnąłem rękę i przysunąłem sobie paczkę papierosów.

- Nawet się o to nie staram - odrzekłem.

- Mało brakowało, żebyś mnie oszukał.

Wyjąłem jednego papierosa z paczki i postukałem nim o rozłożone w wachlarz fotografie Hardimana, osmalonych zwłok Rugglestone'a i ukrzyżowanego Morrisona.

- Do czego zmierza ta rozmowa, Grace?

- Obracasz się w towarzystwie takich ludzi jak Bubba, Devin i Oscar. Żyjesz w świecie pełnym przemocy, dlatego otaczasz się ludźmi okrutnymi.

- Ale ciebie to nigdy nie dotknie.

- Już dotknęło. Cholera... Świetnie wiem, że prędzej byś zginął, niż pozwolił komukolwiek zrobić mi krzywdę. Nie musisz mnie o tym zapewniać.

- Więc?

- Tylko jakim kosztem? Co cię czeka? Nie da się zarabiać na życie czyszczeniem kanałów i po pracy pachnieć perfumami, Patricku. Ugrzęźniesz w tym. Wypali cię do reszty.

- A jeszcze nie wypaliło?

Znów przez dłuższą chwilę panowała martwa cisza.

- Jeszcze nie - odparła. - Ale to należy uznać za cud. Ilu jeszcze cudów spodziewasz się w swoim życiu?

- Nie wiem - powiedziałem nieswoim głosem.

- Ja też nie. Wolałabym jednak nie ryzykować.

- Grace...

- Wkrótce się odezwę - rzuciła pospiesznie, akcentując słowo „wkrótce”.

- W porządku.

- Dobranoc.

Przerwała połączenie, a ja zasłuchałem się w urywany sygnał, po czym zgmiotłem w palcach papierosa i odsunąłem paczkę od siebie.

- Gdzie jesteś? - zapytałem, gdy Bubba w końcu włączył swoją komórkę.

- Przed jedną z dziupli Jacka Rouse'a w Southie.

- Po co tam tkwisz?

- Bo jest tu i Jack i Kevin i większość ich ferajny.

- Nieźle dzisiaj dołożyłeś Kevinowi.

- Niedługo gwiazdka. - Zachichotał. - Tymczasem staruszek Kev będzie przez jakiś czas musiał jadać obiady przez słomkę.

- Złamałeś mu szczękę?

- I nos. Dostał dwa w jednym z dedykacją. - Tylko dlaczego na oczach Grace, Bubba?...

- Czemu nie? Muszę ci coś powiedzieć, Patricku. Znalazłeś sobie bardzo niewdzięczną kobietę.

- A co, oczekiwałaś wyrazów wdzięczności?
- Przynajmniej skromnego uśmiechu. Wystarczyłoby zwykłe „dziękuję” albo chociażby urocze zatrzepotanie powiekami.
- Nałomotałaś faceta w obecności jej córki!
- I co z tego? Sam się o to prosił.
- Ale Grace o niczym nie miała pojęcia, a Mae jest za mała, żeby cokolwiek zrozumieć.
- I co mam ci powiedzieć, Patricku? Kevin kiepsko trafił i tyle. Wszystko poszło jak z płatka. Nawet lepiej!

Westchnąłem głośno. Próba wyjaśniania Bubbie zasad życia społecznego i tak skomplikowanych pojęć jak moralność przypominała wykład o szkodliwości cholesterolu robiony kanapce big mac.

- Czy Nelson nadal obserwuje Grace? - zapytałem.
- Jak sępadlinę.
- Niech nie spuszcza z niej oka, dopóki ta heca się nie skończy.
- Teraz nie odciągnąłbym go od niej nawet wołami. Coś mi mówi, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Przeszył mnie dreszcz grozy.

- Co Kevin i Jack teraz robią?
 - Pakują się. Chyba postanowili się wybrać na wycieczkę.
 - Dokąd?
 - Jeszcze nie wiem, ale się dowiem.
- Powiedział to dziwnie matowym, smętnym głosem.
- Hej, Bubba.
 - Tak?
 - Dzięki, że zaopiekowałaś się Grace i Mae.
 - Do usług - rzucił radośnie. - Zrobiłbyś to samo dla mnie. No, może niedokładnie w taki sposób, ale...

- Oczywiście - odparłem. - Nie masz ochoty zniknąć gdzieś na jakiś czas?
- Po co?
- Obawiam się, że Kevin będzie chciał się zemścić. Zaśmiał się krótko.
- Kevin? I co z tego? - prychnął pogardliwie.
- A Jack? Choćby tylko dla zachowania twarzy może wydać na ciebie wyrok za znieważenie jego przydupasa.

Bubba westchnął głośno.

- Jack to kupa gówna, Patricku. Nawet sobie tego nie wyobrażasz. To fakt, że ma jaja i potrafi być groźny, ale tylko dla ludzi, którzy się go boją. A ja się nie boję. Dobrze wie, że aby mnie wywabić z mojej kryjówki, musiałby zebrać ogromniaste siły i w dodatku przygotować się na otwartą wojnę, gdyby jednak nie udało im się mnie dopaść. Jest jak... w Bejrucie, kiedy na początku służby rozdali nam broń bez amunicji. Właśnie taki jest Jack. To nienaładowany karabin. A ja jestem jak rozwścieczony szyicki samobójca prowadzący ciężarówkę wyładowaną dynamitem prosto na jego ambasadę. Jestem symbolem śmierci. Jack jest zbyt strachliwy, żeby igrać ze śmiercią. Przypomina mi tego gościa, który po raz pierwszy zasmakował władzy, kierując SOSEE.

- Co takiego?

- SOSEE, Stowarzyszenie Obywatelskiej Samoobrony imienia Edwarda Everetta. Nie pamiętasz tej samozwańczej straży osiedlowej z lat siedemdziesiątych?

- Jak przez mgłę.

- Szkoda. To byli sami porządni obywatele, którzy skrzyknęli się, żeby bronić osiedla przed czarnuchami, szpiegami i wszystkimi podejrzanymi typkami. Dwa razy mnie zatrzymywali. Przez twojego ojca, chłopie, raz nieźle skopali mi dupsko...

- Przez mojego ojca?

- Pewnie. Teraz, po latach, to brzmi jak dowcip, no nie? Cała ta organizacja przetrwała najwyżej pół roku, ale w tym czasie nauczyła trochę moresu takich punków jak ja. To trzeba przyznać.

- Kiedy to było? - zapytałem.

Z mojej pamięci wypłynęły fragmentaryczne wspomnienia - spotkania w saloniku naszego domu, stanowcze i donośne glosy mówców, grzechot kostek lodu w szklankach, czcze pogrożki kierowane pod adresem złodziei samochodów, młodocianych wandalów czy miłośników graffiti.

- Nie pamiętam dokładnie. - Bubba ziewnął głośno. - Wtedy kradłem tylko kołpaki z kół, więc dopiero zaczynałem. Mogliśmy mieć po jedenaście, dwanaście lat, a więc to było w siedemdziesiątym czwartym albo piątym. W każdym razie coś koło tego.

- I chcesz powiedzieć, że mój ojciec z Jackiem Rouse'em...

- Kierowali stowarzyszeniem. Udzielali się jeszcze... zaraz, niech sobie przypomnę... aha, Paul Burns i Terry Climstich, i taki jeden mały, co zawsze chodził w

krawacie, ale niedługo potem się wyprowadził. No i jeszcze dwie babki. Nigdy nie zapomnę, jak przyłapały mnie na ściąganiu kołpaków w samochodzie Paula Burnsa. Kucam przy krawężniku, a tu nagle ktoś mnie trąca czubkiem buta. Podnoszę głowę i kogo widzę? Właśnie te dwie cipy. Chryste...

- O kim mówisz?

- O Emmie Hurlihy i Diedre Rider. Dasz wiarę? I one mnie wtedy nieźle skopały. Zwariowany jest ten świat, no nie?

- Muszę kończyć, Bubba. Niedługo się odezwę, dobra?

Przerwałem połączenie i zadzwoniłem do Boltona.

28

- Co ci ludzie zrobili? - zapytała Angie.

Bolton, Devin, Oscar, Erdham, Fields i ja staliśmy nad stolikiem do kawy, spoglądając na zdjęcie, które Fields zdobył, wyciągnąwszy z łóżka naczelnego „The Dorchester Community Sun”, lokalnego tygodnika wychodzącego od 1962 roku.

Była to niezbyt wyraźna grupowa fotografia przedstawiająca patrol społeczny z 12 czerwca 1974 roku. Artykuł opatrzony nagłówkiem OBYWATELSKA TROSKA opisywał rozwój SOSEE, porównując tę organizację ze „Strażą Sąsiedzką” z Adams Corner w Neponset, „Ligą Społeczną” z Savin Hill, stowarzyszeniem „Mieszkańcy Przeciwko Zbrodni” z Field's Corner oraz „Cywilną Ochroną Godności” z Ashmont.

Mojego ojca cytowano w trzecim akapicie: „Jestem strażakiem, a jedną z podstawowych zasad gaszenia ognia jest konieczność powstrzymania płomieni na niższych kondygnacjach, zanim pożar wymknie się spod kontroli”.

- Twój staruszek miał skłonności do przytaczania chwytliwych haseł - mruknął Oscar. - Nawet już wtedy.

- To było jedno z jego ulubionych. Miał w tym zakresie wieloletnią praktykę.

Fields powiększył zdjęcie tak, żeby dokładnie było widać członków SOSEE pozujących na boisku baseballowym w ogrodach Ryana, którzy starali się wyglądać przyjacielsko i groźnie zarazem.

Na pierwszym planie klęczeli mój ojciec i Jack Rouse, trzymali między sobą prostokątną tablicę z emblematem SOSEE i czterolistnymi koniczynkami w rogach.

Obaj wyglądali jak piłkarze na kartach do dziecięcych albumów i tkwili w pozach niepokonanych obrońców, z jedną pięścią opartą o ziemię, a drugą zaciśniętą na drzewcu tablicy.

Bezpośrednio za nimi stal bardzo młody Stan Timpson, jako jedyny w krawacie, a obok niego od lewej do prawej: Diedre Rider, Emma Hurlihy, Paul Burns i Terry Climstich.

- Co to jest? - zapytałem, wskazując wąski czarny pasek w prawym dolnym narożniku fotografii.

- Nazwisko autora zdjęcia - odparł Fields.

- Można by je powiększyć, żeby dało się odczytać?

- Już o tym pomyślałem, panie Kenzie. Wszyscy popatrzyliśmy na niego.

- To zdjęcie zrobiła Diandra Warren.

Wyglądała koszmarnie.

Skórę miała koloru białych mebli kuchennych, a luźne ubrania na jej wychudzonej sylwetce sprawiały wrażenie, że są o kilka numerów za duże.

- Proszę nam opowiedzieć o Stowarzyszeniu Obywatelskiej Samoobrony imienia Edwarda Everetta, doktor Warren - powiedziałem.

- O czym? - Popatrzyła na mnie rozszerzonymi szklistymi oczyma.

Odnosiłem wrażenie, że rozmawiam z kimś, kogo znałem w młodości, lecz nie widziałem od wielu lat i musiałem przyznać ze zdumieniem, że nie tylko bardzo się postarzała, ale upływ czasu był dla niej bezlitosny.

Położyłem zdjęcie na kontuarze przed nią.

- Pani mąż, mój ojciec, Jack Rouse, Emma Hurlihy, Diedre Rider.

- To było piętnaście albo dwadzieścia lat temu - zaprotestowała.

- Dwadzieścia - odezwał się Bolton.

- Dlaczego nie rozpoznała pani mojego nazwiska, jeśli znała pani mego ojca?

- Nigdy nie znałam pańskiego ojca, panie Kenzie. Wskazałem go na zdjęciu.

- Oto on, doktor Warren. Stoi tuż przy pani mężu.

- To pański ojciec? - zdziwiła się, patrząc na fotografię.

- Tak. A ten obok niego to Jack Rouse. Tuż za nim, nieco w lewo, stoi matka Kevina Hurlihy'ego.

- Nie miałam... - Pochyliła się nad odbitką. - Nie znałam bliżej tych ludzi, panie Kenzie. Zrobiłam to zdjęcie, bo Stan mnie poprosił. To on był związany z tą śmieszną

samozwańczą organizacją, a nie ja. Nawet nie wyraziłam zgody, by ich spotkania odbywały się w naszym mieszkaniu.

- Dlaczego? - zapytał Devin.

Westchnęła, lekceważąco machnąwszy ręką.

- Dla mnie to było tylko próżne prężenie mięśni pod przykrywką służby dla lokalnej społeczności. Wydawało mi się to śmieszne. Stan próbował mnie przekonywać, że przynależność do organizacji przyda mu się w życiorysie, ale w gruncie rzeczy nie różnił się od całej reszty, dążył do zalegalizowania tego ulicznego gangu, zasłaniając się celami dobroczynnymi dla społeczeństwa.

- Według naszych informacji - rzekł Bolton - wystąpiła pani o separację w listopadzie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku. Co było powodem?

Wzruszyła ramionami i ostentacyjnie ziewnęła, zakrywając usta dłonią.

- Doktor Warren?

- Matko Boska - syknęła ostro.

Obrzuciła nas spojrzeniem pełnym niechęci, jakby nagle wróciły jej najgorsze wspomnienia, szybko jednak się opanowała. Spuściła głowę i zakryła twarz dłońmi, które zniknęły pod jej włosami.

- Tamtego lata Stanley pokazał swoją prawdziwą naturę - powiedziała w końcu. - Z grubsza rzecz biorąc, był katolikiem głęboko przeświadczonym o swojej moralnej wyższości nad innymi. Któregoś dnia wrócił w butach zachlapanych krwią, bo skopali jakiegoś złodzieja samochodów i jeszcze próbował mi wmawiać, że tylko wymierzyli sprawiedliwość. Stał się obcesowy... w łóżku, przestał mnie traktować jak żonę, a zaczął jak płatną dziwkę. Nagle zmienił się z dość przyzwoitego człowieka, szukającego tylko paru odpowiedzi na niewyjaśnione pytania dotyczące swojego człowieczeństwa, w żalosego komandosa. - Postukała palcem w fotografię. - I stało się to z powodu właśnie tej śmiesznej, idiotycznej bandy głupców.

- Może pani sobie przypomnieć jakiś konkretny incydent, doktor Warren?

- Jakiego rodzaju?

- Nigdy nie chwalił się przed panią swoimi dokonaniem? - wtrącił Devin.

- Nie. Zwłaszcza po dzikiej awanturze, jaką mu zrobiłam za te zakrwawione buty.

- I jest pani pewna, że była to krew złapanego złodzieja samochodów?

Pokiwała głową.

- Doktor Warren - odezwałem się i wszyscy popatrzyli na mnie. - Jeśli poczynania Timpsona tak bardzo zraziły panią do niego, to czemu pomagała pani pracownikom

prokuratury okręgowej podczas procesu Hardimana?

- Stan nie miał nic wspólnego z tą sprawą, wtedy zajmował się prawie wyłącznie skarżeniem prostytutek w rozprawach podczas nocnych dyżurów sądu. Już wcześniej współpracowałam z biurem prokuratora okręgowego w przypadkach, gdy obrona zasłaniała się niepoczytalnością klienta, a ponieważ oskarżeniu podobały się wyniki tej współpracy, poproszono mnie też o ekspertyzę w sprawie Aleca Hardimana. Stwierdziłam, że jest typowym psychopatą ogarniętym manią wielkości, z tendencją do paranoi, lecz pod względem prawnym jak najbardziej poczytalnym, doskonale potrafiącym rozróżnić dobro i zło.

- Czy istniał jakiś związek między SOSEE a Hardimanem? - zapytał Oscar.

Pokręciła głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Dlaczego SOSEE się rozwiązało?

Wzruszyła ramionami.

- Chyba im się po prostu znudziło. Nie mam pojęcia. Wtedy już nie mieszkałam w tamtej dzielnicy. A i Stan wyprowadził się kilka miesięcy później.

- Nic więcej nie pamięta pani z tamtego okresu?

Na dłużej zapatrzyła się na fotografię.

- Owszem, pamiętam - powiedziała z wahaniem. - Kiedy robiłam to zdjęcie, byłam w ciąży i tamtego dnia odczuwałam silne mdłości. Wmawiałam sobie, że to z powodu upału i mojego stanu, ale tylko się okłamywałam. Bo to przez nich tak się czułam. - Odsunęła od siebie odbitkę. - Od całej tej grupy emanowało zgnilizną. Miałam przeczucie, że któregoś dnia wyrządzą komuś straszną krzywdę. I jeszcze im się to spodoba.

W furgonetce Fields zdjął słuchawki i obejrzał się na Boltona.

- Ten więzienny konował, doktor Dolquist, próbuje się skontaktować z panem Kenziem. Mogę przełączyć rozmowę.

Bolton skinął głową i obrócił się do mnie.

- Proszę włączyć urządzenie głośno mówiące. Odebrałem już po pierwszym sygnale.

- Pan Kenzie? Mówi Ron Dolquist.

- Doktorze, czy zgodzi się pan, bym przełączył naszą rozmowę na głośnik?

- Proszę bardzo.

Zrobiłem to, nim jeszcze skończył i wnętrze auta wypełnił jego zniekształcony, metaliczny głos, jakby przekazywany przez kilka satelitów jednocześnie.

- Panie Kenzie, poświęciłem sporo czasu na przejrzenie notatek z moich wcześniejszych sesji z Alekiem Hardimanem i chyba odkryłem coś istotnego. Naczelnik Lief powiedział mi, że waszym zdaniem Evandro Arujo działa na wolności pod dyktando Hardimana.

- Zgadza się.

- Czy braliście też pod uwagę możliwość, że ma współnika? W furgonetce było nas ośmioro i wszyscy jak na komendę popatrzyliśmy w kierunku głośnika umieszczonego pod sufitem.

- Na jakiej podstawie doszedł pan do takiego wniosku, doktorze?

- Jakoś wyleciało mi to z pamięci, ale przed laty, na początku swego pobytu w naszym zakładzie karnym, Alec bardzo dużo mówił o człowieku imieniem John.

- John?

- Tak. W tamtym czasie podejmował wszelkie starania o unieważnienie wyroku, zasłaniając się niepoczytalnością, może dlatego bez ogródek mówił psychiatrom o wszystkim, co miałyby ich przekonać, że ma urojenia, paranoiczne lęki, napady schizofrenii i Bóg wie, co jeszcze. Dlatego doszedłem do wniosku, że ów John jest tylko żalną próbą symulowania objawów rozdwojenia jaźni. Tym bardziej że po roku siedemdziesiątym dziewiątym w ogóle przestał o nim wspominać.

Bolton pochylił się do słuchawki i zapytał:

- Co kazało panu zmienić teraz zdanie, doktorze?

- Agent Bolton? No więc... W tamtym okresie wychodziłem z założenia, że John jest wyłącznie manifestacją jego własnej osobowości, inaczej mówiąc, urojeniem, skoro Alec mówił o nim jak o człowieku, który potrafi przenikać przez ściany, rozpląwać się we mgle i temu podobne. Ale kiedy wczoraj wieczorem przeglądałem swoje notatki, uderzyła mnie zbieżność z odwołaniami do Świętej Trójcy. Przypomniałem sobie, jak oznajmił panu Kenziem, że stanie się człowiekiem wpływowym dzięki...

- Ojcu, Synowi i Duchowi Świętemu - wtrąciłem.

- No właśnie. Otóż mówiąc przed laty o Johnie, Alec często nazywał go „Ojcem Johnem”. On sam miał być Synem, a Duchem Świętym...

- Arujo - dokończyłem - czyli ten, który rozpląwa się we mgle.

- Właśnie. Rozumienie Świętej Trójcy przez Hardimana jest zupełnie różne od

powszechnie przyjętego, ma w sobie coś z mitologii i symboliki religijnej. Alec bierze z nich to, co jest mu potrzebne i kształtuje w zależności od swoich potrzeb, odrzucając resztę.

- Proszę nam powiedzieć coś więcej o tym Johnie, doktorze.

- Tak, oczywiście. John, według słów Aleca, przedstawia się jako jego skrajne przeciwieństwo. Tylko w obecności ofiar i najbliższych, to znaczy niego, Rugglestone'a oraz Arujo, zdejmuje maskę i pozwala im oglądać, cytuję, „czysty szal widoczny na jego prawdziwym obliczu”. Kiedy się patrzy na Johna, dostrzega się w nim to, co osobiście chce się zobaczyć, na przykład życzliwość, mądrość i delikatność. Ale w rzeczywistości John nie odznacza się żadną z tych cech. Według Aleca jest „naukowcem”, który bada ludzkie cierpienie, przede wszystkim po to, by odkryć motywy rządzące stworzeniem ludzi.

- Motywy rządzące stworzeniem? - powtórzyłem.

- Zamierzam przeczytać fragment notatek zrobionych podczas mojej rozmowy z Alekiem we wrześniu siedemdziesiątego ósmego, na krótko przed tym, jak całkowicie przestał mówić o Johnie. To są słowa samego Hardimana: „Jeśli Bóg jest miłosierny, to dlaczego wyposażył nas w taką zdolność odczuwania bólu? Przecież nasze nerwy powinny nas tylko informować o zagrożeniu, bo to jedyny biologiczny powód istnienia bólu. A jednak możemy go odczuwać w ilościach znacznie przekraczających konieczność informowania organizmu o zagrożeniu. Gwałtowny ból odczuwamy na poziomie wręcz niedającym się opisać. Co więcej, mamy nie tylko zdolność odczuwania bólu, jak wszystkie zwierzęta, lecz także umysłową zdolność przeżywania go raz za razem w sensie emocjonalnym i psychicznym. Żadne inne stworzenie nie dysponuje taką umiejętnością. Czy zatem Bóg tak bardzo nas nienawidzi? Czy też tak bardzo nas kocha? Zapewne ani jedno, ani drugie i chodzi tylko o jakiś błąd w łańcuchu DNA. Czy więc przyczyną naszej wrażliwości na ból, jaką dostaliśmy od Boga, nie jest chęć oswojenia nas z nim i uczynienia nas obojętnymi na cierpienia innych na Jego podobieństwo? Czy w takim razie nie powinniśmy Go naśladować, jak czyni to John, wyrabiać w sobie umiłowanie, maksymalnie przeciągać i ulepszać nasze odczuwanie bólu oraz metody jego zadawania? John rozumie, że w tym zawiera się kwintesencja czystości”. - Dolquist odchrząknął i dodał: - Koniec cytatu.

- Doktorze? - zagadnął Bolton.

- Słucham.

- Proszę spróbować nam opisać Johna własnymi słowami, jak go pan zapamiętał.

- Musi być bardzo odporny psychicznie, co pewnie łatwo można by stwierdzić podczas spotkania z nim, chociaż nie od razu. Raczej nie należy do ludzi bardzo silnych, nie jest miłośnikiem tężyzny fizycznej. Osobom postronnym wydaje się człowiekiem dość rozsądnym i racjonalnym, może nawet mądrym. Oczekiwałbym, że w swoim środowisku będzie bardzo lubiany i ceniony, postrzegany jako sprawca dobrych uczynków na niewielką skalę.

- Czy jest żonaty? - zapytał Bolton.

- Wątpię. Nawet on musiałby zdawać sobie sprawę, że mimo najdoskonalszego maskowania żona i dzieci odkryłyby jego dwulicowość. Niewykluczone, że kiedyś był żonaty, ale teraz żyje samotnie.

- To wszystko?

- Nie wierzę, by był zdolny powstrzymać się od zabijania przez minione dwadzieścia lat. Nie wydaje mi się to możliwe. Sądzę więc, że tylko nie czynił rozgłosu wokół dokonywanych przez siebie morderstw.

Wszyscy spojrzeliśmy na Angie, która uniosła dłoń do róna nieistniejącego kapelusza i lekko skłóniła głowę.

- Co jeszcze, doktorze?

- Jego największą życiową przyjemnością jest oczywiście zabijanie, ale poza tym, jak sądzę, przynajmniej od czasu do czasu musi odczuwać pewną satysfakcję z samego ukrywania prawdziwego oblicza pod maską. To człowiek, który obserwuje innych zza swojej maski i naśmiewa się z nich, bezpieczny za jej osłoną. Dla niego to pewnie namiastka zaspokojenia seksualnego i z tego powodu po tylu latach musiał w końcu ją zrzucić.

- Nie bardzo rozumiem - odparłem.

- Proszę to potraktować jak odpowiednik długotrwałej erekcji. John czekał na swój orgazm dwadzieścia lat. I nawet jeśli sama erekcja sprawiała mu przyjemność, to w końcu pragnienie osiągnięcia orgazmu stawało się presją nie do zniesienia.

- Twierdzi pan, że chce zostać schwytany?

- Raczej chce się obnażyć, a to niezupełnie to samo. Zależy mu na zrzuceniu maski, by zyskać możliwość naplucia wam w twarz, gdy będziecie spoglądać na jego prawdziwe oblicze. To jednak nie oznacza, że dobrowolnie da się zakuć w kajdanki.

- Coś jeszcze, doktorze?

- Tak. Mam wrażenie, że on zna pana Kenziego. I to nie tylko poprzez gromadzone informacje. On zna go osobiście od dawna. Musieli się spotkać twarzą w

twarz.

- Na jakiej podstawie pan tak twierdzi?

- Człowiek jego pokroju powinien mieć tendencję do zawierania dziwnych znajomości, które, niezależnie od swej natury, są dla niego bardzo ważne. Na pewno szczytem jego marzeń byłyby osobiste kontakty z kimś, kto go tropi. Nie wiem tylko, dlaczego wybrał właśnie pana, Kenzie. Dał to wyraźnie do zrozumienia, nakazując Hardimanowi porozmawiać z panem. Tak więc powinien pan znać Johna. Gotów jestem postawić na to swoją reputację.

- Dziękujemy, doktorze - włączył się Bolton. - Zakładam, że przyczyną, dla której odczytał nam pan fragment notatek, jest niemożność udostępnienia ich nam w całości.

- Mógłbym to zrobić tylko na wyraźne polecenie sądu - odparł Dolquist - a i w takim wypadku musielibyście dobrze uzasadnić wniosek. Jeśli znajdę coś jeszcze, co według mnie może się przyczynić do powstrzymania fali zabójstw, natychmiast zadzwonię. Panie Kenzie?

- Tak?

- Czy mógłbym zamienić jeszcze z panem słówko na osobności?

Bolton wzruszył ramionami, toteż wyłączyłem urządzenie głośno mówiące i przytknąłem słuchawkę do ucha.

- Słucham, doktorze.

- Alec się mylił.

- W jakiej sprawie?

- Na temat mojej żony. Mówił nieprawdę.

- Miło mi to słyszeć - odparłem.

- Chciałem tylko... wyjaśnić tę kwestię. On kłamał - powtórzył z naciskiem Dolquist. - Do widzenia, panie Kenzie.

- Do widzenia, doktorze.

- Stan Timpson jest w Cancun - poinformował Erdham.

- Co takiego? - zdziwił się Bolton.

- Właśnie sprawdziłem. Z żoną i dziećmi wyjechał na trzy dni, wziął krótki urlop.

- Krótki urlop? Przecież jest prokuratorem okręgowym hrabstwa Suffolk, gdzie właśnie trwa seria morderstw. I wybrał się na odpoczynek do Meksyku? - Pokręcił głową. - Ściągnij go.

- Słucham? Nie jestem agentem specjalnym.

Bolton wymierzył w niego palec.

- To wyślij kogoś, nawet dwóch agentów, żeby go tu ściągnęli.

- Mają go aresztować?

- Nie, sprowadzić na przesłuchanie. Gdzie się zatrzymał?

- Jego sekretarka twierdzi, że w hotelu „Marriott”.

- Mówisz, że sekretarka tak twierdzi? I co?

Erdham pokręcił głową.

- Wcale się tam nie zameldował.

- W takim razie wyślij czterech agentów. Mają być w najbliższym samolocie odlatującym do Cancun. A sekretarkę też ściągnij na przesłuchanie.

- Tak jest. - Erdham odwrócił się i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Wyjechaliśmy na autostradę.

- Chyba wszyscy nagle zapadli się pod ziemię, prawda? - mruknąłem.

Bolton westchnął.

- Na to wygląda. Jacka Rouse'a i Kevina Hurlihy'ego nie można nigdzie znaleźć. Diedre Rider nikt nie widział od pogrzebu jej córki.

- A co z Burnsem i Climstichem? - zacięła się Angie.

- Nie żyją. Paul Burns był piekarzem i jeszcze w siedemdziesiątym siódmym pewnego dnia wetknął głowę do pieca. Climstich zmarł na zawał serca w osiemdziesiątym trzecim. Żaden z nich nie zostawił spadkobierców. - Podniósł z kolan powiększone zdjęcie prasowe i dodał: - Pan rzeczywiście jest bardzo podobny do ojca, Kenzie.

- Tak, wiem.

- Mówił pan, że był tyranem. To wszystko?

- Jak mam to rozumieć?

- Chciałbym wiedzieć, do czego naprawdę był zdolny.

- Do wszystkiego.

Bolton pokiwał głową i otworzył teczkę z aktami.

- Emma Hurlihy została przyjęta do domu opieki Delii Vorstin w siedemdziesiątym piątym. Wcześniej w jej rodzinie nie było żadnych przypadków choroby umysłowej, ona też nie wykazywała odbiegających od normy zachowań aż do końca roku siedemdziesiątego czwartego. Diedre Rider po raz pierwszy aresztowano za pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego w lutym siedemdziesiątego piątego.

Później dość regularnie łądowała w areszcie. Jack Rouse w ciągu pięciu lat z lekko skorumpowanego sklepikarza stał się przywódcą miejscowej irlandzkiej mafii. Według raportów, jakie otrzymałem z Biura Przeszeczności Zorganizowanej i wydziału zabójstw tutejszej komendy policji wynika, że dojście Rouse'a do władzy było bodaj najkrwawszym przewrotem w tutejszej irlandzkiej mafii. Osiągnął swój cel, mordując każdego, kto stanął mu na drodze. Jak to mogło się stać? Jakim cudem taki drobny, nieliczący się złodziejsek niemal w ciągu jednej nocy stał się osobistością półświatka?

Popatrzył na nas, lecz oboje pokręciliśmy głowami. Odwrócił kartkę i ciągnął dalej:

- Prokurator okręgowy Stanley Timpson to również bardzo ciekawa postać. Skończył studia na Harvardzie jako jeden z najsłabszych w swoim roczniku. Podczas studiów prawniczych w Suffolk był przeciętnikiem. Dwa razy oblewał egzamin kwalifikacyjny do palestry, zanim go w końcu zdał. Pracę w biurze prokuratora okręgowego uzyskał wyłącznie dzięki koneksjom ojca Diandry Warren i na początku był dość nisko oceniany. Aż tu nagle w siedemdziesiątym piątym przeistoczył się w prawdziwego tygrysa. Szybko zyskał świetną reputację, jeszcze podczas nocnych dyżurów sądu, jako przeciwnik ugodowych kompromisów. Nie zmienił tego podejścia po przejściu do sądu najwyższego. Ludzie zaczęli się go bać, prokuratura okręgowa przydzielala mu coraz poważniejsze sprawy i w ten sposób zyskiwał sławę. W osiemdziesiątym czwartym okrzyczano go najskuteczniejszym prokuratorem Nowej Anglii. Co umożliwiło mu tak błyskotliwą karierę?

Zjechaliśmy z autostrady w naszej dzielnicy i skręciliśmy w stronę kościoła Świętego Barta, gdzie Bolton zorganizował poranną odprawę.

- Pański ojciec, Kenzie, wystartował do rady miejskiej w siedemdziesiątym ósmym. W czasie swej kadencji zasłynął jedynie z tak bezwzględного dążenia do zaszczytów, że pewnie zawstydziłby samego Lyndona Johnsona. Z mało znaczącego oficera służb publicznych stał się zaciekle walczącym politykiem. Po raz kolejny mamy do czynienia ze zwykłym szarym obywatelem, prostym strażakiem, który wzniósł się na szczyty z pozoru znacznie wykraczające poza jego zasięg.

- A co z Climstichem? - zapytała Angie. - Burns popełnił samobójstwo, ale czy Climstich też wykazywał jakieś przejawy zastanawiającej transformacji?

- Stał się pustelnikiem. Jesienią siedemdziesiątego piątego odeszła od niego żona. Oficjalną przyczyną rozwodu była niedająca się zniwelować rozbieżność charakterów,

która objawiła się po dwudziestu ośmiu latach małżeństwa. Pani Climstich utrzymywała, że jej mąż zamknął się w sobie i chorobliwie uzależnił od pornografii. Podkreślała, że szczególnie upodobał sobie najbardziej obrzydliwy rodzaj pornografii, przez który popadł w obsesję na tle okrucieństwa.

- Dokąd to wszystko nas prowadzi, agencie Bolton? - zapytała Angie.

- Bez wątpienia coś bardzo dziwnego stało się z tymi ludźmi. Albo odnieśli niesłychany sukces, zrobili kariery wykraczające ponad wszelkie oczekiwania na podstawie wcześniejszej sytuacji życiowej, albo... - Przeciągnął palcem po sylwetkach Emmy Hurlihy i Paula Burnsa na zdjęciu - ...ich życie załamało się i legło w gruzach. - Spojrzał na Angie, jakby oczekiwał od niej jakichś wyjaśnień. - Coś diametralnie odmieniło tych ludzi, panno Gennaro. Coś zainicjowało ich transformację.

Kiedy furgonetka zatrzymała się przed kościołem, Angie po raz ostatni spojrzała na fotografię i zapytała ponownie:

- Cóż takiego ci ludzie zrobili?

- Nie wiem - odparł Bolton i uśmiechnął się do mnie kwaśno. - Ale, jak powiedziałby Hardiman, z pewnością miało to na nich ogromny wpływ.

29

Kiedy poszliśmy z Angie do kawiarni przy Boston Street, Devin i Oscar ruszyli za nami w bezpiecznej odległości.

Oboje byliśmy wycieńczeni, odnosiłem wrażenie, że w rozedrganym powietrzu przed moimi piekącymi oczyma unoszą się tańczące kropelki wody.

W milczeniu zajęliśmy stolik przy oknie i popijając kawę, zapatrzyliśmy się na pochmurny szary poranek. Stopniowo dopasowywaliśmy coraz więcej kawałków tych puzzli, ale jakimś sposobem wciąż nie mogliśmy rozpoznać wyłaniającego się obrazu.

Należało zakładać, że SOSEE miała jakiś kontakt z Hardimanem, Rugglestone'em lub ewentualnym trzecim spośród zabójców. Tylko jaki to mógł być kontakt? Czyżby członkowie straży obywatelskiej stali się świadkami czegoś, co mogło skompromitować Hardimana lub któregoś z jego współników? Jeśli tak, to co to mogło być? No i dlaczego mordercy nie zdecydowali się od razu wyeliminować członków SOSEE, już wtedy, w połowie lat siedemdziesiątych? Z jakiego powodu czekali aż dwadzieścia lat, żeby teraz objąć swą zemstą ich potomków lub osoby najbliższej z nimi związane?

- Wyglądasz na skonanego, Patricku. Uśmiechnąłem się smutno.
- Ty także. Upiła łyk kawy.
- Po odprawie wracajmy do domu, spróbujemy się trochę przespać.
- To brzmi trochę dwuznacznie.

Zachichotała.

- Nic podobnego. Dobrze wiesz, co mam na myśli.
- Skinąłem głową.
- Czyżbyś mimo upływu lat wciąż miała na mnie chętkę?
 - Chciałbyś, zboreźniku.
 - Co w tamtych czasach, w roku siedemdziesiątym czwartym, mogło być powodem, dla którego mężczyzna robił sobie makijaż?
 - Widzę, że nie daje ci to spokoju.
 - Owszem.
 - Nie wiem. Może zwykła męska próżność? Może chcieli zamaskować pierwsze zmarszczki pod oczami?
 - Pudrem kosmetycznym?
 - A może bawili się w klaunów? Albo po prostu im odbiło?
 - Bądź też stali się fanami zespołu „Kiss”?
 - Niewykluczone. - Zanuciła cicho początek piosenki *Beth*.
 - Cholera.
 - Co się stało?
 - To wszystko jest ze sobą jakoś powiązane. Czuję to.
 - Mówisz o makijażu?
 - Tak. I o powiązaniach Hardimana z SOSEE. Jestem tego pewien. Wyjaśnienie mamy tuż przed nosem, tylko jesteśmy zanadto zmęczeni, żeby je dostrzec.
- Wzruszyła ramionami.
- Zobaczmy, co Bolton będzie miał do powiedzenia na odprawie. Może on znajdzie sensowne wytłumaczenie.
 - Oby.
 - Głowa do góry - rzuciła.

Połowa ludzi Boltona krążyła po osiedlu i zbierała informacje, druga połowa obserwowała dom Phila, mieszkanie Angie i moje, toteż Bolton wyděbił od ojca Drummonda zgodę na zorganizowanie odprawy w kościele.

Jak każdego ranka, przestronne wnętrze wypełniały zapachy kadzidła i wosku ze świec pozostałe po mszy o siódmej, mieszające się z wonią sosnowego płynu do mycia wiszącego nad rzędami ław oraz smutnym zapachem więdnących chryzantem. Drobinę kurzu unoszące się nad prezbiterium w smugach słońca wpadającego przez okna od wschodu osiadały gdzieś w środkowej części kościoła. Tego chłodnego

jesiennego ranka budowla utrzymana w odcieniach brązów i czerwieni, z wypełniającym ją żółtawym blaskiem i rozjaśniającymi się dopiero kolorowymi witrażami sprawiała wrażenie w pełni zgodnej z intencjami założycieli kościoła katolickiego - miejsca czystego, oderwanego od wszelkich ziemskich niedoskonałości, gdzie powinny rozbrzmiewać jedynie wypowiedane szeptem modlitwy i szelest ubrań klękających przed ołtarzem wiernych.

Bolton wyszedł przed ołtarz i rozsiadł się na ciężkim, obitym czerwonym jedwabiem krześle kapłańskim, które odsunął od stołu, po czym położył nogi na poręczy bariery odgradzającej prezbiterium i obrzucił spojrzeniem agentów FBI oraz kilku gliniarzy w pierwszych rzędach, czekających z otwartymi notesami i długopisami, a w kilku wypadkach nawet z dyktafonami.

- Cieszę się, że do nas dołączyliście - rzekł.

- Proszę tego nie robić - burknęła Angie, patrząc z obrzydzeniem na podeszwy jego butów.

- Czego?

- Siadać przed ołtarzem na krześle kapłańskim i zakładać nogi na poręcz.

- Dlaczego?

- Bo niektórym może się to wydać obraźliwe.

- Ale nie mnie. - Wzruszył ramionami. - Nie jestem katolikiem.

- Ja jestem - odparła.

Obrzucił ją podejrzliwym wzrokiem, myśląc chyba, że żartuje, lecz Angie odpowiedziała hardym spojrzeniem pełnym kobiecej stanowczości.

Westchnął więc, wstał z krzesła i odstawił je na miejsce. Kiedy skręciliśmy do wolnej ławki w piątym rzędzie, przeciął prezbiterium i wdrapał się na kazalnicę.

- Teraz lepiej? - zapytał.

Angie wzruszyła ramionami, zerkając na Devina i Oscara zajmujących miejsca przed nami.

- Może być.

- Zatem bardzo się cieszę, że nie obrażam już pani delikatnych uczuć, panno Gennaro.

Popatrzyła na mnie z kwaśną miną, wzbudzając mój głęboki podziw dla jej wytrwałości w wierze, którą ztraciłem już przed wielu laty. Nie demonstrowała tego na każdym kroku, nawet jawnie gardziła patriarchalną hierarchią kościelną, ale w głębi serca jej wiara religijna była niewzruszona niczym opoka zdolna przetrwać

wszystko.

Boltonowi najwyraźniej bardzo się spodobało miejsce na kazalnicy. Delikatnie wodził palcami po wyrytych na niej słowach i rzymskich symbolach, z ewidentną wyższością spoglądając na zgromadzone przed nim pospólstwo.

- Zacznę od podsumowania wydarzeń wczorajszego wieczoru. Więc po pierwsze, rewizja w mieszkaniu Evandra Arujo doprowadziła do ujawnienia fotografii ukrytych pod klepkami podłogi przy kaloryferze. Liczba doniesień o mężczyźnie o podobnym wyglądzie potroiła się od chwili, gdy o siódmej rano do punktów sprzedaży trafiły gazety publikujące dwa jego zdjęcia, jedno z bródką i drugie bez. Chociaż większość tych doniesień wydaje się fałszywa, to aż pięć meldunków napłynęło z dolnego South Shore, a ostatnio dwa kolejne z Cape Cod, z okolic Bourne. Natychmiast wysłałem agentów z zadaniem przeszukania South Shore oraz południowej części mierzei wraz z okolicznymi wyspami. Zorganizowaliśmy policyjne blokady na drogach numer sześć, dwadzieścia osiem i trzy oraz na autostradzie międzystanowej czterysta dziewięćdziesiąt pięć. Według dwóch doniesień Arujo miałby jakoby podróżować czarnym nissanem sentrą, ale i w tym wypadku ich wartość należy zweryfikować pod kątem nasilonej społecznej hysterii.

- A co z dżipem? - zapytał któryś z jego podwładnych.

- Jak dotąd nie udało się go odnaleźć. Nie wiemy, czy nadal z niego korzysta, czy gdzieś porzucił. Czerwony cherokee został skradziony z parkingu centrum wystawowego Bayside wczoraj rano, zakładamy więc, że w tym właśnie wozie Evandra widziano wieczorem. Dżip ma numer rejestracyjny dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć ZSR, co by się zgadzało z fragmentarycznym odczytem, jakiego zdążył dokonać patrol policji z Wollaston w czasie pościgu.

- Wspomniał pan o jakichś fotografiach - odezwała się Angie.

Bolton skinął głową.

- Odkryliśmy szereg zdjęć Kary Rider, Jasona Warrena, Stimovicha i Stokes, bardzo podobnych do tych, jakie przysłano pocztą rodzinom późniejszych ofiar. Zatem bez cienia wątpliwości Arujo jest teraz naszym głównym podejrzanym w sprawie brutalnych zabójstw. Wśród znalezionych były też fotografie innych, nieznanych nam osób, zapewne przysyłanych kolejnych ofiar. Tak więc na nasz plus, szanowni państwo, można zapisać to, że jesteśmy teraz w stanie przewidzieć, gdzie morderca uderzy w najbliższym czasie.

Odkasznął, zasłaniając usta dłonią, po czym kontynuował: - Wyniki badań

laboratoryjnych pozwoliły ustalić ponad wszelką wątpliwość, że w sprawę czterech zabójstw objętych dochodzeniem jest zaangażowanych dwóch sprawców. Rany na rękach Jasona Warrena świadczą wyraźnie, że musiał być trzymany przez jednego człowieka, gdy tymczasem drugi rozciął mu brzytwą twarz i pierś. Podobnie głowa Kary Rider znajdowała się w stalowym uścisku jednej pary rąk, gdy druga szpikulcem do lodu przekłuwała jej krtań. Obrażenia na zwłokach Petera Stimovicha oraz Pameli Stokes są dalszym potwierdzeniem na działania dwóch zabójców.

- Czy wiadomo też, kiedy dokładnie zginęli? - zapytał Oscar.

- Jeszcze nie. Jason Warren - został zamordowany w magazynie w South Boston. Pozostałe ofiary zginęły gdzie indziej. Z nieznanego dotąd powodu oprawcy zdecydowali się zabić Warrena stosunkowo szybko. - Wzruszył ramionami. - Nie wiadomo, co było przyczyną. We krwi pozostałych trzech ofiar wykryto śladowe ilości hydrochlorofilu, co świadczy, że były tylko nieprzytomne, kiedy mordercy przewozili je na miejsce zbrodni.

- Stimovicha torturowali co najmniej cztery godziny - odezwał się Devin - a Stokes dwa razy dłużej. Aż wierzyć się nie chce, że nikt nie słyszał ich krzyków.

Bolton przytaknął ruchem głowy.

- Wciąż trwają poszukiwania ustronnego miejsca, gdzie byłoby to możliwe.

- Ile takich miejsc wchodzi w rachubę? - zapytała Angie.

- Niemal bez liku. Kamienice przeznaczone do rozbiórki, porzucone budynki, mokradła objęte ochroną przyrody, kilkadziesiąt niezamieszkałych wysepek wzdłuż wybrzeża, zamknięte zakłady karne, szpitale, magazyny. Co tylko pani sobie życzy. Jeśli jeden z morderców ukrywał się skutecznie przez dwadzieścia lat, musimy zakładać, że szczegółowo wszystko zaplanował. Równie dobrze mógł we własnym domu urządzić dźwiękoszczelną piwnicę albo szereg innych pomieszczeń.

- Czy znaleziono jakiegokolwiek dowody, że zabójca, który pozostawał w cieniu przez dwadzieścia lat, zaspokajał swą żądzę mordy, zabijając dzieci?

- Bezpośrednich dowodów nie ma - odparł Bolton. - Ale spośród tego tysiąca stu sześćdziesięciu dwóch ulotek o zaginionych dzieciach, jakie otrzymaliście pocztą, pochodzących z okresu ponad dziesięciu lat, w dwustu osiemdziesięciu siedmiu wypadkach udało się potwierdzić śmierć dziecka. Natomiast dwieście jedenaście z nich zostało oficjalnie uznanych za niewyjaśnione.

- Do ilu z nich doszło w Nowej Anglii? - zapytał jeden z agentów.

- Pięćdziesięciu sześciu - odparł cicho Bolton. - Czterdzieści dziewięć z nich

pozostaje niewyjaśnionych.

- Choćby tylko pod względem ilościowym to bardzo wysoki odsetek - rzekł Oscar.

- Owszem, to prawda - przyznał posępnym tonem Bolton.

- Ile osób zginęło w sposób podobny do ostatnich morderstw?

- W tym stanie ani jedna, chociaż było po parę przypadków zadźgania nożem czy przebicia dłoni, dlatego wciąż prowadzimy analizy porównawcze. Natrafiliśmy na dwa zabójstwa dokonane w szczególnie okrutny sposób, rodzący automatycznie skojarzenia z tutejszą serią.

- Gdzie ich dokonano?

- Pierwszego w Lubbock w Teksasie w osiemdziesiątym szóstym, drugiego na przedmieściach Miami, już poza granicą hrabstwa Dade, w dziewięćdziesiątym pierwszym.

- Doszło do amputacji?

- Tak.

- I brakowało jakichś części ciała?

- Tak.

- Ile lat miały tamte ofiary?

- W Lubbock zginął czternastoletni chłopak, na granicy hrabstwa Dade szesnastoletnia dziewczyna. - Bolton odchrząknął i poklepał się po kieszeniach marynarki w poszukiwaniu inhalatora, ale go nie znalazł. - Ponadto, jak już wam wiadomo od wczorajszego wieczoru, pan Kenzie dostarczył nam wiarygodną poszlakę pozwalającą łączyć zabójstwa z roku siedemdziesiątego czwartego z obecnymi. Otóż wszystko wskazuje na to, że mordercy wzięli na cel dzieci członków organizacji SOSEE, choć jak dotąd nie udało się ustalić powiązań między nimi a Alekiem Hardimanem czy Evandrem Arujo. Nie znamy powodów, możemy jednak zakładać, że ta poszlaka jest prawdziwa.

- A co ze Stimovichem i Stokes? - zapytał któryś agent. - Jak oni są powiązani z tą organizacją.

- Sądzimy, że nie ma żadnego związku, iż były to „niewinne ofiary”, o których zabójcy pisali w swoim liście.

- Jakim liście? - zainteresowała się Angie. Bolton popatrzył na nas.

- Tym, który znaleźliśmy w pańskim mieszkaniu, panie Kenzie, w kuchennej szafce pod oczami Stimovicha.

- Tym, którego nie daliście mi przeczytać.

Skinął głową i zajął do notatek, poprawiając okulary na nosie.

- W trakcie przeszukania pokoju Jasona Warrena w akademiku w zamkniętej na klucz dolnej szufladzie biurka natknęliśmy się na pamiętnik zabitego Jego kopia będzie dostępna dla wszystkich na odrębne żądanie, na razie chcę tylko przeczytać fragment wpisu widniejącego pod datą siedemnastego października, czyli tego dnia, kiedy pan Kenzie i panna Gennaro widzieli obserwowanego w towarzystwie Arujo. - Znowu odchrząknął, jak gdyby nie w smak było mu cytowanie słów kogoś innego. - „E. był znowu w mieście. Przez niewiele ponad godzinę. Nawet nie zdaje sobie sprawy ze swej władzy, z tego, jak atrakcyjny wydaje się jego strach przed samym sobą. Pragnie się ze mną kochać, choć wciąż nie może się pogodzić z własnym biseksualizmem. Powiedziałem mu, że doskonale to rozumiem. Zjednął mnie sobie na zawsze. Wolność jest bolesna. Dotknął mnie po raz pierwszy i zaraz szybko się oddalił. Musiał wracać do Nowego Jorku i do swojej żony. Ale zobaczymy się jeszcze. Jestem tego pewien. Pociągam go”.

Bolton wyraźnie się zaczerwienił.

- Zatem Evandro pełnił rolę wabika - zauważyłem.

- Bez wątpienia. Ewidentnie zwabił Warrena i oddał go w ręce tajemniczego współnika. We wszystkich opisach Arujo, pochodzących od współwięźniów czy znajdujących się w innym miejscach tegoż pamiętnika, z zeznań współlokatorki Kary Rider bądź klientów tego baru, w którym poderwał Pamelę Stokes, przewija się w kółko to samo: nadzwyczajna atrakcyjność seksualna poszukiwanego. Jeżeli jest tak sprytny, jak na to wygląda i potrafi umiejętnie rozstawiać pozorowane przeszkody, które przyszłe ofiary muszą pokonywać, to z pewnością godzą się też na stawiane przez niego warunki zachowania ścisłej tajemnicy i spotkania się z nim w odosobnionym miejscu. Pozostaje jeszcze sprawa jego domniemanej żony, o której wspomina Jason Warren w pamiętniku. Bóg jeden raczy wiedzieć, jakimi kłamstwami mydlił oczy innym ofiarom, ale moim zdaniem, wkradł się w ich łaski, udając niezbyt łatwą dla nich zdobycz.

- Jak męski odpowiednik Heleny Trojańskiej - rzekł Devin.

- A więc Trojański Harry - mruknął Oscar, na co kilku agentów zareagowało stłumionym chichotem.

- Szczegółowe badania dowodów zebranych na miejscu zbrodni pozwoliły ustalić co następuje: Po pierwsze, obaj zabójcy ważą podobnie, od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu kilogramów. Po drugie, ponieważ Evandro Arujo nosi buty rozmiaru

dziewięć i pół, odkryte przy zwłokach Rider mniejsze ślady, rozmiaru osiem, musiał zostawić jego współnik. Po trzecie, tenże współnik ma włosy ciemnoblonde i odznacza się imponującą siłą. Stimovich był atletycznie zbudowany, a jednak został łatwo obezwładniony, zanim podano mu środek paralizujący. Arujo nie jest zbyt silny, dlatego musimy zakładać, że dokonał tego jego współnik. Po czwarte, ponowne przesłuchania osób mających choćby marginalny kontakt z zamordowanymi pozwoliły ustalić, że wszyscy poza profesorem Erikiem Gaultem oraz Geraldem Glynnem mają murowane alibi we wszystkich czterech przypadkach zabójstw. Obaj Gault i Glynn są obecnie przesłuchiwanymi w naszej centrali. Warto nadmienić, że Gault odmówił przesłuchania z użyciem poligrafu. Obaj są silni i dość drobnej budowy ciała, pozwalającej nosić obuwie rozmiaru osiem, chociaż obaj twierdzą, że ich rozmiar to dziewięć. Są jakieś pytania?

- Zaliczono ich już do podejrzanych? - rzuciłem szybko.

- Dlaczego pana to ciekawi?

- Ponieważ to właśnie Gault polecił moje usługi Diandrze Warren, a Gerry Glynn podsunął pewne kluczowe informacje.

Bolton pokiwał głową.

- To jedynie potwierdza nasze podejrzenia co do patologii tajemniczego trzeciego zabójcy.

- To znaczy? - wtrąciła Angie.

- Na naszą prośbę doktor Elias Rottenheim z Wydziału Nauk Behawioralnych sporządził portret psychologiczny tajemniczego mordercy uśpionego przez dwadzieścia lat. Dobrze do niego pasują spostrzeżenia, jakie dziś rano przedstawił doktor Dolquist.

Pozwolę sobie zacytować fragment opinii doktora Rottenheima: „Pod względem wszelkich kryteriów podmiot pasuje do rysu osób cierpiących na narcystyczne zaburzenia osobowości połączone z uwspólnionymi zaburzeniami psychotycznymi, w których podmiot jest induktorem, czyli głównym przypadkiem”.

- Nie dałoby się tego przetłumaczyć na język ludzki? - zapytał Devin.

- Istota opinii doktora Rottenheima polega na tym, że osoba cierpiąca na narcystyczne zaburzenia osobowości, a więc nasz uśpiony morderca, pozostaje pod wrażeniem, że jego poczynania muszą być odbierane jako niezwykle, że zasługuje na uwielbienie i podziw z samej racji swojego istnienia. Powinien zatem szczegółowo ewidencjonować wszelkie przejawy swoich socjopatycznych skłonności, mieć

prawdziwą obsesję na tle własnych uprawnień i uważać siebie za człowieka wyjątkowego, wręcz równego Bogu. Natomiast zabójca z ogólnymi zaburzeniami psychotycznymi jest zdolny przekonać swoje otoczenie, że jego skłonności są całkowicie logiczne i naturalne. Dlatego takie zaburzenie nazywa się uwspólnionymi. To on jest głównym przypadkiem i on indukuje złudzenia reszty grupy.

- Zatem zdołał przekonać Evandra Arujo albo Aleca Hardimana, czy też obu razem, że zabójstwa są dobrymi uczynkami - podsumowała Angie.

- Na to wygląda.

- Jak ten profil pasuje do Gaulta i Glynn? - zapytałem.

- Gault polecił pańskie usługi Diandrze Warren. Glynn naprowadził pana na trop Aleca Hardimana. Z pozorów można by więc sądzić, że ich działania świadczą o niewinności, obaj bowiem starali się panu pomóc. Proszę jednak nie zapominać, co powiedział Dolquist: Ten człowiek jest z panem blisko związany, panie Kenzie i ma odwagę podejmować ryzyko, że go pan zdemaskuje.

- Tak więc zarówno Gault, jak i Glynn może być tajemniczym wspólnikiem Arujo?

- Według mnie wszystko jest możliwe.

Listopadowe słońce jeszcze toczyło przegraną bitwę z poszerzającym się frontem ciężkich chmur przesłaniających niebo. W jego promieniach było na tyle ciepło, że miało się ochotę zdjąć marynarkę, ale w cieniu każdy odruchowo zaczynał się rozglądać za futrzaną kurtką.

- W tym liście - rzekł Bolton, gdy szliśmy przez szkolne boisko - autor napisał, że niektóre ofiary będą „wartościowe”, ale pozostałe spotka hańba niewinnych.

- Jak to rozumieć? - zapytałem.

- To nawiązanie do Szekspira. Jago z *Otella* mówi: „Wszystkich niewinnych spotka hańba”. Znaczący temat nadal toczą spór, czy właśnie w tym momencie Jago przeistacza się z umotywowanego zbrodniarza w potwora znękanego tym, co Coleridge określa „bezpodstawną złą wolą”.

- Nadal nie rozumiem - wtrąciła Angie.

- Jago miał powód do zemsty na Otellu, chociaż niezbyt istotny, nic go jednak nie zmuszało do zniszczenia Desdemony bądź pozbawienia weneckiej armii oficerów na tydzień przed tureckim szturmem. Niemniej, jak wynika z dramatu, tak mu zaimponowała własna zdolność czynienia zła, że sama z siebie stała się dla niego wystarczającym powodem do niszczenia wszystkich dookoła. Na początku sztuki

wnosił tylko o ukaranie winnych, czyli Otella i Kasja, ale już w czwartym akcie był gotów zniszczyć każdego, „sprowadzić hańbę na wszystkich niewinnych” tylko dlatego, że stał się do tego zdolny. I bardzo mu się to spodobało.

- Więc ten morderca...

- Może być analogicznym potworem. Zabił Karę Rider i Jasona Warrena, gdyż byli dziećmi jego wrogów.

- A Stimovicha i Stokes? - zapytała Angie.

- Bez żadnej przyczyny. Dla zabawy.

Drobniutka mżawka zaczęła osiadać nam na włosach i ramionach.

Bolton sięgnął do teczki i podał Angie jakąś kartkę.

- Co to jest?

Wydął wargi i spoglądając na mgłę, odparł: - Kopia listu zabójcy.

Angie błyskawicznie odsunęła go od siebie, jakby jego treść była zaraźliwa.

- Chcieliście być w samym centrum wydarzeń, zgadza się?

- Tak.

Wskazał kciukiem trzymany przez nią list. - No to jesteście.

Wzruszył ramionami, zawrócił i oddalił się energicznym krokiem.

30

patricku,

istotą rzeczy jest ból. zrozum to.

początkowo nie istniał żaden wielki plan. zabiłem kogoś niemal przez przypadek, naprawdę i ogarnęło Mnie to wszystko, czego łatwo się domyślić - poczucie winy, obrzydzenie, strach, wstyd, nienawiść do samego siebie, poszedłem do kąpieli, żeby zmyć z siebie jej krew. pod prysznicem zwymiotowałem, ale nie ruszyłem się z miejsca, siedziałem, czując jak woda przesiąka smrodem jej krwi i Mojego wstydu, odorem Mojego śmiertelnego grzechu.

potem oczyściłem łazienkę, wykąpałem się i... żyłem dalej, bo co robią ludzie, kiedy zdarzy im się uczynić coś niemoralnego albo niewyobrażalnego? żyją dalej, nie ma wyboru, nawet jeśli wykroczyło się poza granice określone prawem.

tak więc dalej roztrząsałem Moje życie, aż uwolniłem się od całego wstydu i poczucia winy. myślałem, że będę je czuł już zawsze, ale tak się nie stało.

pamiętam, jak wtedy myślałem, że to nie może być aż tak proste, a jednak było. i już niedługo, bardziej z ciekawości niż czego innego, zabiłem jeszcze kogoś, wtedy to już było przyjemne, kojące, mniej więcęj tak, jak kufel chłodnego piwa musi być

kojący dla alkoholika kończącego okres abstynencji, jak pierwsza noc zbliżenia seksualnego dla kochanków, których trzymano w odosobnieniu.

odebranie komuś życia jest naprawdę jak seks. czasami przypomina transcendentny orgazm, kiedy indziej jest tylko takie sobie, w porządku, nie ma sprawy, ale cóż na to poradzić? tak już bywa z doznaniem, ale zawsze, bez wyjątku, jest czymś co najmniej interesującym, czymś, czego się nie zapomina.

nawet nie wiem, czemu ci o tym piszę, patricku. bo pisząc ten list, jestem kimś innym niż za dnia, w pracy i kimś innym niż wtedy, gdy zabijam, mam wiele twarzy, części z nich nigdy nie ujrzysz, części nigdy byś nie chciał zobaczyć, widziałem także kilka twoich twarzy - jedną piękną, inną bezwzględną, jeszcze inną zamyśloną - i zastanawiam się, którą Mi pokażesz, jeśli kiedykolwiek staniemy naprzeciwko siebie nad dzielącym nas ścierwem, bardzo Mnie to ciekawi.

wszyscy niewinni, jak słyszałem, spotkają się z hańbą, może to prawda, więc niech i tak będzie. Ja nadal nie jestem pewien, czy wartościowe ofiary rzeczywiście są warte aż tyle trudu.

śniło mi się kiedyś, że wylądowałem na planecie pokrytej bielusińskim piaskiem pod całkiem białym niebem, nic więcej tam nie było, tylko Ja, przenoszone przez wiatr zaspy białego piasku, wielkie jak fale na oceanie i rozpalone do białości niebo, byłem zupełnie sam. zagubiony, po wielu dniach wędrówki czułem bijący od siebie smród zgnilizny. wiedziałem, że przyjdzie mi umrzeć na tej bezkresnej pustyni, modliłem się o cień i ten się w końcu zjawiał, razem z głosem i imieniem. „Chodź”, powiedziała Ciemność, „chodź ze mną”, ale Ja byłem za słaby, gnilem, nie mogłem się nawet dźwignąć na kolana, powiedziałem więc: „weź Mnie za rękę, Ciemności, zabierz Mnie stąd”, i Ciemność tak właśnie zrobiła.

czy rozumiesz, czego chcę cię nauczyć, patricku?

pozdrowienia,

Ojciec

- Rety! - syknęła Angie, rzucając list na stół w jadalni. - To naprawdę świetne. Można

by sądzić, że facet ma całkiem po kolei w głowie. - Skrzywiła się z obrzydzenia. -
Matko Boska.

- Lepiej już nic nie mów.

- Więc tacy ludzie rzeczywiście istnieją - mruknęła.

Pokiwałem głową. Dla mnie ten list był przerażający. Wystarczająco dużo zła czai się w każdym przeciętnym człowieku, który wstaje każdego ranka i idzie do pracy, myśląc o sobie w samych superlatywach. Bo przecież może zdradzać żonę, spotykać się potajemnie z koleżanką z pracy, być głęboko przekonany, że jakaś nacja albo przynajmniej kilka osób jest znacznie gorszych od niego.

W większości wypadków potęga zdrowego rozsądku bierze jednak górę i taki człowiek nigdy nie zostaje zmuszony do bezpośredniej konfrontacji z własnymi poglądami. Aż do śmierci może bezkarnie uważać się za lepszego od innych.

Wszyscy to potrafimy. I olbrzymia większość właśnie tak robi.

Ale człowiek, który napisał ten list, zbratał się ze złem, rozsmakował w bólu zadawanym innym. Nie zdołał zracjonalizować swojej nienawiści, lecz zaczął się nią rozkoszować.

Sama lektura tego listu była przede wszystkim męcząca. I to w najgorszy, wyjątkowy, ohydny sposób.

- Jestem skonana - powiedziała Angie.

- Ja też.

Zerknęła jeszcze raz na list, objęła się ramionami i zamknęła oczy.

- Chciałabym rzec, że jest nieludzki - dodała. - Ale to nieprawda.

Ja też popatrzyłem na list.

- Masz rację. Jest jak najbardziej ludzki.

Posłałem sobie na kanapie w saloniku i próbowałem się na niej wygodnie ułożyć, kiedy zawołała mnie z sypialni.

- Co się stało?

- Chodź tu na chwilę.

Stanąłem w drzwiach, oparty ramieniem o framugę. Siedziała na łóżku z wyciągniętymi przed siebie nogami. Dolna część nocnej koszuli rozpostarta była szeroko niczym gładkie różowe morze.

- Wygodnie ci na kanapie?

- Ujdzie.

- W porządku.
- Dobranoc. - Odwróciłem się, żeby wrócić do pokoju.
- Bo...

Przystanąłem i spojrzałem przez ramię.

- Tak?
- Miejsca jest dużo.
- Na kanapie?

Zmarszczyła brwi.

- Mówię o łóżku.
- Aha. - Zmierzyłem ją uważnym spojrzeniem. - O co chodzi?
- Muszę ci to powiedzieć wprost?
- Co?

Wyduła wargi, jakby usilnie chciała się uśmiechnąć, ale wypadło to koszmarnie.

- Boję się, Patricku. Rozumiesz?

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, ile ją kosztowało, żeby to z siebie wydusić.

- Ja też się boję - odparłem, wchodząc do sypialni.

Gdzieś w środku nocy Angie przekreśliła się na bok i gdy otworzyłem oczy, ujrzałem, że przerzuciła mi nogę przez biodra. Głowę wtuliła w moje ramię, a lewą ręką objęła mnie przez pierś. Poczulem na policzku jej oddech, miarowy i spokojny.

Pomyślałem o Grace, ale jakimś sposobem nie potrafiłem odtworzyć w pamięci jej całej twarzy. Przypominałem sobie włosy albo oczy, ale gdy próbowałem składać poszczególne elementy w całość, nic mi z tego nie wychodziło.

Po chwili Angie jęknęła przez sen i przytuliła się do mnie mocniej.

- Nie - szepnęła cicho. - Nie.

To najkrótsza droga do końca świata, pomyślałem, pogrążając się z powrotem w sennych marzeniach.

Po południu zadzwonił Phil. Podniosłem słuchawkę już po pierwszym sygnale.

- Nie śpisz? - zapytał.
- Nie.
- Mógłbym do was wpaść?
- Angie śpi.
- Nie szkodzi. Ja tylko... Siedzę w samotności i czekam, aż ten gość zaatakuje.

Doprowadza mnie to do szaleństwa.

- W takim razie przychodź, Phil.

Kiedy spaliśmy, temperatura spadła o jakieś dziesięć stopni, a niebo upodobniło się do szlifowanej powierzchni granitowego bloku. Z Kanady nadciągnął porywisty wiatr, który przyginał drzewa do ziemi, uderzał w szyby okien i kołysał samochodami zaparkowanymi na ulicy.

Wkrótce zaczął padać grad. Wszedłem właśnie pod prysznic, gdy zabębnił o parapet niczym lawica żwiru poderwanego z dna przez wielką falę oceaniczną. Kiedy się wycierałem, łomotał już o szyby i ściany, jakby wiatr rzucił się na zabudowania z kłami i szponami.

Phil zaparzył kawę, nim zdążyłem się przebrać w sypialni i wrócić do kuchni.

- Nadal śpi? - zapytał.

Skinąłem głową.

- Odpływa jak Spinks w walce z Tysonem, co nie? Niby jest całkiem przytomna i pełna energii, a chwilę później zwala się z nóg jak kłoda, jakby nie spała od miesiąca. - Przełał kawę do dzbanka. - Jak pamiętam, zawsze tak było.

Wyjąłem sobie puszkę coca-coli z lodówki i usiadłem przy stole.

- Wszystko będzie w porządku, Phil. Nikt jej nie tknie nawet palcem. Tobie też nic się nie stanie.

- Aha. - Postawił dzbanek z kawą na stole. - Spałeś już z nią?

Odchyliłem się na oparcie krzesła i popatrzyłem na niego z ukosa, unosząc brwi.

- Chyba jesteś nie w kursie, Phil.

Wzruszył ramionami.

- Przecież ona cię kocha, Patricku.

- Ale całkiem inaczej. Ty tego pewnie nigdy nie zrozumiesz.

Uśmiechnął się smutno.

- Rozumiem więcej, niż ci się zdaje - rzekł, splatając dłonie wokół gorącego kubka.

- Wiem, że i mnie kocha. To nie podlega dyskusji. Ale od samego początku połowicznie była zakochana także w tobie.

Pokręciłem głową.

- Wyżywałaś się na niej przez tyle lat, Phil. I wiesz co? Nigdy, ani razu się na ciebie nie poskarżyła.

- Wiem.

- Naprawdę? - Pochyliłem się nad stolikiem i ciągnąłem trochę ciszej: - Nie przeszkadzało ci to jednak wyzywać ją od sprzedajnych dziwek. Nie powstrzymało przed tłuczeniem jej na kwaśne jabłko, kiedy tylko przyszła ci na to ochota, prawda?

- Dobrze wiem, jak się zachowywałem, Patricku - odparł równie cicho. - I wiem... jak postępuję teraz. - Zmarszczył brwi i zapatrzył się na kubek z kawą. - Jestem pijakiem, który maltretował żonę. Otwarcie się do tego przyznaję. Jestem sadystą. - Uśmiechnął się gorzko i zerknął przez ramię w stronę drzwi sypialni. - W pełni zasłużyłem sobie na jej nienawiść. Wiem, że już nigdy mi nie zaufa. Pod żadnym względem. Nigdy nie będziemy nawet przyjaciółmi, choćby na niewinnej stopie koleżeńskiej, jak w szkole.

- Pewnie masz rację.

- No właśnie. Ale stało się, jak się stało, niezależnie od przyczyn. Straciłem ją i to na własne życzenie. Zresztą to i dobrze, bo na dłuższą metę będzie jej w życiu lepiej beze mnie.

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek planowała wyrugowanie cię ze swego życia.

Znowu uśmiechnął się krzywo.

- To też typowe dla niej. Ale nie oszukujmy się, Patricku. Angie, mimo swojej demonstracyjnej samodzielności i przebojowości, po prostu nie umie powiedzieć „żegnaj”. Nikomu i niczemu. To jej największa słabość. Nigdy cię nie zastanowiło, dlaczego stale mieszka w domu matki? Dlaczego nie wyrzuciła nawet jednego grata, nie zmieniła mebli?

Spojrzałem na czarną wiekową zastawę stojącą w kredensie, wspomniałem koronkowe serwety na kanapie w saloniku i uświadomiłem sobie, że krzesła, na których obaj teraz siedzimy, rodzice Angie kupili w sklepie Marshalla Fieldsa w Uphams Corner, a ten spłonął przecież doszczętnie gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych. Pomyślałem, że często się tak zdarza, iż człowiek przez całe życie ma coś przed nosem, tyle że najwyraźniej za blisko, żeby to dostrzec.

- Tu muszę przyznać ci rację - odrzekłem.

- Jak sądzisz, dlaczego nigdy nie wyniosła się z Dorchester? Dlaczego taka bystra i śliczna dziewczyna tylko raz w życiu była poza granicą stanu w czasie naszej podróży poślubnej? Dlaczego czekała aż dwanaście lat, żeby wreszcie mnie rzucić? Każda inna kobieta wystąpiłaby o rozwód najdalej po sześciu latach.

Angie nie umie niczego rzucić. To jej pięta achillesowa. Odnoszę wrażenie, że ma to jakiś związek z jej siostrą, która diametralnie się od niej różni.

Nie wiem, co wyczytał w moim spojrzeniu, ale szybko uniósł obie ręce w obronnym geście i dodał:

- Przepraszam. Zapomniałem, że to drażliwy temat.

- Do czego właściwie zmierzasz, Phil?

Wzruszył ramionami.

- Angie nie umie powiedzieć „żegnaj”, dlatego bardzo się stara, żeby jeszcze zatrzymać mnie przy sobie.

- I co z tego?

- Nie mogę jej na to pozwolić. Jestem tylko kamieniem u jej szyi. Na razie powinniśmy oboje... no, nie wiem... trochę zaleczyć dawne rany, pozamykać parę spraw. Chodzi mi o to, że oboje doskonale wiemy, iż wina leży wyłącznie po mojej stronie. To ja we wszystkim zawiniłem, a nie ona.

- A gdy już zaleczycie stare rany?

- Zniknę na dobre. Ze swoim fachem wszędzie znajdę pracę. Bogaci ludzie bez przerwy chcą wprowadzać jakieś zmiany w swoich domach. Zatem wkrótce się stąd wyniosę. Dlatego myślę, że możesz śmiało wziąć to, co ci się należy.

- Phil...

- Daj spokój, Pat. Za długo się znamy. Przyjaźniliśmy się od wczesnego dzieciństwa. Zdążyłem cię poznać. Podobnie jak Angelę. Wiem, że na razie jest ci dobrze u boku Grace i bardzo się cieszę z twojego szczęścia. Naprawdę. Ale spójrz prawdzie w oczy. - Trącił mnie łokciem w bok, zerkając na mnie ciekawie. - Jasne? Chociaż ten jeden raz w życiu bądź ze sobą całkiem szczerzy, kolego. Kochasz Angie od przedszkola. A i ona kocha ciebie.

- Wysłała jednak za ciebie, Phil. - Odsunąłem jego łokieć.

- Bo była na ciebie wściekła...

- To nie jedyny powód.

- Tak, wiem. Mnie także kochała. Przynajmniej przez pewien czas może nawet bardziej niż ciebie. W to nie wątpię. Ale przecież wszyscy potrafimy kochać po kilka osób równocześnie. Jesteśmy tylko ludźmi, w naszych sercach króluje nieporządek.

Uśmiechnąłem się i po chwili dotarło do mnie, że chyba po raz pierwszy od dziesięciu lat zrobiłem to przy nim szczerze.

Kiedy spojrzałem mu w oczy, poczułem, że i w nim odżywa poczucie dawnych więzi łączących nas przez całe spędzone wspólnie dzieciństwo. Obaj tak samo czuliśmy się nieakceptowani przez swoich rodziców. Jego ojciec był alkoholikiem i

niepoprawnym kobieciarzem, który sypiał bodaj z każdą mieszkanką naszego osiedla, bardzo się przy tym starając, żeby jego żona o wszystkim wiedziała. Kiedy Phil miał siedem czy osiem lat, jego dom stał się już istnym poligonem latających talerzy napędzanych wzajemnymi oskarżeniami. Ilekroć Carmine i Laura Dimassi przebywali w jednym pokoju, atmosfera zaczynała przypominać tę w Bejrucie, ale z powodu straszliwego błędu interpretacyjnego przykazań wiary katolickiej żadne z nich nawet nie chciało słyszeć o rozwodzie czy choćby separacji. Najwyraźniej polubili codzienne potyczki przeplatane nocnymi sesjami ostentacyjnego seksu, podczas których małżeńskie łoże tylko łomotało o ścianę oddzielającą pokój ich synów.

Ja z różnych powodów starałem się przebywać poza domem tak długo, jak tylko było to możliwe, toteż Phil szybko do mnie dołączył i wkrótce jedynym pomieszczeniem, gdzie obaj dobrze się czuliśmy, stał się dla nas porzucony gołębnik na dachu piętrowego garażu przy Sudan Street. Oczyszcziliśmy go z ptasich odchodów, wzmocniliśmy ściany deszczułkami ze skrzynek po owocach i umebłowaliśmy sprzętami znalezionymi na śmietniku. Nic więc dziwnego, że szybko dołączyli do nas inni uciekinierzy - Bubba, przez jakiś czas Kevin Hurlihy, Nelson Ferrare, Angie. Stworzyliśmy bandę małych łobuziaków odznaczających się pogardą wobec dorosłych, tendencjami do złodziejstwa i kompletnym brakiem szacunku dla przedstawicieli władzy.

Kiedy teraz spoglądałem na niego ponad kuchennym stołem jego byłej żony, miałem wrażenie, że znów patrzę na tamtego Phila, który tak skutecznie zastępował mi brata. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, jakby wspominał dokładnie to samo, a w mej pamięci odżył jego donośny rechot, gdy ganialiśmy jak stado dzikich wilków po ulicach albo uciekaliśmy po dachach, próbując cały czas utrzymać dystans od ścigających nas rodziców. Jak na dzieciaki do głębi rozgoryczone wyjątkowo dużo się śmialiśmy. Padający za oknami grad nasilał wrażenie, że w dach domu wbijają się strzały tysięcy łuczników.

- Co się z tobą stało, Phil? Spowaźniał błyskawicznie.

- Zaraz. Przecież... Powstrzymałem go, unosząc rękę.

- Wcale nie zamierzam cię osądzać. Jestem po prostu ciekaw. Jak sam powiedziałaś Boltonowi, byliśmy dla siebie niczym bracia. Do diabła, naprawdę byliśmy braćmi. A ty nagle obróciłaś się przeciwko mnie. Skąd się wzięło w tobie aż tyle nienawiści, Phil?

Wzruszył ramionami.

- Nigdy nie umiałem ci wybaczyć paru rzeczy.

- Jakich?

- No, chociażby Angie.

- Tego, że się z nią przespałem?

- Raczej tego, że z tobą straciła dziewictwo. Oboje byliście moimi najlepszymi przyjaciółmi, wszyscy tak samo czuliśmy się zgnębieni, wypaczeni seksualnie, zniewoleni przez wiarę katolicką. I nagle tamtego lata oboje się ode mnie zdystansowaliście.

- Nieprawda.

- Ależ tak. Prawda. - Zachichotał krótko. - Zostawiliście mnie na łasce Bubby, Frankiego Shakesa i kilku innych żalonych typków z sieczką we łbach. A potem... Kiedy to się stało? W sierpniu?

Dobrze wiedziałem, o co mu chodzi. Skinąłem głową i odparłem:

- Czwartego sierpnia.

- Wy dwoje zrobiliście to na plaży Carsona Beach. Po czym, przy całym swoim sprycie, potraktowałeś ją jak śmiecia. Tylko dlatego wróciła do mnie. Byłem drugi na jej liście. Jak zawsze.

- Dlaczego „jak zawsze”?

- Bo tak było. - Rozsiadł się wygodnie i szeroko rozpostarł ręce na stole. - Zawsze uważałem, że mam swój wdzięk i że nieźle wyglądam, ale ty miałaś nosa.

- Żartujesz?

- Ani trochę. Tylko pomyśl, Pat. Ja zawsze zdecydowanie za długo się nad wszystkim zastanawiałem, ty wcześniej robiłaś to instynktownie. Jako pierwszy uświadomiłaś sobie, że Angie już nie jest tylko zwyczajnym członkiem naszej paczki, że zaczynają się za nią oglądać faceci na ulicy, że...

- Daj spokój, byłem po prostu napalony.

- Ale zadziałałaś instynktownie. Zawsze potrafiłaś jako pierwszy właściwie ocenić sytuację i zacząć działać, zanim ktokolwiek inny się zdecydował.

- Bzdury.

- Tak mówisz? - Znowu zachichotał. - Zastanów się, Pat. Przecież to twój wyjątkowy dar. Pamiętasz tych pieprzonych klaunów na Savin Hill?

Uśmiechnąłem się, choć po plecach przeszedł mi dreszcz grozy.

- Pewnie, że pamiętam.

Pokiwał głową. Było jasne, że nawet po dwudziestu latach świetnie pamięta

strach, w jakim żyliśmy przez wiele tygodni po spotkaniu z bandziorami w przebraniu klaunów.

- Gdybyś wtedy nie rzucił piłką baseballową w szybę ich samochodu, kto wie, czy mielibyśmy okazję jeszcze dzisiaj rozmawiać.

- Phil, byliśmy wtedy dziećmi z nazbyt wybujałą wyobraźnią i dlatego...

Energicznie pokręcił głową.

- Owszem, to prawda. Byliśmy tylko dziećmi, do tego przestraszonymi, bo kilka dni wcześniej został zamordowany Cal Morrison, a przecież od dawna karmiono nas bajkami o mordercach przebranych za klaunów i wieloma podobnymi bredniami. Ale to nie zmienia faktu, że obaj tam byliśmy, Patricku. I ty i ja. I doskonale wiesz, co mogłoby się stać, gdybyśmy skorzystali z ich zaproszenia i wsiedli do furgonetki. Wciąż mam przed oczyma tego grata, kupę złomu z uwalanym błotem i zardzewiałymi zderzakami. Wciąż czuję smród buchający ze środka przed otwarte okno...

Przypomniałem sobie nagle zdjęcie białej furgonetki z wybitą przednią szybą dołączone do akt Hardimana.

- Phil! - syknąłem. - Jezus, Maryja...

- Co się stało?

- Tych dwóch klaunów... Sam powiedziałeś przed chwilą, że spotkaliśmy ich zaledwie parę dni po zabójstwie Cala. To ja rzuciłem wtedy piłką baseballową w przednią szybę ich auta...

- No pewnie. Pamiętam jak dziś.

- A potem opowiedziałem o wszystkim ojcu. - Pospiesznie zakryłem dłonią usta, głównie dlatego, że nie mogłem ich zamknąć z powodu szoku.

- Chwileczkę - mruknął.

Kiedy spostrzegłem, że i on zaczyna kojarzyć fakty, najwyraźniej rozżarzone mrówki wędrujące po moim grzbiecie przeniosły się na niego, gdyż w rozszerzonych źrenicach ujrzałem błyski zrozumienia.

- Naznaczyłem tę furgonetkę - jęknąłem. - Naznaczyłem ją, Phil, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Dlatego potem SOSEE odnalazło ją bez trudu.

Jego osłupiała mina świadczyła wyraźnie, że i on podziela moje wnioski.

- Chcesz powiedzieć, Patricku...

- To Alec Hardiman i Charles Rugglestone byli przebrani za klaunów.

31

Przez kilka tygodni po zabójstwie Cala Morrisona wszystkie dzieciaki na naszym osiedlu żyły w strachu.

Baliśmy się głównie czarnych, bo krążyła plotka, że Cala zamordował czarny włóczęga. Ale baliśmy się też siwych obdartusów, którzy zbyt nachalnie przyglądają się ludziom w metrze, samochodów przejeżdżających skrzyżowania jeszcze długo po tym, jak zapaliło się zielone światło dla pieszych, albo zwalniających przy krawężniku w pobliżu samotnego przechodnia, jak też bezdomnych żebraków, cuchnących zaułków i mrocznych parkowych alejek, gdzie najczęściej przebywali.

Baliśmy się prawie wszystkiego.

Ale nic nie wzbudzało aż takiego przerażenia wśród dzieciaków jak klauni.

Z perspektywy czasu wydawało się to głupie. Mordercy w przebraniach klaunów pojawiali się tylko w podrzędnych kryminałach i tanich horrorach wyświetlanych w kinach dla zmotoryzowanych. Należeli do królestwa wampirów i prehistorycznych gadów tratujących Tokio. Tego typu wymysły mogły przstraszyć wyłącznie najmniej odpornych odbiorców, czyli właśnie dzieci.

Jak tylko dorosłem, przestałem się bać ciemnego wnętrza szafy, gdy zdarzyło mi się budzić w nocy. Trzaski wypełniające drewniany dom, w którym się wychowywałem, także przestały nieść ze sobą przerażenie, stały się tylko trzaskami oznaczającymi starzenie się drewna i osiadanie fundamentów. Przestałem się bać czegokolwiek, może poza widokiem wylotu lufy wymierzonej mi w twarz czy

gwałtownych błysków wściekłości w oczach rozgoryczonych pijaków i zasępionych mężczyzn dochodzących do wniosku, że całe ich życie upływa zauważalnie tylko dla nich.

Jednakże w latach młodości ucieleśnieniem najgorszego lęku byli dla mnie klauni.

Trudno powiedzieć, skąd się wzięła ta bajeczka. Może ktoś wymyślił ją naprędce dla zabicia czasu przy ognisku na letnim obozie, a może ktoś z naszej paczki widział krwiożerczych klaunów w jakimś tandetnym filmie. W każdym razie gdy miałem jakieś sześć lat, wszyscy z sąsiedztwa wiedzieli już o klaunach, tyle że nikt się nie chciał przyznać, czy naprawdę ich widział.

Niemniej plotki krążyły z ust do ust.

Mieli jakoby jeździć furgonetką z workami pełnymi cukierków i kolorowych baloników oraz bukietami papierowych kwiatów wyskakujących im z szerokiego rękawa. Ale na skrzyni auta mieli też wozić jakąś maszynę, która w ułamku sekundy ogłuszała dzieci i te już nigdy nie odzyskiwały przytomności.

A ciałem ogłuszonej ofiary zajmowali się klauni.

Najpierw podrzynali gardła.

Przy czym, z samej natury klaunów mających wymalowane na twarzach wielkie usta, robili to z uśmiechem.

Razem z Philem chyba jednocześnie przestaliśmy się ich bać, osiągnąwszy ten wiek, gdy każdy uświadamia sobie, że naprawdę nie ma żadnego świętego Mikołaja i że nikt z nas nie jest zaginionym dzieckiem dobroczynnego miliardera, który pewnego dnia weźmie go pod swą opiekę.

Wracaliśmy wtedy z meczu szkolnych drużyn baseballu na Savin Hill i jeszcze do zmierzchu postanowiliśmy się pobawić w policjantów i złodziei w lasku na tyłach szkoły Motleya, kończąc pozorowany pościg wdrapaniem się na dach szkolnego budynku po chwiejnej, przerdzewiałej drabince pożarowej. Zanim zesliśmy z powrotem na dół, zrobiło się już chłodno, a nasze wydłużone cienie tańczyły po ścianach i rozlewały się daleko po betonowym placu, jakby się w niego wtapiały.

Ruszyliśmy w dół Savin Hill Avenue, gdy słońce już całkiem zaszło, a niebo przybrało odcień polerowanej stali, rzucając do siebie piłką, żeby choć trochę się rozgrzać i zapomnieć o natarczywym burczeniu w pustych brzuchach, które oznaczało, że wcześniej czy później trzeba będzie wrócić do domu, co nie za bardzo nas pociągało.

Furgonetka pojawiła się za nami niespodziewanie, wyskoczyła z bocznej uliczki

prowadzącej od stacji metra i jak sobie teraz przypominam, uderzyło mnie nagle, że poza nami na pustym wzgórzu nikogo nie ma. Wybetonowany placyk przed niewielką grupą domków sprawiał takie wrażenie, jak uliczki naszego osiedla w porze obiadowej. Chociaż nie było jeszcze całkiem ciemno, w oknach zapalały się już światła, mieszkańcy zasiadali do stołu. O tej godzinie pustoszały nawet wiecznie zatłoczone bary.

Phil odbił kijem rzuconą przeze mnie piłkę i ta poleciała nieco wyżej, niż się spodziewałem. Musiałem skoczyć z całych sił i wykręcić się w powietrzu, żeby ją złapać. Kiedy wylądowałem na chodniku i złapałem równowagę, ujrzałem nienaturalnie białą twarz, kłębówisko niebieskich włosów i wygięte w uśmiechu jaskrawoczerwone grube wargi za przednią szybą furgonetki.

- Całkiem nieźle - odezwał się klaun.

Był tylko jeden sposób, w jaki dzieci z naszego osiedla mogły zareagować na widok klauna.

- Spierdalaj! - rzuciłem.

- Cóż za słownictwo - burknął.

Nie spodobał mi się jego fałszywy uśmiech, brzmienie głosu, a jeszcze bardziej dłoń w rękawiczce sięgająca przez otwarte okno do zewnętrznej klamki drzwi.

- Piękne - dodał kierowca. - Naprawdę urocze. Twoja matka wie, że się tak wyrażasz?

Byłem najwyżej metr od drzwi furgonetki, stałem na chodniku jak sparaliżowany, nie mogłem się ruszyć z miejsca. Nie mogłem także oderwać wzroku od tych grubych czerwonych ust klauna.

Kątem oka spostrzegłem, że Phil, znajdujący się jakieś trzy metry dalej, także stoi jak wmurowany.

- Może was podwieźć? - zapytał klaun siedzący bliżej mnie.

Pokręciłem głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

- Widzisz? Ten gówniarz wcale nie jest taki wygadany, jak się wydawało.

- Aha. - Kierowca wyjrzał zza swego kolegi. Szybkim spojrzeniem obrzuciłem jego krwistoczerwone włosy i wielkie żółte koła wokół oczu. - Wyglądacie na przemarzniętych.

- Pewnie. Mają nawet gęsią skórę na rękach - dodał drugi.

Przesunąłem się o dwa kroki w prawo, mając wrażenie, jakbym stał na grubej, miękkiej, przesiąkniętej wodą gąbce.

Klaun siedzący z prawej strony pospiesznie rozejrzał się po pustej ulicy i znowu wlepił spojrzenie we mnie.

Kierowca zerknął w lusterko i zdjął ręce z kierownicy. - Patrick? - zawołał Phil. - Chodźmy już.

- Więc nazywasz się Patrick? - zagadnął niebieskowłosy, z wyraźną rozkoszą smakując moje imię. - Bardzo ładnie. A jak masz na nazwisko, Patricku?

Do dziś nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego wtedy odpowiedziałem. Pewnie ze strachu, z podświadomej chęci zyskania na czasie. Nawet wtedy powinienem zachować tyle zimnej krwi, żeby podać fikcyjne nazwisko. Ale mi jej zabrakło. Chyba w przyływie desperacji przemknęło mi przez głowę, że jeśli poznają moje prawdziwe nazwisko, uznają mnie za pełnoprawnego człowieka, a nie potencjalną ofiarę, więc nic złego mi się nie stanie.

- Kenzie - odparłem.

Klaun uśmiechnął się jeszcze szerzej. W tej samej chwili szczęknął zamek otwieranych drzwi, a ten odgłos rozniósł się po pustej ulicy niczym, wystrzał z rewolweru.

I właśnie wtedy rzuciłem w furgonetkę piłką baseballową.

Nie mogę sobie przypomnieć, żebym to planował. Błyskawicznie odskoczyłem jeszcze dwa kroki w prawo - chociaż wtedy wydawało mi się, że zrobiłem to w ślimaczym tempie - i chyba chciałem trafić w głowę klauna wysiadającego z auta. Ale piłka wyśliznęła mi się z dłoni.

- Cholera! - krzyknął ktoś.

Rozległ się donośny trzask. Piłka trafiła w sam środek przedniej szyby, która natychmiast pokryła się gęstą siatką spękań.

- Ratunku! Pomocy! - wrzasnął Phil.

Drzwi szoferki otworzyły się gwałtownie i ujrzałem przed sobą twarz klauna wykrzywioną z wściekłości.

Odwróciłem się na pięcie i z trudem łapiąc równowagę, pognałem w dół zbocza, w czym wydatnie pomogła mi siła ciężenia.

- Ratunku! - wrzasnął jeszcze raz Phil i również rzucił się do ucieczki.

Prawie go dogoniłem, wciąż wymachując szeroko rękoma dla utrzymania się na nogach i ewentualnego odepchnięcia płyt chodnikowych przemykających niebezpiecznie blisko przed moim nosem.

Na rogu Savin Hill Avenue i Sydney Street wyłonił się z baru „Buldog” krzepki

olbrzym z wąsiskami gęstymi jak pędzel malarski i za naszymi plecami rozległ się pisk hamulców. Grubas popatrzył na nas ze złością. Ścisnął w garści krótką drewnianą pałkę i w pierwszej chwili pomyślałem, że przeciwiczy ją na naszych karkach.

Był jednak w fartuchu gęsto pokrytym czerwonymi i brunatnymi plamami od porcjowanego mięsa.

- Co tu się dzieje, do cholery?! - warknął, po czym zmrużył oczy i popatrzył w górę zbocza ponad moim ramieniem.

Przemknęło mi wtedy przez myśl, że furgonetka pędzi prosto na nas, że zaraz wskoczy na chodnik i nas przejedzie.

Obejrzałem się, chcąc przed śmiercią po raz ostatni spojrzeć w oczy mojemu oprawcy, ale zamiast niego zobaczyłem tylko świecące słabo czerwone światła hamowania. Furgonetka pokonała zakręt z piskiem opon i zniknęła nam z oczu w głębi Grampian Way.

Właściciel baru dobrze znał mojego ojca i ten zjawił się w „Buldogu” po jakichś dziesięciu minutach, kiedy siedzieliśmy już z Philem przy kontuarze nad szklankami piwa imbirowego, udając, że to prawdziwa whisky.

Ojciec nie zawsze był tyranem, miewał swoje dobre dni. A z niewiadomego powodu tamten dzień był jednym z jego najlepszych. Nie okazał nawet złości, że nie wróciłem do domu na obiad, chociaż nie dalej, jak tydzień wcześniej, za to samo dostałem tęgie baty. Zwykle traktował moich kolegów jak powietrze, ale tym razem poczochnął Philowi włosy, po czym zamówił dla nas drugą kolejkę piwa imbirowego i po wielkiej kanapce z befsztykiem. Przesiedzieliśmy razem z nim w barze aż do późnego wieczoru, dopóki ciemność nie zaczęła zaglądać do środka przez otwarte drzwi i nie zaczął się robić ścisk przy kontuarze.

Kiedy roztrzęsionym głosem opowiedziałem mu, co się stało, popatrzył na mnie z taką troską i czułością, z jaką nigdy wcześniej u niego się nie spotkałem. Wielkim grubym paluchem odgarnął mi z czoła kosmyk zlepionych potem włosów i serwetką starł mi jakiś okruch chleba z kącika ust.

- No to mieliście dzień pełen przygód - rzekł i uśmiechnął się szeroko do Phila, na co ten też wyszczerzył zęby.

Uśmiech na twarzy mojego ojca był czymś tak rzadkim, że niemal graniczącym z cudem.

- Wcale nie chciałem stłuc im szyby - powiedziałem. - Naprawdę, tato.

- W porządku.

- Nie jesteś na mnie zły?

W zamyśleniu pokręcił głową.

- Myślałem...

- Wspaniale się spisałeś, Patricku. Po prostu wspaniale - szepnął. Przytulił moją głowę do swojej szerokiej piersi, cmoknął mnie w policzek i przyglądał palcami mój odstający kosmyk włosów nad karkiem. - Jestem z ciebie dumny.

Tylko ten jeden jedyny raz w życiu usłyszałem od ojca takie słowa.

- Klauni? - zdziwił się Bolton.

- Klauni - odparłem.

- Tak, klauni - powtórzył Phil.

- Rozumiem - mruknął cicho Bolton, rytmicznie kiwając głową. - Klauni.

- Mówię poważnie.

- Aha. - Nie przestając kiwać głową, odwrócił się i spojrzał mi w oczy. - Ja jednak mam wrażenie, że zwyczajnie robicie mnie w konia. - Otarł usta wierzchem dłoni.

- Nic podobnego.

- To szczerą prawdą - dodał Phil.

- Jezu... - Bolton oparł się o zlew i spojrzał na Angie. - Proszę mi przynajmniej powiedzieć, że pani umywa od tego ręce, panno Gennaro. Pani wydaje mi się najrozsądniejszą osobą w tym towarzystwie.

Angie nerwowo docisnęła węzeł paska szlafroka.

- Sama nie wiem, czy mam w to uwierzyć. - Wzruszyła ramionami, machnęła ręką w naszym kierunku i dodała: - Wygląda mi na to, że mówią prawdę.

- Posłuchajcie jeszcze przez chwilę...

W trzech susach stanął tuż przede mną.

- Nie! Dość tego! To przez pana kazałem ludziom zejść z posterunków, Kenzie. Jak tylko pan zadzwonił i oznajmił, że rozwikłał sprawę...

- Kiedy wcale...

- ...że zna pan wyjaśnienie zagadki i musi się natychmiast ze mną zobaczyć. Przyjechałem więc i ku memu zdumieniu zobaczyłem najpierw jego... - wymierzył palec w Phila - ...a potem ich. - Ruchem głowy wskazał trzymających się na uboczu Devina i Oscara. - I teraz możemy odłożyć między bajki nadzieję na wciągnięcie Evandra w pułapkę, bo wygląda na to, że razem z policją uknułicie jakiś spisek. -

Zamilkł, żeby zaczerpnąć oddechu. - Mogłem się jeszcze ludzić, dopóki nasze działania zmierzały do jakiegoś, choćby wydumanego, ale konkretnego celu. A tymczasem zamiast niego wy podsuwacie mi klaunów!

- Panie Bolton, to wcale nie jest żart - odezwał się Phil.

- No dobrze. Spróbujmy zatem podsumować. Dwadzieścia lat temu dwóch cyrkowców z krzaczastymi włosami i w bufiastych portkach podjechało do was furgonetką, kiedy szliście na mecz szkolnej ligi baseballu...

- Wracaliśmy - skorygowałem.

- Co?

- Nie szliśmy na mecz, tylko z niego wracaliśmy - rzekł Phil.

- Mea culpa - syknął Bolton, składając karykaturalny dworski ukłon. - Mea maxima pieprzona culpa, tu morani.

- Jeszcze nikt nie obrażał mnie po łacinie - mruknął Devin do Oscara. - A ciebie?

- Najwyżej po chińsku, ale nie po łacinie.

- W porządku - ciągnął Bolton. - A więc zaczęło was dwóch cyrkowców, gdy wracaliście z meczu, a ponieważ, jeśli dobrze zrozumiałem, panie Kenzie, Alec Hardiman podczas spotkania w więzieniu śpiewał „Przyślijcie klaunów”, doszedł pan do wniosku, że to on musiał być jednym z tych dwóch intruzów, z czego, rzecz jasna, należy wnioskować, że mordował ludzi, by dostać się do pana, bo wtedy zdołaliście mu uciec.

- To nie jest aż tak proste.

- No, dzięki Bogu. Proszę posłuchać, panie Kenzie. Dwadzieścia pięć lat temu zaprosiłem na randkę Carol Yaeger z Chevy Chase w Marylandzie, a ona zaśmiała mi się w twarz. Nie oznacza to jednak...

- Nie do wiary - mruknął Devin.

- ...że doszedłem do logicznego wniosku, iż należy odczekać te dwadzieścia lat, po czym wymordować wszystkich jej znajomych z tamtego okresu.

- Bolton - przerwałem mu - z przyjemnością słuchałbym dalej, jak kopie pan sobie elegancką norę, ale nie mamy czasu. Przyniósł pan akta Hardimana, Rugglestone'a i Morrisona, jak o to prosiłem?

Poklepał teczkę.

- Mam je tutaj.

- Więc proszę je wyjąć.

- Panie Kenzie...

- Proszę.

Otworzył teczkę, wyciągnął pękate akta i położył je na kuchennym stole.

- Co dalej?

- Proszę sprawdzić wyniki pośmiertnych badań laboratoryjnych krwi Rugglestone'a, zwracając szczególną uwagę na obecność nieznanymi toksyn.

Włożył okulary, szybko odnalazł właściwy dokument i zapytał:

- Tak?

- Jakie substancje odkryto w ranach na twarzy zabitego? Pochylił się i odczytał:

- Sok z cytryny, wodę utlenioną, talk, olej mineralny, kwas stearynowy, PEG-32, trietanolaminę, lanolinę... wszystkie najważniejsze składniki pudru kosmetycznego.

- Podniósł głowę. - I co z tego?

- Teraz proszę poszukać tych samych danych w aktach Hardimana.

Przerzucił parę kartek, przeczytał po cichu i zapytał: - A więc obaj mieli na twarzach makijaż. O czym to ma świadczyć?

- To był biały puder kosmetyczny, taki, jakiego używają właśnie klauni.

- Aha...

- Pod paznokciami Cala Morrisona znaleziono w przybliżeniu ten sam zestaw substancji.

Otworzył akta Morrisona i zaczął je kartkować, dopóki nie trafił na wyniki badań. Przeczytał je uważnie.

- To jednak... - zaczął.

- Proszę teraz odszukać zdjęcie furgonetki znalezionej na miejscu zbrodni. Była zarejestrowana na Rugglestone'a.

Wrócił do poprzedniejteczki.

- O, jest.

- Ma wybitą przednią szybę, prawda?

- Zgadza się.

- Ale skrzynia została dokładnie umyta silnym strumieniem wody z węża, prawdopodobnie wcześniej tego samego dnia.

W okresie między umyciem auta a odnalezieniem go przez policję ktoś stłukł szybę, rzucając w nią cegłówką, do czego doszło prawdopodobnie w tym samym czasie, gdy Rugglestone był torturowany.

- I co z tego?

- To ja naznaczyłem ten wóz, rzuciłem w niego piłką baseballową i trafiłem w sam

środek przedniej szyby, która popękała. Tylko na tej podstawie doszedłem do wniosku, że spotkanymi przez nas klaunami byli Hardiman i Rugglestone. Gdyby nie ta wybita szyba, w ogóle nie przyszłoby mi to do głowy.

- I jaki stąd wniosek?

Sam nie chciałem w to wierzyć, dopóki nie powiedziałem tego na głos.

- Moim zdaniem to członkowie SOSEE zamordowali Charlesa Rugglestone'a.

- On ma rację - odezwał się po dłuższej przerwie Devin.

Okolo ósmej grad przeszedł w lodowaty deszcz marznący niemal natychmiast po zetknięciu z ziemią. Strugi wody ściekającej po szybach w dolnej części okna zastygały w mleczną spękaną powłokę lodową, powiększającą się z minuty na minutę.

Bolton wysłał swojego człowieka do ruchomego centrum dowodzenia, żeby skopiował wszystkie akta i od godziny siedzieliśmy w jadalni Angie, studiując je uważnie.

- Wciąż nie jestem przekonany - odezwał się w końcu.

- Przecież tu wszystko jest jak na dłoni - odrzekła Angie. - Cały akt oskarżenia został oparty na założeniu, że Alec Hardiman naszprycowany fenylocyklidyną w trakcie zabójstwa Rugglestone'a odwalił robotę dziesięciu mężczyzn. Gdybym była przeświadczona, że wcześniej w podobny sposób zabił parę innych osób, pewnie też przychyliłabym się do takiego wniosku. Ale przecież miał uszkodzone nerwy lewej ręki i znaleziono go nieprzytomnego. Jeśli rozpatrzy się urazy Rugglestone'a przy założeniu, że faktycznie torturowało go dziesięciu mężczyzn... no, może siedmiu, wtedy wszystko idealnie do siebie pasuje.

- Ojciec Patricka wiedział o pękniętej przedniej szybie furgonetki - dodał Devin. - Dlatego razem z przyjaciółmi z SOSEE mógł ją bez trudu odnaleźć, wytropić Hardimana i Rugglestone'a...

- Zatem to SOSEE zamordowało Rugglestone'a - podsumował Oscar z wyraźnym niedowierzaniem w głosie.

Bolton jeszcze raz spojrział na akta, potem na mnie i znów zapatrzył się na dokumenty. Poruszył bezgłośnie wargami, po raz kolejny wczytując się w opis urazów zabitego Rugglestone'a. Kiedy podniósł głowę, na chwilę rozdziawił usta, by po chwili przyznać cicho:

- Macie rację.

- Zwykła bajeczka dla dzieci - szepnął Bolton.

- Słucham?

Siedzieliśmy razem w jadalni. Reszta poszła do kuchni, gdzie Oscar przygotowywał swoje osławione paluszki befsztykowe. Dostrzegłem w półmroku, że uniósł obie ręce.

- Zupełnie jak u braci Grimm. Dwóch klaunów, przepaścista furgonetka, zagrożenie dla wszystkich niewinnych.

Wzruszyłem ramionami.

- W tamtym czasie naprawdę się ich baliśmy.

- A pański ojciec? - zapytał. Kiedy odwróciłem głowę i zapatrzyłem się na lód pochłaniający od zewnątrz szybę, dodał: - Wie pan, co mam na myśli?

Pokiwałem głową.

- Wydaje mi się, że to on przypiekał Rugglestone'a ogniem.

- Kawalek po kawalku - rzekł Bolton. - Słuchając panicznych wrzasków tego biedaka.

W powłoce lodu pojawiła się szersza szczelina, którą krople deszczu spłynęły aż do okiennej ramy. Niemal w mgnieniu oka zmatowiały, tworząc nieco jaśniejszą żyłkę.

- Owszem - mruknąłem, nie mogąc wyrzucić z pamięci tamtego ojcowskiego pocałunku. - To mój ojciec przypiekał żywcem Rugglestone'a. Kawalek po kawalku.

- Był do tego zdolny?

- Już panu mówiłem, agencie Bolton, że był zdolny do wszystkiego.

- Ale do czegoś takiego?!

W moich wspomnieniach z coraz większą mocą odzywał dotyk warg ojca na moim policzku, jego puls, który słyszałem, gdy przytulił moją głowę do piersi i prawdziwa miłość w jego głosie, gdy mówił, że jest ze mnie dumny.

Jakby na przekór sobie wróciłem pamięcią do tej chwili, gdy przypalał mnie żelazkiem, gdy swąd palonego ciała unoszący się nad moim brzuchem przyprawiał mnie o mdłości, a on patrzył na mnie z wściekłością w oczach graniczącą z ekstazą.

- Nie tylko był do tego zdolny - dodałem - ale zapewne sprawiało mu to ogromną radość.

Siedzieliśmy w jadalni i posilaliśmy się befsztykowymi paluszkami, kiedy wszedł Erdham.

- Tak? - zagadnął Bolton.

Ten podał mu fotografię i rzekł:

- Pomyślałem, że powinien pan to zobaczyć.

Bolton otarł usta i palce serwetką, wziął od niego zdjęcie i obrócił je do światła.

- To jedno z tych, które znaleziono w mieszkaniu Arujo, prawda?

- Tak jest.

- Udało się wam zidentyfikować te osoby?

Erdham pokręcił głową.

- Jeszcze nie.

- Więc dlaczego mi to pokazujecie, agencie Erdham?

Ten spojrział na mnie i zmarszczył brwi.

- Nie chodzi o ludzi, lecz o miejsce, gdzie to zdjęcie zostało zrobione.

Bolton zmrużył oczy.

- Tak?

- Jeśli...

- Chwileczkę. - Bolton rzucił serwetkę na stół.

- Tak jest - mruknął Erdham, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

Bolton spojrział na mnie.

- To przecież pański dom. Odłożyłem widelec.

- Nie rozumiem.

- Na tym zdjęciu widać werandę pańskiego domu.

- Ktoś sfotografował mnie i Patricka? - zdziwiła się Angie. Bolton pokręcił głową.

-

Nie, jakąś obcą kobietę z małą dziewczynką.

- Grace! - jęknąłem.

32

Jako pierwszy wypadłem z domu Angie. Z telefonem komórkowym przy uchu wyskoczyłem na werandę i odprowadziłem wzrokiem kilka nieoznakowanych ciemnych aut, które z piskiem opon skręciły w Howes Street.

- Grace?

- Tak?

- Nic ci nie jest?

Pośliznąłem się na oblodzonej terakocie i z trudem złapałem równowagę, chwytając się poręczy. Za mną wybiegli Angie i Bolton.

- Co? Obudziłeś mnie. O szóstej muszę wstać do pracy. Która godzina?

- Dziesiąta. Przepraszam.

- Możemy odłożyć tę rozmowę do jutra?

- Nie. Wykluczone. Nie dam ci spokoju, dopóki nie posprawdzasz wszystkich drzwi i okiem.

Przed moim domem z piskiem opon zatrzymał się pierwszy samochód.

- Co się dzieje?

- Grace, sprawdź drzwi i okna. Upewnij się, że są dobrze pozamykane.

Ostrożnie wkroczyłem na oblodzony chodnik. Połyskujące od lodu gałęzie drzew smętnie zwieszały się ku ziemi. Asfalt na ulicy przypominał gładką czarną emalię naczyń kuchennych.

- Patricku, ja...

- Sprawdź je natychmiast, Grace.

Wskoczyłem na tylne siedzenie stojącego najbliżej auta, granatowego lincolna. Angie wcisnęła się obok mnie. Bolton zajął miejsce z przodu i podał kierowcy adres Grace.

- Ruszaj! - Uderzyłem dłonią w bok fotela kierowcy. - Jazda!

- Patricku, co się dzieje? - zapytała Grace.

- Sprawdziłaś drzwi?

- Właśnie sprawdzam. Frontowe są zamknięte. Drzwi od piwnicy też. Zaczekaj, idę na tyły domu.

- Coś nadjeżdża z prawej! - rzuciła ostrzegawczo Angie.

Ale kierowca tylko dodał gazu, przelatując przez skrzyżowanie. Wóz nadjeżdżający od wschodu zaczął gwałtownie hamować, z rykiem klaksonu wpadł w poślizg i obróciło go bokiem na środku skrzyżowania. Podążające za nami samochody FBI musiały ciasnym łukiem odbić w prawo, żeby go wyminąć od tyłu.

- Tylne drzwi także są zamknięte - ciągnęła Grace. - Zaczynam sprawdzać okna.

- Świetnie.

- Diabelnie mnie przestraszyłeś.

- Wiem. Przepraszam. Sprawdzaj dalej.

- W sypialni od frontu i w saloniku są pozamykane. Idę do pokoju Mae. Tu też zamknięte...

- Mamusiu?

- Wszystko w porządku, skarbie. Zostań w łóeczku. Zaraz do ciebie wrócę.

Lincoln, co najmniej z setką na liczniku, skręcił na podjazd prowadzący na autostradę numer 93. Tyłem wozu mocno zarzuciło, spod kół trysnęły strugi rozjeżdżonego gradu. Odbiliśmy się zderzakiem od betonowej przegrody rozdzielającej pasy.

- Jestem w pokoju Annabeth - przekazała szeptem Grace. - Tu też wszystko zamknięte. Zaraz, jedno otwarte.

- Otwarte?

- Tak. Musiała je uchylić, zanim położyła się do łóżka.

- Cholera.

- Patricku, powiedz mi, co się dzieje.

- Zamknij je, Grace. Natychmiast.

- Już to zrobiłam. Czyżbyś myślał...

- Gdzie twój rewolwer?
- Mój rewolwer? Przecież nie mam broni. Brzydzę się nią.
- W taki razie weź nóż.
- Słucham?
- Weź nóż, Grace. Na miłość boską!

Angie wyrwała mi aparat z ręki i nakazała milczenie, przykładając palec do warg.

- Grace, tu Ange. Posłuchaj. Prawdopodobnie jesteście w niebezpieczeństwie. To jeszcze nic pewnego. Dlatego nie rozłączaj się i nie ruszaj z miejsca, chyba żebyś zauważyła kogoś obcego w domu.

Patrzyłem na przemykające nad nami tablice z nazwami kolejnych zjazdów - Andrew Square, Massachusetts Avenue... Wreszcie skręciliśmy na Frontage Road, minęliśmy składowisko odpadów przemysłowych i bazę śmieciarek firmy „Big Dig”, zmierzając w stronę East Berklee.

- Bolton, nie można jej wystawić na przynętę - powiedziałem.
- Wiem.
- Chciałbym, żebyście ją umieścili w tak dobrze utajnionym bezpiecznym miejscu, żeby nawet sam prezydent jej nie znalazł.
- Rozumiem.
- Weź Mae i zamknij się z nią na zasuwkę w którymś pokoju - tłumaczyła przez telefon Angie. - Będziemy u was najdalej za trzy minuty. Gdyby ktoś próbował się dostać do środka, wyskakujcie przez okno i biegnijcie w stronę głównej ulicy, Huntington Avenue albo Massachusetts Avenue, wrzeszcząc, ile sil w płucach.

Wpadliśmy na pierwsze skrzyżowanie w East Berklee na czerwonym świetle. Jakiś wóz z trudem wykręcił, uciekając nam z drogi, wskoczył na chodnik i wpadł na latarnię przed hotelem „Pine Street Inn”.

- Muszę się trzymać przepisów - mruknął Bolton.
- Nie, nic podobnego! - rzuciła z naciskiem Angie. - Nie wychodźcie z domu, dopóki nie usłyszycie podejrzanych hałasów oznaczających, że ktoś jest w środku. Gdyby czekał przed domem, wpadłybyście mu w łapy. Jesteśmy już prawie na miejscu, Grace. W którym pokoju się zamknęłyście?

Tylne koło odbiło się od krawężnika, gdy w poślizgu skręciliśmy w Columbus Avenue.

- W sypialni Mae? Dobrze. Jesteśmy kilkaset metrów od was.

Chodniki były tu pokryte centymetrową warstwą lodu, tak gładkiego i

połyskliwego, że można by odnieść wrażenie, iż poruszamy się po błyszczącej powierzchni lukrecji.

Grzmotnąłem pięścią w drzwi, kiedy wozem znowu ostro zarzuciło i kilka razy odbiliśmy się od krawężnika.

- Spokojnie - syknął Bolton.

Angie klepnęła mnie w kolano.

Gdy skręcaliśmy w West Newton, z mojej pamięci wypłynął szereg czarno-białych obrazów jak na zdjęciach prasowych:

Zwłoki Kary ukrzyżowanej na zmarzniętej ziemi.

Głowa Jasona Warrena kołysząca się na grubym kablu.

Twarz Petera Stimovicha z mrocznymi jamami oczodołów po wyłupanych gałkach ocznych.

Mae tarzająca się z psem na trawniku.

Kropelki potu na skórze Grace siedzącej na mnie okrakiem którejs ciepłej i parnej nocy.

Cal Morrison zamknięty w skrzyni tej obskurnej białej furgonetki.

Obrzydliwie grube czerwone wargi klauna powtarzającego moje imię.

- Grace - wyszeptalem mimowolnie.

- Wszystko w porządku - rzuciła Angie do telefonu. - Już dojeżdżamy.

Skręciliśmy w ulicę Saint Botolph. Kierowca zahamował zbyt gwałtownie, toteż na oblodzonej jezdni w poślizgu minęliśmy brązowy fronton domu Grace i zatrzymaliśmy się dopiero dwie posesje dalej.

Pozostałe samochody podobnie zatrzymywały się za nami gdzie popadnie, gdy wyskoczyłem z lincolna i pogałem do drzwi. Pośliznąłem się na oblodzonym chodniku, opadłem na kolana i w tej samej chwili dostrzegłem sylwetkę jakiegoś człowieka, który wyskoczył pomiędzy aut zaparkowanych na prawo ode mnie i rzucił się biegiem w tym samym kierunku. W półobrocie błyskawicznie uniosłem rewolwer i wymierzyłem w jego pierś, kiedy przez deszcz zalewający mi oczy ujrzałem, jak podnosi w górę rękę.

Naciskałem już spust, gdy zawołał:

- Nie strzelaj, Patricku!

To był Nelson.

Opuścił rękę i popatrzył na mnie ze zdziwioną miną, gdy Oscar wpadł na niego od tyłu jak rozpędzony pociąg i zwałił go z nóg. Grzmotnęli obaj na zmarzniętą trawę i

szczupły Nelson całkowicie zniknął pod zwalistą sylwetką gliniarza.

- W porządku, Oscar! - zawołałem. - To mój człowiek. Pracuje dla mnie.

Pozbierałem się z ziemi i popędziłem dalej do drzwi. Angie i Devin zdążyli do mnie dołączyć, gdy Grace otworzyła drzwi i zapytała:

- Patricku, co tu się dzieje, do diabła?!

Zerknęła ponad moim ramieniem na Boltona wydającego rozkazy swoim ludziom i oczy jej się rozszerzyły. W oknach sąsiednich domów zapalały się światła.

- Już wszystko w porządku - odparłem.

Devin z pistoletem w ręku przepchnął się obok mnie i stanął przed Grace.

- Gdzie pani córeczka?

- Słucham? W swoim pokoju.

Skoczył do środka, zaciskając obie ręce na kolbie broni.

- Zaraz! Chwileczkę! - Grace ruszyła za nim.

Angie i ja wbiegliśmy po schodach do wejścia. Agenci FBI z latarkami w rękach rozsypali się po podwórkach przyległych posesji.

Grace wymierzyła oskarżycielsko palec w pistolet Devina i zażądała:

- Proszę to natychmiast odłożyć, sierżancie. Nie życzę sobie...

Mae wybuchnęła płaczem.

- Mamusiu!

Devin ruszył w głąb domu z pistoletem przy udzie i zaczął kolejno otwierać drzwi i zaglądać do wszystkich pomieszczeń.

Żołądek podszedł mi do gardła, gdy stanąłem pośrodku słabo oświetlonego saloniku i uzmysłowiłem sobie, że trzęsą mi się ręce. Zza zamkniętych drzwi sypialni wciąż dolatywał stłumiony szloch małej. Ruszyłem w tamtym kierunku.

Przemknęło mi przez myśl, że omal nie zastrzeliłem Nelsona. Szybko opanowałem jednak dreszcz grozy.

Grace trzymała córkę na rękach. Mae obejrzała się, lecz na mój widok znów ze zdwojoną siłą wybuchnęła płaczem.

Grace spojrzała na mnie ze złością.

- Matko Boska. Czy to naprawdę było konieczne?

Za oknami przesuwały się jasne plamy światła latarek.

- Tak - odpowiedziałem stanowczo.

- Patricku - syknęła ze złością, patrząc na moją prawą rękę. - Odlóż to!

Spojrzałem w dół i ujrzawszy rewolwer w swojej dłoni, uzmysłowiłem sobie, że to

on jest powodem płaczu małej. Pospiesznie schowałem go do kabury i gdy popatrzyłem z powrotem na nie, matkę siedzącą na brzegu łóżka, tulącą do siebie zapłakaną córkę, poczułem się jak łajdak, który sprowadził na nie cały ten brud.

- Najważniejsze - tłumaczył Bolton Grace w saloniku, gdy Mae przebierała się w swoim pokoju - jest zapewnienie pani i jej córce bezpieczeństwa. Samochód już czeka. Chciałbym, żebyście obie do niego wsiadły i pojechały z nami.

- Dokąd?

- Patricku - rozległ się za mną cichy dziecięcy głosik. Obejrzałem się. Mae stała w drzwiach sypialni, ubrana już w dżinsy i koszulkę, z rozwiązanymi bucikami na nogach.

- Słucham? - zapytałem, siląc się na łagodny ton.

- Gdzie twój pistolet? Zdobyłem się na uśmiech.

- Schowałem go. Przepraszam, że cię wystraszyłem.

- Czy on jest gruby?

- Co takiego? - zdziwiłem się, klękając na podłodze, żeby zawiązać jej buciki.

- Czy jest... - zająknęła się, najwyraźniej speszona, że nie może sobie przypomnieć właściwego słowa.

- Ciężki? - odpowiedziałem.

Pokiwała główką.

- Tak. Ciężki.

- Jest bardzo ciężki, Mae. Nawet nie dałabyś rady go podnieść.

- A ty?

- Dla mnie też jest dość ciężki.

- Więc po co go nosisz? - Przekrzywiła główkę na lewe ramię, zaglądając mi w oczy.

- Jest mi niezbędny w mojej pracy - wyjaśniłem. - Tak jak twojej mamie stetoskop. - Pocałowałem ją w czoło.

Szybko objęła mnie za szyję i cmoknęła w policzek. Dotyk jej rączek, ciepłych i delikatnych, nasilał wrażenie, że nie mogą należeć do tej samej rzeczywistości, co Alec Hardiman i Evandro Arujo, noże i pistolety. Odsunęła się ode mnie i weszła do swojego pokoju.

- Nie! - oznajmiła stanowczo Grace, energicznie kręcąc głową.

- Słucham? - zdumiał się Bolton.

- Nigdzie nie pojadę. Możecie zabrać Mae, zawiadomię telefonicznie jej ojca. Jestem pewna, że weźmie parę dni urlopu i zajmie się małą, by nie czuła się samotna. Ja będę ją tylko odwiedzać, dopóki ta sprawa nie zostanie wyjaśniona, ale nigdzie się stąd nie ruszę.

- Doktor Cole, nie mogę się na to zgodzić.

- Dopiero się staram o posadę rezydenta w moim szpitalu. Czy potrafi pan to zrozumieć, agencie Bolton?

- Owszem, potrafię, ale pani życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Znowu pokręciła głową.

- Więc proszę mnie chronić, przydzielić mi obstawę i zająć się moją córką. - Zerknęła w stronę pokoju Mae i łzy napłynęły jej do oczu. - Ale ja nie zrezygnuję ze swojej pracy. Nie w tej chwili. Już nigdy nie dostanę dobrej posady, jeśli teraz nie zostanę przyjęta na stanowisko rezydenta.

- Doktor Cole, naprawdę nie mogę się na to zgodzić - rzekł Bolton.

- Będzie pan musiał. Proszę ochraniać moją córkę, a ja zatroszczę się o własne bezpieczeństwo.

- Człowiek, którego tropimy...

- Wiem, jest bardzo groźny. Już mi pan to mówił. Ale nawet strach przed nim nie skłoni mnie, bym zaprzepaściła to wszystko, o co tak bardzo starałam się przez całe życie. Na pewno nie teraz. I to niezależnie od powodów.

- Wcześniej czy później cię dopadnie - wtrącił, nadal czując dotyk ramion Mae na swojej szyi.

Wszyscy obrócili się w moją stronę.

- Nie dopadnie, jeśli... - Grace urwała nagle.

- Jeśli co? Przecież nie mogę cię pilnować przez cały czas.

- Wcale o to nie proszę.

- Uprzedził, że będę musiał dokonać wyboru.

- Kto?

- Hardiman - odparłem, zaskoczony histerią wyczuwalną w moim głosie. - Powiedział, że będę musiał wybrać spośród najbliższych mi osób. Oczywiście miał na myśli ciebie, Mae, Phila i Angie. Nie zdołam ochronić was wszystkich, Grace.

- Więc nie ochraniaj, Patricku - odparła lodowatym tonem. - Już dosyć. To ty ściągnąłeś to zagrożenie na mnie i moją córkę. Sprawiała to twoja cholerna, idiotyczna dążność do wyplenienia wszelkiej przemocy z naszego życia. Twoje życie stało się więc

moim życiem i życiem mojej córki, chociaż wcale o to nie prosiłyśmy. - Klepnęła się otwartą dłonią po kolanie, po czym wbiła wzrok w podłogę, oddychając szybko. - Nic mi się nie stanie. Zabierzcie tylko Mae w bezpieczne miejsce. Zaraz powiadomię o tym jej ojca.

Bolton spojrział na Devina, lecz ten wzruszył ramionami.

- Nie możemy pani zmusić, by oddała się pod naszą ochronę.

- Nie - rzuciłem ze złością. - Posłuchaj, Grace. Nie znasz tego człowieka. Na pewno znajdzie sposób, żeby cię dopaść. Jestem tego pewien.

Podszedłem bliżej i spojrzałem na nią z góry.

- I co z tego? - zapytała.

- Jak to: co z tego?

Zdawałem sobie sprawę, że oczy wszystkich są zwrócone na mnie. Ale wiedziałem też, że nie jestem już sobą. Ogarniała mnie wściekłość i chęć zemsty, coraz bardziej czułem się jak wyprowadzony z równowagi, nachalny intruz.

- No właśnie, co? - syknęła Grace.

- Zwyczajnie poderżnie ci gardło - wyrzuciłem z siebie.

- Patricku - mruknęła ostrzegawczo Angie.

Pochyliłem się jeszcze niżej nad Grace.

- Tak trudno ci to zrozumieć? Poderżnie ci gardło i tyle. Ale nie od razu. Wcześniej nacieszy się twoim cierpieniem. Przez jakiś czas będzie cię gwałcił, później potnie brzytwą na pasy albo ukrzyżuje, wbijając ci gwoździe w dłonie...

- Dosyć! - rzuciła groźnie.

Ale ja już nie byłem w stanie się powstrzymać. Z jakichś powodów uznałem za niezwykle istotne powiedzenie jej całej prawdy.

- ...a w końcu cię poćwiartuje, Grace. Uwielbia to. Wielką radość sprawia mu widok odsłoniętych, parujących ludzkich wnętrzności. Na koniec może jeszcze wylupi ci oczy z czaszki, pozwalając współnikowi dalej pastwić się nad twoim ciałem...

Za moimi plecami rozległ się przerażający wrzask.

Grace już od pewnego czasu zasłaniała rękoma uszy, ale szybko się wyprostowała, usłyszawszy ten krzyk.

Odwróciłem się. Za mną stała Mae z silnymi wypiekami na policzkach. Jej drobne ramionka dygotały kurczowo, jakby poraził ją prąd elektryczny.

- Nie! Nie! - wrzasnęła w skrajnym przerażeniu, po czym wyminęła mnie i rzuciła się w ramiona matki, która przytuliła ją do siebie.

Spoglądając ponad ramieniem córki, obrzuciła mnie wzrokiem pełnym jawnej, nieskrywanej nienawiści.

- Wynoś się z mojego domu.

- Grace...

- Natychmiast.

- Doktor Cole - odezwał się Bolton. - Chciałbym, żeby pani...

- Pojadę z wami - przerwała mu.

- Słucham?

Nie spuszczając ze mnie wzroku, powtórzyła:

- Zgadzam się wyjechać z miasta do pańskiej bezpiecznej kryjówki, agencji Bolton. Nie zostawię swojej córki. Pojadę - powtórzyła ciszej.

- Posłuchaj, Grace... - zacząłem jeszcze raz.

Pospiesznie zakryła dłońmi uszy Mae.

- Jeśli dobrze pamiętam, kazałam ci przed chwilą wypierdalać z tego domu!

Zadzwoił telefon. Sięgnęła po słuchawkę, nadal nie spuszczając ze mnie wzroku.

- Słucham. - Zmarszczyła brwi. - Przecież mówiłam ci dziś po południu, żebyś tu nie dzwonił. Jeśli chcesz rozmawiać z Patrickiem...

- Kto to? - zapytałem.

Rzuciła słuchawkę na dywan przede mną.

- Dlaczego dałeś mój numer temu swojemu stukniętemu koleśowi?

- To Bubba?

Kiedy schyliłem się po słuchawkę, przeszła obok mnie z małą na rękach i zniknęła w sypialni.

- Cześć, Patricku.

- Kto mówi?

- Jak ci się podobają zrobione przeze mnie zdjęcia twoich przyjaciół?

Spojrzałem na Boltona i przekazałem mu samym ruchem warg: „Evandro”.

Rzucił się do wyjścia, a Devin w ślad za nim.

- Niespecjalnie przypadły mi do gustu, Evandro.

- Przykro mi to słyszeć. Pracowałem nad ujęciami, starałem się dobrać właściwe oświetlenie, rozmieszczenie elementów na obrazie i temu podobne rzeczy. Nie sądzisz, że pod względem artystycznym zrobiłem pewne postępy?

Wyrząłem przez okno. Jeden z agentów błyskawicznie wspinał się na słup telefoniczny przed domem Grace.

- Trudno mi to ocenić, Evandro. Wątpię jednak, by Annie Leibovitz już musiała się bać twojej konkurencji.

Zachichotał krótko.

- Wydaje mi się jednak, że ty zaczynasz się bać, prawda, Patricku?

Devin wpadł z powrotem do środka i podetknął mi pod nos kartkę z napisem: „Zatrzymaj go przy aparacie przez dwie minuty!”.

- Owszem, to prawda. Gdzie jesteś, Evandro?

- Właśnie cię obserwuję.

- Naprawdę? - Ledwie opanowałem instynktowną chęć odwrócenia się i wyjrzenia przez okno na ulicę.

- Ciebie i twoją dziewczynę, jak też tych wszystkich sympatycznych policjantów, którzy zamieniają trawnik przed domem w błotniste bajoro.

- Skoro już jesteś w pobliżu, to może byś do nas wpadł?

Znowu zachichotał.

- Lepiej zaczekam. Wydajesz mi się bardzo przystojny, Patricku, gdy tak kurczowo przyciskasz słuchawkę do ucha i marszczysz brwi, a włosy masz posklejane od deszczu. Naprawdę mi się podobasz.

Grace pojawiła się z powrotem w saloniku i ostentacyjnie postawiła przy drzwiach spakowaną walizkę.

- Dziękuję za komplement, Evandro.

Zamrugła szybko, usłyszawszy imię zabójcy, po czym spojrzała na Angie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Arujo.

- I wiesz, jak jestem ubrany?

- Nie rozumiem.

- Pytałem, co mam na sobie.

- Patricku, kiedy robiłem zdjęcie twojej dziewczynie i jej córeczce...

- Co teraz mam na sobie, Evandro?

- ...tej przeuroczej dziewczynce...

- A więc nie wiesz, jak jestem ubrany, bo w rzeczywistości wcale nas nie obserwujesz, prawda?

- Widzę o wiele więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

- Jesteś zakłamaną gnidą, Evandro. - Tym razem to ja zachichotałem. - Tylko udajesz...

- Nie waż się wyśmiewać ze mnie!

- ...groźnego zbira, który wszystko widzi i wie o wszystkim...
- Lepiej zmień ton tej rozmowy. I to już, Patricku.
- ...gdy tymczasem z mojego punktu widzenia przypominasz tylko żalosego ulicznego łobuziaka.

Devin spojrział na zegarek i podetknął mi pod nos dłoń z trzema wyprostowanymi palcami. Zostało jeszcze pół minuty.

- Przerąbię tę gówniarę na pół i przyślę ci w dwóch paczkach!

Obejrzałem się i przez otwarte drzwi ujrzałem Mae stojącą przy swoim łóżeczku obok spakowanego plecaczka i przecierającą piąstkami oczy.

- Nawet się do niej nie zbliżysz, porąbańcu. Miałeś już jedną okazję i ją zaprzepaściłeś.

- Zetrę z powierzchni ziemi wszystkich twoich znajomych! - warknął z nieskrywaną wściekłością.

Bolton, który stanął w drzwiach frontowych, skinął głową.

- Lepiej się módl, żebym ja cię nie dopadł pierwszy, Evandro.
- To ci się nie uda, Patricku. Nikt mnie nie znajdzie. Zegnaj.

Niespodziewanie w słuchawce rozległ się drugi głos, głębszy i bardziej matowy:

- Do zobaczenia, moje drogie panie.

Połączenie zostało przerwane. Spojrzałem na Boltona.

- Byli obaj - mruknąłem.
- Zgadza się. Rozpoznał pan ten drugi głos?
- Jak? Przecież mówił z udawanym obcym akcentem.
- Są na North Shore.
- Na North Shore? - powtórzyła z niedowierzaniem Angie. Bolton pokiwał głową.
- Konkretnie w Nahant.
- Wybrali kryjówkę na wyspie? - zdziwił się Devin.

- Dzięki temu łatwiej będzie ich złapać. Już powiadomiłem Straż Wybrzeża i postawiłem w stan gotowości policyjne patrole z Nahant, Lynn i Swampscott. Organizowana jest blokada na moście prowadzącym na wyspę.

- Więc jesteśmy bezpieczne? - zapytała Grace.
- Nie - odparłem szybko.

Nawet na mnie nie spojrziała, wbijając wzrok w Boltona.

- Nie chciałbym podejmować ryzyka - rzekł. - Pani z pewnością też nie. Będziecie bezpieczne razem z córką dopiero wtedy, gdy ich złapiemy.

Grace obejrzała się na Mae i mała wyszła ze swego pokoju, niosąc plecak z podobizną Pocahontas.

- Oczywiście ma pan rację.

Bolton odwrócił się do mnie.

- Dwaj moi ludzie nadal obserwują dom pana Dimassi, toteż mam coraz mniej agentów. Połowa zespołu wciąż przeczesuje South Shore. Proszę więc o zgodę na przerwanie obserwacji waszych mieszkań.

Spojrzałem na Angie, która pospiesznie przytaknęła ruchem głowy.

- Zarówno we frontowych jak i tylnych drzwiach pani domu zamontowaliśmy najnowsze systemy alarmowe.

- Przez kilka godzin poradzimy sobie bez waszej ochrony - wtrąciłem.

Położył mi dłoń na ramieniu.

- Już ich mamy, panie Kenzie. - Obejrzał się na Grace i Mae.

- Jesteście gotowe?

Grace skinęła głową, biorąc małą za rączkę. Mae zerknęła jeszcze na mnie, a malująca się na jej buzi mieszanina smutku i niepewności sprawiła, że nagle wydała się o wiele starsza.

- Grace...

- Nie.

Energicznie pokręciła głową i moja dłoń wyciągnięta w kierunku jej ramienia zawisała w powietrzu. Odwróciła się do mnie tyłem i z dumnie uniesioną głową wyszła na ulicę.

Odjechały czarnym chryslerem z kuloodpornymi szybami i kierowcą o rozbieganym czujnym spojrzeniu.

- Dokąd je wywozicie? - zapytałem.

- Daleko - mruknął Bolton. - Bardzo daleko.

Na pasie zieleni rozdzielającym jezdnię Massachusetts Avenue wylądował śmigłowiec i Bolton, Erdham oraz Fields pobiegli w jego stronę, ślizgając się na oblodzonej trawie. Kiedy maszyna uniosła się w powietrze, a pęd powietrza wyrzucanego przez rotor cisnął walającymi się śmieciami w kierunku chodników, dołączyli do nas Devin i Oscar.

- Odesłałem twojego rachitycznego kumpla do szpitala - rzekł Oscar, unosząc obie

dłonie w przepaszającym geście. - Miał złamanych sześć żeber. Przykro mi.

Wzruszyłem ramionami, pomyślawszy, że któregoś dnia jakoś to wynagrodzę Nelsonowi.

- Wysłaliśmy też patrol pod dom Angie - dodał Devin. - Poprosiłem nawet o znajomego funkcjonariusza. Nazywa się Tim Dunn. Można mu zaufać. Więc lepiej wracajmy.

Jeszcze przez chwilę staliśmy w deszczu i patrzyliśmy, jak policjanci i agenci FBI pakują się do swoich samochodów i odjeżdżają kolejno w kierunku Massachusetts Avenue. Uderzyło mnie wtedy, że bębnienie deszczu o oblodzone chodniki i ulice to chyba najbardziej przygnębiający odgłos, jaki kiedykolwiek słyszałem.

33

Kierowca taksówki z przesadną ostrożnością prowadził wóz po śliskich ulicach, nie przekraczał prędkości czterdziestu kilometrów na godzinę i w ogóle nie używał hamulców, chyba że nie miał innego wyjścia.

Całe miasto spowiała lodowa powłoka. Połyskiwała szkliście na fasadach budynków, z wylotów rynien zwisały długie mleczne szpikulce. Drzewa wyglądały jak powleczone platyną, a samochody zaparkowane przy krawężnikach przypominały lodowe rzeźby.

- Dzisiaj w wielu domach na pewno zabraknie prądu - mruknął kierowca.
- Tak pan sądzi? - spytała w zamyśleniu Angie.
- Och, to pewne, psze pani. Ten lód pozrywa niejedną linię wysokiego napięcia. Sama się pani przekona. Lepiej nie ruszać się z domu w taką pogodę. Nawet na krok.
- Więc dlaczego pan wyjechał? - zapytałam.
- Trzeba nakarmić dzieciaki. One jeszcze nie rozumieją, jaki ten świat jest okrutny dla ich tatusia. O nie. Myślą tylko o tym, żeby się najeść.

Przed oczyma stanęła mi buzia Mae wykrzywiona strachem i niepewnością. Jednocześnie zabrzmiały echem w moich uszach słowa, które cisnąłem w twarz jej matce.

No cóż, dzieciaki mają prawo nie rozumieć wielu rzeczy. Jak mogłem o tym zapomnieć?

Timothy Dunn dwukrotnie mignął latarką, gdy skierowaliśmy się do wejścia budynku. Wyłonił się spod drzewa po drugiej stronie ulicy i ruszył w naszą stronę, ostrożnie stawiając stopy na oblodzonej jezdni. Był młody, szczupły, o pogodnej twarzy. Nosił policyjną czapkę nasuniętą głęboko na oczy. Z wyglądu przypominał mi chłopaka ze wsi, którego matka marzyła, że zostanie księdzem. Na czapkę miał naciągnięty foliowy ochraniacz zabezpieczający ją przed deszczem, ortalionowa peleryna błyszczała się od wilgoci. Zasalutował nam, podchodząc bliżej.

- Panie Kenzie, pani Gennaro, posterunkowy Timothy Dunn. Jak się państwo mają?

- Bywało lepiej - mruknęła Angie.

- A, tak, proszę pani. Tak słyszałem.

- Panno - mruknęła Angie.

- Słucham?

- Jestem panną. Najlepiej mów mi po imieniu, Angie, bo gdy zwracasz się do mnie per pani, czuję się tak stara, jakbym mogła być twoją matką. - Zerknęła na niego z ukosa. - A przecież nie jestem tak stara, prawda?

Uśmiechnął się wstydliwie.

- Pozwolę sobie w to wątpić.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia cztery.

- No, no.

- A pani?

Zachichotała.

- Nie tłumaczono wam, posterunkowy Dunn, że nie należy pytać kobiet o wiek ani wagę?

Skinął głową.

- Tak czy inaczej, wygląda mi na to, że Bóg był dla pani łaskawy.

Uniosłem oczy do nieba.

Angie odchyliła się nieco w bok i zmierzyła go uważnym spojrzeniem.

- Wróżę wam błyskotliwą karierę, posterunkowy.

- Bardzo dziękuję. Wiele osób mi to mówi.

- Należy im wierzyć.

Spuścił głowę, wbił wzrok w ziemię, nerwowo przestąpił z nogi na nogę i skubnął się za prawe ucho, co bez wątplenia było oznaką zdenerwowania. Wreszcie

odchrząknął i rzekł:

- Sierżant Amronklin mówił, że chłopcy z FBI wkrótce przyślą posiłki, jak tylko uwiną się z robotą w South Shore. Powinni tu być o drugiej, najpóźniej trzeciej nad ranem. Jak rozumiem, frontowe i tylne drzwi zostały zabezpieczone systemami alarmowymi, a tylne podwórze jest pod obserwacją.

Angie pokiwała głową.

- I tak od czasu do czasu będę na nie wyglądała.

- Polecam się.

Uniósł dłoń do daszka czapki, zawrócił i odszedł. Jeszcze przez chwilę staliśmy na szczycie schodów, słuchając cichnącego zgrzytania zmarzniętej trawy pod jego butami.

- Skąd Devin wytrzasnął tego smarkacza? - zapytała Angie. - Z Mayberry?

- Może to jakiś jego krewniak?

- Czyj? Devina? - Pokręciła głową. - Wykluczone.

- Dlaczego? Devin ma osiem sióstr i tylko co druga jest zakonnica. Serio. Pozostałe wyszły za facetów, którzy świetnie wiedzą, jak zachować dla siebie drugie po Bogu miejsca w sercu.

- Jak Devinowi udało się oderwać od takiego genotypu?

- Przyznam, że i dla mnie jest to zagadką.

- Powinien być tak prawomyślny, że aż niewinny.

- Ale jak dla ciebie za młody.

- Każdy chłopiec potrzebuje kobiety, która by go sprowadziła na złą drogę.

- A ty czujesz się właśnie do tego powołana?

- Żebyś wiedział. Zwróciłeś uwagę, jak wygląda jego tyłek w opiętych dżinsach?

Westchnąłem ciężko.

Z boku domu pojawiła się najpierw plama światła latarki, a chwilę później chrzęst trawy pod stopami posterunkowego Dunna obwieścił koniec jego obchodu.

- Czysto - rzekł młodzik, zatrzymując się u stóp schodów.

- Bardzo dziękujemy, panie posterunkowy.

Spojrzał Angie w oczy i źrenice mu się nieco rozszerzyły, toteż szybko odwrócił głowę.

- Tim - mruknął. - Proszę mi mówić po imieniu. Tim.

- Ja mam na imię Angie. A to jest Patrick.

Policjant skinął głową i nieśmiało prześliznął się wzrokiem po mojej twarzy.

- Zatem... - zaczął.

- Tak? - zapytała Angie.

- Będę w samochodzie. Gdybym musiał podejść bliżej domu, najpierw zadzwonię. Dostałem numer od sierżanta Amronklina.

- A jeśli będzie zajęte? - spytałem. Zamyślił się na chwilę.

- Błysnę trzy razy latarką prosto w szyby. - Wskazał okno saloniku. - Widziałem szkic rozkładu pomieszczeń w domu, światło powinno być widoczne ze wszystkich pomieszczeń poza kuchnią i łazienką. Zgadza się?

- Tak.

- A gdyby państwo spali albo nie zauważyli znaków, zadzwonię do drzwi. Dwa krótkie dzwonki. Zgoda?

- Brzmi rozsądnie - odparłem.

- Na pewno nic się państwu nie stanie. Angie przytaknęła energicznie.

- Dziękujemy, Tim.

Skinął głową, lecz nadal nie potrafił spojrzeć jej prosto w oczy. Zawrócił w kierunku ulicy, przeszedł przez jezdnię i wsiadł do samochodu.

Skrzywiłem się do Angie.

- Tim? - mruknąłem.

- Och, zamknij się.

- Przejdzie im - zawyrokowała Angie.

Siedzieliśmy w jadalni i rozmawialiśmy o Grace i Mae. Zająłem takie miejsce przy stole, żeby cały czas widzieć migającą czerwoną diodę na obudowie systemu alarmowego przy drzwiach frontowych. Ale dziwnym sposobem zamiast dawać mi poczucie bezpieczeństwa, jej rozbłyski zdawały się tylko podkreślać naszą bezradność.

- Nie wierzę.

- Jeśli naprawdę cię kochają, rozumieją, że załamałeś się pod wpływem olbrzymiego stresu. Przyznam, że nie było to przyjemne, ale z pewnością tylko chwilowe załamanie.

Pokręciłem głową.

- Grace ma rację. To ja sprowadziłem całe zło na jej dom. A potem sam opowiedziałem się po jego stronie. Przeraziłem jej córeczkę, Angie.

- Dzieci są wytrzymałe na takie rzeczy.

- Gdybyś była na miejscu Grace i przeze mnie znalazła się w samym środku tego

przedstawienia, po którym twoje dziecko co najmniej przez miesiąc będzie miało senne koszmary, jak byś zareagowała?

- Nie jestem Grace.

- Ale gdybyś nią była?

Pokręciła głową ze wzrokiem utkwionym w trzymanej puszcze piwa.

- Daj spokój - mruknęła. Nadal nie podnosząc głowy, dodała po chwili: - Pewnie również chciałabym się ciebie pozbyć z mego życia. Na zawsze.

Przeszliśmy do sypialni i usiedliśmy na krzesłach stojących po bokach łóżka, oboje wycieńczeni, lecz wciąż nazbyt podminowani, by nawet myśleć o pójściu spać.

Deszcz ustał. Siedzieliśmy przy zgaszonym świetle, w smudze srebrzystego blasku sączącego się przez oblodzone szyby i zapełniającego pokój perłowymi refleksami.

- To nas rzeczywiście kiedyś wypali do reszty - odezwała się Angie. - Mówię o przemocy.

- Zawsze sądziłem, że jesteśmy silniejsi.

- Myliłeś się. Wcześniej czy później, każdy musi się nią zarazić.

- Mówisz o mnie czy o sobie?

- O nas obojgu. Pamiętasz, jak kilka lat temu zastrzeliłam Bobby'ego Royce'a?

Pewnie, że pamiętałem.

- Uratowałaś mi życie.

- Ale jemu odebrałam. - Zaciągnęła się głęboko papierosem. - Przez lata wmawiałam sobie, że wcale nie czułam tego, co naprawdę czułam, pociągając za spust, że jest mi to obce.

- A co czułaś?

Nie zdejmując nóg z krawędzi łóżka, pochyliła się na krzesło i objęła rękoma kolana.

- Czułam się jak Bóg - odparła cicho. - I to było cudowne uczucie, Patricku.

Później, gdy już leżała w łóżku z popielniczką na brzuchu, zapatrzona w sufit, powiedziała:

- To moja ostatnia sprawa. Przynajmniej na jakiś czas.

- W porządku.

Wykręciła głowę i popatrzyła na mnie, gdyż nadal siedziałem na krzesle w kącie pokoju.

- Nie będziesz miał mi tego za złe?

- Nie.

Wypuściła kilka kółek z dymu w stronę sufitu.

- Mam już dosyć ciągłego strachu. I jestem także zmęczona wściekłością, jaką ten strach we mnie budzi. Brzydzę się nienawiścią, którą wywołuje.

- Rozumiem.

- Mam dość ciągłego stykania się z psychopatami, naciągaczami, łajdakami i kłamcami. Zaczynam myśleć, że poza nimi nie ma już normalnych ludzi na świecie.

Pokiwałem głową. Ja też miałem tego dość.

- Przecież jesteśmy jeszcze młodzi. - Znowu spojrzała na mnie. - Myślisz o tym czasami?

- Owszem.

- Jesteśmy na tyle młodzi, że możemy się jeszcze zmienić, jeśli tego zapagniemy. Na tyle młodzi, żeby się otrząsnąć z tego brudu.

Pochyliłem się nieco w jej stronę.

- Od jak dawna dręczą cię takie myśli?

- Od czasu, gdy zabiliśmy Marionę Socie, a może nawet od chwili śmierci Bobby'ego Royce'a. Trudno powiedzieć. W każdym razie od dawna. Za długo już czuję się całkowicie zbrukana, Patricku. Jeszcze do tego nie przywykłam.

- Naprawdę myślisz, że mamy jeszcze szansę się oczyścić, Ange? - zapytałem szeptem. - A może już jest za późno?

Wzruszyła ramionami.

- Sądzę, że jednak warto spróbować. Co ty na to?

- Pewnie. - Wziąłem ją za rękę. - Jeśli tak uważasz, to na pewno warto spróbować.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

- Z wzajemnością - odparłem.

Obudziłem się i gwałtownie usiadłem na łóżku obok Angie.

- Co się stało? - rzuciłem, ale nie było odpowiedzi.

W mieszkaniu panowała cisza. Tylko kątem oka złowiłem jakiś ruch. Obejrzałem się i popatrzyłem na okno. Ponad dolną oblodzoną częścią dostrzegłem wyraźne ciemne zarysy liści przyklejonych do szyby, które po chwili zniknęły, gdy poryw wiatru odgiął gałęzie rosnącej przed domem topoli w drugą stronę.

Moją uwagę przykuł całkiem czarny wyświetlacz elektronicznego budzika. Nie było na nim świecących czerwono cyfr.

Namacałem swój zegarek na nocnej szafce, przekręciłem go do srebrzystej poświaty wpadającej zza okna i odczytałem godzinę: 1:45.

Przewróciłem się na drugi bok, uniosłem nieco żaluzję w oknie po mojej stronie łóżka i wyjrzałem na sąsiednie zabudowania. Wszędzie panowały ciemności, nie paliły się nawet lampy na gankach. Jakbym się znalazł w małej wiosce gdzieś wysoko w górach, skutej lodową powłoką, gdy wyłączono dopływ prądu.

Kiedy zadzwonił telefon, dzwonek zabrzmiał ogłuszająco. Pospiesznie chwyciłem słuchawkę.

- Halo.

- Pan Kenzie?

- Tak.

- Mówi Tim Dunn.

- Dlaczego nie ma światła?

- Całe miasto jest bez prądu. Silne oblodzenie spowodowało zbyt duże napięcia linii wysokiego napięcia, palą się stacje transformatorowe w całym stanie. Już dzwoniłem do tutejszej centrali, żeby rozpoznać sytuację, lecz powiedzieli, że jeszcze przez jakiś czas nie naprawią awarii.

- Rozumiem. Dziękuję, posterunkowy.

- Nie ma za co.

- Aha. Tim?

- Słucham.

- Która z sióstr Devina jest twoją matką?

- Jak pan się tego domyślił?

- Przecież jestem prywatnym detektywem. Zachichotał.

- Theresa.

- Ach, tak, więc jedna ze starszych sióstr. Devin boi się starszego rodzeństwa.

Dunn zaśmiał się głośniej.

- To prawda, choć może wydawać się zabawne.

- Dzięki, że nas pilnujecie, posterunkowy.

- Do usług - rzekł. - Dobranoc, panie Kenzie.

Odłożyłem słuchawkę i zapatrzyłem się na nieregularne plamy głębokiej czerni i srebrzystoperłowej szarości na suficie.

- Patrick?

Uniosła się na łokciu i lewą ręką odgarnęła włosy, które opadły jej na twarz. Po chwili przesunęła poduszkę i usadowiła się w pozycji półleżącej, podczas gdy ja próbowałem nie zwracać uwagi na zarysy jej piersi podrygujących pod cienkim T-shirtem z napisem „Monsignor Ryan Memorial High School”.

- Co się dzieje?

- Nic - mruknąłem.

- Miałeś zły sen? - Podwinęła jedną nogę pod siebie, drugą, zgrabną i kuszącą, wystawiając spod kołdry.

- Wydawało mi się, że coś słyszałem. - Ruchem głowy wskazałem okno. - Ale to tylko gałęzie drzewa postukiwały o szyby. Ziewnęła szeroko.

- Ciągle zapominam, żeby je przyciąć.

- Poza tym nie ma światła. W całym mieście.

Przekreśliła się i wyjrzała, pod uniesioną żaluzją.

- Aha.

- Dunn zawiadomił, że w całym stanie palą się transformatory.

- Niemożliwe! - rzuciła ostro, wysunęła się spod kołdry i wstała z łóżka. - Nie wytrzymam w tych ciemnościach.

Otworzyła komódkę, przerzuciła stos rzeczy i wygrzebała z dna kartonowe pudełko po butach. Postawiła je na podłodze i wyjęła ze środka garść białych świec.

- Pomóc ci? - zapytałem.

Pokręciła głową i zaczęła krążyć po pokoju, rozmieszczając świece w kandelabrach i na podstawkach, których nawet nie widziałem po ciemku. Wtykała je, gdzie się dało, rozstawiała na nocnych szafkach, na bielizniarce i toaletce. Przyglądałem się jej nerwowym ruchom, gdy je zapalała. Nawet na chwilę nie zdjęła palca z przycisku zapalniczki, tylko przenosiła płomień od jednej świecy do drugiej, dopóki cała sypialnia nie zappełniła się falującym ognikami i roztańczonymi cieniami.

W ciągu niespełna dwóch minut zmieniła sypialnię w coś, co bardziej przypominało kaplicę w trakcie nabożeństwa.

- Gotowe - mruknęła, wślizgując się z powrotem pod kołdrę.

Przez dobrą minutę panowało milczenie. Spoglądałem na powiększające się z wolna płomyki, których ciepły żółtawy blask rozlewał się po naszych twarzach i wzbudzał złociste refleksy we włosach Angie.

Wreszcie obróciła się na łóżku przodem do mnie, usiadła po turecku, podciągnęła

kołdrę do pasa i ścisnęła pod pachami, po czym zadarła głowę i potrząsnęła nią energicznie, aż włosy rozsypały się luźno na plecach.

- Ciągle we snach widuję trupy - powiedziała.

- Ja ostatnio widuję tylko Evandra.

- Co porabia? - zapytała, marszcząc brwi.

- Szykuje się na nas.

Wciąż tak samo.

- W moich snach już się zjawia na miejscu.

- A więc te trupy...

- Jasne że nasze. - Splotła dłonie na kolanach i utkwiała w nich intensywne spojrzenie, jakby miała nadzieję, że same z siebie zdołają się uwolnić z uścisku.

- Nie jestem gotowa, żeby umrzeć, Patricku.

Podciągnąłem się i usiadłem, oparty plecami o wezglowie łóżka.

- Ja też nie.

Pochyliła się ku mnie. W takiej pozycji, z dłońmi splecionymi na brzuchu i puszystymi włosami niemal całkowicie zakrywającymi twarz, wyglądała jak konspiratorka, jakby była powierniczką tajemnic, których nigdy nikomu nie zdradzi.

- Gdyby któryś z nich się tu dostał...

- To wykluczone. Pochyliła się jeszcze bliżej.

- Nieprawda.

Z głębi domu doleciał cichy trzask oznaczający, że cała konstrukcja budynku o kolejną setną część milimetra przybliżyła się do ziemi.

- Gdyby nawet, to przecież jesteśmy gotowi...

Zaśmiała się głucho, nieprzyjemnie.

- I tak zdenerwowani? Przecież wiesz, jak wygląda prawda. I ja to wiem i oni. Od wielu dni nie dojadamy i nie dosypiamy. Pod względem emocjonalnym i psychicznym, a może i pod każdym innym, załatwił nas na cacy. - Przytknęła dłoń do mego policzka. - Gdyby tylko zechciał, mógłby nas teraz pogrzebać żywcem.

Poczułem delikatne drżenie jej palców, jakby pod wpływem nagromadzonych ładunków elektrycznych. Ciepło ciała emanujące spod cienkiego T-shirtu, przyspieszony puls i rytm oddechu, zdawały się potwierdzać, że ma rację.

Rzeczywiście, gdyby tylko zapragnął, mógł nas pogrzebać żywcem.

Ta świadomość była diabelnie obrzydliwa, wręcz zabójcza dla poczucia godności, gdyż uzmysławiała, że nie jesteśmy niczym innym, jak zlepkiem biologicznych

organów, masą żył, mięśni i zastawek zawieszonych w delikatnym nurcie krwi wewnątrz straszliwie kruchych i bezgranicznie pustych naczyń krwionośnych. To zaś sprawiało, że Evandro mógł bez trudu nas wyeliminować, wyłączyć równie łatwo, jak się wyłącza światło, a wówczas zlepki naszych organów po prostu przestałyby funkcjonować, pogrążając nas w nieprzeniknionym wiecznym mroku.

- Nie zapominaj, co sobie obiecaliśmy - powiedziałem. - Jeśli już przyjdzie nam umrzeć, zabierzemy go ze sobą.

- I co z tego? Co nam z tego przyjdzie, Patricku? Wcale mi nie zależy, by zabierać ze sobą Evandra na tamten świat. Bo ja po prostu nie chcę umierać. Chcę tylko, żeby on zostawił mnie w spokoju.

- Hej - mruknąłem cicho. - Daj spokój. Przecież wszystko jest w porządku.

Uśmiechnęła się smutno.

- Przepraszam. To sam środek nocy, a ja jestem bardziej przerażona, niż kiedykolwiek dotąd, dlatego chwilowo nie potrafię zgrywać twardziela. Zresztą ostatnio zgrywanie twardziela jakoś nie przynosiło skutku.

Łzy napłynęły jej do oczu. Cofnęła rękę i zrobiła taki ruch, jakby zamierzała ułożyć się z powrotem plecami do mnie.

Złapałem jej rękę i lekko zacisnąłem palce na nadgarstku, a Angie znów odwróciła się w moją stronę. Uniosła prawą dłoń, zgarnęła mi włosy z czoła, po czym przytuliła się i wsunęła na mnie, wciskając biodra między moje nogi i lewą stopą gwałtownie spychając kołdrę w dół.

Kosmyk jej włosów wpadł mi do oka i na chwilę oboje zastygliśmy z twarzą przy twarzy. Czulem wyraźnie strach w jej oddechu, podobnie jak w zapachu skóry i włosów. Analogiczna woń musiała bić ode mnie.

Angie spojrzała mi prosto w oczy z mieszaniną ciekawości i determinacji, ale dostrzegłem w jej wzroku również cienie naszych wzajemnych dawnych ran, o których nigdy nie rozmawialiśmy. Wplątała mi palce we włosy, a gdy mocniej odchyliła głowę do tyłu, jej wzgórek łonowy boleśnie wbił mi się w podbrzusze.

- Nie powinniśmy tego robić - powiedziała.

- To prawda.

- A co z Grace? - zapytała szeptem.

Zostawiłem to pytanie bez odpowiedzi, nawet nie próbowałem jej szukać.

- A co z Philem? - odparłem.

- Między nami wszystko skończone.

- Lecz nadal istnieją powody, dla których nie robiliśmy tego od siedemnastu lat.

- Tak, wiem. Właśnie próbuję je sobie przypomnieć.

Wsunąłem dłoń pod jej włosy i przytknąłem do lewej skroni, a ona złapała mnie zębami za skórę po wewnętrznej stronie przedramienia i lekko szarpnęła ku sobie, przy okazji jeszcze boleśniej wbijając wzgórek łonowy w moje podbrzusze.

- Renee - powiedziała i jakby ze złością złapała w garść moje włosy nad uszami.

- Renee odeszła - odparłem, rewanzując jej się tym samym.

- Jesteś tego zupełnie pewien?

- Czy słyszałaś, żebym kiedykolwiek o niej mówił?

Uwolniłem nogi spod jej kolan i splotłem je nad jej kostkami.

- Ostentacyjnie - mruknęła, przesuwając lewą dłoń w dół mojej nagiej piersi, i uszczypnęła mnie dość mocno w bok, tuż powyżej gumki bokserek. - Ostentacyjnie nigdy nie mówisz o kobiecie, z którą się ożeniłeś. - Pchnęła zaciśniętą pięść jeszcze niżej, zsuwając mi bokserki na biodrze.

- Ange...

- Nie wymawiaj mojego imienia.

- Dlaczego?

- Nie wtedy, gdy mówimy o tobie i mojej siostrze.

Znów to samo. Minęło dobre dziesięć lat od czasu, gdy postanowiliśmy nie wracać więcej do tego tematu, a jednak wypłynął znowu i to jeszcze z dość obrzydliwymi sugestiami.

Wyprostowała się nagle, siadając na mnie okrakiem. Moje dłonie na poły samoistnie osunęły się do jej bioder.

- Już dość mi się za nią dostało - powiedziałem.

Pokręciła głową.

- Nigdy nie jest dość.

- Owszem, jest.

Wzruszyła ramionami.

- I tak doszłam do punktu, kiedy przestało mnie to obchodzić. Przynajmniej na jakiś czas.

- Ange...

Przytknęła mi palec do warg, po czym odchyliła się i szybkim ruchem ściągnęła T-shirt przez głowę. Rzuciła go na podłogę przy łóżku, chwyciła moje ręce, przyłożyła je sobie do boków, powoli przesunęła w górę i ułożyła na piersiach. Skłoniła głowę, aż jej

włosy opadły mi na dłonie.

- Tęskniłam za tobą przez siedemnaście lat - szepnęła.

- Ja też - mruknąłem gardłowo.

- To dobrze.

Zamknąłem oczy, bo jej włosy znów opadały na moją twarz, kiedy się pochyliła, a wargi znalazły się parę centymetrów nad moimi ustami. Przycisnęła kolana do moich boków i przesunęła się w dół, ściągając mi bokserki do połowy ud.

- Dobrze - powtórzyła.

Uniosłem głowę i pocałowałem ją, trochę niezręcznie, bo prawa ręka zaplątała mi się w jej włosy. Ale gdy chciałem odsunąć głowę, pochyliła się niżej i nie przerywając pocałunku, wsunęła mi język do ust. Przeciągnąłem dłońmi po jej plecach, lekko przyciskając palcami wystające kostki kolejnych kręgow, aż poczułem pod nimi gumkę majtek.

Złapała się poręczy łóżka i uniosła nieco w górę, a ja skubnąłem ją wargami w szyję i równocześnie zsunąłem majtki, które zrolowane w elastyczny jedwabny wałeczek gładko ześliznęły się z pośladków. Kiedy moje usta odnalazły jej pierś, aż jęknęła cicho i wyprężyła się, zaparta o poręcz. Pospiesznie sięgnęła dłonią do mego podbrzusza i przesunęła ją w dół, aż do pachwiny, energicznie wierzgając przy tym nogami, żeby jeszcze bardziej skopać pościel. Wreszcie pochyliła się nisko nade mną.

I właśnie wtedy zadzwonił telefon.

- Chrzańć go - syknąłem. - Obojętne, kto to jest.

Angie puściła poręcz i zderzyliśmy się nosami - dość boleśnie, bo aż syknęła - po czym oboje zaśmialiśmy się głośno.

- Pomóż mi się wyplątać - powiedziała. - Nie mogę się nawet ruszyć.

Drugi dzwonek telefonu zabrzmiał jeszcze bardziej natarczywie.

Nie dość, że stopy mieliśmy omotane kołdrą, to jeszcze nasza bielizna się splątała. Po omacku sięgnąłem wzdłuż uda Angie i natrafiłem na jej dłoń próbującą podciągnąć splątane majtki. Ten dotyk był tak silnie elektryzujący, że uznałem go za jedno z najsilniejszych erotycznych doznań, jakich kiedykolwiek doświadczyłem.

Kiedy telefon zadzwonił po raz trzeci, Angie zdołała uwolnić stopy spod kołdry i odchyliła się mocniej do tyłu. W żółtawym blasku świec dostrzegłem kropelki potu na jej oliwkowej skórze.

Jęknęła po raz kolejny, dając wyraz rozdrażnieniu i złości. Przekręciła się na mnie o dziewięćdziesiąt stopni i wyciągnęła rękę po słuchawkę.

- To może być Dunn - mruknęła. - Cholera.

- Tim - poprawiłem ją. - Nie zapomnij mówić mu po imieniu.

- Odwal się. - Zachichotała gardłowo i klepnęła mnie otwartą dłonią w piersi.

Ze słuchawką w ręku przekreśliła się z powrotem, przetoczyła po mnie i ułożyła obok. Na białej pościeli jej oliwkowa skóra sprawiała wrażenie ciemniejszej niż w rzeczywistości.

- Halo! - powiedziała, zgarniając z czoła sklezione potem kosmyki włosów.

Moją uwagę przykuło ciche lecz niepokojące skrobanie dolatujące gdzieś z tyłu. Obejrzałem się na okno po prawej stronie i dostrzegłem tuż za nim ciemne zarysy liści topoli.

Wiatr pocierał nimi o szybę.

Angie zsunęła także prawą nogę z mojego biodra i nagle poczułem chłód.

- Phil, proszę - odezwała się cicho. - Dochodzi druga w nocy...

Ułożyła się na boku, dociskając głową słuchawkę do poduszki, uniosła się nieco i zaczęła podciągać majtki.

- Bardzo się cieszę, że nic ci nie jest - odparła. - Tylko czy nie możemy o tym porozmawiać rano?

Liście znowu zaszurały o szybę. Poszedłem w ślady Angie i także wciągnąłem bokserki.

Obejrzałem się, kiedy lekko musnęła mnie po boku i wzniosła oczy do nieba w jednoznacznym wyrazie znudzenia. Niespodziewanie znów uszczypnęła mnie dość mocno, jakby chciała udowodnić, że faktycznie robi mi się fałda tłuszczu na brzuchu, po czym przygryzła dolną wargę, powstrzymując się od uśmiechu, lecz bez skutku.

- Phil, ty znowu piłeś? Przyznaj się!

Szur. Szur.

Jeszcze raz spojrzełem na okno, lecz teraz już nie zauważyłem liści. Widocznie wiatr błyskawicznie odgiął gałęzie w drugą stronę.

- Tak, wiem, Phillipie - powiedziała Angie ze smutkiem w głosie. - Wiem. Ja też się staram. - Szybko cofnęła rękę z mojego brzucha, odwróciła się i usiadła. - Nieprawda. Wcale nie czuję do ciebie nienawiści.

Wstała i klęcząc jednym kolanem na brzegu łóżka, wyjrzała przez okno. Dociskając ramieniem słuchawkę do ucha, schyliła się po swój T-shirt.

Ja także wstałem, włożyłem dzinsy i koszulę. Zrobiło mi się nagle zimno, kiedy się ode mnie odsunęła, a poza tym nie chciałem leżeć dalej w łóżku i przysłuchiwać się jej

rozmowie z byłym mężem.

- Wcale cię nie osądzam - powiedziała. - Tylko czy nie lepiej było zachować pełną przytomność umysłu na wypadek, gdyby Arujo właśnie tej nocy próbował cię dopaść?

Na jej ramieniu pojawiła się nagle smuga białego światła padającego zza okna, która przyćmiła blask świec na przeciwległej ścianie, rozbłyskając trzy razy. Angie siedziała ze spuszczoną głową, toteż nawet jej nie zauważyła. Wyszedłem z sypialni, przemierzyłem korytarz, rozcierając sobie ramiona od chłodu i wyjrzałem przez okno saloniku. Tim Dunn zmierzał przez ulicę w stronę domu.

Sięgnąłem do systemu alarmowego, żeby go wyłączyć, gdy spostrzegłem, że i on nie działa z powodu braku prądu.

Otworzyłem drzwi, zanim posterunkowy zdążył nacisnąć dzwonek.

- Co się stało?

Stał ze spuszczoną głową, na jego pelerynie i ochraniaczu czapki połyskiwały kropelki wilgoci. Uprzytomniłem sobie, że patrzy ze zdziwieniem na moje bose stopy.

W głośniku krótkofalówki leżącej na stole w głębi pokoju coś zatrzeszczało.

- Zimno? - mruknął Dunn, nerwowo skubiąc ucho.

- Owszem. Proszę wejść i zamknąć drzwi na zasuwkę.

Zawróciłem w stronę korytarza, gdy przez radio doleciał głośny okrzyk Devina:

- Patricku, natychmiast uciekajcie z domu! Arujo zastawił pułapkę! Powtarzam: Arujo zastawił pułapkę! Wcale nie dzwonił z Nahant!

Ledwie zdążyłem się odwrócić, gdy policjant podniósł głowę i spod krawędzi nisko naciągniętej czapki spojrzwały na mnie oczy Evandra.

- Oczywiście, że Arujo wcale nie dzwonił z Nahant, Patricku. Bo jest tutaj. I zostanie aż do końca twego życia.

34

Zanim zdążyłem się odezwać, przystawił mi czubek sztyletu do zagłębienia pod prawym okiem, przycisnął go dość mocno i zatrzasnął za sobą drzwi.

Dostrzegłem, że ostrze jest już zakrwawione.

Pochwycił moje spojrzenie, gdyż uśmiechnął się smutno i wyjaśnił szeptem:

- Posterunkowy Dunn, niestety, nie doczeka dwudziestych piątych urodzin. Co za pech.

Pchnął mnie w głąb mieszkania, dociskając mocniej ostrze sztyletu. Niepewnie cofnąłem się o parę kroków korytarzem.

- Patricku - szepnął, podnosząc trzymany w drugim ręku rewolwer Dunna. - Jeśli choć piśniesz, wykluję ci oko i zastrzelę twoją współniczkę, gdy tylko wyjrzy z sypialni. Rozumiesz?

Skinąłem głową.

W słabym blasku świec padającym przez otwarte drzwi sypialni zauważyłem, że ma na sobie aż czarną od krwi koszulkę mundurową Dunna.

- Dlaczego musiałeś zabijać tego chłopaka? - zapytałem szeptem.

- Żelował sobie włosy.

Evandro uniósł palec do warg i po chwili dał znak, żebym się zatrzymał przed drzwiami łazienki znajdującej się mniej więcej w połowie długości korytarza.

Usłuchałem.

Zgolił bródkę, a włosy wystające spod obrzeża policyjnej czapki były ufarbowane

na kolor miodowy. Szklą kontaktowe nadawały jego źrenicom jasnoszary odcień, a dość pokaźne baczki były zapewne doklejone, bo na pewno ich nie miał, kiedy widziałem go po raz ostatni.

- Odwróć się - nakazał szeptem. - Powoli.

Z sypialni doleciało mnie głośne westchnienie Angie, a po nim słowa:

- Phil, naprawdę jestem bardzo zmęczona.

A więc nie słyszała też ostrzeżenia radiowego. Jasna cholera!

Kiedy się odwracałem, czubek sztyletu ześliznął mi się po policzku i szyi. Przez chwilę czułem jego nacisk na karku, ale zaraz spoczął w zagłębieniu za moim prawym uchem, tam gdzie żuchwa łączy się z czaszką.

- Jak tylko spróbujesz mnie wyrolować - szepnął - dźgnę cię tak, że ostrze wyjdzie ci nosem. Idź powoli, małymi krokami.

- Phillip - odezwała się nieco głośniejszą Angie. - Proszę...

Z sypialni były dwa wyjścia. Jedno prowadziło na korytarz, a drugie, oddalone od pierwszego o jakieś dwa metry, do kuchni. Znaleźliśmy się niewiele ponad metr od otwartych drzwi, kiedy silniejszy nacisk ostrza kazał mi się zatrzymać.

- Cicho - szepnął Evandro.

- Nie - rzuciła znudzonym tonem Angie. - Już mówiłam, że wcale nie czuję do ciebie nienawiści, Phil. Nie jesteś złym człowiekiem.

- Byłem zaledwie trzy metry od was - przekazał szeptem Arujo - ukryty za żywoplotem oddzielającym sąsiednie podwórko, gdy razem ze swoją współniczką i posterunkowym Dunnem ustalaliście sposoby zabezpieczenia domu przede mną.

Coś mi pstryknęło w ucho, gdy czubek sztyletu przebił skórę i nieco zagłębił się w moje ciało ponad krawędzią żuchwy.

W myślach gorączkowo rozważałem różne warianty. Gdybym huknął go łokciem w splot słoneczny, czego zapewne najprędzej się spodziewał i tak z dużym prawdopodobieństwem zdążyłby wbić mi sztylet w mózg. Wszelkie inne możliwe reakcje, a więc cios pięścią w genitalia, przydepnięcie piętą palców stopy czy też gwałtowny unik w którąkolwiek stronę, stwarzały chyba jeszcze mniejsze szanse powodzenia. W jednym ręku trzymał sztylet, a w drugim rewolwer, przy czym jedna i druga broń była wymierzona we mnie.

- Jeżeli zadzwonisz jutro rano - powiedziała Angie - wrócimy do tego tematu.

- Albo i nie - dodał szeptem Evandro, pchnięciem sztyletu nakazując mi iść dalej.

Tuż przed drzwiami nagle wysunął do przodu rewolwer przy moim boku. Czubek

sztyletu przesunął mi się zza ucha na kark, w miejsce, gdzie rdzeń kręgowy łączy się z podstawą mózgu. Arujo szarpnięciem obrócił mnie tak, bym stanął w przejściu do sypialni, zasłaniając go sobą.

Ale Angie zniknęła, nie było jej przy łóżku. Słuchawka leżała na pościeli. Usłyszałem, jak Evandro sapnął cicho i oddychając wyraźnie szybciej, zajrzał ponad moim ramieniem w głąb pokoju.

Na podstawie wygniecionego prześcieradła można było odgadnąć niedawne ułożenie naszych ciał pod kołdrą. Zapalony papieros w popielniczce zmieniał się w długi słupek popiołu, wąska smużka dymu unosiła się z niego w powietrze. Płomyki świec jaśniały w ciemności niczym żółte ślepia drapieżnych kotów w dżungli.

Arujo zerknął w stronę szafy i zwrócił uwagę, że wisi w niej tyle ubrań, iż bez trudu można by się za nimi ukryć.

Znów dźgnął mnie sztyletem, a ja po raz kolejny zacząłem rozważać swoje szanse zaatakowania go łokciem.

Ponad moim ramieniem wymierzył z rewolweru Dunna w szafę i odciągnął kurek.

- Tam jest? - zapytał szeptem, przesuwając się nieco w lewo i zarazem wbijając mi głębiej ostrze w skórę.

- Skąd mam wiedzieć? - burknąłem.

Jej głos spadł na mnie jak grom z jasnego nieba, zanim zdążyłem sobie uświadomić, gdzie się przyczaiła. Rozległ się najwyżej dziesięć centymetrów nad moją głową, poprzedzony charakterystycznym szczękiem odwodzonego kurka broni.

- Tylko spróbuj się ruszyć!

Evandro wbił mi czubek sztyletu tak mocno, że aż musiałem stanąć na palcach. Poczułem ciepłą strużkę krwi spływającej po karku.

Wykręciłem głowę w prawo na tyle, że dostrzegłem lufę rewolweru Angie przytkniętą tuż nad prawym uchem Evandra oraz pobielące knykcie jej palców zaciśniętych na kolbie.

Błyskawicznym ruchem wytrąciła napastnikowi broń z ręki. Obawiałem się, że gotowy do strzału rewolwer wypali z chwilą upadku na podłogę, ale tak się nie stało. Wylądował z hukiem na parkiecie, obrócił się i znieruchomiał z lufą wymierzoną w toaletkę.

- Angela Gennaro - syknął Arujo. - Miło mi cię poznać. Muszę przyznać, iż bardzo sprytnie udawałaś, że nadal rozmawiasz przez telefon.

- Bo wciąż rozmawiam, kutasie. Widzisz odłożoną słuchawkę?

Evandro zamrugnął szybko.

- No, nie...

- Czy to ci coś mówi?

- Tylko tyle, że ktoś zapomniał ją odłożyć. - Głośno wciągnął powietrze nosem. - Czuję tu zapach seksu, ocierających się o siebie ciał. Nie znoszę go. Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście.

- Policja już jest w drodze, Evandro, więc lepiej odłóż ten nóż.

- Zrobiłbym to z przyjemnością, Angelo, ale najpierw muszę cię zabić.

- Nie zdołasz załatwić na oboje równocześnie.

- Widzę, że wciąż masz zmażone myśli, moja droga. To na pewno przez seks. On tak działa na ludzi. Sądząc po tym obrzydliwym zapachu, w każdym musi budzić instynkty jaskiniowców. Po tym, jak przeleciałem Karę i Jasona, a możesz mi wierzyć, że to im na tym zależało, nie mnie, od razu chciałem im poderżnąć gardła. Ale zostałem przekonany, że warto zaczekać.

- Próbuje gadaniną odwrócić twoją uwagę, Ange. Natychmiast dźgnęła go mocniej lufą rewolweru.

- Wyglądam na taką, co da się ogłupić gadką, Evandro?

- Przypomnij sobie, czego się nauczyłaś przez tych parę ostatnich tygodni. Nie pracuję sam. Czyżbyś o tym zapomniała?

- Powiedziałabym, że w tej chwili jesteś sam. Więc opuść ten pieprzony sztylet i to już!

On jednak pchnął mnie jeszcze mocniej, aż przed oczyma zatańczyły mi białe plamy.

- Chyba jednak nadal nie myślisz logicznie - mruknął Arujo. - Myślisz, że nie damy rady załatwić was oboje, ale to ty nie masz z nami żadnych szans.

- Zastrzel go - powiedziałem.

- Co? - warknął głośniej.

- Zastrzel go!

- Cześć! - doleciał nagle czyjś głos przez otwarte drzwi kuchni.

Angie ledwie zdążyła się obejrzeć, gdy owionął mnie swąd kuli wbijającej się w jej ciało, odór siarki, kordytu i krwi.

Tuż przy mojej głowie huknął drugi strzał. Błysk płomienia całkiem mnie oślepił.

Schyliłem się błyskawicznie. Nacisk czubka sztyletu na mój kark zniknął w jednej chwili, a nóż z brzękiem wylądował na podłodze. Evandro gwałtownie machnął ręką,

lecz tylko przeorał mi paznokciami twarz.

Wymierzyłem mu cios łokciem w twarz. Rozległ się stłumiony trzask pękającej kości i donośny wrzask. W tej samej chwili rewolwer Angie wypalił jeszcze dwukrotnie. Z kuchni doleciał brzęk tłuczonego szkła.

Rzuciłem się na Evandra, zwarłem się z nim i pchnąłem go w głąb sypialni, zanim jeszcze moje porażone oczy zaczęły na nowo przekazywać rozmazane zarysy. Trafiłem nogą broń Dunna, która wypaliła i kręcąc się w kółko, poleciała do kuchni.

Arujo znów sięgnął mi do twarzy, ale z całej siły wbiłem mu palec pod najniższe żebro, zrobiłem gwałtowny zwrot na pięcie i w półobrocie pchnąłem go na toaletkę.

Znikały mi ostatnie białe plamy przed oczami, kiedy wpadł głową w rozstawione na toalecie kosmetyki Angie i huknął w lustro, które potrzaskało promieniście i wielkimi płatami o kształcie i rozmiarach płetw do pływania posypało się w dół. Spadły też rozstawione tam świece, a ich płomyki rozbłyły na krótko i pogasły. Dałem nura przez łóżko, jeszcze zanim zwałił się na podłogę, pociągając za sobą całą toaletkę.

Chwyciłem swój rewolwer z nocnego stolika i lądując w przysiadzie po drugiej stronie łóżka, bez namysłu wypaliłem w to miejsce, gdzie widziałem go po raz ostatni.

Ale jego już tam nie było.

Obejrzałem się. Angie siedziała na podłodze w przejściu na korytarz, obok wciąż palącej się jakimś cudem przewróconej świeczki. Mrużąc jedno oko, spoglądała wzdłuż linii szczerbinki i muszki, zaciskając obie dłonie na kolbie rewolweru, żeby wytłumić jego drgania. Kiedy tylko ucichły głośnie kroki w kuchni, pospiesznie wystrzeliła dwa razy.

Z głębi domu doleciał głośny krzyk.

Niemal równocześnie zza okna dobiegł metaliczny trzask, a chwilę później silnik jakiegoś samochodu zawył na najwyższych obrotach. Rozległa się seria cichych pstryknięć, mieszkanie zatoneło w porażającym blasku światła, zaszumiały włączające się rozmaite urządzenia.

Zdusiłem stopą świeczkę tuż pod łokciem Angie i z bronią gotową do strzału ostrożnie wyjrzałem na korytarz. Evandro stał tyłem do nas, lekko pochylony, z rękoma zwieszonymi ku ziemi. Wyraźnie chwiał się na nogach w dziwnym, tanecznym rytmie, jakby kołysał się do taktu muzyki słyszalnej jedynie dla niego.

Pierwsza kula Angie trafiła go w środek pleców, w czarnej policyjnej pelerynie Dunna ziała okrągła dziura szybko wypełniająca się krwią. Evandro nagle znieruchomiał i po chwili osunął się na jedno kolano.

Druga kula strąciła mu czapkę, trafiła go w głowę trochę powyżej prawego ucha.

Teraz powolnym ruchem uniósł rękę, a służbowy rewolwer Dunna wysliznęła mu się z palców i z hukiem spadł na kuchenne linoleum.

- Wszystko w porządku? - zwróciłem się przez ramię do Angie.

- Głupie pytanie - jęknęła. - Matko Boska. Lepiej idź do kuchni.

- Gdzie dostałaś?

- Ten drugi musiał wejść kuchennymi drzwiami. Sprawdź je.

- Mam to gdzieś. Jesteś ranna. Skrzywiła się boleśnie.

- Nic mi nie będzie, Patricku, a on przecież może jeszcze sięgnąć po broń. Pójdziesz wreszcie do kuchni czy nie?

Stanąłem za plecami Evandra, podniosłem z podłogi rewolwer Dunna, dopiero później obszedłem łajdaka i spojrzałem mu w twarz. Uniósł na mnie wzrok, z niedowierzaniem obmacując palcami to miejsce, gdzie kula odłupała mu kawał czaszki. W blasku lampy jarzeniowej jego twarz miała odcień trupio szary.

Zaszlochał bezgłośnie, a spod powiek spłynęły mu łzy przemieszane z krwią. Dwie jaskrawoczerwone smugi na prawie całkiem białych policzkach przypomniały mi spotkanych przed laty dwóch innych łajdaków w przebraniach klaunów.

- To wcale nie boli - powiedział.

- Zaraz zaczniesz.

Patrzył na mnie ze smutkiem w oczach.

- To był niebieski mustang - mruknął, uznawszy to najwyraźniej za bardzo ważną wiadomość, którą musi się ze mną podzielić.

- Który?

- Ten, co go ukradłem. Jasnoniebieski, z fotelami obitymi białą skórą.

- Evandro, kim jest twój wspólnik?

- Nawet kołpaki na kołach mu błyszcząły.

- Kto jest twoim wspólnikiem?

- Czujesz coś do mnie? - zapytał z rozszerzonymi oczami, wyciągając do mnie rękę niczym żebrak pod kościołem.

- Nie - powiedziałem stanowczo.

- A więc jednak czegoś się nauczyłeś. Wygraliśmy.

- O kim mówisz?

Zamrugnął, wyciskając spod powiek kolejne krwiste łzy.

- Byłem w piekle.

- Tak, wiem.

- Nie rozumiesz. Kiedyś byłem w piekle - warknął głośniejszym głosem, krzywiąc się z bólu. Łzy spływały mu po twarzy coraz obfitszymi strumieniami.

- I dlatego później postanowiłeś je stworzyć dla innych? Odpowiedz mi szybko, Evandro, kim jest twój współnik.

- Nie pamiętam.

- Gówno prawda. Gadaj.

Traciłem z nim kontakt. Umierał na moich oczach, zakrywając dłonią rozległą dziurę w głowie, jakby chciał w ten sposób powstrzymać intensywny krwotok. Wiedziałem, że jego agonia może jeszcze potrwać nawet kilka godzin, ale nie miał już szans na uratowanie życia.

- Nie pamiętam - powtórzył.

- Przecież on cię zostawił na pastwę losu. Ty umierasz, a on świetnie się miewa. Nie oszukuj. Muszę...

- Nie pamiętam, kim byłem, zanim tu przyszedłem. Mam pustkę w głowie. Nie pamiętam nawet... - urwał i spazmatycznie zaczerpnął wielki haust powietrza, aż policzki zapadły mu się głęboko. W jego piersi coś głośno zaszemrało.

- Kto jest...

- ...jak wyglądałem w młodości.

- Evandro?

Z ust bluznęła mu struga krwi. Popatrzył za nią zdziwiony, a gdy znowu podniósł na mnie wzrok, miał przerażenie w oczach.

Widocznie nie wyczytał z mojej miny spodziewanego oparcia, bo spuścił głowę i zapatrzył się w kałużę krwi na podłodze. Uświadomiłem sobie, że nie pociągnie długo.

- Cholera - syknął, wyciągnął obie ręce przed siebie i spojrzął na nie.

- Evandro...

Ale on już nie żył. Ręce opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała i powoli osunął się na bok z zastygłym na twarzy wyrazem zaskoczenia, lęku i samotności.

- Nie żyje?

W drodze powrotnej przez sypialnię przystanąłem tylko na chwilę, żeby zdeptać płomień ostatniej, z uporem palącej się na podłodze świecy i wyjrzałem na korytarz.

- Tak. Jak się czujesz?

Całe jej czoło lśniło od grubych kropli potu.

- Chyba wpięprzyłam się na dobre, Patricku.

Nie spodobało mi się brzmienie jej głosu. Był dużo bardziej piskliwy niż zwykle, do tego nieprzyjemnie świdrujący.

- Gdzie dostałaś?

Podniosła rękę. Duża zakrwawiona dziura widniała w jej boku, trochę powyżej szczytu kości biodrowej, pod najniższym żebrem. Dziwnie pulsowała, jak gdyby oddychając.

- I jak to wygląda? - zapytała Angie, opierając głowę o futrynę.

- Nie najgorzej - skłamałem. - Zaraz przyniosę ręcznik.

- Widziałam tylko jego sylwetkę. Niewyraźny zarys.

- Słucham? - Gwałtownie zerwałem ręcznik z wieszaka w łazience i wyszedłem z powrotem na korytarz. - O kim mówisz?

- O kutasie, który mnie postrzelił. Kiedy wymierzyłam do niego, dostrzegłam tylko ciemny zarys jego sylwetki. Jest niski, ale barczysty. Zapamiętasz?

Przycisnąłem ręcznik do jej rany.

- Oczywiście. Niski, ale barczysty.

Zamknęła oczy.

- Niesamowite...

- Co? Natychmiast otwórz oczy, Ange. Trzymaj się. Otworzyła je i uśmiechnęła się ospale.

- ...wolwer... - sapnęła - ...taki ciężki...

Wyjąłem jej broń z ręki.

- Już ci nie będzie przeszkadzał, Ange. Ale musisz zostać przytomna do czasu...

Drzwi frontowe wyleciały z ogłuszającym trzaskiem. Odwróciłem się na pięcie i wymierzyłem w Phila, który jak bomba wpadł do środka. Za nim pojawiło się dwóch sanitariuszy.

Opuściłem rewolwer. Phil w dwóch susach pokonał korytarz i opadł na kolana przy Angie.

- Matko Boska... - jęknął. - Kochanie? - Zgarnął jej z czoła zlepione potem włosy.

- Proszę się odsunąć - nakazał stanowczo sanitariusz. - Proszę zrobić nam miejsce.

Cofnąłem się o dwa kroki.

- Skarbie?! - wrzasnął histerycznie Phil.

Angie zatrzepotała powiekami.

- Cześć - wyszeptała.

- Niech się pan odsunie - powtórzył ostrzej sanitariusz. - Musimy mieć miejsce.

Phil klapnął na podłogę i odepchnął się nogami, odjeżdżając metr do tyłu.

- Proszę pani - zagadnął sanitariusz. - Czuje pani nacisk moich palców?

Przed domem z piskiem opon zatrzymał się wóz policyjny. Okna rozjaśniła migająca poświata, jakby tuż za nimi nagle wybuchł gwałtowny pożar.

- Bardzo się boję - szepnęła Angie.

Drugi sanitariusz w korytarzu pospiesznie zablokował w pozycji otwartej kółka noszy i podniósł wysięgnik stojaka przy ich podwyższonym końcu.

Tuż za mną rozległ się dziwny turkot. Obejrzałem się na pięty Angie łomoczące o podłogę w konwulsyjnych drgawkach.

- Dostała szoku pourazowego - rzucił sanitariusz, chwytając ją pod ramiona. - Proszę ją złapać za nogi! - rozkazał ostro. - Za nogi! Natychmiast!

Przyklęknałem szybko i unieruchomiłem jej stopy. Obok mnie Phil zaczął jęczeć:

- Jezu... Zróbcie coś. Błagam... Zróbcie coś...

Drgawki jeszcze się nasilały, więc uniosłem jej nogi i oburącz przycisnąłem do piersi. Popatrzyłem na jej oczy, które wywróciły się białkami ku górze. Pod wpływem konwulsji osunęła się po futrynie i huknęła bokiem głowy o podłogę.

- Już! - rzucił sanitariusz, do drugiego, który w pośpiechu napełniał strzykawkę jakimś płynem. Wyrwał mu ją i błyskawicznie wbił igłę w klatkę piersiową Angie.

- Co pan robi?! - krzyknął Phil. - Matko Boska! Co pan jej robi?!

Szarpnęła się jeszcze raz i drugi w moim uścisku, po czym zwiotczała i jakby w zwolnionym tempie ułożyła się na podłodze.

- Musimy ją podnieść - nakazał sanitariusz. - Delikatnie, ale szybko. Na trzy. Raz...

W wyważonych drzwiach pojawiło się naraz czterech gliniarzy z bronią gotową do strzału.

- Dwa... Zrobić przejście! Musimy stąd zabrać ranną kobietę!

Drugi sanitariusz wyciągnął z torby maseczkę tlenową i zastygł, trzymając ją w górze.

Policjanci wycofali się na ganek.

- Trzy!

Szarpnąłem mocno, ale ciało Angie okazało się nadzwyczaj lekkie, jakby nigdy nie było zdolne do gwałtowniejszego ruchu, skoku czy tańca.

Ułożyliśmy ją na noszach, a drugi sanitariusz błyskawicznie włożył jej maseczkę tlenową na twarz i wrzasnął:

- Przejście!

Obaj pociągnęli nosze w kierunku drzwi.

Phil i ja ruszyliśmy tuż za nimi, lecz gdy tylko pojawiliśmy się na oblodzonym ganku, ze wszystkich stron doleciał metaliczny szczęk co najmniej dwudziestu odwodzonych równocześnie kurków.

- Rzucić broń i na kolana, do cholery!

Nawet nie próbowałem niczego tłumaczyć podenerwowanym gliniarzom.

Położyłem na najwyższym stopniu schodów oba rewolwery, mój i Dunna, klęknąłem przed nimi i uniosłem ręce wysoko nad głowę.

Ale Phil był zbyt przejęty stanem Angie, a może po prostu sądził, że policjanci nie mówią do niego. Zbiegł po schodkach i zdążył zrobić jeszcze dwa kroki za sanitariuszami, zanim silny cios kolbą w tył głowy zwałił go z nóg.

- Zostawcie go! - zawołałem. - To jej mąż!

- Zamknij mordę, gnoju! I nie waż się opuszczać tych pieprzonych rąk! Na ziemię! Ale już!

Nawet nie drgnąłem. Nadal klęcząc, spoglądałem tylko na skradających się ostrożnie w moim kierunku gliniarzy i sanitariuszy pakujących nieprzytomną Angie na noszach do karetki. Przeszył mnie dreszcz, gdy zimny wiatr uderzył w moje bosc stopy i przeniknął cienką koszulę.

35

Zanim gliniarze zdolali wszystko poukładać sobie w głowach, Angie już drugą godzinę leżała na sali operacyjnej.

Phila zwolnili około czwartej nad ranem, pozwalając mu jeszcze zadzwonić stąd do szpitala miejskiego, ale ja musiałem nadal krążyć przed czterema śledczymi oraz bardzo młodym i strasznie przejętym porucznikiem z wydziału zabójstw, tłumacząc im wszystko po kolei.

Nagie zwłoki Timothy'ego Dunna odnaleziono w wielkim pojemniku na śmieci przy huśtawkach na placu zabaw dla dzieci w Ogrodach Ryana. Szybko pojawiła się hipoteza, że Evandro musiał go jakoś zwabić do parku, na przykład zachowując się podejrzanie, lecz nie na tyle, by zostało to uznane za przejaw bezpośredniego zagrożenia.

Za tą tezę przemawiało prześcieradło, które zwisało z tablicy na sąsiednim boisku do koszykówki, doskonale widoczne z nieoznakowanego wozu patrolowego Dunna. Mężczyzna zawieszający je na koszu o drugiej, a więc w środku przenikliwie zimnej nocy, musiał wydać się posterunkowemu na tyle podejrzany, że wzbudził jego ciekawość, ale nie zmusił do powiadomienia o tym incydencie centrali. Tymczasem prześcieradło przymarzło do oblodzonej tablicy i wisiało tam niczym biały znak rozpoznawczy na tle mrocznego nieba.

Dunn został zaatakowany na schodach prowadzących na plac zabaw. Evandro zabił go ciosem sztyletu w zagłębienie za prawym uchem.

Mężczyzna, który postrzelił Angie, dostał się do domu kuchennymi drzwiami. Ślady jego butów rozmiaru osiem znaleziono w wielu miejscach podwórka, ginęły jednak na chodniku Dorchester Avenue. Systemy alarmowe zainstalowane przez Erdhama skutecznie unieszkodliwiła przerwa w dostawie prądu, toteż intruz nie miał większych problemów z otwarciem wytrychem tandetnej, do tego obluzowanej zasuwki.

Obie kule wystrzelone do niego przez Angie chybiły celu. Pierwsza wbiła się w ścianę przy drzwiach, druga odbiła się rykoszetem od pokrywy kuchenki i stłukła szybę w oknie nad zlewem.

Tak więc Evandro zabrał ze sobą tajemnicę tożsamości swojego współnika.

Gliniarze w wypadku śmierci któregoś z nich stają się bardzo groźni. Górę bierze wtedy wściekłość skryta na co dzień pod maską uprzejmości, nic więc dziwnego, że są wtedy gotowi aresztować każdego, kto im wpadnie w ręce.

Na dobitkę zabójstwo Timothy'ego Dunna rozjuszyło ich niepomernie, ponieważ był blisko spokrewniony z ich powszechnie znanym, lubianym i wysoko cenionym kolegą. A przy tym był młody i niewinny, wrócono mu szybką karierę.

Kiedy detektyw Cord - siwowłosa o miękkim ciepłym głosie i bezlitosnych błyskach w oczach - przesłuchiwał mnie w kuchni, przypominający rozjuszonego byka sierżant Rogin bezustannie krążył wokół zwłok Arujo, rytmicznie zaciskając pięści z bezsilnej wściekłości.

Wyglądał mi na człowieka, który zaciągnął się do policji z tych samych powodów, jakie innych popychają do wyboru stanowiska więziennego klawisza - a więc sadystę poszukującego akceptowanych przez społeczeństwo sposobów wyładowania swojej agresji.

Zwłoki Evandra spoczywały dokładnie w takiej pozycji, w jakiej je zostawiłem, z jednym kolaniem ugiętym, a drugą nogą sztywno wyprostowaną, rękoma zwieszającymi się wzdłuż boków i wzrokiem utkwionym w wielkiej kałuży krwi na podłodze.

Można było odnieść wrażenie, iż Rogin wścieka się głównie dlatego, że powoli sztywnieją w tej dziwnej pozie. Obrzucał Arujo wściekłym spojrzeniem, głośno fukał przez nos i nerwowo zaciskał pięści, jakby sam fakt obecności przy zabitym i okazywania pogardy stwarzał mu nadzieję, że ten nagle zmartwychwstanie, a on będzie mógł położyć go trupem po raz drugi.

Tak się jednak nie stało.

Dlatego sierżant w końcu odsunął się o krok i czubkiem buta lekko kopnął Evandra prosto w twarz.

Zwłoki przekręciły się na wznak, aż bezwładne ręce grzmotnęły o podłogę. Ugięta noga wyprostowała się samoistnie, głowa przekręciła się w lewo i szkliste oczy Arujo zapatrzyły się na pokrywę kuchenki.

- Rogin, co ty wyprawiasz, do cholery?

- Nic takiego, Hughie.

- Będę musiał to opisać w raporcie - warknął groźnie Cord. Sierżant zmierzył go wzrokiem świadczącym wyraźnie, że nie po raz pierwszy mają ze sobą na pieńku. Po chwili obojętnie wzruszył ramionami i splunął Evandrowi w twarz.

- Zostaw go - polecił detektyw. - Przecież i tak już nie wstanie, żebyś mógł się z nim zmierzyć.

Nagle w całym domu zapadła zagadkowa cisza. Zaskoczony Rogin zamrugał szybko, wyprostował się i spojrzał w otwarte drzwi prowadzące na korytarz.

Stanął w nich Devin z policzkami zaczerwienionymi od mrozu i bez słowa zapatrzył się na zwłoki Arujo. Oscar i Bolton zatrzymali się tuż za nim, zerkając ciekawie do środka ponad jego ramionami.

Devin przez dobrą minutę wbijał wzrok w nieruchome ciało. Nikt z nas nie miał odwagi się odezwać. Ja chyba wstrzymałem nawet oddech.

- Ulżyło ci? - warknął w końcu Devin, spoglądając na Rogina.

- Słucham, sierżancie?

- Pytam, czy ci wreszcie ulżyło.

Rogin nerwowo potarł nogawki spodni.

- Nie wiem, jak mam to rozumieć.

- Przecież zadałem ci proste pytanie - warknął Devin. - Przed chwilą kopnąłeś trupa. Ulżyło ci?

- Ja... - bąknął tamten ze wzrokiem wbitym w podłogę. - No, tak. Ulżyło.

Devin skinął głową.

- To dobrze - odparł cicho. - Doskonale. Bardzo mnie cieszy, że odznaczacie się takimi wytwornymi manierami, sierżancie Rogin. Bo to bardzo ważne. Gdzie indziej moglibyście się jeszcze wykazać tej nocy?

Rogin odchrząknął.

- Poleciłem zabezpieczyć miejsce zbrodni...

- Jeszcze lepiej. To zawsze się przydaje.

- No i...
- Ogłuszyliście kolbą człowieka zbiegającego z ganku. Zgadza się?
- Wydawało mi się, że jest uzbrojony.
- Całkiem zrozumiała reakcja. Powiedzcie mi jeszcze, czy zrobiliście cokolwiek w celu schwytania drugiego zabójcy?
- Nie, sierżancie. To było...
- A może przynajmniej kazaliście przykryć kocem nagie zwłoki posterunkowego Dunna?
- Nie.
- Też nie? - Devin także trącił czubkiem buta zwłoki Evandra, spoglądając na nie z jawną odrazą. - Więc może podjęliście kroki zmierzające do zlokalizowania drugiego zabójcy, a może zaczęliście na przykład rozpytywać okolicznych mieszkańców albo zarządziliście przeszukanie sąsiadujących posesji?
- Nie, ale...
- Zatem poza kopaniem zabitego, ogłuszeniem bezbronnego człowieka i oznaczeniem miejsca strzelaniny żółtą taśmą ostrzegawczą niczego więcej nie udało się wam dokonać, prawda, sierżancie?
- Rogin odwrócił głowę, jakby cała jego uwagę przykuło coś stojącego na kuchence.
- Nie - mruknął cicho.
- Słucham?
- Powiedziałem: nie.
- Devin pokiwał głową, przestąpił nad ciałem zabitego i stanął tuż obok Rogina, który był o głowę od niego wyższy. Kiedy jednak dostał kuksańca w bok, nachylił się posłusznie, a Devin szepnął mu do ucha, ale tak, żeby wszyscy słyszeli:
- Więc bądź uprzejmy wypieprzać z mojego miejsca zbrodni, sierżancie.
- Rogin spojrzał na niego z niedowierzaniem, a Devin dodał, jeszcze trochę głośniejszym i złowieszczym szeptem:
- Dopóki jeszcze macie ręce umocowane prawidłowo do ramion.

- Spieprzyliśmy sprawę - oznajmił Bolton. - Mówiąc szczerze, to ja ją spieprzyłem.
- Nieprawda - odparłem.
- To moja wina.
- Nie, to wina Evandra - sprostowałem. - I jego współnika.
- Oparł się plecami o ścianę w korytarzu, zadarł głowę i popatrzył w sufit.

- Byłem zbyt gorliwy. Zastawili ewidentną pułapkę, w którą dałem się złapać jak idiota. W ogóle nie powinienem był was zostawiać samych.

- Nikt nie mógł przewidzieć, że nastąpi przerwa w dopływie prądu.

- Czyżby? - Uniósł obie ręce, po czym opuścił je z rezygnacją.

- Daj spokój, Bolton - odrzekłem. - Grace jest bezpieczna. Mae również. Philowi nic nie grozi. To przecież cywile bezwolnie wciągnęli w tę rozgrywkę. Ja i Angie to zupełnie inna sprawa.

Wyszedłem z kuchni i ruszyłem korytarzem do saloniku.

- Kenzie.

Obejrzałem się na niego.

- Jeśli pan i pańska współpracowniczka nie jesteście cywilami wciągniętymi w tę rozgrywkę i nie jesteście też policjantami, to jak mam was traktować?

Wzruszyłem ramionami.

- Jak parę idiotów, którzy nawet w połowie nie są tak sprytni, jak im się wydawało.

Później, kiedy siedzieliśmy w saloniku, szarawy poblask za oknem obwieścił nadciągający świt.

- Ty powiadomisz Theresę? - zwróciłem się do Devina.

Zapatrzył się przez okno.

- Jeszcze nie teraz. Podjadę do niej za jakiś czas.

- Przykro mi - mruknąłem, bo choć zdawałem sobie sprawę, że to marne pocieszenie, nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Oscar zakasłał, wciąż wbijając wzrok w podłogę. Devin w zamyśleniu przeciągnął palcem po ramie okiennej i jakby ze zdziwieniem popatrzył na zebrany kurz.

- Mój syn wczoraj skończył piętnaście lat - rzekł.

Jego była żona, Helen, wraz z dwójką ich dzieci mieszkała w Chicago z drugim mężem, który był ortodontą. Sąd przyznał jej wyłączność opieki nad synami, a Devin po przykrym incydencie sprzed czterech lat stracił nawet prawo do okresowych spotkań z nimi.

- Naprawdę? I co Lloyd teraz porabia?

Wzruszył ramionami.

- Kilka miesięcy temu przysłał mi w liście swoje zdjęcie. Strasznie wyrósł i nosi takie długie włosy, że ledwie widać spod nich twarz. - Wciąż wpatrywał się tępo w

swoje wielkie masywne dłonie. - Gra na perkusji w jakimś lokalnym zespole. Helen twierdzi, że przez to zaczyna się opuszczać w nauce.

Podniósł wreszcie głowę i znów wyjrzał na ulicę. Kiedy znów się odezwał, głos wyraźnie mu drżał:

- Wygląda jednak na to, że są znacznie gorsze rzeczy od wątpliwej kariery w młodzieżowym zespole muzycznym. Prawda, Patricku?

W milczeniu pokiwałem głową.

*

Phil pojechał moim starym fordem do szpitala, toteż Devin podrzucił mnie do garażu, w którym trzymałem swojego porsche'a. Zatrzymał wóz przy krawężniku, odchylił się na oparcie fotela i zamknął oczy, jak gdyby zasłuchany w ciche trzaski stygnącego silnika.

- Arujo ze współnikiem podłączyli telefon do modemu komputera w opuszczonym domu w Nahant - rzekł. - Zrobili to w taki sposób, że mogli zadzwonić pod jego numer z dowolnego miejsca, choćby z budki na rogu, a każde śledzenie połączenia musiało nas doprowadzić do numeru pośredniego modemu. Sprytna sztuczka.

Nie odzywałem się. Przeciągnął dłońmi po twarzy i silniej zacisnął powieki, jakby walczył z nową falą przemożnego smutku.

- Jestem gliniarzem - odezwał się po chwili. - To wszystko, co mam. Powinienem jak najlepiej wykonywać swoje obowiązki. Profesjonalnie.

- Tak, wiem.

- Znajdź tego człowieka, Patricku.

- Na pewno go znajdę.

- Niezależnie od tego, ile to będzie kosztować.

- Bolton...

Powstrzymał mnie szybko uniesieniem ręki.

- Boltonowi też zależy na zamknięciu tej sprawy, więc staraj się nie zwracać jego uwagi. Nie wychylaj się. W imieniu swoim i jego mogę cię zapewnić o całkowitej dyskrecji. Nikt nie będzie ci patrzył na ręce. - Otworzył oczy, obrócił się na siedzeniu i przez dłuższy czas przyglądał mi się badawczo. - Nie pozwól, żeby ten łajdak miał okazję pisać w więzieniu książki albo udzielać wywiadów.

Skinąłem głową.

- Na pewno będą chcieli go poddać wyczerpującym badaniom. - W zamyśleniu poskubał palcem plastikowy odprysk mocno poobijanej deski rozdzielczej. - Ale nie

nie działają, jeśli nie wpadnie im w ręce żywy i funkcjonujący mózg, który nadałby się do badań.

Bez słowa poklepałem go po ramieniu i wysiadłem z samochodu.

*

Angie wciąż była na sali operacyjnej, gdy zadzwoniłem do szpitala, poprosiłem więc o przywołanie Phila. Kiedy w końcu się odezwał, wyczułem, że jest na granicy załamania nerwowego.

- Co się dzieje? - zapytałem.
- Ciągle ją operują. Nie chcą mi nic powiedzieć.
- Głowa do góry, Phil. To mocna kobieta.
- Jedziesz tutaj?
- Niedługo przyjadę. Najpierw muszę się z kimś zobaczyć.
- Ty się też trzymaj - wycedził powoli.

Zastałem Erica w jego mieszkaniu w Back Bay.

Otworzył mi drzwi w pomiętym szlafroku i szarych spodniach od dresu. Z trzydniowym zarostem na twarzy robił przynębiające wrażenie. Długie szpakowate włosy, jak zwykle zebrane z tyłu głowy w długi kucyk, tym razem nadawały mu wygląd starca nie z tej epoki.

- No, powiedz coś, Ericu.

Zerknął podejrzliwie na kolbę rewolweru wystającego mi zza paska spodni.

- Zostaw mnie w spokoju. Jestem zmęczony.

Ponad jego ramieniem dostrzegłem gazety rozrzucone po podłodze oraz stertę brudnych naczyń w zlewie.

- Mam to gdzieś. Musimy pogadać.

- Już wszystko powiedziałem.

- Tak, wiem, że przesłuchiwało cię FBI. Odmówiłeś jednak badania na poligrafie.

Zamrugnął szybko.

- Słucham?

- Nie przesłyszałeś się.

Podrapał się po nodze, ziewnął i wyjrzał na korytarz.

- Wyniki przesłuchań z wykorzystaniem poligrafu nie mają żadnej wartości w sądzie.

- Przecież nikt cię nie stawia przed sądem. Chodzi o sprawę Jasona Warrena. A

teraz także o Angie.

- A co z nią?

- Została postrzelona.

- Co...? - Wyciągnął przed siebie rękę, jakby zamierzał się bronić przed nacierającą na niego prawdą. - Jezus, Maryja. Wyjdzie z tego, Patricku?

- Jeszcze nie wiadomo.

- Pewnie odchodzisz od zmysłów.

- Na razie jestem kompletnie ogłupiony, do cholery. Lepiej weź to pod uwagę.

Skrzywił się, a w jego spojrzeniu na krótko zagościł wyraz goryczy i beznadziei.

Odwrócił się do mnie tyłem, zostawiając drzwi otwarte i podreptał w głąb mieszkania. Ruszyłem za nim przez śmietnisko, w jakie zamienił duży pokój. Niemal wszędzie wałały się książki, pudełka po pizzy, butelki od wina i puszki po piwie.

Wszedł do kuchni i nalał sobie kawy z dzbanka pokrytego licznymi plamami i zaciekami, od dawna niemytego, odłączonego nawet od prądu. Bóg jeden raczył wiedzieć, jak stara jest kawa w dzbanku.

- Czy ty i Jason byliście kochankami? - zapytałem.

Pociągnął łyk zimnej kawy.

- Słyszysz? Dlaczego musiałeś zrezygnować z posady na uniwersytecie stanowym?

- Przecież wiesz, jaki los spotyka homoseksualnych wykładowców przyłapanych w łóżku ze studentami?

- Na całym świecie wykładowcy sypiają ze studentami. Uśmiechnął się smutno i pokręcił głową.

- Zazwyczaj sypiają ze studentkami - sprostował, westchnąwszy ciężko. - Zresztą, w obecnej atmosferze politycznej nawet ten proceder zaczyna być niebezpieczny. *In loco parentis*. To powiedzenie samo w sobie nie brzmi groźnie, dopóki nie odnosi się go do dwudziestolatków, zwłaszcza w tym kraju, gdzie rodzicom najmniej zależy na tym, by ich dzieci wreszcie dorosły.

Znalazłem względnie czysty kawałek kuchennego blatu i oparłem się o niego. Eric zerknął na mnie znad krawędzi kubka.

- Lecz ogólnie rzecz biorąc, masz rację - ciągnął. - W powszechnym mniemaniu nie ma nic złego w tym, że wykładowcy sypiają ze studentkami, pod warunkiem, że nie są to ich słuchaczki.

- Więc na czym polega problem?

- Otóż na tym, że zarówno wśród wykładowców, jak i studentów zdarzają się geje.

Możesz mi wierzyć, że tego rodzaju stosunki wciąż budzą poruszenie.

- Nie przesadzasz, Ericu? Przecież mówimy o bostońskiej akademii, najsilniej ufortyfikowanym bastionie amerykańskiego liberalizmu.

Zaśmiał się ironicznie.

- Naprawdę tak uważasz? - Znowu pokręcił głową, a na jego wargach pojawił się zagadkowy uśmiezek. - Gdybyś miał córkę, powiedzmy, dwudziestoletnią, zdolną i bystrą, studiującą na Harvardzie, w stanówce albo tu, u Bryce'a i dowiedziałbyś się, że sypia z wykładowcą, jak byś to odebrał?

Wytrzymałem jego badawcze spojrzenie.

- Nie twierdzę, że by mi się to spodobało, ale chyba nie byłbym specjalnie zaskoczony. Pewnie doszedłbym do wniosku, że jest dorosła i ma pełne prawo wyboru.

Pokiwał głową.

- Więc weź ten sam scenariusz, tylko dotyczący syna, także sypiającego z wykładowcą, oczywiście mężczyzną.

To mi dało do myślenia, poruszyło w mojej duszy jakąś niewidzialną, zepchniętą w zapomnienie strunę, bardziej purytańską niż katolicką i obraz, który pojawił się w mojej wyobraźni - widok chłopaka tulącego się w łóżku do Gaulta - wywołał we mnie obrzydzenie, przynajmniej na tę krótką chwilę, zanim zdołałem je opanować i zdystansowałem się od niego, chwytając się mocnych intelektualnych poręczy mojego własnego liberalizmu społecznego.

- Prawdopodobnie...

- No i widzisz? - Uśmiechnął się szerzej, lecz jego oczy pozostały puste, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu. - Na samą myśl poczułeś odrazę, prawda?

- Ericu, ja...

- Mam rację, czy nie?

- Owszem - przyznałem cicho, zastanawiając się, jak to o mnie świadczy.

Uniósł rękę w górę.

- Nie masz się czego wstydzić. Znamy się od dziesięciu lat i zaliczam cię do najmniej owładniętych homofobią mężczyzn spośród wszystkich moich znajomych. Niemniej i ty ją przejawiasz.

- Ale w stosunku do ciebie i...

- Tak, w stosunku do mnie i moich kochanków jesteś w porządku - wpadł mi w słowo. - Ale gdy tylko pomyślisz, że to twój syn mógłby być gejem...

Wzruszyłem ramionami.

- Może i masz rację.

- Tak, miałem romans z Jasonem - odparł, szybkim ruchem wylewając kawę do zlewu.

- Kiedy?

- W ubiegłym roku. Szybko zerwaliśmy, trwało to tylko parę miesięcy. W końcu byłem przyjacielem rodziny, więc czułem się tak, jakbym zdradzał Diandrę. Natomiast Jasonowi, jak mi się zdaje, przeszkadzała różnica wieku między nami. Poza tym doskonale zdawał sobie sprawę ze swej atrakcyjności dla kobiet. Rozstaliśmy się jednak w przyjacielskiej atmosferze.

- Powiedziałeś o tym agentom FBI?

- Nie.

- Na miłość boską, dlaczego?

- Bo to by całkiem zrujnowało moją karierę - odparł. - Przypomnij sobie swoją reakcję na hipotetyczne rozważania. Niezależnie od tego, jak dalece w akademii hołduje się zasadom liberalizmu, w radach nadzorczych wszystkich wydziałów dominują biali mężczyźni o tradycyjnych poglądach albo ich żony. Toteż gdy tylko pojawi się podejrzenie, że któryś z wykładowców jest pedałem nakłaniającym ich synów bądź też synów znajomych do homoseksualizmu, zrobią wszystko, żeby go zniszczyć. Masz to jak w banku.

- Ale ta sprawa wcześniej czy później wyjdzie na światło dzienne, Ericu. Dochodzenie prowadzi FBI. Na pewno już teraz biorą twoje prywatne życie pod lupę. Z pewnością ktoś kiedyś zajrzy pod właściwy kamień.

- Nie mogę do tego dopuścić. Po prostu nie mogę.

- A co z Evandrem Arujo? Znałeś go?

Pokręcił głową.

- Nie. Jason był przerażony, Diandra też, dlatego do ciebie zadzwoniłem.

Nie miałem podstaw, aby mu nie wierzyć.

- Zastanów się jeszcze, czy nie porozmawiać szczerze z federalnymi.

- Czyżbyś zamierzał im przekazać treść naszej rozmowy?

Zaprzeczyłem energicznie.

- To nie w moim stylu. Gdyby przyszło co do czego, powiem, że moim zdaniem powinni cię wykluczyć z grona podejrzanych, chociaż nie sądzę, aby to odciągnęło ich uwagę od ciebie bez wyraźnych dowodów.

Pokiwał smętnie głową i ruszył do drzwi.

- Dzięki, że wpadłeś, Patricku.

Przed wyjściem zatrzymałem się jeszcze.

- Lepiej powiedz im wszystko.

Położył mi dłoń na ramieniu i uśmiechnął się skąpo, najwyraźniej próbując robić dobrą minę do złej gry.

- Tej nocy, kiedy Jason został zamordowany, byłem właśnie ze studentem, moim kochankiem. Jego ojciec jest bardzo wpływowym adwokatem z Karoliny Północnej i członkiem zarządu Koalicji Chrześcijańskiej. Jak sądzisz, co zrobi, kiedy się o tym dowie?

Spuściłem głowę i zapatrzyłem się na zakurzony dywan.

- Praca na uczelni to wszystko, co mam. To całe moje życie, Patricku. Bez niej po prostu zniknę z powierzchni ziemi.

Kiedy spojrzałem na niego, odniosłem wrażenie, że już zaczął znikać, jakby na moich oczach rozplątywał się we mgle.

W drodze do szpitala zatrzymałem się przy barze „The Black Emerald”, ale był zamknięty. Popatrzyłem w okna znajdującego się na piętrze mieszkania Glynn. Żaluzje były spuszczone. Rozejrzałem się za stojącym zwykle przy krawężniku grand torino Gerry'ego, lecz nigdzie go nie było.

Jeśli morderca rzeczywiście spotkał się ze mną twarzą w twarz od chwili rozpoczęcia tej serii zabójstw, jak wnioskował Dolquist, dość znacznie zawężyło to krąg podejrzanych. Eric i Gerry zostali już zaliczeni do tego grona przez FBI. A Glynn był przecież bardzo silny fizycznie.

Tylko jaki mógłby mieć motyw?

Znałem go niemal przez całe życie. Czy był zdolny do popełnienia tak okrutnych zbrodni?

Moje drugie ja podpowiadało mi natrętnie, że wszyscy jesteśmy do tego zdolni, bez wyjątku.

- Panie Kenzie.

Obejrzałem się. Agent Fields stał przy otwartym bagażniku swojego ciemnego plymoutha. Wrzucił do środka magnetofon reporterski i rzekł:

- Pan Glynn jest czysty.

- Skąd to wiadomo?

- Przez całą noc obserwowaliśmy jego mieszkanie. Poszedł na górę o pierwszej w nocy, do trzeciej oglądał telewizję, a później położył się spać. Siedzieliśmy tu aż do świtu. Nigdzie nie wychodził. Zatem nie może być naszym podejrzanym, panie Kenzie. Przykro mi.

Skinąłem głową, w głębi duszy czując ulgę przemieszana z poczuciem winy za to, że w ogóle podejrzewałem Gerry'ego.

Ale moje drugie ja było bardzo rozczarowane. Jakbym podświadomie pragnął, żeby to był właśnie Glynn.

Tak czy inaczej, mogłem już nie brać go pod uwagę.

- Pocisk wyrządził duże spustoszenie w organizmie - oznajmił doktor Barnett. - Rozszarpał jej wątrobę, naderwał obie nerki i ugrzązł w dolnej części brzucha. Dwa razy omal jej nie straciliśmy.

- Jak się teraz czuje?

- Kryzys jeszcze nie minął - rzekł. - Czy to mocna osoba? Ma wytrzymałe serce?

- Tak.

- W takim razie ma trochę więcej szans niż wielu innych na jej miejscu. Na razie naprawdę nie mogę nic więcej powiedzieć.

Przewieźli ją na oddział intensywnej terapii już po półtorej godziny na sali pooperacyjnej.

Wyglądała, jakby straciła na wadze ze dwadzieścia kilo. Zdawała się unosić w powietrzu nad łóżkiem.

Razem z Philem stanęliśmy nad nią, kiedy pielęgniarka jeszcze mocowała kroplówki i podłączała aparaturę monitorującą.

- Po co to wszystko? - mruknął Phil. - Przecież czuje się już dobrze, prawda?

- Dwa razy trzeba było ją reanimować, panie Dimassi. Trzeba ją podłączyć do monitora, aby mieć pewność, że taka sytuacja się już nie powtórzy.

Phil wziął żonę za rękę i popatrzył na jej długie szczupłe palce.

- Ange? - odezwał się cicho.

- Będzie spała przez cały dzień - wyjaśniła pielęgniarka. - Na razie w żaden sposób nie może jej pan pomóc.

- Nie zostawię jej samej - odparł stanowczo.

Kobieta zerknęła na mnie, lecz odpowiedziałem twardym niewzruszonym

spojrzeniem.

O dziesiątej wyszedłem z oddziału intensywnej terapii i ujrzałem w poczekalni Bubbę.

- Co z nią?
- Lekarze są dobrej myśli. Raczej z tego wyjdzie. Pokiwał głową.
- Pewnie będziemy wiedzieć więcej, gdy się ocknie - dodałem.
- To znaczy kiedy?
- Późnym popołudniem, może dopiero wieczorem.
- Mogę jakoś pomóc?

Pochyliłem się nad wodotryskiem i zacząłem łapczywie pić wodę, jakbym przemierzył pustynię.

- Muszę porozmawiać z Grubym Freddyem - powiedziałem.
- Jasne. Tylko o czym?
- Trzeba odnaleźć Jacka Rouse'a i Kevina Hurlihy'ego, żeby odpowiedzieli na kilka pytań.
- Nie sądzę, żeby Freddy miał coś przeciwko temu.
- Potrzebna mi też jego zgoda na użycie wobec nich broni, gdyby nie chcieli dobrowolnie odpowiadać na moje pytania.

Bubba również pochylił się nad wodotryskiem i zajrzał mi w oczy.

- Mówisz poważnie?
- Możesz powiedzieć Freddy'emu, że nawet jeśli nie wyrazi zgody i tak to zrobię.
- A więc jednak mówisz poważnie - mruknął.

Ustaliliśmy z Philem zmiany.

Kiedy jeden z nas musiał skorzystać z toalety albo czegoś się napić, drugi zajmował jego miejsce i trzymał Angie za rękę. Przez cały dzień jej palce spoczywały w dłoni któregoś z nas.

Kiedy w południe Phil wyruszył na poszukiwanie kawiarni, uniosłem jej rękę do warg i zamknąłem oczy.

Kiedy ją poznałem, brakowało jej obu górnych jedynek, a włosy miała przystryżone byle jak i tak krótko, że wziąłem ją za chłopaka. Stało się to w sali gimnastycznej Osiedlowego Centrum Rekreacji w East Cottage, dokąd wszystkie sześciolatki miały wstęp wolny. Wtedy jeszcze nie przywiązywano tak wielkiej wagi do opieki pozaszkolnej, zresztą opłata za stałe korzystanie z Centrum wynosiła tylko pięć

dolarów tygodniowo, a personel w zasadzie nie interesował się nami, dopóki niczego nie niszczyliśmy.

Pamiętam, że tamtego dnia całą podłogę sali gimnastycznej zasypaliśmy wszystkimi piłkami z magazynu: małymi do baseballu, pomarańczowymi do tenisa, większymi plastikowymi do treningów futbolu, gumowymi do koszykówki, ale też krążkami i kijami hokejowymi, a wśród tego bałaganu ganiało z opętańczym wrzaskiem co najmniej dwadzieścioro pięcioro niewyżytych sześciolatek.

Krążków było dosyć mało, toteż gdy mój gdzieś się zawieruszył, zwróciłem uwagę na tego chudego kurdupła z byle jak przyciętymi włosami, który stał pod ścianą i niemrawo przesuwiał kijem krążek po podłodze. Podbiegłem, niczym wytrawny hokeista wsunąłem płasko swój kij pod jego i zabrałem mu krążek.

A on mnie zaatakował. Zdzielił kijem po głowie i odebrał swój krążek.

Teraz, gdy tuliłem jej dłoń do twarzy na szpitalnym oddziale intensywnej terapii, tamten dzień jak żywo stanął mi przed oczyma.

Pochyliłem się niżej, przytuliłem policzek do jej głowy, przycisnąłem dłoń do piersi i znowu zamknąłem oczy.

Kiedy Phil wrócił, wycygałem od niego papierosa i wyszedłem na parking, żeby zapalić.

Nie paliłem od siedmiu lat, ale zapach tytoniu nieoczekiwanie podziałał na mnie jak perfumy, a dym, który wciągnąłem głęboko do płuc, wydał mi się czysty i kojący w mroźnym powietrzu.

- Ten porsche to piękna maszyna - odezwał się ktoś z prawej strony. - Model z sześćdziesiątego szóstego?

- Nie, z sześćdziesiątego trzeciego - odparłem i spojrzałem w tamtym kierunku.

Pine miał na sobie rozpięte grube palto z kołnierzem z wielbłądziej wełny, a pod spodem wiśniowe wełniane spodnie i czarny kaszmirowy sweter. Ciemne skórzane rękawiczki leżały na jego dłoniach jak robione na miarę.

- Skąd wzięłeś na niego forszę? - zapytał.

- W całości kupiłem tylko karoserię. Resztę części gromadziłem przez kilka lat.

- Więc pewnie należysz do facetów, którzy bardziej kochają swoje samochody niż żony czy przyjaciół. Wyjąłem z kieszeni kluczyki.

- Teraz to dla mnie tylko kupa żelaza, chromu i plastiku. Jak chcesz, możesz go sobie wziąć.

Pokręcił głową.

- Jest zbyt ostentacyjny jak na mój gust. Wolę jeździć acurą.

Jeszcze raz zaciągnąłem się głęboko papierosem i nagle zakręciło mi się w głowie. Miałem wrażenie, że cały świat zakołysał się przed oczami.

- Postrzelenie jedynej wnuczki Vincenta Patriso było wielkim błędem ze strony człowieka, który się tego dopuścił - rzekł Pine.

- To prawda.

- Pan Constantine został poinformowany, że dwóch ludzi, którzy otrzymali jego polecenie współpracowania z wami przy tym dochodzeniu, nie wywiązało się ze swoich zadań.

- Zgadza się.

- I teraz panna Gennaro leży na oddziale intensywnej terapii.

- Owszem.

- Pan Constantine pragnie przekazać, że nie miał z tym nic wspólnego.

- Wiem.

- A także, że ma pan jego carte blanche na podjęcie wszelkich działań zmierzających do rozpoznania i unieszkodliwienia człowieka, który postrzelił pannę Gennaro.

- Carte blanche?

- Oczywiście, panie Kenzie. Jeśli nawet panowie Hurlihy i Rouse nigdy więcej nie pojawią się w mieście, pan Constantine zapewnia, że ani on, ani żaden z jego współpracowników nie znajdzie powodów, by ich szukać. Czy to jasne?

Pokiwałem głową.

Podał mi złożoną kartkę. Na jednej stronie był zapisany adres: South Street 411, czwarte piętro. Na drugiej numer telefonu komórkowego Bubby.

- Pan Rogowski prosił, żeby zjawił się pan tam jak najszybciej.

- Dzięki.

Wzruszył ramionami i popatrzył z obrzydzeniem na mojego papierosa.

- Nie radzę tego palić, panie Kenzie.

Zawrócił i odszedł, a ja szybko zgasilem papierosa i wszedłem do środka.

Angie otworzyła oczy kwadrans przed trzecią.

- Skarbie? - zagadnął Phil.

Zamrugła i uchyliła wargi, żeby coś powiedzieć, ale w gardle jej zaschło.

Zgodnie z zaleceniami pielęgniarki włożyliśmy jej do ust okruch lodu, bo nie

można jeszcze było podać wody. Z wdzięcznością skinęła głową.

- Nie mów do mnie skarbie - wychrypiała. - Ile razy mam ci to powtarzać, Phillipie?

Zaśmiał się i pocałował ją w czoło, a ja cmoknąłem ją w policzek. Lekko klepnęła nas obu po twarzach. Usiedliśmy przy łóżku.

- Jak się czujesz? - zacząłem.

- Masz więcej równie głupich pytań?

Doktor Barnett opuścił stetoskop, schował ołówkową latarkę do kieszeni i powiedział:

- Do jutra zatrzymamy jeszcze panią na intensywnej terapii i poddamy dokładnej obserwacji, ale wygląda na to, że szybko wraca pani do zdrowia.

- Tyle że boli jak cholera.

Uśmiechnął się.

- Tak myślałem. Kula trafiła pod szczególnie paskudnym kątem, panno Gennaro. Później opowiem pani dokładniej, jakie szkody wyrządziła w pani organizmie. Ale już teraz informuję, że bardzo wielu potraw nie będzie pani wolno spożywać do końca życia. Na razie musimy wykluczyć nawet wszelkie płyny poza czystą wodą.

- Niech to szlag - syknęła Angie.

- Czekają panią także inne ograniczenia, o których będziemy musieli porozmawiać, ale...

- A co...? - urwała w pół słowa, zerkając na Phila i na mnie.

- Słucham?

- No... skoro kula aż tak zniszczyła mi cały dół brzucha, to...

- Na szczęście pani układ rozrodczy pozostał nietknięty, panno Gennaro.

- Aha - mruknęła i dostrzegłszy mój uśmiech, zmierzyła mnie piorunującym spojrzeniem i rzuciła ostro: - Tylko nie waż się odzywać choćby jednym słowem, Patricku.

Nieznośny ból dopadł ją koło siedemnastej, musieli jej zaaplikować dawkę demerolu zdolną powalić z nóg tygrysa bengalskiego.

Musnąłem dłonią jej policzek. Zamrugła szybko i popatrzyła na mnie półprzytomnym wzrokiem.

- Ten facet, który mnie postrzelił... - zaczęła nieco bełkotliwie.

- Tak?

- Wiesz już, kto to był?
- Nie.
- Ale się dowiesz?
- Oczywiście.
- W takim razie...
- Słucham.
- Dorwij go, Patricku - syknęła - i podziuraw mu kulami całe dupsko.

36

Pod wskazanym adresem stała jedyna kamienica z lokalami do wynajęcia pośród pracowni malarzy, artystycznych pracowni tkackich i krawieckich, salonów mody i ekskluzywnych, zamkniętych dla pospólstwa galerii, krótko mówiąc, niewielkim bostońskim odpowiedniku SoHo.

Czteropiętrowy budynek był pierwotnie garażem. Pod koniec lat czterdziestych, a więc w okresie, gdy w mieście nie panował jeszcze tak wielki głód na miejsca parkingowe, zmienił właściciela i został przebudowany na centrum rozrywkowe dla marynarzy. Na parterze mieścił się bar z salami bilardowymi, na pierwszym piętrze kasyno, a na drugim dom publiczny.

Przez większość mego życia ten przybytek świecił pustkami, toteż nawet nie wiedziałem, że na ostatnim piętrze znajdują się pokoje do wynajęcia. Przekonałem się o tym dopiero, gdy wielka staroświecka winda wyniosła mojego porsche pod dach, drzwi się otworzyły i ujrzałem przed sobą brudną zatechłą norę, pozostałość po dawnej kręgielni.

Oprawy jarzeniowe zwieszały się krzywo na łańcuchach spod sufitu podzielonego belkami nośnymi na duże kwadraty. W odchodzących w bok korytarzach wały się sterty śmieci. W wielkich drucianych koszach leżały setki grubo pokrytych kurzem kręgli. Wszelkie urządzenia zapewne już przed laty zostały zdemontowane i sprzedane na części, ale zachowało się jeszcze kilka alejek, na podajnikach wciąż leżały kule, spod zwałów poczerńiałych od brudu rupieci wylaniały się fragmenty kolorowych

tablic reklamowych.

Jak tylko wyjechaliśmy z windy i wysiedliśmy z samochodu, od razu dostrzegłem Bubbę siedzącego na kapitańskim krześle przed środkową alejką. W masywnych nogach fotelika nadal tkwiły łby śrub, świadczące wyraźnie, że został brutalnie oderwany od jakiejś podstawy, a skórzane obicie było w kilku miejscach potrzaskane i kawałki sparciałej gąbki wysypywały się przez dziury na posadzkę.

- Kto jest właścicielem tego budynku? - zapytałem.

- Freddy.

Pociągnął z butelki łyk czystej wódki Finlandia. Policzki miał już lekko zaczerwienione, a spod ociężałych powiek wypływały łzy, co pozwalało wnioskować, że to nie pierwsza jego butelka dzisiaj, a to źle wróżyło.

- Trzyma na stanie takie porzucone rudery dla zabawy?

Bubba pokręcił głową.

- Pierwsze i drugie piętro sprawiają odpychające wrażenie, tylko gdy się wjeżdża windą. Freddy i jego chłopcy czasami wykorzystują je na swoje potrzeby. - Zerknął na Phila lodowatym wzrokiem pełnym nieskrywanej pogardy. - Możesz mi powiedzieć, co tutaj robisz, mięczaku?

Phil pospiesznie cofnął się o krok, choć była to i tak dużo łagodniejsza reakcja niż większości ludzi mających kontakt z Bubbą pogrążonym w swojej psychotycznej odchyłce.

- Teraz to także moja sprawa. Aż do końca - odparł.

Bubba uśmiechnął się i w jednej chwili głęboki mrok spowijający zrujnowane alejki za jego plecami jak gdyby zaczął się rozjaśniać.

- Jak to miło z twojej strony - rzekł. - Wkurzyło cię, że Angie wylądowała w szpitalu i tym razem nie przez ciebie? Ktoś wlaźł na twoje wyłączne terytorium, pedale?

Phil przesunął się o krok bliżej mnie.

- To nie ma nic wspólnego z naszymi dawnymi zatargami, Bubba.

Ten zmarszczył brwi i spojrzał na mnie.

- Czy on zdążył się dorobić jaj, czy jest po prostu głupi?

Wcześniej tylko kilka razy widziałem Bubbę w takim stanie i zawsze odnosiłem wrażenie, że niechcący znalazłem się za blisko groźnego demona. Według moich ostrożnych szacunków, popadał w ten stan po trzeciej butelce wódki, nie umiałem jednak ocenić, czy teraz zdoła powściągnąć swoje najmroczniejsze instynkty.

Troszczył się tylko o dwoje ludzi na tym świecie, o mnie i Angie. A Phil w minionych latach zbyt wiele czasu poświęcał na robienie krzywdy swojej żonie, by Bubba czuł do niego cokolwiek innego poza jawną nienawiścią. Rzecz jasna, bycie przedmiotem czyjejs nienawiści to sprawa względna. Bo jeśli osoba, która cię nienawidzi, to na przykład pracownik agencji reklamowej, a ty jedynie zajechałeś mu drogę na ulicy, to z pewnością nie ma się czym przejmować. Lecz jeśli chodzi o Bubbę, rzekłbym, że natychmiastowe przeniesienie się za ocean jest nie najgorszym pomysłem.

- Posłuchaj, Bubba - zacząłem, a on powoli odwrócił głowę i popatrzył na mnie wyraźnie zamglonym wzrokiem. - W tej sprawie Phil jest po naszej stronie. To ci powinno na razie wystarczyć. Chce uczestniczyć we wszystkim, co będziemy musieli zrobić.

Nie okazał żadnej reakcji, tylko równie powoli znowu przeniósł wzrok na Phila i wlepił w niego mętne spojrzenie.

Phil wytrzymał je tak długo, jak tylko potrafił, to znaczy dopóki grube krople potu nie spłynęły mu za uszami na kark. W końcu jednak spuścił głowę i zapatrzył się w podłogę.

- W porządku, moczymordo - mruknął Bubba. - Pozwolimy ci posiedzieć przy stole przez kilka rozdań, jeśli ma ci to przynieść odkupienie za wszystko, co zrobiłeś swojej żonie, czy jak też sam sobie to pokrętnie tłumaczysz. - Wstał i podszedł do Phila, a ten uniósł głowę. - Tylko nie chcę między nami żadnych niedomówień. Nawet jeśli Patrick i Angie potrafią wybaczać, to ja nie. Któregoś dnia zapłacisz mi za wszystko. Phil pokiwał głową.

- Tak, wiem.

Bubba podetknął mu swój gruby paluch pod brodę i uniósł jego głowę nieco wyżej.

- A jeśli cokolwiek z tego, co się tu wydarzy, przecieknie na zewnątrz, od razu będę wiedział, że to nie sprawka Patricka. Więc zostaną zmuszony cię zabić. Czy to jasne, Phil?

Biedak próbował skinąć głową, lecz palec Bubby mu to skutecznie uniemożliwił, toteż syknął przez zaciśnięte zęby:

- Tak.

Bubba obejrzał się w mroczny kąt za drzwiami windy i rzucił krótko:

- Światło.

Ktoś pstryknął wyłącznikiem i kilka chorobliwie zielonkawych jarzeniówek zamigotało w resztkach opraw nad naszymi głowami. Chwilę później zapaliły się też żółte neony na końcach alejek kręgielni.

Bubba uniósł obie ręce i obrócił się powoli, niczym Mojżesz nakazujący się rozstąpić wodom Morza Czerwonego. Popatrzyłem w odległy koniec sali, gdzie spłoszony szczur dał nura pod stertę jakichś gratów.

- Jasna cholera - syknął przez zęby Phil.

- Mówiłeś coś? - zapytał Bubba.

- Nie. Nic.

Na końcu środkowej alejki, dokładnie na wprost mnie, klęczał Kevin Hurlihy. Ręce miał związane za plecami, nogi skrępowane w kostkach, a na szyję założony stryczek przymocowany do haka wystającego ze ściany. Jego opuchnięta i zakrwawiona twarz błyszczała od potu. Całkiem siny nos, który Bubba mu wcześniej złamał, był wyraźnie zniekształcony, a na wybitą szczękę założono usztywnienie z grubego drutu.

Jack Rouse, który wyglądał chyba jeszcze gorzej, klęczał w podobnej pozycji w sąsiedniej alejce. Był dużo starszy od Kevina, toteż jego obita twarz miała prawie zielonkawy odcień.

Bubba omiół triumfalnym spojrzeniem nasze osłupiałe miny i uśmiechnął się szeroko. Pochylił się w stronę Phila i mruknął:

- Dobrze im się przyjrzyj. Będziesz wiedział, co i ciebie czeka któregoś dnia, cioto.

Kiedy ruszył w kierunku więźniów, zapytałem szybko:

- Czyżbyś zdążył ich już przesłuchać?

Przystanął, pokręcił głową i pociągnął łyk wódki z butelki.

- Nie. Skąd miałem wiedzieć, o co pytać?

- Więc czemu im tak poobijałeś pyski?

Zatrzymał się przed Kevinem, pochylił się nad nim, po czym zerknął na mnie przez ramię z lubieżnym uśmieszkiem.

- Bo się nudziłem.

Puścił do mnie oko i na odlew zdzielił Hurlihy'ego w szczękę, a ten tylko zawył głucho przez zaciśnięte zęby.

- Matko Boska. Patricku - szepnął Phil. - Co to ma być?

- Spokojnie, Phil - mruknąłem, chociaż i mnie krew już kipiała w żyłach.

Bubba przesunął się do Jacka i jego grzmotnął pięścią w bok głowy, aż echo tego

uderzenia rozeszło się po całym piętrze budynku. Tyle że Rouse nawet nie pisnął, tylko zamknął na chwilę oczy.

- W porządku. - Bubba odwrócił się do mnie tak energicznie, że poły luźnego płaszcza zawirowały wokół niego. Ruszył chwiejnym krokiem z powrotem, łomocząc podkutymi buciorami o podłogę, co zabrzmiało, jakby przemknęli tędy czterej jeźdźcy Apokalipsy. - Teraz możesz ich wypytywać, Patricku.

- Od jak dawna tak klęczą? Wzruszył ramionami.

- Parę godzin. - Wziął ze stojaka zakurzoną kulę i zaczął ją wycierać rękawem.

- Nie powinniśmy im przynajmniej dać wody? Popatrzył na mnie bykiem.

- Co? Ty chyba żartujesz? - Objął mnie w ramionach i machnął trzymaną ciężką kulą w stronę więźniów. - Przecież to ten kretyn, który groził tobie i Grace. Zapomniałeś już? Obaj ci popaprańcy mogli powstrzymać falę zabójstw kilka miesięcy temu, zanim Angie została postrzelona, a Kara Rider ukrzyżowana. To nasi wrogowie! - syknął mi prosto w twarz, zionąc alkoholem.

- To prawda - mruknąłem, zwróciwszy uwagę, że zaczyna się chwiać na nogach - ale...

- Żadnych „ale”! - warknął. - Przecież sam powiedziałeś dzisiaj, że jesteś gotów ich zastrzelić, jeśli będziesz do tego zmuszony. Zgadza się?

- Tak.

- Więc o co chodzi? Dostarczyłem ci ich, Patricku. Dotrzymaj teraz słowa. I lepiej nie wprawiaj mnie w zakłopotanie, dobra?

Cofnął rękę i przycisnął kulę do piersi, muskając ją palcami.

Rzeczywiście powiedziałem, że jestem gotów do nich strzelać, by poznać prawdę i naprawdę byłem wtedy gotów to zrobić. Ale łatwo było mi tak powiedzieć, kiedy stałem w szpitalnej poczekalni, nie mając przed sobą osobników z krwi i kości, którym wtedy groziłem.

Teraz jednak spoglądałem na dwóch zakrwawionych i znękanych ludzi całkowicie zdanych na moją łaskę. Nie byli jedynie teoretycznymi podmiotami, ale żywymi i oddychającymi istotami, do tego trzęsącymi się ze strachu.

Naprawdę zdanymi na moją łaskę.

Odwróciłem się od Bubby oraz Phila i ruszyłem powoli w głąb kręgielnianej alejki do Kevina. Patrzył na mnie spod przymrużonych powiek, najwyraźniej z rosnącą powoli nadzieją. Prawdopodobnie uważał mnie za najsłabsze ogniwo w ciągu swojej kaźni.

Kiedy Grace mi powiedziała, że podszedł do jej stolika, odruchowo wypaliłem, że go zabiję. Gdyby wtedy wszedł do pokoju w jej domu, z pewnością bym to zrobił. Kierowała mną wściekłość.

Tu jednak uczestniczyłem w jego torturach.

Gdy podszedłem bliżej, z sykiem wciągnął powietrze i potrząsnął głową, jakby chciał odzyskać jasność myśli, po czym z powrotem utkwiał we mnie spojrzenie tępych ślepi.

Moje drugie ja zaczęło mi natychmiast podpowiadać, że przecież on sam torturuje swoje ofiary, zabija je, czerpiąc z tego ogromną satysfakcję. Na pewno nie okazałby litości, gdybym to ja się znalazł na jego miejscu. Nie zasługiwał więc na moją litość.

- Kevin - zacząłem, przyklękając przed nim na jedno kolano. - Twoja sytuacja jest kiepska. Bardzo kiepska. Jeśli nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć, Bubba zademonstruje ci metody działania hiszpańskiej inkwizycji.

- Pieprz się - warknął ochryple przez zaciśnięte zęby. - Mam cię w dupie, Kenzie. Jasne?

- Nie, Kevin. Chyba jeszcze nie rozumiesz. Jak będziesz dalej próbował się wymigiwać, pogrążysz się na dziesięć różnych sposobów. Gruby Freddy dał mi na ciebie carte blanche. Tak jak na Jacka.

Nerwowo zadrgały mięśnie po lewej stronie jego opuchniętej twarzy.

- To prawda, Kevin.

- Chrzanisz.

- Myślisz, że spotkalibyśmy się tutaj, gdyby było inaczej? Pozwoliłeś, żeby wnuczka Vincenta Patriso dostała kulkę w brzuch.

- Przecież to nie ja.

Pokręciłem głową.

- Ale twój boss myśli inaczej, niezależnie od tego, jak się będziesz tłumaczyć.

Przekrwione ślepie omal nie wyszły mu z orbit, gdy potrząsnął głową i na powrót utkwiał we mnie wzrok.

- Powiedz mi, co się naprawdę stało, gdy SOSEE dopadło Hardimana i Rugglestone'a. Kim jest ten trzeci morderca?

- Zapytaj Jacka.

- Zrobię to, ale na razie pytam ciebie.

Chciał pochylić głowę, lecz stryczek zacisnął się na szyi, aż w gardle mu coś chrupnęło. Zsunąłem mu sznur z grdyki, on zaś westchnął ciężko, wciąż nie

podnosząc wzroku. Po chwili z rezygnacją pokręcił głową, dając mi do zrozumienia, że nie będzie gadał.

- Uwaga! - wykrzyknął Bubba.

Kevin szarpnął się w więzach, poderwał głowę i zmarszczył brwi, ja zaś uskokczyłem z drogi toczącej się kuli, która jakby jeszcze przyspieszając, choć toczyła się wyszczerbionych i nierównych klepkach alejki, trafiła go prosto w krocze.

Zawył dziko i rzucił się do przodu, aż musiałem złapać go za ramiona i odchylić z powrotem do tyłu, bo tylko zaciskał sobie pętlę na szyi. Z oczu pociekły mu strugi łez.

- To tylko pierwsza próba - oznajmił donośnie Bubba.

- Hej, wstrzymaj się na razie, dobrze?! - zawołałem.

On jednak przypominał już szarżującego byka. Z wdziękiem skrzyżował przed sobą nogi, wziął zamach i cisnął kulę łukiem w powietrze, nadając jej wsteczną rotację, toteż gdy spadła na alejkę, jakby zatrzymała się na moment, po czym potoczyła się ze zdwojoną energią i grzmotnęła klęczącego Kevina w lewe kolano.

- Jezu! - wrzasnął dziko, odruchowo przenosząc ciężar ciała na prawą nogę.

- Kolej na ciebie, Jack - oznajmił Bubba, wybierając następną kulę ze stojaka i przechodząc do sąsiedniej alejki.

- I tak nie wyjdę stąd żywy - oznajmił Rouse z rezygnacją w głosie, co na chwilę powstrzymało Bubbę.

- Wyjdiesz, jak będziesz gadać, Jack - odparłem.

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby dopiero teraz zauważył moją obecność.

- Wiesz, czym się różnisz od swojego ojca, Patricku?

Pokręciłem głową.

- Twój staruszek byłby pierwszy, żeby teraz ciskać w nas kulami, a ty będziesz się tylko przyglądał naszym cierpieniom, ale nie odważysz się przyłożyć do tego ręki. Jesteś nędzną rzygowiną.

Spojrzałem na niego i nagle ogarnęła mnie taka sama wściekłość, jak wtedy w domu Grace. Ten żaloszny egzekutor irlandzkiej mafii miał czelność wywyższać się nade mnie?! Grace i Mae przez takich jak on musiały się teraz ukrywać w jakimś bunkrze FBI w Nebrasce czy gdzieś tam, a kariera Grace legła w gruzach! Przez takich jak on Kara Rider skończyła przybita gwoździami do zmarzniętej ziemi, Jason Warren został poćwiartowany, Angie leżała w szpitalu, a nagie zwłoki Tima Dunna spoczęły w pojemniku na śmieci!

Przez długi czas próbowałem trzymać się na uboczu, podczas gdy Evandro i jego

wspólnik, Hardiman, Jack Rouse i Kevin Hurlihy dobrze się bawili, brutalnie traktując swoje niewinne ofiary. Czerpali radość z zadawania innym bólu, bo czuli się całkowicie bezkarni.

Ale teraz moja wściekłość nie była skierowana przeciwko Jackowi, Kevinowi czy Hardimanowi. Ogarniał mnie szal na wszystkich lubujących się przemocą - tych, co podkładali bomby pod kliniki przeprowadzające aborcję, wysadzali samoloty, dokonywali rzezi na całych rodzinach, rozpylali trujące gazy w tunelach metra, mordowali zakładników czy zabijali kobiety tylko dlatego, że przypominały im dziewczyny, od których w młodości dostali kosza.

Moją wściekłość budziły cierpienia ich ofiar. Obrzydliwe zasady, jakimi się w życiu kierowali. Ich zyski.

W każdym razie poczułem obrzydzenie do szerzonej przez nich przemocy, rządzącej nimi nienawiści i moich własnych zasad przyzwoitości, przez które wiele osób w ostatnich dniach mogło stracić życie. Poczulem nagle, że mam tego absolutnie dość.

Jack wciąż spoglądał na mnie z pogardą, a ja wsłuchiwałem się w coraz bardziej ogłuszające pulsowanie krwi w uszach, przez które przebijały się tylko głośnie syki klęczącego przy mnie Kevina. Pochwyciłem uważne spojrzenie Bubby i dostrzegłem błyski w jego oczach, co dodatkowo mnie rozjuszyło.

Poczulem się nagle wszechwładny.

Nie spuszczać wzroku z Jacka, wyciągnąłem rewolwer i szerokim zamachem wymierzyłem kolbą cios w zaciśnięte zęby Kevina.

Jęknął gardłowo, całkowicie zaskoczony. Odniosłem wrażenie, że nagle obleciał go strach.

Złapałem go za włosy, nadal spoglądając na Jacka. Moją odrazę nasilił jeszcze fakt, że były przetłuszczone i pozlepiane potem. Przytknąłem mu rewolwer do skroni i odciągnąłem kurek.

- Jeśli choć trochę ci na nim zależy, lepiej zacznij gadać, Jack.

Ten zerknął na Kevina i wyraźnie pobladł. Po raz kolejny zdumiało mnie, że tak silna więź może istnieć między mężczyznami, którzy przecież nic nie wiedzą o miłości.

Jack otworzył usta, ale jeszcze się zawahał. Sprawiał wrażenie starego i zmęczonego życiem.

- Masz pięć sekund. Raz... dwa... trzy... Kevin jęknął gardłowo, aż zaskrzypiała druciana siatka usztywniająca jego szczękę.

- Cztery...

- Twój ojciec - zaczął cicho Rouse - przez cztery godziny przypalał Rugglestone'a od czubka głowy aż po palce nóg.

- To wiem. Kto jeszcze był przy tym? Otworzył usta trochę szerzej i znowu spojrzał trwożliwie na swego przyjaciela.

- Kto jeszcze, Jack? Chcesz, żebym zaczął znowu odliczać? Powiedziałem już: cztery.

- Wszyscy byliśmy. Timpson, matka Kevina, Diedre Rider, Burns, Climstich i ja.

- Jak do tego doszło?

- Odnaleźliśmy Hardimana i Rugglestone'a zaszytych w tym starym magazynie. Szukaliśmy ich furgonetki przez całą noc, aż wreszcie nad ranem zobaczyliśmy ją niemal w środku osiedla. - Nerwowo obliznął górną wargę czubkiem nienaturalnie białego języka. - Twój ojciec podsunął wtedy pomysł, żeby przywiązać Hardimana do krzesła i zmusić go, by się przyglądał cierpieniom Rugglestone'a. Początkowo chcieliśmy mu tylko wpakować parę kulek, potem stłuc Hardimana na kwaśne jabłko i zawiadomić policję.

- Więc czemu tego nie zrobiliście?

- Sam nie wiem. Coś w nas wstąpiło. Twój ojciec znalazł ukrytą pod podłogą turystyczną lodówkę. Było w niej duże pudło pełne ludzkich szczątków. - Spojrzał na mnie z ukosa. - Części ludzkiego ciała. Głównie dzieci, ale także dorosłych. Na wierzchu leżała w całości dziecięca stopa, Kenzie. Jeszcze obuta w mały czerwony trampek w niebieskie groszki. Chryste... Jak to zobaczyliśmy, wpadliśmy w szal. Wtedy twój ojciec przyniósł skądś kanister z benzyną. A my zaczęliśmy ciąć Rugglestone'a brzytwami i nakłuwać szpikulcami do lodu.

Machnąłem ręką, nie chcąc więcej słuchać o porządnym, prawomyślnym obywatelach z SOSEE, którzy rozpoczęli systematyczne znęcanie się nad Charlesem Rugglestone'em.

- Kto teraz morduje na polecenie Hardimana? Jack zmarszczył brwi.

- Jak on się nazywa?... Aha, Arujo. Ten sam, którego twoja współniczka zabiła dzisiaj w nocy. Zgadza się?

- Arujo nie działał sam. Wiesz, z kim pracował?

- Nie - odparł. - Naprawdę nie wiem, Kenzie. Popełniliśmy wielki błąd, pozostawiając Hardimana przy życiu, ale...

- Dlaczego?

- Co: dlaczego?

- Dlaczego zostawiliście go przy życiu?

- Bo tylko w ten sposób mogliśmy się z tego wywinąć, gdy G nas przyłapał.

Umówił się z nami w ten sposób.

- G? O kim mówisz, do jasnej cholery?

Westchnął głośno.

- Zostaliśmy przyłapani na gorącym uczynku, Patricku, gdy staliśmy cali zakrwawieni nad Rugglestone'em, obserwując płomień liżące jego ciało.

- Kto was na tym przyłapał?

- Właśnie G. Już to mówiłem.

- Kto to jest G, Jack?

Skrzywił się z obrzydzeniem.

- Gerry Glynn.

Zakręciło mi się nagle w głowie, jakbym znów zaciągnął się papierosem.

- Nie aresztował was? - zapytałem.

Rouse lekko pokręcił głową.

- Nie. Powiedział, że to w pełni zrozumiałe i większość ludzi na naszym miejscu postąpiłaby tak samo.

- Gerry tak powiedział?

- Ogłuchłeś nagle, czy co? Tak, Glynn właśnie tak powiedział. Potem każdemu z nas wyłożył z osobna, ile jesteśmy mu winni, kazał nam iść do domu, a sam aresztował Aleca Hardimana.

- Jak należy rozumieć, że byliście mu coś winni?

- Dosłownie. Zażądał różnych przysług i takich innych... do końca życia. Twój ojciec pociągnął za odpowiednie sznurki i zdobył dla niego tani lokal z licencją na sprzedaż alkoholu. Ja pomogłem mu uzyskać kredyt na korzystnych warunkach. Inni odwdzięczyli się jeszcze inaczej. Zabronił nam nawet rozmawiać o tym ze sobą, więc nie mam pojęcia, jak kto mu się przysłużył. Wiem tylko na pewno, jaką pomoc uzyskał ode mnie i od twojego ojca.

- Zabronił wam się ze sobą kontaktować? Gerry?

- Przecież nie kto inny. - Popatrzył na mnie, podnosząc głowę, aż pod skórą na szyi wystąpiły błękitne, mocno pulsujące żyłki. - Chyba nawet się nie domyślasz, z kim naprawdę masz do czynienia w wypadku Gerry'ego. Jezu... - Zaśmiał się głośno. - Niech mnie szlag. Dałeś się nabrać na te jego pogadanki o dobrotliwym stróżu prawa,

co nie, Kenzie? - Wyprostował się na tyle, na ile pozwalał mu stryczek na szyi. - Glynn to pieprzony potwór. Ja przy nim mógłbym uchodzić za pastora. - Zaśmiał się po raz drugi donośnym, nerwowym gulgotem. - Myślisz, że ta podejrzana taksówka, która zawsze stoi przed jego barem, wszystkich pasażerów zawozi tam, gdzie sobie życzą?

Przypomniałem sobie tamtą noc w barze i wstawionego chłopaka, któremu Gerry wcisnął w garść dziesięć dolarów i przywołał taksówkę. Udało mu się dotrzeć do domu? Kto wtedy siedział za kierownicą taksówki? Evandro?

Bubba i Phil podeszli nieco bliżej. Obejrzałem się na nich i opuściłem rewolwer przytknięty do skroni Kevina.

- Wiedzieliście o tym?

Phil pokręcił głową.

- Wiedziałem, że Gerry to podejrzany typek i poza barem prowadzi jakieś ciemne interesy - mruknął Bubba - ale coś takiego...

- Od początku ustawił całe wasze pokolenie - dodał Rouse. - Rozpisał wasze role w jego przedstawieniu.

- Ogranicz się do konkretów, Jack. Co masz na myśli?

Uśmiechnął się, a w jego oczach zamigotały dawne ogniki.

- To jeden z najgorszych skurwysynów, jakich nosiła ziemia w naszej dzielnicy. Zmarł mu syn. Słyszeliście o tym?

- On miał syna? - zdziwiłem się.

- Pewnie, że miał. Nazywał się Brendan. Zmarł w sześćdziesiątym piątym. Miewał jakieś dziwne krwotoki w korze mózgowej, nikt nie umiał wyjaśnić ich przyczyny. Miał wtedy cztery latka. Bawił się z matką na podwórku, gdy nagle złapał się za głowę i padł martwy. Gerry dostał szału. Zabił swoją żonę.

- Pieprzysz - warknął Bubba. - Przecież był wtedy gliniarzem.

- I co z tego? Wbił sobie do łba, że to jej wina, że zdradzała go ze wszystkimi facetami z sąsiedztwa i Bóg ich za to pokarał, uśmiercając im syna. Zatłukł ją na śmierć, a potem zrzucił winę na jakiegoś włóczęgę i wpakował go za kratki. Tydzień później w Dedham ktoś zadźgał tego włóczęgę nożem i sprawę zamknęto.

- Jak Gerry mógł się do niego dostać, skoro tamten siedział w areszcie?

- Był wtedy strażnikiem w Dedham. W tamtych czasach pozwalano jeszcze gliniarzom pracować na drugim etacie, jeśli tylko nie kłóciło się to ze służbą w policji. Zostawił wtedy świadka, chyba współwzięnia, który dobrze wiedział, kto załatwił włóczęgę w celi. Ale i jego dopadł na Scollay Square jakiś tydzień po tym, jak tamten

wyszedł z aresztu.

Od razu przypomniałem sobie Jamala Coopera, ofiarę numer jeden. Wszystko zaczynało do siebie pasować.

- Gerry to jeden z najbardziej odrażających ludzi na tym świecie - dodał Jack. - Tylko nie można mu się dać skołować, Kenzie.

- I nigdy nie przyszło ci do głowy, że może być współnikiem Hardimana? - zapytałem.

Wszyscy popatrzyli na mnie.

- Wspólnikiem Hardimana...? - Rouse na chwilę zastygł z rozdziawionymi ustami, tylko mięśnie szczęki drgały mu pod skórą. - Nie... To znaczy... Jest bardzo groźny, ale...

- Co: ale?

- Nie może być świrem i seryjnym zabójcą.

Pokręciłem głową.

- Naprawdę jesteś taki tępy?

Gapił się na mnie rozszerzonymi oczami.

- Do cholery, Kenzie. Mimo wszystko pochodzi z naszego osiedla, gdzie nigdy nie przychodziły na świat aż tak pokręcone świry.

- Ty też jesteś z tego samego osiedla, Jack. Podobnie jak mój ojciec. Przypomnij sobie, co robiliście w tamtym zrujnowanym magazynie.

Odwróciłem się i ruszyłem w stronę windy, gdy zawołał:

- A ty, Kenzie? Udowodniłeś dzisiaj, że niczym się od nas nie różnisz.

Spojrzałem przez ramię na Kevina, który był bliski omdlenia. Krew spływała mu z ust i kapiała z brody.

- Ale jeszcze nikogo nie zabiłem, Jack.

- Zrobiłbyś to, gdybym nie zaczął gadać, prawda? Na pewno byś zrobił.

Poszedłem dalej.

- Tylko chciałbyś się uważać za porządnego faceta, Kenzie - dogonił mnie jego głos. - Zastanów się nad tym, co powiedziałem. I nie zapominaj, co tu dzisiaj zrobiłeś.

Nagle w ciemności przede mną błysnął płomień z lufy.

Pierwsza kula z wizgiem przeleciała mi tuż nad ramieniem.

Padłem plackiem na podłogę, nim druga wyskoczyła z głębokiego cienia i przecięła oświetloną przestrzeń.

Obie dosięgnęły celu. Słyszałem wyraźnie, jak z obrzydliwym mlaskaniem

zagłębiają się w ludzkie ciało.

Kiedy Pine wyszedł z cienia, odkręcając tłumik od pistoletu, wokół jego dłoni wirowały jeszcze pasemka dymu.

Odwróciłem się i popatrzyłem wzdłuż kręgielnianych alejek.

Phil klęczał na podłodze z rękoma wysoko uniesionymi nad głowę.

Bubba wlewał w siebie resztkę wódki z butelki.

Kevin Hurlihy i Jack Rouse spoglądali w dal szklistymi oczami, mając identyczne dziury po kulach pośrodku czoła.

- Witajcie w moim świecie - rzekł Pine, wyciągając do mnie rękę w czarnej rękawiczce z cienkiej skórki.

37

Bardzo nie podobała mi się mina Pine'a spoglądającego na nas z góry, gdy zjeżdżaliśmy windą. Phil stał z nisko spuszczoną głową, oparty rękoma o dach porsche, jakby nie mógł się już utrzymać na nogach. A Pine wlepił w niego nieruchome spojrzenie.

Kiedy mijaliśmy pierwsze piętro, powiedział coś do Bubby, ten zaś wsadził ręce do kieszeni prochowca i wzruszył ramionami.

Otworzyły się drzwi i wsiedliśmy do samochodu. Wyjechałem tyłem na ulicę i skręciłem w stronę South Street.

- Jezu... - mruknął Phil.

Jechałem powoli alejką dojazdową, wpatrując się w wąską smugę asfaltu wyławianego z ciemności przez snopy światła reflektorów.

- Zatrzymaj - rzucił po chwili z desperacją w głosie.

- Nie ma mowy.

- Proszę. Niedobrze mi.

- Wiem, ale będziesz musiał wytrzymać, dopóki nie znikniemy im z oczu.

- Dlaczego, na miłość boską?!

Wyjechałem na South Street i odparłem:

- Bo gdyby Pine albo Bubba zauważył, jak wymiotujesz, doszliby do przekonania, że nie można nam ufać. Dlatego musisz wytrzymać.

Ujechałem kilkaset metrów, skręciłem w prawo w Summer Street i dodałem gazu.

Kawałek za South Station zwoleń na tyłach Poczty Głównej, rozejrzałem się jeszcze, żeby sprawdzić, czy nigdzie przy rampie nie trwa załadunek furgonetki i dopiero wtedy zatrzymałem wóz przy dużym pojemniku na śmieci.

Phil wyskoczył z auta, zanim jeszcze zdążyło stanąć. Pospiesznie włączyłem radio, żeby nie słuchać odgłosów buntowania się jego organizmu na to, czego przed chwilą byliśmy świadkami.

Usłyszawszy piosenkę *Plowed* Sponge'a, zrobiłem głośniejsze, aż zadygotały wszystkie szyby, a donośne riffy gitarowe wdarły mi się w głębi czaszki.

Właśnie zginęli dwaj ludzie, ja zaś czułem się tak, jakbym sam pociągnął za spust. To prawda, że mieli sporo na sumieniu. Na pewno nie byli niewinni. Ale tak czy inaczej byli przecież ludźmi.

Kiedy Phil wszedł do samochodu, wyjąłem ze schowka w desce rozdzielczej papierową chusteczkę, podałem mu i ściszyłem radio. Przytknął ją do ust, a ja wykręciłem z powrotem na Summer Street i pojechałem dalej w kierunku Southie.

- Dlaczego on ich zabił? Przecież powiedzieli wszystko, czego chcieliśmy się dowiedzieć.

- Nie wykonali poleceń bossa. Lepiej nie wnikać głębiej w przyczyny ich śmierci.

- Na Boga, zwyczajnie wykonał na nich wyrok. Klęczeli związani, a on wyciągnął pistolet i tak po prostu, na oczach wszystkich zaczął strzelać. Stałem i patrzyłem na nich, a tu nagle... Jasna cholera!... W zupełnej ciszy, nawet bez odgłosu wystrzałów, pojawiły się dziury w ich głowach.

- Posłuchaj, Phil...

Skręciłem do zatoczki i zatrzymałem wóz przed pogrążonym w ciemnościach budynkiem „Arabian Coffee”, gdzie przynajmniej intensywny aromat świeżo palonej kawy tłumiał wszechobecny smród ropy niesiony wiatrem od strony portu.

- Mój Boże... - jęknął, zakrywając twarz dłońmi.

- Phil! Spójrz na mnie, do cholery! Opuścił ręce.

- Czego chcesz?

- To się nigdy nie wydarzyło.

- Co?

- To się nigdy nie wydarzyło! Rozumiesz?! - wrzasnąłem, aż odsunął się ode mnie w głąb fotela. - Też chcesz zginąć? Chcesz dostać kulę jak oni? Właśnie o tym rozmawiamy, Phil.

- Jezu. Ja? Za co?

- Bo byłeś świadkiem zabójstwa.

- Tak, wiem, ale...

- Nie ma żadnego ale. Sprawa jest bardzo prosta. Będziesz żył tylko dlatego, że Bubba nie odważy się skrzywdzić nikogo, z kim jestem związany. Będziesz żył, bo przekona Pine'a, że zdołam cię nakłonić do zachowania tajemnicy. I ja będę żył, dopóki nie nabiorą podejrzeń, że się wygadałem. Zresztą, gdyby sprawa wyszła na światło dzienne, obaj wylądowalibyśmy za kratkami pod zarzutem podwójnego zabójstwa. Ale do tego nie wolno nam dopuścić, Phil, bo gdyby Pine zyskał choć cień podejżenia, od razu zabiłby ciebie i mnie, a pewnie także Bubbę.

- Ale...

- Skończ wreszcie z tym cholernym „ale"! Przysięgam na Boga, że zmuszę cię, byś sam sobie wmówił, że to się nigdy nie wydarzyło. Miałeś tylko zły sen, jasne? Kevin i Jack wyjechali dokądś na wakacje. Jeśli nie wbijesz sobie tego do łba, prędzej czy później się wygadasz.

- Nie. Będę milczał.

- Wygadasz się. Powiesz o tym albo żonie, albo kochance, może komuś napotkanemu przypadkiem w barze, a wtedy wszyscy zginiemy. Zginie także ta osoba, przed którą się wygadasz. Zrozumiałeś?

- Tak.

- Będą cię mieli na oku.

- Co?

Pokiwałem głową.

- Pogódź się z tym i żyj dalej, jak gdyby nigdy nic, bo przynajmniej przez pewien czas będziesz uważnie obserwowany.

Głośno przełknął ślinę i przewrócił oczami, aż nabrałem obaw, że znowu będzie rzygał. Ale tylko odwrócił gwałtownie głowę i wyglądając przez okno, ciasno skrzyżował ręce na piersi, jakby chciał się nimi objąć.

- Jak ty to robisz? - zapytał szeptem. - Po prostu każdy dzień zaczynasz od nowa?

Usadowiłem się wygodniej, zamknąłem oczy i zasłuchałem w basowy pomruk potężnego silnika pod maską.

- Jak możesz z czymś takim żyć, Patricku? - powtórzył.

Nie odpowiedziałem. Wrzuciłem pierwszy bieg, wyjechałem powoli na ulicę i ruszyłem dalej przez Southie w kierunku naszego osiedla.

Zostawiłem porsche przed domem i ruszyłem do swojego forda crown victoria zaparkowanego kilkadziesiąt metrów dalej, wychodząc z założenia, że porsche, a zwłaszcza model z sześćdziesiątego trzeciego roku, to chyba ostatni wóz, w jakim można się pokazać w tej okolicy, jeśli nie chce się zostać natychmiast rozpoznany.

Phil podszedł do drzwi z prawej strony, ale energicznie pokręciłem głową.

- Co? - zapytał.

- Ty zostajesz. Dalej jadę sam.

Zrobił zdziwioną minę.

- Przecież tu chodzi o moją żonę, Patricku. Ten kutas ją postrzelił.

- Więc i ty chcesz go postrzelić w ramach rewanżu?

Wzruszył ramionami.

- Myślisz, że się do tego nie nadaję?

Przytaknąłem.

- Otóż to. Myślę, że się do tego nie nadajesz, Phil.

- Dlaczego? Z powodu tego, jak zareagowałem w kręgielni? Przecież Kevin... Wychowywaliśmy się razem. Kiedyś nawet się przyjaźniliśmy. Jasne, nie najlepiej zniosłem widok, gdy dostał kulkę. Ale Gerry? - Wyciągnął pistolet, oparł go o dach auta, odciągnął osłonę zamka i wprowadził nabój do komory. - To kupa gówna. Już jest martwy.

Przyglądałem mu się w nadziei, że sam zrozumie, jak idiotycznie wygląda, naśladować dzielnego pogromcę bandytów z tandetnego kryminału. Odpowiedział jednak hardym spojrzeniem, a po chwili przekreślił powoli broń i wymierzył mi prosto w twarz.

- Chcesz mnie zastrzelić, Phil?

Nie drgnęła mu nawet powieka. Wciąż mierzył we mnie, pewnie trzymając pistolet oparty o dach.

- Odpowiedz. Chcesz mnie zastrzelić?

- Jak nie otworzysz mi drzwi, Patricku, to strzelę w okno i wsiadę.

Spojrzałem na wymierzoną w siebie broń.

- Ja też ją kocham - dodał i szybko opuścił pistolet.

Kiedy usiadłem za kierownicą, załomotał kolbą w szybę. Wziąłem głębszy oddech, tłumacząc sobie, że jeśli go nie wpuszczę, to pobiegnie za mną ulicą albo rzeczywiście strzeli w okno porsche, wyrwie kable ze stacyjki i zewrze je na krótko.

Pochyliłem się na fotelu i otworzyłem mu drzwi.

Zacząło padać koło północy. Początkowo nie była to nawet mżawka, lecz jedynie parę osamotnionych kropel, które tylko splukały kurz z przedniej szyby i zabrudziły mi wycieraczki.

Zaparkowaliśmy przed domem starców na Dorchester Avenue, kilkadziesiąt metrów od baru „The Black Emerald”. Szybko nadciągnęły ciemne chmury, deszcz zabębnił o dach auta i wkrótce zaczął się przemieszczać po alei grubymi ciemnymi strugami. Podobnie jak poprzedniego dnia zaczął też natychmiast marznąć, chociaż jedynym widocznym efektem jego działania na oblodzone już chodniki i jezdnie było to, że zrobiły się czystsze i bardziej połyskliwe, a więc również bardziej niebezpieczne.

Na początku przyjęliśmy ten deszcz nawet z ulgą, bo szyby auta zaparowały od środka i pewnie trudno nas było dostrzec, dopóki ktoś nie zatrzymałby się przy samochodzie i nie zajrzał przez okno. Ale ten sam efekt obrócił się przeciwko nam, bo przestaliśmy widzieć jak na dłoni drzwi baru i wejście do mieszkania Gerry'ego. Dmuchawa w fordzie nie działała, podobnie jak nagrzewnica, toteż wkrótce zaczęliśmy marznąć. Opuściłem trochę szybę po swojej stronie, a Phil po swojej i starłem rękawem marynarki osadzoną parę, aż wyłonił się zza niej bar i drzwi mieszkania na piętrze, chociaż wciąż mało wyraźne i rozmazane.

- Skąd możesz mieć pewność, że to właśnie Gerry współpracował z Hardimanem?
- zapytał Phil.

- Nie mam, lecz wiele rzeczy do siebie pasuje.

- Więc dlaczego nie zawiadomisz policji?

- I co miałbym powiedzieć? Że dwóch facetów ze świeżymi dziurami w głowach opowiedziało nam przed śmiercią o dokonaniach Glynnna?

- To może FBI?

- Ten sam problem. Nie mamy żadnych dowodów. Jeśli to naprawdę Gerry i przedwcześnie go spłoszymy, może się znowu gdzieś zaszyć, popaść w uśpienie i przez lata zadowalać mordowaniem tylko tych, których nikt nie szuka.

- Więc po co tu siedzimy?

- Bo chciałbym zobaczyć jego reakcję, gdyby zdecydował się wykonać jakiś ruch.

Phil także wytarł rękawem zaparowaną szybę i wyjrzał na bar po drugiej stronie ulicy.

- Nie lepiej po prostu tam wejść i zadać mu kilka pytań? Spojrzałem na niego.

- Całkiem ci odbiło?

- Dlaczego?

- Bo jeśli to on, to od razu nas zabije.

- Ale nas jest dwóch, Patricku. I obaj jesteśmy uzbrojeni.

Pojąłem, że sam próbuje sobie coś wmówić, zebrać w sobie odwagę potrzebną do przekroczenia pewnej granicy. Ale nawet nie podejrzewał, jak daleko mu jeszcze do niej.

- To tylko zwykłe napięcie związane z biernym oczekiwaniem.

- Co?

- Często oczekiwanie wydaje się dużo gorsze od jakiegokolwiek konfrontacji, bo myślisz, że gdybyś coś zrobił, pozbyłbyś się tego nieprzyjemnego uczucia wyłączenia ze skóry.

Pokiwał głową.

- Dobrze je nazwałeś.

- Kłopot polega na tym, Phil, że jeśli Gerry jest tym, za kogo go uważamy, każda konfrontacja musi być dużo gorsza od oczekiwania. Zabije nas, niezależnie od tego, czy jesteśmy uzbrojeni, czy nie.

Głośno przełknął ślinę i skinął głową.

Przez dobrą minutę przyglądałem się zamkniętym drzwiom baru. Od chwili, gdy rozpoczęliśmy obserwację, nikt nie wszedł do środka i nikt stamtąd nie wyszedł, co wydawało mi się bardzo dziwne o tej porze, krótko po północy, zwłaszcza w tej okolicy. Wiatr przegonił aleją szeroki słup deszczu, a kiedy nas minął, groźnie zahuczał w oddali.

- Ilu załatwił? - odezwał się Phil.

- Słucham?

Ruchem głowy wskazał niezbyt odległy bar i zapytał:

- Jeśli to on jest mordercą, to ile osób może mieć na sumieniu? Przez całe swoje życie. No, gdyby wziąć pod uwagę, że to on zabił te wszystkie dzieciaki, które uciekły z domów i pewnie jeszcze wielu innych ludzi, o których nic nie wiadomo, to...

- Phil.

- Słucham.

- Jestem wystarczająco zdenerwowany. O pewnych rzeczach po prostu wolę nie myśleć w takiej chwili.

- Aha. - Potarł palcami brodę. - Masz rację.

Znów zapatrzyłem się na drzwi baru i zacząłem w myślach odliczać sekundy.

Przez kolejną minutę nikt przez nie ani nie wyszedł, ani nie wszedł.

Kiedy zadzwonił mój telefon komórkowy, obaj z Philem tak podskoczyliśmy na fotelach, że aż walnęliśmy głowami o sufit.

- Jezu - syknął Phil. - Matko Boska.

Włączyłem aparat.

- Halo.

- Patrick? Tu Devin. Gdzie jesteś?

- W samochodzie. Co się stało?

- Przed chwilą rozmawiałem z Erdhamem z FBI. Udało mu się zidentyfikować nieco rozmazany odcisk palca, który znalazł pod podłogą w twoim mieszkaniu, gdy zdejmował mikrofon podsłuchowy.

- I co? - zapytałem, odnosząc wrażenie, że krew przestaje mi krążyć w żyłach.

- To Glynn. Gerry Glynn.

Obejrzałem się błyskawicznie i przez zaparowaną szybę popatrzyłem na rozmazany zarys baru. Ogarnęła mnie fala tak silnego przerażenia, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyłem.

- Jesteś tam, Patricku?

- Tak. Posłuchaj, Devin. Właśnie obserwuję dom Glynn.

- Co takiego?!

- Dobrze słyszałeś. Doszedłem do tego samego wniosku jakąś godzinę temu.

- Jezu. Wynoś się stamtąd. I to już. Lepiej nie wchodź mu w drogę. Zmiataj.

Bóg jeden wie, jak bardzo chciałem to zrobić.

Lecz jeśli on był w swoim mieszkaniu i pakował do torby szpikulec od lodu oraz brzytwę, szykując się do zaatakowania kolejnej ofiary...

- Nie mogę, Devin. Jeśli teraz ruszy się z domu, będę mógł go śledzić.

- Nie, to wykluczone. Słyszysz! Nie wolno ci tego robić. Zwiewaj stamtąd jak najprędzej.

- Nic z tego.

- Kurwa mać! - Coś huknęło, jakby walnął pięścią w biurko. - W porządku. Zaraz tam przyjadę, ściągając po drodze całą armię. Rozumiesz? Siedź spokojnie na tyłku, zobaczymy się za kwadrans. Gdyby ruszył się z domu, od razu dzwoń pod ten numer.

Podyktował mi, a ja zapisałem go w notatniku przyklejonym do deski rozdzielczej.

- Pospiesz się - dodałem.

- Już pędzę. Rozłączył się. Spojrzałem na Phila.

- Mamy potwierdzenie. To na pewno Gerry.

Phil spojrział na mój telefon komórkowy z miną wyrażającą mieszaninę desperacji i zbliżających się torsji.

- Posiłki są już w drodze? - spytał z nadzieją.

- Tak, już jadą.

Szyby znowu całkiem zaparowały. Kiedy wycierałem swoją rękawem, kątem oka złowiłem jakąś zwalistą ciemną sylwetkę na wysokości bagażnika auta.

Tylne drzwi otworzyły się nagle, Gerry Glynn wskoczył do środka i objął mnie mokrymi rękoma.

38

- Jak się macie, chłopcy? - zapytał.

Phil pospiesznie wsunął rękę pod marynarkę, ale spojrzałem na niego tak ostro, że musiał od razu pojąć, iż nie życzę sobie, by dobywał broni w moim samochodzie.

- Dobrze, Gerry - odpadem.

Zerknąłem na odbicie jego oczu we wstecznym lusterku. Patrzył na mnie z pobbazaniem i lekkim rozbawieniem. Poklepał mnie masywną łapą po piersi.

- Zaskoczyłem was?

- No pewnie - mruknąłem.

Zachichotał.

- Przepraszam. Jak zobaczyłem, że siedzicie w wozie, zacząłem się zastanawiać, co Patrick i Phil mogą robić razem na Dorchester Avenue o wpół do trzeciej w nocy podczas takiej ulewy.

- Po prostu gadaliśmy, Gerry - odezwał się Phil, lecz jego próba zachowania obojętnego tonu wypadła raczej żałośnie.

- Aha. No cóż, to chyba całkiem niezła noc na pogawędki.

Spojrzałem na mokre od deszczu rude kłaki wystające mu spod mankietu koszuli.

- Czyżbyś próbował mnie podrywać? - zapytałem.

Spojrzał w lusterko spod przymrużonych powiek, przeniósł wzrok na swoje ręce i cofnął je pospiesznie.

- O rety. Przepraszam. Zapomniałem, że jestem przemoczony. - W ogóle nie

otwierałeś dzisiaj baru? - zapytał Phil.

- Co? Ach, nie. - Oparł się łokciami o przednie fotele i ułożył brodę na splecionych dłoniach. - Może być zamknięty przez jeden wieczór. Przyszło mi do głowy, że w taką pogodę i tak niewiele utarguję.

- To kiepsko - mruknął Phil i dziwnie prychnął, co przy odrobinie dobrej woli można było potraktować jak chichot. - Chętnie bym się czegoś napił.

Utkwiłem wzrok w kierownicy, żeby ukryć ogarniającą mnie furję. Ty idioto, pomyślałem, jak mogłeś powiedzieć coś podobnego?

- Dla przyjaciół bar jest zawsze otwarty - odparł radośnie Glynn i poklepał nas po plecach. - Macie to jak w banku.

- No, nie wiem, Gerry - mruknąłem. - Jak dla mnie, jest trochę za późno, i...

- Chodźcie, chodźcie. Za mną, drodzy przyjaciele! Trochę za późno - powtórzył naśladując mój ton i trącił Phila w ramię. - Co go ugryzło?

- No, wiesz...

- Chodźcie. Napijemy się.

Wyskoczył z samochodu i otworzył moje drzwi, zanim sięgnąłem do klamki.

Phil spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. Przez otwarte drzwi krople siekącego deszczu spadły na moją twarz i kark.

Glynn zajrzał do środka.

- No, chodźcie szybciej. Chcecie, żebym utonął?

Trzymając ręce w kieszeniach grubej bluzy z kapturem, ruszył przez ulicę. Podreptaliśmy za nim do wejścia. Zwróciłem uwagę, że gdy wyjął prawą rękę z kieszeni, by przekręcić klucz w zamku, lewą wbił jeszcze głębiej. Ale w ciemnościach, z deszczem padającym mi w twarz, nie potrafiłem ocenić, czy ma w niej broń, dlatego zrezygnowałem z pomysłu zdobycia rewolweru i dokonania obywatelskiego aresztowania mordercy na środku ulicy, tym bardziej, że jako wsparcie miałem podenerwowanego i niedoświadczonego partnera.

Gerry otworzył drzwi i szerokim gestem zaprosił nas do środka.

Tylko nad barem paliła się słaba lampka, reszta lokalu tonęła w półmroku. Sala bilardowa na tyłach przypominała mroczną jaskinię.

- A gdzie mój ulubiony pies? - zapytałem.

- Patton? Na górze w mieszkaniu, pogrążony w błogim psim śnie.

Szczęknęła zasuwka. Obaj z Philem obejrzelśmy się równocześnie.

- Lepiej żeby nie włązili tu przypadkowi klienci - wyjaśnił Glynn z uśmiechem. -

Musiałbym każdemu tłumaczyć, dlaczego dzisiaj wcześniej zamknąłem.

- Słusznie - odparł Phil i zaśmiał się głupkowato.

Gerry obrzucił go podejrzliwym wzrokiem i popatrzył na mnie.

Wzruszyłem ramionami.

- Od jakiegoś czasu nie mieliśmy okazji dobrze się wyspać - powiedziałem.

Zrobił minę wyrażającą głębokie współczucie.

- Jezu, całkiem zapomniałem. Angie została wczoraj postrzelona, prawda?

- Owszem - odparł zdecydowanie za ostro Phil.

Glynn wszedł za kontuar.

- W porządku, chłopcy. Przepraszam. Mam nadzieję, że z nią już wszystko w porządku?

- Tak, czuje się dobrze - powiedziałem.

- Siadajcie. - Otworzył lodówkę. Przystawiając w niej butelki, rzekł: - Angie to... no, wiecie... zupełnie wyjątkowa dziewczyna.

Odwrócił się i postawił przed nami dwie butelki buda. Nie chcąc wzbudzać podejrzeń, zdjąłem marynarkę i wytarłem o spodnie mokre od deszczu ręce.

- Masz rację. Jest wyjątkowa.

Ze zmarszczonymi brwiami zaczął zdejmować kapsle z butelek.

- Od czasu do czasu można spotkać w tym mieście kogoś tak wyjątkowego, pełnego radości życia. Angie właśnie taka jest. Wolałbym sam zginąć, niż patrzeć, jak ktoś taki cierpi.

Phil tak kurczowo zacisnął palce na butelce, że naszły mnie obawy, iż lada chwila strzaska ją w dłoni.

- Dzięki, Gerry - powiedziałem. - Na szczęście wyjdzie z tego.

- No cóż i tak wypijmy za jej pomyślność. - Nalał sobie jamesona do szklaneczki i uniósł ją w toaście. - Za jej szybki powrót do zdrowia.

Stuknęliśmy się i wypiliśmy.

- A tobie nic się nie stało, Patricku? - zapytał. - Słyszałem, że także brałeś udział w tej strzelaninie.

- Nie, nic.

- Dzięki Bogu.

Za naszymi plecami ryknęła nagle szafa grająca. Phil aż podskoczył na stolku i syknął:

- Kurwa!

Glynn uśmiechnął się, pokręcił potencjometrem umocowanym pod kontuarem i szybko ją ściszył. Jazgot przekształcił się w rozpoznawalną piosenkę: *Let it bleed*, jak najbardziej pasującą do sytuacji.

- Mam tak ustawiony automat, że szafa włącza się samoczynnie dwie minuty po otwarciu baru - wyjaśnił. - Przepraszam, że was przestraszyłem.

- Nie ma sprawy - mruknąłem.

- Wszystko w porządku, Phil?

- Co? - Popatrzył na Gerry'ego oczyma wielkości spodków. - Tak, w porządku.

Czemu pytasz?

Glynn wzruszył ramionami.

- Po prostu wyglądasz na spłoszonego.

- Wydaje ci się. - Phil energicznie pokręcił głową. - Nic podobnego. - Wyszczrzył zęby w szerokim, boleśnie sztucznym uśmiechu. - Wszystko gra, Gerry.

- Jasne. - Glynn także się uśmiechnął i po raz kolejny zerknął na mnie podejrzliwie.

To morderca, powtarzał natarczywy głos w mojej głowie. Zabija ludzi dla przyjemności. Ma ich dziesiątki na sumieniu.

- Więc co nowego? - zwrócił się do mnie. *Następne trupy*, odpowiedział głos.

- Słucham?

- Są jakieś postępy? - zapytał Glynn. - Oczywiście, pomijając tę wczorajszą strzelaninę.

I ćwiartuje ludzi, kiedy jeszcze żyją, żeby się nacieszyć ich krzykiem.

- Nie - wydusiłem z siebie. - Poza wczorajszą strzelaniną sprawa jakby utknęła w martwym punkcie, Gerry.

Zachichotał.

- To i tak cud, że udało ci się przeżyć tyle lat, Patricku, biorąc pod uwagę, czym się zajmujesz.

Oni błagają o litość, a on śmieje się w głos. Modlą się, a on dalej się śmieje. To na pewno on. Ten człowiek o łagodnych rysach i pogodnym spojrzeniu.

- Szczęście Irlandczyka - odrzekłem.

- Skąd ja to znam? - Ponownie uniósł szklaneczkę, puścił do mnie oko i wychylił trunek jednym haustem. - Phil - rzekł, nalewając sobie drugą porcję - a co ty ostatnio porabiasz?

- Co? - zapytał tamten zdziwiony. - Jak mam to rozumieć?

Tkwiał na wysokim stołku jak gotowa do odpalenia rakiet na platformie startowej, dla której rozpoczęto już odliczanie.

- Pytam o sprawy zawodowe. Nadal pracujesz dla braci Galvin?

Phil zamrugał szybko.

- Ach nie, skądże. Teraz jestem prywatnym zleceniobiorcą.

- Masz zamówienia?

To właśnie on poszlachtował Jasona Warrena, obciął mu nogi i ręce, odrąbał głowę.

- Co? - Phil pociągnął łyk piwa z butelki. - Pewnie. Nie narzekam.

- Jesteście dziś obaj dziwnie mało rozmowni.

- Cha, cha - wycedził Phil.

I to on przybił gwoździami zwłoki Kary Rider do zmarzniętej ziemi. Strzelił mi palcami przed nosem.

- Usypiasz na siedząco, Patricku?

Uśmiechnąłem się.

- Lepiej daj mi drugie piwo, Gerry.

- Nie ma sprawy. - Przyglądając mi się badawczo, po omacku sięgnął do stojącej za nim lodówki.

Skończyło się *Let it bleed* i z szafy popłynęła *Midnight Rambler*, w której wibrujący dźwięk harmonijki skojarzył mi się z upiornym śmiechem zza grobu.

Postawił przede mną drugą oszronioną butelkę. Kiedy zacisnąłem na niej palce, nasze dłonie zetknęły się na krótko i ledwie zdołałem się powstrzymać, żeby gwałtownie nie cofnąć ręki z obrzydzeniem.

- Przesłuchiwało mnie FBI - powiedział. - Wiedziecie o tym?

Pokiwałem głową.

- Aż wierzyć się nie chce, o co mnie pytali. Rozumiem, że muszą robić swoje, ale zachowywali się jak żalosne cipy.

Uśmiechnął się do Phila, choć ani trochę nie pasowało to do sytuacji. Nagle zdałem sobie sprawę, coż to za dziwny zapach przesładuje mnie od chwili wejścia do baru - słodkawy, lekko piżmowy, przypominający woń gotującego się mięsa.

Nie mógł pochodzić ani od Glynna, ani od Phila czy ode mnie, bo nie był to zapach ludzki, lecz zwierzęcy.

Spojrzałem na zegar wiszący nad barem. Mijało dokładnie piętnaście minut od czasu, gdy rozmawiałem z Devinem.

Czemu się spóźniał?

Wciąż czułem na palcach dotyk Glynn, gdy nasze dłonie przypadkiem się zetknęły, jakby skóra paliła mnie w tym miejscu.

Ta sama dłoń wylupiała oczy Peterowi Stimovichowi.

Phil odchylił się w prawo i zajrzał za koniec baru. Gerry zmierzył nas uważnym wzrokiem i w jednej chwili uśmiech zniknął z jego warg.

Uświadomiłem sobie, że przedłużające się milczenie stwarza napiętą, pełną podejrzliwości atmosferę, ale nie miałem pojęcia, jak je przerwać.

Zwierzęcy zapach wydawał mi się coraz intensywniejszy. Coś mi podpowiadało, że dolatuje z prawej strony, z tonącej w ciemnościach sali bilardowej.

Skończył się *Midnight Rambler* i na krótko zapadła całkowita cisza.

Doleciał mnie w niej ledwie słyszalny szmer, odgłos szybkiego, rytmicznego oddechu. Wiedziałem już, że w mroku sąsiedniej sali czai się Patton.

Mów, Patricku. Mów albo zginiesz.

- A ty, Gerry - zacząłem przez zaciśnięte gardło, z trudem dobywając z siebie głosu. - Co u ciebie?

- To samo - burknął, dając do zrozumienia, że skończył się czas przyjacielskich pogawędek. Bez przerwy wbijał nieruchome spojrzenie w Phila.

- Oczywiście poza tym, że byłeś przesłuchiwany przez FBI, i w ogóle? - Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu, starając się choć trochę rozładować rosnące napięcie.

- Jasne, oczywiście - odparł, nadal mierząc wzrokiem Phila.

Z szafy popłynęły pierwsze takty *The long black veil*, kolejnej piosenki o śmierci. Cudownie.

Phil jeszcze raz spojrzął za koniec baru, na podłogę. Siedziałem za daleko, żeby dostrzec, co przyciąga jego uwagę.

- Coś cię zaniepokoiło? - spytał Glynn.

Phil wyprostował się gwałtownie i zmrużył oczy, jakby ogarnęła go nagle konsternacja.

- Nie, Gerry. - Uśmiechnął się i uniósł w górę obie dłonie. - Po prostu zajrzałem do psiej miski stojącej przy barze. Wciąż jest w niej żarcie, jakby Patton nie skończył i dopiero przed chwilą od niej odszedł. Na pewno jest na górze?

W założeniu miała to być chyba tylko luźna uwaga. W każdym razie Phil na pewno zamierzał powiedzieć to obojętnym tonem. Ale wypadło zupełnie inaczej.

Przyjazne błyski w oczach Glynn'a ustąpiły nagle miejsca nieprzeniknionej lodowatej czerni. Popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakbym był wszą pod mikroskopem.

Uświadomiłem sobie, że to koniec udawania.

Sięgnąłem po broń, gdy na ulicy rozległ się donośny pisk hamulców, a Gerry błyskawicznie wsunął rękę pod kontuar.

Phil gapił się na niego jak zauroczony.

- Jago! - krzyknął Glynn.

To imię z szekspirowskiego dramatu było hasłem do ataku.

Zdążyłem wyszarpnąć rewolwer zza paska, gdy Patton wyskoczył z sali bilardowej. Dostrzegłem błysk ostrza brzytwy w ręku Gerry'ego.

- Och, nie - jęknął Phil, robiąc gwałtowny unik.

W tej samej chwili Patton wyskoczył w górę, lecz znalazł się ponad jego ramionami.

Dostrzegłem szybki ruch ręki Gerry'ego, odchyliłem się mocno do tyłu i brzytwa tylko drasnęła mnie w policzek. Patton zwałił się na mnie swoim ciężarem i zepchnął mnie ze stoika na podłogę.

- Nie, Gerry! Nie! - krzyknął Phil, także sięgając pod połą marynarki po broń.

Tuż przed sobą ujrzałem obnażone kły. Wilczur odchylił nieco łeb, rozwarł pysk i zamierzył się zębami w okolice mego prawego oka.

Ktoś przeraźliwie wrzasnął.

Złapałem go lewą ręką za krtań, aż dziwnie zbulgotał, jakby warkot zamarł mu w gardle. Ale kiedy próbowałem z całej siły zacisnąć palce, ześliznęły się po miękkiej sierści. Patton znowu odchylił łeb i ponownie zamierzył się na mnie zębami.

Wykręciłem prawą rękę między jego wierzgającymi tylnymi łapami, przytknąłem mu lufę do brzucha i pospiesznie wystrzeliłem dwa razy. Wilczur wyprężył się nagle, szarpnął łbem w bok, jakby ktoś go przywoływał, po czym fuknął głośno, zadygotał i osunął się między stołki po mojej prawej stronie.

Gwałtownie usiadłem na podłodze i wystrzeliłem sześć pocisków w lustro i rzędy butelek za barem. Gerry'ego już tam nie było.

Phil leżał na podłodze przy stołku, przyciskając obie dłonie do gardła.

Nim zdążyłem się do niego podczołgać, drzwi z hukiem wpadły do środka, wywalone kopniakiem z zawiasów i rozległ się okrzyk Devina:

- Nie strzelać! Nie strzelać! On jest z nami! - A po chwili: - Kenzie, odłóż broń!

Położyłem rewolwer na podłodze i popatrzyłem na Phila.

Spomiędzy jego palców szerokim strumieniem tryskała krew, rozlewając się w wielką kałużę. Glynn głęboko poderżnął mu gardło, przecinając aortę z prawej strony szyi.

- Karetka! - wrzasnąłem. - Wezwijcie karetkę!

Phil patrzył na mnie z niedowierzaniem, jakby nieświadom kałuży krwi błyskawicznie poszerzającej się wokół jego głowy.

Devin rzucił mi ścierkę zza baru i pospiesznie ułożyłem ją na szyi Phila, z obu stron silnie dociskając rękami.

- Cholera - szepnął.

- Nic nie mów.

- Cholera - powtórzył.

W jego spojrzeniu odmalował się wyraz porażki, jakby już od urodzenia miał ją zakodowaną w genach, jakby był przeświadczony, że każdy człowiek rodzi się albo szczęściarzem, albo pechowcem, on zaś od dawna wiedział, że któregoś dnia spocznie z poderżniętym gardłem na podłodze w barze, na twardych kafelkach przesiąkniętych kwaśnym odorem zatechłego piwa i wyzionie tu ducha.

Próbował się uśmiechnąć, ale w kącikach oczu zbierały się łzy, który po chwili ściekły mu po skroniach i zniknęły we włosach.

- Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz, Phil - powiedziałem.

- Wiem - szepnął. I skonał.

39

Gerry uciekł przez piwnicę, gdzie znajdowało się przejście do sąsiedniego budynku. Wydostał się z niego tylnymi drzwiami, zapewne tak samo, jak poprzedniego wieczoru, kiedy postrzelił Angie. Wskoczył do swojego grand torino zaparkowanego w bocznej uliczce za barem i wyjechał na Crescent Avenue.

Omali nie staranował wozu patrolowego, kiedy na pełnym gazie wypadł na skrzyżowanie. Zanim z piskiem opon skręcił na Dorchester Avenue, cztery auta policyjne już ruszały za nim w pościg.

Dwa dalsze radiowozy i ciemny lincoln FBI, które zbliżały się właśnie od centrum, stworzyły naprędce blokadę na rogu Harborview Street. Glynn próbował przed nią wyhamować, ale wpadł w poślizg na oblodzonej jezdni.

Obróciło go przodem do bramy wjazdowej Ogrodów Ryana. Duży wóz bez trudu wskoczył po gładkich i śliskich schodkach, w poślizgu zatrzymał się na środku placu zabaw dla dzieci i zanim na ulicy gliniarze i federalni zdążyli się wysypać z aut z bronią naszykowaną do strzału, Gerry otworzył bagażnik i wyciągnął ze środka swoich zakładników.

Pierwszym była dwudziestojednoletnia Danielle Rawson, która tego ranka zniknęła bez śladu sprzed domu rodziców w Reading. Drugim jej dwuletni synek o imieniu Campbell.

Kiedy wywlókł dziewczynę z bagażnika, miała na plecach obrzynka przyklejonego taśmą izolacyjną za lufę do tyłu głowy. Natomiast malec siedział w plecaku, który

matka miała na sobie w chwili porwania.

Oboje zostali wcześniej naszprycowani środkiem odurzającym, lecz Danielle zdążyła dojść do siebie, nim Glynn ustawił ją przed sobą, założył plecak, oblał siebie oraz dziewczynę benzyną i rozlał ją na łodzie szerokim kręgiem otaczającym ich troje.

Następnie zażądał, by przyprawiono mnie.

Byłem wtedy jeszcze w barze.

Kłęczałem przy zwłokach Phila i szlochałem z głową opartą na jego piersi.

Plakałem po raz pierwszy od czasu, gdy skończyłem szesnaście lat. Ale ani trochę nie wstydzilem się łez, które wylewałem na koszulę mojego najdawniejszego przyjaciela, gdyż czułem się odarty ze wszystkiego, co pozwalało mi do tej pory definiować swoje miejsce w otaczającym mnie świecie.

- Phil - szeptałem, tuląc twarz do jego nieruchomej piersi.

- On chce z tobą mówić - oznajmił Devin.

Podniosłem głowę i spojrzałem na niego takim wzrokiem, jakby nagle stał się dla mnie kimś obcym.

Kątem oka dostrzegłem plamę świeżej krwi na koszuli Phila, w miejscu, gdzie przed chwilą tuliłem twarz i dopiero wtedy przypomniałem sobie o rozciętym brzytwą policzku.

- Kto? - zapytałem.

- Glynn - rzekł Oscar. - Został otoczony na placu zabaw dla dzieci. Ma zakładników.

- Ściągnęliście snajperów?

- Tak - odparł Devin. Wzruszyłem ramionami.

- To go zastrzelcie.

- Niemożliwe. - Devin przytknął mi ręcznik do krwawiącego policzka.

A Oscar opowiedział o dwuletnim malcu siedzącym w plecaku, obrzynku przyklejonym taśmą izolacyjną do głowy jego matki i rozlanej benzynie.

Dla mnie to brzmiało jak niewiarygodna bajka.

- Zabił Phila - jęknąłem.

Devin złapał mnie pod ramię i dźwignął na nogi.

- Tak, wiemy, Patricku. Teraz jednak grozi zabiciem dwojga następnych ludzi. Pomożesz nam temu zapobiec?

- Tak - powiedziałem nieswoim głosem, który nawet w moich uszach zadudnił jak głos zza grobu. - Oczywiście.

Poprowadzili mnie do mojego samochodu, wbili w kamizelkę kuloodporną, podczas gdy ja ładowałem zapasowy magazynek do swojej beretty. Na ulicy dołączył do nas Bolton.

- Jest otoczony - wyjaśnił. - W pułapce.

Jak zwykle w podobnych sytuacjach, byłem całkiem odrętwiały, pomyślałby kto, że uwolnienie się od wszelkich emocji przychodziło mi równie łatwo, jak obranie jabłka ze skórki.

- Pospiesz się - mruknął Oscar. - Jeszcze pięć minut i zaczną kaleczyć zakładników.

Skinąłem głową, wciągając na kamizelkę koszulę i marynarkę. Stanęliśmy przy moim fordzie.

- Znacie magazyn Bubby? - zapytałem.

- Tak.

- Jego ogrodzenie łączy się bezpośrednio z ogrodzeniem placu zabaw.

- Tak, wiem o tym - odparł Devin.

Otworzyłem prawe drzwi, sięgnąłem do skrytki w desce rozdzielczej i zacząłem gorączkowo wysypywać z niej całą zawartość.

- Czego szukasz?

- W ogrodzeniu magazynu jest dziura - ciągnąłem. - Trudno ją zauważyć, bo to tylko mało widoczne rozcięcie siatki przy samej ramie. Ale wystarczy pchnąć siatkę, by stało się wystarczająco duże, żeby przez nią przejść.

- Jasne.

Dostrzegłem wreszcie koniec cienkiego stalowego cylindra wystający pomiędzy map drogowych i różnych innych papierów leżących już na siedzeniu.

- Rozcięta siatka jest na samym końcu ogrodzenia od strony wschodniej, gdzie słupek styka się już z początkiem płotu ogródka.

Devin łypnął podejrzliwie na trzymany przez mnie cylinder. Zatrzasnąłem drzwi i ruszyłem dalej ulicą w stronę wejścia do parku.

- Co to jest? - zapytał w końcu.

- Jednostrzałówka.

Poluzowałem pasek od zegarka, wcisnąłem cylinder pod niego i zapiąłem z

powrotem.

- Jednostrzałówka?

- Prezent gwiazdkowy od Bubby. Sprzed wielu lat. - Podsunąłem mu ją pod nos. - W środku jest tylko jeden nabój. Ten przycisk pełni rolę spustu. Wystarczy go nacisnąć, a tędy wyleci kula.

Oscar także popatrzył ciekawie na przegub mojej dłoni.

- Przecież to zwykły tłumik z przykręconym śrubkami denkiem i sprężynową zapadką. Nie boisz się, że ci to może urwać rękę?

- Pewnie może.

Dotarliśmy do rogu ogrodu. Za pięciometrowym, połyskującym od lodu parkanem stały ciemne drzewa ze zwieszonymi ku ziemi bezlistnymi gałęziami.

- Po co ci to potrzebne? - nie rezygnował Oscar.

- Mam obawy, że każe mi odłożyć broń - powiedziałem, oglądając się na nich. - Lepiej zajmijcie się szukaniem tej dziury w płocie.

- Zaraz tam kogoś wyślę - rzekł Bolton.

- Nie. - Pokręciłem głową i wskazując idących obok policjantów, wyjaśniłem: - To musi być któryś z nich. Tylko im mogę zaufać. Ktoś musi przeleźć przez dziurę i podczołgać się do niego od tyłu.

- Po co, Patricku? Przecież...

- Żeby złapać dzieciaka. Resztę zostawcie mnie. Trzeba będzie uchronić malca przed upadkiem na zmarzniętą ziemię.

- Ja się tym zajmę - rzekł szybko Devin. Oscar prychnął pogardliwie.

- Ze swoimi kolanami? Nie żartuj, nie dasz rady przeczłgać się nawet dziesięciu metrów po tym lodzie.

Devin spojrzał na niego z ukosa.

- Tak? Czyżbyś sądził, że tobie łatwiej będzie niepostrzeżenie przewlec po ziemi swoje słoniowe dupsko?

- Ale za to jestem czarny, partnerze. Łatwiej mi się wtopić w ciemność.

- No więc który? - zapytałem.

Devin westchnął i wskazał kciukiem kolegę.

- Słoniowe dupsko - mruknął Oscar z urazą w głosie. - Jeszcze się przekonasz.

- Zatem do zobaczenia na miejscu - rzuciłem, przyspieszając kroku w kierunku schodków i otwartej bramy.

Zdołałem się wdrapać na górę, przytrzymując się oburącz poręczy.

Jeźdnie i chodniki w ciągu dnia posypano solą, więc marznący deszcz zamieniał się na nich w błotnistą maź, ale placyk zabaw przypominał lodowisko. Tam, gdzie za schodkami w zagłębieniu wydeptanej ziemi powstała wielka kałuża, teraz szkiło się co najmniej pięć centymetrów gładkiego lodu.

Drzewa, tablice do koszykówki, drabinki i huśtawki, wszystko połyskiwało niczym oblane warstwą szkła.

Gerry stał pośrodku placyku, w miejscu, gdzie miała powstać fontanna albo bajorko dla żab, tyle że władzom miasta zabrakło pieniędzy, skończyło się więc na obetonowanym zagłębieniu otoczonym ławkami. Wiedziałem jednak, że dzieciaki uwielbiały się w nim bawić.

Samochód Glynna zasłaniał go od strony ulicy. On sam oparł się ręką o klapę bagażnika, przyglądając mi się uważnie. Nie mogłem dostrzec ani plecaka na jego ramionach, ani siedzącego w nim malca, ale klęcząca przy zderzaku Danielle Rawson miała w oczach pustkę typową dla człowieka, który pogodził się już z własną śmiercią. Dwanaście godzin spędzonych w jednej pozycji w bagażniku samochodu całkiem zburzyło jej fryzurę po lewej stronie głowy, a do grubych ciemnych smug na policzkach po rozmazanym tuszu do rzęs teraz dołożyło się silne zaczerwienienie oczu od szczypiącej benzyny.

Przypominała mi uwiecznione na zdjęciach kobiety z Auschwitz czy Dachau albo mużulmanki z Bośni. Najwyraźniej była świadoma, że jej życie znalazło się poza wszelkimi granicami, do których mogła liczyć na jakąkolwiek pomoc.

- Cześć, Patricku - odezwał się Gerry. - Zostań tam.

Zatrzymałem się dwa metry przed jego samochodem, dokładnie na wprost klęczącej na ziemi Danielle Rawson, tuż przed kręgiem rozlanej benzyny.

- Cześć, Gerry - odparłem.

- Jesteś wyjątkowo spokojny. - Zmarszczył brwi, między którymi wciąż połyskiwały krople benzyny. Mokra rude włosy obkleiły mu czaszkę.

- Zmęczony - powiedziałem.

- Masz czerwone oczy.

- Skoro tak mówisz.

- Zakładam więc, że Phillip Dimassi nie żyje.

- Owszem.

- Płakałeś nad nim.

- Zgadza się, płakałem.

Popatrzyłem na dziewczynę, która ewidentnie próbowała wykrzesać z siebie resztki sił, żeby znieść czekające ją jeszcze cierpienia.

- Patricku?

Przesunął się i oparł biodrem o błotnik samochodu. Przyciągnął też obrzynka przymocowanego do głowy zakładniczki, zmuszając ją tym samym, żeby cofnęła się na kolanach za nim.

- Słucham, Gerry.

- Jesteś wstrząśnięty?

- Sam nie wiem.

Rozejrzałem się dookoła, ogarniając jednym spojrzeniem oblodzone przyrządy na placu zabaw, ciemne smugi padającej mżawki, białe i niebieskie światła stłoczonych na ulicy wozów policyjnych oraz gliniarzy i agentów federalnych kryjących się za autami, siedzących na słupach telefonicznych, klęczących na dachach przyległych budynków. Wszyscy co do jednego mierzyli do nas z broni.

Niemal ze wszystkich stron otaczały nas dziesiątki luf, tworzyły jak gdyby zakłętą krąg nieujarzmionej przemocy.

- Myślę, że jednak jesteś w szoku. - Gerry pokiwał głową.

- Mam to gdzieś, rozumiesz? - syknąłem, odruchowo drapiąc się po głowie mokrej od deszczu. - Nie spałem przez dwie ostatnie noce, bo ty postanowiłeś zabić albo przynajmniej zranić wszystkich, którzy są mi bliscy. Więc jak ci się zdaje, co teraz mogę odczuwać?

- Zaciekawienie - odparł.

- Zaciekawienie?

- Oczywiście. - Szarpnął obrzynkiem tak, że omal nie skręcił karku dziewczynie, która huknęła tyłem głowy o jego kolano.

Znowu spojrzałem na nią. Nie było po niej widać ani strachu, ani wściekłości. Czują się pokonana. Podobnie jak ja. Próbowałem za wszelką cenę otrząsnąć się z tego, rozpalic w sobie jakiegokolwiek doznania, ale nic mi z tego nie wychodziło.

Przeniosłem wzrok na Glynna.

- Niby co takiego powinno mnie zaciekawić? - Oparłem dłonie na biodrach, żeby poczuć tuż pod ręką kolbę rewolweru.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że wcale nie kazał mi odłożyć broni. Wydało mi się to dziwne.

- Ja - odrzekł. - Przecież zabiłem mnóstwo ludzi, Patricku.

- Cześć ci i chwała - burknąłem.

Jeszcze mocniej wykręcił obrzynka, aż Danielle Rawson musiała się unieść na jednym kolanie.

- Uważasz, że to zabawne? - spytał, układając palec na spuście.

- Nie, Gerry. Po prostu jest mi wszystko jedno.

Tuż nad dachem jego samochodu dostrzegłem w oddali krótki słaby rozbłysk światła, oznaczający, że ktoś odchylił przeciętą siatkę ogrodzenia. Po chwili rozplynął się w ciemności, dziurę zasłonięto.

- Wszystko jedno? - powtórzył Glynn. - Zaraz sprawdzimy, czy rzeczywiście ogarnęła cię apatia. - Sięgnął za głowę i wyjął dziecko z plecaka, trzymając je za ubranko na plecach. Odsunął je w bok na wyciągnięcie ręki i dodał: - Zdarzało mi się rzucać cięższymi kamieniami.

Malec nadal był uśpiony, może nawet już nie żył, trudno to było dostrzec na dystans. Oczka miał silnie zaciśnięte, jakby z bólu. Gołą główkę pokrywały rzadkie kosmyki blond włosów, z wyglądu mięciutkich jak ptasi puch.

Danielle zerknęła na niego z ukosa i szarpnęła się, znowu uderzając tyłem głowy w kolano Gerry'ego. Usta miała zaklejone taśmą samoprzylepną, więc doleciały mnie tylko stłumione jęki.

- Chcesz załatwić tego dzieciaka?

- Jasne. Czemu nie?

Wzruszyłem ramionami.

- Proszę bardzo. To nie moje dziecko.

Oczy dziewczyny omal nie wyszły z orbit, gdy przeszła mnie piorunującym spojrzeniem.

- Całkiem się wypaliłeś, Patricku.

Skinąłem głową.

- To prawda, nic już we mnie nie zostało, Gerry.

- Więc lepiej wyjmij rewolwer.

Zrobiłem to. Wziąłem zamach, żeby go odrzucić, kiedy zaprotestował:

- Nie, zaczekaj. Przytrzymaj go jeszcze.

- Mam go przytrzymać?

- Oczywiście. A ściślej rzecz biorąc, naszykuj go do strzału i wyceluj we mnie. No, już. Będzie zabawnie.

Zrobiłem, jak mi kazał. Odbezpieczyłem broń, odciągnąłem kurek i wymierzyłem mu między oczy.

- Tak jest dużo lepiej - powiedział. - Przykro mi, że przeze mnie całkiem się wypaliłeś.

425

- Kłamiesz. Wcale nie jest ci przykro. Przecież dokładnie o to ci chodziło, prawda? Uśmiechnął się.

- Co masz na myśli?

- Chciałeś na mnie sprawdzić swą idiotyczną teorię o postępującym odczłowieczeniu. Zgadza się?

Wzruszył ramionami.

- Niektórzy ludzie nie nazwaliby jej idiotyczną.

- Niektórzy byliby skłonni kupić sobie plażę na Antarktydzie.

Zaśmiał się gardłowo.

- W każdym razie w przypadku Evandra świetnie się sprawdziła.

- I tylko z tego powodu czekałeś dwadzieścia lat, żeby się znów ujawnić?

- Przecież nigdy się nie ukrywałem, Patricku. Ale w kategoriach mojego eksperymentu co do kondycji ludzkości jako takiej, jak również ze względu na moją wiarę w magiczne działanie liczby trzy, faktycznie musieliśmy z Alekiem zaczekać, aż trochę podrośnięcie, a jemu uda się znaleźć tak wartościowego kandydata, jak Evandra. Potem jeszcze trzeba było kilku lat szczegółowego planowania i wysiłków Aleca wobec Evandra, dopóki nie zyskaliśmy niezbitą pewności, że stał się jednym z nas. Powiedziałbym zatem, że pod tym względem odnieśliśmy ogromny sukces. Zgodzisz się ze mną?

- Jasne, Gerry. Nazywaj to sobie, jak chcesz.

Obrócił rękę, przekręcając małego nóżkami do góry i popatrzył w bok, jakby wypatrywał najlepszego miejsca, żeby roztrzaskać mu główkę.

- I co teraz zamierzasz zrobić, Patricku?

- Wygląda na to, że niewiele mogę.

Uśmiechnął się.

- Gdybyś teraz do mnie strzelił, ona z pewnością by zginęła, dzieciak prawdopodobnie też.

- Zgadza się.

- Lecz jeśli nie strzelisz, będę mógł po prostu walnąć głową tego szczeniaka o lód.

Danielle znowu się szarpnęła, próbując odsunąć głowę z linii strzału.

- I zrobię to - ostrzegł Gerry - Nie uratujesz oboje. Zatem musisz dokonać wyboru, Patricku.

Połysek lodu pod samochodem Glynna przeciął cień skradającego się Oscara, będącego już blisko krawędzi przedniej maski.

- Wygrałeś, Gerry - powiedziałem. - To chciałeś usłyszeć?

- Co przez to rozumiesz?

- Popraw mnie, gdybym się pomylił. Zamierzałeś mnie ukarać za to, co mój ojciec zrobił Charlesowi Rugglestone'owi. Zgadza się?

- Po części masz rację - odparł i popatrzył na trzymane dziecko, przekrzywiając głowę, żeby zajrzeć mu w twarz.

- W porządku. Zatem jestem. Możesz mnie zastrzelić, jeśli ci na tym zależy. Nie ma sprawy.

- Nigdy nie chciałem cię zabić, Patricku - powiedział, nie odrywając oczu od zaciśniętych powiek małego. Wydał wargi i cicho do niego zagaworzył. - Wczoraj wieczorem w mieszkaniu twojej współniczki nie wszystko się udało. Evandro miał ją zabić, a ciebie zostawić przy życiu z poczuciem winy i wyrzutami sumienia.

- Dlaczego?

Cień Oscara wynurzył się powoli przed maską auta, w mętym blasku ulicznych latarni rozlał się daleko po kamiennych słonikach na obrzeżu fontanny i znajdujących się za plecami Glynna drewnianych koniach na sprężynie. Przemknęło mi przez głowę, że wśród gliniarzy nie znalazł się jednak żaden geniusz, który pomyślałby o wyłączeniu okolicznych latarni jeszcze zanim Oscar przedostał się do ogródka przez dziurę w płocie.

Wystarczyłoby, żeby Gerry się teraz obejrzał, a znaleźlibyśmy się w samym środku piekła.

Ten jednak wciąż spoglądał na dziecko, leniwie kołysząc nim w powietrzu.

- Często trzymałem w ten sposób swojego synka - rzekł w zadumie.

- Też nad lodem? - zapytałem.

Uśmiechnął się.

- Och, nie. Brałem go na ręce, żeby nacieszyć się jego niemowlęcym zapachem albo pocałować go w główkę.

- Ale umarł.

- No właśnie. - Przyglądał się małemu, marszcząc nos i brwi, jakby naśladował

jego minę.

- I uważasz, Gerry, że tylko z tego powodu cała reszta nabiera odmiennego znaczenia?

Nie było to zamierzone, sam jednak wyczułem we własnym głosie słaby odcień emocji. Glynn też zwrócił na to uwagę.

- Odrzuć rewolwer w prawo.

Popatrzyłem na niego, jakby naprawdę było mi wszystko jedno, jakbym zdążył zapomnieć, że go trzymam w ręku.

- Już! - Gerry rozluźnił nieco uścisk i dzieciak osunął się bliżej ziemi.

Danielle pisnęła cicho przez knebel w ustach i szarpnęła głową z przyklejonym do niej obrzynkiem.

- W porządku - powiedziałem. - Jak sobie życzysz.

Puścił małego, ale z wprawą złapał go za kostkę nogi, nim chłopczyk walnął głową o lód.

Cisnąłem rewolwer do piaskownicy przy drabinkach.

- A teraz zapasowy - warknął Glynn, wymachując dzieciakiem, jakby to było wahadło zegara.

- Pieprz się - syknąłem, wbijając wzrok w jego palce zaciśnięte na nodze małego.

- Patricku! - rzekł z udawanym podziwem, marszcząc brwi. - Wygląda mi na to, że zaczynasz wychodzić z apatii. Wyrzuć zapasowy.

Wyciągnąłem drugi rewolwer - ten sam, który Phil ścisnął w dłoni, kiedy Gerry chlasnął go brzytwą po gardle - i cisnąłem w ślad za pierwszym.

Oscar musiał zwrócić uwagę na swój cień, bo zaczął się powoli wycofywać przed maski samochodu. Po chwili dostrzegłem podeszwy jego butów obok przedniego koła po mojej stronie.

Glynn podniósł chłopca, przytulił jego główkę do swego policzka i musnął nosem mokre włoski.

- Mój synek zmarł nagle - rzekł w zamyśleniu - nic tego nie zapowiadało. Miał wtedy cztery latka. Bawił się na podwórku, śmiał się głośno i nagle... po prostu umarł. Pękło mu naczynie krwionośne w mózgu. - Wzruszył ramionami. - Zwyczajnie pękło. Cała przestrzeń pod czaszką wypełniła się krwią. I umarł.

- Tak bywa.

Uśmiechnął się do mnie smutno.

- Jeszcze raz odezwij się do mnie tym tonem, Patricku, a od razu rozwalę

szczeniakowi łeb. - Odsunął małego trochę w bok i pocałował go w policzek. - A więc mój synek zmarł. Ja zaś musiałem się pogodzić z tym, że nikt nie umiał tego przewidzieć ani zapobiec jego śmierci. Po prostu Bóg zdecydował, że tego dnia Brendan Glynn musi odejść. I tak się stało.

- A twoja żona?

Jeszcze raz musnął policzkiem włosy chłopczyka, lecz ten nadal nie otwierał oczu.

- Moja żona? Po prostu ją zabiłem. Zastąpiłem Boga. Nie wiem nawet, jakie miał wobec niej plany, ale dokumentnie je pokrzyżowałem. Bo przecież on pokrzyżował moje plany w stosunku do Brendana. Pewnie miał też jakieś plany co do dalszego życia Kary Rider, ale i te musiał zmienić. Nie zostawiłem mu wyboru.

- A jak to się stało, że Hardiman został w to wszystko wciągnięty?

- Opowiadał ci o swoim spotkaniu z rojem pszczoł w młodości?

- Tak.

- To wcale nie były pszczoły. Alec lubi wszystko upiększać. Byłem przy tym, dopadła go chmara moskitów. Na krótko po prostu zniknął w niej, a kiedy odleciały, od razu zauważyłem, że w jego oczach nie ma już charakterystycznego piętna sumienia. - Znowu się uśmiechnął, jakby wciąż miał żywo w pamięci tę chmurę moskitów nad brzegiem jeziora. - Więc po tym zdarzeniu łatwo przyszło mi nawiązać z nim więź typu mistrz i uczeń, która później przyniosła tak wspaniałe rezultaty.

- A on... co?... Zgodził się pójść dobrowolnie do więzienia, żeby cię osłaniać?

Wzruszył ramionami.

- Dla kogoś takiego jak Alec więzienie nic nie znaczy. Jego wolności nie da się ograniczyć, Patricku. Bo jest zakodowana w jego umyśle. Czuje się bardziej wolny w więzieniu niż większość ludzi poza murami.

- Więc po co karaliście Diandrę Warren za to, że go posłała za kratki?

Zmarszczył brwi.

- Ona poniżyła Aleca, kiedy zasiadł na miejscu dla świadków. Próbowала go tłumaczyć przed bandą osłów. To było cholernie obraźliwe.

- A więc to wszystko... - szerokim gestem wskazałem otaczający nas plac zabaw - ...ma służyć wyłącznie temu, żebyście ty i Alec mogli wrócić... Właściwie do kogo?

- Dzięki komu - skorygował z pobłażliwym uśmiechem.

- Dzięki Bogu?

- To trochę uproszczony punkt widzenia, lecz jeśli potrzebna ci jest taka bujda, żeby przedstawić ją dziennikarzom po mojej śmierci, można to interpretować i w ten

sposób.

- Naprawdę masz zamiar umrzeć, Gerry? Kiedy?

- Jak tylko wykonasz zaplanowany przez siebie ruch, Patricku. Wiem, że to ty mnie zabijesz. - Ruchem głowy wskazał przyczajonych na ulicy gliniarzy. - A jeśli nie ty, to oni.

- Jaki los zgotowałeś dla swoich zakładników?

- Jedno z nich będzie musiało zginąć. Co najmniej jedno. Nie dasz rady uratować oboje. To wykracza poza twoje możliwości. Musisz się z tym pogodzić.

- Już się pogodziłem.

Danielle Rawson przeszła mnie spojrzeniem, jakby podejrzewała, że żartuję, lecz wystarczająco długo patrzyłem jej w oczy, aby zyskała pewność, że jest inaczej.

- Jedno z nich musi zginąć - powtórzył Gerry. - Mam uznać tę kwestię za uzgodnioną?

- Tak.

Lekko przesunąłem lewą stopę najpierw w lewo, potem w prawo, wreszcie znowu w lewo. Miałem nadzieję, że Glynn potraktuje to jak nerwowy odruch. Ale jeszcze głębszą nadzieję wiązałem z Oscarem, dla którego był przeznaczony ten znak. Nie mogłem zaryzykować nawet przelotnego spojrzenia w kierunku przodu auta. Musiałem zakładać w ciemno, że on nadal tam jest i nas obserwuje.

- Jeszcze miesiąc temu uczyniłbyś wszystko, żeby uratować ich oboje - ciągnął Glynn. - Wręcz wychodziłbyś z siebie. Ale teraz jest już inaczej.

- Owszem. Czegóż mnie jednak nauczyłś, Gerry.

- Ilu ludziom schrzaniłeś życie, żeby mnie w końcu dopaść? - zapytał.

Zacząłem w myślach odliczać, poczynając od Jacka i Kevina, poprzez Grace i Mae, a skończywszy oczywiście na Philu.

- Wielu - odparłem.

Zaśmiał się.

- To dobrze. Bardzo dobrze. Prawda, że to zabawne? Zdaję sobie sprawę, że nigdy nie zabiłeś nikogo z premedytacją. Zgadza się? Ale i ja nie mogę powiedzieć, że zaplanowałem to sobie jako życiowe posłannictwo. Po tym, jak w przypiływie furii zabiłem żonę, co przecież także nie było zabójstwem z premedytacją, naprawdę... No więc po jej śmierci czułem się okropnie. Najpierw zwymiotowałem, później przez dwa tygodnie trawiła mnie gorączka. I nagle któregoś wieczoru, gdy jechałem starą boczną drogą do Mansfield i w zasięgu wzroku nie było żywej duszy, dostrzegłem

nadjeżdżającego poboczem z przeciwnej strony chłopaka na rowerze i poczułem nieodparty impuls, najsilniejszy, jaki kiedykolwiek odczuwałem. Kiedy światła moich reflektorów wyłowiły go z mroku i ujrzałem jego stężałą twarz o śmiertelnie poważnej minie, coś mi nagle podpowiedziało: „Szarpnij kierownicą, Gerry. Szarpnij kierownicą w lewo!”. I tak zrobiłem. Wystarczył drobny ruch nadgarstkiem i chłopak, chcąc przede mną uciec, wpakował się prosto na drzewo. Kiedy wysiadłem i nachyliłem się nad nim, jeszcze żył, mogłem więc popatrzeć, jak umiera. I to było wspaniałe. Później, przy każdej następnej okazji, czułem się jeszcze lepiej. Najpierw przy tym żalosnym czarnuchu, który myślał, że kupi sobie wolność za to, że mnie zdradzi, jeszcze bardziej przy następnym, Calu Morrisonie. Po prostu za każdym razem było to coraz wspanialsze uczucie. Do tego nie miałem żadnych wyrzutów sumienia. Przykro mi, ale naprawdę żadnych. Więc kiedy teraz mnie w końcu zabijesz...

- Wcale nie zamierzam cię zabijać, Gerry.

- Słucham? - zapytał, przekrzywiając głowę na bok.

- Nie przesłyszałeś się. Wolę, żeby kto inny wysłał cię na spotkanie z twoją sławą i chwałą. Dla mnie jesteś tylko drobną skazą na codzienności. Jesteś niczym. Nie zasłużyłeś ani na moją kulkę, ani na szczerbę na moim sumieniu spowodowaną tym, że uwolnię świat od ciebie.

- Czyżbyś znowu zamierzał mnie wkurzyć, Patricku? - Zdjął chłopczyka z ręki, jak poprzednio złapał go za ubranko na plecach i wyciągnął w bok nad oblodzonym placykiem.

Potrząsnąłem lekko prawą ręką, żeby cylinder zsunął mi się w dłoń, udając obojętne wzruszenie ramionami.

- Jesteś jak kiepski żart, Gerry. Nie umiem cię postrzegać w innym świetle.

- Tylko tyle?

- Absolutnie. - Spojrzałem mu hardo prosto w oczy. - A wiesz dlaczego? Bo wkrótce ktoś cię zastąpi. Jak zawsze. Podejrzewam, że najdalej za tydzień znajdzie się jakiś inny czubek kierujący się innymi głównianymi motywami, który zabije kilka osób i zajmie twoje miejsce w nagłówkach gazet i fabułach podrzędnych kryminałów, a ty pójdiesz w niepamięć. Twoje piętnaście minut rozgłosu już przeszło, Gerry. Na dodatek przeszło bez większego efektu.

Wprawnie obrócił małego w rękę, znowu chwytając go za kostkę nogi, a jednocześnie położył palec na spuście obrzynka. Danielle zacisnęła powieki, spodziewając się lada moment nieuchronnego wystrzału, zaraz jednak otworzyła

jedno oko, żeby widzieć do końca swoje dziecko.

- To na pewno wszyscy zapamiętają - warknął Glynn. - Możesz mi wierzyć.

Wziął tęgi zamach niczym rasowy miotacz softballu, wyciągnął rękę tak daleko za siebie, że mały Campbell całkiem zniknął mi z oczu, pogrążając się w ciemność, jakby nagle wrócił do łona matki.

Ale gdy Gerry energicznie cofnął rękę, żeby cisnąć dzieciaka wysoko w powietrze, jego już nie było.

Popatrzył w osłupieniu na swoją dłoń, ja zaś skoczyłem do przodu. Opadłem na kolana, przejechałem jeszcze dobry metr i wetknąłem palec wskazujący lewej ręki między spust obrzynka a jego osłonę.

W tej samej chwili Glynn go nacisnął. Napotkawszy opór, z równie osłupiałą miną spojrzął na mnie i nacisnął spust z całej siły, aż rozległ się cichy trzask niewątpliwie pękającej kostki w moim palcu.

Nie wiadomo skąd w lewym ręku Gerry'ego pojawiło się błyszczące ostrze brzytwy. Błyskawicznie przystawiłem wylot jednostrzałówki do jego prawej dłoni i przycisnąłem języczek zapadki.

Jeszcze zanim to zrobiłem, wrzasnął jak opętany. Z jego gardła wydobyło się przenikliwe, nieco chrapliwe wycie przypominające zew całej sfory hien i ostrze brzytwy spadło ku mojej twarzy, wbiło mi się w skórę z boku szyi i podjechało aż do szczęki.

Puściłem przycisk jednostrzałówki, ale nic się nie stało.

Gerry zawył jeszcze głośniejszym, wyszarpnął brzytwę z mojego ciała i podniósł ją wysoko nad głowę. Kurczowo zacisnąłem powieki i zacząłem czubkiem palca szarpać zapadkę.

Za trzecim razem dłoń Glynn'a eksplodowała przy mojej twarzy.

Jak mi się zdawało, moja także.

Brzytwa z brzękiem upadła na lód obok moich kolan. Pospiesznie cofnąłem obolałą rękę, gdy nagle przesiąknięta benzyną taśma izolacyjna stanęła w płomieniach, które szybko prześliznęły się w górę przedramienia Gerry'ego i zaczęły lizać włosy Danielle.

Glynn odchylił głowę do tyłu, otworzył szeroko usta i ryknął na cały głos jakby w ekstazie.

Wymacałem na ziemi brzytwę, ale miałem kłopot z zamknięciem jej w dłoni, która sprawiała takie wrażenie, jakby nagle wszystkie nerwy odmówiły mi posłuszeństwa.

W końcu zdołałem jednak przeciąć taśmę izolacyjną przy końcu lufy obrzynka i dziewczyna przewróciła się na oblodzoną ziemię, uderzając twarzą w przyzmę zmrożonego piasku.

Zdołałem też wyszarpnąć złamany palec z za osłony spustowej obrzynka i Gerry błyskawicznie wymierzył z niego w moją głowę.

Dwa ciemne wyloty luf dużego kalibru wyskoczyły ku mnie z ciemności niczym ślepie bezdusznego potwora nieznającego litości. Uniosłem dumnie głowę, szykując się na śmierć pośród dzikiego wycia szaleńca, po którym płomienie wznosiły się już do szyi.

Żegnajcie, przemknęło mi przez myśl. Wszyscy. Miło mi było.

Pierwsze dwie kule Oscara trafiły Gerry'ego w tył głowy i wyszły czołem. Trzecia strzaskała mu kręgosłup i zaryła się w klatce piersiowej.

Kiedy obrzynek w palącej się ręce Glynnna podskoczył ku górze, kolejne strzały padły od przodu i to po kilka naraz. Gerry podskoczył i jak marionetka obrócił się w powietrzu twarzą do ziemi. Jeszcze zanim zwałił się na nią martwy, huknęły dwa potężne strzały z obrzynka, lecz kule tylko rozorały pokryty lodem grunt pod nim.

Opadł na kolana i przez krótką chwilę ogarnęły mnie wątpliwości, czy naprawdę jest już martwy. Jego rude włosy także stanęły w ogniu, a głowa przekrzywiła się na lewe ramię. Jedno oko zniknęło w płomieniach, ale drugie wciąż zdawało się na mnie spoglądać poprzez fale narastającego żaru. Odniosłem nawet wrażenie, że dostrzegam w nim szydercze błyski rozbawienia.

Ty nadal nic nie rozumiesz, Patricku - przekazało mi jakimś magicznym sposobem przez coraz gęściejszą zasłonę dymu.

Po drugiej stronie płonących zwłok Oscar ciężko dźwignął się z ziemi, podniósł małego Campbella Rawsona i przytulił go do swojej szerokiej piersi. Powstawało złudzenie, że mały podskakuje i opada w rytm jego oddechu. Ów widok istoty tak drobnej i delikatnej w objęciach zwalistego olbrzyma przyprawił mnie o śmiech.

Oscar ruszył w moją stronę, uważnie okrążając palącego się trupa. W tej samej chwili zajęła się benzyna rozlana kręgiem na ziemi i żar płomieni ze zdwojoną mocą uderzył mnie w twarz.

Pal się, pal, przemknęło mi przez głowę. Niech Bóg mi wybaczy takie myśli, ale ty się pal.

Oscar uskoczył przed płomieniami pełzającymi po okręgu na ziemi i zaczął obchodzić go szerszym łukiem, gdy wybuchnąłem gromkim, niepohamowanym

śmiechem. Popatrzył na mnie z naganą w oczach, jakby nie dostrzegał ironii tej sytuacji.

Poczułem dotyk zimnych warg tuż pod uchem, lecz nim zdążyłem podnieść głowę, Danielle skoczyła już dalej, rzuciła się w kierunku Oscara trzymającego w ramionach jej synka. Wkrótce jego zwalista sylwetka zamajaczyła nade mną. Spojrzałem mu w twarz, a on przez dłuższą chwilę w milczeniu spoglądał mi w oczy.

- Jak się miewasz, Patricku? - zapytał w końcu i uśmiechnął się szeroko.

Za jego plecami Glynn palił się coraz mocniej na oblodzonej ziemi.

Z niewiadomych powodów wydawało mi się to szalenie komiczne, chociaż zdrowy rozsądek podpowiadał, że jest wprost przeciwnie. W pełni zdawałem sobie z tego sprawę. Lecz mimo to nadal zanosilem się niepohamowanym śmiechem, nawet kiedy pakowali mnie już do karetki.

Epilog

Miesiąc po śmierci Gerry'ego Glynnna policja odkryła jego komorę śmierci w dawnym bufecie nieczynnego od dawna domu poprawczego w Dedham. Oprócz różnych części ciała jego ofiar poupychanych w turystycznych lodówkach znaleziono tam również sporządzoną przez mordercę listę wszystkich zabitych przez niego, począwszy od 1965 roku. Miał dwadzieścia siedem lat, kiedy zabił swoją żonę i pięćdziesiąt osiem w chwili śmierci. Przez tych trzydzieści jeden lat zamordował - czy to sam, czy z pomocą Charlesa Rugglestone'a, Aleca Hardimana bądź Evandra Arujo - trzydzieści cztery osoby. Tak przynajmniej wynikało ze spisu.

Policyjny psycholog uważał jednak, że prawdziwa liczba może być dużo wyższa. Tłumaczył, że mając na uwadze ego Glynnna, trzeba brać pod uwagę akcentowane przez niego rozróżnienie między ofiarami „wartościowymi” i „podrzednymi”.

Wśród tych trzydziestu czterech osób było szesnaścioro nastolatków, którzy uciekli z domu. Jak podejrzewał Bolton, w spisie figurowały również ofiary zamordowane w Lubbock w Teksasie oraz na przedmieściu Miami na Florydzie.

Trzy i pół tygodnia po śmierci Gerry'ego wydawnictwo Cox Publishers wypuściło na rynek na poły dokumentalną powieść sensacyjną zatytułowaną *Bostońscy rzeźnicy*, napisaną przez felietonistę „The News”. Pierwszy nakład zniknął z półek już po dwóch dniach, ale właśnie wtedy dokonano wstrząsającego odkrycia w Dedham i ludzie szybko przestali się interesować tą pozycją, gdyż nawet książka wydana w ciągu trzech tygodni nie była w stanie nadążyć za biegiem zdarzeń.

Wewnętrzne śledztwo policyjne dotyczące okoliczności śmierci Gerry'ego Glynnna zakończyło się konkluzją, że funkcjonariusze i agenci federalni „byli zmuszeni do

zastosowania tak drastycznych środków", co miało jakoby tłumaczyć, skąd w ciele zabitego wzięło się aż czternaście kul snajperów i to już po tym, jak trzy wystrzelone przez Oscara skutecznie unieszkodliwiły ściganego.

Stanley Timpson po powrocie z Meksyku już na lotnisku Logana został aresztowany pod zarzutem zatajenia faktów w sprawie śmierci Rugglestone'a oraz utrudniania dochodzenia federalnego.

Prokuratura stanowa powtórnie otworzyła sprawę Rugglestone'a, szybko jednak doszła do wniosku, że ze względu na brak innych świadków morderstwa poza staruszką w stanie katatonii, niewiarygodną alkoholiczką oraz więźniem chorym na AIDS, mającym niewielkie szanse doczekania procesu, lepiej przekazać akta oskarżenia Timpsona władzom federalnym.

Jak ostatnio słyszałem, Timpson zamierzał wystąpić z wnioskiem o wycofanie zarzutu utrudniania dochodzenia w zamian za pełne i wyczerpujące zeznania w sprawie o zabójstwo.

Adwokat Aleca Hardimana złożył w Stanowym Sądzie Najwyższym petycję o natychmiastowe uniewinnienie jego klienta i zwolnienie go z więzienia w związku z wysunięciem oskarżeń przeciwko Timpsonowi oraz SOSEE o zamordowanie Rugglestone'a. Jeszcze tego samego dnia w sądzie cywilnym złożył pozew przeciwko władzom stanu Massachusetts, urzędującemu gubernatorowi oraz komendantowi policji, jak również ludziom piastującym te stanowiska w roku 1974. Za bezpodstawne uwięzienie domagał się dla klienta odszkodowania w wysokości sześćdziesięciu milionów dolarów, to znaczy po trzy miliony za każdy rok życia spędzony za kratkami. Argumentował, że jego klienta spotkała dodatkowa kara w postaci AIDS, którym zaraził się od innych skazanych będących nosicielami choroby, a nieizolowanych od współwięźniów, dlatego też powinien być jak najszybciej wypuszczony na wolność, dopóki pozostało mu jeszcze trochę życia. Jednakże do dzisiaj nie zapadła decyzja o uniewinnieniu Hardimana.

Jack Rouse i Kevin Hurlihy, jak głoszą plotki, ukrywają się gdzieś na Kajmanach.

Przez jakiś czas krążyła wieść, nawet przytaczana przez prasę, jakoby mieli zostać zamordowani na polecenie Grubego Freddy'ego Constantine'a. Porucznik John Kevosky z Wydziału do Walki z Przystępczością Zorganizowaną oświadczył w

wywiadzie: „Nie mogę tego potwierdzić. Zarówno Kevin, jak i Jack w przeszłości już nieraz znikali bez śladu, kiedy robiło się wokół nich gorąco. Poza tym Freddy nie miał żadnego motywu, by się ich pozbywać, ponieważ czerpał zyski z ich działalności. Na pewno ukrywają się więc gdzieś na Karaibach”.

A może jednak nie?

Diandra Warren rzuciła posadę na uniwersytecie Bryce'a i zawiesiła prywatną praktykę. Eric Gault nadal prowadzi zajęcia na uczelni. Jego tajemnica nie została ujawniona.

Rodzice Evandra Arujo za dwadzieścia tysięcy dolarów sprzedali pamiątki syna z okresu dorastania producentom jakiegoś serialu telewizyjnego. Krótco potem ci zażądali zwrotu pieniędzy, motywując, że nie ma w nim niczego, co mogłoby świadczyć o zaburzeniach psychicznych chłopaka.

Tymczasem rodzice Petera Stimovicha i Pameli Stokes wystąpili wspólnie do sądu przeciwko władzom stanowym, gubernatorowi oraz zarządowi więzienia w Walpole za nieuzasadnione przedwczesne zwolnienie Evandra Arujo.

Campbell Rawson - jeśli wierzyć lekarzom, chyba cudem - nie ucierpiał na skutek przedawkowania hydrochlorofilu wstrzykniętego mu przez Gerry'ego Glynn. Zamiast trwałego uszkodzenia mózgu, jak podejrzewano, ocknął się tylko z bólem głowy.

Jego matka, Danielle, przysłała mi kartkę świąteczną z gorącymi podziękowaniami, zapewniając przy tym, że ilekroć będę przejazdem w Reading, zawsze mogę liczyć na gorące przyjęcie i ciepły posiłek w domu rodzinnym Rawsonów.

Grace i Mae wróciły z federalnej kryjówki w odludnej części stanu Nowy Jork dwa dni po śmierci Gerry'ego. Na szczęście Grace odzyskała swoje stanowisko w szpitalu Beth Israel i zadzwoniła do mnie już pierwszego dnia po moim wyjściu ze szpitala.

Rozmowa była dość niezręczna i nie kleiła się za bardzo, gdyż oboje staraliśmy się uprzejmą rezerwą wypełnić lukę po niedawnej intymnej bliskości. Pod koniec zapytałem, czy nie zechciałaby się kiedyś umówić ze mną na drinka.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł, Patricku.

- W ogóle nie chcesz mnie zobaczyć?

Na dłużej zapadła kłopotliwa cisza, która sama w sobie była wystarczającą

odpowiedzią. Wreszcie Grace odrzekła:

- Zawsze mi na tobie zależało.

- A zatem?

- Moja córka jest dla mnie ważniejsza. Nie mogę ryzykować, że po raz drugi narażę ją na kontakt z twoim światem.

Gniecienie w dołku zamieniło się w ssącą jamę obejmującą przez całą moją pierś, aż do gardła.

- Czy mógłbym z nią porozmawiać? Tylko się pożegnać?

- Nie sądzę, żeby mogło z tego wyniknąć coś dobrego. Tak dla ciebie, jak i dla niej.

- Głos jej się załamał, z sykiem wciągnęła powietrze. - Czasami lepiej pozwolić, żeby pewne sprawy zapadły w niepamięć.

Zamknąłem oczy i na chwilę przycisnąłem słuchawkę do czoła.

- Grace...

- Muszę już kończyć, Patricku. Uważaj na siebie. Mówię to prosto z serca. Nie pozwól, żeby ta praca do reszty cię zniszczyła. Jasne?

- Jasne.

- Obiecujesz?

- Obiecuję, Grace. Tylko...

- Żegnaj, Patricku.

- Żegnaj.

Angie wyjechała nazajutrz po pogrzebie Phila.

- Musiał umrzeć, bo za bardzo nas kochał, a my nie potrafiliśmy odplacić mu się tym samym - powiedziała.

- Skąd ten wniosek? - zapytałem, spoglądając w głąb grobu wykopanego w twardej, zmarzniętej ziemi.

- To nie była jego walka, lecz mimo to stanął do niej. Zrobił to dla nas. A my nie kochaliśmy go na tyle mocno, żeby go od tego odwieść.

- Nie wiem, czy można to traktować w takim uproszczeniu.

- Można - odparła stanowczo, rzucając kwiaty na trumnę stojącą w grobie.

W mieszkaniu zastałem pokaźną stertę poczty - rachunki, reklamówki z supermarketów, zaproszenia do udziału w audycjach lokalnych stacji radiowych i telewizyjnych. Tylko gadanina i gadanina, pomyślałem. Nic z tego gadania nie wynika,

a tym bardziej nie zmienia ono faktu, że Glynn naprawdę chodził po tym świecie. I że nadal chodzi wielu innych jemu podobnych.

Jedyną rzeczą, której nie dorzuciłem do tej sterty, była pocztówka od Angie.

Przysłała dwa tygodnie po jej wyjeździe. Z Rzymu. Przedstawiała dwa gołąbki lecące nad Watykanem.

Patricku,

Tu jest cudownie. Jak sądzisz, co faceci z tego gmachu planują w stosunku do mego życia i mego ciała na najbliższe dni? Mężczyźni ciągle podszczypują nas w tyłki i lada moment któremuś się odplacę, nawet gdybym miała wywołać incydent międzynarodowy. Jutro wyruszamy do Toskanii. A potem? Kto wie? Renee cię pozdrawia. Mówi, żebyś się nie przejmował zarostem, bo zawsze uważała, że z brodą wyglądasz seksownie. To słowa mojej siostry. Przysięgam. Trzymaj się.

Tęsknię za tobą,

Ange

Tęsknię za tobą.

Za namową przyjaciół w pierwszym tygodniu grudnia zgłosiłem się na wizytę u psychiatry.

Po godzinie oświadczył, że cierpię na kliniczną depresję.

- Wiem o tym - odparłem.

Pochylił się w moją stronę.

- I jak zamierza pan sobie pomóc?

Spojrzałem na drzwi za jego plecami, zapewne od wbudowanej w ścianę szafy.

- Może pan sprawić, że odzyskam Grace Cole oraz Mae? - zapytałem.

Aż sam się obejrzał na te drzwi.

- Nie, ale...

- To może Angie?

- Patricku...

- Może pan wskrzesić Phila albo cofnąć wydarzenia kilku ostatnich miesięcy?

- Nie.

- Więc i pan nie może mi w niczym pomóc, doktorze. Kiedy wypisywałem mu

czek, dodał:

- Patricku, jesteś naprawdę w głębokiej depresji i potrzebujesz...

- Potrzebuję swoich przyjaciół, doktorze. Przykro mi, ale pan do nich nie należy. Pańskie rady mogą być bardzo cenne, lecz nadal będą to rady obcego człowieka, a ja nie przyjmuję rad od obcych. Matka nauczyła mnie tego w dzieciństwie.

- Niemniej potrzebna panu...

- Potrzebna mi Angie, doktorze. Tylko tyle. Wiem, że jestem w depresji, ale na razie nie potrafię tego zmienić. Zresztą nawet nie chcę.

- Dlaczego?

- Bo to stan naturalny. Jak jesień po lecie. Gdyby pan przeszedł przez to co ja, dostałby pan świra, a nie tylko popadł w depresję. Jasne?

Pokiwał głową.

- Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić swój czas, doktorze.

Wigilia Bożego Narodzenia

Godzina 19:30

Tak więc siedzę sam.

Na werandzie, trzy dni po tym, jak ktoś postrzelił księdza w sklepie spożywczym i czekam, aż będę mógł zacząć życie od nowa.

Mój zwariowany dozorca, Stanis, zaprosił mnie dziś na jutrzejszy świąteczny obiad, ale odmówiłem, zasłaniając się innymi planami.

Mógłbym skorzystać z gościny Richiego i Sherilynn. Albo Devina. Razem z Oscarem też mnie zapraszali na swoje kawalerskie święta. Indyk z kuchenki mikrofalowej sownie zakrapiany Jackiem danielsem. Brzmi zachęcająco, ale...

To nie pierwsze moje samotne święta. Zdarzyło się już kilka razy. Ale nigdy w takiej atmosferze. Jeszcze nigdy tak bardzo nie doskwierała mi samotność, desperackie pragnienie bycia z kimś.

„Wszyscy potrafimy kochać po kilka osób równocześnie, powiedział kiedyś Phil. Jesteśmy tylko ludźmi, w naszych sercach króluje nieporządek”.

W moim na pewno.

W samotności na werandzie pielęgnuję w sercu miłość do Angie i Grace, do Mae, Phila, Kary Rider, Jasona i Diandry Warrenów, do Danielle i Campbella Rawsona. Kocham ich wszystkich i za wszystkimi tęsknię.

A przez to czuję się jeszcze bardziej samotny.

Phil nie żyje. Dobrze to wiem, ale nie potrafię się z tym pogodzić, nie mówiąc już, jak desperacko bym chciał, żeby było inaczej.

Wspominam, jak w dzieciństwie wykradaliśmy się ze swoich domów przez okno, spotykaliśmy się na ulicy i uciekaliśmy, zaśmiewając się w głos z tego, jak łatwo oszukaliśmy rodziców; zimną nocą przemykaliśmy podwórkami, żeby zastukać w okno Angie i wyciągnąć ją na kolejną straceńczą eskapadę.

Nasza paczka rozsypała się nagle, jakby rozplynęła w ciemności.

Nie pamiętam już, co robiliśmy w czasie tych nocnych wypraw, o czym rozmawialiśmy, przedzierając się przy blasku księżyca przez betonową dżunglę opuszczonych zabudowań w naszej dzielnicy.

Wiem tylko, że w końcu nam się to znudziło.

Napisała: „Tęsknię za tobą”.

I ja za tobą tęsknię.

Brak mi cię bardziej niż porażonych nerwów prawej dłoni.

- Cześć - powiedziała.

Drzemałem w fotelu na werandzie, a gdy otworzyłem oczy, ujrzałem pierwsze tej zimy płatki śniegu. Wybałuszyłem na nie oczy i potrząsnąłem głową, żeby wypędzić z niej boleśnie słodkie brzmienie jej głosu, tak realnego, że przez chwilę jak ostatni głupiec gotów byłem uwierzyć, iż to nie sen.

- Nie zimno ci? - zapytała.

Obudziłem się na dobre. To pytanie przecież nie mogło pochodzić z mego snu.

Obejrzałem się, ona zaś weszła ostrożnie po schodkach, jakby się bała podeptać dziewczęcą biel pierwszego śniegu na deskach werandy.

- Cześć - odpowiedziałem.

- Witaj.

Wstałem. Zatrzymała się pół metra ode mnie.

- Nie mogłam już wytrzymać tak daleko stąd - wyjaśniła.

- Bardzo się cieszę.

Śnieżynki osiadające jej na włosach połyskiwały przez chwilę, dopóki się nie stopiły i nie zniknęły.

Niepewnie zrobiła jeszcze jeden mały kroczek, ja również przysunąłem się trochę

bliżej i nagle padliśmy sobie w objęcia pośród padającego śniegu.

Wreszcie nadeszła prawdziwa zima.

- Stęskniłam się za tobą - powiedziała, tuląc się do mnie z całej siły.

- I ja się za tobą stęskniłem.

Pocałowała mnie w policzek, przeciągnęła palcami po włosach i przez dłuższy czas patrzyła mi prosto w oczy, chociaż płatki śniegu osiadały jej na rzęsach.

Wreszcie pochyliła głowę i dodała:

- Za nim także tęsknię. Bardzo.

- Podobnie jak ja.

Kiedy znowu spojrzała na mnie, policzki miała mokre, nie umiałem jednak powiedzieć, od łez, czy od topniejącego śniegu.

- Masz jakieś plany na święta? - zapytała.

- A ty? Otarła wierzchem dłoni lewe oko.

- Chyba chciałabym je spędzić tylko z tobą, Patricku. Pasuje ci?

- To najlepsza propozycja, jaką słyszałem od początku tego roku, Ange.

Zrobiliśmy sobie gorącej czekolady i siedząc przy kuchennym stole, patrzyliśmy na siebie znad krawędzi parujących kubków, słuchając prognozy pogody z radia grającego w saloniku.

Dzisiejsze opady, jak twierdził spiker, to ledwie zapowiedź obfitej śnieżycy, jaka nawiedzi Massachusetts w najbliższym czasie. Obiecywał, że gdy obudzimy się nazajutrz rano, dokoła będzie leżało od trzydziestu do czterdziestu centymetrów śniegu.

- Prawdziwa zamieć śnieżna - mruknęła Angie. - Kto by pomyślał?

- Najwyższa pora.

Po prognozie pogody spiker zaczął relacjonować najświeższe wiadomości dotyczące stanu zdrowia wielbnego Edwarda Brewera.

- Jak sądzisz, ile on jeszcze pociągnie? - zapytała Angie.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Nim upiliśmy po łyku czekolady, spiker przeszedł do komentarza na temat apelu burmistrza o nasilenie obostrzeń w handlu bronią palną i apelu gubernatora o ściślejsze przestrzeganie nakazów sądowych. Chodziło o to, by następny Eddie Brewer nie znalazł się w niewłaściwym sklepie spożywczym o niewłaściwej porze, kolejna

Laura Stiles mogła bezpiecznie zerwać z narzeczonym, nie obawiając się rychłej śmierci, a wszyscy Faheyowie tego świata przestali szerzyć wokół siebie terror.

Krótko mówiąc, by nasze miasto któregoś dnia stało się tak bezpieczne, jak raj przed nastaniem jesieni, a nasze życie powszednie zostało odizolowane od bolesnych przypadków.

- Chodźmy do pokoju - zaproponowała Angie. - Możesz już wyłączyć radio.

Wyciągnęła do mnie rękę, a ja uściśnąłem jej palce w swej dłoni, w ciemnej kuchni, coraz bardziej odizolowanej od świata przez śnieg osadzający się na okiennej ramie, i poszedłem za nią korytarzem w stronę saloniku.

Stan Eddiego Brewera się nie zmienił. Ksiądz był pogrążony w śpiączce.

Całe miasto nadal czekało, jak powiedział spiker. Całe miasto, jak nas zapewnił, ciągle wstrzymywało oddech.